



ELIZA ORZESZKOWA

**Gloria victis (tom
opowiadań)**


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

ELIZA ORZESZKOWA

*Gloria victis (tom opowiadań)**Oni*

(R. 1863)

...Był w zamkniętym, cichym pokoju wieczór zimowy, długi, gdy ta dawna znajoma moja, z twarzą na światło lampy obróconą, z wnętrza głębokiej zadumy mówiła:

— Pytanie twoje o moje wspomnienia, prośby twoje, abym swoje wspomnienia twojej pamięci powierzyła, przenoszą „duszę moją utęsknioną w wiosnę ową, w ów sen, w ową godzinę, którą niegdyś zegar przeznaczeń wydzwonił wielkim głosem.

Wiosna przeminęła, sen zgasł, godzina umarła i dusze ludzkie pozostały za nimi daleko, wirem życia coraz dalej unoszone, lecz wiecznie je pomnę.

O, wiosno! kto cię widział w naszym kraju,

Pamiętna wiosno.....

Kto cię widział, jak byłeś.....

Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!

Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!

Przesunęła mi się o wczesnym poranku życia jak sen złoty i krwawy, zniknęła. Po świetle rozlała się ciemność. W ciemności miałam duszę wiecznie utęsknioną i za słonecznymi, złotymi snami goniącą — po polach, nad którymi stały cisze głuche i hasały ponure wichry.

Chcesz okrucza, momentu, fragmentu tej wiosny. Dobrze. Posłuchaj!

I

Miałam lat dwadzieścia, lecz pomimo młodości tak wczesnej, dla przyczyn, które pomijam, bo z moją osobą tylko były w związku, wiedziałam o wszystkim, co się dokoła działo i nikt z niczego tajemnicy przede mną nie czynił. To tłumaczy, że w momencie owym znajdowałam się w tym domu i że byłam świadkiem sceny tej, o! bardzo ważnym i wzruszonym.

Dom był jednopiętrowy, obszerny, na białą otynkowany, mający przed sobą dziedzińiec bardzo rozległy, a za sobą wysokie oparcie drzew ogrodowych. Wszystko, co otaczało dom ten i znajdowało się w jego wnętrzu, oznajmiało dostatek wielki i smak wykształcony. Pięknie tam było, zamożnie, wytwornie i dotąd spokojnie.

Ale teraz anioł spokoju z ziemi tej odleciał i rozlało się po niej wrzenie głuche, bo tajemnicą okryte, tym namiętniejsze i tym tragiczniejsze. Było to wrzenie serc i głów w kotle niewoli, pod pokrywą tajemnicy.

W obszernym i ozdobnym wnętrzu domu toczyły się gwarne rozmowy trzydziestu około mężczyzn różnego wieku i różnej powierzchowności. Na dnie gwaru tego czuć było niewypowiedziane, lecz niespokojne oczekiwanie.

Byli to członkowie organizacji powstańczej paru powiatów poleskich, oczekujący na przybycie jednego ze współobywateli swoich, który dziś przed nimi miał złożyć oświadczenie, że przyjmuje dowództwo nad miejscowym oddziałem zbrojnym lub że je odrzuca.

Prawie powszechne było zdanie, że nie odrzuci, ale pewności zupełnej nie posiadał nikt. Nikt z obecnych nie znał go z bliska, wielu nie znało go wcale. Jednak od kilku już miesięcy imię jego wymawiane było w okolicy bardzo często.

— On jeden mógłby! — mówiono. — On tylko jeden!

I czoła mówiących powlekały się troską, bo jeżeli on nie zechce, nikt w tych stronach nie potrafi. A ręką nieumiejętnym, sztuce wojskowej obcym, zadanie to powierzać...

Nietrudno było przypuszczać, że nie zechce, bo zadanie posiadało wagę i grozę rzeczy niezmiernie wysokich i niebezpiecznych.

Ten, kto zadania tego miał się podjąć, musiał posiadać bary Atlasa i serce gardzące mieczami Damoklesowymi. Mnóstwem mieczy najeżone było to zadanie i krwawiły się na nich napisy: Odpowiedzialność, Męka, Śmierć. Trzeba było porzucić wszystko, co było miłe, kochane, spokojne, bezpieczne, a pójść pomiędzy te miecze, w ich błyskawice i w ich mordercze szczęki. Trzeba było zwyciężyć albo zginąć; trzecie wyjście z koła ich nie istniało. Zwyciężyć zaś łatwo nie będzie; owszem, stokroć trudniej aniżeli poprzednikom, którzy w epizodach minionych tej już prawie stuletniej walki — nie zwyciężyli. Więc trzeba było mieć głowę zapaloną takim pożarem idei, aby w jego blaskach oślepnąć całkowicie na samego siebie, na wszystko, co nie jest przedmiotem tej idei i jej ofiarnym ołtarzem. Trzeba było w samej nawet klęsce, zza zasłon czasu dostrzeżonej, widzieć krwawą, lecz nieśmiertelną ziarno przyszłego zwycięstwa i umieć na grób własny patrzeć żrenicą nie tylko niewzruszoną, lecz jeszcze rozradowaną przez myśl i nadzieję, że kiedyś, w pokoleń i czasu oddali z emanacji przez grób ten wyziewanych powstanie krwią przelaną nieśmiertelniony Arcyzwycięzca, Duch.

Zdarzać się wprawdzie mogło, że w koło to wstępowało, w krater ten wskakiwało uniesienie lekkomyślne, uniesienie młodzieńcze, nie znające faktów, liczb, możliwości, niemożności, wzgardliwie omijając wszystko, co nie jest żądzą serca, marą wyobraźni.

Ale o nim wiedzieli wszyscy, że w sile męskiej wieku będąc, młodzieńcem już nie był, że wiele wiedział, umiał, że w rzemiośle wojskowym był biegły. W tych stronach poleskich urodzony, młodość daleko stąd przepędził, w wojnach brał udział, twarde prawo żelaza i liczby znał. Pułkownik jednego z uczonych działów ogromnej armii, drogę miał przed sobą daleką, może z wysokimi szczytami u kresu. I nagle rozstał się z tą drogą, zerwał z przeszłością, wyrzekł się przyszłości, do rodzimej swej wsi poleskiej powrócił, w niej osiadł. Niedawno, zaledwie przed miesiącami.

Nikt go tu z bliska nie znał, więc nikt nie wiedział, na jaką miarę pierś jego skrojona. Bo posiadać rozum, umiejętność, biegłość w fachu, nie zawsze znaczy to być człowiekiem mającym serce wielkie.

Kto wie, jak postąpi?

Poselstwo, przed niewielu dniami do niego wysłane, odpowiedzi stanowczej nie przyniosło. Przyrzekł, że dziś przed zgromadzonymi członkami organizacji stanie i postanowienie swoje oświadczy.

Tymczasem nie przyjeżdża.

Pora dnia już późna. Właściwie dzień już się skończył. W salonach służba zapaliła lampy. Jasne światło rozlało się po obrazach, sprzętach, kwitnących roślinach, obciążających stoły książkach, dziennikach, albumach. Przez kilka okien otwartych na wieczór kwietniowy, dziwnie ciche i ciepły, wlatywał zapach narcyzów i mieszał się w powietrzu z jasnym światłem lamp.

Jasno i wonnie było w salonach, jednak stawać się zaczęło chmurnie i duszno.

Rozmowy leniwały, gwar głosów przycichał, na czołach osiadały chmury.

Gospodarz domu, urodziwy i rosy brunet w średnim wieku, z czołem wyniosłym i ustami przybierającymi często zarys mądrych, lecz sarkastycznych uśmiechów, z kilku starszymi gośćmi przechadzał się po salonie, coraz więcej milczący i roztargniony. Oni, ci goście, z pobłyskującą srebrem siwizną na głowach, kiedy niekiedy przystawali, przysłuchiwali się czemuś, zdawali się na coś oczekiwać.

Co chwila ktoś wysuwał się z salonu, wychodził na ganek domu i w zmierzchu łagodnego wieczoru wpatrzony wycęzał wzrok i słuch.

Inni otwierali leżące na stołach dzienniki, albumy, lecz łatwo było zgadnąć, że kart, na które patrzyli, nie widzieli, z myślą około czegoś innego krążącą.

Inni jeszcze u otwartych okien stojąc zamieniali się półgłosnymi słowami, często milknąc, w zamyśleniu.

Wśród tych u okien stojących najwyraźniej dziś dostrzegam szlachetną twarz Władysława Orszaka. Postawę miał ciężką nieco, ruchy powolne i mowę nieco powolną, rozważną. Starzej nad swoje lat czterdzieści wyglądający, oczy zmęczone i smutne wznosił ku górze, ku zawieszonym za oknem mrocznym błękitom, a pod bujnym, ciemnym wąsem łagodnymi jego ustami poruszały ledwie dostrzegalne drgania. Jakby modlił się. Może. Światło lampy pozłacało mu ciemne włosy i brodę na szeroką pierś spadającą.

Najmłodsi z towarzystwa do nas, kobiet, się zbliżyli. Nas, kobiet, było tylko dwie. Gospodyni domu, ładna, wiotka, trochę tylko ode mnie starsza, tuż przy mnie na małej kanapce siedziała. Zbliżył się do niej i do mnie bardzo wysoki, atletycznie zbudowany brunet, którego dla rysów rzymskich i cery południowej Scypionem czasem nazywano. Powierzchnowość to była człowieka śmiałego, mocnego w uczuciach i woli. Oczy płonęły jak czarne diamenty, usta pod czarnym wąsem gorzały purpurą. Przy nim niebawem stanął typ młodzieńczy zupełnie odmienny. Południe i północ.

Postawa wysmukła, raczej wątła niż silna, twarz biała, włosy złote, wesołość niemal dziecinna w błękitnych oczach. Słynny na szeroką okolicę z namiętności myśliwskiej, ze znakomitej jazdy konnej, z wprawy strzeleckiej. Przeszłość krótka bardzo, lecz w której nic nie zapowiadało polotu ku gwiazdom lub pociągu ku otchłaniom. Trzeci, który się zbliżył, jeszcze prawie student, przez nas z powodu pokrewieństwa bliskiego po imieniu Florentym nazywany. Ze studiów uniwersyteckich przywiózł z sobą demokratyzm gorący, zawzięty, w myśli, sercu i mowie wciąż jakby pacierz odmawiający deklinację: lud, ludowi, dla ludu, przez lud, w ludzie... Ogorzały, barczysty, łączył w sobie z demokratycznym sposobem myślenia nieco też demokratyczną, umyślną rubaszność ruchów i słowa, gdy z szarych oczu patrzyła na świat miękka, litościwa, wciąż ku wyżynom wzlatująca dusza marzyciela.

Stanęli przed nami i zaczęli mówić o *nim*.

— Spotkałem się z nim, widziałem go, to człowiek niezwykle, na wodza stworzony. Przyrzekł, więc przyjedzie... Tacy ludzie, gdy coś przyrzekną...

— Rzecz prosta, że przyjedzie. Czy dowództwo przyjmie? nie wiadomo...

— Przyjmie niezawodnie...

— Dlaczego niezawodnie?

Gospodarz domu zbliżył się do żony i z cicha rzekł:

— Jest już tak późno, że kazałem podawać wieczerzę. Proś gości, Stefuniu!

Wysokie czoło przeszywała mu zmarszczka niezadowolenia i w zarysie ust tkwił wyraźniejszy niż kiedykolwiek sarkazm. Jeden ze stojących przed nami młodzieńców z drgnieniem ironii w głosie zapytał:

— Pan już zwątpił?

— Zwątpilem.

— Ja nie.

— Ani ja.

Gospodarz zawołał:

— Szczęśliwa młodość!

— Dlaczego szczęśliwa? — zapytały trzy młode głosy, w których brzmieniu czuć było już roznieczającą się iskrę tych sporów, uraz, zażaleń, które od roku, może więcej, wybuchwały tu pomiędzy ludźmi starszymi a młodszymi co dzień, co godzinę, gorące, czasem namiętne i gwałtowne.

Gospodarz domu sympatii młodego pokolenia nie posiadał, o! nie, za ironię, za to, co nazywało ono chłodem uczuć, może trochę za dumę człowieka wysoko wykształconego i możnego. Tym razem jednak znikł mu z ust bez śladu wyraz ironii.

— Dlatego — odpowiedział — że młodość to wiara, która uszczęśliwia, gdy wątplenie boli.

Mówił szczerze. Z wyrazu czoła i oczu znać było, że go coś dojmująco, głęboko bolało.

Wkrótce wchodziliśmy wszyscy do wielkiej sali jadalnej, w której długi stół, okryty naczyniami stołowymi, błyszczał w rześystym świetle lamp i świec.

W głębi sali, naprzeciw drzwi, przez któreśmy wchodzili, rysowała się na jasnym tle ściany kolumna z czarnego drzewa, z okrągłym wyróżnieniem w głowicy. Był to staroświecki zegar, aż pod sufit prawie wznoszący swe oblicze wielkie, okrągłe, białe, czarnymi zmarszczkami wskazówek przeorane. Wyglądał jak symbol czasu, z góry i obojętnie spoglądający na ludzkie zachody, niepokoje, losy.

Był moment krótki, w którym zebrani, na znak gospodyni domu oczekując, otaczali stół w postawach stojących. Ona, stojąc również, na kilka osób nieco spóźniających się oczekiwała. Po sali płynął niegłośny szmer rozmów, dwie nasze kobiety suknie rzuciły na czarne tło ubrań męskich plamy jasne i w blasku lamp świetliste.

W tym właśnie krótkim momencie za oknami rozległ się turkot kół. Szmer głosów rozmawiających umilkł, salę zaległa cisza. Nikt nie usiadł. Po wszystkich twarzach rozlał się wyraz zaniepokojenia; niektóre z nich trochę pobladły.

Gospodarz domu śpiesznie do przedpokoju wyszedł i po minutach kilku już spóźnionego gościa obecnym przedstawiał.

Po wielkiej sali, w rześmistym świetle, wśród ciszy zupełnej i trzydziestu paru oczu w jednym punkcie utkwionych, rozległo się imię i nazwisko — Romualda Traugutta.

Jednocześnie w głębi sali, prawie pod sufitem, zabrzmiał metaliczny, basowy dźwięk. Zegar z białą twarzą w czarnej obwódce uderzać zaczął godzinę. Dziesięć z kolei dźwięków metalicznych, głębokich płynęło górą, gdy dokoła stołu brzmiały nazwiska gości, z którymi gospodarz domu przybyłego najpóźniej zaznajamiał.

Przyczyna opóźnienia z łatwością wyjaśniona została: jakiś prosty i pospolity wypadek w kilkumilowej podróży po złych jeszcze drogach wiosennych.

Miał lat trzydzieści sześć i na wiek ten wyglądał, wzrost średni, budowę ciała więcej sprężystą i szczupłą niż silną, a w ruchach łatwych, pewnych siebie, w postawie wyprostowanej coś, co przypominało typy wojskowe. Od pierwszego wejrzenia rzucała się w oczy głęboka czarność jego włosów tak obfitych, że dwie ich fale, jedna nad drugą, wznosiły się nad czołem śniadym, kształtnym, przerzniętym od brwi aż prawie po włosy pionową linią głębokiej zmarszczki. Oczy niełatwo było dostrzec, bo okrywały je szkła okularów, lecz wśród owalu śniadej twarzy uwagę zwracały usta bez uśmiechu, spokojne i poważne. Może ta powaga ust i ta zmarszczka na czole przedwczesna sprawiały, że w powierzchowności tej uderzał przede wszystkim wyraz myśli surowej, skupionej, małomówniej. Nic miękkiego, giętkiego, ugrzecznionego, nic z łatwością wylewającego się na zewnątrz. Tylko myśl jakaś panująca, przeogromna, nieustannie w milczeniu, w skupieniu pracująca i pod jej pokładem jakiś tajemny upał uczuć, który na czole wypalił przedwczesną zmarszczkę i gorącym kolorytem powłókł milczącą twarz.

Znać było, że daleko chętniej milczał, aniżeli mówił. Do rozmowy o rzeczach potocznych, która toczyła się w czasie wieczery, mieszał się rzadko i obojętnie, krótkimi słowami. W zamian niepodobna było nie dostrzec, że wzrokiem bada otaczające, świeżo poznawane twarze. Może w duchu, gotującym się do spełnienia jednego z najdramatyczniejszych aktów, jakie przez duch człowieczy spełnionymi byś mogą, zapytywał o wartość i siłę swoich w dramacie współaktorów.

Cicho za odchodzącą służbą pozamykały się drzwi sali; wszyscy siedzieli w milczeniu dokoła długiego stołu, z którego zdjęte już były okrywające go wprzód naczynia.

Gospodarz domu w postawie stojącej przemawiał.

Mówił o tym, że niedawno jeszcze przeciwny był rozpoczynającemu się w kraju ruchowi i powstrzymywać go usiłował, nie dlatego, aby mniej od kogokolwiek pragnął wolności i szczęścia kraju, ale że pora nie zdawała mu się wybrana trafnie ani siły dość przygotowane, ani szanse zwycięstwa równe szansom klęski, która jeżeli nastąpi, przyniesie następstwa wagi nieobliczalnej, najpewniej bardzo ciężkiej. Mniemał, że cierpliwe oczekiwanie na moment sposobny, na zbieg okoliczności dla walki pomyślny, na powiększenie sił i zasobów do niej, nie mniej jest warte od rzucenia się w walkę ze szlachetnym i choćby bohaterskim zapałem w sercu, lecz bez należytej orientacji w głowie, bez wagi w rękę i arytmetycznej tablicy przed oczyma.

— Czciwielem rozumu jestem i tych szkielek mędrca, które wyśmiewać ma prawo poezja, lecz których polityka sprzed oczu usuwać nie powinna. Dlatego odradzałem, walczyłem z prądem, usuwałem się na stronę. Byłem biały...

Przy słowach ostatnich podniósł głowę i śmiałym spojrzeniem spotkał się z niechętnymi, ironicznymi uśmiechami, które na kilka twarzy wystąpiły.

— Nie sam jeden w zgromadzeniu tym jestem, którym tak myślał i nazwę tę nosił. Wszak znajdują się tu współmyślący moi, nieprawdaż?

Wyżej jeszcze podniósł głowę, na odpowiedź czekał. Poważnie kilka głosów odpowiedziało:

— Tak.

Więc mówił dalej:

— Teraz uderzył już dzwon, wielki dzwon historyczny i nie białym, ale czarnym byłby ten, kto by na dźwięk jego głuchy pozostał. Istnieje coś, co gdy raz nad powierzchnię ziemi wystąpi, zgładzone z niej być nie może. Tym czymś jest fakt. Fakt zbrojnej walki stał się. Znaczna część kraju w ogniu jej już stoi. Jakkolwiek niebezpieczeństwa czy niepodobieństwa mógłby dla niej i przez nią spozstrzegać rozum, on również wskazuje, że przeciw niebezpieczeństwom i niepodobieństwom, przeciw hańbie także, która zuchwałych a niedołężnych okrywa, orężem ratunkowym może być tylko nasza jedność. Mądry syn domu ostrzega przed rozniecaniem ognia nieostrożnym i niewczesnym, lecz kiedy dom już gore, szalony byłby, więcej — przeklęty byłby, gdyby nad nim nie roztoczył ramion czynnych, ratujących! Przekonań człowieka godzina każda odmieniać nie może, ale w godzinie każdej inne być mogą obowiązki. Obowiązkami godziny, która wybiła w kraju naszym, są dla nas: jedność i ofiarność. W nich nadzieja... Bez nich zginiemy...

Wstrzymał się, z głową spuszczoną milczał, myślał. Rumieńce na policzki, blaski góraczące w oczy wstępować mu zaczynały.

— Są to przyczyny, dla których, gdy fakt stał się i godzina nowego obowiązku uderzyła, wstąpiłem do organizacji powstańczej tej poleskiej ziemi i na czele jej stanąłem. I od momentu, w którym rozum mój zatwierdził hasło: jedność i ofiarność! siebie samego i wszystko, co moje: dom, majątek, w potrzebie wolność i życie, siły rozumu, jakimi rozporządzam i pragnienie serca najgorętsze z tych, których zaznałem kiedykolwiek, złożyłem na usługi sprawy.

U przeciwnego końca stołu zabrzmiały ciche brawa, wyszeptywane przez te same usta, które przed chwilą uśmiechały się ironicznie i niechętnie. Ale mówiący, na ten szmer przyjazny, tak jak przedtem na nieprzyjemne uśmiechy obojętny, mówić kończył:

— W charakterze nowo mianowanego naczelnika organizacji ziemi poleskiej, w imieniu jej i w obecności jej członków, zapytuję pana Romualda Traugutta, czy przyjmie dowództwo nad uformowanym przez organizację zbrojnym oddziałem tej ziemi?

Niewysoki, szczupły, wyprostowany i tylko z pochylonym nieco czołem, na którym upał wewnętrzny wypalił pod falami kruczonych włosów przedwczesną zmarszczkę, wstał z krzesła Romuald Traugutt i odpowiedział:

— Z dalekich stron powróciłem tu z myślą, że usługi moje mogą być teraz potrzebne ojczyźnie. Zawód, któremu się oddawałem, przysposobił mnie do ofiarowanego mi zadania, więc je przyjmuję.

Krótkie to było, proste, skromne, wypowiedziane głosem mającym brzmienie czyste i metaliczne.

Dokoła stołu wszyscy powstali i pochyliли się w milczącym ukłonie, po czym salę zaległa chwilowa cisza. Cisza serc, oblewających się potajemnymi łzami wzruszenia i cisza grozy, którą oddychają momenty wyroczne; i ta jeszcze cisza, z jaką nad tym biednym światem kędyś wysoko waży się na szalach przeznaczenia losy ludzi i narodów.

Pierwszy ciszę przerwał Traugutt.

— Proszę organizację o zdanie spraw z działań dla uformowania oddziału przedsięwziętych i dokonanych, z liczebności tego oddziału, uzbrojenia i wszechstronnych zasobów jego oraz o mapy powiatu i powiatów sąsiednich, czyli topograficznego terenu, na którym rozwijać się będą przyszłe działania wojskowe.

Głos to był nieco inny już od tego, którym przemawiał przedtem. Pobrzmiwała w nim nuta rozkazu, czuć było człowieka, który z zadaniem raz na siebie przyjętym żartować nie będzie i fachowca, który wiedząc dobrze, czego żądać mu należy, żądania swe stawia bez próżnych dodatków i omówień.

Bardzo rychło zjawily się na stole mapy mniejsze i większe, lecz przed ich rozwinięciem z kolei mówić zaczęli ci, którzy pełnić w organizacji urzędy dziesiętników

i setników zdawali sprawę ze zgromadzonych przez siebie dziesiątków i setek przyszłych zbrojnych partyzantów, cyfry nieduże zresztą, bo oddziały partyzanckie z samej natury tego rodzaju wojny liczne być nie mogą, potem nazwy broni, ilości jej i gatunki.

Wódz z twarzą ku mówiącym podniesioną słuchał; w szklach, które osłaniały mu oczy, zapalały się, przygaszały, migotały odbicia światła, czasem pytania krótkie zadawał, czasem zsuwały się mu brwi czarne i zmarszczka na czole pogłębiała się widocznie. Raz tylko po rysach milczących przepłynęła, wnet znikając, smuga radości. Było to wtedy, gdy przemówił naczelnik zorganizowanej w powiecie poczty obywatelskiej, Władysław Orszak.

Jak zwykle ociężały nieco w poruszeniach, jak zwykle powoli i rozważnie mówić zaczął o potrzebie otaczania partii zbrojnej pilną strażą tych, którzy w domach pozostaną, rozciągania dokoła niej takiej niby sieci drutów telegraficznych, z mężnych woli i serc wyprzedzonych, które by świat z nią i ją ze światem, i jeszcze ludzi jednomyślnie z nią działających, a rozproszonych po świecie — wiązały.

Z twarzą nad wiek przywidłą, łagodną, od której na piersi spływała ciemna, gęsta broda, z oczyma, w których zmęczonym, lecz czystym błękicie było coś z bolesnych upałów, które długo płonęły tajemnie i bezpożytecznie, mówił o tym, gdzie, jak, przez kogo przewożone, przenoszone będą wiadomości, ostrzeżenia, żądania, wskazania.

Taka poczta nie jest najpodrzedniejszą częścią rozpoczętego dzieła; owszem, jest jego częścią bardzo ważną. Musi być zwinna, ostrożna, umiejąca latać i pełzać, prześlizgiwać się i umykać. Ale znaleźli się ludzie do roboty tej odpowiedni i pan naczelnik przebaczy, że nie samych starych do niej zabrano, lecz także trochę młodych, którzy już w partii służyć nie będą, dopóki ona w okolicach tych pozostanie. Potem, gdy losy walki przeniosą ją w miejsce inne, i ci z nią się połączą, ale tymczasem do tej strażniczej roboty trzeba także trochę sił niesteranych i z zapalem młodości oddanych sprawie. Bo przecież...

— Bo przecież partia to serca bijące i krew gorąca kilku setek ludzi, to... dziecko marzeń naszych, zabiegów, nadziei, że raz przecie nie jak niewolnicy z duszami zabitymi, lecz jak żywi ludzie żyć będziemy. Trzeba tedy nad nią czuwać, trzeba krwawym zapasom jej troskliwym czuwaniem dopomagać!...

Pochylił twarz, która wraz z czołem pocięła się w mnóstwo fałd i zmarszczek, z łagodnej zwykle stając się posępną. Z każdej jej zmarszczki i z każdej jej fałdy wyglądały gorzkie myśli, ciężkie smutki, długo w milczeniu i niemocy przeżywane. Powoli, głosem głuchym znowu mówić zaczął:

— Powiedziałem: niewolnicy z duszami pozabijanymi. Tak jest. Kiedy ręce skute i usta zakneblowane, to i dusza zrazu usypia, a potem mrze. Byli tacy, którzy powiadali: „Czego wam brak? Spokojnie sobie żyjecie, w dostatkach... po co zdrową głowę pod ewangelię kładzicie?” Otóż to... zdrową głowę! Śmiech gorzki z takiego zdrowia! Nic nam nie było wolno: ani czynić, ani głośno mówić, ani ludu naszego z jarzma niewoli i ciemnoty wyzwalać, ani życia swojego przerabiać, polepszać. Tylko: jedz, pij, śpij i gnij! To wolno. Niedobrze ci z tym? Powinno być dobrze, a jeżeli nie jest, to milcz! Jeżeli sarkniesz głośno lub palcem poruszysz — na Sybir! I tak było tyle lat. Boże mój! Tyle dziesiątków lat! Byli tacy, którzy w tym błocie poznajdowali sobie różne rozkosze i nimi się potruili, ale byli inni. Boże! Ty jeden wiesz, ile ci inni cierpieli! Jak im własne myśli paliły wnętrzości, jak z nich własne siły i ochoty, do niczego nie użyte, rzężały zaduszane, ciągle konające i nigdy nie mogące skonać! Najlepsze lata życia przechodziły nam, jak ten dym szary, który po ziemi się czołga, a gdy spróbuje wznieść się w górę, zły wiatr zaraz o ziemię go cisnie i po błotnistej powierzchni jej rozciągnie... Tak dłużej nie można było żyć. Ja wiem, że siły nasze małe, więc czerwonym być nie śmiałem. Ale i białym nie byłem także, nie! Za wiele cierpiał, za wiele przysłuchiwał się śmiertelnemu rżeniu duszy własnej i dusz bliskich, abym białym mógł być. A teraz co do tej motyki porywającej się przeciw słońcu, to myślę, że... Bóg jest z nami i że sprawa nasza to sprawa boska. Tedy... jaki tam koniec będzie, to będzie, powinność swoją... powinność swoją czynimy.

Bardzo wzruszony, z drżącymi wargami i pobladłym czołem na krzesło opadł, ciężko oddychał, a po krótkim milczeniu dodał już tylko:

— Poczta obywatelska powinność swoją spełni. Ręczę.

Wtedy to właśnie na milczącą twarz naczelnika oddziału zbrojnego spadła smuga radości i choć prędko zgasła, oczy jego, zza szkieł je osłaniających, tkwiły długo w szlachetnych, smutnych, przedwcześnie uwiędłych, zoranych rysach Orszaka.

Teraz rozpostarło się na stole kilka map różnej wielkości i wieniec głów pochylił się nad nimi, gdy w gwarze rozmowy brzmiały liczne nazwy dworów, wsi, miasteczek, uroczysk.

Żadna droga żelazna wówczas jeszcze stron tych nie przebiegała i było w nich trochę gościńców szerokich i mnóstwo dróg, drożyn, które w kierunki różne rozbiegały się po nieścignionej okiem równinie.

Były w tych stronach okolice żyzne, ludne, falujące bujnymi zbożami, gęsto strzelające ku niebu grupami topoli, które przyozdabiały dwory, i krzyżów, które stróżowały u wrót wiosek.

I były pustkowia niemal bezludne, kępami wilgotnych łąk wysadzone, wodami mokrzaśl świejące, przemawiające tylko głosami hulaszczych wichrów lub wędrownych ptaków, dla stóp obcego przybysza groźne śmiertelną grzęzłą trzęsawisk.

I były tam jeszcze lasy wielkie, głębokie, lasy odwieczne, przez wieki toporem nie-dotykane, wspaniałe przybytki natury samotnej i dzikiej, obłędne labirynty, z drogami wiadomymi tylko zwierzom je zamieszkującym i ludziom o barach potężnych, wzroku bystrym, strzałach celnych, którzy nad ich niepokalaną całością stróżowali.

I był tam na koniec wśród wielu wód innych, przez naturę po ziemi tej rozlanych, jeden szlak wody nieszeroki, przez ręce ludzkie na powierzchnię jej dobyty i nazwany Kanałem Królewskim.

Podniósł się wieniec głów znad map na stole rozłożonych i po ustach rozbiegły się słowa:

— Za Kanał Królewski! Do lasów horeckich.

Tam partia udać się i obóz założyć miała.

Przedtem jednak zgromadzić się musi. Z ziemi rozległej, z równiny dla oka bezgranicznej, z rozsianych po niej dworów, miasteczek, chat leśniczych, zagród drobnoszlacheckich, na jednym punkcie zgromadzić się musi. Na punkcie przedstawiającym ułtwień najwięcej, niebezpieczeństw najmniej.

Romuald Traugutt podniósł znad mapy twarz i wymówił:

— Dwór dziatkowicki.

A po krótkiej chwili, spojrzeniem po zebranych wiodąc, zapytał:

— Czy właściciel Dziatkowicz jest tutaj obecny?

— Tak; ja jestem właścicielem Dziatkowicz.

Traugutt mówić zaczął:

— Władzy dyktatorskiej nie posiadam. Mienia i wolności ludzi na niebezpieczeństwo wystawiać bez dobrowolnego zgodynia się ich na to nie mam prawa. Miejsu, które będzie punktem zbornym partii i właścicielowi jego zagrożą niebezpieczeństwa poważne. Dwór spalony, majątek zabrany, właściciel jego uwięziony i surowo karany może zostać. Zgromadzenie się partii w Dziatkowiczach przedstawia dla niej korzyści znaczne, lecz które wówczas tylko osiągnięte będą, jeżeli właściciel miejsca tego, z pełną wiedzą o możliwych następstwach swego czynu, zgodzi się go dokonać!

Już w połowie przemówienia tego podniósł się z krzesła ów wysmukły, zaledwie dojrzały blondyn z białą twarzą, wesołymi oczyma i drobnym wąsem złotym nad ustami, które dotąd zdawały się znać tylko śmiech, pieśń i pocałunki; ów myśliwiec namiętny, na szeroką okolicę ze znakomitej jazdy konnej i strzałów celnych słynny, ów z przeszłością bardzo jeszcze krótką, lecz w której nic nie zapowiadało polotu ku gwiazdom lub pociągu ku otchłaniom...

O! Od dawna zszedł już z tej ziemi w krainę nieznaną, która tam kędyś po drugiej stronie rzeki życia leży, zszedł z niej po długich cierpieniach wygnania, ubóstwa, czysty do końca, mężny do końca, gwieździe młodości swej i otchłani, która mu życie pożarła, błogosławiący do końca. Zszedł z tej ziemi samotny, bezdietny... i wolno mi imię jego wymówić, a tobie je głośno powtórzyć. Może na nie jak na mogiłę spłynie promień jakiego rozrzuconego oka, które samo kocha gwiazdy i otchłanie...

Podniósł się z krzesła Gustaw Radowicki i z oczyma jak dwa błękitne płomienie go-rejącymi rzekł:

— Nie tylko zgadzam się, ale skoro to dla partii ma być korzystne, cieszę się, że właśnie te moje kochane Działkowicze korzyści tych dostarczyć mogą. I w zamian o jedno tylko pana naczelnika proszę, aby mi było pozwolone...

Zmieszał się jakoś, spuścił oczy, może przed tkwiącym w nim wzrokiem naczelnika. Jednak po chwili dokończył:

— Aby mi było pozwolone należeć w partii do oddziału jazdy...

Teraz znowu zaśmiały mu się oczy i usta.

— Bo że będę służył w partii, to już dawno postanowione i wiadome. Jakże! Setnikiem przecież jestem. Stu ludzi chętnych do pójścia zebrałem, a sam miałbym nie pójść! To przecież przez głowę nigdy mi przejść nie mogło. Ale proszę, aby mi wolno było służyć w jeździe, bo ja na koniu to do wszystkiego, a pieszo to jakoś... tak jakoś... Ale proszę tylko — i jak pan naczelnik rozkaże, tak się stanie. Tylko to jeszcze powiedzieć muszę, że mam konia El Raszyda, takiego, co to w sam raz... do takiej służby w sam raz...

Zmieszał się znowu, umilkł.

Naczelnik zaś z twarzą wciąż ku niemu podniesioną tkwił w nim wzrokiem i na usta — pierwszy raz, odkąd tu przybył — wykwitać mu poczynął uśmiech. Wykwitał, bo dziwnie świeży był, szczery, perłowy od rzędu zębów białych, które w nim błysnęły. Przy tym łuna radości twarz mu opłynęła i z czoła spędziła posępną zmarszczkę. Z wesołym prawie gestem zawołał:

— Ale owszem, zgadzam się, aby pan służył w jeździe i nawet...

Tu głos jego nabrał tonów zupełnie wesołych.

— Ponieważ pan ma konia El Raszyda, co to w sam raz, mianuję pana swoim adiutantem.

Aż po brzegi złotych włosów z radości zarumieniony młodzieniec przed naczelnikiem złożył głęboki ukłon i siadając, ku wysokiemu brunetowi, którego czasem Scypionem nazywano, z porozumiewawczym skinieniem głowy rzucił zagadkowe słowa:

— A co, Feliksie! Widzisz! I ja z tobą...

Znać o czymś wąpili wspólnie i znać, że tamten wybierał się także do jazdy.

Ale teraz wstał z krzesła swego naczelnik:

— Skończone są na dzisiaj narady nasze. Mówcą nie jestem. Mniemałem zawsze, że słowem najwymowniejszym z tych, którymi człowiek do świata przemawiać może, jest czyn. Jednak teraz, gdy Bóg pozwolił, że przystępuję do czynu, o którym zawsze marzyło serce moje, z serca wyrrywają mi się słowa, tylko co przez pana Orszaka powiedziane: „Sprawa nasza to sprawa boska”. To jest również prawdą, co pan Orszak powiedział, że niewola zabija dusze, a ja z tej prawdy wyprowadzam wnioski, że nikomu nie wolno zabijać dusz ludzkich i odwrotnie: duszom ludzkim nie wolno pozwalać, aby ktokolwiek je zabijał. Oto jest prawo nasze do walki, którą przedsięwzięliśmy i oto dlatego sprawa nasza jest sprawą boską. Nie na podboje i nie po łupy idziemy, ale po odbiór wydzieranego nam dobra boskiego. Dobrem boskim — cnota ludzka, cnoty nie ma bez wolności. Jeżeli wygramy, wygraną naszą będzie zbawienie duszy narodu, jego czci i jego doczesnego szczęścia; jeżeli przegramy, rzeką krwi przez nas przelanej inni zapłyną do wolności. Ale jakkolwiek będzie nasz koniec, powinność naszą czynimy. Z nadzieją czy przeciw nadziei, ale z prawdą i z Bogiem! My z prawdą i ze sprawiedliwością, więc z Bogiem. W tym nasza moc. My z Bogiem.

Nie patrzył na nikogo, spojrzaniem błędził w górę i choć umilkł, wargi mu wewnętrznymi słowami jeszcze drgały, gdy twarz i postawę oblewała jakaś od ziemi oderwana, ze słońce mistycznych wyblęśla ekstaza. W takich ekstazach wbrew ziemskim rachubom rodzą się niezłomni książęta czynu i z pieśnią triumfu w duchu, wbrew męczarniom ciała, umierają męczennicy.

Wieniec twarzy od wzruszeń i znużenia bladych otaczał długi stół i w sali, którą zaległo milczenie, zegar począł wybijać godzinę. Z białego oblicza w czarnej obwódce, spod sufitu patrzącego wypłynęły cztery z kolei dźwięki metaliczne, głębokie.

Czy oczy ludzkie długim czuwaniem zmęczone były, czy lampy przygasły, ale rzęście ich światło zdawało się teraz rozpraszać w kurzawę mnóstwa świecących atomów, które przed oczyma migotały, drgały, mając linie otaczających twarzy i przedmiotów. Płomień dopalających się świec stały w wysokich kandelabrach wielkie, jaskrawe, z nitkami

dymu u chwiejących się wierzchołków. Powietrze nasycone oddechami ludzkimi, może częstszymi, niż to bywa w momentach powszednich, stało się duszne i gorące.

Ktoś zbliżył się do jednego z okien, na oścież je otworzył i za tym otwartym oknem ukazał się dziw, cud: dziwnie cudny i piękny poranek wiosenny.

Niepokalany błękit nieba, jasna zieloność ogrodu osypana brylantami rosy. Białe gwiazdy narcyzów nad trawami, mnóstwo fiołków w trawach, rozłożyste jabłonie w różowym i grusze w białym rozkwicie. Potoki woni i fale powietrza napojonego rosą. I wszystko od nieba do ziemi, od szczytów drzew wysokich do drobnych traw i kropel rosy, w wielkim, pełnym, złotym świetle słońca wyraźne, wypukłe, wyodrębnione, jasne, pozłoczone.

Od doznanych wzruszeń drżące i wzajem wspierające się o siebie, my, dwie kobiety, prawie dzieci, szeroko otwartymi oczyma patrzyliśmy to na ów rajski obraz za oknem, to na salę napelnioną światłem żółtym, sproszkowanym, migocącym, dymnym i twarzami ludzkimi o czołach zbrudzonych i zmęczonych oczach...

Poemat i dramat.

Raj i czyściec.

Pogoda i burza.

II

Kto wiosny owej przesypiał całe noce? Kto znał wczesne i spokojne sny?

O później, nocnej godzinie po grobli, która wśród dwu rzędów wierzb wznosiła się nad dwoma rozłogami łąk, pędził na koniu człowiek szarą burką owinięty. Całą szybkością bystrego konia pędził, u końca grobli obszerny dwór okrążył, na dziedziniec jego jak wicher wpadł i konia przed gankiem domu osadził.

Na ganku szarzało w zmroku kilka postaci męskich i bieląło kilka sukien kobiecych. Głos jakiś zapytał:

— Kto?

Jeździec, z konia zaskakując, odpowiedział:

— Posłaniec.

Wszedł na ganek i cicho mówić zaczął:

— Partia z Dziatkowicz ku lasom horeckim idzie i na dwie godziny we dworze, z którego posłaniec przybywa, stanęła.

Naczelnik partii wzywa najbliższych zamieszkujących członków organizacji, aby dla pomówienia z nim o rzeczach ważnych przybyli. Jak najprędzej, gdyż ani minuty dłużej nad dwie godziny partia się tam nie zatrzyma. Kilku takich jak on posłańców rozleciało się w strony różne, jemu tu pędzić co koń wyskoczy rozkazano. I tak samo powracać z uwiadomieniem, czy wezwani przybędą. Jest jeszcze kartka do pani...

Nie skończył mówić, gdy już para ludzi, mężczyzna i kobieta, ku stajniom przez dziedziniec biegła. W moim ręku szeleściła kartka z pięciu słowami:

„Przyjeżdżaj także. Jesteś potrzebna. Stefania”.

Służbę stajenną budzić? Strata czasu. Do powozu konie zakładać? Kto by tam teraz myślał o powozach!

Kilka minut upłynęło i już przed stajnią stał koń do linijki zaprzężony.

Nie wiesz, co to linijka? Taka gładka, zwyczajna deska, pomiędzy czterema kołami położona i suknem obita. Nic więcej. Wąskie to, niezmiernie lekkie, dla gospodarzy do jeżdżenia po drożynach i miedzach polnych... Kobiety rzadko tym jeździły, jednak czasem, w takiej postawie, jak jeżdżą na koniu.

Towarzysz mój ujął lejce, ja za nim już siedziałam.

Trzy wiorsty drogi tylko. Linijka nasza jak strzała prula powietrze, turkocąc po twardej grobli, prawie doganiając pędzącego przed nią na koniu posłańca. Noc była gwiazdziśta, trochę wietrzna. Wierzyby lekko chwiały się i szemrały po obu stronach drogi.

Wpadliśmy na wielki dziedziniec latarniami oświetlony, mrowiskiem ludzkim pokryty.

Latarnie na drzewach, na słupach u ścian budynków i w czerwonym ich świetle mrowisko ludzkie poruszające się i gwarne.

Czamary, bluzy, krótkie sukmany, szerokie pasy, skórzane, wysokie obuwia, czapki jak łań kwiatów, amarantowe, szafirowe, białe. Na plecach strzelby, u pasów pistolety. Duży pęk kos pionowo w długie trzony oprawionych stał oparty o ścianę domu i w świetle latarni nad nim wiszącej błyszczał jak stalowe słońce. Ruch, gwar, szum ludzkich kroków i głosów. Nawoływanie, wydzwaniające imiona i nazwiska, rozmaite rozmowy, tu i ówdzie wybuchy śmiechu. W mrocznych głębiach dziedzińca, pod gospodarskimi budynkami konie rżą i parskają, rysują się mętne sylwetki wozów i ludzi, w pobliżu domu, na przestrzeni najlepiej oświetlonej, pobrząkują nad długimi stołami naczynia gliniane i szklane.

Mnóstwo postaci i twarzy; ogromna różnorodność ich zabarwienia i wyrazu. Są tu synowie domów zamożnych, dzieci dostatku i elegancji, z niestartym piętnem ich w poruszeniach i odzieży. Są młodzi uczeni, dzieci myśli i wiedzy, z niepozbytem ich światłem na czołach i oczach. Są wszyscy niemal strażnicy lasów o barach szerokich, wzrokach nieco ponurych, lecz bystrych, do przebijania gęstwin i mroków nawykłych. Jest cała młodzież zagród drobnoszlacheckich, rażna, śmiała, o uśmiechach łatwych i zamasyzowanych ruchach. I jest jeszcze nieco postaci wątłych, najmniej wyraźnych, zdających się być cieniami, które idą za tamtymi. Tych, z miasteczek, gdzieś z wsi chłopskich, z jakichś może dróg losu obłądnych i nieszczęśliwych, przywiodły tu hasła, które sennymi duszami wstrząsnęły, nadzieje przyszłości lepszej, które czarem spłynęły na złą teraźniejszość.

Kiedy linijka nasza przez tłum ten z wolna się przesuwiała, z ganku domu zbiegła i naprzeciw niej biegła wiotka, ładna kobieta w białej sukni, za ręce mnie z linijki zeskakującą pochwyciła, mówiąc śpiesznie:

— Przyjechałaś? To dobrze! Dają zlecenie mnie i tobie, przez nas innym. Chodź prędko!

Weszliśmy razem do wnętrza domu, które w porównaniu z dziedzińcem wydawało się dziwnie puste i ciche.

Sala jadalna oświetlona była, ale pusta. Nikogo w niej nie było. Tylko białe oblicze zegara patrzyło na nią z wierzchołka czarnej kolumny i u otwartych okien wiatr poruszał firankami.

W przyległym salonie kilku ludzi, przy jednym ze stołów siedząc, półgłosem rozmawiało. Zaraz w progu rzuciły mi się w oczy kruczoczarne włosy Traugutta. Gdyśmy się powoli i trochę nieśmiało zbliżyły, on właśnie mówił:

— Sam nie chciałbym tego, ale jakże inaczej szpiegostwo, donosicielstwo ukrócić? Prawa wojskowe dla postępów takich zawsze i wszędzie mają karę śmierci. Jednak czy zastosowanie jej w tym przypadku nie pociągnie skądinąd następstw dla sprawy szkodliwych?

Gospodarz domu, z brwią zmarszczoną, odpowiedział:

— W okolicznościach, wśród jakich się znajdujemy, objaw energii i rzucenie postrachu na żywioły nam nieprzyjazne wydają mi się konieczne...

— A ja — przerwał Orszak — byłbym za okazaniem wspaniałomyślności, która może ująć nam serca.

— Ideologia! — sarknął gospodarz domu. — Odwykliśmy od energicznych czynów i jak „mdłe panienki” gotowiśmy dostawać spazmów na widok kropli krwi.

— Zdaniem moim — ozwał się ktoś inny — sam pan naczelnik o losie człowieka tego rozstrzygać powinien. Tylko. Do nas to nie należy.

— Byłoby to pilatowym umywaniem rąk? — z najsarkastyczniejszym ze swych uśmiechów rzucił gospodarz domu i mówił dalej:

— Jesteśmy naturalnymi doradcami naczelnika i co do mnie, w charakterze doradcy, głosuję za okazaniem energii, za rzuceniem postrachu, czyli — za śmiercią szpiega i donosiciela.

Byli tak bardzo rozmową zajęci, że zaledwie teraz nas spostrzegli.

Po krótkich powitaniach gospodarz domu bez żadnej zwłoki przedstawił to, czego organizacja od nas żądała. Były to zadania mające związek z potrzebami ekonomicznymi partii, właściwie z pewnymi ich szczegółami, które teraz dopiero, po jej zgromadzeniu się, na jaw wystąpić mogły i wystąpiły. Trzeba było usunąć pewne braki, zadośćuczynić większym niż rachuby poprzednie wskazywały wymaganiom, zapobiec mogącemu zdarzyć się

nieprzygotowaniu i niedostatkowi. Rzeczy tych drobnych i zarazem dość trudnych kobiety dokonać mogły z większą niż mężczyźni łatwością, z mniejszym niebezpieczeństwem.

Szło nie o jedną ani o dwie kobiety, ale o cały legionik kobiecy, roztropnie i trafnie dobrany. Na względ ostatni kilka głosów nacisk położyło. Omyłki w wyborze mogły pociągnąć z sobą następstwa nieobliczone.

Przymiotami legioniku, mającego krzątać się po okolicy rozległej i nad którą niezawodnie po wystąpieniu partii nieprzyjacieli straż baczna rozciągnie, musiały być: zwinność ruchów, ich spokój i ich niejako naturalność. Druga cecha niezbędna: umiejętność ujmowania dla roboty swojej serc i chęci ludzkich. A trzecie: umiejętność milczenia. I czwarta jeszcze: odwaga.

— I przytomności umysłu w żadnym wypadku nie tracić! — z przyjacielskim ku nam uśmiechem dodał Orszak.

Słuchaliśmy szczęśliwe, przejęte, skupione; w piersiach grały nam bohaterskie pieśni, a po głowach już przelatywały myśli: kto, gdzie, jakim sposobem? Ku mówiącym pochylone, w słowa ich zasluchane, z ogniami na policzkach, bez żadnej o tym wiedzy swojej mocno ścisaliśmy się za ręce.

Wtem usłyszałyśmy głos Traugutta. Spojrzenie jego zza szkieł okularów spoczywało na nas uważne, przenikliwe, lecz nie surowe; owszem, wewnętrznym uśmiechem rozjaśnione. Do otaczających rzekł:

— Paniom tym w zupełności zaufać można.

A potem do nas:

— Z ufnością powierzamy wam te na pozór drobne, lecz w rzeczywistości ważne interesy polskiego żołnierza.

I tak jak wówczas, po młodzieńczym i entuzjazmu pełnym oświadczeniu właścicielki Dziatkowicz, usta rozkwitły mu świeżym, szczerym i perłowym uśmiechem. Snadź uśmiechy na tę twarz surową najłatwiej wywołał widok młodości, która na kształt świecy przed ołtarzem paliła się przed obliczem ideału płomiennie i prosto.

Jeszcze kilka zapytań, odpowiedzi, przestroż, uwag i uczułyśmy, żeśmy tu już niepotrzebne.

Pociągała nas ku sobie wielka sala stołowa. Nie była już pusta. Kilkunastu ludzi weszło tu z rojnego dziedzińca i nietrudno było odgadnąć, że znajdowali się pod wpływem wzruszenia, może nawet wzburzenia, które na wodzy trzymane, objawiało się jednak w szepcach, gestach, wyrazach twarzy.

Byli tam bliscy znajomi nasi, towarzysze zabaw i zajęć, krewni. Uderzyła nas zmiana, która w nich zaszła. Wydawali się wzrostem wyżsi i wyrazem więcej męscy niż przedtem. Postawy i poruszenia ich nabrały energii i prostoty, oczy stałego i silnego blasku. Strzelb przy sobie nie mieli; tylko u pasów pobłyskiwały pochwy kryjące w sobie różną krótką broń.

Był tam ze swym rzymskim profilem twarzy i wzrostem wszystkie inne przenoszącym, Scypionem czasem zwany, Feliks Jagmin, był Radowski szafirową konfederatkę z fantazją u boku trzymający, był demokratą ów zacięty, świeży eks-student Florenty, byli Artur i Henryk Ronieccy, synowie ojca, który za białego ogłoszony, przez to znieulubiony, teraz dwóch synów miał w partii; mały Tarłowski, dziwny chłopak, biały i różowy jak panienska, botanista uczony, a z dobrej woli nauczyciel dzieci chłopskich w pobliskim miasteczku; dwaj młodzi medycy, którzy w partii funkcję lekarzy obozowych pełnić mieli; i inni jeszcze, dobrze znani, bliscy...

Rozmawiali z sobą głosami przytłumionymi. Można było dosłyszeć słowa:

— To niepodobna! To stać się nie może.

— Pójdźmy! Przedstawmy! Powiedzmy zdania nasze!

— Od tego rozpocząć? Nigdy! Byłoby to dla nas wstydem...

— Fałszywym krokiem względem ludu...

— Kimkolwiek jest, człowiek ten pochodzi z tutejszego ludu, na tej ziemi się urodził.

I wiele innych zdań oderwanych, z których niepodobna było wyrozumieć, o co chodzi, ale które objawiały uczucia z troskaniem, obrzydzeniem, niepokojem, na wodzy trzymane, powściągane, jednak wybiegające na zewnątrz w gestach ramion, w marszczeniach brwi, w błyskach oczu.

Zamieniliśmy z nimi przyjacielskie uściśnienia dłoni i zapytałyśmy, o co idzie, co stało się lub ma się stać. Śmiało mogliśmy zapytywać. Pomiędzy nimi i nami, wobec idei i działań w imię jej przedsięwziętych, panowała równość zupełna.

Florenty cały w ogniu, z oczyma zmartwionymi, jedną z nas za rękę pochwycił.

— Chodźcie! Pokażę. I opowiem.

Szłyśmy z nim na dziedziniec. Poszli za nami Artur Roniecki i Marian Tarłowski.

Prędko przez ten dziedziniec przebrnąć było teraz niepodobna. Wszędzie gromadki i tłumiki ludzkie, ruszające się, rozmawiające.

Mnóstwo po drodze przywitań, krótkich rozmów, prośb o dobre życzenie na drogę, o dobrą pamięć dla odchodzących w drogę. W drogę bliską, a jednak daleką i dla wielu bezpowrotną. Nieraz oczy zapiekły nas od łez, kilka razy spostrzegłyśmy w innych oczach szklistą ich powłokę. Ale były to sekundy, po których wracała rażność gwarna i wesoła, w uczuciach wezbranych, w wyobraźni rozkołysanej źródło swe mająca.

Raz, gdyśmy tak szły, witając i razem żegnając, ściskając ręce ludzi, zamieniając z nimi krótkie słowa, po dziedzińcu rozległ się huk przeraźliwy. Jakby coś ogromnego upadło i rozbiło się na mnóstwo szczątków, jakby mnóstwo metalowych ostrzy wzajem o siebie uderzyło. Były to kosy, które wskutek nie wiedzieć jakiego wypadku ześliznęły się po ścianie, o którą były oparte, i upadając syknęły w powietrze garść dźwięków, tak samo jak ich żelężca ostrych. Podniesiono je natychmiast i umieszczono na miejscu uprzednim, gdzie znowu w świetle latarni rozbłysły jak stalowe słońca.

Ale przez wypadek ten, czy może przez wrażenie na niektórych sprawione, wywołany, rozległ się w powietrzu zbiorowy wybuch śmiechu.

Jednak im więcej wraz z towarzyszami swymi oddalałyśmy się od domu, tym więcej tłum ludzki rzedniał i tym wyraźniej w gwiaździstym zmroku występowały przed nami ściany budynków gospodarskich i otaczające je rozłożyste drzewa. Ze sfery światła i hałasu weszłyśmy w sferę cienia i względnej ciszy. Na znacznej przestrzeni paliło się tu tylko kilka latarni, w których świetle dostrzec było można sylwetki osiodłanych koni i w milczeniu dokoła nich poruszających się niewielu ludzi. Gwiazdy za to wyraźniej niż tam iskrzyły się na niebie, wiatr szeleścił w czarnych drzewach i od traw podnosiła się rzeźwiąca wilgoć rosy.

Prędko obok nas idąc Florenty opowiadał:

— Zaledwie wyszliśmy z Działkowicz, drogę nam zabiegł chłopak wiejski, może trzynastoletni i cały drżący, przelekniony, do Jagmina, który z połową jazdy na czele partii jechał, żalosnym głosem wołać zaczął:

— Stójcie, panoczku, stójcie! Zatrzymajcie się, jeżeli Boga kochacie!

Jagmin konia powstrzymał, nam to samo uczynić rozkazał i z siodła pochylił się ku chłopcu, który mu jakąś zapisaną kartkę papieru podawał. Rozwinął kartkę, przeczytał i nam pokazał. Było to ni mniej, ni więcej, tylko oznajmienie posyłane do wojska, że wyszliśmy z Działkowicz, ilu nas jest, w jakim udajemy się kierunku. Wszystko wysłędzone, wyspiegowane i donoszone. My do chłopca:

— Kto jesteś?

— Sługa dziakowy.

— Gdzie mieszkasz?

— U dziaka.

— Dlaczego nie u rodziców?

— Nie mam rodziców, pomarli.

— Kto ci tę kartkę dał?

— Dziak.

Kazał dziecku co tchu z tą kartką do miasteczka biec i oficerom ją oddać. Widzicie, gałgan jaki! Nie chłopak, ale dziak! Chłopaka Jagmin na konia podniósł, przed sobą na siodle posadził i zapytuje:

— Czy wiesz, co w tej kartce napisane?

— Wiem — odpowiada.

Słyszał, jak dziak żonie swojej czytał.

— Dlaczegoś nam ją oddał?

Tu dzieciak rozplakał się, zmęczyły go już pytania, czy czegoś zląkł się, Jagmin po włosach go pogładził, w głowę pocałował i znowu:

— Dlaczegoś nam ją oddał? Nie bój się niczego. Dobrześ uczynił i dziękujemy ci za to, ale dlaczego?

Spuścił kudłatą łbinę i tak cicho, że ledwieśmy dosłyszeć mogli:

— Jak zobaczył was, to pożałował... Póki nie widział, to leciał tam, gdzie dziak kazał, a jak zobaczył, to pożałował, bo... bo... dziak przed żoną swoją mówił, że oni was wszystkich jak kaczki wystrzelają...

— Miał po trochu rację dziak! W czystym polu i niespodziewanie. Ale co o tym dziecku chłopskim myślicie? Jakie serce złote? Jaka natura tkliwa?

— Jeżeli nie kłamał! — flegmatycznie odezwał się idący za nami Artur Roniecki.

Florenty oburzył się.

— Że chłopskie dziecko, to już zaraz kłamać miało! Wstydz się, Arturze!

Tamten z jednostajną wciąż flegmą odpowiedział:

— Nie dlatego, że chłopskie, ale dlatego, że ludzkie dziecko, a temu, co mówią dzieci ludzkie w ogóle, niedowierzać trzeba...

— Także filozofia! A sam całowałeś chłopca, aż mlaskało...

— Sentyment we mnie obudził...

— W nas wszystkich.

Odebrał go od Jagmina Żemirski, od Żemirskiego tu obecny filozof, od filozofa ja go w obrotu wziąłem, ode mnie ktoś inny. Dziw, żeśmy go na śmierć nie zacałowali. Ośmielił się, prawie rozsławolił, śmiać się zaczął i różnych części odzieży naszej dotykać:

— Jakie u was czapki ładne! A jakie pasy! A strzelby, a jej! Weźcie mnie z sobą... strzelbę dajcie...

Rozkosz nie malec! Gdyby był choć trochę starszy! Ale bęben taki! Za wcześniej go jeszcze na bale z sobą brać!

— Ale cóż z kartką?

— Jagmin zawrócił konia i z nią do naczelnika, a naczelnik jak z bicia trzasł, natychmiast: „ten, ten, ten, do dziaka niech jadą! Ręce i nogi mu związać, oczy zawiązać, tu przywieźć! Marsz! Marsz!”. U niego wszystko tak: w trybie rozkazującym, w tempie szybkim. Dziak, bestia, bliźniętka mieszkał, wycieczka kwadransa nie trwała. Wrzeszczał, kłął, pluł, drapał, aż pistolety musiały z pochwę wyleźć. To pomogło. No i jest tutaj z nami.

Tu głos mu nieco ścichł, spowaźniał:

— Powieszony ma być!

Zadrzałyśmy obie i usłyszałyśmy za sobą szczególny dźwięk, wychodzący z ust Ronieckiego, jakieś przeciągłe: pfuuu! Wyglądało to na powstrzymaną chęć splunięcia.

A obok Ronieckiego idący mały Marian Tarłowski szepnął:

— Zły początek! Bądź co bądź... człowiek bezbronny!

— Cicho, nie mów nic! Może posłyszeć!

Stanęliśmy jak do ziemi przykuci, w milczeniu.

O kilka kroków przed nami stał pod rozłożystym drzewem prosty wóz chłopski w jednego konia zaprzężony i w pobliżu woza szarzały o drzewo oparte dwie rosłe postacie stróżujących nad nim ze strzelbami na plecach powstańców.

Na wozie wyraźnie w gwiaździstym zmroku widać było cienkiego i wysokiego człowieka, w długim, aż prawie do stóp ubraniu, z rękoma u piersi owianymi i ze szmatą białego płótna, która zasłaniała mu wraz z oczyma znaczną część twarzy. Głowę miał okrytą tylko gęstymi, siwiejącymi włosami, siwiejąca również broda opadała mu na związane sznurami ręce. Sploty sznurów krępujących nogi ukazywały się spod skrajów długiej odzieży.

Jeżeli kiedy człowiek ten — jak opowiadał Florenty — wrzeszczał, pluł, kłął, drapał, teraz mu to już przeszło. Teraz już wiedział, że znajduje się na samym dnie niedoli, że nic go nie uratuje, że lada chwila śmiercią ohydłą zginąć musi. Śmierć tę widział może pod przytwardzonymi do żenic powiekami, wiszącą i kołyszącą się na tych samych sznurach, których twarde obręcze na nogach i rękach swych uczuwał. Może tułały się mu po głowie przypomnienia różne i z serca wyciskały łzy, może to serce piekł ogień nienawiści i po

członkach rozlewały się gryzące strumienie żółci; najpewniej śmiertelny strach krople krwi ścinał mu w sople lodów i włókna nerwów stęzał w nieme od przerażenia struny.

Cokolwiek czuł i myślał, był w tej chwili upostaciowaniem tej męki, która nie ma ani głosu, ani słów, ani jęków i tylko jak wiatr niewidzialny ciałem człowieka kołysze. Na wozie siedząc kołysał się nieustannie. Z siwiejącymi włosami na głowie i u piersi, z białą chustą na twarzy to w tył, to naprzód odginał swą cienką i wysoką postać, miarowo, nieustannie, w milczeniu kamiennym. Widok zaś tego miarowego, powolnego, wiecznego kołysania się daleko więcej, niżby to zdziałać mogły krzyki i przekleństwa, patrzącym krew w żyłach zatrzymywał, w pamięci ryl się na zawsze.

Nie wszystkim jednak patrzącym. Jeden z tych, którzy ze strzelbami na plecach pod drzewami stali, odezwał się głosem od śmiechu nabrzmiałym:

— Pokłony wybija... jak przed ikoną!

Zaśmieli się obaj. Leśni strażnicy to byli, chwaty dzielne i chłopcy uczciwe, lecz z nie-
tkniętą jeszcze w duszach pierwotną siłą nienawiści, zacięte i mściwe, z tą siłą, która podobno w wojnach zapewnia zwycięstwo.

Roniecki z cicha ich upomniał:

— Nie trzeba śmiać się z nikogo, kto popadł w nieszczęście.

— Oho! A w jakie nieszczęście szelma ten chciał nas wprowadzić!

Mówiąc to nie śmiali się już, raczej warczeli. Oko za oko, ząb za ząb. Zemsta straszliwa, lecz kto na wojnę idzie, musi ją z sobą brać, a my i ci najbliżsi towarzysze nasi szliśmy na wojnę bez niej... Już nam było niepodobna dłużej na mękę człowieka tego patrzeć.

Wróciliśmy do domu śpiesznie, w milczeniu. Raz tylko towarzysza moja przemówiła:

— A cóż stało się z chłopcem? Jeżeli tam powróci, prześladować go będą.

— Ale gdzie tam! Jagmin tu go na koniu swoim przywiozł i stąd zaraz do rodziców odesłał, o opiekę nad nim prosząc. Będzie mu tam jak w niebie... syn prosił...

W sali jadalnej, zaraz u drzwi, towarzyszków naszych wymówki i zapytania spotkały:

— Gdzieżście byli? Czekamy na was! Do naczelnika idziemy, ale bez ciebie, Arturze, nie można. Ty przemówisz...

— Dlaczego ja?

— Boś najspokojniejszy, a tu trzeba...

— Dobrze w garści się trzymać. Macie rację. Poradzę.

— Idźmy więc. Historia rzeczywiście przykra.

— Tarłowski słusznie mówi: zły początek!

— Pętlicą wisielczą ręce brudzić!

— Bezbronego zwyciężać...

— To jest syn chłopski!

— Jednej z chłopami wiary!

— Obruszymy przeciwko sobie lud!

— Chodźmy! Czas ucieka!

— Chodźmy!

Do salonu we czterech weszli i przed Trauguttem, który wśród kilku członków organizacji siedział, w postawach pełnych uszanowania stanęli. Postawy ich były uszanowania pełne, ale w oczach, na czołach, na wargach coś takiego im drgało, paliło się, migotało, że wprzód, nim słowo z ust któregośkolwiek wyjść mogło, Romuald Traugutt gestem energicznym ramię ku nim wyciągnął i głowę podnosząc rzekł:

— Niech panowie nie mówią. Proszę nie mówić nic. Wiem, o co idzie.

Było to bystre przeniknięcie tych głów zapalonych i tych niezaprawionych do posłuszeństwa woli; było to przytomne zapobiegnięcie słowu jakiemuś, które mogło z ust się zerwać, niosąc z sobą konieczność kary i niepodobnego do naprawienia nieszczęścia.

Przez chwilę milczał, prosto w twarze ich patrząc, aż z tym samym spokojem w głosie, którego miał pełne oczy i postawę, mówić zaczął:

— Idzie o człowieka, który dopuścił się względem nas szpiegostwa i donosicielstwa. Prawo wojskowe ma dla postępków takich karę śmierci. Tym razem jednak, z przyczyn mnie wiadomych, ułaskawiam tego człowieka. Niech odwieziony będzie o wiorst kilka od domu tego i tam wśród pola pozostawiony. Zasłony z oczu ani więzów z rąk i nóg nie zdejmować. Panowie Jagmin, Radowski i Roniecki wóz z jeńcem eskortować będą i natychmiast po spełnieniu rozkazu mego tu powrócą.

Na zegarek spojrzął:

— Partia wychodzi stąd za pół godziny.

Trzej wymienieni przez naczelnika młodzieńcy złożyli głębokie ukłony i śpiesznie dom opuścili. Czwarty, Florenty, obok nas przechodząc do uszu nam szeptem rzucił:

— Co za głowa! Z oczu nam awanturę wyczytał i sam niby tak postanowił.

Czy niby, czy istotnie sam tak postanowił, odgadnąć trudno było. Długo siedział zamyślony i milczący. Gospodarz domu pierwszy przerwał milczenie. Czuł się widocznie niezadowolony, po ustach mu szpilki ironii biegały.

— Będziesz miał, panie naczelniku, robotę długą i trudną.

— Z czym?

— Z poskramianiem fantazji naszych, sentymentów naszych, warcholstwa naszego.

Śmiem zapytać: czy dobrze się stało, że ustąpiłeś?

Podniósł głowę Traugutt i twardo odpowiedział:

— Nie ustąpiłem; ostateczną decyzję tylko powziąłem.

Potem łagodniej już nieco dodał:

— Człowiek ten, do godności urzędu cerkiewnego podniesiony, jest przecież chłopem. Młodzieńcy ci mieli słuszność. Nie od mordowania chłopów zaczynać nam należy. Nie ustąpiłem przed nimi, ale zdanie ich po rozwadze podzieliłem.

Wstał z krzesła. Odbicia światła w szklach, które na oczach miał, iskrzysto od ruchu głowy zapłonęły.

— Ilekroć zgodnie z przekonaniem swoim będę mógł zapobiec wybuchowi warcholstwa, zapobiegnę mu; ilekroć przekonaniu memu w drodze on stanie, poskromię go.

Przy ostatnich słowach ręka jego ruchem pomimowolnym spadła na zawieszony u pasa pistolety.

Trzej jeźdźcy pod ganek domu podjechali, z koni zaskoczyli.

— Siedzi sobie niedaleko drogi na zagonie — flegmatycznie opowiadał Roniecki — i czeka, aż go kto przechodzący albo przejeżdżający z pęt wyzwoli. Zapewne stanie się to niebawem, a im później się stanie, tym dla nas lepiej będzie. I jedno tylko mam do zarzucenia ekspedycji, to, że jakimś sposobem opaska kupidynowa z oczu mu się zsunęła i że nas ujrzał, a ujrzawszy poznał.

— Cóż z tego wyniknąć może?

— Ano to tylko, że w razie... okoliczności nieprzyjaznych my na jego miejscu, jak leśnik Grzegorz się wyraża, zadyndamy!

Poszli naczelnikowi oznajmić, że rozkaz jego spełniono.

Latarnie na dziedzińcu i gwiazdy na niebie przygasły, wczesny świt wiosenny rozblekitniać zaczynał powietrze, gdy Traugutt w otoczeniu cywilnych towarzyszy swych na ganek domu wyszedł. Zaraz też po dziedzińcu rozległ się donośny, metaliczny głos jego:

— W szeregi formuj się! Jazda na koń!

Śpiesznie Radowski do wodza się zbliżył i z uszanowaniem mówił:

— Żołnierze zapytują, czy wolno im dzień i pochód rozpocząć odśpiewaniem hymnu.

Wódz głową znak potwierdzający uczynił, adiutant zaś z brzegu ganku na cały dziedziniec krzyknął:

— Śpiewanie pozwolone!

Na dziedzińcu odbywały się szybkie, milczące ruchy. Dziesiątnicy i setnicy piechotę w szeregi ustawiali, jazda wsiadała na przyprowadzone od stajen konie.

Traugutt zawołał:

— Jagmin z połową jazdy naprzód!

Przebiegła przed gankiem garść jeźdźców na pięknych koniach, z szablami u boków, konfederatkami nas żegnając i u początku drogi, która z dziedzińca wychodziła w pole, jak wryta przed szeregami pieszymi stanęła. Druga, zupełnie do tamtej podobna, stała za dwoma nieco wyosobnionymi i na siodłach nieruchomymi jeźdźcami. Byli nimi wódz partii i jego młody adiutant.

Chwila milczenia, kamiennej ciszy porannej w powietrzu coraz bielszym od szybko powstającego dnia, aż na znak dany przez wodza stanął w strzemionach młody adiutant i w ciche, białe powietrze rzucił okrzyk dźwięcznego głosu:

— Naprzód! Marsz!

Wtedy jak fala, która szumnie, lecz poważnie płynie, zaczęli odjeżdżać, odchodzić. Stąpania ludzkie i końskie szemrały głosem przyciszzonego wiatru i nad szumem tym wybuchnęła pieśń kilkuset piersi męskich.

Z pieśnią tą szli i jechali powoli, równo, w porządku niezmaconym, pomiędzy dwoma rzędami strzelistych topoli, naprzeciw jutrzence, która za topolami szlakiem różanym daleki skłon nieba powlekła.

W błyskach słonecznych, które na szlaku jutrzenki drgać poczęły, płynęła nuta i brzmiały coraz dalsze słowa pieśni.

Ganek domu pełen ludzi wezbrał silnym biciem serc i szeptem błagalnym:

— Boże, błogosław!

Byli tam tacy, którzy ramiona ze splecionymi dłońmi ku oddalającemu się wyciągali, i tacy, którzy oczy zasłaniali dłońmi. Orszak w niebo patrzył. Z czoła gospodarza domu wyniosłość zniknęła bez śladu i przewlekły się po nim chmury ciężkich myśli, gdy usta, z których ironia bez śladu zniknęła, szeptały:

— Boże, zmiłuj się!

...Nie pobłogosławiłeś, Boże! Nie zlitowałeś się, o, Boże! Dlaczego? Czy tam, w światłości niebieskiej, dowiedzą się o tym ci, którzy tu żyli i pomarli w piekielnej ciemności?

III

Kto wiosny owej spostrzegał kwitnące róże? Kto słuchał śpiewów słowiczych?

Dla kwiatów i dla pieśni, dla wiosennych marzeń, zachwytów, spoczynków nie było czasu, woli, myśli, pamięci. Lasy płonęły.

Z horeckich lasów wylatywały częstsze wieści i rozlatywały się po przestrzeni szerokiej, budząc w sercach i głowach głębokie i wierne echa.

Poczta obywatelska w energicznym ręku Władysława Orszaka działała nieustannie, wiążąc powstańców ze światem i ludzi po świecie rozproszonych pomiędzy sobą. Człowiek ten, któremu nadaremna tęsknota do wysokiego życia czynu strawiła całą radość młodości, z radością teraz rzucił się w to życie i wraz z garścią pomocników swoich był wszędzie, dowiadywał się o wszystkim, ostrzegał, doradzał, świat uwiadamy o tym, co dzieje się w głębi lasów, i głąb lasów o tym, co czyni i przedsięwzięcie świat.

Tym sposobem poznawane, wewnętrzne życie obozu budziło uczucie radości, nie wolne przecież od pewnego uczucia grozy.

Kędyś tam, na otoczonej wiecznymi drzewami rozległej polanie leśnej odbywały się ćwiczenia wojskowe, nieustanne, pracowite, pilne, mające ochotników nieumiejętnych przemienić w żołnierzy sztuki swej świadomych. Wzbudzało to dla wodza szacunek powszechny i przy opowiadaniach o jego ciężkiej, niezmiernej pracy wzbijający się do stopnia czci. Ale zarazem panowała tam karność tak surowa, nawet sroga, że ludzi, do tego sprawom wojskowym obcych, zdumieniem przejmowała. Ktoś tam — młodzieniec zaledwie dorosły — już z rozkazu wodza rozstrzelany został. Ktoś inny był losu takiego bardzo bliski. Za brak posłuszeństwa. A posłuszeństwo łatwe nie było, nie! Regulamin panował koszarowy czy klasztorny, z niezłomnym dla każdej godziny przeznaczeniem, z nieubłaganiem dla każdego człowieka obowiązkiem, z karami, które u szczytu miały karę śmierci dla każdego, bez względu na to, czy bogaty był albo ubogi, uczony albo prostak najmłodszy albo najstarszy. Wobec sposobu życia, żywienia się, uczynków nocnych, pracy wymaganej — zrównanie się doskonale stanów umysłowości, przyzwyczajęń. Ujęcie wszystkich woli w żelazną obręcz obowiązku, przeciągnięcie nad wszystkimi głowami nieugiętej linii równości. I groźby ciężkiej dla wszystkich, którzy by tę obręcz przekroczyć, nad tę linię wbić głowy próbowali.

Ludziom, do wrażeń gwałtownych, do czynów krwawych, do dni surowo spędzanych nie nawykłym, jak „mdłym panienkom” sprowadzało to na skórę dreszcze przerażenia, ale milczeli, czasem mówiąc tylko. „Tak snadź trzeba!” Niemniej wiedzieli wszyscy, że tam, w głębi lasu obok wroga zewnętrznego czai się i grozi ten jeszcze, którego człowiek każdy w samym sobie nosi.

Siwi ojcowie nisko pochylali zamyślane głowy i matki ukradkiem lzy z oczu ocierały Po zacisznych kątach domów i w cienistych alejach ogrodów plakiwały dziewczęta. W księżycowe noce widzieć było można u okien otwartych klęczące postacie z twarzami podniesionymi ku osrebrzonemu niebu albo u słupów gankowych wyprężające się w powietrzu osrebrzone ramiona z załamanymi dłońmi. Gdy po długich czuwaniach domy usypiały, w ciemnych pokojach odzywały się krótkie krzyki, niewyraźne mowy, tęskliwe wołania. To krzyczeli, mówili, wołali ludzie śpiący.

Lecz w dni białe, na miejscach odkrytych, jawnie i głośno nikt nie wyrzekał nie płakał, nie buntował się przeciw niczemu. Duma wstąpiła w głowy i zabraniała im jawnej żalości, a w piersiach tkwiła i żalność gasiła ta radość tajemniczego pochodzenia, która sączy się z ofiary przed ukochanym ołtarzem zabijanej i krew jej przemienia w oliwę.

Zresztą na biadania, płakania, szemrania czasu nie było.

Żwawo i pracowicie po dworach, dworach, zagrodach wypiekano ciemne chleby, wyrabiano białe sery, sporządzano zasoby żywności trwałej, odzieży rozmaitej.

Powozów na drogach prawie wcale widać nie było, gęsto w zamian turkotały wozy i wózki, lekkie a pakowne, wyskakiwały z nich przed progami niskich domostw kobiety wysmukłe i białe, wpadały do świetlic, w których znad gospodarskich statków podnosiły się na ich' spotkanie postacie kobiece inne nieco, rumiane, tęgie, ogorzałe, lecz tak samo jak tamte jakimś słońcem świątecznym czy dusznym rozgrzane i rozpromienione.

Bywało wtedy w tych świetlicach, czyli pokoikach, izbach, mnóstwo gwaru złożonego z rozmów, zapytań, opowiadań, wzdychań, wykrzyków, pocałunków. Śmiały się z nas barczyste i silne szlachcianki, gdyśmy obok nich nad statkami gospodarskimi stojąc, do wspólnej roboty rękawy na szczupłych ramionach zawijały; śmiałyśmy się ze szlachcianek, gdy zapytywały, czy też młodzi panowie, co są w partii, na takim ciemnym, choć i smacznym chlebie poprzestawać zechcą. Śmiałyśmy się wszystkie razem, ilekroć robota jakaś bardzo się nam udała albo nie udała. A gdyśmy jaką dobrą nowinę bądź z lasu otrzymaną, bądź w gazetach wyczytaną, przyniosły i opowiedziały, zrazu radość powszechna wybuchła, potem chwiała się w niepokojach, wątpieniach, aż przemieniała się w rozrzewnienie złożone z radości, niepokojów, wątpień, nadziei i wyciągały się ku sobie wzajem ramiona wątłe i silne, białe i ogorzałe, spotykały się w pocałunkach usta... Jak pierwsi chrześcijanie w Chrystusie kochałyśmy się w Polsce.

Zatrzymywały się również wozy i wózki nasze przed niższymi jeszcze niż tamte progami siedlisk leśników, sług dworskich, różnych ludzi małych, teraz dla oczu naszych wielkich, dla serc drogich. Zamieszkiwały je rodziny przez mężów, synów, braci opuszczone. Nie mogło być, by ciałom ich chleba, a duszom pociechy brakowało. Dzieci bywało tam mnóstwo; na odgłos naszych wózków jak na spotkanie dobrej nowiny wylatywały z wesołym hałasem. Smutne żony uśmiechami wdzięcznymi rozjaśniały twarze, a stare matki wlepiły w nas żrenice spłowiałe, gdy wargi jak uschłe liście drżały i szeleściły szeptem:

— Daj, Boże! Daj, Boże!

Potem wozy i wózki nasze, tak przedmiotami różnymi napełnione, że aż od nich kolorowe i pachnące, zwinnie przetaczały się od dworu do dworu coraz dalej, coraz dalej, ku Kanałowi Królewskiemu, za kanał...

Czasem na znak przez Orszaka lub pomocników jego dany wszystko zatrzymywało się, stawało, słuchało: „Teraz nie można! Szpiegi krążą! Wojska przechodą!” Albo: „Nie tymi drogami! Tamtymi! Tamtymi! Bezpieczniejsze!” Zwłoki bolały; nie bywały też nigdy długie. Zawsze znajdowały się sposoby, jeżeli nie te co wprzód, to inne. I znowu, czasem z objazdami dalekimi, przez okolice wpraw nie znane, brzegami łąk świecących szkłem wodnych rozlewów, skrajami lasów obrzeżających bezładne ugory, od dworu do dworu, coraz dalej...

Nieraz w drodze zapadały nad nami gwiaździste lub pochmurne noce, nieraz o sinym świtanu mijałyśmy jakieś domostwo niskie, z grzędami jaskrawych kwiatów przed progiem i wołały na nas stamtąd znajome głosy, abyśmy zatrzymały się, odpoczęły... Bywały cudne wschody słońca na niebie, różane od jutrzeńek, gdyśmy, bezsenne i spragnione, piły z glinianych kubków mleko pienne, nad oblanymi rosą grzędami ognistych nasturcji i piwonii.

I tylko — niestety — wozy i wózki nasze nie zatrzymywały się nigdy przed chatami chłopskimi.

Chaty te były przed nami zamknięte — niestety!

Zamykały je przed nami różnice wiary i mowy, błędy przodków naszych — niestety! Niestety!

I była to skała, o którą rozbiła się nawa nasza, na straszliwe morze wypuszczona — niestety!

Na której piękny żagiel nasz rozdarł się — niestety!

Z której po krótkim dniu słonecznym spłynęła na nas noc ciemna, duszna, zimna, nieprzebyta — niestety!

Zamknięta przed nami chata chłopska była to ta skała — niestety! niestety! niestety! Staczali bitwy...

Rozumiesz, że naocznym świadkiem ich być nie mogłam, a chociaż wiele, wiele razy słuchałam opowiadań o nich naocznych świadków, zrozumiesz, że dla ich malowania potrzeba ręki, do czego innego niż moja zaprawionej.

Do czego zaprawiała się ręka moja, ty wiesz! Na tym świecie bratobójczym, od złości żółtym i od krwi czerwonym, zaprawiała się ona do zdejmowania z nieba wysokich, czystych, kojących błękitów. Szalona była? To prawda. Lecz nie wymagaj teraz od niej farb czerwonych.

To jednak powiem, że stoczyli kilka pomyślnych bitew z wojskami, które ich po zaroślach, cieniach, labiryntach leśnych szukały, ścigały, tym nowym dla siebie sposobem wojowania niecierpliwione, rozjątrzone.

Tak nieraz kraje inne broniły się od niewoli albo zrzucali z siebie niewolę za tarczami swoich gór i skał. Myśmy górskich zasłon ani skalnych wierzchołków nie mieli, tylko tę jedną tarczę zieloną, odwieczne gniazdo rodu, z którego teraz ród uczynił sobie twierdzę, a raczej wiele twierdz z osadzonymi w szumiących ścianach ich załogami.

Drobne liczbą musiały być te załogi, aby przez tę drobność właśnie posiadać lekkość, łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce, rozlatywania się i zlatywania na kształt ptaków, które przed myśliwcem umykają, a sposobność pomyślną dostrzegłszy spadają na niego gromadą skrzydlatą, dziobatą, zawsze rozlecieć się i znowu zlecieć gotową.

Drobne załogi te z natury być musiały, ale także i bardzo liczne. Aby starczyć, aby skutecznie czoło stawić ogromnemu i w formy regularne ukształtowanemu wojsku, ilość ich musiałaby być ogromna, musiałaby powierzchnię kraju usiać tak gęsto, jak gęsto gwiazdy usiewają sierpniowe niebo. Była niewielka, była za mała. Skurczyła ją, wzrost jej zatałmowała, do stanu pożogi szerokiej, zwycięskiej nie dopuściła — niestety! — zamknięta chata chłopska.

W zielonej twierdzy lasów horeckich załoga okazała się dzielna i mężna. Tygodnie upływały, bitwy były staczane, a ona nie przestawała trwać, przeciwnie, miała niebawem wzrosnąć w liczbę i siłę przez połączenie się z inną jej podobną, którą ze stron niezbyt dalekich wiodł ku niej...

Jak dzwonek, radosną wieść ogłaszający, zabrzmiało w ustach ludzkich imię: Leliwa. Było to przybrane imię; ukrywało się pod nim inne, nam zresztą wiadome. Bił od imienia tego blask pięknej sławy, szły przed nim opowieści do legend podobne. Ci i owi mówili, szeptali: „Gdy się dwaj tacy wodzowie, gdy się dwa takie oddziały połączą...” I upatrywali w tym połączeniu zawiązek narodowego, regularnego wojska albo spodziewali się po nim jakiegoś czynu tak rozgłośnego, zwycięstwa tak potężnego, że jak błyskawica firmament rozświeci, jak prądem elektrycznym ludźmi wstrząśnie i wszystkich do walki pociągnie, może nawet chatę chłopską przed nią otworzy.

Takie były marzenia — ale niechaj nie mówi nikt, że urojenia. Niechaj nikt marzeń wielkich z próżnymi urojeniami nie miesza, bo na dnie ich częstokroć spoczywa prawda, której tylko twarda tłocznia zlej rzeczywistości ziszczyć się nie dała. Dusza ludzka, do wielkości stworzona, o niej w rozróżnieniu śni. sny nie sprawdzają się, lecz w nich jest prawda, nie w wichrach, które kurzawy marne z ziemi podnoszą, z nich dla niej mogiłę usypują. Otworzy się kiedyś mogiła i wyjdzie z niej zwycięska prawda snów wielkich...

Gromadziły się naprzeciw załodze twierdzy horeckiej wojska liczne. Dlaczego aż tak liczne, przyczyn było wiele. Wytrzymałość jej i trwałość zadziwiała, budząc błędne przypuszczenia o jej liczbie i zasobach; zwycięstwa przez nią odnoszone upokarzały, gniewa-

ly, jątrzyły. Trzeba raz z tym skończyć. Pochód Leliwy przez lasy i moczary, powolny i skryty, zupełnie tajemnym jednak ani cel jego nie znanym zostać nie mógł. Niedobrze w zamian znana, cieniami lasów, pustkowiem moczarów okryta była oddziały tego siła. Głębokie lasy, bezludne pustkowia, drogi tylko przez klucze wędrownych ptaków wykreślane tajemnic dobrze strzegą, a w każdej tajemnicy tkwi ziarnko grozy i narzędziem optycznym najwięcej powiększającym przedmioty jest ich tajemniczość. Trzeba tedy przeszkodzić zlanu się dwóch oddziałów, które gdy się dokona, przedstawi niewiadomą siły i celów najbliższych. Na koniec, nie było takiego argusowego oka, które by w każdym dniu i o każdej godzinie wiedzieć mogło, czy już nie dokonało się, wczoraj może, ubiegłej nocy może, przed godziną może... A jeżeli się to już stało? Przeciw cyfrze niewiadomej występować musiała cyfra wielka... Takie były przyczyny, dla których przeciw załodze twierdzy horeckiej wyprowadzić musiano ilość wojska w stosunku do jej ilości wielką.

O tym, że tak być miało, wiedzieliśmy i wiedział obóz. Nie darmo Orszak i pomocnicy jego pracowali. Niewiadomy tylko pozostawał dzień, w którym wojska ku lasom horeckim przyciągną.

Do dnia tego sposobiono się w obozie; do następstw jego przysposobić się musiała organizacja.

W wypadku każdym przewidywana była liczba znaczna rannych, a w wypadku rozproszenia znaczniejsza jeszcze tych, którzy schronienia krótszego lub dłuższego potrzebować będą.

Okazała się konieczność zgromadzenia pewnego zasobu chętnych sił ludzkich w jak największym pobliżu miejsca przyszłej i zapewne niedalekiej w czasie walki.

Dwór z dużym, murowanym domem, trochę na ruinę wyglądającym, zaniedbany, smutny, prawie ponury w swych białych brzozech i prawie czarnych świerkach. Mieszkał w nim człowiek samotny, od dawna ciężką niemocą złożony i panowała towarzysząca zwykle niemocy i samotności cisza.

Lecz w tym momencie ani ciężka niemoc, ani orszak jej z odosobnienia i smutku złożony przeszkodą być nie mogły. Przeciwnie, odosobnienie, zaniedbanie, sława grobu, w którym przeciągle dogorywa człowiek już prawie umarły, dobroczynnie usuwały podejrzenie, przypuszczenie, że zakraść się tu mogła jakakolwiek fala wrzącego dokoła potoku.

Zakradła się jednak i żadnym głośnym objawem nie zdradzała swego istnienia. Białe brzozy i ciemne świerki zdawały się ocieniać grób.

W pokojach wysokich, od dawna zaniedbanych, wśród sprzętów nielicznych i ścian prawie nagich zwinnie krzątały się kobiety, długie rozmowy staczali mężczyźni. Pierwsze stale tu przebywały; drudzy zjeżdżali się, to rozjeżdżali w sposób najmniej dla oczu i uszu ludzkich wyraźny.

Nad stołami wznosiły się stosy sporządzanych szarpi, bandaży, rodzaju różnego bielizny i odzieży; u ścian białe troskliwie usłane pościele; gdzie indziej ważono, mierzono, przysposabiano kuchenne i spiżarniane zasoby.

W noc chmurną i dżdżystą ktoś do drzwi prowadzących na ogród zapukał.

— Kto tam?

Za szklanymi drzwiami stała postać w ciemności czarna, lecz głos znajomy wymówił imię znane. To jeden z przebywających w obozie lekarzy.

Pieszko przeszedł przestrzeń dzielącą obóz od kanału, wpław przebył kanał i przyszedł tu, aby udzielić rozporządzeń czy wskazówek dotyczących się przyszłych rannych.

Godzinę tylko zabawi i przed wschodem słońca z powrotem znajdzie się w obozie. Odzieży osuszać nie będzie, bo nie warto czynić tego przed powrotnym wkrótce rzuceniem się do wody. Więc wodą ociekający, pijąc pospiesznie rozgrzewający napój mówi nam, co w domu znajdować się powinno, co czynić, jak sobie w wypadkach różnych radzić, w razie gdyby żaden z lekarzy obozowych nie stawiał się na chwilę odpowiednią. Stać się to łatwo może, dla tej choćby przyczyny, że żaden może już nie żyć. I o tym jednak pomyśleć należy, aby nieżyjących czy uwięzionych ktoś żyjący i wolny zastąpił. Kogo, skąd do zastępstwa wezwać? Zaraz też oznajmić, uprzedzić: gdzie, kiedy.

Przed wschodem słońca młody lekarz znowu Kanał Królewski przepływał i ścieżkami leśnymi ku obozowi dążył, a niewiele później, o wczesnym poranku niepozorna brycz-

ka z dwiema siedzącymi na niej kobietami przetaczała się od zaniedbanego dworu do miasteczka o mil kilka oddalonego.

Różowej jutrzeńki dnia tego na niebie nie było, szare chmury wschód słońca zasłaniały, na piaszczystej, nudnej drodze dął wiatr silny i biczami zimnego deszczu smagał. W mgłę deszczowej karłowate sośniny na żółtych piaskach wyglądały jałowo i nędznie; po obu stronach drogi tu i ówdzie wysokie dziewanny, całe w kwiecie, przez wiatr miotane, zdawały się rozpaczać i ociekać żółtymi łzami. Czarne wrony na zarośla zlatując krakały. Na sercu leżał ciężar niewiadomego pochodzenia: może w smutku natury przeczucie smutku, o! jakiego smutku życia!

W miasteczku panował wielki ruch, pomimo że przestraszona ludność mało ukazywała się na mokrych dnia tego uliczkach. Ruch pochodził od wojska, którego liczba znaczna tylko co tu przybyła, a kiedy odejść stąd miała, nikt nie wiedział. Nie zaraz jednak pewno, bo oficerowie i żołnierze roztasowywali się po domostwach; plecy żołnierskie były już bez tornistrów, grzbiety końskie bez siodeł. Szare od deszczu powietrze napelniały czerwone i żółte plamy mundurów, sylwetki zwierząt, wozów, ładunków na wozach, panował zamęt i hasła życia niespokojnego, które przystanawszy na chwilę, wzdęło się butą i pewnością swojej nieprzemóżonej siły.

Wśród pstrokacizny wojskowych ubrań i natłoku śmiałych ruchów przesuwały się, przebiegały postacie mieszkańców, pokorne, śpieszące, wylękłe, z twarzami pobladłymi; z wrzawy grubych głosów wyrzynały się piskliwe krzyki kobiet i płacze niemowląt.

O południu dnia tego przyjechał do nas Orszak i oznajmił:

— Jutro!

Dlaczego aż jutro, skoro do miejsca tak bliskiego już nadciągnęli? Czekają zapewne na nadciągnięcie innych...

Przed zmrokiem naczelnik organizacji udał się do obozu dla pomówienia z naczelnikiem partii. Prowadził go przez las, jemu nie znany, wybornie go znający stolarz Antoni, który syna miał w partii. Wczoraj tu przyszedł z miasteczka, w którym warsztat swój posiadał, z zapytaniem, co tam z naszymi słychać. A teraz śmiał się pod białym wąsem i ręce zacierał ciesząc się: „Chłopca mojego zobaczę!”

Niewiele przed północą powrócili i z twarzy naczelnika organizacji widać było, że nie zadowolili go wynik rozmowy. Z Orszakiem i starym Ronieckim, który o późnym wieczorze tu przybył, długo w noc po cichu rozmawiali. Zdaje się, że szło o to, aby Traugutt uniknął bitwy z siłą tak przeważającą, przez cofnięcie się w ciągu nocy dalej, głębiej w lasy, które łączyły się z horeckimi i że on na to się nie zgodził. Zdaje się, że przyczyną niezgodzenia się były niedogodności gruntu, które przyspieszonym pochodem przebywać wypadaloby i obawa, aby rozkaz cofania się nie osłabił odwagi i ufności w siebie świeżego żołnierza.

Noc była bezsenna i niespokojna. Wiele niepokoju przyczyniała Czernicka, żona nadleśnego, której mąż, strzelec wyśmienity, i syn dwudziestoletni, jednak, byli w partii. Gospodyni doskonała, kobieta pracowita i uczciwa, była nam tu w zajęciach naszych bardzo użyteczna i lubiliśmy ją, choć po kryjomu uśmiechałyśmy się czasem z jej gadatliwości niezrównanej, głosiku piskliwego i niezwykle wysokiej a cienkiej figury, u której szczytu żałośnie jakoś sterczał z tyłu czaszki cieniutki, czarny, spiralnie zwinięty warkoczyk. Z tą Czernisią naszą, wesołą zwykle, czynną, rażną i aż nadto mówną tej nocy nie wiedzieć, co się stało. Wstąpił w nią jakiś duch niepokoju, strachu, tęsknoty, nad którym nic zapanować nie mogło. I był to duch w gadatliwej kobiecie tej bardzo dziwny, bo jak grób milczący i tylko przymuszający ją do ciągłego chodzenia, snucia się dokoła nas, patrzenia w twarze nasze małymi, czarnymi oczkami, z których wyglądała jakaś niewysłowiona i żadnym słowem nie wyrażana męka. Do spoczynku położyć się nie chciała, jeść ani mówić z nami nie chciała, robić nic nie mogła i tylko z żalosnym warkoczykiem swym u szczytu długiej i cienkiej figury, z drobną, żółtą twarzą, w męce nieprzemóżonej skurczona chodziła wciąż, chodziła, snuła się pod ścianami, dokoła stołów, a za nią chodził po ścianach długi i cienki jej cień. Zatrzymywała się czasem u otwartych drzwi pokoju, w którym mężczyźni rozmawiali i zdaje się, że podsłuchiwała ich rozmowę... Ta przez długie godziny nocne w milczeniu grobowym chodząca wciąż i chodząca z męką na twarzy postać przypominała nam owego na wozie kołyszącego się wciąż i kołyszącego dziaka. Mdlały i bolały od jej widoku wszystkie nerwy.

Dzień wszedł słoneczny, upalny, duszny, ze szmatami chmur, przewłóczącymi się pod wyiskrzonym niebem.

W pokoju wysokim prawie pustym kilkanaście osób, kobiet i mężczyzn, stało u szczyłnie pozamykanych okien patrząc przez wielkie, lecz mętne od zaniedbania szyby na przechodzące i przejeżdżające wojsko.

Przejeżdżało i przechodziło szeroką, piaszczystą drogą za bramą i ogrodzeniem dziedzińca tak blisko, że można było wyraźnie dostrzegać postacie oddzielne, barwy ubrań i koni.

Rozłożyste gałęzie drzew rosnących za oknami część szczegółów zasłaniały; rozchyłał je, to znowu łączył wiatr dość silny i było to tak, jakby niewidzialne jakieś ręce rozsypywały, to zasypywały zielone firanki, przed obrazem ruchomym, jaskrawym, błyszczącym, przesuwanym się długo... długo...

Szli i jechali, szli i jechali, z krótkimi czasem przerwami wśród oddziałów. Ubranie ich w świetle słonecznym iskrzyło się od barw i metali, bronie błyszczały, kroki monotonne szumiały, niekiedy głucho grzmiały.

Siła. Siła liczby i żelaza. Siła wielka. Nie setki już mniejsze lub większe, jak wprzód, ale tysiące.

W pokoju panowało milczenie, szmerem oddechów nawet nie mącone, bo przeciągająca przed oczyma siła kładła się na oddechach, tamowała je i dławiła gardła. W tym milczeniu czyjś głos wymówił:

— Jenerał!

Kilka powozów z wolna toczyło się po piaszczystej drodze. Jeden z nich nalany był jaskrawą czerwonością i zaświeciły w nim jakieś srebrne włosy. Kilka rumianych twarzy dokoła tej srebrnej głowy, mnóstwo jeźdźców i koni dokoła powozu od połączanych brązów błyszczącego.

Była chwila, w której zdawać się mogło, że powóz stanie przed bramą dworu — i krew w żyłach zastygła. Wsiadą z powozu, wejdą do domu, może będą szukali tego, czego dom ten pełny, może będą zapytywali o to, o czym ustom naszym mówić przed nimi za cenę życia niepodobna...

Ale nie; to tylko w grząskim piasku koła powozu obroty swe zwolniły. Stangret z ramionami w czerwonych rękawach jak struny wyprężonymi przed piersią w czarny aksamit ubraną gwizdnął, konie okryte mosiądzem błyszczącym i brzęczącym ruszyły prędzej, powóz minął bramę, za nim w otoczeniu jeźdźców przesunął się jeszcze i jeszcze jeden. Sztab jeneralski. Za powozami pełnymi ludzi młodych jeszcze, jak na bal wystrojonych, z ożywieniem gestykulujących, znowu wojsko piesze, konne, potem jeszcze bryki wojskowe na zielono pomalowane, ładunkami spiętrzone i na koniec proste wozy chłopskie, potrzebom jakimś żołnierskim służyć zapewne mające. Wiele chłopskich wozów; powożą nimi ludzie w szarych siermięgach i baranich czapach, nad twarzami ciemnymi, obrosłymi, obojętnymi, znudzonymi.

Do jednostajnie przed obu zapaśnikami zamkniętej chaty chłopskiej zapukała siła, ludzi tych z niej wyprowadziła i za sobą prowadziła. Milczący Sfinks leniwie i obojętnie ciągnął za tysiącogłowym kolosem, a zbiorowe oblicze jego spod czap baranich zdawało się mówić: „Muszę!” i „Wszystko mi jedno!”

Na koniec opustoszała piaszczysta droga i nic już na niej nie było oprócz tumanów kurzawy żółtymi strzępami opadającej na pobliskie drzewa.

Odstąpiliśmy do okien i usiedliśmy, gdzie komu było najbliżej. Nikt nic nie mówił, zdaje się, że nikt nikogo i nic dokoła nie spostrzegał. Myśli w głowach milczały, na sercach leżały bryły lodu.

Służący ukazał się we drzwiach otwartych i dziwnie cichym głosem oznajmił podany obiad. Nikt długo nie czynił najmniejszego poruszenia, a potem ktoś wstał i przymknął drzwi pokoju, w którym krzątała się służba i podzwaniały naczynia stołowe. Powszednie widoki stały się dla dusz nieznośne, powszednie potrzeby w ciałach umilkły. Nic, tylko ten kolos, który tylko co przed oknami przeciągnął, tylko ta siła żelazna, ogromna i przed oczyma, w uszach jej błyski, barwy, brzęki, turkoty, tętenty...

Zupełnie niepodobna mi powiedzieć, ile czasu upłynęło do tej chwili, do tej niespodziewanej tak rychło chwili, w której za domem, nie w bezpośredniej jego bliskości, ale

w niewielkim oddaleniu uderzył w powietrze stuk ogromny — i my wszyscy zerwaliśmy się na nogi, z jednym u wszystkich okrzykiem:

— Strzelają!

Potem krótki pomiędzy nami zgiełk zapytań, zadziwień.

— Już! Tak szybko? Jak to? Gdzie tak blisko? Oni przecież w głębi lasu... a strzały u jego brzegów, nad kanałem.

Pośrodku przestrzeni dzielącej dwór od kanału wznosiło się wzgórze dość wysokie, nie wiedzieć jak wśród płaszczyzny tej powstałe. Na piaszczystych jego zboczach rosły sośniny cienkie i rzadkie, krzaki jałowcowe, mchy i czombry.

Szerokim otworem pozostały za nami drzwi domu, pustką stały pokoje domu; biegliśmy ku wzgórzowi i nie dosięgliśmy jeszcze wierzchołka, gdy las zahuczał potężnym, przeciągłym grzmotem.

Tak, las zagrział. Bo gdy z tej strony niedalekiego i nieszerokiego szlaku wody nieprzejrzaną wstęgą ludzi i koni rozwijało się wojsko, gdy na różnych punktach powierzchni wodnej, bliskich, dalszych, dalekich, widać było przebywające wodę jego oddziały, strona tamta, przeciwna, pusta była i bezludna. Nic tam nie było krom nierównego w swej szerokości pasu łąki nadbrzeżnej i za nią, pociętej w zagłębienia i wypukłości, ciemnej ściany lasu.

W ciemnej, nieruchomej, milczącej ścianie lasu grzmiało i błyskało, po czym stawała się ona znowu ciemna, nieruchoma, milcząca.

Budziła się w zaczarowanym pałacu swoim straszna baśń...

Jakiś wśród nas przytłumiony głos wymówił:

— Partię na brzeg lasu przyprowadził...

Inny wnet dodał:

— Przeprawę przez kanał broni...

— Nie, nie! Tego dokazać by nie potrafił i wie o tym. Żołnierza swego na duchu podnosi!...

Naczelnik organizacji do Orszaka, Ronieckiego i innych starszych rzekł:

— Oznajmia, że bitwę przyjmuje...

Jeżeli w słowach tych była ironia, to na wskroś przejmował ją ból.

Wielkie masy zbrojne wobec niespodzianki, która je zaskoczyła, spokojne były i milczące. Poruszały się z powolnością rzeczy ciężkich, które utrzymywane są przez doskonałe karby na liniach stałych i prostych. Żadna drobina nie odrywała się luźnie od tej potężnej całości, żaden zamęt nie objawiał się w żelaznym tym porządku. Liczne i z oddalą czarne jej oddziały na wielu jednocześnie punktach przebywały wodę i przebywszy ją okrywały szlak nadbrzeżnej łąki.

A las na to wyładowywanie się u stóp jego siły najeżonej żelaznymi ostrzami patrzył przez dość długie chwile w milczeniach kamiennych i zdawać się mogło, że w nim nic nie istniało krom drzemiącej w zaklętym pałacu baśni, aż znowu nagle coś na zielonym jego podłożu zrywało się z ogromnym stukiem, który ciemne ślady swoje tu i ówdzie na łące i wodzie pozostawiał.

Tu i ówdzie na łąkę i wodę upadało coś, co z oddalenia miało pozór plam drobnych, ciemnych. Podnoszono to i składano na wozy chłopskie, u których nie było już powoźników.

Sfinks na odgłos grzmotów, rozlegających się u brzegu lasu, rozproszył się na gromadki, które przestrzenia jak największą od tego, co się działo, życie własne odgradzać usiłowały. Kilka jego baranich czap zabiegło aż na nasze wzgórze i zza cienkich sośnin wychylało oblicze ciemne, włosem zarosłe, czasem ciekawe, czasem złośliwe, najczęściej obojętnie mówiąc: „Nie obchodzicie nas ani jedni, ani drudzy i walka wasza nic nas nie obchodzi Wszystko nam jedno!”

Tak na toczące się po górskich wyżynach boje Ateńczyków z Lacedemończykami z przyziemnych siedlisk swych spoglądać musieli heloci.

Jeszcze raz grzmotem przemówił las, jeszcze i jeszcze raz, aż umilkł.

Zerwała się była baśń z zielonej pościeli, krzyknęła i znowu opadła w zaklętą ciszę. Teraz w tajemne, głębokie jej pielesze wpływały szumiące, błyszczące potoki. Na wielu jednocześnie punktach wpływały powoli, znikły, aż zniknęły. Za nimi na ostatku wciągnęły w ciemną uciszoną ścianę wozy z czapami baranami i nic już nie było.

Nic już nie było prócz błękitnego szlaku wody pomiędzy szlakami łąk zdeptanych, chmur, które nabrzmiałymi szmatami chodziły po niebie, i wiatru, który kołysał wierzchy cienkich sosen. Mocny zapach podnosił się od rozrzuconych po wzgórzu liliowych płam czombru.

Długo, bardzo długo nie działo się nic wcale. Gromadka ludzi na wzgórzu stojących i siedzących z rzadka zamieniała się cichymi słowami. Potrzeby szeptania nie było. Drobne ptaki chyba, z trwogi po jałowcach i sosnach umilkły, podsłuchiwać by nas mogły. Lecz bywają wzruszenia, które niemocą dotykają głosowe struny i momenty, w których człowiek, na głos Boga oczekując, swojego podnieść nie śmie.

Ktoś cicho zapytał:

— A teraz gdzie... gdzie...

Ktoś inny podjął nie dokończone pytanie:

— Gdzie spotkają się?

— Kędyś... w głębościach lasu. Ale nie zaraz! Nie zaraz!

— Takiej ciężkiej masie zbrojnego wojska posuwać się przez lasy gęste...

Uśmiechy wybiegły na twarze.

— Nielatwo!

— Żołnierz nawykły do pól otwartych lasu nienawidzi...

— Dowódcy go nie znają...

— Chłopi drogi pokazują... prowadzą...

Uśmiechy na twarzach pogasły. Serca przewiercił ból. O, czasie, roznosicielu pomst spadających na głowy niewinne, najlepsze! Ale czy ta pomsta i nad głowami mścicieli także nie rozwiesi całunu ciemności?

— Słuchajcie! Słuchajcie! Z cichego łoża lasu znowu zrywają się zakłęte baśnie i rozmawiać z sobą zaczynają! Zamieniają się grzmotami, długimi hukami, które następują po sobie coraz szybciej, coraz dłuższe i grzmotliwsze.

Nie widać nic, tylko te dwa grzmoty, toczące się w głębinach lasu, świat sobą napętniają...

Nie widać nic; słuch tylko pracuje, a praca to ciężka. Krew od niej we wszystkich pulsach stuka, jak pośpieszne uderzenia młotów.

Ktoś wśród nas z cicha tłumaczy:

— Te monotonne, ciężkie, jakby zbite w sobie huczenia, to rotowy ogień wojska... a te krótsze, słabsze, jakby z mnóstwa drobnych i szybko po sobie następujących stuknięć złożone, to ogień naszych...

— A podwójne, odosobnione stuknięcia czy słyszycie? Taf, taf! — taf, taf. To nie dość wyuczeni czy niesforni — z dubeltówek!

Słysząc krzyk. Tłumny, zgiełkliwy krzyk, raczej ogromne krótkie wrzaśnięcie wzbiło się nad ścianę lasu, a wnet po nim potoczył się w jego głębi rotowy ogień dłuższy, potężniejszy od poprzedzających.

To wojsko krzyknęło: hurra! Pchnięto do bitwy nowe rotę.

Wtem za nami, obróconymi w stronę lasu, głos jakiś donośnie wymówił:

— Módlmy się!

Obejrzelśmy się wszyscy. Za nami, pomiędzy dwoma cienkimi pniami sosen stała Czernicka. Wysoka i cienka, twarz drobną i żółtą wysoko podnosiła ku niebu i wysoko nad głowę podnosiły się jej ramiona, na których chusta okrywająca plecy rozpinała się jak dwa skrzydła z nici czarnych i żółtych utkane, przeświecone słońcem. Zawołała:

— Módlmy się!

I upadła na ziemię, z ramionami nad głową wyciągniętymi, czoło do mchu suchego przyciskając. Chusta rozłożyła się po obu jej stronach jak omdlałe skrzydła i znad mchu głos silny, głuchym, głębokim stękanem podszyty, mówić począł:

— Chryste, usłysz nas! Chryste, wysłuchaj nas! Chryste z nieba Boże!...

W lesie grzmiało nieustannie.

Kilka osób uklękło, inne zostały w postawach stojących.

W postawie stojącej został naczelnik organizacji i rosły, urodziwy, ze skrzyżowanymi u piersi ramiony, na tle nędznego drzewa, o które się opierał, podobny był do posągu w myślach straszliwych skamieniałego. Straszliwe myśli rznąły mu czoło w mnóstwo fałd i zmarszczek, że wydawał się o dziesięć lat starszy, niżeli był wczoraj. Dalej nieco za

nim, przez iglastą zaslonę gałęzi widać tylko dwie czaszki siwymi włosami okryte i bardzo ku sobie zbliżone. To Roniecki, biały ojciec dwóch śmiertelnie może już tam zaczerwienionych synów, i stolarz Antoni. Snadź o czymś rozmawiają, z cicha, lecz żywo, bo zza iglastej zasłony raz w raz ukazują się ręce ich to bielsze, to ciemniejsze, czyniąc dziwne ruchy i gesty. Te ręce mówią, żalą się, trwożą, nienawidzą...

W lesie grzmiało nieustannie.

Tuż przy mnie z czołem do sosny przyciśniętym klęczała siostra Mariana Tarłowskiego, młodzianka Anielka. Rodzeństwo to nazwano parą ładnych dzieci. Podobno ładną, złotowłosą dziewczynę pokochał był piękny Jagmin. Teraz złote włosy rozsypały się po dziecinnie drobnej jej kibici, profil twarzy zasłoniły i widać było tylko dwie bardzo małe ręce splecione tak silnie, że aż krwią nabiegłe, przyciskające pierś wątlą i tak nieruchomą, jakby oddech jej ustał i życie w niej zastygło. Po opadłym igliwiu sosnowym zaszeleściły lekkie kroki. To Stefunia, cała biała, szła do rozciągniętej na ziemi Czernickiej, przy niej uklękała i białą ręką gładzić poczęła jej włosy, spiralną linią warkoczyka żałośnie z tyłu czaszki ku górze sterczące. Zdaje się, że szeptała nad jej głową jakieś słowa pocieszenia czy współczucia, które zapewne słuchu jej nie dochodziły, bo od ziemi szedł wciąż głos donośny, głuchym stękanie podszty:

— Jezu, słońce sprawiedliwości, zmiłuj się nad nami! Jezu, Ojcie przyszedłszy wieku...

Poważny głos Orszaka z wtórem kilku głosów kobiecych odpowiedział:

— Zmiłuj się nad nami!

W lesie grzmiało jeszcze.

Ktoś kilka razy krzyknął przeraźliwie, po czym spazmatycznie śmiać się i szlochać zaczął. To służąca moja, Marylka Jaroszyńska, której trzech młodzi bracia byli tam. Podnosiła ją z ziemi, obejmowała, uspokajała Klementyna Roniecka, wysmukła panna z pięknymi oczyma i myślącym czołem. Na pomoc im śpieszyło kilku mężczyzn...

W lesie grzmiało ciągle.

Klęczałam na kobierczyku liliowego czombru i także kobierczyki, mniejsze, większe, po zboczach wzgórz zbiegały coraz niżej, aż na białe piaski, które stały się daleko, pod szlak nadbrzeżnej łąki. Na piaski i na łąki, od sosen i wierzb kładły się cienie długie, ukośne, jak bywa zwykle o zachodach słońca. Słońce nisko już stało nad samym lasem, a wielka twarz jego, złota, pogodna, patrzyła na nas obojętnie i spokojnie, tak jak wtedy ów zegar znad czarnej kolumny, jak czas, wiekuista i w wiekuistości swojej niewzruszona.

W lesie grzmiało jeszcze.

Zmrok zapadał. Nie było już nad lasem słońca. Wiatr spędził spod nieba chmury i ucichł. Na niebie wystąpiło trochę tylko gwiazd białych, jak w porach pełni księżycowych bywa zwykle.

W lesie ustały grzmoty, lecz nie uczyniło się w nim zupełnie cicho. Po głębiach jego bliższych, dalszych, dalekich, szły i rozchodziły się głośnie, to cichsze, to zaledwie echowe pogłosy nawoływania, hukania.

— Heej-haaaa! Hoo-hooj! — wołała tam baśń zaklęta, która dziś w sen i milczenie zakłąć się nie mogła.

Tu i ówdzie, dalej, bliżej, jakby ktoś kogoś ścigał, jakby kto kogo do ścigania naglił. I wśród wołań tych tajemniczych, przeciągłych, echowych, kiedy niekiedy gromkie, krótkie, podwójne wystrzały: taf-taf! taf-taf!

Co wystrzały te znaczyły — nikt nie wiedział. Co wołania owe znaczyły — nikt nie wiedział.

Nagle rozebrzmiał w lesie taki sam jak parę razy już przedtem krzyk gromowy, zbiorowy, raczej wstrząśnięcie. To żołnierskie, wielotysięczne: hurra!

Potem znowu takie same jak wprzód wołania, tylko coraz dalsze, i takie same jak wprzód stuki dubeltowe: taf-taf! taf-taf! Tylko coraz rzadsze...

Włosy na głowach powstawały.

Za dalekiego skrzętu lasu ukazywać się począł czerwony księżyc w pełni. Godzina musiała być już późna: musiała być nocna, gdyż księżyc w tej porze wschodził około pół-

nocy. Po wodzie, po piaskach, po wzgórzu rozlało się czerwone półświatło. Las ucichł zupełnie.

Co się tam działo? Co się tam dzieje? Niepodobna było ani dojrzeć, ani dosłyszeć stąd rzucania się ciał ludzkich na wody kanału; ku wodom tym przecież zwracał się z natężeniem nasz wzrok i słuch.

Księżyc wyrastał nad lasem, aż stanął nad nim okrągły, ogromny, czerwony.

W ciszy, kędyś u skłonu wzgórza coś zaszemrało pomiędzy sosnami, niezrozumiale zrazu, potem wyraźniej:

— Mamo! Mamo!

Szmer to był, szept, raczej powiew smutny, jednak usłyszała go Czernicka i z krzykiem: „Stasiek!” porwała się spomiędzy sosen. Jak cień wysoki i cienki, ze skrzydłem rozwianej chusty za plecami, w czerwonym świetle zlatywała ze wzgórza i zlatywał z nią razem głos jej zdyszany, wołający:

— Stasiek! A ojciec? Jezu, Boże mocny! Co się stało... Ojciec gdzie? Jezu, przez mękę i krwawy pot Twój! Ty żyjesz, Stasiek! A ojciec! Co stało się?... Mów...

Ale wysmkły i bardzo błady wyrostek, w szerokim pasie na zmoczonej odzieży, mówić nie mógł. Rękę podniósł do szyi owiniętej szmatą od krwi czerwonej, zachwiał się i w ramiona matki upadł...

Od kanału ukazywać się zaczęły na łące i piaskach cienie ku nam dążące, z oddalenia drobne, w czerwonym świetle czarne cienie ludzkie...

...Jezu, słońce sprawiedliwości, Ojciec przyszłego wieku, kiedyż wiek Twój i sprawiedliwość nad światem wejdą?

Oficer

(R. 1863)

W pewien wieczór zimowy, długi i samotny, rzekła do mnie dawna bliska znajoma moja:

— Dobrze; życzenie twoje spełnię. Opowiadać ci będę o tych dziejach dawnych, widzianych, słyszanych, odczuty, przeżytych, na dzień pamięci i na dzień serca wieczne żyjących. Strumień czasu po nich płynął i pod wartkimi jego falami bladły niekiedy ich obrazy, lecz nie znikwały nigdy; dziś powstają tętniące pulsem chwili, która je zrodziła, rozlegające się krzykami tragedii, pomalowane barwami poezji tak głębokiej, jak głęboka była ta otchłań ofiar i mąk...

Dobrze; ja tobie w ciszy i zamknięciu ścian samotnych opowiadać będę dzieje te i pokazywać postacie, które je stworzyły, a ty szeroko rozemknij ściany i dzieje powtórz, a postacie pokaż szerokiemu światu.

Chwila sposobna nadeszła. Chwila potrzeby nadeszła. Niech serca ostygające dla ojczyzny przybliżą się do tego żuźla, który niegdyś spadł był na jej drogę, niech odetchną wonią jego piekącą i gorzką.

To woń samego miąższu drzewa spalonego na ofiarnym stosie. Kto ją w płuca swe wciąga, tego oczy napelnią się łzami i serce uderzy mocno, a w tych łzach i w tym uderzeniu wskrześnie Miłość.

Nie dla potęgi żelaza i złota Miłość, ani dla rozkoszy pychy, ani dla triumfalnego wołania na świat cały: Ja! Ja! Ja! gdy drudzy grzęzną w pogardzie i nieszczęściu.

Inna Miłość.

Ta, której zakochane oczy obejmują ziemię ojczystą, jak nad wszystko w świecie rodzęjsze, miłsze oblicze matki;

której przywiązane oczy wpatrują się w naród ojczysty, jak w nad wszystkie inne bliższe, miłsze grono rodzonych braci;

której wierne oczy towarzyszą braciom na drogach cnót, nad którymi rozpalają pochodnie radości;

której uwielbiające oczy wznoszą się ku dwom wielkim gwiazdom, noszącym imiona Sprawiedliwość i Wolność;

której mądre oczy dostrzegają, że bez światła tych dwóch gwiazd ciemna musi być ziemia i nieszczęśliwe muszą być jej narody.

Opowiadać ci będę o ludziach, którzy mieli w sobie miłość z takimi oczyma i dlatego byli miąszem swojego ojczystego drzewa.

Dlatego również zgorzeli na ofiarnym stosie.

Opowiadać ci o tym będę w ciszy i zamknięciu ścian samotnych, a ty szeroko rozmknij ściany i do tych, którzy zaprzeczają istnieniu w narodzie swym miłości ku wielkim gwiazdom, krzyknij, że kłamią!

I pokaż im tych, którzy z miłości dla wielkich gwiazd ginęli wtedy, gdy na przestrzeni rozległej, ogromnej, nikt jeszcze samych imion ich z miłością wymawiać nie umiał lub nie chciał.

Oni miłość tę wzięli razem z krwią poprzedników swoich i razem ze swoją krwią przelali ją w swych następców. Więc byli i są w narodzie naszym czciciele gwiazd.

Wówczas pełny ich był nasz kraj, ja spomiędzy nich garść jedną tylko znałam. O niej tobie opowiadać i ją pokazywać będę.

Lecz nie z porządku, nie z kolei, nie według dostojęństw, nie według dat.

Co powiew chwili do pamięci przyniesie, co wyobraźnia najwyraźniej wymaluje, co wyszeptać do ucha ten głos tajemniczy, który skądś, z niepojętych głębin czy wyżyn, myśli i słowa nam dyktuje...

I

Dwór to był stary, ze starym, dużym, niskim, białym domem, ze starym, wielkim, cienistym ogrodem, z dziedzińcem rozległym, zasadzonym drzewami, krzewami, kwiatami. Dwór to był poleski, więc dookoła i z bliska otaczały go stare, głębokie i wysokie lasy.

Od tego dworu niedaleko błękitniał na zielonych łąkach pas wody, niegdyś tu dla celów handlowych wykopany i niewiele dni minęło, odkąd partia powstańcza pod wodzą Romualda Traugutta przebyła ten Kanał Królewski i pogrążyła się w głębokości tych starych, wysokich lasów. W pochodzie swym dla wytchnienia i posiłku zatrzymała się była w tym dworze, a wkrótce potem o sinym brzasku jednego z pierwszych dni czerwcowych mieszkańcy dworu zbudzeni zostali nadpływającym ku domowi szumem głosów ludzkich z tętentu kopyt końskich, z turkotu wozów złożonym. Wojsko nadchodziło. Miało zapewne w ślad za partią pogrążyć się w głębie ciemnego lasu, lecz przedtem jeszcze zatrzymać się w tym miejscu, które tamtej posiłku i odpoczynku udzieliło.

Nie wszyscy jednak we dworze spali, bo zanim czarny w brzasku porannym sznur ludzi i koni ku bramie dziedzińca się zbliżył, dwaj młodzi mężczyźni z domu wybiegli i bardzo śpiesznie skierowali się ku miejscu, gdzie u sztachet otaczających dziedziniec stał osiodłany koń. Biegając, zamieniali się krótkimi słowami.

— Czy wielu ich jest?

— Niewielu! Rota piechoty, secina lub dwie Kozaków.

— Widziałeś dobrze?

— Oho! Z tego dachu i przez lunetę można by prawie ich przeliczyć...

Były to więc czaty, z lunetą na najwyższym z dachów dworu czuwające. Sprawiał je młodzieniec dwudziestokilkuletni, niewysoki, lecz silnie i zgrabnie zbudowany, w ruchach i mowie niezwykle żywy. Drugi równie młody, ale węższy i powolniejszy, był właścicielem tego dworu. Obaj nie znajdowali się tam w ciemnych głębiach lasu dlatego, że obecność ich tu właśnie była potrzebna.

U samego już osiodłanego konia dopadła ich młoda dziewczyna, zaledwie w bielizny poranne ubrana, z rozrzuconą na plecach gęstwiną długich włosów.

— Olesiu! — krzyknęła. — Tylko ostrożnym bądź! Proszę cię... w ręce im nie wpadnij!

Chłopak z nogą w strzemieniu zaśmiał się świeżo, młodzieńczo.

— Cha, cha, cha! Czy myślisz, że jak zając jednym okiem na koniu spać będę?

Dziewczyna zaśmiała się także.

— Zmiłuj się, otwieraj dobrze oczy i uszy! — W śmiechu jej i głosie drżały łzy. Z konia już podał jej rękę.

— Bądź zdrowa! Nie lękaj się! Przeniesie mnie mój Piorun choćby przez piekielne drogi.

Właściciel domu mówił śpiesznie.

— Najgorsze to, że lasu dobrze nie znasz. Gdy wyjedziesz z obozu, o pół wiorsty dwie drogi będą...

— Wiem, wiem! Już mówiłeś... jedna na prawo, druga na lewo...

— Pamiętaj wziąć się na lewo... gęstwina tam zaraz będzie i za nią moczar, który okrążysz... pamiętaj, drogą na lewo... Tą, co na prawo...

— Oni iść będą...

— Niewątpliwie!...

— Bylebym się nie spóźnił..

— Oho! Zabawią tu... Wszakże rewizja...

— A, prawda!

— To potrwa długo!

Wypuścił konia bocznymi wrotami dziedzińca na drogę przez drzewa przysłoniętą i bliskim kresem dotykającą lasu, a brat i siostra śpiesznie zwrócili się ku domowi, którego drzwi na ganek obszerny wychodzące cicho i szczelnie za nimi się zamknęły.

W tej samej chwili czoło nadchodzącej kolumny wojskowej dotykało już szerokiej bramy dziedzińca i nad otaczającymi go sztachetami wzniosły się w sinych błękitach świtanie czarne ostrza kozackich pik.

Po niewielu minutach dziedziniec nappełnił się tłumem ludzi, koni i wozów. Z wozów z karabinami na ramionach zsiadali żołnierze, gdy wśród szumu krzyków i poruszeń ludzkich donośnie rozlegały się rozkazy dowódców i przed każdym oknem oraz przed każdymi drzwiami domu stawał na koniu w wysoką pikę uzbrojony Kozak.

Otworzyło się jedno, drugie, trzecie okno domu, wyrzały przez nie i wnet ukryły się głowy kobiece i męskie. Rozwarły się ciężkie, staroświeckie drzwi na ganek z czterema grubymi słupami wychodzące i na czele kilkunastu żołnierzy uzbrojonych, w obszernej sieni przez młodego gospodarza spotkani weszli do domu dwaj oficerowie. Rewizja.

Szukali broni, kul, prochu, ludzi ukrytych, papierów zabronionych, odzieży podejrzanej, wszelkich śladów i dowodów współdziałania i współczucia z tymi, za którymi niebawem udać się mieli w tajemnicze i nienawistne im głębokości leśne. O współdziałaniu i współczuciu wątpić nie mogąc, szukali śladów ich i dowodów, może też dla siebie samych jakichś wskazań i światła, a nie znajdując, coraz głębiej, coraz popędliwej rozkopywali, rozkruszali, rozorywali dom. Z ust oficerów wypadały zwracane do żołnierzy rozkazy:

— Oderwać podłogę! Rozbić zamek! Porozrywać pokrycie sprzętów! Wysypywać ziemię z wazonów! Przebić ścianę, która przy uderzeniu wydaje dźwięk głuchy! Wysadzić drzwi, od których klucz kędyś zaginął!

Stukały młoty, rozlegały się i w coraz większą wrzawę wzrastały grube głosy, spod ciężkich butów, spod odrywanych posadzek, z rozdzieranych ostrzem pałaszy materii wzbijały się pod niskie sufity pokojów krztuszące i żółte kurzawy, obrazy ze ścian padały na szczątki sprzętów, ktoś kolbą strzelby uderzył w zwierciadło, które z trzaskiem błyszczące okruchy po ruinach rozsypywało, ktoś inny z grubym śmiechem rozbijał dach fortepianowy, aż roztrzaskiwał się na drzazgi i klawiatura wydawała pod ciosami przeraźliwe krzyki i zgrzyty, u okien waliły się na oderwane części posadzek wysokie oleandry, begonie, kalie pozbawione ziemi, w której wzrastały. Wszystko to sprawiali żołnierze zrazu w milczeniu i tylko rozkazom dwóch oficerów posłuszni, z coraz głośniejszymi wybuchami głosów rozjątrzonych albo drwiących, z coraz zamaszystszyimi rozmachami ramion, ubranych w grube i grubymi błyskotkami połyskujące rękawy mundurów. Oprócz tych, którzy za przywódcami swymi tu weszli, wsuwać się zaczęli inni, zrazu wahający się i cisi, potem coraz głośniejsi i śmielsi. Tu i ówdzie w pewnym oddaleniu od oficerów wybuchać poczęły grube śmiechy; te i owe usta przeżuwały przysmaki we wnętrzach sprzętów znajdowane, gdy głodne oczy z połyskami chciwości biegały po kątach i sprzętach pokojów upatrując pożądanego łupu. W powietrzu czuć było rozpoczynającą się swawolę żołdactwa. Nie poskramiali jej, nie zdawali się jej spostrzegać dwaj oficerowie.

Byli to ludzie zupełnie do siebie niepodobni. Setnik kozacki z wysmukłą postacią urodziwego młodzieńca, ze smagłą cerą i kruczymi włosami południowca, ruchy miał spokojne i usta najczęściej milczące, niekiedy tylko pod czarnym wąsem uśmiechnięte ironicznie lub od znudzenia skrzywione. Ogniste oko jego odrywało się często od rozglądanych miejsc i przedmiotów, a biegło tam, kędy przesunęła się suknia kobieca, szczególnie tam, gdzie u boku siwej kobiety w czarnej sukni ukazywała się piękna, biała dziewczyna, ze łzami nieruchomo stojącymi w błękitnych oczach.

Starszy rangą i wiekiem dowódca roty pieszej, już może czterdziestoletni, dość wysoki, ale pleczysty i ciężki, o grubych członkach ciała i grubej, choć dość kształtnej twarzy, blondyn, z czołem bielszym od policzków ogorzałych i rumianych, objawiał w poruszeniach, mowie, w wydawanych rozkazach popędliwość tak gniewną i gorliwość tak głośną, ruchliwą, zawziętą, że zdawały się go one wprawiać w chwilowe oblędy. Były chwile, w których własnymi rękoma wyrывał ze sprzętów zamki, rękojeścią szabli ostukiwał podłogi i ściany, biegał, miotał się, krzyczał wydając coraz nowe i coraz surowsze rozkazy, a siwe źrenice jego pod rudawymi brwiami nabierały oblędnych niepokojów i połysków. Często też niespokojne te oczy z wyrazem niemych zapytań zatapiały się w obojętnej i niekiedy tylko ironicznej lub znudzonej twarzy młodszego towarzysza. Zdawały się one wtedy do twarzy tej wołać: „Czy widzisz? Czy spostrzegasz? Patrz! Czynię wszystko, czego potrzeba, więcej, niż potrzeba, więcej, niż ty czynisz... ja wierny służbie, gorliwy!”

Na dziedzińcu rozległ się, a raczej wśród gwaru obozującego wojska jak grzmot potoczył się ogromny wybuch krzyków i śmiechów. Młody gospodarz domu w okno spojrział i zwrócił się do oficerów.

— Panowie — rzekł — żołnierze kufy z wódką z gorzelnianego składu wytaczają...

— *Tak sztoż?* — z pogardliwym na mówiącego spojrzeniem ostro zapytał kozacki setnik.

Młodzieniec odpowiedział:

— Upiją się, a ludzie pijani palą i zabijają...

Zastanawiali się chwilę w milczeniu, po czym z ust Kozaka z przeciągłym syknieniem wypadło słowo:

— *Pust!*

Ale tym razem na twarzy popędliwego i krzykliwego kapitana ukazał się wyraz wahania i niepewności. Do ucha prawie rzucił towarzyszowi pytanie:

— Jak myślicie?... Zabronić? Może być *plocho*... tam...

Palcem poruszył ku stronie, w której za oknami widniał las.

Kozak z uśmiechem na czerwonych ustach odrzucił:

— *Pust! pi-jut! Mołodcami stanut!*

Za lasem słońce już wschodzić musiało, bo nad różaną wstęgą jutrzeńki wystrzeliło na pogodne niebo kilka smug złotego światła. Rewizja domu była skończona; pozostawał ogród rozległy, cienisty, w którym więcej jeszcze niż w ścianach domu rzeczy i ludzi ukrywać się mogło. Oficerowie ze znaczną liczbą żołnierzy obu broni udali się do ogrodu; w pokojach domu zapanowała swawola.

Z krzykami i śmiechami żołnierze wypróżniali wnętrze sprzętów i naczyń, zawartość ich ukrywając w odzieży lub wyrzucając przez okna z trzaskiem otwierane, na otaczające dom trawy i kwiaty. Teraz prawie wszystkie te grube usta coś jadły albo piły i wszystkie ramiona były czynne, rozmachane, wzajem ze sobą mocujące się, wyprężone albo chwytne. W tupocie stóp ciężkich rozlegały się trzaski i brzęki rzeczy łamanych, rozbijanych, pomiędzy śmiechów i swawolnych krzyków wybuchały niecne słowa karczemnych przekleństw i łajdań.

Trwało to dość długo; po czym wnętrze domu opustoszało, a w zamian na dziedzińcu wrzał coraz wrzaskliwszy i swobodniejszy gwar. Czuć było, że w mrowiącym się tam tłumie ludzi więzy zazwyczaj go opasujące rozluźniać się i pękać poczynają, że siły jakieś wewnętrzne, nieposkromione gaszą w nim pierwiastek człowieczy, a ze sfory spuszczałą zwierzęcy. Sił tych dwie było: palący wnętrza klatek piersiowych trunek i budzący rozjątrzenie widok bliskiego lasu. Gdybyż to było pole otwarte, jasne, pospolite, wszystkim widzialne i znane! Ale ta ściana tajemnicza, ta zagadka, te nieznane drogi wśród śmierci niewidzialnie zaczajonej w mrocznym cieniu... w gęstwinach dla wzroku nieprzebitych... Łaskotało to piersi i rozogniało mózgi zadymione oparami wódki...

Słońce weszło zza lasu i stanęło nad nim tarczą wypogodzoną, złotą.

Część dziedzińca zajmował natłok koni osiodłanych i zaprzężonych do wozów.

Gdzie indziej pod starymi lipami i topolami broń w kozły złożona tworzyła wały żelaznymi ostrzami najeżone. Promienie słońca wesoło igrały na powierzchni bagnatów i figlarnie mrugały w oczach karabinowych luf.

Na trawnikach i na zdobiących je klombach kwiatowych blask słońca wybielał do śnieżystej białości koszule żołnierzy, którzy z mundurów rozebrani, mniejszymi lub większymi tłumikami leżeli dokoła kotłów z warzącą się strawą i dokoła kuf wysokich, napełnionych wódką. Kotły wybuchały gęstymi kłębam pary, a kufy wonią, która gasiła w powietrzu jaśminowe i rezedowe zapachy.

U stóp rozkwitłych krzaków jaśminowych i różanych tęczowymi blaskami iskrzyły się szczątki porozbijanych szkieł i kryształów. Mnóstwo rąk ciemnych niesło ku ustom pełne trunku naczynia, aby je potem rzucać na podeptane trawy i kwiaty, gdzie, subtelne i wyrzeźbione, rozsypywały się rojami brylantowych iskier.

Jeziorem wyiskrzonym, zbałwanionym, pełnym groźnych pomruków, nad którymi wzbijały się swawolne pogwizdy i pokrzyki, zdawał się być ten dziedziniec szeroko rozłożony przed domem niskim, długim, białym, ze wszystkimi drzwiami i oknami szeroko rozwartymi i ukazującymi wewnątrz zburzone, pełne żółtej kurzawy i nierozpoznawalnych form rzeczy zrujnowanych i zbitych.

Na ganku zaś...

O jeden ze słupów ganku oparty plecami stał młody gospodarz domu pośród żołnierzy, którzy trzymali w rękach strzelby z osadzonymi na nich bagnetami. Na warcie tu postawieni, otoczyli tego, ku któremu pchały ich ciemne instynkty, przez moment niebezpieczeństwa obudzone i wzbudzone. Wypity trunek zaczerwieniał ich policzki i rozżarzał źrenice pod groźnie marszczącymi się czołami. Z ust padały słowa gróźb, przekleństw, natrzasań się, łajañ, coraz głośniejsze, grubsze; i wśród coraz zapalczywszych rozmachów ramion coraz szybciej poruszały się w rękach bagnety.

Wysmukły młodzieniec stał wśród tej groźnej wrzawy nieruchomy, z bezbronnymi ramionami skrzyżowanymi na wątłej piersi, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Trochę płowych włosów spadło mu na poblask czoło i kropla krwi wystąpiła na cienką wargę wśród męki przygryzioną. Na mękę tę składały się uczucia rozmaite. Oczy gorzały mu spod spuszczonej powiek gniewem tym krwawszym, że niemym, bo do milczenia zmuszonym przez własną niemoc i bezbronność. W zamian dwie wciąż ku niemu przeciskające się i wciąż przez żołnierzy odpychane kobiety były całe trwogą, tą trwogą szaloną, która oczy rozszerza, wszystką krew rzuca do serca, nogi wprawia w drżenie.

Gdy coraz zwęźało się i zaciemniało otaczające młodzieńca koło żołnierzy i bagnatów, siwa kobieta w czarnej sukni z wysiłkiem nadludzkim przedarła się ku synowi i odpychana, ramionami objąć go nie mogąc, roztaczała je za nim jak drżące skrzydła, które to opadały, grubiańskim pchnięciem w dół stręcane, to podnosiły się znowu, gdy usta targane konwulsją postrachu wyszeptywały jedno tylko, wciąż jedno słowo:

— Zmiłujcie się! Zmiłujcie się! Zmiłujcie się!

Nagle przeraźliwym głosem krzyknęła:

— Zabijają!

Bo kilka naraz bagnatów już ostrzami oparło się o pierś i skrzyżowane ramiona młodzieńca.

Lecz w tejże chwili piękna dziewczyna, w białej, porannej odzieży, wysoka i silna, przedarła się przez las uzbrojonych ramion i obu rękoma chwytając mordercze bronie, usiłowała od piersi brata je usuwać. Nie zdołała tego dokonać, lecz rozsypały się jej od głowy do kolan niedbale przedtem zwinięte włosy złote i z szerokich rękawów odzieży wychyliły się przedramiona jak alabaster białe.

Kilka grubych głosów śmiać się i wołać zaczęło:

— *Ech, krasotka! Bielenkaja! Prelest' kakaja! Pagodi!* Dostanie się i tobie! *Atstupiś, a to pocetuju!*

Wtedy stało się coś nadzwyczajnego. Siwa kobieta w czarnej sukni jak ptak zleciała z ganku i leciała przez dziedziniec ku ogrodowi, z rozpostartymi ramionami, z twarzą jak chusta białą, z jednostajnym wciąż, ustawicznym, coraz głośniejszym wołaniem:

— Gdzie kapitan? Gdzie kapitan! — Przed tym krzyczącym widmem rozstępowały się lub uchylały z drogi gromady pijanych ludzi, aż u wejścia do ogrodu przed dwoma nadchodzącymi oficerami stanęło i ze splecionymi u piersi rękoma powtarzać zaczęło po wiele razy, nieskończenie.

— Panie kapitanie! Moje dzieci! Moje dzieci!

Teraz i oni już z dala dostrzegli. Rozpalone od trunku i wzburzonych namiętności twarze żołnierzy, ostrza bagnatów ze wszech stron skierowane ku opartemu o słup ganku młodzieńcowi, piękna dziewczyna, cała w splątanych złotych włosach, szarpiąca się w ramionach rękawami munduru okrytych...

Dwaj różni ludzie, dwa różne wrażenia.

Po smagłej twarzy kozackiego setnika przeleciały błyskawice uśmiechów swawolnych i srogich, czerwone usta niedbale rzuciły do towarzysza słowa.

— *Niczewo siebie barysznia! Stoit ruskago saldata!*

Ale dowódca rotty pieszej słów tych nie słyszał.

Szerokimi ramionami jego wstrząsnęło drgnienie i krew falą gwałtowną rzuciła się mu do bielszego do policzków czoła.

— *Ech, czort waźmi! Napiliś! Nieszczastje budiet!* — wykrzyknął i z twarzą, na której gniew walczył z przestachem, kroku przyspieszył. Przyspieszał go ciągle, aż bieć zaczął, biegnąc wpadł na wschody gankowe i zaryczał. Bo ryczenie to było raczej niż krzyk, grzmot to był głosu przeciągły i wyrzucający z piersi grad wyrazów obelżywych i groźących. Jedną ręką pałasz z pochwy do połowy wysuwając, drugą ku dziedzicznemu wypręzał.

— *Precz! Precz! Precz! Do wozów i koni! Gotować się do odjazdu!*

Minuta, dwie minuty i ganek opustoszał. Po twarzy kapitana ściekały strugi potu, ocierał je chustką, mrucząc jeszcze niezrozumiałe połajania i przekleństwa. Wzruszenie, którego doznał i wysilek, którego dokonał, musiały być wielkie.

Siwa kobieta, kryjąca dotąd u czarnej swej sukni wzburzoną i rozplakaną twarz córki, zbliżyła się teraz do człowieka, który uratował życie i cześć jej dzieci. Drżąca jeszcze i jak papier biała szepnęła:

— Dziękuję.

On oburkliwie zamruczał:

— *Nie za czto! Nie za czto!* To moja powinność!

Potem ruchem porywczym zwrócił się do młodego gospodarza domu i głosem szorstkim, ale nie podniesionym, nie gniewnym, mówić zaczął:

— *Oj, wy bezumcy!* Co wy narobili! Ot nieszczęście! Ale sami... sami... sami wy winni... *bezumcy* wy! Ślepcy! Obląkańcy!

Wstrzymał się, obejrzał za siebie i ujrawszy stojącego w pobliżu setnika Kozaków na niego i innych zawołał, aby żołnierze gotowali się do odjazdu, aby za minut dziesięć byli na wozach i na koniach, rozkazywał.

Setnik, niższy rangą, podniósł rękę do czoła, salutował, lecz w celu spełnienia rozkazu nie odszedł, kobieta zaś w czarnej sukni, już nieco uspokojona, znowu do kapitana przemówiła:

— Panie! Uratował pan dzieci moje... od rzeczy strasznych. Pragnę wiedzieć, komu wdzięczność jestem winna... jakie jest pana nazwisko?

Rzecz dziwna! Słowa te głosem łagodnym i od wzruszeń doznanych drżącym wymówione jakby czymś twardym czy ostrym w kapitana ugodziły.

Znowu pod suknem munduru zatrzęśły się jego szerokie ramiona i znowu fala krwi aż po brzegi płowych włosów zalała mu czoło. Z ponurym błyskiem oczu, szorstko i szybko odrzucił:

— *Na czto wam moja familja?* Co wam do tego?

Setnik kozacki, zamiany słów tych słuchając, miał na ładnej, smagłej twarzy uśmiech zagadkowy i przez ogniste oczy jego, utkwione w twarzy kapitana, przemknął błysk zjadliwego szyderstwa. Potem znowu przed starszym rangą towarzyszem stanął w wyprostowanej postawie, z ręką do czoła podniesioną.

— Mam honor donieść, że żołnierze stawy jeszcze nie zjedli i że należy się im...

— Na konie wsiadać! Do wymarszu! *Shuszat!* — krzyknął kapitan i setnik z ganku zawołał:

— Na koń! Marsz!

Kapitan na gospodarza domu ani na dwie stojące przy nim kobiety nie spojrzał, czapki jednak, posepnie w ziemię patrząc, uchylił, ciężkim krokiem z ganku zszedł i na przygotowanego mu konia wsiadłszy, z wolna pomiędzy ruszający się tłum żołnierzy wjechał.

W kilka minut potem dziedziniec był już pusty. Jeszcze jakiś zapóźniony wóz szybko pod stajniami przejechał, jeszcze za sztachetami, za budynkami przebiegły jedne, drugie straże kozackie z posterunków zjeżdżające, jeszcze od oddalającego się i sznurem na drodze wyciągniętego wojska dochodził poszum głosów ludzkich, z turkotem wozów i tętentem nóg końskich zmieszany, ale dziedziniec pusty był i nie było w nim nikogo oprócz zdeptanych muraw, połamanych krzewów i kwiatów, błyszczących okruchów, porozbijanych naczyń, kałuż rozlanego trunku i podnoszących się nad tym wszystkim smrodliwych, ohydnych wyziewów.

Piękna dziewczyna z roztarganymi włosami i nabrzmiałą od płaczu twarzą rzuciła się ku matce, ręką na las wskazując.

— Mamciu! Oleś tam! I oni tam poszli! W ręce im wpadnie! Zabiorą... może zabiją!...

II

Aleksander Awicz miał lat dwadzieścia pięć, budowę ciała kształtną i silną, wyraziste rysy twarzy i wśród smagłej cery ciemnego blondyna piękne, szafirowe oczy.

Przed rokiem wrócił ze stolicy państwa, gdzie ukończył jakieś nauki wyższe, do swej niedużej, lecz ładnie pomiędzy las i jezioro rzuconej wsi rodzinnej, w której zamieszkał.

W rodzinie i szerokiej okolicy nazywano go wesołym Olesiem.

Słusznie go tak nazywano; bo i teraz nawet, gdy obóz powstańców opuścił, a w drodze, którą miał przed sobą, spotkać go mogły niebezpieczeństwa poważne, na twarzy jego ocienionej daszkiem małej czapki malowało się gorące, wezbrane mową obfitą i uśmiechem wesołym wybuchnąć gotowe życie.

Rad był, że pomyślnie i w porę spełnił włożone na niego zadanie; rad był z tego, co widział i słyszał w obozie; z upału uczuć, który rozlał się po świecie i gorącym strumieniem wlewał się mu do piersi, z różnorodnych nadziei, które w tej piersi wygrywały radosne hejnały, z tej pięknej dziewczyny, która dziś o dnia brzasku zegnała go z trwogą serdeczną, ze swoich lat dwudziestu pięciu, z wielkiego koła tworów świeżych, wonnych, cichych, które go otaczało, gdy na swym ulubionym koniu wąską drożyną leśną jechał.

Są natury ludzkie podobne do wód stojących, które wszystko, co je otacza, odbijają w postaciach sennych, mdłych, nudnych, martwych i takie, w których jak w wartkich potokach świat rozłamuje się na tysiąc świetlistych, barwistych obrazów, na tysiąc ognisk tryskających promieniami i tęczami.

On miał naturę wartkiego potoku; świat tysiącem czarodziejskich widzeń odbijał się w jego silnej młodości i wrażliwym sercu, krzesząc w nich wesołość. Widzeń rozwiąć i wesołości zgasić życie czasu jeszcze nie miało.

Las w to letnie przedpołudnie cichy był i chodziły po nim tylko szmery lekkich wiatrów. Drożyna w długich zakrętach biegła pomiędzy leszczynami, spośród których ciekawie wyglądały białe i żółte oczy kwiatów. O giętkie pręty leszczyny i jej chłodne liście ocierały się boki konia, który czasem wesoło parskał. Nad leszczynami daleko wznwyż i w głąb wzbijały się iglaste i liściaste drzewa. Żywica pachniała, ptaki szczebiały pośród drzew.

Po głowie jeźdźca przewijał się różaniec myśli, którego każdy paciorek miał inną barwę i z coraz innej strony trącał o serce.

Dobrze tam dzieje się w obozie. Zuchy chłopcy! Jak oni dzielnie te wielkie trudy i niewygody znoszą, jak nie żałują niczego, co porzucili, nie tracą zapалу i odwagi! Tęgo też w rękę trzyma ich naczelnik! Ciągłe musztry, ćwiczenia. I — karność! Przecież tam już dla kogoś nieposłusznego dół byli wykopali i rozstrzelany miał zostać... tylko mu inni wyprosilili życie. Co za człowiek! Jak stał hartowny, a czasem tkliwy jak kobieta. Za sprawne przywiezienie wieści dziękował mu dziś oczyma więcej niż ustami i można było wtedy przez te oczy zobaczyć, że dusza jego stoi w ogniu męki...

Cóż? Nie dziwi! Pułkownik wojsk regularnych w rzemiośle wojennym uczony wie zapewne, jak będzie trudno. Partyzantka... No, cóż robić! Tak krawiec kraje, jak materiału staje...

Tu drożyna, którą jechał, w gąszczu zarośli wpadła i przepadła. Wstrzymał konia, rozejrzał się dokoła. Las, las i tylko las. A gdzież ten moczar, nad który miał przyjechać, aby okrążywszy go znaleźć się na drodze szerokim i trudnym objazdem prowadzącej ku dworowi? Czy tylko po opuszczeniu obozu nie wziął się był na prawo zamiast na lewo? Głowę miał tak pełną tego, co w obozie widział i słyszał, że kto wie, czy nie popełnił omyłki kapitalnej? Trzeba zorientować się, pomyśleć...

Stanął na strzemoniach, aby dalej wzrokiem sięgnąć. Jakies tam w oddaleniu niedużym przeświecenie pomiędzy drzewami, które rozstępują się przed jakąś smugą żółtozieloną. Może to właśnie ta łąka błotnista... ten moczarek?

Z wolna, wśród wysokich sosen, po sprężystych mchach jechał ku prześwieconemu błękitem nieba punktowi lasu i rozwinął się w nim znowu różaniec myśli.

Gorzka szkoda, że nie jest tam z nimi w obozie i czasem nawet aż wstyd. Ale nie jego w tym wola. Taki był rozkaz. Trochę ludzi młodych i oddanych musiało zostać na swobodzie, aby partii służyć w inny sposób. Ale i na niego pora przyjdzie... Gdy partia przechodzić będzie w okolice inne, wtedy... Czy tylko przechodzić będzie? Czy dotrwa? Czy się nie rozproszy? Naturalnie, że prędzej lub później musi rozprościć się, lecz zgromadzi się znowu gdzie indziej i wtedy... Ale co dziś będzie? Co dziś się stanie? Dziś... za godzinę... za dwie... Gdy wyjeżdżał z obozu, wrzały tam przygotowania. Poleje się krew... padną trupy... czyje? Kto z przyjaciół, krewnych, towarzyszy jego dożyje jutra? Jaki będzie wieczór dnia dzisiejszego, tego pięknego dnia? O, Boże! Ty stwarzasz takie jak dzisiejszy dzień piękne, całe błękitne i złote, a ludzie rzucają na nie czerwone plamy!

Smutek jak ciężki kamień spadł mu na serce, w którym zakipiał niepokój o wynik bliskiej bitwy zrazu, a potem o daleki koniec tego wszystkiego... Młoda wiara w ostateczne zwycięstwo sprawy, silna wiara w powinność, która, bądź co bądź, pełnioną być musi, jak kolumny złotych domów przez podmuch wiatru targnięte, zachwiały się w podmuchu wątpienia, które ostrzem strasznie bolącym przeszło serce.

Życie nad gaszeniem wesołości młodzieńczej pracować zaczynało...

Ale już przybył tam, dokąd pomimo zadumy ciągle kierował konia i stanął u brzegu niedużej łączki leśnej. Nie jest ona tym mokradłem, które spodziewał się tu znaleźć. Gdzie tam! Sucha i kwiecista, iskrzy się od tysięcy żółtych jaskrów, a brzegiem jej biega białe szlaki poziomkowego kwiecia. Wybiega też z niej w głąb lasu parę drożyn wąskich i cienistych.

Ze zniecierpliwieniem dłonią w czoło się uderzył. Głupstwo stało się kapitalne! Żle pojechał! Od razu pewno po opuszczeniu obozu zmylił drogę.

Rozgniewany na samego siebie zastanawiał się, rozglądał po horyzoncie. Jedna z dwóch dróg do lasu z łączki wbiegających bardziej od drugiej zwracała się w kierunku dworu. Wybrał ją i pojechał znowu wąskim pasem zielonym, pośród gałęzi drzew, które co chwilę odbijały się mu o pierś i głowę, smagając boki jego konia. Rozłożyste, pełne wielkiego liścia ramiona grabów, klonów, dębów zarzucały mu przed wzrokiem zasłony nieprzeniknione, tak że niekiedy o parę kroków przed sobą nic widzieć nie mógł. Z dołu drogi za to, spomiędzy traw, które ją porastały, spomiędzy przedzierających się przez gałęzie smug słonecznych uśmiechały się ku niemu poziomki dojrzałe, bujne, lśniące wilgotnym połyskiem jak krople czerwonej rosy. Zapach bił od nich świeży jak poranek, dziki jak ten las.

Hej, hej, żeby tu była teraz jego Tosia, toż by zbierała te poziomki, toż by to była radość! Jak żywa stanęła mu przed wyobraźnią dziewczyna kochana, cała w śmiechu i słońcu chyląca się nad poziomkami, i znowu uśmiech promienny rozlał się mu po twarzy.

Gdyby tak teraz, w morzu zieleni, w tej ciszy i w tej samotnej dziczynie znaleźć się z nią razem, we dwoje... bez tego niepokoju, który jak świder wkręca się w serce, bo...

Co tam z nią dzieje się teraz, z nimi wszystkimi, z tym dworem, w którym dzieckiem, pacholęciem, młodzieńcem przeżył tyle godzin szczęśliwych? Gdy odjeżdżał, tamci nadjeżdżali. Co uczynili? Czegoż uczynić nie mogli? W takich jak ten momentach złe sny stają się jawą, baśnie prawdą, niepodobieństwa rzeczywistością. Co się tam dzieje te-

raz? Może płomienie... może kajdany... może trupy... Nie zdarzało się to gdzie indziej... niedaleko, niedawno?

Pochylił nisko twarz i wpadł w otchłań zadumy dręczącej jak zły sen... Piękny koń gniady stapał pod nim z wolna, równo, cicho po miękkich trawach. Dłoń jeźdźcy głaskała go niekiedy po lśniącym, zaokrąglonym grzbiecie, wtedy parskał wesoło, zgrabną głowę jakby w znak przyjacielskiego porozumienia podnosząc, to opuszczając i znać było, że pomiędzy tym człowiekiem a tym zwierzęciem panowała zażyła przyjaźń...

Wtem do słuchu jeźdźca przedarło się coś niewyraźnego, lecz wyraźnie obcego leśnym szmerom i odgłosom. Jakby turkot słaby, jakby głuchy w oddaleniu tętent. Wiatr ani drzewa tak nie szumią. Nie był to żaden z głosów lasu... Minuta, dwie i umilkło to, ustało. Ptaki w zamian, nie wiedzieć dlaczego, zaświergotały nad wąską drogą chórem prawie ogłuszającym, lecz niepodobna było zgadnąć, czy rozweselonym lub strwożonym.

Zatrzymał konia i począł wsłuchiwać się w ciszę. Nic już w powietrzu nie było oprócz lekkich szmerów wiatru po gęstwinach i tego szczebiotu ptactwa, który uciszać się począł.

Może to oni kędyś niedaleko stąd przechodzą, przejeżdżają?

Po raz pierwszy uderzyła mu do głowy myśl, że może się z nimi spotkać. Uderzenie to było zrazu podobnym do wrzątku, który by człowieka od stóp do głowy oblał. Ale prędko ostygąć zaczęło. Przypuszczenie nie zdawało się bardzo prawdopodobne, bo las był ogromny i tamta droga musiała znajdować się stąd daleko. A jeżeli... Cóż? Gdzie drzewa rąbią, tam trzaski lecą! Na wojnie jak na wojnie! Uczynił to, co do niego należało i jedno tylko głupstwo popełnił, drogę w lesie zmylił... Ale przecież i koń mający cztery nogi potyka się czasem; cóż więc on, który ma jedną tylko głowę i w dodatku aż gotującą się od różnych myśli i niepokojów!

Jechał dalej i myślał, co w wypadku spotkania uczyni. No, przede wszystkim poprosi pięknie Pioruna, ażeby go jak na skrzydłach wiatru odniósł jak najdalej... jeżeli będzie można, a jeżeli nie będzie można, to... to powie... cóż powie? Na polowanie wyjechał... Jak to? Bez strzelby i nijakiej broni? Więc na przejażdżkę... niby tak sobie... spaceruje konno po lesie, dla przyjemności czy, jak mówi stary wuj Klemens, dla „mocjonu”...

Uśmiechnął się na wspomnienie o pocziwym wuju, trochę też z pomysłu konnego dla przyjemności spacerowania po lesie w tej erze dziejów lasu, ale zaraz ogarnęło go przykre uczucie niesmaku. Kłamać, zapierać się, wykrętów używać! Wstrętne! I najlepiej nie myśleć o tym, co się prawdopodobnie nie stanie.

Koniec drożyny, którą jedzie, już widać. Dotyka, jak się zdaje, koniec ten jakiejś szerokiej drogi, której jednak dostrzec niepodobna. I nic wcale o parę kroków naprzód wyraźnie dostrzec niepodobna zza tych zasłon gałęzistych, co chwilę nad drożyną opadających.

Znowu odgłos jakiś, obcy odgłosom lasu. Jakby w pobliżu powolne stąpanie konia, a dalej, dalej, jakby poszum przyciszony, ale nie drzew i nie wiatru...

Hej! Żle z nami! Tam ludzie są! Ale jacy? Kto? No, cóż robić? Raz kozie śmierć!

Piękny gniadosz szeroko piersią roztrącił, rozerwał gęsty upiół giętkich gałęzi grabowych, za nimi ukazała się droga szeroka i jeździec wychylający się z wąskiej drożyny oko w oko spotkał się z drugim jeźdźcą, który nadjechał drogą szeroką i szybkim, wprawnym ruchem konia swego przodem ku niemu obrócił.

Spotkanie to było tak nagłe i niespodziewane, że oba konie jak wryte stanęły i obaj jeźdźcy wzajem w sobie zatopili wzroki zmieszane, lecz niemniej przenikliwe i bystre.

Człowiek pleczysty, na twarzy rumiany, w mundurze oficera rosyjskiego, bystro, podejrzliwie, posępnie patrzył spod brwi zjeżonych na młodzieńca, który w postawie wyprostowanej, siedząc na pięknym koniu, zatapiał w nim roziskrzone oczy. Dwa rozłożyste klony wznosiły nad ich głowami głęboką arkadę z prześwieconego przez słońce liścia.

Milczenie trwało krótko: sekundy; po czym basowy i oburkliwy głos oficera zapytał:

— *Kto wy takoj?*

Z wielkim spokojem młody jeździec imię i nazwisko swoje wymówił.

— *Atkuda?*

Wymienił nazwę rodzinnej wsi swojej, niedalekiej stąd, w której przebywał stale...

Siwe oczy oficera roztropnym, badawczym spojrzeniem ogarniały go całego, od stóp do głowy. Nie mógł mylić się; w zwykłym, codziennym ubraniu, bez broni, bez śladów zmęczenia w powierzchowności własnej i konia, na którym jechał, nie mógł to być powstaniec. Więc czegoż w okolicznościach... takich włóczy się po lesie? Ten jakiś dziwny gniew, posępny i nieustanny, który zdawał się być stałą jego cechą, wezbrał mu w oczach i na twarzy.

— Czego *szlajecie* po lesie? Rozum postradaliście, czy nigdyście go nie mieli? Ej, ty, Boże mój, *kakije bezmozgħyje ludi!*

A potem z wybuchem głosu i rozkazującym gestem ramienia.

— *Ubirajsia k' czortu!* Do domu jedź! *Skarej! skarej!*

Młody jeździec ukłonem grzecznym czapki uchylił, po czym konia na tę drożynę, która w to miejsce przywiodła go, zawrócił.

Oj, ty, Piorunie mój kochany, przenieśże ty mnie przez piekielne drogi! Bo oto na szerokiej drodze, w pewnym jeszcze oddaleniu, lecz już bliżej niż przedtem tętent koni słychać, turkot wozów...

Posłuszny głosowi i dotknięciu pana swego poniósł go Piorun po drożynie leśnej, przez zasłony gałęziste, które za nim rozwierały się, to zamykały i niósł coraz prędzej, ale krótko... bardzo krótko. Tuż, tuż w pobliżu rozległ się tętent biegnących koni, wśród zieleni liścia zamigotały czerwone ozdoby ubrań i długie piki zarysowały czarne linie. Kozacy przedzierali się przez las ku dostrzeżonemu jeźdźcowi, drogę mu zajeżdżając. Na czele ich pędził setnik, wysmukły, zgrabny, piękny w czerwonych pasach ubrania, z czarnymi oczyma rozgorzałymi wśród śniadej twarzy...

Jakaż słuszość tkwiła w dwa razy powtórzonym wykrzyku oficera: *Skarej! Skarej!* Może gdy go wydawał, przemknęła mu przez głowę myśl o tamtych jak ptaki chyżych. Ale już czasu na pośpiech nie było.

— *Stoj! Stoj!* — rozległo się i echemi rozbiegło się po cichym zielonym lesie. Ze wszech stron otoczony stanąć musiał.

Oficer plecysty i nieco na swym ciężkim koniu przygarbiony ku najeżonej pikami grupie jeźdźców powoli nadjeżdżał.

Teraz setnik kozacki zapytywał:

— *Kto wy takoj?*

Czy brzmienie głosu, w którym obok srogości czuć było wzgardliwą drwinę, czy namiętne oczy południowca, w których błyskała iskra złowroga — coś w tym człowieku i coś w tym pytaniu targnęło dumę pojmanego młodzieńca i dmuchnęło na żarzącą się w nim iskrę gniewu. Głosem spokojnym, lecz z okiem rozplomienionym odpowiedział:

— Jestem człowiek!

Kozak z uśmiechem, dzieląc sylaby wyrazów, zażartował:

— *Cze-la-wiek!* Nie małpa? *Cha-ra-szo!* Ale dokąd jedziecie?

— Przed siebie... w świat.

— W świat! *Charaszo!* Ale skąd?

— Ze świata.

Dwa odmienne typy, dwie rasy, dwie różne, lecz równe sobie młodzieńcze urody. U obu wzrastało, coraz goręcej kipiało to, co starzy Latyni wyrazili w przysłowiu: *homo homini lupus est*. Oczy ich, jak sztyletami pojedynkujące się spojrzeniami, nabierały połysków wilczych.

— Ze świata? Nie; nie ze świata, ale od *mia-tież-nikow...* od *mia-tieżni-kow*, do których jeździliście z ostrzeżeniem...

Mówił z wolna, dzieląc sylaby wyrazów, słowa syczały mu w ustach, których uśmiech uragał, wyzywał.

— Tak — odpowiedział tamten — to prawda. Byłem w obozie powstańców i stamtąd jadę.

Słowa te wypadły mu z piersi od burzy uczuć wzdętej; szafirowe czy, roziskrzzone, patrzyły prosto w stronę przeciwnika.

W tejże chwili zbliżył się ku niemu dowódca rotty pieszej i ze zjeżonymi brwiami przemówił:

— Jesteście aresztowani! Zsiądźcie z konia!

Miał na rozkaz ich zsiąść z konia! O! Gdyby broń w rękę lub pod ręką, toby w nich naprzód... potem w siebie... Nie miał broni... i był jeńcem.

Kiedy zeskoczywszy z konia gestem pożegnalnym kładł dłoń na jego szyję, usłyszał słowa powoli i ze świstem z ust kozackiego setnika wychodzące.

— *Cha-raszo!* Znacie drogę do *mia-tież-nikow*, to i nam ją pokażecie. Usiądźcie na pierwszym wozie i drogę pokazujcie!

Jeniec odwrócił się i znowu w twarzy Kozaka wzrok zatopił. Nie wyglądał teraz wcale na wesołego Olesia. Błady jak płótno, czoło miał zmarszczone i wargi drżące. Tymi drżącymi, zbladłymi wargami, głosem od wzburzenia więznącym w gardle wymówił:

— Zabić mnie możecie, ale nie macie prawa łżyć mię przypuszczeniem, że mogę zostać zdrajcą.

Czy złudzenie to było, czy rzeczywiście usłyszał, że kapitan rotę pieszej cicho pod najeżonym wąsem mruknął:

— *Maładiec!*

A na czarne oczy setnika kozackiego z wolna ciemne powieki opadły i z ustami, których piękna linia wykrzywiła się w uśmiech niby drwiący, niby zmieszany, chyżego konia swego zawróciwszy, pomknął na nim szeroką drogą ku nadciągającym wozom.

Na tę drogę wszedł również, z konia zsiadłszy, pleczysty kapitan i obok jeńca, przed żołnierzami, którzy dwa konie prowadzili postępując, wciąż ku niemu twarz obracał. Nie mówił nic, tylko co chwilę na niego spoglądał, odwracał się i znowu spoglądał; brwi i wąsy jego stawały się mniej najeżone, zarys ust mniej twardy...

I nie było wcale złudzeniem to, co spod rudawych wąsów cichym pomrukiem wyszło.

— Ach, *bezumcy... miechtatieli... nieszczastnyja żertwy!*...

Doszli do wyciągniętego na drodze taboru wozów. Kapitan oczyma po wozach po-
wiodł i jeden z nich wskazał jeńcowi. Siedziało na nim paru żołnierzy.

Twarz swą grubą i rumianą, od upału spotniałą nad jeńcem pochylając szepnął:

— *Osteregajcieś!* Nie *razdrażajcie* ich... bo... może być bieda!

Ostatnie słowa wymówił po polsku.

III

Drogą dość szeroką, lecz najeżoną korzeniami drzew starych, tworzącymi sieć grubych i twardych garbów, powoli i ciężko posuwał się tabor złożony z kilkudziesięciu wozów napełnionych żołnierzami. Przed każdym z żołnierzy sterczał na pogotowiu w rękach trzymany karabin z wprawionym weń bagnetem. Na pierwszym z wozów jechali dwaj chłopci ponurzy i milczący; przewodnicy po tym ogromnym, pełnym dróg, drożyn, zarośli, ciemności, labiryncie leśnym. Postrach, zapłata hojna, może instynkty jakieś nienawistne czy zawistne, w momentach burz budzące się jak wichry, umieściły ich na tym przewodniczącym wozie.

Z przodu, z tyłu, po bokach jechali Kozacy pikami strącając z drzew deszcze liści i niekiedy wbiegając do lasu, gdzie kopyta koni ich krzeszały z suchych mchów i gałęzi grady krótkich trzasków, a ozdoby ubrań migotały wśród zieleni jak biegające po niej czerwone plamy.

Znad wozów razem z turkotem kół głucho i często o korzenie drzew stukających podnosił się przyciszony pogwar głosów ludzkich. Czy przyciszał go rozkaz przez dowódcę wydany lub tłumy pracujące w tych licznych piersiach niepewności i grozy tego lasu? Trudno wiedzieć, ale podobne to było do groźnego i zarazem trwożnego pomruku zwierza, który idzie na łup i rozgląda się, czy nie zobaczy myśliwców. Myśliwcy ukrywać się tu mogli za każdym zakrętem drogi, za każdą firanką zarośli, w każdym z niezliczonych cieniów, które wśród drzew wysokich stały jak czarne olbrzymy, gdzieś gdzieś złotymi strzałami od słońca przebijane.

Las nabierał coraz wyższego, ściślejszego podszycia i listowia, droga z nieznacznym skłonem w dół opadająca stawała się wilgotna. Zniknęła z jej powierzchni garbata sieć korzeni, ukazały się natomiast wyłobienia w różnych kierunkach poczynione przez wody, które wiosną musiały tu rozlewać się szeroko, a teraz niedobrze jeszcze przez majowe ciepła osuszone gdzieniegdzie szklily się w długich brzdach i dość głębokich wądołach.

Wyraźnym było zbliżanie się do gruntów niskich, mokrych, które mniej niż inne sprzyjają roślinności wzwyż bujającej, lecz za to z hojnością ogromną udzielają życia jej tworom niższego wzrostu. Drzewa stawały się rzadsze, niższe, cieńsze, pokrzywione, sękami osiadłe, czernią jakąś powleczone, natomiast z obu stron drogi powstawały nie już jak gdzie indziej zarośla przezroczyście, na wyłomy porozrywane, lecz nieprzerwane i gęste natłoki krzaków i karłowatych czy niedorosłych drzewin.

Wóz przewodniczący skręcił w bok i opuszczając szeroką drogę wjechał na groblę wąską, z dwu stron głębokimi rowami obrzeżoną. W rowach stała woda biaława, zielonawą pleśnią gdzieś powleczone; za rowami wznosiły się ściany zarośli, u góry w niezliczone nierówności postrzępione, lecz od dołu przedstawiające powierzchnię ściśliwą, gęsto z prętów, gałęzi i niezliczonego listowia zbitą i splątą.

Były to nieprzejrane szeregi i tłumy leszczyn, malin, kalin, jeżyn, małych wierzb, olszyn i osin, bzów dzikich, łóz, sitowia, olbrzymich ajerów i kosaćców, jakichś traw wysokich i rozczochranych, jakichś pasożytnych palców i wieńców, które to wszystko oplatały, a z tych powikłań i uplotów, z całej tej gęstwiny linii i kształtów o tysiącnych kierunkach i formach, w górze i w dole wychylały się białe baldachy bzów dzikich, lilowe kielichy kosaćców, żółtawe gwiazdy jakichś roślin bagiennych, mętnością barwy oznajmujące zbliżające się królestwo martwych wód i grząskich topielisk. Słońce rzucało na te ściany zielone i ukwiecone pozłotę dla oczu przykrą i olśniewającą, wśród której wąski szlak grobli przypominał czarnego węża, który by na słońcu wygrzewał pogarbioną i gdzieś mętnie połyskującą skórę. Mętnymi połyskami świeciła woda stojąca w wyżłobieniach i koleinach grobli.

Gdy wozy tabor składające wjechały na groblę, unoszący się nad nimi pogwar głosów umilkł i słychać było tylko nie turkot, ale szum kół bardzo powoli przesuwających się po rozmiękłym gruncie, czasem kłapanie wody pod kopytami koni, czasem na jednym z wozów wykrzyk pijany, lecz krótki. Z głów żołnierzy nie ulotniły się jeszcze całkowicie opary wódki w godzinach porannych z kuf owych we dworze wypitej, lecz miejsce, w którym się znaleźli, głuchym niepokojem czy niewyraźnym przeczuciem pozamykało im usta i w zamian szeroko pootwierało oczy.

Kapitan wyjechał na czoło taboru i słychać było, jak z ponurymi przewodnikami zamieniał słowa groźbą brzmiące, to znowu w znaki zapytań zagięte. Oni odpowiadali:

— Inaczej jechać nie można. Innej drogi do nich nie ma. Jest kędyś inna, ale jeszcze gorsza i... dalsza...

Na wielkim, ciężkim koniu, sam ciężki i ponury, powracał oficer wzdłuż taboru i wzrok jego upadł na siedzącego wśród żołnierzy młodego jeńca. Zawrócił konia i obok wozu tego jechać zaczął.

Wtem stało się coś tak przeraźliwego jak piorun lub nagła śmierć. We wznoszących się po obu stronach grobli ścianach zielonych rozległ się grzmot wystrzałów i wypadły z nich roje ognistych błyskawic. Spomiędzy jadących na czele Kozaków paru spadło z koni, pod paru innymi konie upadły, na wozach też widać było ciężkie postacie, walące się na wznak i broń z rąk wypuszczające.

Zasadzka; jeden z najstraszniejszych środków przysługujących wojnom partyzanckim.

Na wąskiej grobli powstał ruch pełen zamętu i podniosła się wrzawa pełna krzyków.

Żołnierze zeskakiwali z wozów i bez ładu, zarówno jak bez widzialnego celu, strzelali do zarośli; przestraszone konie skręcały wozy, które stając w poprzek drogi lub w połowie wywracając się do rowów, czyniły niemożliwym jakiekolwiek formowanie się żołnierzy w szeregi lub oddziały; gibcy Kozacy na chyżych swych koniach przeskakiwali rowy i usiłowali wdzierać się w gęstwiny, które stawiały opór i z których co minutę nowym grzmotem i z nowymi błyskawicami wypadał rój pocisków; ciała ludzkie pociskami dosięgnięte padały na rozmokłą ziemię grobli, na koła i brzegi wozów, pod kopyta rozszalałych koni, do wody, napęniającej rowy. Powietrze napęniło się wrzawą ludzką i zwierzęcą, gromami i grzmotami strzałów, kłębamii prochowego dymu.

Wśród piekielnego tego zgielku i zamętu kapitan z wielką przytomnością i odwagą głosem i ruchami usiłował w tę dziwną walkę wlać ducha porządku i jedności. Ale potężny głos jego, wyrzucający z szerokiej piersi słowa komendy, zatapiał się we wrzawie, a formowane przez niego szeregi i oddziały wnet chwiały się i rozpraszały, rażone z przodu i z tyłu, zza obu ścian zarośli ukrywających wroga. Zziąjany koń jego za wielki był i za

ciężki do obracania się na przestrzeni wąskiej, wśród bezładnego ścisku ludzi i rzeczy. Parę razy tylne nogi jego ześliznęły się do rowu; parę razy stanął dębem przed nagle upadającym trupem konskim czy ludzkim. Po twarzy kapitana lały się strugi potu, w oczach świeciła rozpacz, kule jak gwizdzące pszczoły latały dokoła głowy jego i ramion. Jedna rozdarła mu rękaw munduru i drasnąć musiała ramię, lecz on nie zdawał się czuć tego ani spostrzegać; z szybkością, na jaką tylko liczne przeszkody pozwalały, pędził ku garści żołnierzy, która plecami odwróciwszy się do pola bitwy, poczyniała biec ku początkowi grobli. Zabiegł jej drogę, głosem gromił i błagał, ruchami pałasza zachęcał i napędzał, aż powróciła, aby zwiększyć na grobli zamęt ciał i huk wystrzałów, ku niewidzialnym celom kierowanych.

Część Kozaków, pod wodzą setnika przeskoczywszy rowy, zdołała przedrzeć się w zarośla i słychać tam było wściekle krzyki, zgęszczone strzały, z trzaskiem pękające pod naporem konskich piersi gałęzie drzewne czy pod konskimi kopytami kości ludzkie.

Nie trwało to wszystko jeszcze nad ćwierć godziny, a już wodę w rowach stojącą i trawę nad rowami tu i ówdzie zabarwiała krwawa czerwoność.

Aleksander stał na wozie, u którego dyszla z szyją ruchem męczeńskim wykręconą leżał zabity koń. Bezbronne ręce zaciskał około jakichś sterczących na wozie przedmiotów i cały naprzd podany, wzrok szeroko rozwartych oczu wyteżał ku zięjącym kulami i ogniem zaroślom. Zdawać się mogło, że dusza z niego wyszła i znajdowała się po tamtej stronie zielonej ściany, pomiędzy tymi, których kule lada chwilę zadać mu mogły śmierć. Nie było takiej sekundy, w której by nie mógł zginąć i... myśl okropna! — zginąć z rąk, które kochał. Czy myśl ta przechodziła mu przez głowę, dokoła której ze świstem i gwizdem przelatywały kule? Czy może nie miał w głowie żadnej wyraźnej myśli oprócz tej jednej, palącej, że nie jest, że nie może być tam... z nimi? Sam nigdy w przyszłości sprawy przed sobą zdać nie mógł. Ale co chwila pot zimny oblewał mu czoło i oddech zatrzymywał się w piersi w oczekiwaniu czegoś niewyraźnego, niepojętego... wyjścia ich może zza tej ściany, która ich zasłaniała, skrzydeł może, które by jego do nich przez tę ścianę przeniosły, śmierci może. Nagle zadrżał od stóp do głowy i trzęsącymi się wargami krzyknął:

— Apolek!

Z obłąkanymi prawie pobłyskami oczu wpatrywał się w młodzieńca, który ruchem gibkim wypadł spomiędzy zarośli i u stóp ich na jedno kolano przykląkwszy, ze strzelbą do oka przyłożoną strzelać począł. Zuchwały ten rycerzyk, w zapale młodzieńczym nie dość zapewne rozkazom wodza posłuszny, zapragnął może spotkać się oko w oko z tymi, z którymi walczył, dokonać wiele, dokazać więcej od innych. Wyskoczył zza osłony, na jedno kolano ukląkł, strzelał... karmazynowa konfederatka zsuwała się mu z ciemnych włosów odsłaniając gładkie i ogorzałe czoło, oczy nieco zmrużone nappełniała uwaga wyteżona, a na usta pod drobnym wąsem wystrzeliwał uśmiech niemal chłopięcej przekory. Nagle zawołał:

— Oleś! A ty tu skąd?

Dostrzegł stojącego na wozie jeńca, lecz natychmiast o nim zapomniał, znowu ze strzelbą do oka przyłożoną mierzył, strzelał, aż stała się z nim rzecz jak piorun szybka i śmiertelna.

Z zarośli wypadł setnik kozacki na koniu, z którego uda krew ciekła i którego już wspinał, aby rów z powrotem na groblę przeskoczyć, gdy zuchwały rycerzyk w karmazynowej czapce zmierzył do niego, wystrzelił i — Kozak, w pierś kulą ugodzony, spadł z konia, rozciągnął się u stóp zarośli. A w chwilę potem tak krótką, że w niej powieka ludzka zaledwie mrugnąć by zdołała, z grobli na drugą stronę rowu przeleciała kula inna i utkwiała w czole rycerzyka, który padł także...

Wówczas Aleksander uczuł na twarzy gorący oddech konia, a tuż przy uchu jego zaszemrał ciężki szept kapitana:

— *Kto eto? Kto eto?*

Stał na koniu błąd jak kreda i palcem na zabitego powstańca wskazując, z obłąkanymi prawie oczyma młodego jeńca zapytywał:

— Apolek? *Razwie eto Apolek?* Apolek?

— Tak, Apolek.

Dwie piersi: oficera i jeńca szybko, z głuchymi jękami dyszały.

— Karłowickij?

— Karłowicki.

— *Boh moj!* — krzyknął kapitan i był to krzyk przerażenia, bólu, nie wiedzieć jeszcze jakiego uczucia, ale które piersi rozrywało.

U stóp zarośli, u brzegu mętnie połyskującej wody, leżeli niedaleko siebie na zielonej trawie rozciągnięci dwaj urodziwi młodzieńcy, jeden czerwonym, drugi czarnym pasem przepasani jeden z rozdartą i skrwawioną odzieżą na piersi, drugi z czarną i sznurek krwi sączącą płamą pośród czoła. Głowy ich okryte były czarnymi i ciemnymi włosy, a czapki daleko na zieloną trawę odrzucone dwoma różnymi odcieniami czerwoności iskrzyły się w słonecznym świetle. I przeglądało się iskrą nieruchomą światło słoneczne w szkle martwych ich oczu...

*

IV

Od dnia klęski, którą w lasach poleskich poniósł oddział pieszego i konnego wojska, od dnia, w którym wspólnie z kilku towarzyszami poległ w bitwie Apolek Karłowicki, a Aleksander Awicz do więzienia znajdującego się w mieście najbliższym przez resztkę pobitego wojska odwieziony został, kilka tygodni upłynęło.

Na świecie był już lipiec upalny i duszny. Na szerokie pola kładły się pod ścinającym je sierpem obfite zboża i płynęły szelesty złotej słomy. W rzekach, jeziorach, strumieniach leśnych i brodach łukowych wysychały wody; nad złotymi polami, nad żółknącymi w upale łąkami, nad lasami stojącymi w kamiennych ciszach, szerokie koła pod wyiskrzonym sklepieniem nieba zataczały uczące się latać bociany.

Trzypiętrowy gmach więzienny wznosił się nad niskimi domkami miasteczka, jak wszystkie więzienne gmachy ponury, nagi, szerniał, zamknięty. U dołu jego, na dziedzińcach i na piętrach niższych rozlegały się czasem hałasy, krzyki, rozmowy, szczęki broni, lecz okna rzędu najwyższego, pod czerwonymi gzymsami dachu zdawały się przez otwory krat żelaznych oddychać milczeniem i samotnością.

Im wyżej, tym samotniej. Nie dochodziły tam z dziedzińców i pięter niższych żadne głosy ludzkie i nie dochodził mały, uliczny gwar miasteczka. Czasem tylko słychać było krótkie rozmowy zmieniających się szyldwachów, wlokące się kroki dozorców lub zgrzyty kluczy obracanych w zamkach otwieranych i zamykanych cel. Im wyżej, tym piękniej. Z tych okien wysoko wzbitych nad ziemię wzrok mógł dostrzegać trochę złotego pola, które miasteczko otaczało, pasek lasu za polem i w południe czarne sylwetki bocianów zataczające pod niebieskim błękitem szerokie koła. Bociany z oddala znacznego wydawały się bardzo małe: w zamian wielka zawsze twarz słoneczna co wieczora po skłonie nieba spływała za pasek lasu i zapalały się potem nad nim zorze wieczorne.

Im wyżej, tym smutniej. Na skrawek przestrzeni wolnej, na ptaki skrzydlate, na niebo i światło niebieskie patrząc, te wysoko usadzone okna więzienne zdawały się być oczyma nalanymi czarnością nocy.

Za jednym z tych okien, w izbie więziennej jak wszystkie więzienne izby ciasnej, niskiej, szerniałej i ponurej, Aleksander Awicz siedział pod ścianą na wąskim zydłu i czytał. Przed niewiele dniami posiadał pozwolenie otrzymania z zewnątrz kilku książek i nie wiedział zupełnie, czemu lub komu tę ulgę w losie swym miał przypisać.

Bo aż do tych dni ostatnich surowość postępowania z nim równa była ciężkości jego przewinienia. Za jego to właściwie sprawą wojsko poniosło klęskę od ostrzeżonych przed nim powstańców, czyn ten stwierdził własnym wyznaniem, samemu w lesie uczynionym i po kilkakroć już powtórzonym przed obliczem komisji śledczej. I zachowanie się jego przed tym zbiorowym obliczem do łagodności skłaniać nie mogło. Na mnóstwo zadawanych mu pytań nie miał nigdy odpowiedzi żadnej oprócz stałego potwierdzenia czynu, którego dokonał sam. Należał do najodporniejszych, najtwardszych. Do najmniej mównych także, bo czuł, że gdy raz otworzy usta, wszak znowu jak płomień zagorzeć może w uniesieniu takim, z jakim setnikowi kozackiemu rzucił swoje wyznanie.

Zniósł wiele — i cierpienie przeciągnęło po nim swój ryłec i swój pędzel. Schudł i spłowiło mu na twarzy męskiej jej przedtem zabarwienie. Na czole wyrzyły mu swe blade

piętno dni głuche i noce bezsenne, w oczach odbiła się tęsknota otoczona wspomnieniami i ustępująca tylko przed niepokojem pełnym grobowych widm. Jednak z młodzieńczych tych oczu blask i ogień nie znikły i na pobladłe usta przypomnienia rzeczy minionych sprowadzały niekiedy uśmiechy, z których lada promień życia wykrzesać mógł dawny śmiech wesoły i pusty. Ale wysubtelniał i wyduchowniał. W wyszczuplonym ciele czuć było jakąś sprężynę, która wyprostowywała je dumnie i jakąś pieśń z nutą smętną, lecz wzbijającą się wysoko.

Przez małą, otwartą w oknie szybkę powiał wiatr i z lekka poruszać mu zaczął na głowie ciemnopłowe włosy. Jakby ręka jakaś opuściła mu na głowę orzeźwiającą pieśczętę, jakby coś z zewnątrz na niego zawołało. Książka wypadła mu z ręki. Porwał się, prawie swawolnym ruchem dawnego Olesia na zydel wskoczył, przy oknie stanął, przez otwartą szybkę patrzeć zaczął. Patrzył na zawieszoną nad dalekim paskiem lasu twarz słońca, ogromną i jaskrawą, na szmat złotego pola, po którym na kształt czarnych kropel roili się malutkie z oddalenia istotki i głęboka bruzda cierpienia przerznięła mu czoło.

W tej chwili w ogromnym zamku zazgrzytał klucz i zza drzwi nieco uchylonych basowy głos męski zapytał:

— *Pozwalajecie?*

Ze zdziwieniem więzień spojrzał na tego grzecznego gościa, który przed wejściem do celi więziennej o pozwolenie wejścia do niej prosił.

Był nim oficer dość wysoki, barczysty i ciężki, z twarzą grubą, choć dość kształtną, z czołem od rumianych policzków bielszym i rudawymi nad nim włosami. Srebrna, wąska taśma z zawieszonym na niej pałaszem ukośną linią przepasywała mu piersi i plecy okryte obcisłym mundurem.

Cela była ciasna; drzwi jej znajdowały się o kilka kroków od okna, u którego, z zydła zeskoczywszy, stał Awicz. Oficer zatrzymał się o krok jeden przed drzwiami, które zamknęły się za nim i znowu kluczem obracany w zamku zazgrzytały.

— Nie chciałbym mieszać — zaczął — i jeżeli *nie w czas* przychodzę...

Mówił niezmiernie zepsutą polszczyzną.

— Owszem — wahającym się głosem i wpatrując się w gościa odpowiedział więzień.

— Wszakże to pan był... tam... z wojskiem?... Czy może myłę się?

Nie odpowiadając na zapytanie, gość spod rudego wąsa mrukliwie wymówił:

— Mam honor rekomendować się: Apolinary Karłowicki.

— Karłowicki?... Apolinary? — z ruchem najwyższego zdziwienia zawołał więzień.

Sklonił się oficer.

— I Karłowicki, i Apolinary. Dziwi się pan... *nu*, różne *sluczaje* na świecie bywają...

— Krewny może biednego Apolka?

Oficer ręką po białym czole powiódł.

— To był mój stryjeczny brat. Jego ojciec i mój ojciec byli *rodnymi* braćmi.

W celi oprócz wąskiego zydła przy ścianie, którego jeden koniec więzienną pościelą okryty naśladował łóżko, znajdował się jeszcze stółek drewniany i krzywy, brudny, z popękanych desek zbitý stół. Oficer postawił stółek przy krzywym stole i usiadł.

— Ja przyszedł, aby z panem o nim pomówić... ja tego chłopca lubił... on mnie był *dorog*... ja dziś tu w więzieniu cały dzień dyżurnym... więc pomyślał sobie: pójdę, rozpytam się o niego... kiedy? jakim sposobem? bo ja nigdy nie spodziewał się... On w Moskwie uczył się. Dwa lata uczył się tam i do starszego brata na święta wielkanocne pojechał. *Nu da!* Jak pojechał, tak i nie powrócił. Oni tu swój majątek gdzieś mają... więc pan jego pewno znałeś? Czy pan jego znałeś?

— Z bliska, mieszkaliśmy w sąsiedztwie niedalekim.

— *Da! da!* Jak tylko mnie pan tam... w *lesu*, swoje nazwisko powiedział, ja zaraz przypomniał sobie, że gdzieś je słyszał, a potem i to przypomniał, że od Apolka słyszał... On mnie wszystko opowiadał, jak dzieckiem był, kogo znał, z kim bawił się... Ach, *nieszczęstnyj!* jak on tam popadł? Kto jego namówił? Taki młody... *i dobr! Ach, dobr! Kakoje u niewo było dobroje, czystoje, dietskoje sierdce!*

Zwiesił głowę i żalność głęboka rozlała się mu po twarzy. Przy tym widać było, że w chwili wzruszenia na usta jego ciśnie się mowa, do której przywykł i w której był biegły. Podniósł po chwili głowę i spotkał się oczyma z utkwionym w niego zdziwionym wzrokiem więźnia. Iskra gniewu zamigotała mu w chmurnych oczach.

— Pan dziwisz się! Czego dziwić się? Dlaczegoż to Apolek bratem moim być nie mógł. Na świecie różne *sluczaje* bywają. Ot, dwóch *rodnych* braci było, daleko od siebie mieszkali. Jeden został się przy majątku, a drugi go stracił i jak stracił, na służbę poszedł... w *twierskiej* guberni służył. *Nu da!* Tak Apolek był syn jednego brata, a ja był syn drugiego... *dieduszka* nasz miał imię Apolinary i nas obydwóch tak nazwali. Ale stryja ja nie znał, bo *on rano* umarł i ja do tego czasu nigdy tu nie przyjeżdżał, a teraz *uwy!* ze swoim pułkiem przyjechał, żeby *miatież* uspokajać. I oto co zobaczył! Apolka zabitego zobaczył... chłopca, mego miłego brata!

Przywiązanie do poległego powstańca, dziwne jakoś w grubym człowieku tym, tkliwie ujmowało młodego więźnia i zaciekał go ten oficer z naturą, jak się zdawało, dość złożoną. Zapytał, jakim sposobem mógł tak z bliska znać stryjecznego brata, skoro nigdy dotąd w kraju nie był. Oficer z pośpiechem odpowiedział:

— Już mówił, że on dwa lata był w Moskwie, a ja tam wtedy z pułkiem stał. *Nu wot* my gdzieś się spotkali... jedno nazwisko... pyta się on mnie, czy nie krewny! A ja już wiedział, kto on, i mówię: „Ja wasz stryjeczny brat”. Tak on, *sierdiecznyj*, za szyję mnie objął...

Zatrząśł mu się głos w gardle, grubym kołnierzem munduru otoczonym.

— Familii ja nie mam, nikogo swego na *swiecie* nie mam... krew odezwiała się... polubił brata... I jak nie polubić? Taki dobry, *sierdieczny* chłopak. I *krasawiec* że on był! I on mnie polubił, choć czasem i *sierdził* się na mnie, *nu tam*, za różne głupstwa, ale zawsze potem przychodził i mówił... „Ty biedny... co ty winien...”

Zamilkł, ramieniem uczynił gest rozpaczny.

— Co tam już gadać! Co opowiadać. Minęło, *propato!* Już jego na świecie nie ma... Ale...

Wyprostował się, chmurne jego oczy z wyrazem prośby utkwily w twarzy więźnia.

— Ale teraz ja przyszedł pana prosić, żeby pan mnie wszystko o nim opowiedział: jak się to stało? Jak do tego przyszło? Kto go namówił?

Opowiadanie było krótkie. Nikt go nie namawiał i przyszło do tego w sposób prosty. Chłopak był żywy, szlachetny, kochał kraj, kochał ideę, uniósł go ten prąd, który unosił innych.

Oficer słuchał z głową spuszczoną, w ziemię patrząc.

— *Głupost!* — sarknął.

— Co jest *głupostią?* — uśmiechnął się Awicz.

— *A wot*, te wszystkie wasze idee i *prądy!*

— Wiele by o tym mówić — z nowym uśmiechem rzucił więzień.

— Ja i chciałby z panem wiele o tym pomówić... chciałby bardzo... Nu, ale to później, kiedy ja tu inszego dnia przyjdę... a teraz ot, co ja jeszcze chcę panu powiedzieć...

Dłonie na kolanach oparł, łokcie z fantazją nieco rozstawił; do chmurnych oczu jego zabłądził nikły uśmiech.

— Ja nie tylko dlatego tu przyszedł, aby o Apolka rozpytać się, ale i dlatego także, *nu da!* dlatego, żeby się poznać z panem... wy mnie tam w lesie podobali się... Na koniu jeździcie jak wojenny człowiek i *wot*, śmiało wy wtedy w oczy kozackiemu *setniku* patrzyli; jak on wam tę *gadkę nizost'* powiedział, to u was iskry posypały się z oczu i odpowiedzieliście jemu dobrze! Nu, i odwaga to była! Z gołymi rękami pomiędzy *szytkami* i pikami! Ja wtedy pomyślał sobie: *maladiec!*

— I nawet powiedział to pan, słyszałem — z wytryskującą na twarz wesołością zaśmiał się więzień.

— *Nieuzeli tak?* Powiedział? Nu, może i powiedział. Mnie wtedy wszystko we środku przewracało się, a jak we mnie wszystko we środku przewraca się, to ja wtedy czasem sam do siebie gadam.

Śmiał się. Śmieli się obydwaj.

— A czegoż panu wtedy wszystko przewracało się we środku?

Uczynił gest niechęci, sposepniał znowu.

— Długo by o tym gadać. Może kiedykolwiek później, jak inszego dnia przyjdę. Ale teraz powiem jedną rzecz, żeby pana pocieszyć! Ja widział, że pan konie lubisz i tego, na którym pan jechałeś, oczyma przeprowadzałeś na pożegnanie, tak jakbyś z przyjacielem

żegnał się. To piękny koń i bestia rozumny. Ja nie chciałbym, żeby on w złym ręku zmarnował się i dlatego poprosił, żeby jego mnie oddali. Tamten mój stary już był i za ciężki. *Nu, da!* Ten koń u mnie jest teraz i ja mogę pana pocieszyć, że on zdrow i że ja z nim obchodzę się jak z dzieckiem.

Więźniowi rzeczywiście oczy pały się z radości.

— Mój Piorun! myślałem, że zabity albo że go męczą, głodzą... Dziękuję panu i za dobre dla niego chęci, i za miłą o nim nowinę. Lubilem... nie! kochałem to piękne, rozumne zwierzę, w ogóle przepadam za końmi!

— To tak jak ja! — zawołał oficer. — Od dzieciństwa za końmi przepadałem i choć my z nieboszczykiem ojcem w miasteczku mieszkali, to małym będąc zawsze *adnakoż* choć szkapę jakiej dopadnę i lecę na niej na miasteczko na złamanie karku, tylko że u nas w pieszych pułkach oficerskie konie nietęgile! Ot ten pański... jak on nazywa się? Piorun? Dobrze, ja będę go tak nazywać... takie rozumne zwierzę przywyka do swego... jak to powiedzieć.

— Imienia!

— *Da, da!* I jak na niego zawołać tym *imionem*, do którego przywykł, to głowę odwraca albo jak dziecko za człowiekiem idzie. Ten pański Piorun to krwi *angliczańskiej* koń, prawda?

— Półkrwi — odparł więzień.

— Takie czasem najlepsze.

Przez kilka minut rozmawiali o różnych rasach koni, ich przymiotach i przywarach. Ożywili się obaj. Więzień zaśmiał się raz głośno i wesoło; oficer zmienił się do niepoznania w tej poufalej gawędzie o przedmiocie wspólnie ulubionym. Zaczął już nawet z mniejszą niż przedtem trudnością mówić po polsku i czasem zatrzymując się wśród mówienia zapytywał: jak to powiedzieć?...

— Przepraszam pana, że zapytam — zaczął więzień — ale chciałbym wiedzieć, gdzie się pan urodził.

— Gdzie ja urodził się? W majątku ojca, w wileńskiej guberni, ale cztery lata miał, kiedy ojcu ten majątek za długi sprzedali i on zaczął o służbę starać się. Służbę prędko on znalazł, ale aż w *twierskiej* guberni! I my tam wyjeżdżali, kiedy ja pięciu lat jeszcze nie miał. Ale dlaczego pan mnie o to pytał się...

— Tak... — z wahaniem odpowiadał Awicz. — Mówić... pan zapomniał!...

Oficer ręką machnął.

— Ech! Jak ja dzieckiem był, to w domu zawsze po polsku mówił, ale jedenaście lat miał, kiedy do korpusu ojciec oddał... Już on wtedy, przyznać się, troszkę pił i był bardzo biedny, a w korpusie na rządowy *szczot* nic nie kosztowało... Tak ja tam i zapomniał... a potem gdzie było przypominać? Jak z Apolkiem często widywał się, to troszkę sobie przypominał, bo on inaczej jak *na swoim rodzym* języku rozmawiać nie chciał...

— Jak to swoim, czy i nie pańskim także? Chyba matka... przepraszam, że jeszcze zapytam, kim była matka pańska?

— Jak to kim?

— Jakiej narodowości?

— *Narodnosti?* Jakiejże ona mogła być? Tak samo w wileńskiej guberni urodziła się... Polka...

Wpół śmiejąc się, wpół z przykrym uczuciem Awicz zawołał:

— Ano to pan z pochodzenia jest Polakiem całkowitym!...

Sposępniał znowu oficer.

— *Z praischożdjenja da...* no, co znaczy *praischożdjenje*? Ot, powiem panu, że ja, nim tu z wojskiem przyjechał, nigdy o takich rzeczach nie myślał. Nie przywykł. A jeżeli kiedy i pomyślał, to zawsze tylko tyle, że takie rzeczy *polno niczewo* nie znaczą. I teraz dopiero ja zaczął o nich myśleć... i zaczęło mnie zdawać się, że one coś znaczą.

Spojrzał na zegarek.

— *Adnakoż* mnie pora! Zasiadzał się ja u pana. Czy pan pozwolisz mnie czasem przychodzić? *Sympatju* ja mam do pana i bardzo pana żałuję.

Rozejrzał się po celi.

— Smutno tu siedzieć... samemu... w niewygodach? a?

— Niewesoło. Ale teraz mniej smutno, bo książki czytać pozwolili i nawet nie wiem, skąd ta łaska.

Dziwny uśmiech przewinął się po zmarmotniałej już przedtem twarzy oficera. Było w nim figlarności trochę i wewnętrznego triumfu, które jednak prędko zgasły. Na książkę leżącą na zdydlu spojrzął.

— Ja czytać nie przywykłem... ale temu, kto przywykłem...

— Temu, kto przywykłem — podjął Awicz — książka dawać może chwile szczęścia w nieszczęściu...

— Nu, to dobrze, że pan ją teraz masz!

Podniósł się ze stolika. Westchnął.

— Nie chce się iść! Niby to pan zamknięty siedzisz, a ja po wolnym świecie chodzę, a *adnakoż* może panu... jak to powiedzieć... może panu i nie gorzej niż mnie. Bo jaki to świat? Brzydki, podły świat... krew ludzka na nim się leje... ludzie jedni drugich nienawidzą... I najgorsze to, że człowiek sam siebie nie rozumie i czasem sam na siebie chciałby pluć... To i nie chce się czasem po tym świecie chodzić!

Głębokie, gnębiące cierpienie rozlało się mu po twarzy.

— To przyjdź pan znowu kiedykolwiek, skoro ta moja nora tak się panu podobała — uprzejmie rzekł Awicz.

— *Przyjdu*... mnie można do pana przychodzić. Nikomu nie można, a mnie można...

— Dlaczegoż to?

Oficer zniżył głos.

— Plecy, widzisz pan, mam! *Wot*, dlaczego.

— Jak to plecy? Co to?

— *Wot* takie plecy, co mnie od wszystkiego bronią... Mnie dlatego i po tym nieszczęściu w lesie z *rotnazwo komandirstwa* nie zrzucili. Drugi by tak poleciał, że jej! A mnie *on* bronił, przez to ja i do pana przychodzić mogę, kiedy tylko zechcę...

O krok jeden stał przed Awiczem, w postawie wahającej się, z wyrazem zmieszania na twarzy.

— I sam nie wiem — zaczął — czy mogę panu rękę podać, czy nie mogę?

Awicz podał mu rękę, którą dłoń oficera objęła silnym, trochę drżącym uściskiem. Coś na kształt uszanowania i rozczulonej nieśmiałości odmalowało się w tej chwili na jego twarzy.

Odchodził. U drzwi odwrócił się jeszcze.

— Wiesz pan co?... Ja myśleć sobie zaczynam, że *adnakoż* takie rzeczy *musi* być wiele znaczą. Idziesz z wojskiem na *miatieżników* i *głaz na głaz* spotykasz się z bratem... z bratem, którego jak swoje życie lubisz. I twego brata zabija to wojsko, któremu ty sam zakomenderował: strzelać! *Wot*, co takie rzeczy...

Głos mu się w gardle załamał. Szybkim ruchem obrócił się ku drzwiom i z twarzą przyłożoną do znajdującego się w nich okrągłego otworu krzyknął:

— *Atwarit!*

Brzmienie okrzyku tego było znowu grube, twarde, ostre i przypominało Awiczowi kapitana wykrzykującego słowa komendy na owej grobli.

Nie dziw, że w sposób taki znowu przemawiać zaczynał, wszakże z tej celi więziennej wychodził na świat wolny!

V

Parę dni minęło i znowu w porze niezwyklej ciężki klucz zazgrzytał w grubym zamku, ale tym razem za otwierającymi się drzwiami głos kobiety młodej i świeżej spytał:

— Czy można?

Ach, Tosi głos!

Aleksander jednym skokiem był już przy drzwiach.

— Ciotko! Ciotko droga! Najmilsza! Złota!

Całował ręce siwej kobiety w czarnej sukni, a potem obie swoje wyciągnął ku pięknej dziewczynie, której błękitne oczy stały w blasku radości i łez. Z tymi błyszczącymi oczyma i filuternym uśmiechem na twarzy bledszej i chudszej niż przedtem, z rękoma uwiecznionymi w jego rękach, mówiła:

— Widzisz, Olesiu, widzisz! Musiałeś jak zając jednym okiem spać na koniu, bo wpadłeś im w ręce!

Po czym z oczu jej wypłynęły łzy, które je tak błyszczącymi czyniły i wtedy można było poznać, że wiele przez tygodnie ostatnie płakała.

Ale jakim cudem, jakim cudem przyjść tu mogły, skoro nikomu nie pozwalają. Tak, one same tego nie rozumieją. Odmawiano dotąd i odmawiano pozwolenia na widzenie się z więźniem i czyniono to w sposób przykry, szorstki. Nagle zmiękło to, złagodniało i pozwoliło... na krótko wprawdzie, ale nawet bez świadków. Dość jednak o tym. Tysiące rzeczy jest do powiedzenia. Mieszkają teraz w pobliżu tego miasteczka u krewnych, bo dwór zrujnowany...

— Jak to zrujnowany?

— W czasie rewizji. — Opowiedziały o niej wszystko.

Otóż dwór razem z majątkiem uległ urzędowemu opisowi, który jest wstępem do konfiskaty. Kazano im stamtąd wyjechać. Syn jednej, a brat drugiej uwięziony, nie tutaj, gdzie indziej go powieźli, a one tam za nim jechać jeszcze nie mogą...

Teraz matka mówiąc o synu rozplakała się, ale dwoje młodych patrzyło na siebie z niebem w oczach.

Potem o partii, która rozproszyła się była, lecz wkrótce znowu zgromadziła się kędyś dalej, o uwięzionych i zabitych, o wątłych nadziejach, o okropnych trwogach, o całej tej tragedii przeraźliwej, której jednak echa do tych ścian nie przenikały.

Z dwu par oczu młodych i zakochanych niebo szczęścia zniknęło, a powróciły do nich ponure trwogi i przeszywające żale ziemi ze wszystkich ziem globu najnieszczęśliwszej.

Potem jeszcze: jak ci tu jest? co jadasz? jak sypiasz? czego ci trzeba? Może pozwolą przysłać! Może pozwolą znowu przyjść! Będą do miasteczka przyjeżdżały, będą prosiły... Jak się skończy? Boże miłosierny... jak się to wszystko skończy dla niego, dla nich, dla wszystkich, dla sprawy?

I czas już ubiegł, ostrzegło o tym pukanie do drzwi dozorca.

Wstali wszyscy troje z wąskiego zydlu. Matka wzięła za rękę córkę i z lekka ją ku młodemu więźniowi przybliżając, drżącymi wargami mówiła:

— Oddaję ją tobie, Olesiu! Dotąd byłam przeciwna... bo pokrewieństwo bliskie, a małżeństwa pomiędzy krewnymi... podobno... I jeszcze jedno: o czymś innym dla Tosi marzyłam... Każda matka ma dla dziecka swego jakieś marzenia... Widzisz, spowiadam się... Ale teraz, mój Olesiu, kiedyś ty taki nieszczęśliwy i taki dzielny syn ojczyzny... zostańże i moim synem... Gdy tylko będziesz wolny...

Nie mogła mówić dalej od wzruszenia, a oni oboje przed nią klęcząc kolana jej obejmowali.

Dozorca, wciąż do drzwi pukając, słyszał w celi więziennej płacz nie tylko niewieści, lecz, jak mu się zdawało, i męski także.

Odeszły. Więzień pozostał sam. W głowie mu szumiało, w piersi serce jakby wyrosło, tak dławilo łzami co chwila wzbierającymi. Wstyd płakać jak dziecko albo kobieta! Mążgajem nigdy nie był. Owszem, był przecież wesołym Olesiem. Ale teraz te kilka tygodni męki różnej, a po nich taka radość...

Czy tylko będzie wolny? W zupełności nie. Wyrok na niego spaść mający mógł być tylko mniej albo więcej srogi; wolności zupełnej mu nie powrócą. Wiedział o tym, ale wiedział też i o czymś innym, co mu ból wiadomości tamtej niemal w uczucie szczęścia zamieniało. Wiedział, że na żadnej drodze i w żadnej otchłani, w żaden czas burzy i w żaden czas sloty nie opuści go kobieta, którą kochał.

W kilka godzin potem całego w ogniu, w marzeniach, w niepokojach znalazł go wchodzący do celi oficer. Zrazu głowę tylko przez uchylone drzwi wsuwając, zapytał:

— Czy nie *mieszam*?

— Nie! Nie! Nie przeszkadza mi pan w niczym. Proszę wejść! Chciałem nawet zobaczyć się z panem.

Wszedł powitaniem tym wyraźnie uradowany i dość dziwnie na twarzy jego, najczęściej ponurej, wyglądał uśmiech filuterny, z jakim pytał:

— A co? Krewnie pańskie były?

— Były, panie, były! Tak cieszę się, że je widziałem i tylko się dziwię...

— Czemu pan się dziwisz?

— Że pozwolili...

Oficer znowu na jednym w celi stołku drewnianym usiadł, dłonie na kolanach oparł i łokcie z fantazją rozstawił.

— Che, che, che — z cicha zaśmiał się — che, che, che!

A siwe oczy jego w rozgorączkowanej twarzy więźnia tkwiące miały w sobie coś jakby opiekuńczego i zarazem dumnego; zdawały się cieszyć jego radością i zarazem mówić: „A widzisz, co ja mogę! A widzisz, jaki ja!”

— *Wot* kiedy już do tego przyszło, to już panu powiem, jak to było.

Na grube drzwi zamknięte niespokojne wejrzenie rzucił i ku Awiczowi pochylony szeptał:

— Tu jest taki człowiek, co na bardzo wysokim *postie* stoi. To mój towarzysz z korpusu i my już w korpusie bardzo jeden drugiego lubili. A potem to ja raz z wielkiego nieszczęścia go wyratowałem. Mniejsza o to, jakie to było nieszczęście i jak ja jego ratowałem, ale choć on na wysokim *postie* stoi i wiele może, a ja mały sobie człowiek, tak było i on nigdy o tym nie zapomniał. On mnie lubi, to mój prawdziwy *drug*...

— To są plecy pańskie i pan się do nich za mną wstawiał...

Potakująco głową skinął.

— Ja nawet skłamałem przed nim i powiedziałem, że pan jesteś mój *plemiannik*.

Aleksander był wzruszony.

— Dziękuję! Nie wiem, czemu przypisać...

— *Nu wot!* Czemu przypisać? Ja pana polubiłem... *kak to od razu...* jeszcze tam w lesie... pan Apolka znalazł i ja nawet przypomniałem sobie, co on mnie o panu mówił...

— Nie, nie! To nie to... — z żywością zaprzeczył więzień. — Pan w ogóle musisz być... Mówiły mi przecież krewnie moje, jakie nieszczęścia stać by się mogły... żeby tam wtedy pana nie było!

— Mówiły, mówiły panu o tym!

Oczy rozbliły mu uciechą, która jednak prędko zgasła.

— *Nu, da!* Ale co w tym *osobnego*? Zwierzem by chyba trzeba być...

— A jednak — nie bez pewnej ironii przerwał Aleksander — gorliwym pan jesteś w swojej służbie. W czasie rewizji owej sroższy pan był od towarzysza swego i potem, tam... na grobli... sam widziałem, z jaką gorliwością, z jakim zapalem...

Wyprostował się oficer i z wielką powagą w postawie i na twarzy przerwał:

— To był mój obowiązek. Raz ja na służbę poszedłem, to już uczciwie służyć powinienem. Ja z tego chleb jem i powinienem robić to, za co mnie chleb ten dają, inaczej ja byłbym zdrajcą, a zdrada to paskudna rzecz, brudna. Pan to sam kozackiemu setnikowi powiedział i ja wtenczas pana polubiłem! To pan wiesz...

— Nie mogę odmówić panu słuszości. Tak jest, jak pan mówi — z taką samą powagą, z jaką mówił oficer, odpowiedział więzień.

— *Nu, da!* Mnie kazali zrobić *rewizju*, to ja powinienem był ją zrobić jeszcze lepiej, jakby ją inny robił...

— Dlaczegoż jeszcze lepiej...

— *A wot* widzicie dlatego, że ja polskiego *praischożdjenja* człowiek... to na mnie podejrzenie może paść, że zdradzam... i podejrzewałem mnie o to setnik kozacki, to ja jemu chciał pokazać, że *czesi' i sowiest* moje czyste. Ale bezbronnym zabijać i... różne tam *poszłosti* dokazywać... nikt nie każe... to do służby nie należy. *Nu, da!* Do służby oficerskiej to nawet należy, żeby tego nie było... Widzisz pan, że ja i w jedną stronę, i w drugą stronę tylko obowiązek swój spełniam...

Pochylił twarz, zamyślił się.

— Zdaje się wszystko dobrze... W wojsku służysz, na wojnę idziesz, robisz to, co *naczalstwo* każe, obowiązek swój spełniasz, niczego innego tu i być nie może... a *adnakoż*... ciężko... jej, jej! Jak ciężko, jaki żal... Wszystko przewraca się we środku...

Ostatnie słowa wymawiał z czołem opartym na dłoni, szeptem ciężkim, takim, jakby przemawiał do ziemi, w którą wlepił wzrok zmacony, ponury.

— Dlaczego tak ciężko? Czego taki żal? — ze współczuciem i ciekawością zapytał Awicz.

— *A wot*, żeby ja sam o tym wiedział, to byłby kontent. Zdaje się, co tu takiego? *Głupostej* narobili... *miatież*, bunt. Uspokoić trzeba. Na to wojsko i na to ja oficer. Śmierci nie boję się! *Trusem* mnie Pan Bóg nie stworzył. *Adnakoż* taki żal, taki smutek, taka jakaś we środku trudność... Myślę, ja myślę, co mnie takiego stało się i nie rozumiem.

Nie rozumiał tych instynktów, które pracować w nim zaczęły i tej iskry, która w nim spała długo, a teraz rozpalać się zaczynała w piekący płomień.

— Położenie okropne! — szepnął Aleksander, potem z żywością zawołał:

— Dlaczego pan wprzód, nim tu z wojskiem przybył, dymisji swej nie zażądał?

Nic dorównać by nie mogło zdumieniu, z jakim oficer oczy na niego podniósł.

— Do dymisji! — powtórzył z osłupieniem. — *W odstawku!* A co ja bym potem na świecie robił?

Była w tym powiedzeniu prawda gorzka i twarda. Co on by robił w jedenastym roku życia do korpusu oddany i ze wszystkich na tym świecie robót znający tylko służbę wojskową, ale za to, jak nie bez pewnej chluby mówił, znający ją jak rzadko kto wybornie i lubiący ją, chlubiący się nią dotąd... Tylko teraz coś takiego dziwnego z nim się stało...

W duszę swą głęboko nie spoglądał. Nie przywykł. Były chwile, że gniew ogromny zrywał się w nim przeciw tym *bezumcom*, obłąkańcom, którzy temu wszystkiemu byli winni i gdy sam jednak w oficerskim mieszkaniu swoim o nich myślał, zdawało mu się, że ich nienawidzi, że nimi, że ich głupotą gardzi, że z rozkoszą starłby ich z powierzchni ziemi. Ale trzeba było jednego tylko spotkania, jednego widoku, jednej czasem o nich wieści zasłyszanej, bohaterkiej lub tragicznej, aby znowu jakieś szatany drażniące i szarpące do wnętrza jego wstąpiły. Pomiedzy szatanami tymi odkrył raz jednego, któremu na imię: wstyd. Ani cienia pojęcia nie miał o tym, czego by miał się wstydić. Jednak ten to szatan właśnie wszystką krew rzucił mu do twarzy, gdy w czasie owej rewizji w owym dworze kobieta wdzięczna mu za zbawienie swych dzieci zapytała go, jak się nazywa. *Karłowicki!* Brzmienie tego nazwiska... Za nic w świecie nie zdołałby go wówczas głośno wymówić. A setnik kozacki z ironią na niego patrzył, lepiej może go rozumiejąc niż on sam siebie!

Ani na chwilę już dnia tego nie odzyskał tej rubasznej i dobroduszej wesołości, która niekiedy posępną twarz jego rozjaśniała. Bawił też krótko, ale przed odejściem zapytał jeszcze Aleksandra, czy ta piękna panna, która go dziś razem ze swą matką odwiedziła, jest jego narzeczoną.

Dziś właśnie odbyły się ich zaręczyny.

— Dziś? Gdzie? Tu? Jak to?

Awicza zdumienie jego rozśmieszało.

Cóż w tym dziwnego? Kochają się z sobą od dzieciństwa, ale dotąd matka sprzeciwiała się ich chęciom z powodu pokrewieństwa i innych tam jakichś swoich chęci czy zamiarów... I dziś właśnie powiedziała, że już się nie sprzeciwia, że ich z sobą zaręcza. Oficer znowu był zdziwiony.

— *Wot kak!* Wprzód nie zgadzała się, a teraz kiedy pan... zgubiony człowiek... zgodziła się. *Nu, eto* już takie... jak to powiedzieć... *blagorodstwo*, że człowiekowi aż w głowie kręci się. Ale jakże to będzie? Czy pan myśli, że pana tak i puszczą stąd, bez żadnego *nakazania*? To być nie może. Ześlą pana, gdzie gorzki pieprz rośnie i majątek pewno odbiorą...

Szczęśliwy uśmiech rozlał się po twarzy więźnia. Zniżonym nieco od rozmarzenia głosem odpowiedział:

— Wiem o tym, ale i tego również pewien jestem, że narzeczoną moja nie opuści mnie ani w ubóstwie, ani na wygnaniu i że w każdej otchłani, wśród każdej burzy czy słoty życia będziemy sobie nawzajem pomocą i zbawieniem.

Oficer stał przez chwilę milcząc i w ziemię patrząc. Po białym jego czole przepływały powstające i znikające zmarszczki. Byłż to fale podnoszone przez myśli nowe, dziwne, w które wpatrywał się, które wyrozumieć usiłował? I może nie tylko przez myśli. Wyraz rozmarzenia okrywający twarz więźnia i w jego oczy wstąpił. Odbiła się w nich jakaś nagle powstała tęsknota.

— Ślicznie pan to powiedziałeś... *wot* poezja to prawdziwa... prawdziwa... i wiara w człowieka, którego lubisz...

A potem z wybuchem zmieszanych uczuć przyjaźni i zazdrości.

— *Nu, da!* Szczęśliwy z pana człowiek!

— Choć zgubiony? — uśmiechnął się Aleksander.

— *Nu*, nie ze wszystkim zgubiony. Ale choć w biedę wpadł, *adnakoż* szczęśliwy!

Gdy odchodząc szedł ku drzwiom, kroki jego cięższymi zdawały się być niż zwykle.

Dość długo potem nie powracał, aż przyszedł znowu i zaraz po powitaniu powiedział, że czuł się niezdrów i że mu w ogóle na ciele i duszy niedobrze. Więc po co, myślał sobie, miał tu w usposobieniu takim przychodzić? Myślał nawet też i o tym, aby już wcale nie przychodzić i obecnością swą więźniowi nie *mieszać*, nie dokuczać...

— Bo gdzie mnie do was? I co wam ze mną za zabawa? Wy górny człowiek, a ja zwyczajnie, z *nizmienności*... (z nizin).

Ale nie mógł wytrzymać. Coś go tu ciągnie. Chciałby o niektóre rzeczy zapytać się, pogadać o nich i jeżeli Awicz pozwoli, to jeszcze ten raz...

Ależ owszem, owszem! Nie tylko ten raz, lecz ile razy tylko zechce. Czyż nie oddał jemu i bliskim mu osobom przysług ważnych? Czy pomimo wszystko, co ich dzieliło, nie byli związani wspólnością ziemi rodzinnej i może czymś więcej jeszcze?...

— Czymże? Czymże? Jakie między nami może być podobieństwo? — nagle dopytywał się oficer. Widać o to podobieństwo szło mu bardzo.

— Czy pan czuje się szczęśliwy? — wzajemnie zapytał go Awicz.

Uczynił ręką gest gwałtowny.

— *K czortu takoje szczastje!*

— No, widzisz pan! Jeden z nas w taki sposób, drugi w taki, a obydwaj...

— Rozumiem już, rozumiem i to jest prawda! — ponuro w ziemię patrząc dokończył oficer.

Policzki jego były daleko mniej niż przedtem rumiane i pełne, nawet plecy zdawały się mniej szerokie i mundur obejmował je mniej ciasno.

Bardzo wyraźnie schudł i pobrał. Awiczowi również każdy ubiegający dzień powlekał twarz coraz widoczniejszym piętnem więziennej męki. Szafirowe oczy jego wydawały się ogromne wśród wyszczuplonej twarzy, młode ciało, swobody ruchu pozbawione, nabrało poruszeń ociężałych, pierś przyzwyczajona do powietrza, przestrzeni szerokich i wolnych chwilami z trudnością oddychała.

Przez kilka minut na siebie patrzyli, a potem jednostajnie, porozumiewawczo wstrząsnęli ku sobie głowami.

Oficer na stolku siedział, ale łokci z fantazją nie rozstawiał, oparł je na kolanach i głowę w obie dłonie ująwszy mówił:

— Ja o Apolku ciągle myślę... W dzień jeszcze nic, ale w nocy to on ciągle nade mną stoi, tak jak ja jego tam na trawie widział, z tą czarną dziurą pośrodku czoła... Pytam ja jego... On był rozumny chłopiec, szkoły skończył i z drugiego kursu *uniwersyteta*... To ja jego pytam się: „Jakim sposobem ty, taki rozumny chłopiec, nie wiedział i nie rozumiał...” Ale nie tylko on! Wy wszyscy z nauką, z rozumem, jakim sposobem mogli tego nie wiedzieć i nie rozumieć, że to *bezumje* jest — *sumaszestwie*, naprzeciw takiej potęgi stawać... Pytam się ja jego: „Po co ty, kochany chłopcze mój, z motyką przeciw słońcu skakał?” On mnie nic nie odpowiada, ale na drugą noc znów przychodzi, staje nade mną z tą dziurą w czole i tylko *gubami* porusza, a mnie zdaje się, że te *guby* mówią: „Toż ty sam, bracie, zakomenderował żołnierzowi: strzelać!”

Wtenczas ja do niego krzyczę, że powinność swoją spełnił, a u niego znowu *guby* poruszają się i mówią: „Ty dobrze zrobił, ale ty i płakać po mnie nie powinien, bo ja wrogiem był tego, komu ty przysięgał służyć”. *Nu*, to i co, że dobrze zrobił i że nie powinien płakać? Ja *placzu*, bo on *dorog* mnie był, bo to była moja krew... I wy wszyscy moja krew, ja to poczuł teraz, kiedy was poznał...

Podniósł nagle głowę, w twarzy Aleksandra zdziwione i bolejące oczy zatopił.

— Byłeś pan kiedy w Petersburgu?

Pytanie było niespodziewane, odpowiedź twierdząca. Jakże nie? Zna dobrze to miasto, cztery lata przebył tam ucząc się, przed rokiem zaledwie stamtąd powrócił. Oficer wciąż zdumionymi oczyma na niego patrzył.

— Jakie bogactwa? A? Jakie pałace, wszystko z drogocennych kamieni budowane? Marmur, granit, malachit, złoto wszędzie aż cieką. Jakie parady! A *rewie* wojenne widziałeś pan? A?

I bogactwo, i pałace, i parady, i rewie Awicz widział i nawet z bliska się im przypatrywał.

— A jakie są siły armii naszej, czy pan wiesz?

I pewny, że o tym przedmiocie więzień dostatecznych wiadomości posiadać nie mógł, jął szczegółowo mu go wykladać. Tyle to i tyle korpusów, dywizji, pułków w piechocie i kawalerii, na takie i na takie rodzaje i oddziały podzielona jest artyleria, a w każdym z oddziałów znajduje się tyle i tyle armat, koni i ludzi. Najdzielniejsi wodzowie, czyli generałowie korpusów i dywizji, nazywają się tak a tak, mają za sobą takie a takie bitwy zwycięskie, doświadczenie wojskowe, wszystko, czego potrzeba, aby każdego nieprzyjaciela, choćby najsilniejszego, pobić, zgnieść, zmiażdżyć...

Długo opowiadał, wyliczał, wyjaśniał, a im dłużej mówił, tym gorętsza stawała się jego mowa. W uczuciu poszanowania, do czci posuniętego względem tej potęgi orężnej, którą słowami malował, w uczuciu chluby, że sam częsteczkę tej potęgi stanowił, znikać się zdawały i milknąć te zgryzoty, zwątpienia i żale, od których jednak wyszczuplały i pobladły mu policzki, które sprowadzały mu noce bezsenne, z widmem zabitego brata stojącym u wezglowia.

W zamian poczynął go ogarniać gniew, który nim rzucał i przez gardło jego krzyczał w czasie rewizji owej w owym dworze.

Począł biegać po celi więziennej, brwi najeżając, ramionami rozmachując.

— I wy, wy, garść ludzi *niewojennych*, mała garść, bez armii, bez armat, *bez krepости*, bez sławnych wodzów, bez *skarbu*, przeciw takiej potędze wystąpili! *Wied' eto bezumje* jest, *sumaszestwie*, *samoubijstwo*, *czort znajet*, *szo takoje*... I żeby to głupie ludzie robili, ciemne, ale nie! Między tymi, co robili, mało głupich i ciemnych. Sam kwiat narodu... samo jego światło... Ja tego zrozumieć nie mogę i ja by was za to... *czort pobieri*, karał, do *turmy* sadzał, zsyłał...

Nagle znowu na stołku siadł i w obydwie ręce głowę schwylił.

— Oj, Apolek ty, Apolek, bracie ty mój nieszczęśliwy! Ty mnie na tamtym świecie nie przeklinaj za to, że ja tak mówię! Mnie *skorbno*, *żałostno*, mnie straszno, mnie wszystko we środku przewraca się, kiedy ja to mówię... Ty był rozumniejszy ode mnie, naukę miał... a teraz każdej nocy do mnie przychodzisz... Czemu ty mnie nie powiesz, co ty myślał, w co ty ufał, co tobą *rukowodiło*, kiedy to robili?

W chwili gdy tak pytał, dłoń łagodna z braterską poufałością spoczęła mu na ramieniu.

— Ja powiem ci o tym, bracie Apolka, co nim rządziło, kiedy on to robił. On kochał ojczyznę i wolność. Czy ty wiesz, co to ojczyzna? Czy ty wiesz, co to wolność? Nie! Ani jednej, ani drugiej tyś nawet nie widział. I jeszcze: on nienawidził niewoli. Czy ty wiesz, co to niewola? Nie, tyś nigdy nie uczuł, czym jest ona, boś sam był jej sługą. I jeszcze: on kochał dawną chwałę narodu swego. Czy ty wiesz, jaką była ta chwała? Nie: tobie nikt nie ukazał ani jednego promienia jej korony; ani jednego strzępa jej purpury. Więc zrozumieć nie możesz, co w nierówną tę walkę pchnęło Apolka, co w nią pchnęło nas wszystkich, jakie burze szaleją w piersi człowieka deptanego stopą przemocy i jakie niepokonane zapęły zrywają go spod tej stopy, aby wyprostować się, głowę podnieść, ramiona wyprężyć i stać się z raba człowiekiem, człowiekiem wolnym... To są prawa natury, które w nas przemówiły, to woła Boga, który każdemu z ludzi i z narodów dał duszę osobną i wolną, to krzyk naszej duszy do świata, do ziemi, do nieba, że żyjemy i że żyjących nikt nie ma prawa wtrącić do mogiły. Zginiemy — dobrze, ale ten krzyk nasz, krwią i łzami ociekły, zostanie w powietrzu i tym, co po nas przyjdą, umrzeć nie da i sennych zrywać będzie z puchowych pościeli, i stanie się snem czarnym i snem złotym narodu, i chłoszczącym go do wiecznej walki biczem, a wtedy dopiero przebrzmi, kiedy zwycięży — idea.

Ale czyś ty myślał kiedy, co to jest idea? Nie; ty mówisz: idee to *glupost'*. Więc nie rozumiesz tego, że idee to siła potężniejsza od twojej piechoty i kawalerii, od twoich armat i sławnych generałów, bo wojsko ich to najlepsze ludzkie głowy i serca, a polem ich bitew to wieki. Dziś pociskami armatnimi na proch starta idea odrodzi się jutro i jej być musi prędzej czy później zwycięstwo ostateczne, i ona jest rozumem wyższym nad cyfrę twojej

armii, nad twoje petersburskie granity i malachity, nad twoje szyderstwa i gniewy — bo jest samą prawdą świata i Boga.

Upadł na zydeł Aleksander zmęczony, wzruszony i szybko dyszała mu pierś wyszczupiała w powietrzu więziennym, a o krok przed nim siedzący na stołku podniósł twarz z czołem bladym i siwymi oczyma, które pod rudawymi brwiami gorzały jak żuźle.

— Ja zrozumiał... Może nie wszystko, ale wiele z tego, co pan mówiłeś, ja zrozumiał. Tak jest. Idea to nie *głupost*! Może wy albo wasze *naślédniki* i zrobią tak, że na świecie żyć będzie lepiej. A teraz ja ot co powiem! Nie pan jesteś człowiekiem zgubionym, choć pana Sybir czeka, ale ja... dlatego, że o takich rzeczach nigdy nie myślał, nie wiedział... ja człowiek zgubiony... Żeby i jenerałem zostać, to czuję!... że *adnakoż* zgubiony! — Podniósł się ze stołka, na zegarek spojrzął.

— *A usio taki* na służbę trzeba.

Wstrząsnął silnie ręką więźnia.

— Dziękuję panu! Dziękuję! Dziękuję!

Za co tak gorąco i długo dziękował! Czy za rozjaśnianie przed nim ciemności, w które wpatrywał się przestraszonymi oczyma? Czy za obudzanie mu w głowie myśli wyższych nad bagnety, armaty, malachity, granity i wojskowe rewie? Czy może za to braterskie *ty*, które w głosie Aleksandra zabrzmiało mu echem głosu Apolka?

W dniach następnych jeszcze kilka razy ukazał się w celi więziennej, na krótko jednak, bo miał jakieś ważne zajęcia służbowe, które mu czas zabierały. Rozmawiali jednak ze sobą, choć zawsze niedługo, o rzeczach różnych, powszednich i niepowszednich, oficer więźniowi trochę o życiu swoim opowiadał, o oficerskim życiu, które poza czynnościami służbowymi wypełniały karty, kobiety, hulanki. On tyle tylko, że pijakiem nie był. Zresztą wszystko tak jak inni..

— Podłe życie! — rzekł raz. — Co tak żyć, to może i lepiej tak jak Apolek...

Potem Awicz przez czas jakiś go nie widywał, aż dnia pewnego...

VI

Dnia pewnego kapitan Apolinary Karłowicki wyszedł od przyjaciela swego stojącego na wysokim *postie* jakby ogluszony i oślepy, tak przerażony i zgnębiony. Coś czarnego wisiało mu przed oczyma, coś ciężkiego leżało mu na głowie, coś strasznego wstrząsało jego sercem.

Na świecie sierpień już był; nad ziemią w żółte ścierniska ubraną czas płynął w szacie czarnej i skrajami jej tu i ówdzie zaczęła o sucho na błękitach nieba wyrysowane linie szubienic.

Lasy opustoszały i głosy orężnych bojów przestały już przerażać ptactwo zbierające się już do jesiennych odlotów; natomiast zaludniły się i przeludniły więzienia; zaludniły się i przeludniły żelazne wozy uwożące gromady ludzkie w krainy nieprzejranych oddali i niezgłębionych cierpień.

Zadzzwoniły po miastach i drogach kajdany, rozbiegło się po szerokim kraju słowo: *katorga*.

Stały smukłe topole włoskie nad dachami dworów wiejskich i w cichej pogodzie sierpniowej milczące słuchały rozlegającej się u stóp ich szumnie, dumnie, zwycięsko mowie dotąd nie słuchanej, mowie obcej.

Czy topole te były wyższe od czarno i sucho na błękicie nieba rysujących się linii szubienic? I czy spośródka niw w żółte ścierniska obleczonych patrzyły one na te linie, które wznosiły się u niskich ścian miasteczek i u wysokich murów miast?

Każde miasteczko i każde miasto posiadało swoje szubienice. Stały się one towarzyszkami ludzi, widokiem ich oczu, przedmiotem myśli i zaprawą chleba.

Od wielkorządcy kraju do miast i miasteczek przybył rozkaz, aby w każdym z nich pewna liczba ludzi dostała na szyje powrozy. Niezbędnie i jak najrychlej.

Liczba tych przedmiotów najwyższej kary i pomsty ściśle została dla każdego z miast i miasteczek oznaczona. Tu miało ich być trzy, tam pięć, ówdzie dziesięć itd. Wybór należał do tych, którzy na każdym miejscu badali i dośledzali winy. Powiedział o otrzymanym rozkazie kapitanowi Karłowickiemu przyjaciel jego wysoko postawiony i o tym również, że na miasteczko, w którym się znajdowali, przypadło przyszłych wisielców trzech.

Na kogo wybór padnie, przyjaciel nie wiedział, lecz to z żalem powiedzieć musi i do tego dawnego swego współtowarzysza przygotować, że paść on może pomiędzy innymi na *plemiannika* tegoż współtowarzysza, to jest Aleksandra Awicza.

— Jak to? Bóg z tobą! To być nie może! To tylko dla tych, co z wojska uciekli albo tam co straszego... Ale on...

On! Przez niego to, przez niego właściwie zginęła cała prawie rota wojska, zabity został młody i zdolny oficer kozacki, spadł na wojsko taki wstyd.

— Zrozumiejsz ty, Apolinar, że to wina ogromna, a twój krewny powiększa ją jeszcze postawą, jaką wobec komisji zachowuje. Wyznaje wprawdzie swoje przestępstwo, lecz że popełnił je, nie okazuje ani cienia żalu. I nic więcej oprócz tego, że je popełnił, wyjawiać nie chce. Skryty jest, hardy, popędliwy. Wymykają się mu czasem wobec sędziów słowa nieogłędne, które wprawdzie powstrzymuje prędko, ale które gdy raz padną, już ich w pamięci nie zatrzeć. Sędziowie go nie lubią i uważają za jednego z najniebezpieczniejszych, najszkodliwszych. Są przy tym obarczające go zeznania ludzi postronnych. Szerzył bunt, namawiał do niego innych, zgromadzał broń, służba jego dowoziła do obozu *miatieżników* żywność... Bardzo, bardzo jest prawdopodobne, że wybór sędziów pomiędzy innymi i na niego także padnie. Zrozumiejsz, Apolinar, że ja nie jestem członkiem komisji, że to do mnie nie należy i że powtarzam tylko, com słyszał od innych, a powtarzam dlatego, że ciebie jak swoją duszę lubię i chcę, abyś o tym, co mocno zaboli, dowiedział się z ust życzliwych. Otóż to bieda mieć krewnych pomiędzy takimi... i jeszcze ich lubić! Ja ciebie żałuję, *gahubczyk*, i wszystko, co w mocy mojej, czynić będę, aby się to odmieniło, aby to nie nastąpiło. Ale wszechmogący przecież nie jestem i jeżeli nawet od szubienicy go wykręcę, to już od katorgi za nic... Jeżeli nie na szubienicę, to do katorgi musi pójść... Jeżeli nie za przestępstwo swoje, to za hardość i zamkniętość, za to, że sędziów swoich źle dla siebie usposobił. Na to już nic ja poradzić nie mogę...

Nie był przyjaciel na wysokim *postie* stojący człowiekiem złym, był nawet człowiekiem wdzięcznym i litościwym.

Jedno jeszcze dla krewnego przyjaciela uczynić może. Uprosi członków komisji, aby go raz jeszcze przed sobą postawili i spróbowali, czy się nie upamięta, czy nie zmięknie, czy nie wyjawia różnych tam rzeczy, o które dotąd nadaremnie go zapytywali. Mogłoby to ich ułagodzić i nieco dla niego zjednać...

— Już ja tak zrobię, że on jeszcze raz do komisji wezwanym zostanie, a ty, Apolinar, popracuj nad nim, żeby spokorniał, zmiękł, wyjawiał...

Podziękował oficer swemu wysoko postawionemu przyjacielowi za jego przyjaźń, za jego dobre chęci, ale długo mówić nie mógł, bo coś go za gardło chwytало i za czaszkę, tak że mowę i myśli miał zmacone. Tyle tylko, że jeszcze zapytał:

— Jak prędko nastąpić to może?

— Co?

— Nu, jak prędko będziecie wieszać?

Żachnął się przyjaciel.

— *Pamiętaj*, Apolinar! Czyż to ja?

— Nie, nie ty, nie ty, *gahubczyk*, ale jak prędko?

— Za tydzień, za dziesięć dni najdalej. W rozkazie stoi: rychło!

— Dobrze. A to wezwanie do komisji?

— Może za dni pięć albo sześć... nie prędzej, bo oni tam roboty mają *propast*!

— Pozwolisz dowiadywać się?

— Jakże! Naturalnie.

— Co dzień?

— Co dzień, Apolinar, ja *k twoim usługam* i jeszcze... nigdy dość nie odpłacę...

Schodził ze schodów wysoko postawionego przyjaciela jak ogluszony i oślepy i gdy na ulicę wyszedł, jeszcze ciemność czerwona przed oczyma mu wisiała. Dobry był przyjaciel dla niego i dla jego *plemiannika*, ale sprawiedliwie rzekł, że wszechmocy w ręku swym nie dzierżył.

Zapomniał kapitan Karłowicki o tym, że skłamał przed przyjacielem i że Awicz krewnym jego nie jest. Parę razy nazwał go w myśli swoim *plemiannikiem*, a nieustannie czuł, że go serce i głowa bołą, jak bywa tym, którzy idą za pogrzebem najdroższych krewnych. I jeszcze gorzej, bo o pogrzebie, że nastąpi, choć przez dzień czy przez dwa już wiadomo,

a to spadło tak niespodziewanie. Wiedział i przedtem, że biedy jakieś stać się muszą. Pewno majątek odbiorą, na Sybir wyślą; jednak nic by to jeszcze... Taki zuch i bez majątku, i na wygnaniu... zwłaszcza z tą narzeczoną... Z wygnania ludzie wracają... Ale szubienica! Katorga albo szubienica! I wybieraj tu, człowieku, co gorsze, a co lepsze! Jedno i drugie jak poczwary w oczy mu patrzą. Szubienicę widzi tak wyraźnie, jakby rzeczywiście przed nim stała i dzwonienie kajdan słyszy. I stuk młotów także, świst batów... *Czort znajet*, jaki to świat! Jakie ludzie! Jakie życie nasze!

Przeszedł ulice miasteczka, nic i nikogo nie widząc, aż wyszedł w pole. Tu powiewy wiatru nieco go otrzeźwiły. Staął, na zegarek spojrzął, pomyślał: może jakie obowiązki służbowe? Może do nich powracać trzeba? Nie; na szczęście dziś wszystko już wypełnił, co do wypełnienia było i aż do końca dnia miał czas wolny. Poszedł więc dalej drogą bielejącą pośród żółtych ściernisk i wkrótce pleczysta postać jego ze zwieszoną głową zniknęła w pobliskim lesie.

Wieczór zbliżał się i nad lasem tylko już rąbek tarczy słonecznej widać było, gdy do miasteczka powracał. Kilka godzin przepędził sam jeden w myślach samotnych, kędyś tam chodząc po drogach leśnych lub siedząc na obalonych kłodach, pod parasolami sosen, przy świergocie ptactwa, w zapachu wilgotnych mchów.

Czy to samotność i natura tchnęły w niego spokój i ukojenie? Bo rysy miał ukojone, kark wyprostowany i krok spokojny, równy. Szedł prędko i gdy znalazł się na ulicach miasteczka, iść zaczął jeszcze prędzej. Szedł prosto w kierunku więzienia.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi celi Awicza, bez słowa powitania zapytał:

— Gdzie mieszka narieczona pańska?

— Ależ ona i matka jej dziś tu były! — wesoło zawołał Awicz.

— To może jeszcze w miasteczku?

— Nie; odjechały stąd prosto do domu...

— A gdzie ten dom? Gdzie ten dom? Jak nazywa się ten majątek? Ile wiorst stąd?

— sypał pytaniami oficer i teraz znowu można by w oczach jego dostrzec mękę duszy, gorączkę ciała.

Awicz ucieszony nowym widzeniem się z narzeczoną śmiał się.

— Na co panu te wiadomości? I co znaczą te pytania? Niechże panu nie przychodzi do głowy zakochać się w mojej narzeczonej...

— Żartujecie, a ja *serjozno*...

Upadł na stół raczej, niż na nim usiadł. Ręką powiódł po czole.

— Ja zmęczony! Ale ot co jest... *po dielam* służby mnie na wieś posyłają. Może tam gdzie blisko narieczona pańska mieszka. Chciałbym wstąpić, poznać się, uszanowanie jej i jej matce złożyć...

Awicz uprzejmie odpowiedział:

— Owszem, owszem! Rade będą panu. Ciotka moja ma zawsze łzy w oczach, kiedy o panu wspomina. „Ryczał — mówi — to ryczał i obrzydliwie żołnierzy lajał, ale od strasznych nieszczęść wyratował!” I za to, że widywać mnie mogą, bardzo panu są wdzięczne. Ucieszą się, gdy je pan odwiedzi. Nie masz pan przy sobie notatnika i ołówka, to bym nazwę majątku zapisał, bo trudna do zapamiętania i możesz pan zapomnieć albo przekreślić.

Miał przy sobie jakiś zeszyt przy pełnieniu służby potrzebny i podał go razem z ołówkiem Awiczowi. Ten miał już pisać, ale wstrzymał się i namyślał.

— Może tę nazwę i którędy tam jechać po rosyjsku panu zapisać... łatwiej pan wy-czyta... może w jakim pośpiechu.

Potwierdzając skinał głową i uważnie patrzył na Awicza kreślącego w małym zeszycie słów kilka po rosyjsku.

— Pan tego języka nienawidzisz?

— Język miałbym nienawidzić? A cóż on winien. Czy to on podbija, bierze w niewolę, krzywdzi, gnębi?

Uśmiechnęły się poważne dziś usta oficera.

— *Nu, da!* ale ludzi, co tym językiem gadają, to pan pewno *užas kak* nienawidzisz.

Awicz ramionami wzruszył.

— Nie wszystkich. Tych, którzy mi matkę mordują i braci dręczą, nienawidzę, ale tych, co żyją gdzieś tam daleko ani myśląc o tym i żadnej korzyści z tego nie odnosząc,

tylko żałuję, bo złość jak jad przenikając cały organizm i w nich przeciec może. Wiesz pan co...

Tu zerwał się z zydła i z energicznymi gestami kończył:

— Z moją naturą nienawiść się nie godzi. Ja bym wołał wszystkich ludzi kochać, ze wszystkimi być w zgodzie... Cóż, kiedy taki jeszcze świat!

— Taki jeszcze świat! — jak echo powtórzył oficer. Ale więzień o rzeczach bolących dziś długo mówić nie chciał. Był cały różowy od dzisiejszego widzenia się i od dzisiejszej rozmowy. Wzrok jego upadł na szybkę w oknie otwartą.

— Jaka cudna zorza! — zawołał. — Spójrz pan!

Nad pasem lasu słały się istotnie purpury zorzy już prawie jesiennej, jaskrawej, a smętnej. Podszywały je ognie przysłonięte, tajemnicze i wypływało znad nich jezioro bladego złota.

Dwie pary zamyślonych oczu ludzkich przez okienko więzienne patrzyło na tę pyszną ozdobę nieba. Więzień po chwili mówić zaczął:

— Czy pan nic na tę zorzę patrząc oprócz niej nie widzisz? Czy panu nic na powierzchni jej się nie przedstawia? Ja widzę. Mnie się przedstawia tu, na tym złotym jeziorze, dom mój rodzinny nad jeziorem stojący, moja kochana Jeziorna, której już może nigdy nie zobaczę. Nieduże to, nie wspaniałe, ale takie miłe, drogie, z każdym nerwem mego ciała, z każdą struną mej duszy związane. Oto tu, nad tą fioletową chmurką, stoi dom niewielki jak nasze wszystkie, biały i z gankiem, tam dalej topole włoskie, a tam stary wiąz pośrodku dziedzińca, po którym biegnie pies, Nestor, ulubieniec mojej nieboszczki matki...

Zaśmiał się jakoś z cicha i z kolei wskazał na pas ciemnego fioletu, w dalekich głębiach nalany płomiennym ogniem.

— A na tym pasie ciemnym i w głębi gorejącym, wiesz pan, co widzę? Chatę sybirską daleką, daleką, pod światłami północnej zorzy stojącą i na progu jej nas dwoje... A pan co widzisz? Czy nic wcale? To być nie może! Powiedz pan szczerze...

Umilkł w połowie wyrazu i wzrok szybko z zorzy na towarzysza przeniósł, zdziwiony gwałtownym jego ruchem. Oficer gwałtownie cofnął się od okienka i oczy zakrył ręką, która drżała. I on zobaczył coś na złotym jeziorze zorzy. Zobaczył sucho zarysowane na nim czarne linie...

Rękę od oczu odejmując zaczął spieszenie:

— To nic! To nic! Oczy od patrzenia na tę światłość zabolaly. Mnie już czas iść. Ze trzy dni będę jeździł *po służbie* i pana nie zobaczę. Bądź pan zdrow!

Był już przy drzwiach. Zatrzymał się jeszcze.

— Bądź zdrow! — powtórzył.

A potem przez okrągłe okienko we drzwiach:

— *Atwarit!*

Ale mniej jakoś głośno i twardo niż zwykle.

Z łatwością otrzymał trzydniowy urlop i u końca dopiero dnia trzeciego do miasteczka powrócił. Zaraz poszedł do wysoko postawionego przyjaciela.

— Dokuczam ci ja, *gohubczyk*, ale to już ostatni raz... Potem nigdy już nie będę. Cóż z tym wezwaniem mego *plemiannika* do komisji? kiedy?

— Jutro wieczorem!

Radość błysnęła mu w oczach.

— Wieczorem! To dobrze, dobrze!

— Z czego ty tak ucieszył się, Apolinar?

— Cały dzień jeszcze mieć będę do namawiania...

— Namawiaj, namawiaj, aby upokorzył się. Od tego zależy wszystko.

— Ale, drogi, uczyni ty mi jeszcze jedną łaskę. Niech ja jego sam do komisji prowadzę. Nie żołnierze, ale ja sam. Z żołnierzami, widzisz, jak będzie szedł, to w nim znowu zbuntuje się polska i szlachecka dusza, a ze mną, to co innego. Ja go jeszcze przez drogę do ostatniego momentu... rozumiesz? Ostatnie wrażenie.

— Rozumiem! Jak ty, *adnakoż*, Apolinar, zmizerniał i jaka *pieczal* w twoich oczach! Ja ciebie żałuję. Poproszę, aby ci dali *bumagu... pa prikazanju*...

Kapitan Karłowicki objął ramionami współtowarzysza lat chłopięcych, nie wiedzieć dlaczego popatrzał na niego długo, długo i na koniec serdecznie go ucałował.

— Bóg niech będzie z tobą! Bóg niech będzie z tobą! Ja tobie z serca dziękuję... za wszystko!

— Co tobie? Jakbyś dokąd wyjeżdżał i żegnał się! Ale prawda, że tu teraz żyjąc rozum postradać można. *Użasy takije!* Już ja posłał prośbę, aby mnie stąd przenieśli, choć na Kamczatkę, byle gdzie indziej. Nie mogę dłużej wytrzymać i rąk swoich w tym wszystkim *marat'* nie chcę.

Z dziwnie uspokojoną, wypogodzoną twarzą wyszedł kapitan od przyjaciela swego. Targał go przedtem niepokój, czy to wezwanie do komisji nie wypadnie w godzinach dziennych, choć miał nadzieję, że stanie się to wieczorem, bo komisje, ogromną ilością posiedzeń obarczone, dniami i nocami pracowały. Teraz upewnił się o czymś dla siebie bardzo ważnym i to mu dawało wygląd człowieka zadowolonego. I jeszcze, niewiele o tym myśląc, czuł w głębi radość, że przyjaciel wysoko postawiony, ten dobry, kochany człowiek, chce kraj ten opuścić i rąk swych *użasami* tymi nie *marat'*.

Namawiać Awicza, aby spokorniał, zmiękł, wyjawiał to, co komisja zapytywać będzie, ani myślał. Wiedział naprzód, że namawianie skutku by nie osiągnęło, a potem nie chciał, aby za cenę choćby życia jego i swego, nie chciał, aby się tak stało. Chętnie tylko w myśli sprawę sobie z tego zdawał, ale czuł bardzo wyraźnie, że gdyby się tak stało, gdyby Awicz upokorzył się, zmiękł, poczał wyjawiać, byłoby to dla niego czymś takim jak zaćmienie słońca lub rozsypanie się w proch tych kształtów, którymi zachwycały się jego oczy.

Jednak pomimo że z przeprowadzenia więźnia do miejsca posiedzeń komisji nie zamierzał czynić takiego użytku, o jakim przyjacielowi mówił, radość milcząca, ale głęboka napęłniała mu oczy, gdy przyobiecana *bumagę* wziął do ręki. Schował ją za mundurem u piersi i jeszcze kędyś na kraniec miasteczka poszedł, kędyś dość długo bawił, aż na koniec, godzinę oznaczoną nieco wyprzedzając, udał się do więzienia. Wchodząc do celi Awicza rzekł od razu:

— Jesteś pan wezwany do komisji i ja mam pana tam zaprowadzić.

Na więźnia wiadomość ta wywarła wrażenie przykre. Nie spodziewał się jej; myślał, że śledztwo zastało już ukończone. Ale jeżeli trzeba, to trzeba! Czego ci ludzie chcą jeszcze od niego? Czego się po nim spodziewają? Powinni byli przecież zrozumieć, że nie wytłoczą z niego ani jednego słowa więcej nad to, co już powiedział. Prędkoż to nastąpi? Dziś? Jutro? Zaraz? Oficer uprosił, by mu pozwolono tam go zaprowadzić, bo może przecież nie tak przykro będzie, jak z feldfeblem i żołnierzami?

Aleksander ze wzruszeniem rękę mu ścisnął.

— Jaki ty dobry dla mnie, bracie!

— *Nu*, co tam! Co tam! Ja by dla ciebie *Boh znajet szto!*...

Dziwne u ludzi bywają czasem przeczucia, te uprzedzające wypadki rzuty duszy. W tej chwili dwaj ci ludzie po raz pierwszy zaczęli sobie mówić: ty!

— *Nu* — rzekł oficer — czas nam w drogę!

Przez otwór w drzwiach zawołał:

— *Smatrytiel!*

Wezwany dozorca natychmiast wszedł do celi; Karłowicki papier zza mundura wyjęty mu pokazał:

— *Po prikazanju...*

Wyszli obaj z celi, przeszli różne korytarze i wschody, przed wyjściem z budynku Karłowicki znowu komuś papier pokazywał. Szyldwachy wszystkie rotnego dowódcy salutowali.

Gdy znaleźli się na ulicy, oficer więźnia pod ramię ujął i krokiem iść zaczął. Aleksander odetchnął pełną piersią.

— Ach — rzekł — powietrzem świeżym oddychać choć przez chwilę, co za rozkosz! Ale dlaczego idziemy tak prędko?

I nie dał towarzyszowi czasu na odpowiedź, bo sobie o czymś przypominał.

— Ale, ale! Widziałeś narzeczoną moją i jej matkę! Byłeś u nich? Jak mają się? Co tam słychać?

Uliczki miasta były ciemne i prawie puste; kiedy niekiedy tylko dwaj spieszenie idący ludzie spotykali się z niepozornymi, śpieszącymi, obojętnymi na wszystko, co ich samych nie otaczało, przechodniami. Jednak oficer do szeptu prawie głos zniżył odpowiadając:

— Twoja narzeczona to cud kobieta! Odważna, dla ciebie na wszystko gotowa. *Wot Polki to kakija!* Ja dawniej żadnej nie znał! My z nią wiele, wiele mówili o różnych tam... naradzali się i ja tobie powiem, że u niej nie tylko *krasata* i serce, ale i rozum...

Mówiąc przyspieszał coraz kroku.

— Czego my tak biegniemy? — zadziwił się znowu Aleksander.

— Tak trzeba! — odpowiedział oficer i w głosie jego zabrzmiała nuta wydającego rozkazy *kamandira*.

U końca wąskiej uliczki widać już było jednopiętrowy budynek, w którym zasiadała komisja. Wszystkie okna budynku tego były oświetlone, przed gankiem paliła się latarnia i w świetle jej połyskiwały bronie sztyldwachów.

Jeszcze kilka, jeszcze kilkanaście kroków i oficer nagłym ruchem skręcił w jakieś ciasne, brudne przejście pomiędzy jakimiś wpół rozwalonymi lepiankami i płotkami, więźnia za sobą pociągając.

— Co to? Dokąd? Gdzie idziemy?

— Milcz! — szepnął oficer i jakkolwiek szept to był, zabrzmiał w nim twardy, niemal groźny rozkaz.

Ramieniem jak żelazną obręczą opasywał ramię więźnia.

Lepianki i płotki stawały się rzadsze, można było wśród zmroku dostrzec ukazujące się za nimi pole.

Ramię Aleksandra pomimo żelaznego uścisku oficera drżeć zaczęło.

— Co to jest? Dokąd mnie prowadzisz? Co chcesz uczynić?

Nie odpowiadał i po minucie znaleźli się już za miasteczkiem.

Wieczór był dość późny i pomimo gwiazd usiewających niebo ciemny, bo szmaty chmur tułały się pod gwiazdami, gnane i rozganiane przez wiatr, którego prawie jesienne podmuchy z lekka szumiały po gładkim polu.

Na wąskiej ścieżce przerzynającej pole, tu i ówdzie rosnącymi nad nią krzakami ocienionej, oficer zwolnił kroku i szeptem mówić zaczął:

— Ty nie wiesz, że tobie grozi śmierć... na szubienicy albo katorga. Ja o tym dowiedział się i nie mógł przecież z rękoma założonymi czekać. Ja pojechał do twojej narzeczonej i my z nią wszystko ułożyli. Ty będziesz wolny...

— Wielki Boże! — wykrzyknął Aleksander.

— C... c... c...icho! — zasyczał oficer i narzekać zaczął. — Oj ty Boże mój! Jaki *pyłki* charakter! Tu trzeba jak myszy cicho... a on krzyczy! Słuchaj i nie mów nic! Ja wszystko powiem...

Szybko idąc z głową ku głowie towarzysza przybliżoną, mówił:

— Przez las ten przeleciś wiorst trzy, za lasem będzie karetka sześciu końmi zaprzężona, z dwiema damami.

Potem jeszcze mnóstwo szczegółów i na koniec:

— O świcie w drugiej guberni już znajdziesz się, a tam granica *austryjska* niedaleko, będą tacy ludzie, co tobie...

Jeszcze trochę szczegółów i wskazań!

Aleksander nie odpowiadał, ogłuszony, wstrząśnięty, do utraty oddechu pociągany naprzód przez towarzysza, który znowu kroku niezmiennie przyspieszył.

Już znajdowali się blisko lasu. Pod lasem na tle zmierzchu zarysowały się sylwetki osiodłanego konia i człowieka za uzdę go trzymającego. Dostrzegłszy nadchodzących człowiek lejce na szyję konia zarzucił i jakby pod ziemię zapadł, tak w mgnieniu oka zniknął. A koń z głową ku nadchodzącym obróconą zarżał nagle, krótko.

— Piorun! Mój Piorun! — krzyknął Awicz i rzucił się na szyję pięknego zwierzęcia, a ono zgrabny pysk na ramieniu mu położywszy wydawało chrapania urywane, w których czuć było pieszczotę i radość.

Ale pomiędzy witających się przyjaciół wmieszało się ramię rękawem munduru okryte, głos niecierpliwy rozkazująco wymówił:

— Dość tego! Wsiadać na koń!

Ale teraz w postawie Aleksandra tkwił wyraz oporu.

— Nie chcę... a ty? Odpowiesz przecie za mnie, przeze mnie zginiesz! Za nic w świecie. Wracajmy, wracajmy co najprędzej!

Z pobłażliwym uśmiechem oficer głową wstrząsnął.

— *Wot!* Niby to rozumny, a dziecko! Czyż ty myślał, że ja i dla siebie ratunku nie obmyślił? Ja zdradził, ja przeciw obowiązkowi i prawu służby postąpił, ja przyjaciela oszukał. To jakże ja mógłby tutaj pozostać? Ja tak samo jak ty ucieknę.

— Czy podobna! Więc razem! Czemuż nie razem?

Potrząsnął znowu głową oficer, lecz na znak przeczenia.

— Nie można razem. Ja sobie inną drogę *prydumał*. A ty o mnie bądź spokojny. Ani na karę, ani na hańbę ja nie dam się. Za ćwierć godziny i mnie, tak jak ciebie, już tu nie będzie.

Widząc, że Aleksander w wahającej się jeszcze postawie przy koniu stoi, dłoń na ramieniu mu położył. Oczy jego z głębokim, bolesnym błaganiem, z bliska zatapiały się w oczach Awicza.

— Siadaj! Prędko! I leć! Zrób mi tę łaskę. Ja wróg ojczyzny...

W piersi mu coś zaskakało.

— Niech to przynajmniej zrobię, że jej dobrego syna wyratuję! Niech to przynajmniej ja... dla ojczyzny...

Awicz roztworzył ramiona. Spoili się w uścisku silnym, lecz krótkim. Oficer napędział:

— Prędziej! Prędziej!

Ej, Piorunie, koniu mój kochany, przenieśże ty mnie na wiatrowych skrzydłach przez piekielne progi!

W polu w pobliżu lasu, pod rozłożystą gruszą dziką oficer wsłuchiwał się w tętent konia, który oddalał się, cichł w lesie, aż ucichł zupełnie. Wyjął zegarek zza munduru, nisko pochylił się nad nim, dojrzał pomimo zmroku godzinę i minutę. Już od pięciu minut powinien być tam razem z więźniem, nic to! Jeszcze pięć minut spokojnie czekać będą. Oparł się plecami o drzewo, którego rozłożyste gałęzie okrywały go grubym cieniem i patrzył na szmaty chmur przepływające pod gwiazdami. Przepływały bardzo prędko i podobne były do ogromnych ptaków z poszarpanymi ciałami i skrzydłami. Gwiazdy to ukazywały się, to znikwały. Bezbrzeżna samotność rozlewała się po gładkim polu i po gęstym zmroku, w którym sam jeden z szelestem lekkim latał chłodnawy wiatr.

Człowiek pod dziką gruszą stojący znowu przybliżył do oczu zegarek!

Teraz już tam niepokoić się zaczęli... Do kieszeni munduru sięgnął i w kilka sekund potem pod rozłożystymi gałęziami drzewa huknął rewolwerowy wystrzał.

Jednocześnie postać w zmroku niewyraźna, lecz ciemna i ciężka, runęła u stóp drzewa na zroszone trawy

...Ej, serce człowiecze, jakie ty psoty srogie niekiedy płatasz tym, którzy w uderzenia twoje nie wsłuchiwali się nigdy...

Ej, krwi, od rodu ojczystego w dziedzictwie otrzymana, jak ty czasem obojętnie po żyłach człowieczych krążysz, aż wzburzysz się i zapłoniesz zgryzotą śmiertelną!

Ej, ty niewolniku biedny, któremu palce ziemskiego pana ugniotły duszę w kształt dla niego pożądany, coś uczynił, gdy ta dusza ocknęła się i krzyknęła, że taką pragnie zostać, jaką stworzył ją Pan Niebieski?

Hekuba

(R. 1863)

I

Stara nie była jeszcze; nie miała więcej nad lat czterdzieści i w pierwszej młodości swej ładna być musiała, bo wyraźne ślady tego pozostały w zgrabnym rysunku twarzy jej, niepospolicie pięknych oczach, w obfitości włosów, teraz jeszcze do kolan długich i barwę gorejącego złota mających.

Ale nie w głowie były jej młodość i piękność; dbała o nie jak o piąte koło u wozu. Gdy jej ktoś z sąsiadów żartem raz powiedział: „Pani Teresa, gdyby ładnie ubrała się i uczesała,

a krocziem trochę mniej zamaszystym chciała chodzić, to by jeszcze śliczną kobietką być mogła!” — zdziwiła się zrazu, potem się rozgniewała i sąsiada ofuknęła.

— Także koncept! Niechże mi pan Ignacy głowy głupstwami nie zawraca, a powie lepiej, czy pożyczy mi tego grochu za zasiew, po który przyjechałam, czy nie pożyczy, bo jeżeli nie, to siadam na bryczkę i jadę! Czasu nie mam!

Wiecznie czasu nie miała, śpieszyła, biegła, o coś starała się, coś pilnego do czynienia miała. Co czyniła? Boże wielki! Ani wyliczyć, ani opowiedzieć! Wszystko, co czynić trzeba było mając folwarczek malutki, dzieci sześcioro i męża, który był naprzód hulaką i marnotrawcą, potem próżniakiem i pieczeniarem, a potem umarł i ją wdową pozostawił.

Niektórzy na pracowitość jej fenomenalną, ruchy energiczne, na oczy błyszczące, a niekiedy aż gorejące spoglądając mawiali: „Co za temperament!” I mieli słuszość. Niezwykłość temperamentu była tym właśnie, co losami jej zarządziło.

Niegdyś osiemnastoletnią, ładną, dość posadną i szeroko spokrewnioną będąc, tak się była w sąsiedzie nicponiu zakochała, że perswazje ani wzbraniania żadne nie pomogły.

— Hulaka — mówiono jej — próżniak, bałamut, bankrut!

A ona:

— Nie ma na świecie aniółów. Każdy człowiek ma wady i on je ma także. Ale ja go z wadami i pomimo wad kocham i nigdy, aż do grobowej deski, kochać nie przestanę!

A kiedy matka i najbliżsi krewni stanowczo małżeństwu temu opierać się próbowali, oświadczyła, że w razie stawiania jej dalszych przeszkód z domu ucieknie, ani domyśla się, jakim sposobem i kiedy ucieknie, z wybranym swoim w jakim ustronnym kościółku ślub weźmie, a potem matkę i krewnych o przebaczenie poprosi. Że przebaczą, to dla niej wątpliwości nie ulega, bo ją kochają przecież — i jak jeszcze! A w dodatku szczęście jej przeproszać ich za nią będzie. Bo ona pomimo wszystkich przepowiedni czarnych i krakań kruczych ani na chwileczkę o przyszłym szczęściu swym nie wątpi.

Znając ją wszyscy wiedzieli, że to, co mówi, może próżną groźbą nie być. Tak żywa i śmiała była, tak dzielnie matce w gospodarstwie dopomagała, tak ochoczo do każdej zabawy albo roboty stawiała, że kozakiem-dziewczyną ją nazywano. Mogła bardzo łatwo uczynić to, na co inne stworzenie, potulne i nieśmiałe, zdobyć by się nie potrafiło.

Przy tym zdawało się nawet, że ten kościółek ustronny i takie na drodze niezwykle złożenie dowodu miłości wybranemu posiadać dla niej mogły urok pewien, poetyczny czy romantyczny, bo za poezją w ogóle przepadała i pomimo niezwyklej żywości swej do marzycielstwa miała skłonność. Dużo za północ nieraz w poemacie jakimś zaczytać się umiała albo na pięknie zachodzące słońce, na ładny widoczek leśny, na łąkę bogato rozkwitłą zapatrzyć się tak, że jak ze snu budzić ją było trzeba, a gdy wybrany zasiadał do fortepianu i głosem bardzo miłym śpiewać zaczynał: „Stój, poczekaj, moja duszko, skąd drobniauchną strzyżesz nóżką” albo: „Dwa gołębie wodę piły, a dwa ją mąciły”, do najciemniejszego w pokoju kącika usuwała się i po świeżej jak jutrznia jej twarzy cichuteńko spływać zaczynały perliste łzy.

Matce, krewnym, przyjaciółkom, wszystkim, którzy ją przed złym wyborem i losem ostrzegali, mawiała:

— Od ruiny majątkowej posagiem swym go wyratuję, do porządnego życia przyzwyczai się, bo mnie kocha. A czyż może być na świecie szczęście większe, wyższe, jak wyratować, uszczęśliwić, uszlachetnić, udoskonalić człowieka kochanego.

I gdy to mówiła, piwne źrenice jej sywały złotymi skrami, a policzki przemieniały się z płatków jaśminowych w pąsowe róże.

Nie było rady. Pobrali się i po krótkiej przerwie, która zdawała się urzeczywistniać marzenia kozaka-dziewczyny, w sercu, w głowie, w sposobie życia jej wybranego wszystko poszło po dawnemu. Tak jak dawniej począł próżniaczyć, w karty grać, na huczne polowania jeździć, różnym paniom i nie paniom głowy zawracać, jej posag i resztki majątku swego galopem roztrwaniać.

Uszlachetnienie i udoskonalenie kochanego człowieka nie udały się, czy i szczęście także? Naturalnie, ale tego domyślać się tylko było można, bo pani Teresa pomimo prawdomówności i wielomówności swej o losie swym i wszystkim, co on jej przyniósł, jak grób czy kamień milczała. Byłaż w milczeniu tym ambicja, skarg i użalań się nie znosząca, czy

pomimo wszystkiego trwające kochanie? Jedno i drugie zapewne, lecz może więcej drugie niż pierwsze. Może pani Teresa należała do tych natur głębokich, w które gdy raz kochanie zapadnie, to go ani gorzkie łzy zawodu zalać, ani palące żelazo bólu wypiec nie są zdolne.

I to tylko widzieli wszyscy, że jak przedtem męża, tak potem dzieci, gdy na świat przychodzić zaczęły, kochała z czułością i troskliwością niezmierną, entuzjastycznie, bez granic. Inaczej widać kochać nie umiała i taka właśnie miłość musiała być koniecznym i wierzchołkowym wykwitem jej natury.

Sprowadziła też miłość ta w jej życiu dalszym następstwo dość osobliwe.

Kiedy ostatecznie majątkowo zrujnowani ona i mąż jej z trojgiem już dzieci zamieszkali w folwarczku malutkim, jedyną już ich własność stanowiącym, pani Teresa wnet obejrzała się po niedużych kawałkach pola, łąki, lasu, po zabudowaniach gospodarskich, po rachunkach dzierżawcy, który im w małym domku miejsca ustępował i zabrała się do pracy.

Zrozumiała, że wioszczyna ta, w cichą samotność równin poleskich rzucona, stanowiła warsztat jedyny, na którym wyprząść i wytkać trzeba było byt tych, których kochała, że ten domek pod słomianą strzechą, pomiędzy stare lipy i grusze wtulony, musi stać się opoką dla stóp drobnych, dla długiej przyszłości jej dzieci i że ona jedna tkąć na warsztacie, opokę przed skruszeniem się uchować potrafi. Pomocnika, tym bardziej wyręczyciela, nie miała, nie! Więc do warsztatu i opoki zabrała się sama żwawo, energicznie i rozpoczęło się dla niej życie twarde, szorstkie, jak wór sieczką napelnione drobiazgami, które tak jak żdźbła sieczki były dla dotknięcia ostre i kłujące, dla oczu szpetne i przykre.

On, licznych i mniej albo więcej majątnych krewnych mając, jeździł od dworu do dworu, tu tygodnie, tam miesiące bawiąc się i bawiąc, dla obyczajów gładkich i humoru wesołego wszędzie mile witany i widziany, zawsze jeszcze paniom podobający się i przypodobujący, ładnie śpiewający, na polowaniach umiejący strzelać celnie, a potem o nich najśmieszniejsze anegdoty opowiadać.

Do domu zaglądał kiedy niekiedy, w zgrabnych ramionach dzieci przez czas jakiś po-
huśtał, żonę pieszczotami i czułościami osypał, a potem poziewać z nudy, wyciągać się w całej długości na sprzętach, nad nieszczęściami swymi biadać zaczynał, aż po niedługim czasie następowała pora humoru piekielnego, posępności grobowej, fukania na wszystko i wszystkich, czasem nawet grózb rychłej, a bodaj nawet samobójczej śmierci, aż na koniec dłużej już życia w tej norze, w tej dziurze, w tym czyścicu ziemskim wytrzymać nie mogąc, odjeżdżał znowu, aby po tygodniach lub miesiącach powrócić na dnie niedługie. I zdarzyło się, że nigdy już nie powrócił. W domu daleko mieszkających krewnych srodze na polowaniu przebiewszy się — umarł. Pani Teresa zaś długo po nim z twarzą od płaczu spuchniętą chodziła. Patrzący wówczas na nią mawiali pomiędzy sobą: „Ma też kogo tak długo i wiele oplakiwać!” Ona jednak płakała długo i wiele. Taka już była...

Zresztą jak przedtem, tak i w dalszym ciągu chodziła po polach, dozorowała robotników, stróżowała nad orką, młócką, zasiewem, sianokosem, żniwem, doglądała inwentarza, z pomocą paru dziewczek ogrody uprawiała, nierzadko własnoręcznie gotowała strawę, a w długie noce zimowe szyła odzież dla siebie i dzieci. O pierwszych brzaskach dziennych, na mróz, deszcz, śnieżyce, wichurę czy na rajskie od ros świeżych i świtań błękitnych poranki letnie, pierwsza wychodziła z domu, aby nieliczną czeladź budzić, wraz z nią robotyienne rozpoczynać. Oprócz tego często do sąsiednich wsi i miasteczek jeździła, wszystko, co trzeba było, sprzedając, kupując, braki różne zapełniając, stratom zapobiegając, o mnóstwo drobin tego twardego bytu dobijając się z trudem, z targiem, z troską, od których nieraz poty perliste na czoło jej występowały. W dodatku zupełnie już nie wiadomo, jakim sposobem czy jakim cudem zdołała wśród tego wszystkiego trzech synów z kolei do szkół przygotować i wysłać, córkę jako tako wyedukować i dwoje dzieci najmłodszych, drobnych jeszcze, doglądać...

Cóż dziwnego, że od lat wielu już w sposób taki żyjąc — straciła formę. Było to wyrażenie jednego z sąsiadów, który patrząc raz na nią przez pokój idącą, z cicha rzekł do obecnych:

— Pani Teresa zupełnie straciła formę...

I prawdziwe to było do tego stopnia, że gdy szła, to z pewnego oddalenia trudno było powiedzieć na pewno, czy to kobieta albo mężczyzna idzie, a z bliska znowu każdy

nic o niej nie wiedzący długo namyślać by się musiał przed zadecydowaniem, do jakiego stanu społecznego i poziomu cywilizacyjnego niewiasta ta należy.

Nie była wcale otyła, a jednak w pasie, ramionach i całej sobie była gruba. Pochodziło to ze zgrubienia czy rozrostu mięśni, które wciąż mocowały się z chłodem, gorącem i fizycznym trudem, a nadawało jej pozór bryłowaty, ciężki, dziwnie znowu sprzeczący się z żywością i energią ruchów. Po dawnych jaśminach i różach jej twarzy śladu już nie pozostało i ogorzała, zgrubiałą skórą powleczone twarz ta zachowała tylko piękny zarys ust i czoła, a także te duże, w niepospolicie piękną oprawę ujęte oczy, których piwne źrenice teraz jeszcze umiały w chwilach wzruszenia czy zamyślenia sypać złotymi skrami lub świecić jak gwiazdy.

Ale do tego stracenia przez panią Teresę formy więcej jeszcze od zgrubiałości mięśni i twarzy przyczyniało się ubranie. Byłże to był dla wytwornych i strojnych sąsiadek skład dziwów nad dziwami w tym ubraniu, które nigdy nic wiedzieć nie chciało o modzie i elegancji, a wiedziało tylko o taniości i wiecznym braku czasu! Więc spódnice jakieś zbyt krótkie, a co gorsza, z jednej strony dłuższe, z drugiej krótsze, kaftany jakieś źle skrojone i z pierwotną prostotą uszyte, buty grube i stukające, chustka na głowie zamiast kapelusza. I tylko włosy... Do tych pani Teresa słabość snadź miała, bo zawsze lśniąco i w gładki warkocz zaplecione, zwijały się z tyłu jej głowy na kształt ogromnego węża, który by miał barwę mieniającą się w blasku słońca łuski kasztana.

Zapracowała się pani Teresa, zaniedbała samą siebie i „straciła formę”, lecz nie zdawało się to ją martwić ani zawstydząć, ani zrażać do bywania kiedy niekiedy w domach sąsiedzkich, do brania udziału w licznych nawet zebraniach towarzyskich. Był w niej pociąg do życia towarzyskiego; wesółą pomiędzy ludźmi bywała, mówna. Gdy z bryczuszki w dwa małe koniki zaprzęzonej przed domem sąsiadów wysiadłszy, krokiem swoim zamasytym i stukającym, w sukni z jednej strony krótszej, z drugiej dłuższej, do pięknego, wykwiśniętego, ludnego salonu wchodziła, na ustach miała uśmiech szeroki, który rząd zębów jak perły białych odsłaniał, a na powitanie ręce obecnych tak mocno w stwardniałych od pracy dłoniach ścisnęła, że niektórzy aż z bólu sykali. Na kanapie albo jakim paradnym fotelu ją posadzić zupełnym było niepodobieństwem.

Wykręcała się od zaprosin, zawieruszała się pomiędzy towarzystwem, gdzie to tu, to ówdzie słychać było, jak całowała się z paniami, żartowała z panów, o różnych rzeczach i sprawach rozprawiała głosem przyzwyczajonym do przemawiania w polu, w ogrodach, w stodole, więc zbyt donośnym i niekiedy wpadającym w tony tak grube, że trudno było z dala rozróżnić, czy to jest męskie albo niewieście mówienie.

Ale u siebie w domu, w Leszczynce swojej, gdy nikt obcy na nią nie patrzył, miewała często czoło zmartwione, a oczy pełne zadumy czy tęsknoty. Nieraz gdy w gorące żniwa po dniu na skwarze słonecznym spędzonym z pola do domu powracała, krok jej zamasyistość swą utracił i powolny stawał się, zmęczony, a wzrok ku górze podniesiony błakał się po obłokach przez letni przedwieczerek malowanych i złożonych. Zbaczała nieco z drogi wprost do małego dworku prowadzącej, wchodziła na łączkę przydrożną i tam wśród mietlic rozczochranych i koniczyn kwitnących siadała.

Rozczochrane mietlice, koniczyny wysokie, gronami białych pereł obwieszone, szczerwie o potężnych, czerwonych kitach ogarniały ją i zasłaniały aż po szyję, tak że nad tą topielą puszystą i różnobarwną widać było tylko jej głowę z bujnym, ognistym warkoczem i z twarzą od znoju wilgotną. Lekkie wiatry przedwieczne muskały wtedy tę twarz uznojoną, a przed oczyma od zmęczenia przygasłymi powstawała nad niedalekim lasem zorza wieczorna, złota i różowa. I patrzyły wtedy oczy te na zawieszającą się pomiędzy niebem i ziemią zasłonę świetlną, patrzyły, podziwiały, modliły się, wielbiły, aż poczynaly nabierać od niej blasku, aż powracały od nich siła i radość życia, aż marzące, smutne, rozmodlone, zachwycone, nad gęstwiną mietlic, koniczyn i szczawi — świeciły jak gwiazdy.

Zdarzało się również, że w noc zimową, za domem białe od śniegu, w domu ciche od powszechnego uspienia, ogarniały ją zadumy do fal gorzkich, posępnie szemrzących podobne.

Dzieci w przyległym pokoju spały spokojnie, a ona w izdebce swojej u jedynej jej okna przy świetle małej lampy odzież ich naprawiała. Wysoki stos białych płócien wznosił się przed nią na stole, wiatr za oknami szumiał, czasem gałąź wiatrem poruszona sucho i twardo w szybę zastukała lub świerszcz odezwał się pod piecem.

Z głową pod światłem lampy pochyloną szyla, lecz nieraz igła wysuwała się z jej palców i czoło na dłoń opadało. Z czołem i oczyma zakrytymi dłońią siadywała nieruchomo i tylko czasem, jakby czemuś dziwując się bezdennie lub nad czymś boleśnie biadając, głową powoli wstrząsała lub w obie strony kołysała. Dziwowałaż się tak losowi własnemu? Biadałaż nad omyłką w dniach kwitnącej młodości popełnioną?

Niekiedy także wśród takiej zadumy nocnej z ust jej wychodzić poczynały nuty piosnki starej: „Dwa gołębie wodę piły...” Nigdy więcej nad ten początek piosnki nie zanuciła, opamiętywała się zaraz, milkła... Było to echo od wiosny życia w tę noc zimową przywiane, echo i odbłysek miłości jedynej w życiu, zawiedzionej, zdeptanej?...

Ale w sąsiednim pokoju jedno z dzieci niespokojnie poruszyło się na posłaniu, drugie wśród snu krzyknęło.

Pani Teresa, w mgnieniu oka na nogach, biegła ku sypialni dziecięcej, a gdy po chwili, przekonawszy się, że nic złego nie zaszło, powracała, oczy jej, usta, twarz cała jaśniały od błęgiego uśmiechu.

— Robaki moje, kwiatki, brylanty, pociechy, skarby moje!

Wśród licznych jej znajomych byli tacy, w których budziła szacunek lub podziw i tacy, których bawiła albo nudziła, którzy też ją po trochu wyśmiewali. Dość powszechnie zresztą przypieczano do niej nazwę Virago. Życie zaś inną jeszcze nazwą obdarzyć ją miało...

II

Tej wiosny syn najstarszy pani Teresy, dwudziestoletni student od paru lat w dalekiej stolicy przebywający, razem ze skowronkami do Leszczynki zleciał i już z powrotem nie odleciał. Gdyby pani Teresa do powrotu go namawiała, nie usłuchałby pewnie, ale ona nie czyniła tego i raz go tylko oburkliwie, krótko zapytała:

— Cóż będzie, Julek? Nie pojedziesz?

— Nie, matuchno — odpowiedział. — Nie pojedę...

Czoło jej zbiegło się w dwie grube zmarszczki i przez chwilę stała ze wzrokiem w ziemię wbitym, posępna i zgnębiona. Potem jednak głowę podniosła i spokojnym głosem już rzekła:

— Ano! Cóż robić? Kiedy inaczej być nie może...

— Nie może, matuchno!

— Ja to i sama wiem. A kiedy inaczej być nie może, to i basta!

Do gospodarstwa odeszła. Ale kiedy z pękiem kluczy w ręku szła przez mały dziedziniec do świrna, w którym różne zapasy żywnościowe się mieściły, krok jej cięższy i powolniejszy był niż zwykle.

Bóg jeden tylko wiedział, z jakimi trudnościami, przeszkodami, troskami zdołała ona syna tego do szkół przygotować, w szkołach utrzymać, do stołecznego uniwersytetu wysłać. Parę razy ktoś z krewnych dopomógł nieco i oto za lat trzy Julek skończonym medykiem zostanie, a jakim będzie medykiem i jakim człowiekiem, to już ona jedna tylko wiedzieć mogła, która go najlepiej ze wszystkich ludzi знаła i tyle już dziwów o jego zdolnościach, o jego duszy, o jego przyszłości wyroila. W rojeniach tych zresztą wcale nie wszystko było urojeniem i powszechne zdanie w okolicy panowało, że pani Teresie syn najstarszy dobrze się udał. W zimie, która tę wiosnę poprzedziła, sąsiedzi często słyszeli ją mawiającą:

— Oho! Niech no tylko Julek nauki skończy i na własnych nogach stanie, to już ja o przyszłość Janka, Olka, Brońci i Ludwinki spokojna będę. Choćbym i oczy zamknęła, choćby na Leszczynkę nieurodzaje i inne klęski spadły, on zginąć im nie da!

— A dlaczegoż to pani — ktoś raz zauważył — wszystkie dzieci wymieniając, o pannie Inie zapomina?

Na to pytanie radość na twarzy jej zgasła i oczy niespokojnie zaczynały migotać.

— Inka! No, cóż Inka! Osiemnaście lat kończy, już dorosła...

— Za mąż rychło ją pani wyda, co?

— Może... pewnie... na to przecież rosną dziewczęta...

— Patrzeć tylko, jak chłopiec jakiś porwie ją od pani... Jakże, takie śliczności...

— A pewnie, że śliczna jest! co prawda, to prawda! — rozpromieniała się znowu pani Teresa, lecz wnet z nowym zaniepokojeniem oczu i czoła dodawała:

— Tylko że ta śliczność tak samo nam kobietom nieszczęście jak szczęście sprowadzać może. At! W ręku Boga los ludzki! Jak Bóg da!...

Znać było, że wspomnienie o ślicznej Ince niepokój w niej budziło, ale dlaczego, nikomu o tym nie mówiła. Właściwie dziewczynie tej, za którą gdy tylko się gdziekolwiek ukazała, panowie jak słoneczniki za słońcem się obracali, na imię było: Michalina, ale ona imię to zbyt łada jakim znajdując, gdy tylko dorosła, zaczęła wszędzie, gdzie tylko mogła, nazywać się i podpisywać: Ina. Dla dogodzenia jej wszyscy tak samo nazywać ją zaczęli, bo dogadzać jej każdy czuł potrzebę, mus niemal. Nie byłaś śliczna?

Dzień był kwietniowy, bardzo pogodny i ciepły. Wiosny tej kwiecień przyszedł na świat taki, jaki zazwyczaj maj przychodzi. Przedwczesne upały dopiekać zaczynały i wszystko przedwcześnie rozzieleniało się, rozkwitało. W Leszczynce szare ściany małego domu oblewał blask słońca, na strzechę mchem błękitnawym poplamioną lipy kładły pełne listowia gałęzie, przed kilku małymi oknami kwitło na grzędach trochę narcyzów i piwonii. Na małym dziedzińcu budowlankami gospodarskimi otoczonym i w znacznie większym ogrodzie owocowym i warzywnym panowała cisza, którą napępiał niezmierny, radosny gwar ptactwa. Mnóstwo tego pierzastego drobiazgu gnieździło się tu w gałęzistych drzewach i metalicznym szczebiotem jak winem musującym napępiał czarę kryształowego czystego powietrza.

Julka ani Inki nie było w domu. On teraz często puszczał się na wyprawy po sąsiedztwie i całym powiecie, ją sąsiadki na dość długo zabrały, aby im w jakichś pilnych zbiorowych robotach pomagała. Pani Teresa szła z ogrodu warzywnego, gdzie kilka kobiet wiejskich jakąś zieleninę na zagonach rozsadzało, a dwie kilkuletnie dziewczynki, w krótkich sukienkach, wysoko nagie ich nożeta odkrywających, krok w krok za nią wśród agrestowych krzaków dreptały. Niezwykle zamyślona pani Teresa zdawała się nie słyszeć dwóch cienkich głosików, które tuż za nią, to po kolei, to razem wołały:

— Mamciu! Mamusiu! Matuchno! Mamciu!

Myślała. Jak on teraz, ten Julek, często wyjeżdża z domu, jak się pomiędzy rozmaitymi ludźmi po wsiach i po miasteczkach kręci, a gdy powraca, jaki mu czasem żar pali się w oczach. Zawsze miał takie oczy błyszczące, ale teraz to tak zupełnie, jakby kto żaru w nie nasypał... Nic nigdy o tym, gdzie był i co robił, nie mówi, nawet przed matką. Tak i powinno być; ona do niego o to żadnej pretensji nie ma, ale sama domyśla się, że snadź już, już... pora nadchodzi... Oj, ciężka pora... Tak się boi, tak się okropnie boi...

— Mamciu! Mamusiu! Matuchno!

Nie słyszy. Westchnęła głośno.

Za ojczyznę, za wolność, prosta to rzecz i naturalna. Ona to dobrze rozumie. Ona tak samo myśli i czuje jak Julek. Czy chciałaby, aby on myślał i czuł inaczej? Nie! Broń Boże! Za tchórza i za gałgana miałyby go, gdyby tak było. Wołałaby do grobu go położyć niżeli widzieć tchórzem i gałganem. Już dawno powiedziała sobie, że inaczej być nie może i — basta! Ale na sercu ma taki ciężar, taki okropny ciężar.

— Mamciu! Mamusiu! Mameczko!

Nie słyszy. Idzie coraz powolniej i głowa jej, sztywną, muslinową chustą przed upałem osłoniętą, coraz niżej na pierś opada.

Co z tego będzie? Co będzie? Zamiar wielki i święty, tak, święty! Ale skutek jaki? Powiadają, że jeśli nikt nie pomoże... ale to jest głupie gadanie. Pomóc to pomogą, bo alboż to ludzie na świecie z kamienia są albo z błota, aby widząc taką sprawę świętą, takie męczeńskie targanie się, nie ujęli się, nie ratowali? W Bogu nadzieja, że tak będzie, jak młodzi Konieccy onegdaj mówili. Interwencja mocarstw nastąpi i wszystko dobrze pójdzie. Ale tymczasem... kule... A gdyby jedna z nich... w Julka... O, nie daj Boże! O, nie pozwól! Pod Twoją opiekę i obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko!

— Mamo! Matuchno! Mamo!

Na koniec usłyszała, a raczej uczuła czepiające się sukni jej cztery łapki.

— Czego chcecie?!

Dwie drobne twarze, rumiane, pyzate, podnosiły się ku niej i jedna ze śmiechem, druga z nadąsaniem rzekły:

— Jeść chce się!

Splasnęła dłońmi i krzyknęła:

— A prawda! Toż to wy dziś nic jeszcze nie jadły! Toż ja o was zapomniałam. A biedniénkie wy moje, mileńkie... głodne... Chodźcie prędzej, chodźcie do domu, chodźcie...

Raźnie już, szerokim krokiem iść zaczęła, a przed nią dwa maleństwa szybko po zielonej trawie bosymi stopkami przebiegały, wkrótce też przez boczne drzwi domu do małej sionki wbiegły. Ale panią Teresę wejść tam za nimi mającą w progu ogarnęły i prawie nad ziemię uniosły męskie jakieś ramiona i nim opamiętać się zdołała, po sionce ją okręciwszy, do przyległego pokoju walcowym krokiem wciągnęły. Przy tym głos młodzieńczy, wesoły wołał:

— Dzień dobry mamci! Dzień dobry matuchnie! Jak matuchna ma się?

I kręcąc się z nią jeszcze po pokoju, śmiał się:

— Cha, cha, cha!

A ona zdyszana i z twarzą w ogniu krzyczała:

— Puść, Julek! Ach, ty swawolniku, wariacie, nicponiu! Puść, mówię, bo tchu już nie złapię...

I tak samo jak on śmiała się:

— Cha, cha, cha!

Aż gdy wypuścił ją z objęć, ku drzwiom od kuchni skoczyła i krzyknęła:

— Teleżukowa! Daj maleńkim śniadanie.

I wnet do syna powróciła z ustami pełnymi zapytań.

— No, jakże masz się? Tydzień cię w domu nie było. Daleko jeździłeś? Skąd teraz przyjechałeś? Co się tam na szerokim świecie dzieje?

On ją kilka razy w obie ręce pocałował, po czym, na starej kanapce usiadłszy, z miną uroczystą nastrojoną mówić począł:

— Uczynki miłosierne co do ciała: głodnego nakarmić, spragnionego napoić... a dopiero gdy się tego dokona, przyjdą tamte, co do duszy: nie wiedzącego uwiadomić, pytającemu odpowiedzieć...

— No, no, już rozumiem! Zaraz nakarmię i napoję! Oj, ty, swawolniku mały!

I już ku drzwiom od kuchni śpieszyła, ale gdy około niego szła, za rękę ją pochwycił i z oczami ku niej podniesionymi, głosem niższym rzekł:

— A potem pójdziemy do pokoju mamy na rozmowę poważną. Mam do powiedzenia mamie coś bardzo ważnego...

Ona zbladła na twarzy i oczy jej zmały się, jak gdy kto kamień na wodę rzuci.

— Coś ważnego... — powtórzyła szeptem.

Ale wnet uspokoiła się.

— Dobrze, pomówimy, tylko ci do zjedzenia cokolwiek przyniosę.

Sam pozostawszy Julek z kanapki się zerwał i mały pokój szybko wzdłuż i wszerz przebiegać zaczął, drobnego wąsika pokręcając, z głową pochyloną, zamyślony. Jednak pomimo zamyślenia spod drobnego wąsika ładnym tenorem zanucił: „Cicho, cicho, ktoś nadchodzi, serce mówi...” I urwał. Tonęła piosenka młodzieńcza w falach myśli szumnie i tłumnie toczących się przez głowę.

Swawolnikiem był od dzieciństwa najmniejszego aż dotąd, ale mały to nie był bynajmniej. Wzrost wprawdzie mierny miał, ale barki szerokie, w stosunku do wzrostu nawet za szerokie, co trochę krępym go czyniło; jednak z kształtów i ruchów biła mu taka rzeźkość i żywość, że zgrabny się wydawał, a przede wszystkim za doskonałe upostaciowanie zdrowia i siły mógł uchodzić. Po matce wziął czuprynę gęstą, ładny wykrój czoła i piękne piwne, błyszczące oczy, lecz na razowym chlebie macierzyńskim policzki mu nieco zanadto spulchniały, tak że okrągłe i rumiane przypominały pyzaty aniołów na obrazach niekiedy malowanych. Z twarzy tej ogień młodości gorącej, namiętej aż tryskać się zdawał.

Nie tak wyglądał, gdy w zimie minionej całe szeregi nocy spędzał w trupiarni, gdzie błady od bezsenności z ciekawością namiętą badał na ciałach, które śmierć rozkładała, tajemnice ludzkiego życia. Ale teraz nie znać było na nim ani tych nocy pracowitych i ponurych, ani innych wrzawliwych, które w izbie studenckiej, w obłokach tytoniowego dymu spędzał na namiętych sporach i rozprawach z tłumem kolegów. Teraz wszystkie prace, wszystkie przedmioty sporów i rozpraw, wszystkie dążenia i zamiary jak drobne świeczki pogasły przed blaskiem jednej myśli, jednej nadziei, jednego zamiaru i celu.

Wnet po wczesnym i krótkim obiedzie rzekł do matki:

— Może do mamy pokoju na rozmowę pójdziemy, bo tam bębny najmniej przeszkadzać będą...

— Jakie tam bębny! Janek i Olek zaraz znowu do wioski albo do lasu polecą...

— Są jeszcze dwa mniejsze bębny...

— No, te robaki... nic jeszcze nie rozumieją! Ale idź do mego pokoju, a ja tylko Teleżukowej coś powiem i tam przyjdę...

Niebawem wchodziła do tego pokoju, który był właściwie izdebką wąską, o jednym na ogród wychodzącym oknie, a tuż za nią wysoki próg przestąpiły Brońcia i Ludwinka. Dwa też cienkie głosiki zadzwoniły:

— Matuchno! Mamusiu! Mamciu!

— Czego chcecie?

Z oczyma na matkę podniesionymi chwilę milczały, a potem najspokojniej i najpoważniej w świecie odpowiadały:

— Niczego!

Z matką i przy matce być chciały tylko, a przy tym lubiły niezmiennie tę izdebkę, do której wstęp bez niej z powodu rachunków stół do pisania okrywających, był im wzbroniony.

Mogłyby sobie z tych papierów zabawki powykrawać lub na wiatr je puścić.

— No, kiedy niczego, to idźcie stąd sobie! Do Teleżukowej idźcie!...

Z zadartymi główkami uczepliły się czworgiem rączęt spódnicy matczynej i Brońcia, brunetka śniada, żałośnie, a Ludwinka, lnianowłosa i różowa, z gniewnym tupaniem nóżek, jednogłośnie zawołały:

— Nieceeeee!

Julek pochylił się i w mgnieniu oka jedną na jedno ramię, drugą na drugie pochwycwszy, znad ziemi je podniósł.

— E! Niech robaczki trochę sobie przy Teleżukowej popelzają! Tu niepotrzebne!

Śmiejąc się z izdebki je wynosił, a one śmiały się także głośno i nagie, długie, ogorzałe ich nożeta kołysały się w powietrzu, z ramion braterskich zwisając.

Pani Teresa tymczasem stanęła przy otwartym oknie, za którym rósł wysoki i gęsty krzak bzu już rozkwitać poczynającego. Krzak ten tak zasłaniał okno, że nic przezeń widać nie było oprócz kawałka błękitu niebieskiego za najwyższymi szybkami.

Kiedy Julek powracając drzwi za sobą zamknął, izdebka zdawała się być szczelnie przed wszelkim okiem i uchem ludzkim ukryta.

— Cóż, co mi masz do powiedzenia? — rzuciła się ku synowi pani Teresa.

Poblądła twarz i zmącone źrenice jej widząc, uspokajać ją począł:

— Nie to, nie to jeszcze, co mama myśli. I to przyjdzie, naturalnie, ale nie teraz jeszcze. Teraz coś innego, ale także ważnego.

I tu, u otwartego okna stojąc, począł mówić dość głośno, bo i po cóż miałby szeptać, skoro nikogo w pobliżu nie było i nikt podsłuchiwać ani myślał.

Czy tylko nikt? Coś jednak za krzakiem bżowym zaszeleściło i coś ciemnego wśród gęsto splecionych gałęzi zaszarzało. Ale pani Teresa i Julek uwagi żadnej na to nie zwrócili. Małoż to skrzydeł ptasich za oknami trzepoce, a byłoż im w tej chwili do przyglądania się grom barw i światła w krzakach?

Tymczasem po drugiej stronie bżowego krzaku dwie postacie chłopięce, jedna niedorośla, a druga wcale jeszcze dziecinna, w postawach wyprężonych i ze skamieniałymi od wytężonej uwagi twarzami podsłuchiwały.

Tak samo jak Brońcia i Ludwinka, Janek i Olek poszli jeden w matkę, drugi w ojca. Włosy ciemne i złote, jednostajnie krótko przystrzyżone, oczy piwne i błękitne, jednostajnie w tej chwili od ciekawości namiętej rozbłysły, cery jednostajnie przez wiosenne wiatry i upały opalone. Tylko że starszy wysmukły był i wydawał się sprężysty, gibki, a z twarzy bladawej wrażliwy i zapalczywy, u młodszego zaś krępość czy przysadzistość kształtów łączyła się z rumianością, powlekającą pyzate, zupełnie jeszcze dziecinne policzki. Zresztą lat niespełna piętnaście i trzynaście, stare jakieś, już za krótkie i za ciasne mundurki szkolne, stopy bose, ślady świeżej wędrówki po drogach piaszczystych i podłożach leśnych na sobie mające.

Z kilkugodzinnej wędrówki po wsi chłopskiej i lesie powróciwszy, zaraz spostrzegli, że pomiędzy matką i Julkiem coś jest, jakiś sekret, niepokój. Przy stole obiadowym matka mniej niż zwykle mówiła, nawet ich za niezgrabne jedzenie gderać zapomniała, a Julek zamyślał się często i ani razu z nich nie zażartował. Oni od dawna już czegoś domyślali się, coś w powietrzu czuli, o czymś z zasłyszanych rozmów pomiędzy starszymi wiedzieli. W szkołach jeszcze, tam w mieście, skąd na świąteczne wakacje do domu przyjechali, wiele już o tym, co ma stać się, pomiędzy kolegami mowy było. A dlaczego po przejściu wakacji świątecznych matka do miasta i szkoły wrócić im nie pozwoliła? Oho! Słyszeli dobrze, jak raz do Julka powiedziała: „W czasach takich kto wie, co z dziećmi stać się może. Niech lepiej w domu zostaną”. Julek zauważył, że rok czasu w szkole stracą, a ona odpowiedziała: „Niech lepiej rok stracą, a żywi i cali zostaną!” Ot, co zaszło! Aby żywi i cali zostali! Inni to mają prawo rozporządzać się swoim życiem i swoją całością, a oni niech przy fartuszkach matczynych siedzą i hańbą choćby okrywają się, zdrajcami kraju zostają, byleby... Bo zdrajcą kraju jest i hańbą okrywa się ten, który teraz... A skądże pewność, że Julek żywy i cały zostanie? Jednak zamierza czynić to, co mu serce czynić rozkazuje, ku czemu ciągnie go przykład wszystkich bohaterów rzymskich i polskich, a mama na to zgadza się... Dlaczegoż to jemu wolno, a im nie? Względem starszego brata coś na kształt zazdrości uczuli i od dawna już kroki jego śledzić, rozmowom przysłuchiwać się zaczęli. Ale na podsłuchiwanie zdobywali się dziś po raz pierwszy. Jakże można było nie dobrać się, skoro tuż za progiem stojąc niechcący usłyszeli byli, jak Julek mówi: „Do mamy pokoju na rozmowę pójdziemy, bo tam bębny najmniej przeszkadzać nam będą!” Na te słowa w starszym aż coś zagotowało się, zawrzało. „Słyszysz, Olek? — bębny!” A Olkowi łzy zakręciły się w błękitnych oczach. Cicho jak myszy mały dom dokoła obiegli, na ławce pod krzakiem bzu przysiedli i w stronę okna do izdebki matczynej słuch wyteżyli. Janek wyprężył się jak struna i ku matczynemu oknu cały wygięty, ręką kurczowo brzeg ławki ścisnął, Olek zaś zgarbił się, napuszył i rumiane policzki tak wydał, jak gdy czasem na rozkaz matki ogień w samowarze rozdmuchiwał.

Słuchali. Jakkolwiek Julek nie zniżał bardzo głosu, jednak pomimo woli może zniżał go nieco, więc wszystkiego, co mówił, słyszeć nie mogli i w słuch im wpadały czasem zdania niecałe, czasem wyrazy oderwane:

„Dziś po zachodzie słońca... wprost do Dębowego Rogu... tu nie zajadą...”

A potem zapytanie matki: „Wiele tam tego będzie?”

I odpowiedź Julka: „Szabel... rewolwerów... kos...”

Janek od stóp do głowy dreszcz wstrząsnął. Jedną ręką ściskając brzeg ławki, drugą brata za kolano pochwycił.

— Słyszysz, Olek? Słyszysz?

Ten drżeć zaczął jak w febrze.

— Aha! szab... szab... szab... le...

— Ciiii-cho!

Matka mówiła znowu:

— Motyki do kopania ziemi wziąć trzeba...

A Julek:

— Ja z Teleżukiem. Czy on w domu?

— Pewnie... powiem mu...

Chwila milczenia, po czym znowu Julek mówi:

— Tylko z chłopcami... żeby nie widzieli...

— E! Także! głupstwo! Błazenki te, co oni...

— Niech mama tak... niech mama tak nie... oni i bardzo nawet... spostrzegam...

— Nie może być! Swawole im jeszcze w głowie i Janek w książkach cały...

— No, no! Tak się mamie... materiał palny...

— Spać im iść każe... dla twojej spokojności...

Tu drzwiczki z izdebki matki do pokoju dziecinnego prowadzące przeciągle zaskrzypiały i jednocześnie dwa cienkie głosiki rozległy się tak donośnie, że aż za oknem słychać było:

— Mamciu! Matuchno! Mamo!

— Ot, już tam i wjechały małe — sarknął Janek. — Wszystkiemu koniec będzie. Zmykajmy!

Chyłkiem zerwawszy się z ławki, w pobliskiej gęstwinie drzew i krzaków znikli. Tam, za gęstą zasłoną z zieleni na ziemi siedząc, długo, zawzięcie pomiędzy sobą szeptali. Nad ich głowami blisko ku sobie pochylonymi i czołami w srogich namysłach, jak u starych ludzi zmarszczonymi, młoda zieloność liści powiewała i na zabój śpiewały ptaki.

Pani Teresa z izdebki swej wypadła, dwa „robaczki” za drobne ręce nie prowadząc, ale ciągnąc.

— Niech dzieci grzeczne będą... bo do kąta iść każę i krzesłami pozostawiam! Proszę mi zaraz gdziekolwiek spokojnie usiąść i książeczkę z pieśniami czytać, a za mną teraz nie łązić... bo przepędzę... do kątów...

Wiedziały „robaczki” czy jak je Julek nazywał „bębenki”, że gdy matka takim tonem przemawiała, żartów nie ma. Cichutko więc wysunęły się z domu i na wschodce małego ganku do drewnianego słupka przytulone, nad książeczką drobne głowy pochyliły tak, że aż prawie zetknęły się z sobą ich ogorzałe czoła i zmieszały się włosy lniane i brunatne.

Książeczka w okładce zszarzałej i zmiętej antykiem była, starym dokumentem rodowym, w który z rozkoszą wczytywały się niegdyś oczy pani Teresy, gdy była dzieckiem, potem Julka w tejsze porze życia, potem Janka i Olka. Spadała w dziedzictwie z matki na dzieci, z dzieci starszych na młodsze, była pierwszym drukiem, który oczy ich poznawały, pierwszą opowieścią, która im w krwi i mózgu zatliwała iskrę przyszłego płomienia. Teraz na kolanach Brońci otwarta, pożółkłymi kartami odbijała na tle spłowiałej sukieneczki z różowego perkalu.

Brońcia nie bez pewnej jeszcze trudności czytać zaczęła:

— Mieczysław Stary...

— Nie chcę Miecislawa... — przerwało jej kapryśne sarknięcie Ludwinki.

Cierpliwie starszy „robaczek” kilka kartek przerzucił i zaczął:

— Władysław Ja...

Ale młodszy przerwał znowu:

— Nie chcę Władysława...

— No to czego chcesz?

Porwała Ludwinka książeczkę z kolan siostry i na swoich ją rozłożywszy, z wydętymi od wysiłku wargami przez chwilę karty przewracała. Po czym zaczęła z wielkim trudem i jękaniem:

— L-e-le-s-i-e-k — Lesiek.

— Daj!

— „Przez dworaków opuszczona Helena w stroju niedbałym...”

Duży ptak furknął spod niskiego dachu i nad głowami dzieci przemknąwszy, lotem strzelistym pomknął w dal.

— Jaskółka!

Nie wiedzieć czego porwały się i nie wiedzieć czego na całe gardziółka śmiejąc się pobiegły w tę samą stronę, w którą jaskółka uleciała.

A pani Teresa pierwszy raz w życiu zapewne zdawała się o samym istnieniu najmłodszych swych dzieci zapominać. W kącie dziedzińca, pomiędzy szarymi ścianami stodoły i świrna, z chłopem barczystym i roslym, w siwą siermięgę ubranym rozmawiała. Był tak roslony, że aby w twarz mu patrzeć, głowę wysoko podnosić musiała, więc z wysoko podniesioną głową, z rękoma zwykłym sobie ruchem na kłębach opartymi, mówiła o czymś długo, cicho, a oczy jej w cieniu szarej stodoły jak iskry błyszczały.

Chłop długiej jej mowy wysłuchał milcząc, z twarzą nad jej głową pochyloną. Na twarzy jego grubej, w grube fałdy pociętej, gęstym włosiem siwiejącym z dołu zarosłej, nie odbijało się wrażenie żadne. Nieruchoma, zaspana jakby czy leniwa, podobna była do rzeźby z grubego kamienia, który barwą swą chleb razowy przypominał. Jednak z bliska można było dostrzec, że z tej niemej, ciemnej twarzy chłopca oczy spoglądały na podniesioną ku niemu głowę pani Teresy miękko jakoś i przychylnie, a zarazem nieco z ironią. Rzecz dziwna! Pod krzaczystymi, obwisłymi brwiami siwe oczy chłopca błyskały iskrą ironii. Po długim, milczącym słuchaniu, bez żadnego poruszenia w postawie, tak samo cicho, jak ona mówiła, a przy tym powoli, senliwie jakoś czy leniwie przemówił:

— Ej, pani! *Szczo z tobo bude?* Czy wy to tylko rozumnie i dobrze robicie? Czy z tego biedy wielkiej dla was nie będzie? Czy wy dzieci swoich...

Nie pozwoiliła mu dokończyć, ale porywczo szeptać zaczęła:

— Teleżuk tego nie rozumie! Ja to Teleżukowi kiedykolwiek wytłumaczę! Tak już stało się i inaczej być nie może, a kiedy inaczej być nie może — to i basta! Ja Teleżukowi jak przyjacielowi wszystko powiedziałam i jak przyjaciela proszę... ale kiedy Teleżuk nie chce, to i nie trzeba... to my sami...

Już uniosła się obrazą czy ambicją, cała rumieńcem oblała się i ruch do odejścia uczyniła, ale chłop poufale za rękaw jej sukni ujął.

— Zaczekajcie, pani! Ot, wy zawsze taka prędką! Jak do dobrości, tak i do złości prędką!

Po ustach jakby z ciemnego kamienia wyrżniętych uśmiech mu się prześliznął po błążliwy i wnet zniknął. Zniknęła też z oczu iskra ironiczna.

— Co ja sobie myślę, to myślę, ale zrobię, jak każecie... Ja wszystko zrobię, co każecie... ja wasz poddany...

Pani Teresa aż zachnęła się, aż krzyknęła:

— Głupi Teleżuk jest ze swoim poddaństwem! Najpierw to, że nie ma już poddaństwa, a potem, czy, kiedy jeszcze było, ja Teleżuka za poddanego uważałam czy za przyjaciela, a? Niech Teleżuk zelże, że za poddanego... a?

On ręką wzgardliwie machnął.

— Et, z babą gadać, wodę mleć. Czy ja o takim poddaństwie gadał? Ja w poddaństwo do was poszedł wtedy, kiedyście wy rękami własnymi z żony i dzieci moich zarazę srogą ścierali...

Pani Teresa żalosnym ruchem ręce rozłożyła.

— Cóż, kiedy nie udało się!

— Z żoną udało się... z nimi nie... ale ja od tego czasu wasz sługa, wasz pies... Czego tylko ode mnie chcecie, to zrobię... bądźcie spokojni... co sobie myślę, to myślę, ale zrobię...

— Niech Teleżuk nic sobie nie myśli, dopóki ja nie wytłumaczę. Kiedykolwiek wszystko opowiem i wytłumaczę. Ale tylko...

Z nogi na nogę przestępowała, myślą jakąś zaniepokojona.

— Niech tylko Teleżuk nikomu o tym nie mówi, nikomu a nikomu...

Chłop ze wzgardliwością niewypowiedzianą ramionami wzruszył.

— Ot, pani niby to, a kiedy baba, to taki i durna!

Odwrócił się i już odchodził, silny, rosły, z pochyloną kamienną twarzą. Ona, z rękami opartymi o biodra, śmiejąc się, za nim patrzyła. Wrócił jeszcze.

— *A kołyż to bude?* — krótko zapytał.

— Gdy tylko ściemnieje...

— Gdzie te cztery wielkie dęby?

— Aha. Ja tam już będę.

— *W Dubowym Robu?*

— Aha!

Dzień dobiegał do końca, słońce zaszło, zorza wieczorna zagaśła, na bezmiesięcznym niebie świeciły gwiazdy.

Nieszeroką drogą, pośród pola do bliskiego lasu prowadzącą dwoje ludzi szło szybkim krokiem i zamieniało się nielicznymi słowami.

— Czy byłeś w Lubinowie?

— Byłem... a jakże! Tam my często...

— Inka tam jest?

— A jest.

— Widziałeś ją?

— Naturalnie; jakże mógłbym nie widzieć! Ona przecież zawsze między rówieśnikami jak lilia między... jakże tam... niech będzie między... trawami.

— Także brednie! Powiedziałbyś lepiej, co ona tam robi?

— Cóż Inka może robić? Każdego, kto się na oczy jej nawinie, kokietuje!

— Julek!

— No i cóż takiego? Alboż mama sama o tym nie wie? Zresztą one tam wszystkie konfederatki dla nas szyją, koszule jedwabne i różne tam różności... oprócz tego śpiewają sobie, szczebioczą.

Kobieta westchnęła głośno.

- Julek...
- Co, mam?
- Żebyś ty ze mną o siostrze choć raz serio porozmawiał!
- Kiedy bo, moja mam, o Ince trudno jest mówić serio.
- Głupstwo! Dlaczegoż to?

— Bo w niej samej niczego serio nie ma. Dziewczyna pusta, w piękności swej, jak nasza szlachta okoliczna mówi, zadufana i w Leszczynce nudzi się piekielnie, a jak w świat wyleci, to sobie fruwa. Psychologia nietrudna i nieosobliwa.

— Aha! Ale bieda osobliwa może być...

— Jaka tam bieda! Za mąż pójdzie — i już.

Umilkli. Z obu stron drogi, w zbożu już dobrze podrosłym, przebiegały ciche szelesty, szmery, może chody glist i kretów albo podloty ptaków nad świeżo uwite gniazda. Las był już blisko; w ciemnej ścianie jego coś ćwirknęło, gwizdnęło i na chwilę umilkło, aż po zmroku gwiazdzistym, nad polem cicho szemrzającym rozległ się głośny, dźwięczny, przeczyście srebrny trzel. Rozległ się, pół minuty trwał i umilkł.

Julek podniósł głowę.

— Słowik! — szepnął i w szepcie tym jak w zwierciadle ludzkiego serca odbiła się tajemniczość wieczoru, gwiazd, ciemnego lasu i słowiczego trzela.

— Wcześniej w tym roku słowik... — zaczęła pani Teresa i nie dokończyła.

— Oj, ten rok! Ten rok! Ten rok!

Słowa te jak z podmuchem wiatru wyszły z jej piersi z ciężkim, trzęsącym się westchnieniem.

A w tej chwili, w lesie znowu, lecz w dalszej jego głębi, w innej stronie, zabrzmiał taki sam jak przedtem trzel srebrem dzwoniący, przez oddalenie od tamtego cichszy i tak jak tamten umilkł, a bujne runie po obu stronach drogi i u brzegów ich majaczące w zmroku drobne twarze kwiatów zdawały się w nieruchomości słuchać, czekać.

— Słyszysz, Julek? Ten drugi to właśnie tam zaśpiewał...

— W Dębowym Rogu?

— Gdzie te cztery najstarsze dęby rosną...

— Mama i w ciemnościach dęby te rozpozna?

— Oj, oj! Ile razy ja tam byłam. Ile ja tam...

Miała już powiedzieć — przeplakałam! Ale wstrzymała się, umilkła. Zawsze wstyd jakiś czy hardość niepokonana wstrzymywały ją od głośnego wspomnienia o przelanych kiedykolwiek łzach. Więc milcząc szła dalej i tylko myślała o tym, ile razy w dnie letnie albo i jesienne biegła tą drogą, wpadała do tego lasu i ku owym dębom dążyła, aby w gęstym cieniu ich listowia ukryć dolę swoją i z nich wyciekające łzy. „Dwa gołębie wodę pily...” Mój Boże! ileż razy, gdy piosnka ta głosem kochanym śpiewana przebrzmiała dla niej — wciąż jednak brzmiąc dla innych — jeden z gołębi wił się z bólu i płaczu na mchach szmaragdowych, u potężnych stóp czterech najstarszych w tym lesie dębów!

Teraz szła ku temu miejscu ucieczek swych od oczu i uszu ludzkich z myślą ukrycia w nich czegoś innego niż łzy i szlochania.

Weszli do lasu i gdy szybko szli naprzód, omijając pnie drzew i gęste sploty gałęzi przed sobą rozchylając, ogarniały ich miejscami ciemności grube, a miejscami, tam gdzie rozstępowały się nieco drzewa, zmroki przezroczyste, z lekka przez gwiazdy rozświetlone i u dołu, przy samej ziemi, usiane drobnymi twarzami, które zdawały się patrzeć na gwiazdy. Były to anemony obficie i bujnie rozkwitłe, te narcyzy leśne, które nocami nawet odrzynają się od ciemności bielą śnieżystą. Dwa słowiki to tu, to tam odezwały się z kolei, ale krótkimi nutami, które wnet milkły. Jakby próbowały tylko swych instrumentów muzycznych, jakby je nastrajały...

Wtem przed dwojgiem ludzi przez las idących stanęła grubsza, gęstsza, wyższa niż gdziekolwiek indziej ciemność i z ciemności tej grubej, stłumiony szepł zawołał:

— Pani! Pani! Toż to tu!...

— Teleżuk? Tak, tak! To tutaj! A turkotu nie słyszałeś jeszcze? Czy od strony Działkowicz turkotu nie słychać?

I stanęła jak wryta; o parę kroków od niej stanął też jak wryty Julek. W ciemności zaś ozwał się ten sam co wprzód gruby szepł:

— Ot i jadą!

Słuchali. W dalekiej jeszcze głębi lasu toczył się turkot powolny, koła jakieś z głuchymi stukami uderzały o wystające nad ziemią korzenie drzew czy o wystające nad mchami leśnymi kamienie.

Słuchali i w turkot ten powolny, a coraz bliższy, wyraźniejszy wsłuchani, nie usłyszeli kilku szelestów, które ozwały się w pobliżu.

Kędyś w pobliżu, w zarośli leszczynowej, złamała się z głuchym trzaskiem gałąź nadeptana czyjąś stopą, zaraz potem ktoś bardzo ostrożnie, jednak nie bez szelestu prześliznął się wśród leszczyn i gdyby oczy dwojga nieruchomych ludzi nie były wyteżone w stronę, od której zbliżał się turkot, mogłyby dostrzec dwie małe postacie, dwa raczej małe cienie, które wysliznąwszy się spomiędzy leszczyn, szybkim jak myśl ruchem zanurzyły się w padającą od drzew potężnych ciemność.

Jednocześnie Julek na spotkanie turkotu zupełnie już niedalekiego poskoczył i po lesie rozeszło się trzykrotnie powtórzone, krótkie, lecz przenikliwe gwizdnięcie.

U stóp grubej, wysokiej ciemności, która przestrzeń pomiędzy czterema potężnymi dębami zawartą napełniała, zatrzymał się wóz dwukonny, wysoko czymś naładowany i ktoś wysmukły, zgrabny, sprężystym ruchem młodzieńczym z niego zeskoczywszy, w mgnieniu oka przed panią Teresą się znalazł.

— Pan Gustaw — szepnęła — pan sam?

— Naturalnie, że sam. To najbezpieczniej. Takiego Teleżuka, jak pani, nie mam.

W rękę ją na powitanie pocałował.

— Julek, do roboty! A! I Teleżuk jest! Tym lepiej! We trzech prędzej pójdzie!

We trzech! Zapewne! Bez pani Teresy rachował młodzieniec z wozem naładowanym przybyły. Jeszcze tego świat nie widział, żeby ona, gdy robota pilna była, sama lub wspólnie z innymi do niej się nie zabrała.

— Teleżuk! Ile rydli przyniosłeś?

— Cztery, pani.

— Ot, sprytny! Wziął jeden i dla mnie.

Chłop spokojnie odpowiedział:

— Wiadomo.

I dźwignął z wozu grubą wiązkę przedmiotów jakichś, szczelnie w coś owiniętych, które gdy w silnych ramionach je podnosił, metalicznie i ostro szczełknęły.

Niedaleko stamtąd, za grubym pniem dębowym, jakiś mały cień, przysiadłszy do ziemi, zaszeptał:

— Słyszysz, Olek?

A zza sąsiedniego pnia szept inny, jak liść na wietrze drgający, odpowiedział:

— Sza... sza... szab... le!...

Było to tak, jakby dwa małe robaki po ostrych kończynach traw przepelzały i nie mogli tego usłyszeć ludzie krzątający się około wozu, tym bardziej że w tejsze chwili, kędyś blisko, jak źródło z podziemia, wytrysnął z ciemności rozgłośny, pełny już teraz śpiew słowika.

Cztery stare, najstarsze w lesie dęby spletały w górze liściaste gałęzie i była to jakby kaplica napełniona ciemnością, ze stropem gdzieś niedaleko ucętkowanym złotymi oczyma gwiazd. Unosiła się nad tą ciemną kaplicą nieprzerwana pieśń słowicza, a na podłożu jej poruszały się sylwety czworga ludzi i kiedy niekiedy pobrzękiwał metal. Pobrzękiwania te to dłuższe, to krótsze, to mniej, to więcej ostro, zdawały się towarzyszyć słowiczej pieśni, tak jak akordy instrumentu muzycznego towarzyszą ludzkiemu śpiewowi. Czasem jeszcze wydawać się to mogło rozmową tonów podniebnych, czystych, wolnych, wzlotnych, z przyziemnymi, ostrymi, groźnymi zgrzytami.

Oku we wnętrzu tej kaplicy patrzącemu trzeba było tylko oswoić się z ciemnością, aby rozpoznać robotę poruszających się w niej ludzi. Wykopywali doły, pogrążali w nie przedmioty z wozu zdejmowane i nakrywali je warstwami ziemi pełnej ziół i mchu. Widać było szerokie chwilaми rozmachy ramion pani Teresy i silnie w jej rękach uderzające o ziemię narzędzie pracy.

Pracowali w milczeniu, czasem tylko kilku słowami przerywanym.

— Niech mama odpocznie!

— Także gadanie! Na tamtym świecie wszyscy wieczny odpoczynek mieć będziemy!

A potem szept przybyłego z wozem młodzieńca:

— Oj, zmęczyłem się!

I odpowiedź pani Teresy:

— Także dziw! Rączki do roboty nie przyzwyczajone!

Potem, pracy nie przerywając, trochę zdyszonym głosem mówiła:

— A ja powiem, że nie szkodziłoby panom, oj, nie szkodziłoby dobrze sobie czasem pomachać siekierą czy tam kosą albo nad pługiem oblać się takim potem, żeby z nim razem wszystkie głupstwa, a to i grzechy z kości i duszy powychodziły...

Dwa młodzieńcze głosy zaśmiały się, a ona w odpowiedź śmiechowi temu sarknęła:

— Nie ma czego śmiać się: prawdę mówię!

Żelaźco rydła głęboko w ziemię pograżając dodała:

— Nie do Julka to mówię... on od dzieciństwa do roboty nawykł...

— Do mnie pani to mówi?

— A pewnie! Małoż to grzeszków: polowanka, baliki, koniki, pieski, zawracanie główek dziewczętom... No, czy nie było? Niech pan Gustaw sam powie... małoż to tego było?...

On po krótkim odpoczynku znowu do kopania ziemi się zbierając odpowiedział:

— Już nie będzie.

Nie żart ani żal, ani smutek, lecz uroczysta powaga w odpowiedzi tej brzmiała. Czuć w niej było potężny wiew czasu, który w dalekość niezmierzoną odniósł od ludzi baliki, koniki, pieski i dziewczęce główki.

— Ty, Julku, do domu teraz nie wrócisz, ale ze mną pojedziesz... potrzebnyś!

— Wedle rozkazu, panie setniku!

Długo pracowali. Już i drugi słowik kędyś tam dalej na dobre się rozśpiewał, i konie u wozu zniecierpliwione długim staniem parskwały i czasem wydawały krótkie rżenia, gdy pani Teresa, narządzie pracy na ziemię rzucając, rzekła:

— Skończone! Teraz wy sobie jedźcie, a ja z Teleżukiem do domu powrócę.

Teleżuk zbierał rydla i w jakimś krzaczystym schronieniu pomiędzy dębami je składał.

— Nie zabierzesz tego do domu?

— Ot! Żeby jeszcze nie śpiący ludzie zobaczyli! Już ja lepiej wiem, kiedy po to przyjść trzeba. Bądźcie spokojna, pani.

Po kilku minutach nikogo już pomiędzy starymi dębami nie było. W głębi lasu odzywał się czasem turkot wozu coraz słabszy i dalszy. Na drodze, pośród pól od lasu biegnącej, dwoje ludzi pośpiesznie szło ku mającącemu w swych gruszach i lipach dworkowi.

Wtedy z gęstwin leszczynowych, zza potężnych pni dębów, wyskoczyły dwa małe cienie ludzkie i rzuciwszy się ku sobie, szybko, namiętnie zaszeptaly:

— Teraz, Olek! Teraz albo nigdy! Ziemia świeżo poruszona, odkopać łatwo...

— I rydla są...

— Widziałem, gdzie schował.

— I ja! I ja!

— Szabel nie można — za duże, ale pistolety...

— I kindżały...

— A jakże... Naboje do pistoletów też...

— Tylko, Olek, z całej siły kopać... z całej siły...

— Bo drugi raz już tak nie zdarzy się...

— Już ty mnie nie ucz, Janek, jak sam...

— Chodźmyż prędzej!

— Prędzej, prędzej!

Zniknęli w ciemnej kaplicy dębowej i nic już w lesie słyhać nie było oprócz dwu pieśni słowiczych, które tony i trele zachwycone, rozmarzone, romantyczne, to razem, to na przemian rzucały pod świecące nad ciemnym, nad cichym lasem gwiazdy.

III

Ze wsi chłopskiej, do której dobry kawał drogi był z Leszczynki, a w której dziś robotników do pilnej jakiejś roboty gospodarskiej zamawiała, pani Teresa biegła drożyną polną bez tchu prawie i cała potem oblana, bo ranek duszny był i upalny. Zdyszana, z policzkami gorąco zarumienionymi, ze wzrokiem zakłopotanym, do kuchni bocznymi drzwiami domu wpadła i wnet zawołała:

— Teleżukowa! A małeńkie gdzie?

Kobieta w chłopskim ubraniu, od kuchennego ognia twarzy nie odwracając, odpowiedziała:

— Z Julkiem w pole poszli...

— A chłopcy?

— W sadzie siedzą... czytają...

— Jedli co?

— Ojej! Może wy, pani, co zjecie?

— Nie chcę! Nie mam czasu! Do obiadu zaczekam...

Nie miała czasu na jedzenie; musiała w rachunkowej książce coś zapisać, bo potem zapomni, do ogrodu, gdzie dziewczęta warzywa pełły, złatać, do lochu, gdzie dziś udój bez niej postawili, skoczyć...

Więc jak wicher głośno za sobą drzwi zamykając parę izb przebiegła ku tej, która nazwę jej pokoju nosiła, dążąc, gdy wypadkiem na okno otwarte spojrzawszy, jak do ziemi przykuta stanęła i oczyma, w których to gniew, to żal iskry zapalał, na ogród za oknem otwartym zieleniejący patrzyła...

Po ogrodzie...

Jakaż to księżniczka czy dama wielkoświatowa lub dworska w szacie białej, czarnymi cętkami nakrapianej, srebrną obręczą przepasanej przechadza się po tym biednym ogrodzie bez alei cienistych, bez dróg gracowanych, bez kwiatów wyszukanych? A może jest to jakieś zjawisko zaziemskie, które na chwilę tylko tu zleciało, bo wśród starych drzew owocowych i agrestowych krzaków, miejscami wśród zielsk dzikich, przesuwa się powoli, niedbale, nigdzie nie dążąc, na nic nie spoglądając, czasem tylko białą rączką zrywając z krzaku listek, który wnet roztargnionym czy zniechęconym gestem z palców wypuszcza. Na wydeptanej wśród trawy ścieżce stopki ładnymi pantofelkami okryte ostrożnie stawia, aby nimi jakiego kamyczka czy twardej kępki trawy nie dotknąć, ale że sukni białej w czarne kropki nie podnosi, więc malowniczo wlecze się za nią ona po trawie, jeszcze tu i ówdzie pobłyszkującej rosą. Połyskuje też na niej opasująca kibić taśma srebrna i w jasnym złocie włosów kunsztownie utrefionych jak ogniska blasków iskrzą się gwiazdy z polerowanej stali wyrobione.

Pani Teresa w krótkiej, szarej spódnicy i muslinowej chuście na głowie, z twarzą od potu błyszczącą i żyłami tak od upału nabrzmiętymi, że zdawało się, iż wnet krew z nich wytryśnie, stała przed otwartym oknem jak w ziemię wryta i patrzyła, aż skoczyła do okna i tak głośno, że po całym ogrodzie się rozległo, zawołała:

— Inka! Inka!

Strojna główka księżniczki czy zaziemskiego zjawiska białą jak lilia twarzyczkę obróciła ku domowi i głosik srebrny, delikatny, słodki odpowiedział:

— Idę, mamciu, idę!

Była biała jak lilia, w każdym poruszeniu wiotkiej kibici delikatna i łagodna; doskonale nakreślony owal jej twarzy przypominał madonny na obrazach malowane, usta porównać można było do delikatnie zaróżowionego płatka róży, oczy pod złotymi rzęsami i długimi, sennymi jakby powiekami miały łagodny blask ciemnych szafirów i marzące spojrzenie wygnanego na ziemię anioła.

Gdy w ubożuchnej izdebce, bawialnią zwanej, stanęła, zdawać się mogło, że pomiędzy białą tynkowane i nieco zszarzałe jej ściany, pomiędzy stare, z żółtego drzewa sprzęty, na podłogę z grubych desek, pod sufit z ciężkich belek — anioł zleciał.

— Dzień dobry, mamusiu!

I pogarnęła się ku zgrubiałej, czerwonej, na grubą, szarą spódnicę opuszczonej ręce matczynej, którą jednak pani Teresa porywczym ruchem cofnęła.

— Nie całuj mnie w rękę! Nie na czułości cię zawołałam! Nie! Cóż się tak, ledwie wczoraj do domu powrócisz, za królową zaraz przebrała? Sukienka najlepsza ze wszystkich, jakie masz, dlatego pewnie sprawiona, abyś ją rankami po mokrej trawie ciągała. I skąd u ciebie te błyszczące srebrności się wzięły... ten pasek... te szpilki, coś ich sobie we włosy ponatykała... Ja ci ich nie dałam, sama pewno nie kupiłaś... aż oczy mnie od nich bolą! Skąd je wzięłaś?

Gdy pani Teresa mówić zaczynała, rysy młodej dziewczyny na mgnienie oka zmąciły się i rozedrgały, a oczy bystro błysnęły. Ale było to tylko mgnienie oka, po którym z anielską łagodnością w głosie i uśmiechu odpowiedziała:

— Ten pasek, moja mamciu, od Klemuni Konieckiej dostałam, a te szpilki darowała mi Tosia Awiczówna...

— Także żebraczka! — zawołała pani Teresa — jak Boga kocham, żebraczka! Od człowieka do człowieka chodzi i jałmużnę do worka zbiera... Nie wstyd ci te błyskotki od bogatszych panien przyjmować, aby cię za pozbawioną ambicji...

— To są, mamciu, przyjaciółki moje i mama sama...

Ale pani Teresa skończyć jej nie dała i czerwone ręce w pięści zaciskając mówiła, raczej krzyczała:

— Oj, jakbym ja ci tę fryzurę na głowie rozczesła, gładko w warkocz prosty zaplotła! Jakbym ja z ciebie te błyszczadła wyżebrane i tę sukienkę świąteczną, a u dołu już zaflądrzoną ściągnęła i w perkalową spódniczkę cię ubrawszy do roboty jakiej zasadziła! A prawdę powiedziawszy i z tymi przyjaciółkami twymi zrobiłabym to samo. Żalobę narodową noszą!... Oprócz czarnego i białego koloru żadnych nosić nie wolno, złotych rzeczy nosić nie wolno... ale za to te czarne i białe gałganki popatrzeć tylko jakie i zamiast złotych cacek, srebrne, stalowe... Także żaloba! Po ojczyźnie... po wolności... po tych, co na pewną prawie śmierć idą, żaloba... A ty panny światowe i z posagami naśladujesz... to, co one w salonach i parkach swoich, ty w tych izbach i pomiędzy tymi pokrzywami robisz... o tym tylko myślisz, żeby we wszystkim do nich być podobna i w stroju, i w minach i... w nicnierobieniu.

Aż zachłysnęła się z zapалу, aż zachrynęła od krzyku i na chwilę umilkła, a głos dziewczęcy, jednostajnie zawsze cichutki i delikatny, zaczął znowu:

— Mama sama...

Zatrzęsła się pani Teresa od dwu tych słów po raz już drugi usłyszanych. Snadź dotknęły w niej one jakiegoś punktu, który niepokoił, bolał...

— Co: ja sama? — krzyknęła. — Dlaczego powtarzasz ciągle: „Mama sama”? Co: ja sama?

— Mama sama chciała, abym ja do tych panien była podobna, kiedy mnie na edukację do państwa Awiczów oddała...

Prawda! To prawda! Raz jeden pani Teresa pozwoliła sobie unieść się próżnością, próżnością za to śliczne nad życie kochane dziecko swoje, zapragnęła dla niej upiększeń innych jeszcze niż te, którymi przyoblekła ją sama natura i gdy ta pocziwa Awiczowa powiedziała raz do niej: „Oddaj mi Michalinkę (jeszcze wtedy Michalinką ją wszyscy nazywali) na czas jakiś... z moją Tosią niech uczy się przy guwernantkach...” nie wytrzymała, oddała... a teraz ona mówi... „Mama sama...” I sprawiedliwie mówi...

Odwróciła się plecami do córki, twarzą do okna, w rękach, które ochłoneły już od upału i przybladły, miała końce muślinowej chustki i głęboko zmęczonym wzrokiem patrzyła w ogród. Poczucie sprawiedliwości usta jej zamknęło. A w oczach i po ustach Inki przemknął figlarny, może nawet złośliwy uśmieszek, lecz zniknął natychmiast, gdy z jednostajną zawsze słodyczą mówić zaczęła:

— Ja, moja mamciu, do innego niż tu otoczenia, do innego spędzania czasu przywykłam... ja mam w sobie takie potrzeby, takie gusta... trochę subtelniejsze, wyższe... I czyż to moja wina, że jestem biedną dziewczyną...

Głowa pani Teresy w sztywnej białej chuście tak nisko opadła, jakby ją kto z tyłu czaszki ku dołowi popchnął. To prawda. Cóż ona winna temu, że ojciec majątek roztrwonił, a matka pozwoliła jej nabrać tych potrzeb i gustów, które przy majątku to jeszcze jako tako... choć zawsze... ale bez majątku...

— Jezus Maria! A toż co? Co ty robisz, Inka? Ja gniewam się... daj mi pokój!

Bo Inka po nagłym umilknięciu matki, głowę jej na pierś opadającą ujrawszy, ruchem jak myśl szybkim ku niej poskoczyła i obu ramionami grubą kibić jej objąwszy, śliczną twarzyczkę swą do jej ramion, piersi, policzka przytulać i pocałunkami okrywać je zaczęła.

— Niech mamcia nie gniewa się, moja mamciu, niech się już mamcia na mnie nie gniewa! Szpilki te z włosów powyjmuje, pasek z siebie zdejmę... tylko sukni tej nie zdejmę, bo jak zbrudzi się, to Teleżukowa wypierze...

— Sama wypierzesz! — groźnym jeszcze tonem burknęła pani Teresa, ale rozniewany przedtem wyraz jej twarzy topniał, znikał.

— No, dobrze już, dobrze! Sama wypiorę! Alboż to raz prałam... sobie i nie sobie... Tylko już teraz niech zgoda będzie... moja mamciu złota, brylantowa, kochana...

Łaszczącymi się, miękkimi, kocimi ruchami przytulała się do matki, okręcała się dokoła niej, ze śliczną główką w tył wygiętą, swymi szafirowymi, marzącymi oczyma w twarz jej patrzyła...

Ach! Te jej oczy szafirowe, ze spojrzeniem marzącym, czułym, spod długich, jakby sennych, jakby rozkoszą wiecznie upojonych powiek... Oj, te jej tak niegdyś namiętne, bezpamiętnie kochane ojcowskie oczy! Co one jej przypominały! Jakie chwile, jakie złudy, jakie upojenia nigdy nie zapomniane one jej przypominały! Wydało się w tej chwili pani Teresie, że ona to dziecko, to właśnie, najwięcej, najnamiętniej spomiędzy wszystkich swoich dzieci kocha i sama nie wiedziała jak, kiedy ramiona jej w szorstkich rękawach kaftana otoczyły ląbedzią szyję córki, a usta pocałunkami osypywać zaczęły czoło alabastrowe i tę fryzurę jasnozłotą, którą przed chwilą tak bardzo pragnęła rozczesać i w prosty warkocz zapleść. Inka śmiała się, a pani Teresie ten cichutki, pieścizliwy, wesoły śmiech wpływał do serca strugą roztopionego miodu i w głowie obudzał myśl: „Niech już tam! Młodziutkie to takie i śliczne, łagodne, kochane!”

Wtem tuż za oknem ozwały się dwa cienie głosiki dziecinne:

— Mamuchno! Mamciu! Mamusiu!

I jednocześnie młodzieńczy głos męski wołał:

— A cóż to za czułości i romanse mama tu z Inką wyprawia! Aż zazdrość bierze patrząc... No, czy ja nieprawdę czasem mówię, że mama Inkę najwięcej z nas wszystkich kocha!

Szeroki, błogi uśmiech rozwierał usta i całą twarz pani Teresy oblewał. Pierś jej zatrzęsła się od głośnego, szczęśliwego śmiechu.

— Nieprawda! — wołała. — Nieprawda, bo ja z wami wszystkimi jestem kobietą nieszczęśliwą, nie wiedząc nigdy, które z was więcej, a które mniej kocham... Raz zdaje się, że to, a drugi raz, że tamto, i na które patrzę, to zdaje się więcej kocham... Ot, wieczne kłopoty z wami!

Julek tymczasem dwie małe siostry z ziemi podniósł i na otwartym oknie posadził, a one wnet uczepliły się sukni matczynej, rozsypując po niej przyniesione z pola pęki traw i kwiatów. Szczebotały przy tym, o przechadzce ze starszym bratem odbytej opowiadając, a i on także coś tam o runi zbożowej, o trawach na łące już wysokich mówił. Blask słoneczny obejmował ich wszystkich płaszczem złotym, kwiaty polne pachniały, pod okapem dachu świegotało na zabój ptactwo, na ramieniu pani Teresy, iskrząc się stalowymi gwiazdami w złotych włosach, z wdziękiem opierała się śliczna główka Inki. A sama pani Teresa, kwiatami polnymi osypana, słonecznym blaskiem oblana, miała pozór istoty żywcem do nieba wziętej i w raju przebywającej. Jednak po chwili zaniepokoiła się nieco i oczyma zaczęła po ogrodzie czegoś szukać.

— Gdzieś tam w ogrodzie Janek i Olek...

Julek śmiechem wybuchnął:

— Ha, ha, ha! Mamci do pełnego romansu Janka i Olka już zabrakło!

Do sióstr malutkich zwrócił się:

— Niech robaczki polecą, chłopców wyszukają i tu przyprowadzą...

— A pewno! Pewno! — rajsco śmiała się pani Teresa. — Cóż to oni gorszego od was? Co gorszego?

Robaczki już z okna ku ziemi swoje nagie, długie, ogorzałe nożęta spuszczały, aby na wyszukanie braci lecieć, gdy z drugiej strony domu, na dziedzińcu, rozległ się turkot zajeżdżającej przed ganek bryczki. Inka drgnęła.

— Pan Gustaw przyjechał.

— Skąd wiesz, że to pan Gustaw?

— Wczoraj widziałam go...

Julek nagle śmiać się przestał.

— Tak, mamu, to on być musi... wczoraj już spodziewałem się...

Odbiegł na spotkanie gościa, odbiegła, włosów swych dłońmi dotykając i do sąsiedniej izby wśliznęła się Inka, robaczki w zieleni ogrodu znikły, a pani Teresa przez parę minut

sama jedna stała jeszcze u otwartego okna jak skamieniała, jak ze snu rajskiego obudzona do rzeczywistości strasznej... Przestrach spędził z jej twarzy gorące przez chwilę rumieńce; bólem skrzywiły się usta rajsco przed chwilą roześmiane.

Pan setnik przyjechał...

I zaraz po wyskoczeniu z bryczki, Julka pod ramię wzięwszy, do ogrodu z nim poszedł. Tam, cicho i żywo rozmawiając, chodzili po dzikich trawach i wydeptanych ścieżkach, aż zza krzaczystej zarośli, która ogród owocowy od warzywnego oddzielała, wychodząc ujrzeni naprzód Janka, który na ziemi siedząc zdawał się zatopiony w czytaniu rozwartej na kolanach książki, a potem Olka leżącego na trawie z twarzą ku niebu obróconą i tak śpiącego, że aż z lekka sobie pochrapywał. Gdy koło nich przechodzili, Janek przed gościem czapki uchylił i wnet znowu w czytaniu się zanurzył, a Olek nie tylko nie obudził się, ale głośniejsze jeszcze zachrapał. Minęli ich, Julek na chłopców uważnie popatrzył.

Brzegiem warzywnego ogrodu przez chwilę jeszcze szli, aż w inną stronę skręcili i pomiędzy drzewami znikli. Wtedy Olek porwał się z trawy i do starszego brata przyskoczył. Błękitne oczy zdawały się mu aż wyskakiwać z orbit, głos trząsł się.

— Słyszałeś, Janek? Słyszałeś? Już, ju... jutro wy... wy... wychodzą...

Ale Janek gniewał się czegoś na brata.

— Głupi jesteś z tym udawaniem śpiącego... czyż kto może uwierzyć, że o tej porze... A Julek pewno domyślił się, że udajesz...

Krępy, pyzaty Olek wyprostował się jak rozniewany kogut.

— No i co, jeżeli domyślił się? Czy to on mój pan i władca? A co usłyszałem za to, leżąc przy samych krzakach, jak oni za krzakami szli, to usłyszałem... A ty nic nie słyszałeś... nie wiesz...

— Czego nie wiem?

— A tego, dokąd pójdą.

Zerwał się na równe nogi Janek.

— A tyś słyszał? Wiesz? Dokądże? Dokąd?

— Aha! A scyzoryk, ten nowy od Julka, oddasz mi? To powiem...

Janek do kieszeni sięgnął i bohaterskim ruchem przedmiot żądany bratu oddając, tonem wzgardliwej nieco wyższości rzekł:

— Masz i mów.

Wtedy Olek ku samemu uchu jego nachylony szepnął:

— Do lasów horeckich...

I w tejże chwili zakłopotał się czegoś czy zawstydyził.

— Ale ten scyzoryk — zaczął — to weź go sobie, Janku, na powrót... ja tylko żartowałem... ja nie sprzedawczyk ani już taki chciwiec spod ciemnej gwiazdy...

Na płacz mu się prawie zebrało.

— Mazgaj jesteś i tyle — odparł Janek — ten scyzoryk i bez tego już bym ci dziś darował. My teraz inne scyzoryki mamy, prawda? Ot, pogadajmy, jak zrobić, żeby cel nasz osiągnąć. Cel nasz wielki i w tym tylko bieda, że my jesteśmy mali... Mali! — powtórzył i zaśmiał się z ironią.

— Ehe! — dodał Olek. — Można być małym, a odwagę mieć większą niż u niejednego z wielkich. Ale oni tego nigdy nie rozumieją...

— Oni nas nie rozumieją i nigdy zrozumieć nie będą mogli! My dla nich robaki... niewolniki...

Tak wyrzekał chłopak o szczupłej, smagłej, wrażliwej twarzy i wysmukłym, wybujałym wzroście. Sposępniał przy tym, schmurzył się, zmarszczyło mu się czoło pod gęstwiną krótko ostrzyżonych włosów. Olek blisko przy nim na trawie usiadł, ramię na szyję mu zarzucił i pocieszał:

— Ja z tobą! My razem... nie tylko bracia, ale i przyjaciele... nieprawdaż, Janek!

— Tak, tak, Olku! — ożywił się i rozpromienił Janek — na walkę, na czyn mężny, choćby na śmierć razem, ale nie na hańbę, nie na hultajskie życie i gnienie, wtedy gdy inni...

Pan Gustaw tymczasem po skończonej rozmowie z Julkiem witał na małym ganku domu panią Teresę i jej córkę. Zdziwiła się śliczna Inka na widok zamyślanej i milczącej twarzy sąsiada, zawsze wesołego, mównego i przez głowę jej zaraz przemknęła myśl:

„Brzydko dziś uczesałam się i w tym kołnierzyku nie bardzo mi do twarzy, dlatego pewno taki obojętny...” Ale pani Teresa zupełnie innej przyczynie zmianę w panu Gustawie zaszła przypisać musiała, bo jakby nogi posłuszeństwa jej odmówiły, ciężko na ławce usiadła i daremnie drżenie głosu pohamować usiłując, gościa, aby koniom do stajni odejść pozwolił i do obiadu z nimi zasiadł, prosić zaczęła. Ale on bardzo czegoś roztargniony i do rozmowy nie usposobiony, brakiem czasu wymawiając się, już chciał ją zegnać.

— Także pośpiech! — wesołej swej rubasznosci próbując zawołała, lecz nie udało się rubasznosc ani wesołość i już tylko zgnicionym jakby głosem poprosiła, aby choć trochę, choć chwileczkę z nimi posiedział.

Chciała widocznie powiedzieć mu o czymś czy o coś go zapytać, a on na zmęczone oczy jej i twarz przybladłą patrząc, posłusznie na ławce usiadł.

— Ot — zaczęła — chciałabym wiedzieć zdanie pana... bo Koniecty młodzi niedawno tu do Julka przyjeżdżali... obaj: Henryk i Artur i mówili o interwencji mocarstw, że będzie... że na pewno będzie... A pan jak o tym myśli? Bo widzi pan, ja kobieta prosta, pracująca, nic wcale o takich rzeczach... a jednak to jest rzeczą bardzo ważną ta interwencja... więc jak pan, panie Gustawie, o tym myśli?

Młodzieniec wysmukły, złotowłosy, z ładnym owalem twarzy niewieściobiałej i błękitnymi oczyma, dziwnie zamyślonymi dziś i razem rozgorzałymi, zmieszał się nieco i po chwili z wahaniem w głosie odpowiedział:

— Czy ja wiem, droga pani. Mówią niektórzy, że ta interwencja będzie... Młodzi Koniecty w to wierzą, a ojciec ich nie wierzy. I wszyscy tak samo: jedni wierzą, a drudzy nie wierzą. Jednak więcej jest wierzących niż niewierzących... to może i będzie... Ja tam nie wielki polityk i nie wódz, tylko żołnierz... Wodzowie powinni rzeczy takie do dna zgruntować i wszystko na pewno obliczyć... a my co? Na nas wołają: „Idźcie!” Serce i honor mówi nam: iść! Idziemy... i na... Bożą wolę!

Ręce pani Teresy kurczowo się zacisnęły.

— O, Boże! — zaszeptała i na młodego sąsiada zapatrzyła się z jakąś czci pełną pokorą. Znała go, od kiedy dzieckiem i pacholęciem był, widywała na balikach, na konikach ślicznych, u boku panienek najładniejszych... a teraz... taki młody — dwadzieścia cztery lata mu chyba, nie więcej — i bogaty... porzuca wszystko, idzie, a tak mu oczy goreją i czoło białe wznosi się mężnie, dumnie, gdy mówi: „Idziemy!” Szacunkiem głębokim, miłością pierś rozpięającą zdjęta z ławki powstała i gestem błogosławiącym ramiona przed siebie wyciągając rzekła:

— Niechże wam Bóg błogosławi... niech błogosławi!

I miała w tej chwili pani Teresa „formę”, nabyła w tej chwili formy niewiasty mężnej, która trwogę własną pod nogi wziąć, a rzeczom podniebieskim, wiecznym, wielkim błogosławić umie.

Pan Gustaw w obie błogosławiące ręce ją całował i razem zegnał się. Czasu nie miał, odjechać musiał. Ona cicho go zapytała:

— Kiedy?

— Jutro — równie cicho odpowiedział.

Słowa te dosłyszała Inka i gdy pan Gustaw rękę na pożegnanie jej podawał, anielsko w twarz mu patrząc wyszeptała:

— Konfederatkę pana sama własną ręką uszyłam... szafirowa z białym barankiem...

Uśmiechnął się i podziękował, ale obojętnie jakoś, z roztargnieniem. Anielskie spojrzenia tak pięknej jak Inka dziewczyny dziś władzy nad nim nie miały. Ona spostrzegła to i różowe usta jej wydeły się jak u zmartwionego dziecka, a przez głowę przewinęła się myśl: „Jacy oni teraz zrobili się nudni!... Nieznośni!...”

Pani Teresa zaś, jakby nic ważnego nie zaszło i zająć nie miało, już śpieszącym się, szerokim swym krokiem do domu wchodziła.

— Głodni musicie być... pora jeść obiad... pójdę pomóc Teleżukowej, aby prędzej było...

Zaledwie odeszła, Inka obróciła się ku Julkowi, który milcząc przy słupie ganku stał i wdzięcznie ku niemu pochylona wpatrywała się w niego z wyrazem takiego podziwu i uwielbienia, jakby z nieba tylko co zleciał, jakby nadprzyrodzonym zjawiskiem w tej chwili jej się wydawał, aż nagle ramiona ku niemu wyciągając zawołała:

— O, bohaterze mój! Bracie! Jakaż to duma, jakie szczęście mieć brata bohatera, brata, który...

Nie mogła dokończyć, bo on śmiejąc się, za podniesione ręce ją pochwycił i ku dołowi je skłaniając, trochę wesoło, a trochę z irytacją w głosie mówić zaczął:

— Nie pleć, Inka, nie deklamuj! Boże drogi! Toż ty i mnie już nawet kokietować zamierzasz! Dla wprawy zapewne, co? Ale daj pokój! Teraz na takie rzeczy nie pora! Ot, lepiej pomówmy z sobą poważnie... Mam z tobą o czymś poważnym do pomówienia... chodź!

Pociągnął ją ku ławce i gdy obok siebie usiedli, z głową ku jej głowie pochyloną mówić zaczął:

— Słuchaj, Ineczko, to, co ci teraz powiem, ważne jest jak obowiązek najświętszy, jak sumienie, jak boskie i ludzkie prawo. Kiedy... odejdę, mama będzie bardzo niespokojna, bardzo smutna... Razem ze mną odejdzie od niej najstarsze jej dziecko, już zupełnie dojrzałe, które już przyjacielem jej być mogło, pomocnikiem, a w potrzebie opiekować się nią i ją bronić... po mnie ty przy niej zostaniesz... najstarsza... Moja Inko, przejmij się ty tą myślą, że pociechą, pomocą, a w razie... nieszczęścia jakiego... wsparciem i opieką jej być powinnaś...

Tu Inka mowę mu przerwała.

— O, Julku! Ja kochać umiem, ja kochać pragnę, ja poświęcenie uwielbiam i u nóg mamy leżeć będę...

— Znowu deklamujesz! Któż tu o poświęceniu i o leżeniu u nóg mówi. To twój obowiązek, Inko. Bo pomyśl tylko, czym mama dla nas była... jak kochała nas, jak za nami przepadała... Gdyby nie jej praca, zabiegi, starania, byłibyśmy w nędzy i w ciemnocie pogrążeni... Ona to wyżywiła nas i wykształciła... Teraz, Inko, w tym ciężkim dla niej przejściu ty jej choć w części wypłać się z długu wdzięczności. Nie o leżenie u nóg jej idzie, ale nie martw jej niczym, pomagaj jej, młodszymi dziećmi zajmij się... strzeż, aby jej nie martwiły... Szczególniej Janka i Olka... miej na oku...

W sieni za otwartymi drzwiami ozwało się wołanie pani Teresy:

— Dzieci! Dzieci! Na obiad chodźcie!

Ale teraz Inka, przerywając mowę brata, z twarzą smutnie spuszczoną, mówiła:

— Mój Julku! Ty nie rozumiesz mnie, ty mnie nigdy zrozumieć nie chciałeś... Ja przecież niczym mamy nie martwię... Ja kiedy jestem w domu, to wszystko, co trzeba, robię, choć te wieczne zachody i kłopoty, całe to życie w Leszczynce... Czyż ty, Julku, nie rozumiesz tego? Moje myśli, moje marzenia... Czyż ty tego nie rozumiesz? Mnie trzeba innego życia...

— Ależ rozumiem, rozumiem — przerwał Julek i wstając z ławki mówił jeszcze:

— Po deklamacji nastąpiła deklinacja zaimka osobowego: ja, mnie, dla mnie. Ej! Niewysoko, Inko, i niedaleko lecą myśli i marzenia twoje. Nic tu mówienie twoje nie pomoże, bo serduszek twoje uszek nie ma! Chodźmy lepiej na obiad!

Wkrótce po obiedzie Julek braci młodszych zawołał, aby z nim na przechadzkę w pole poszli. Chłopcom, gdy usłyszeli to wołanie, aż oczy zabłyszczały i Olek nagle jak piwonია zaczerwieniony do Janka szepnął:

— Może nam co ważnego powie, może na koniec przekonał się, że my nie... bębnym i przynajmniej wiedzieć o wszystkim powinniśmy.

A Janek z przybladłą nieco twarzą wyprostował się i odpowiedział:

— Może powie, abym z nim szedł...

Olek zatrzęsł się cały.

— A ja? A ja? A ja?

Starszy z uczuciem wyższości zrazu na młodszego spojrział, ale potem coś tkliwego zaświeciło mu w oczach i ruchem opiekuńczym, niemal ojcowskim dłoń swą szczupłą i nerwową na głowie Olka położył.

— Bądź spokojny, Olek, ja cię nie opuszczę... ja jemu powiem, że albo my obaj z nim, albo... bez niego!

Olek uczynił z ramion dwa łuki nad głową rozwarł i wysoko nad ziemię dwa razy podskoczył.

Zza węgła domu Julek zawołał:

— Czemuż nie idziecie, chłopcy? Chodźcie prędzej!

Poszli drogą polną ku wiosce szarzejącej w oddali, za wioskę daleko...

Po dwóch albo i trzech godzinach chłopcy z długiej przechadzki powracali, ale bez starszego brata. Niedaleko już dworku spotkali się z Teleżukiem i Julek zawróciwszy się z nim ku lasowi poszedł, braciom mówiąc, aby bez niego szli do domu.

Zamyśleni byli obaj i wydawali się bardzo czymś zmartwieni. Po odejściu Julka nic zrazu do siebie nie mówili, tylko Janek zniecierpliwionym ruchem nogi co moment kamyczki z drogi zrzucił, a Olek z policzkami, jak do rozdmuchiwania samowara wydętymi, na podobieństwo miecha głośno sapał, czasem wdychał.

Po chwili starszy ze zniecierpliwieniem w głosie sarknął:

— Czego tak sapiesz i wdychasz... aż miech kowalski w oczach staje! Nic tu wdychanie nie pomoże... zastanowić się trzeba, pomyśleć...

— Aha! — jęknął młodszy, a starszy z zamyśleniem mówił dalej:

— Bo nie można powiedzieć, aby Julek zupełnie słuszności nie miał... Mama jest bardzo złą kobietą i ciężko na nas pracowała i pracuje. Dla takich matek jak ona dzieci mają obowiązki, to prawda, temu zupełnie zaprzeczyć nie można... co?

W odpowiedzi Olek zaszeptał:

— Ja mamę bardzo kocham...

A Janek z powagą wielką zaczął znowu:

— Przypuśćmy, że o kochanie tu nie idzie... i ja do mamy przywiązany jestem... bardzo... ale tu dwie miłości ze sobą walczą... rozumiesz? Przecie i Julek mamę kocha, a jednak... widać w nim inna miłość tę zwyciężyła, a w takim razie dla czegoż by i w nas zwyciężyć nie miała... Ale tu, widzisz, idea obowiązku zachodzi... zrozumiej to... i-de-a, rzecz najważniejsza w świecie. Julek przemawiał do mnie w imię i-de-i, obowiązku, tego obowiązku, który nam rozkazuje...

— Ehe! — triumfująco jakoś zawołał Olek — a dla ojczyzny to obowiązku nie ma? A? Jeżeli tu miłość i tam miłość, to i z obowiązkiem tak samo... tu obowiązek i tam obowiązek... A z czegośmy powstał — prawil dalej, krępą postać swą prostując i pyzając, rozrurienioną twarz wysoko podnosząc — jeżeli nie z tej ziemi? Co nas ogrzewało, jeżeli nie to słońce? Skąd wszystkie uczucia i myśli nasze, jeżeli nie od tych przodków, którzy... no, ty sam wiesz, co to ojczyzna! Wszystko, co było i co jest... z czego nasze ciało i nasza dusza... ty sam wiesz... A my niby to obowiązków dla niej nie mamy! Śmiech powiedzieć! Jeżeli pomiędzy dwiema miłościami okropny los nas postawił, to tak samo i między dwoma obowiązkami... A? Czy nie tak?

— Tak — po chwili zastanowienia zgodził się Janek — i ty to bardzo dobrze wyrozumowałaś... Nawet nie spodziewałem się... Ale tym gorzej dla nas. Jesteśmy postawieni w położeniu — tragicznym!

Na bladej, nerwowej twarzy jego i w piwnych oczach rozlał się wyraz cierpienia. Olek, tak wymowny przed chwilą, zamilkł i smutnie zwiesił głowę. Z chmury nabrzmiałej błyskawicami i gromami, która nad krajem całym stała, oderwał się ciemny obłok, spłynął na te głowy dziecinne, wkraól się pod ich czaszki wichrem szumiącym, ogniem błyskawicowym...

Przed samą już bramą dworku Olek podniósł głowę i rzekł:

— Brutus dwóch rodzonych synów zabił...

Janek pomyślał chwilę.

— To prawda; ale synowie Brutusa zdrajcami ojczyzny byli, a mama...

Olek dokończyć mu nie dał.

— I Timeleon zabił rodzonego brata...

— Brat Timeleona tyranem był, a mama... Spróbujże zabić mamę! czy mógłbyś... a?

Olkiem jakby dreszcze lodowate od stóp do głowy wstrząsnęły i aż krzyknął:

— Co ty wygadujesz, Janek. Wiesz, ty czasem bywasz okropny...

— Ano widzisz! Na nic się nam nie zdadzą Brutusy i Timeleony. Położenie jest zupełnie inne i na świecie każdy za siebie myśleć musi. Musimy, Olku, wiele zastanawiać się i myśleć, Julkowi całkowicie słuszności odmówić nie można...

— A dla czegoż on sam... — zaszeptał jeszcze uparty Olek, ale zobaczyli idącą naprzeciw nich matkę i tak jak nigdy przedtem pogarnęli się ku niej śpiesznie i pieszczotliwie. Nawet Janek, do pieszczot zazwyczaj nieskłonny, z powagą, opiekuńczym jakby gestem

ramieniem ją otoczył. Ale ona wyraz twarzy miała roztargniony i oczy głęboko zmęczone. Z roztargnieniem zapytała:

— A gdzie Julek?

Powiedzieli, że z Teleżukiem ku lasowi poszedł.

— No, to idźcie do domu, a ja na spotkanie Julka pójdę...

Wiedziała, dlaczego z Teleżukiem poszedł i wiedziała, że jeszcze do domu powróci, ale serce jej paliła taka żalność i tęsknota, że w domu ani dokoła domu miejsca sobie znaleźć nie mogła i teraz na spotkanie syna przez pola jak wichler pognała, aby go choć o ćwierć godziny prędzej zobaczyć... przez tę ćwierć godziny jeszcze na niego popatrzeć...

Powrócili razem, kiedy już dobrze po zachodzie słońca było i pani Teresa zaraz do Teleżukowej powiedziała:

— Daj dzieciom wieczrę i małeńkie niech po wieczery zaraz idą spać. My z Julkiem...

Nie dokończywszy poszła z synem do swego pokoju, którego drzwi z wewnątrz na zasuwki pozamykała.

I nikt nie widział ani słyszał, co oni tam z sobą przez te ostatnie godziny mówili, jak się żegnali...

Inka na małym ganku siedziała, z twarzą na dłoń opuszczoną, z poczuciem krzywdy ponoszonej w sercu. Dotąd wszystko, co się wkoło niej działo, zajmowało ją, cieszyło, nawet wyobraźnię jej rozpalalo, tak że otaczającym wydawać się mogło i ona sama najmocniej przekonana była, że uczucia powszechne są również i jej uczuciami.

Przy zbiorowym dokonywaniu przygotowań rozmaitych, a w licznym gronie równieśnych lub nieco zaledwie starszych od niej kobiet bawiła się wybornie; ruch gorączkowy, który w okolicy zapanował, stwarzał liczne sposobności do zebrania gwarnych, do rozmów ożywionych, wśród których jeżeli nie czym innym, to pięknoscią swoją jaśniała i pociągała. Ale od pewnego czasu zaczęła czuć, że w oczach ludzkich przygasa, maleje, że młodzi panowie zajmować się nią przestają, że w ogóle coś w powietrzu otaczającym ogromnie ją przerasta, gasi, rzuca jakiś cień czy tłumik na jej dziwnie bujne i niecierpliwe nadzieje, pragnienia. I oto powróciła do Leszczynki i ani wie, kiedy znowu wyjechać stąd będzie mogła... a tu zawsze nie raj, o! nie! Lecz teraz, gdy Julek odejdzie i takie zmartwienie w domu zapanuje... I za co to wszystko na nią spada? Dlaczego to właśnie jej młodość ma być przytłoczona, zatruta tymi wszystkimi powagami, obawami, utrapieniami...

Drzwi domu na ganek prowadzące ze stukiem się otworzyły i wypadła z nich pani Teresa, a za nią wyszedł Julek, który zatrzymał się przed siostrą, po rękę jej sięgnął i tak mocno ją ścisnął, że aż trochę zabolalo. Głębokim przy tym wejrzeniem w twarz jej patrzył, ale ani jednego słowa nie wyrzekłszy zbiegł z ganku dopędzając matkę, która już przez dziedziniec gnała ku stajni, przed którą Teleżuk konia do małego wózka zaprzęgał. Gwiazdy na niebie świeciły...

Inka powoli do wnętrza domu weszła. Jakże inaczej, o! jakże inaczej pożegnanie z bratem sobie wyobrażała! Gdy przedtem na myśl jej przychodziło, że ono kiedyś nastąpi, nie wiedzieć dlaczego przed wyobraźnią jej stawał rycerz z pękiem piór nad głową, który siostrę do piersi przyciskał, mówiąc do niej o jakichś rzeczach wzniosłych, poetycznych.

...A tu bez słowa, z tym tylko uściśnieniem ręki, takim silnym, że aż pierścioneł, który od Tosi Awiczówny w prezencie dostała, bolaco jej w palec wpół się... I ten jednokonnny, brzydki wózek z Teleżukiem w baraniej czapie na głowie...

Wózek z Teleżukiem w baraniej czapie na głowie za bramą już turkotał; pani Teresa od stajni do domu z powrotem gnała. W połowie dziedzińca nagle stanęła, uczuciem, które znała już nieco, ale któremu poddać się nie chciała, ogarnięta. Było to takie uczucie, jakby siła jakaś niewidzialna porywała ją i usiłowała o ziemię cisnąć. Zrywało się w niej pragnienie rzuć się na ziemię, uderzenia o nią czołem, wyszarpania z niej rękami garści piasku czy trawy. Doświadczała już była tego raz parę niegdyś, niegdyś w dawnych swoich bólach serdecznych; potem, gdy ze śmiercią tego, który je sprawiał, bóle serdeczne przeminęły i to ją opuściło, a teraz znowu... Ach! Z ramionami rozkrzyżowanymi na ziemię paść i czołem o nią bić... Ale nie! Nie uczyni tego! Mężna musi być i rozsądna... Jeszcze przecież nic takiego... jeszcze Julek żywy i zdrowy kędyś tam do Dziatkowicz jedzie... jeszcze może Bóg tarczą obrony swej... Ach, tak! padnie na ziemię i czołem o ziemię uderzy, ale... przed Bogiem, przed Chrystusem na krzyżu...

Znów biec zaczęła, do domu wbiegła, parę izb przebiegła i w swojej izdebce przed zawieszonym na ścianie krucyfiksem starym, który pamiątką po dziadku jej był, zrazu na klęczki, a potem z ramionami rozkrzyżowanymi jak długa na ziemię upadła.

Gwiazdy na niebie świeciły, kilka złotych oczu przez małe okno patrzyło na ciemną postać kobietą rozciągniętą na ziemi przed bielejącą na czarnym krzyżu postacią Chrystusa. W głębokim zmroku izdebki rozchodził się szmer modlitwy półgłosnej, żarliwej, jak powiewami wichru westchnieniami przerywanej, aż nagle umilkł.

Pani Teresa przestała się modlić, podniosła znad ziemi głowę, uklękła, podniosła się z klęczek, powstała i szybko jak wiatr z izdebki wypadła. Gdy mówiła i wołała: „Chryste, zmiłuj się!”, uczuła nagle ogromne, ogromne pragnienie ujrzenia innych swoich dzieci. Tamten odjechał, o, Chryste! może na zawsze! Ale te inne pozostały przy niej i ona zobaczyć je musi, zaraz, natychmiast, spojrzeć na nie, popatrzeć na nie musi. Zdawało się jej, że umrze albo nie wiedzieć, co się z nią stanie, jeżeli zaraz, natychmiast ich nie ujrzy, nie przekona się, że są zdrowi i cali, że są przy niej, że je posiada...

Wypadła z izdebki swojej wprost do tej, w której zazwyczaj sypiali i uczyli się Janek i Olek.

— A toż co? — krzyknęła.

Małe łóżka chłopców, w których było im już od dość dawna trochę za krótko i trochę za ciasno, puste były. Pościelenie nawet z nich zniknęło... Pani Teresa w mgnieniu oka znalazła się w kuchni.

— Teleżukowa! — zawołała — gdzie są chłopcy? Dlaczego pościeli ich...

Chłopka w czerwonym, okrągłym czepku na głowie szła przy świetle małej lampki; podniosła znad roboty okrągłą, dobroniuszną twarz i wesoło odpowiedziała:

— Ot, powyciągali sobie sienniki do ogrodu i pod lipą spać się pokładli. Nocka ciepła; nic im to nie zaszkodzi.

Ależ naturalnie! Cóż im może zaszkodzić, że noc prześpią pod gwiazdzistym niebem, w przczystym powietrzu ogrodu? Alboż jedną noc tak przespałi? I zdaje się, że w ogrodzie tym nie ma jednego takiego drzewa, u którego stóp nie próbowaliby w ciągu dzieciństwa swego urządzać podobnych noclegów. Ale pani Teresa musiała ich zobaczyć, musiała koniecznie wieczoru tego na nich śpiących czy czuwających popatrzeć. Wyszła tedy do ogrodu i długo szukać nie potrzebowała. O kilkanaście kroków od domu ujrzała pośród trawy, na pościółkach szczupłych, u stóp lipy rozłożystej, szarzejące w nieruchomości ich postacie.

Zbliżyła się. Spali. Janek oddychał równo i cicho, Olek głośno sapał i z lekka pochrapywał. Pochylona patrzyła na ich niewyraźnie rysujące się twarze, słuchała ich sennych oddechów, aż na zmęczone i zmartwione dziś rysy wypływać począł uśmiech.

— Robaki moje! Brylanty! Skarby moje — głośnym szeptem wymówiła i powolnym gestem nad głowami chłopców znak krzyża uczyniwszy, spokojniejszym już krokiem ku domowi odeszła. W myśli jej przez odjazd Julka wzburzonej i rozwichrzonej porządkować się, rozwidniać znowu zaczęło! Cóż? Tamtego nie ma, ale te są... Są i będą. Robaki jeszcze małe. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... Jeszcze pięć brylantów, pięć skarbów pozostało przy niej! Szła do izdebki, w której Inka wespół z małymi siostrami sypiała.

A gdy zamknęły się za nią drzwi domu, Janek i Olek żywym ruchem na swych pościółkach pod lipą usiedli.

— Słyszałeś? — zapytał starszy.

— Aha! Myślała, że śpimy, i mówiła: „Brylanty, skarby moje!” a potem...

— Przeżegnała nas! Błogosławiła... Jednak, wiesz... Olek...

I zamilkł.

— Co, Janku?

— Ej, nic! Tak sobie tylko pomyślałem...

— Co pomyślałeś?

— Ot, pomyślałem, co by to było jednak... gdyby mama tak nas wszystkich trzech... wszystkich trzech...

— Co?

— Straciła!

Rozpacznym ruchem Olek buchnął na swą pościółkę i zaszeptał:

— Bieda! Bieda! Bieda! Pewno! Szkoda mamy!

Ale bardzo wkrótce mrukliwym tonem ozwał się:

— Po co ma zaraz tracić? Czy to każdy, kto idzie na wojnę, musi być zabity?

— Musi, nie musi, ale może — rozważał Janek.

— A gdyby i tak — zrywając się znowu, zawołał Olek. — A pamiętasz, co Katarzyna Sobieska synom swoim powiedziała, gdy szli na wojnę? *Z tarczami albo na tarczach powracajcie!* Tak i my... Z tarczami albo na tarczach do mamy powrócimy.

— Głupi jesteś! Żadnych tarcz teraz w wojskach nie ma, to jedno, a drugie, że gdyby i były, nikt by nas na nich mamie odnosić ani myślał... Ty wiecznie z tymi swymi historycznymi przykładami... Ot, myślmY lepiej, jak zrobić, co wybrać... co poświęcić...

Teraz obaj pod lipą siedzieli i obaj czoła na dłonie spuścili. Myśleli, walczyli. Był w nich zacerpnięty z otaczającej atmosfery żar uczuć egzaltowanych, błędziły we krwi spadkowe po przodkach instynkty rycerskie; majaczył na dnie dzieciom właściwy instynkt naśladowczy; zrywała się wyobraźnia ku przygodom, wrażeniom, czynom nadzwyczajnym. To z jednej strony, a z drugiej wyrzutem dokuczliwym gryzła serca słowami starszego brata z codziennej drzemki obudzona miłość dla matki, płakał w sercach litośny nad nią żal.

IV

Dawno już, przed dziesięciu czy jedenastu laty, kiedy najmłodszych „robaczków” pani Teresy na świecie jeszcze nie było, a najstarszy ledwie do szkół się wybierał, okolicę, w której znajdowała się Leszczynka, nawiedził gość okrutny. Po drogach przerzynających pola, po zagonach pod wiosenną siejbę zaoranych, u ciemnych ścian lasów chodzić poczęła straszna pani, aż prawie do nieba wysoka, w szacie czarnej, z twarzą trupią, bielejącą wśród czarnych przesłon, które daleko za nią rozwiewały się jak olbrzymia chorągiew czy chusta. Kędy przeszła, powietrze stawało się zaprawione wonią trupów i zapalonych gromnic; którego z siedlisk ludzkich dotknęła swoją chustą czy chorągwią, tam pod strzechami czy dachami znajdowały się trupy, a w oknach chat czy domów błyskać poczynąły te światelka smutnie migocące, które dniem i nocą pałą się przy ciałach zmarłych.

Na imię przeraźliwej tej pani było: Zaraza.

Od dość już dawna podobno chodziła po całym kraju, teraz tu przyszła i chorągwią czy chustą swą dworku w Leszczynce dotknęła.

A zdarzyło się, że wówczas właśnie w izbie do małego domku już przez panią Teresę przybudowanej mieszkał z rodziną tak samo jak u pani Teresy liczny chłop nazywający się Panas Teleżuk.

Parobkiem był i zarazem furmanem, i zarazem jeszcze najstarszym w gospodarstwie pomocnikiem byłego dzierżawcy folwarku; pani Teresa znalazła go tu do Leszczynki przybywając i zatrzymała. Gdyby nawet na mocy posiadanego wówczas prawa nie zatrzymywała, pozostałby z woli własnej, bo w rodzinnej chacie jego aż trzech braci starszych z rodzinami licznymi siedziało i ta izba widna, obszerna, którą przybudowała dla niego pani Teresa... ta izba uszczęśliwiała go, wprost uszczęśliwiała, z tego powodu, że przestronnie i wesoło w niej było czworgu jego dzieciom.

Chłop to był wtedy młody, ale jak wszyscy chłopcy polescy więcej milczący aniżeli mówny, w ruchach ociężały, w wejrzeniu posępny. Wysoki wzrost jego, silne bary, śniada cera twarzy uderzały siłą fizyczną zdrową i wielką, lecz dusza zdawała się mieć wzrost przez coś wypaczony, bo z jednej strony ukazywała się ognista i bujna, a z drugiej senna i leniwa. Tą stroną duszy Teleżukowej, która wyrosła najbujniej, zapalała najgoręcej, była miłość rodzicielska. Z Nastką swoją ożenił się wbrew woli braci, którzy w prymy go dać, czyli z dziedziczną chaty i roli ożenić usiłowali, i żył z nią w zgodzie wielkiej, w częstych szeptaniach poufnych, we wspólnych nad wszystkim naradach, niemniej zdarzało się, że i do niej tak samo jak do innych ludzi całymi dniami słowa żadnego nie przemówił albo w złej chwili wykrzyczał ją i nawet pięść nie byle jaką na plecy jej opuścił.

Ale z dziećmi... O! To już było wcale co innego. To już był tajemniczy źródło jakiś, z którego lały się mu do serca, więc też i z twarzy, z oczu, z ruchów i mowy wytryskiwały rażność, żywość, wesołość i często, dziwna w tym ciężkim, twardym chłopie, niewieścia czułość, skowroncza polotność i śpiewność.

Czworo ich miał; starsze już gęsi albo owce pasły, młodsze spódnicy matczynej jeszcze się trzymały; ale on wszystkie, i starsze, i młodsze, po każdym powrocie od roboty na

rękach aż do niskiego sufitu podnosić i podrzucać musiał, a potem je sobie na kolanach, na ramionach sadzał i huśtał, i przyśpiewywał im, i gwarzył z nimi, a kiedy na kark, na grzbiet, na głowę niemal mu włożyły, śmiał się tak głośno, że śmiech ten aż cały dworek napęniał odgłosem serdecznej, jak pierś chłopska szerokiej radości. W niedzielę i święta za bramę dworku je wyprowadzał i na jakimś bliskim kawałku pastwiska albo ugoru można go było widzieć, jak leżał na wznak, wszystkie je na sobie mając, huśtał je na ramionach i nogach i gadał do nich, a czasem zrywał się i w poskokach, od których ziemia trząść się zdawała, uganiać się z nimi poczynął. Potem, kiedy oddalał się od dzieci albo kiedy one się oddalały, wracały mu znowu do ciała ruchy leniwe czy senliwe, do warg milczenie chętne, a do roztropnych oczu obojętność lub też posępność wejrzenia.

Pani Teresa od pierwszego poznania się z nim polubiła go za tę niezwykłą miłość ojcowską, a on polubił ją, jak się zdawało, od tej chwili, gdy dała mu na mieszkanie zamiast uprzedniej, ciasnej i ciemnej, izbę nową, przestronną i jasną. Hulaliż bo po niej, hulali dzieciaki jego, stając się coraz tłustsze i rumiańsze, a i Nastka w pałacu takim żyjąc pokraśniała, powagi jakby a razem i wesołości nabrała, tak że częściej niż dawniej poczał za nią, gdy przez izbę przechodziła, oczami wodzić. Szczęśliwa zdawała się być ta rodzina chłopska, szczęśliwsza niż ta, która obok niej nie w jednej, ale w kilku izbach mieszkała, i rozumiał to dobrze Teleżuk. Ot, o pani Teresie mawiał do żony: „Pani ona niby to, a nieszczęśliwa. *Swego* tak jak nie widzi nigdy, a na *detyny* swoje pracuje, *boruje*”.

Mogło się zdawać, że jak ona jego za szczególną miłość ojcowską polubiła, tak on ją za jej nieszczęście i za to, że na *detyny* swoje *borowała*, uszanował i także polubił.

Wtem straszna pani z trupią twarzą aż do nieba sięgającą nadeszła i dotknęła końcem rozwianej chusty swej domu w Leszczynce, a właściwie tej jego izby, którą Teleżuk z rodziną zamieszkiwał. Napęniała się wówczas izba ta jękami, krzykami, zsiniałymi i wijącymi się w bólach ciałami i jeden tylko ojciec rodziny na nogach pozostał, osowiały, zmartwiał, bezradny. Jak w kamień obrócony, dnie i noce w najciemniejszym kącie izby na ławie przesiadywał, szeroko rozwartymi oczyma na krzątanie się pani Teresy około chorych patrzył. Bo zakrzętnęła się ona około nich z energią sobie właściwą, z nie dającą się niczym zrazić litością gorącą i czynną. O lekarza w zakęcie tym było tak trudno, że prawie niepodobna, pielęgniarek jakichkolwiek sama nazwa była tam nieznana. Ale pani Teresa miała jakąś książczynę w wypadkach podobnych doradcą, jakąś szafkę z flaszeczkami i przyrządami leczniczymi, wiedziała więc, co czynić, i czyniła niezmordowanie, odważnie. Odwagi potrzebowała więcej jeszcze niż energii, bo i roztropność własna, i jakaś bawiąca wtedy u niej stara krewna ostrzegały ją przed niebezpieczeństwem przeniesienia trującego oddechu strasznej pani z izby Teleżukowej do piersi własnych dzieci. Ale roztropności swojej i przestrogom starej krewnej po krótkim namyśle stanowczej odpowiedzi udzieliła:

— Także paskudztwo! Żebym ja dla swego strachu ludzi w nieszczęściu takim nie ratowała!

A strach w niej jednak był, o, był! I ona jedna tylko wiedziała, jakich śmiertelnych dreszczów pełny. Więc też dzieci swoje na wszystkie strony okadzała, ocierała, zapobiegawczymi środkami poila, starą krewną zaklinała, aby je przed wszystkim, co za szkodliwe uchodziło, strzegła i znowu do tamtych wracała, godzinami całymi zsiniała i pokurczone ciała rozcierając, rozgrzewając, lecznicze płyny warząc i w usta spieczone wlewając.

Przyszło do tego, że samemu Teleżukowi, który przecież zdrow był, przemocą niemal, z krzykiem i gniewem pożywienie wmawiając prawie wkładać do ust musiała, bo u końca tych dni straszliwych, gdy dwoje dzieci jego już w trumienkach z izby wyniesiono, skamieniał on do ostatka, mowę jakby utracił i oczy miał jak sowa we dnie, czerwone i nieprzytomne.

Potem ucichło wszystko; Teleżukowie w swojej widnej, obszernej izbie we dwoje już tylko pozostali i raz, gdy pani Teresa krzątała się dokoła łóżeczek Julka i Inki, których welon strasznej pani z lekka dotknął, do pokoiku, w którym się znajdowała, weszli. Świątecznie ubrani byli oboje i wyrazy twarzy mieli świąteczne, uroczyste. Spojrzawszy na nich pani Teresa pomyślała:

„Masz tobie! Przyszli pewnie prosić, abym ich od służby uwolniła. Nie mogą pewno wytrzymać tu, gdzie ich nieszczęście takie...”

A oni zbliżyli się, przed nią stanęli i oboje ruchem jednostajnym pokłonili się jej nisko, aż do stóp, tak że prawie ziemi czołami dotknęli.

— Także pokłony! — zawołała. — Wiele już razy Teleżukowi mówiłam, aby nigdy...

Ale on, jakby słów jej nie słysząc, powoli, zgniecionym głosem mówić zaczął:

— My przyszli podziękować wam, pani, że nasze dzieci nie bez ratunku poumierali i że Nastka przy życiu została...

— Co tam! Co tam!... — z oczyma, które łzami nabiegły, przerwać chciała, ale on jakby znowu jej nie słyszał.

— My przyszli powiedzieć, że my przy was do śmierci... jak psy ostaniem i dobra waszego, dzieci waszych... pani...

Nie dokończył, bo w piersi jęknęło mu coś straszliwie i głos w szlochu się załamał, a Nastka to już płaczem aż ryknęła i chciała znowu do stóp pani Teresy czołem przypaść, ale ona wpół ją schwyła i w policzki wycalowała, a potem jego głowę obu rękami do siebie przyciągnęła i — także wycalowała.

— Biedniénkie wy moje! Kochaniénkie! Nieszczęśliwe! Dzieci tak potracić! Czy ja nie rozumiem...

O, jak rozumiała! Łzy jej zmieszały się ze łzami Nastki, bo on, Teleżuk, nie płakał, tylko na twarzy postarzałej miał już tę maskę z zastygłego jakby przerażenia i cierpienia sklejoną, która pozostać miała na niej na zawsze.

Przed odejściem rzekł jeszcze:

— My z wami, pani, do śmierci... i co tylko będzie trzeba... co tylko *skazete*, zrobim...

Dotrzymali obietnicy. Zostali, wszystko, co trzeba było, robili, pomocnikami jej, wyręczycielami, doradcami stali się, razem z nią dzieci jej hodowali. Byli całą jej służbą, innej nie miała i nie potrzebowała, a kto wie, czy pod ciężarem trosk swoich i twardej swej pracy nie ugięłyby się nieraz, gdyby nie oni... Dusza chłopska, tak samo jak ze strony miłości rodzicielskiej, ukazała się była w tym wypadku bujnie i pięknie wyrosłą ze strony wdzięczności... Cóż dziwnego, że pani Teresa w kilka dni po odjeździe Julka przyszła wieczorem do kuchni i naprzeciw Teleżuków za stołem siedzących na ławie usiadła. Nastka, jak zwykle o tej porze bywało, szyła, a on coś z drewna piłką i młotkiem majstrował. Widząc ją wchodzącą zapytał:

— A *szczo*, pani? Może potrzeba czego...

— Niczego mi nie potrzeba, niczego ja od was nie chcę — cicho jakoś odrzekła pani Teresa i dodała: — Przyszłam pogadać z wami...

Zmieniła się nieco przez te dni parę, przymizerniała na twarzy i spowolniała w ruchach.

— Męka taka — zaczęła — niepokój taki, miejsca sobie w domu dobrać nie mogę, roboty żadnej do końca zrobić nie mogę... Nic nie wiem, co się tam dzieje... muszę jutro do pana Orszaka pojechać, on pewno wie, może już bitwa jaka była... pojedziemy jutro, Teleżuk, do pana Orszaka...

— *Dobre*, pani, pojedziem — odpowiedział chłop i głowę znad roboty podniósłszy, po raz pierwszy, odkąd przyszła, na nią popatrzył, a popatrzywszy zaczął:

— Oj, biedy wy sobie narobiliście, pani, biedy! I *na szczo heto*? Wyrósł wam synek jak ten dąbek gładziusienki, jak ten młodzieńczyk na obrazie w cerkwi malowany, a wy jego posłali tam, gdzie śmierć i zgubienie... Nie przeszkodzili, nie zabronili...

Dziw to był, że Teleżuk mówił tak wiele i snadź przedmiot rozmowy bardzo już dopiekał, skoro do takiego rozgadania się go skłonił. I mówiłby dłużej jeszcze, gdyby mu Nastka nagle bardzo i z ferworem w mowę nie wpadła:

— A toż! — rękę z igłą i nicią wysoko podnosząc zawołała. — Już my z Panasem ciągle o tym gadamy i gadamy... Co wam, pani, stało się? Toż wy dzieci swoje zawsze lubili, toż wy za nimi przepadali i świata nie widzieli, a teraz pozwolili, nie przeszkodzili synowi na zgubę iść! Takiego gołąbka miłego, takiego *mołojczyka krasnego* wy z chaty swojej tam, gdzie strzelają i rąbią, wygnali...

I gadała, gadała w ferwor coraz większy wpadając, aż robotę z kolan na ziemię zrzuciła, aż porwała się z ławy, czegoś do pieca poleciała i znowu na ławę wróciła, ramionami rozmachując, lamentując, pani Teresie za zgubienie syna wyrzuty czyniąc. Znać było, że ona tego *hołubczyka miłego*, tego *mołojczyka krasnego* nie na żarty sama lubiła. I nie dziw! Wespół z matką hodowała go, strzegła, gdy był mały, a gdy dorósł, przyjazdami jego ze

szkół do domu cieszyła się, nigdy inaczej jak zdrobniałym imieniem go nie nazywając i z przekomarzania się z nią wesołego chłopca, z figlów, które jej płała, do rozpuku się śmiejąc. Teraz za to płakała... Łzy jak groch sypały się na twarz jej okrągłą, rumianą, na osłaniającą pierś szarą koszulę.

Pani Teresa wyrzutów czynionych jej przez czas jakiś w cierpliwym milczeniu słuchała, ale widać było, że siła się na tę cierpliwość. I długo wytrzymać nie mogła. Musiała przecież tym ludziom dobrym, ale ciemnym, tym pomocnikom i przyjaciółom swoim kochanym, ale nic nie rozumiejącym, wytłumaczyć, wyjaśnić. O zgubę syna, o zgubę Julka ją obwiniali! Mogłaż pod ciężarem tego obwinienia śmiało w oczy im patrzeć? Aż w stopy i w gardło piec ją zaczęło. Zerwała się z ławy, krzyknęła:

— Słuchajże, Nastka! Umilknijże! Także rozgadała się! Wy tego nie rozumiecie! Wy o tym nic nie wiecie! Posłuchajcież! Wytłumaczę, opowiem!

Nastka umilkła i uszu nadstawiła. Nie dlatego umilkła, aby krzyku pani Teresy złę-
kła się, ale dlatego, że ciekawość ją zdjęła. Z natury była wszelkich opowiadań i nowin, wszystkiego, co tylko mówione być mogło, ciekawa bardzo. Ale i Teleżuk, choć z pozoru niczego nieciekawym, wzrok w twarzy pani Teresy utkwiał, a ona, widząc ich uspokojonych i słuchających, mówić zaczęła o początkach, przyczynach i celach wszystkiego, co się w tej chwili tu i na przestrzeni całego kraju stawało i działo. Z początku niełatwo to jej szło. Od umiejętności jakiegokolwiek nauczania ludzi i wykładania im przedmiotów abstrakcyjnych o sto mil była odległa, a do długich zastanawiań się nad przedmiotami tymi i dobierania dla nich odpowiednich słów i wiązań ogromnie nienawykła.

Jednak z zasobu nauk dziecinnych, z licznych zasłyszzeń, z czytań częstych niegdyś, a potem choć rzadkich, lecz zdarzających się kiedy niekiedy, wydobyć mogła wiadomości ilość znaczną, a z serca, przez które razem z krwią przepływały uczucia pewnego rzędu, polały się jej i na usta wybiegać zaczęły coraz obfitsze, często dla niej samej niespodziewane słowa. Gdy tylko zaczęła mówić, od mowy własnej zaczęła płonąć. Królowie, rycerze, bohaterzy, poeci, potęga, świetność, sława; a potem klęski, upadki, niedole, krzywdy srogie, deptanie ludzi przez ludzi, gwałcenie praw boskich i ludzkich — wszystko, co niosła z sobą niewola, wszystko, czym nęci, zachwyca, jaśnieje wolność... I mógłże tu być wybór? I mogłoż być wahanie? I mogłaż syna odwracać od swoich własnych świętości? I mogłaż doradzać mu podłość, sobkostwo, tchórzostwo? Nie! Tak jak się stało, stać się musiało — i basta! Nie jest wyrodną matką, nikt od Teleżukowej lepiej o tym nie wie, ale nie może też być wyrodną córką, a jest przecież córką ojczyzny tak jak wszyscy, którzy z łona jej powstali i na nim żyją, są jej dziećmi... I tak dalej, i tak dalej mówiła, prawila, opowiadała, przekonywała, w zapale czasem zrywała się z ławki i w postaci stojącej ramiona rozkładała szeroko albo w górę je podnosiła, albo ze splecionymi rękoma przed siebie wyciągała. Wtedy na ścianie kuchenki małą lampą słabo oświetlonej powstawał za nią cień jej chwiejący się czarny i patetyczne gesty jej powtarzał.

Aż z twarzą w ogniu, od mówienia i zapалу zadyszana, umilkła. Ze wzrokiem zniur-
chomiałym i rozwartymi ustami nagle jakoś umilkła. Rozpłomienione jej oczy długo nie widziały dokoła nic, nic, w wewnętrzne wizje swoje zapatrzone, aż nagle zabaczyły, że Nastka spała. Na przedramiona skrzyżowane na stole głowę spuściła i usnęła. Od jak dawna spała, nie wiadomo, lecz nie od paru minut zapewne, bo sen jej wydawał się głęboki...

Teleżuk nie spał, ale czy długiej mowy pani Teresy słuchał, czy nie słuchał, odgadnąć byloby niepodobna, tak nie zmienione w swej zwykłej nieruchomości, tak żadnym błyskiem w posępności swej nie rozjaśnione były rysy jego twarzy. Zmęczony tylko wydawał się, bo przepracował dzień cały i pora była późna. Ciężkim też ruchem powstał z ławy i ociężale rękę ku włosom niosąc rzekł:

— Spać pora, pani! A toż i świtać niezadługo zacnie!

Żonę za ramię potrząsnął.

— Nastka! Spać się kładnij!

I tylko gdy ku drzwiom izby swojej z pochyloną twarzą zwrócił się, na krótką, na króciutką jak sekunda chwilę w sennym oku jego błysnęła ironia.

Z tej strony, ze strony, o której pani Teresa tak długo dziś prawila, dusza chłopska posiadała wzrost stłumiony, była ślepa, głucha, niema...

Pani Teresa stała chwilę jeszcze pośrodku kuchni, z czołem nagle w kilka fałd zmarszczonym i wzrokiem wbitym w ziemię, a za nią stał na ścianie czarny cień jej i z pochyloną także głową w ziemię patrzył.

Wzięła potem lampkę ze stołu i przyświecając nią sobie do sypialni córek poszła. Małeńkie spały głęboko w białych pościółkach swych, różowe i spokojne, Inka, na wpół rozebrana, w głębi izdebki wąskiej i długiej przed lusterkiem włosy sobie na loki zawijała, pasemka ich dokoła szmatek papieru okręcając.

Mnóstwo już białych papierowych strąków sterczało nad połową jej głowy, gdy z drugiej połowy na obnażone, alabastrowo białe ramię złota fala spływała swobodnie i obficie. Była tak w zajęciu swym pogrążona, że wejścia matki nie spostrzegła, zaś pani Teresa w progu ze swoją lampką stojąc i na nią patrząc z politowaniem drwiącym trochę, a trochę żalonym, głową wstrząsała.

— Także robota! — głośno burknęła i cofnęła się z progu ze stukiem drzwi za sobą zamykając.

Nazajutrz do Władysława Orszaka o dwie mile od Leszczynki mieszkającego pojechała. Przed wyjazdem do córki rzekła:

— Muszę po wiadomość pojechać... Rady sobie inaczej nie dam... Julek mówił, abym się w każdej potrzebie do pana Orszaka udawała i że on zawsze najwięcej o wszystkim wiedzieć będzie. A ty, Inka, nie siedź z założonymi rączkami; wyręcz mnie, małeńkich popilnuj, sukienkę Ludwinki napraw... wczoraj ją porozdzierała.

Na bryczkę parą koni zaprzężonych i przez Teleżuka powożoną siadła i pojechała, a niewiele przed wieczorem wróciła z twarzą w ogniu i rękoma, które gdy muślinową chustę swą z głowy zdejmowała, widocznie drżały. Do spotykającej ją na ganku Inki rzuciła się z łagodnym szeptem:

— Łada dzień... już łada dzień... jutro, pojutrze... może jutro...

— Co, mammo? Co?

Inka także wiadomości nie tylko ciekawa była, ale namiętnie oczekiwała, pożądała. Jakże! W tej głuszy, w tej monotonii, w tej nudzie żeby choć jakiegokolwiek urozmaicenie, wrażenie.

— Cóż, mamciu? Co? Co będzie łada dzień, może jutro?

Pani Teresa wybuchła:

— Bitwa!... już ku lasom horeckim wojsko idzie...

I dziwnie jakoś na miejscu się zakręciwszy, jak wicher wleciała do domu, gdzie biegły na jej spotkanie dwa cienkie radosne głosiki.

— Mama powróciła! Mamo! Mameczko! Mamciu! — A w tej samej chwili, na ganku, z którego Inka zeszła, aby powolnym, zniechęconym krokiem po ogrodzie błędzić, Janek i Olek przysunęli się ku sobie, cali drżący i tak na twarzach pobledli, że rumianego Olka zaledwie by w tej chwili poznać było można. Stali za Inką, gdy matka z bryczki wysiadła, słyszeli, co mówiła.

— Wo... wojsko już idzie! — trzęsąc się jak w febrze szeptał Olek.

A Janek ze spuszczoną twarzą milczał i tylko szczupłymi palcami miał karty trzymane w ręku książki. Gdy twarz podniósł, oczy mu tak błyszczały, jak nieraz u pani Teresy w chwilach zapału bywało. Julek i on odziedziczyli po matce te piwne oczy, które wśród pewnych stanów psychicznych przemieniały się w zarzewia gorejące. Chłopięcą, smukłą, sprężystą postać swą wyprostował i z powagą tak wielką, że niemal uroczyście rzekł:

— Teraz, Olku, albo nigdy! Pójdź! Pogadamy!

Tej nocy nikt w Leszczynce dobrego snu nie miał. Pani Teresa wprawdzie z przyzwyczajenia i zmęczenia usnęła około północy, lecz wkrótce potem z pokoiku jej wychodzić poczęły i po całym domu się rozchodzić jakieś dziwne, sennie, przeciągłe nawoływania czy przyzywania. Żadnego imienia, żadnego wyraźnego słowa w dźwiękach tych z uspionej piersi wychodzących rozróżnić nie było podobna, ale nabrzmiałymi one były taką żalością i tęsknotą, tak tęsknie, posępnie, przewlekłe rozchodziły się po ciemnych izbach, że Inka, jak codziennie bywało, do późna zawijaniem loków zatrudniona, zerwała się sprzed lusterka i z lampką w ręku do izdebki matki pobiegła. Pani Teresa miała zwykle sen twardy i nie przebudziło jej wejście córki, która zobaczywszy ją uspioną i po izdebce rozejrzawszy się, znowu przed lustro swe wróciła, ale już do zawijania loków nawet ochoty po-

zbawiona. Ze stukiem lampkę na stole postawiwszy, gniewnym ruchem wzięty do ręki grzebień odrzucając zaszeptała:

— Boże mój! Ja nie wytrzymam! Żeby to od tych wszystkich smutków gdziekolwiek uciec można było! Boże mój! Jaka ja nieszczęśliwa... nieszczęśliwa!

Oczy miała pełne łez, które też dwoma sznurkami po pięknej twarzy popłynęły, pięknieszszą jeszcze ją czyniąc. Patrzała też na odbite w lusterku swoją piękność i swe łzy.

— I po co mi ta piękność? Co mi z niej? Po co mi ona... w tej dziurze... wśród tych smutków?...

Gdy tak z załamanymi rękoma i dwoma sznurkami łez na policzkach szeptała, w tej samej chwili z izdebki pani Teresy znowu wypłynęło i po ciemnym domu rozplynęło się senne, przeciągłe, tęskne bezbrzeżnie, żalosne wołanie czy błaganie.

Kogo tak przez sen przyzywała czy błagała? Syna, który lada dzień w ogniu bitwy znaleźć się miał, czy Boga, którego ukrzyżowany obraz w głębokim zmroku mętnie biał?

Teleżuk także wcześniej niż zwykle, bo u samego początku świtania z pościeli wstał i Nastki nie budząc drzwiami do ogrodu prowadzącymi z domu wyszedł. Czegoś niespokojny być musiał, bo niezwykle szerokim krokiem poszedł ku lipie, pod którą chłopcy od niedawna nocleg sobie założyli, a na rozpostartych u stóp drzewa pościółkach nikogo nie ujrawszy stanął jak wryty, jeden tylko przeciągły dźwięk z ust wydając:

— Aaaa!

Przed nocą widział, na własne oczy widział, jak pokładli się tam do snu i bliscy usnięcia się zdawali, a teraz... Wstali snadź wśród nocy i dokądś poszli. Dokąd? Nie zastanawiałby się nad tym Teleżuk w innym czasie, bo małoż to dokąd niedorośli chłopcy tacy latać mogą! Ale teraz miał podejrzenie pewne i obawy... niedobrze określone... niejasne, ale miał. Powstały w nim one już wtedy, gdy z Julkiem i dziatkowickim panem broń w Dębowym Rogu zakopaną odkopując spostrzegł, że ziemia poruszona była, że ktoś tu po nich z rydłem około niej chodził... A potem Julek i dziatkowicki pan z wielkim zdziwieniem spostrzegli, że pudło z pistoletami odbite i że w nim dwóch pistoletów brakuje. A potem jeszcze i dwóch noży jakichś, co to ich panowie sztyletami czy kindżalami nazywali, zabrakło... Ale długo o tym nikt wtedy nie mówił; czasu nie było... Tylko znowu kiedy Julka do Dziatkowicz wiozł, prosić on jego zaczął, aby chłopców na oku miał, aby przed własnym dzieciństwem strzegł ich, bo kto wie, jakie głupstwa do głowy przychodzić im mogą... Wszystko to Teleżuk miarkował sobie w głowie, jedno do drugiego przykładając, aż teraz zaniepokoił się i wszystkie kąty ogrodu obszedłszy, szerokimi krokami ku wsi chłopskiej poszedł. Bawił dość długo, a powrócił snadź z powziętą wiadomością jakąś, bo z wielkim pośpiechem konia do wozu założywszy, nikogo w domu ze snu nie budząc, za bramę dworku wyjechał i skierował się w stronę lasów horeckich. O tym, co teraz działo się i dziać się miało w tych lasach, od pani Teresy wiedział. Konia zaprzęgając i potem na wozie siedząc, często z ust wydawał dźwięk przeciągły:

— Aaaaa! Aaaaa!

Dziwienie się wielkie i zgryzota w tym dźwięku brzmiały. I wyglądał Teleżuk na wozie swym ponuro, czasem tylko gniewnie.

— Oj, dałby ja im za to, dałby!

Biczem w powietrzu szeroko zamachnął, znowu głowę na pierś opuszczył i w posępny kamień kształt człowieka na wozie mający zastygł.

A oni, gdy Teleżuk w pogoń za nimi z Leszczynki wyjeżdżał, już Kanał Królewski wpław przepłynąwszy ku horeckiemu dworowi zmierzali.

Nie wytrzymali tedy, poszli. Na wieść o bliskiej bitwie, o wojsku już nadchodzącym, rozbijała się ich wyobraźnia tak szeroko i mocno, krew w żyłach chłopięcych zawrzała tak gorąco, że wszystkie inne uczucia umilkły, wahania ustały. Śród nocy, pod lipą, w świetle pobłyskujących zza jej gałęzi gwiazd najnowszą odzież skórzanymi paskami przewiazaną i niekoniecznie całe obuwie przywdzieli, pistolety i kindżały za odzieżą schowali i wszystko to rękoma z niecierpliwości drżącymi uczyniwszy, cichutko odeszli.

Do partii poszli.

A jeżeli naczelnik nie zechce ich tam przyjąć? Może i on tak jak inni bębnami ich nazwie, do domu wracać każe?

Myśl to była piorunująca, ale otrząsnęli się z niej prędko.

Nie, tak być nie może! Naczelnik wielkim człowiekiem jest, a ludzie wielcy wszystko wiedzą i rozumieją. On ich zrozumie; on im powie: „Zostańcie, rycerze młodzi! Walczcie z nami i z nami zwyciężcie lub zginiecie!”

Zwyciężyć albo zginąć! Co za czar w trzech tych wyrazach! I naczelnik wypowie je do nich niezawodnie, a Julek zawstydzi się, że choć brat i — bohater, tak, bo pomimo wszystko bohaterem jest jednak, ich zrozumieć nie potrafił i — ocenić! Tak; nie potrafił on ocenić w nich takiej samej odwagi i takiego samego rzutu do bohaterstwa, jakie w nim były. Teraz przekona się.

Drogę do dworu horeckiego dobrze znali. Gdy Inka cztery lata z panną Awiczówną się uczyła, matka jeździła tam często i ich z sobą czasem zabierała. Niezbyt daleka to zresztą była droga. Trzy mile niespełna. Rozkosznie ją w kilka godzin przebyli, bo cudne były świeżość i jasność poranku i cudniejszymi jeszcze napełniające je uczucia. Czuli się krzepcy, silni, lekcy, nade wszystko wolni.

Zdawało się im, że okowy jakieś z nich opadły i że lecą, nie idą, ale wprost na niewidzialnych skrzydłach lecą ku przygodom nadzwyczajnym i zadziwiającym, ku czynom potężnym, do których przeżyły się ich ramiona i zaciskały drobne pięści, ku słońcu jakimś wirującemu w oddaleniu ogromnym i rozrzucającemu na świat cały olśniewające, czarujące kolory i blaski.

Mieli zamiar przejść koło dworu horeckiego w sposób taki, aby przez nikogo tam spostrzeżeni nie zostać i w pobliżu dworu tego, w miejscu dobrze im znanym do lasu wejść. Lecz z pewnej już odległości dostrzegli, że we dworze dzieje się coś niezwyklego... Jakiś tłum ludzi na dziedzińcu rozległym, jakieś błyski metalowe w powietrzu, jakaś wrzawa grubych głosów. Za zasłoną krzaczystych wierzb, które ścieżkę polną obrzeżały, zbliżyli się jeszcze nieco, wzrok wyęzając i jednocześnie zaszeptali:

— Żołnierze! Wojsko!

Z łatwością domyśleć się mogli, że wojsko to wkrótce pójść miało tam, dokąd i oni dążyli. Jednocześnie z tym domysłem uczeni oblewające ich od stóp do głowy gorąco. Gorąco zapалу i niecierpliwości. Ach! Znaleźć się już tam — znaleźć się co prędzej tam, gdzie będzie walka, niebezpieczeństwo, pole do urzeczywistnienia marzeń tak długo snutych, ambicji tak długo skrywanych, bo przez ludzi nie zrozumianych i poniewieranych. Tyle jednak rozważy im zostało, że zrozumieli potrzebę odejścia stąd jak najszybszego i przedostania się do lasu w miejscu od tego odległym. Tak uczynili. Jak myszy polne po zagonach i miedzach, pod krzakami i drzewami, głębią rowów u brzegów pól prześliznęli się, przesmyknęli i daleko, tam dokąd już z horeckiego dworu żaden błysk ani odgłos nie dochodził, do lasu wbiegli. Tu zziązani, bez tchu prawie, cali jeszcze od przeprawy przez wodę mokrzy, na mchy leśne pod sosnami upadli.

— Ot, szczęście! — szybko i głośno oddychając zawołał Olek.

Janek nic nie odpowiedział, ale na bladawej twarzy, ku przestraszającym przez sosny błękitom niebieskim zwróconej, miał wyraz ekstazy. Porwał się też wkrótce z ziemi.

— Chodźmy!

Olek, choć nieco cięższym ruchem, na nogach stanął.

— Chodźmy!

Dobrze! Lecz w którą stronę lasu skierować się im wypada? Wiedzieli, że był ogromny i łączył się z lasami innymi, a w jakim punkcie jego znajduje się to, ku czemu dążą, skądże im wiedzieć? Pierwsza to była troska, która po opuszczeniu Leszczyнки na nich spadła, lecz nie przywiązywali do niej wagi wielkiej. Olek zawołał:

— Ot, wielkie rzeczy! Będziemy lasem iść, iść, iść, aż znajdziemy...

— Zapewne! Nie połową kuli ziemskiej przecież jest ten las! Coś przecież dojrzymy czy usłyszymy, co nam wskazówki jakiejś udzieli.

Poszli i — szli, szli, szli... po ścieżkach przez trzody wydeptanych i po mchach sprężystych, trawach wysokich, wrzosowiskach suchych, po drogach nieszerokich, w mnóstwo kolein wyrzeźbionych, pomiędzy kolumnadami wyniosłych sosen i świerków, przez gęstwiny zarośli i wiklin, nad którymi konary odwieczne rozpościerały stare jak sam ten las drzewa liściaste, gałęziste, jak czary winem musującym, ptactwem świegocącym napełnione... przez te świergoty ptactwa i metaliczne, chóralne brzęczenie owadów, przez rozciągnięte od krzaku do krzaku złote smugi słoneczne, przez spadające od splątanych konarów płachty czarnych cieniów — szli, szli, szli.

Mali, wielkością otoczenia pomniejszeni, jak u zmęczonych i zarazem śpieszących się bywa, szczupłe ciała naprzd pochylając, z daszkami czapek głęboko na oczy osuniętymi wynurzali się z cieniów głębokich, przebywali osłonecznione polany, zatapiali się w gęszczach zarośli, wynurzali się z nich na ścieżki lub drogi, po których przesmykiwali się na kształt zajęcy, które na widnych przestrzeniach zdwajają szybkość biegu, instynktem gnane ku cieniom, schronieniom, zasłonom.

Nie słyszeli szczebiotu ptactwa ani brzęczenia owadów, nie spostrzegali wychylających się zewsząd kwiatów ani zrywających się spod stóp ich motyli, nie uczuwaliby grzęnięcia stóp w pagórkach mrówczych ani czerwonych szram, którymi im jałowce i świerki znaczyły twarze i ręce.

Szli, szli, szli, głusi i ślepi, a jednak ze wszystkimi siłami istot swych skupionymi we wzroku i słuchu. Skupionymi i wytężonymi aż do bólu, aż do zapierania oddechu w piersi, aż do obezmyślenia wytężonymi, w oczekiwaniu, w poszukiwaniu namiętym prawie do szału, upragnieniu jakiegoś odgłosu, przebłysku, czegoś, czegokolwiek, co powiedziałoby im, oznajmiło, wskazało: tam! tam! tam! idźcie, zlećcie pomiędzy zbrojnych, odważnych, bohaterskich z okrzykiem: „I my, i my!”

Okrzykiem tym, w miarę jak czas upływał, piersi ich coraz więcej nabrzmiwały. Pot perlisty występował na czoła, oblewał policzki, u Janka coraz bledsze, u Olka coraz czerwieniejące i często tak wydęte, jak bywało, gdy na rozkaz matki ogień w samowarze rozdmuchiwał.

I nic, nic, nic. Żadnego odgłosu ani błysku, ani koloru, który by oznajmiał, ukazywał. O południu Olek zajęczał.

— Siądźmy trochę...

I upadł na ziemię pod rozłożystym drzewem. Janek niechętnie stanął przy nim. Starszy i sprężystszy, mniej czuł zmęczenie. Ale w zamian uczuł, że jest głodny.

— Olek, daj chleba!

Chłopak nagłym ruchem postawę leżącą na siedzącą zmienił i obu dłońmi po bokach się uderzył. Zmieszaniem zamigotały mu błękitne oczy.

— Zapomniałem wziąć!... — zajęczał.

Ale Janek ze spokojem przyjął smutną tę jednak wiadomość.

— No, cóż robić? Nic dziwnego, żeś zapomniał... Takeśmy się śpieszyli.

Obok brata na trawie usiadł.

— Trochę głodu! Co to znaczy? Czy tak jeszcze na wojnach bywa?

A Olek dodał:

— Spartanie to nieraz i bez wojny po trzy dni nic nie jadali, aby tylko hartu...

Wyprostował się nagle.

— Słyszysz, Janek?

— Słyszę... słyszę... słuchajmy!

Cóż usłyszeli? Jakież w oddaleniu pewnym szemraniem i niewyraźnym, przez oddalenie tłumionym pogwizd... Odzywało się to i milkło, ale od tła innych poszumów i pobrzmiwań lasu odskakiwało.

— Może to...

— Może tam...

I zerwali się na równe nogi. W kierunku niewyraźnego szemrania i pogwizdywania poszli i szli, szli, szli, aż przyszli na dolinkę małą, u brzegu której wytryskiwał nie wiedzieć skąd strumyk wody srebrzystej, perlistej, przez dolinkę płynął i szemrał, brzęczał, jakby mowę ludzką, spieszłą, tajemniczą naśladował. Nad strumykiem zaś rosły w miejscu pewnym do gromady zbiegnięte brzozy białokore, a w listowiu ich wilgi żółte skakały i gwizdały.

Uklękli nad strumieniem, pili wodę srebrzystą, perlistą, potem nią twarze i ręce omyli i dalej poszli.

Dość późna popołudniowa godzina znalazła ich siedzących na dywanie z traw, jak płatami śniegu usypanym kępkami kwiecia poziomkowego. Gdybyż to były jagody! Ogromnie przedwczesnym tej wiosny wszystko było w naturze i kwiat ten był przedwczesnym, jagody też zdarzały się już tu i ówdzie, ale w tym miejscu ich nie było, a im głód doskwierał. Wczoraj we wzruszeniu niezmiernym wieczery do ust wziąć nie mogli. Już przeszło dobę całą nie jedli. Jednak niby umowie jakiejś posłuszni o głodzie nie mówili

ani słowa. Co do zniesienia przyszło, odważnie muszą znieść i broń Boże nie jęczeć ani narzekać po babsku! Oprócz głodu zmęczenie we wszystkich członkach czują, boć od północy wciąż idą i idą. Przez otwory niezupełnie całego obuwia nabrali pełno ciał obcych, igieł sosnowych, żwiru, które kłują i do krwi ranią spieczone stopy. Ale to wszystko nic. Te wszystkie rzeczy cielesne mężnie i w milczeniu zniosą. Zmartwienie ciężkie i troska gryząca ich w tej chwili, to błaganie się po lesie już tak długie. Od wczesnego ranka aż dotąd błakają się i — nic! Może od celu swego oddalają się coraz, zamiast do niego się przybliżać? Bieda! Co tu robić? Żeby choć człowieka jakiego zobaczyć, zapytać!

— Żeby to, tak jak dawniej bywało, pustelnicy po lasach mieszkali! — westchnął Olek i dalej snuł marzenia.

— Taki pustelnik przyjąłby nas w swojej lepiance czy jaskini, nakarmiłby i drogę nam pokazał... A teraz co? Nie ma na świecie pustelników.

— Za to leśnicy są, tylko że żadnego spotkać jakoś nie możemy; dlatego pewno, że prawie wszyscy w partii.

— Szczęśliwi!

— Aha! Im nikt nie bronił. Owszem, wołali ich, ułatwiali.

I znowu: co tu robić? W którą stronę iść, w którą nie iść!

Na pociechę czy dla uspokojenia pistolety zza odzieży powyjmowali i długo oglądali je ze stron wszystkich.

— Śliczne — zdecydował Olek.

— Co tam, że śliczne! Ważne to, że doskonale niosą...

— Uhu! Jak to ja wtedy do tej wiewiórki trafiłem...

W lesie, daleko od leszczyńskiego dworku po wielokroć już broni tej próbowali pukając z niej i pukając. Olek raz wiewiórkę zabił. Naboje też wydali na to sporo, lecz mieli przy sobie zapas ich jeszcze znaczny.

— A scyzoryki?

W dziecinnych rękach, niedawno wodą srebrzystą, perlistą omytych, ukazały się z pochew dobyte, szerokie, w połowie zakrzywione noże. Promień słońca w stalowej powierzchni ich złościście zabłyszczał. Błysk ten jakby podrzucił ich w górę.

— Idźmy!

Poszli znowu, ale szli wolniej niż wprzód. Tu i ówdzie zza drzew przerzedzonych widzieli tarczę słoneczną, już dużo ku zachodowi podsunętą. Gdzie indziej kryła się ona przed nimi za gęstwinami nieprzeniknionymi, przez które na nich, na trawy, krzaki i w powietrze sypał się złoty deszczyk rozpylonych iskerek słonecznych. Wśród jednej właśnie z gęstwin takich o słuch ich obito się coś nadzwyczajnego, grzmot nie grzmot, turkot nie turkot, coś co głucho potoczyło się lasem, w oddaleniu znacznym, niewyraźne, potężne, toczyło się czas jakiś — aż umilkło i po chwili niedługiej, po dwu minutach może, znowu się potoczyło.

Wśród przerastającego ich albo do szyi im sięgającego listowia krzaków, nad którymi z kolei listowie drzew rozpościerało pułap zaledwie przejrzysty, stali jak w ziemię wryci, słuchali, aż Olek krzyknął:

— Strz... strz... strzelają!

— Strzelają! — potwierdził Janek i bez porozumienia się, bez słowa, nagle, jedno-myślnie, z jednostajną szybkością przez gęstwinę, w której odgłos grzmotu ich znalazł, w stronę odgłosu tego bieć zaczęli. Ramionami, które nabrały sprężystości i mocy, rozgarniali, rozrywali przed sobą uploty gałęziste, rozdzielali je swymi ciałami, przeskakiwali nogami, które zdawały się być w tej chwili ze stali i elastyki utworzone.

Daszki czapek zsunęły się im prawie na oczy, policzki przez liść szorstki wciąż chłastane okryły się czerwonymi plamami, szramami i spod szram, spod plam przeglądają błądzą, wielką błądzą szalonego zapamiętania w jednej myśli, w jednym dążeniu. Był to szal. Teraz to już szal ich niósł, podrzucał, świecił im w nieprzytomnych prawie oczach, świstał i rzeźił w oddechu tak głośnym i śpiesznym, iż zdawało się, że wnet, wnet szczupłe ich piersi rozerwie. Wszystko, co w naturze chłopięcej jest porywem do przedwczesnych, lecz wabiących czynów, wszystko, co jest w niej uporem, ambicją i wszystko, co we krwi i duszach chłopców tych było górnym miłowaniem i marzeniem, w tej chwili,

w chwili bezprzytomnego biegu w stronę usłyszanych odgłosów bitwy kipiało w nich, szalało...

Ale pod szalem, w ciałach ich niedorosłych, zgłodniałych, tułaczką wielogodzinną umęczonych, pracowało coś innego jeszcze; pracowało w nich i ogarniało je stopniowe, przewyciężane, przemijające, powracające, aż na koniec niepodobne do przewyciężenia — mdlenie. Mdleć im poczęły ramiona i nogi, mdlał, rwał się, dławił oddech, przed oczy nasuwała się mgła czerwono cętkowana.

— Nie mogę! — zajączał Olek, bo kolana ugięły się pod nim i jak długi runął na ziemię, u stóp sosny wyniosłej, wyniosłej.

Janek nie rzekł nic i nie upadł, ale usiadł obok leżącego brata z oczyma zgasłymi, bardzo blade.

Teraz otaczały ich sosny wyniosłe, wyniosłe, bardzo rzadko rozstawione. Wspaniałą kolumnadą stały na podścielisku gładkim, tak jak najgładsza posadzka gładkim i od opadłego igliwia płowo lśniącym.

Płowo lśniła gładka posadzka lasu pod ukośnie kładącymi się na nią smugami słonecznego światła, a główce kolumn szeroko rozpostartymi koronami gałęzi zdawały się wspierać w błękitne niebo. Cisza tu panowała.

Po ciszy głębokiej, czystej, wonnej, wśród rzadko rozstawionych na płowo lśniącej posadzce kolumn złotych, toczyły się niezbyt oddalone, dość nawet bliskie grzmoty... Grzmoty strzelania zbiorowego. A pomiędzy nimi, w przestankach krótkich, stuki strzałów pojedynczych.

— Bitwa! — zaszeptał Janek.

— Bi... bi... bit...

Olkowi oddech marł w piersi, nie mógł wyrazu dokończyć.

— Blisko gdzieś!

— Blisko.

— Lećmy!

Porwali się z ziemi, znowu biec zaczęli i niedużą przestrzeń przebiegłszy znowu na ziemię upadli.

— Jeszcze trochę — zaszeptał Janek — jeszcze trochę odpocząć...

Powieki opadały mu na oczy, przed którymi błąkały się szmaty mgły mętnej, w czerwone kropki. Ale minuta cała nie upłynęła jeszcze, gdy przez tę mgłę ujrzał coś takiego, co mu członki wyprostowało i krew całą do serca rzuciło.

— Widzisz? Widzisz, Olek, widzisz? tam!

— Widzę! Widzę! Widzę!

I ten siedział już wyprostowany, a oczy płonęły mu jak ogniki błękitne.

Widzieli gromadkę jeźdźców, która wyłoniła się skądś od strony grzmotów, spośród gęstwin i biegła kolumnadą widną, na luźnych przestrzeniach, po smugach słonecznych, leżących na posadzce płowo lśniącej. Głucho po mchu i igliwiu tętniły kopyta ich koni, jaskrawo migotały w złotej mgłę słonecznej jak krew czerwone ozdoby ich ubrań, wysoko błyskały ostrza ich długiej, nad ubranymi w czerwień głowami sterczącej broni... Niewiele ich było; dziesięciu, dwunastu. Drobny oddział wojskowy, może z rozkazem kędyś posłany, może straż stanowisko zmieniająca.

Pod jedną z kolumn zaszemrał szept chłopięcy wezbrany, zdyszany:

— Kozaki!

A po sekundach kilku drugi szept bezprzytomny, gwałtowny:

— Strzelajmy!

Na jedno kolano przyklękli obaj, czapki z głów im pospadały, wargi trzęsły się, oczy płonęły, w rękach błyskały pistoletowe lufy.

— Janek! Razem!... razem... czy już?

Tamten tonem komendy wojskowej głośno, uroczyście mówił:

— Strze-lać!

Jak dwa kamienie w przezroczystą wodę i w ciszę kolumnady głęboką, czystą, wonną, padły dwa strzały.

Konie kozackie stanęły zrazu jak wryte, a potem zwróciły się w stronę strzałów.

Nie widzieli i nie byliby zapewne dostrzegli dwóch drobnych postaci przy ziemi szarejących w oddaleniu. Teraz na koniach chyżych, kolumny złotawe wymijając lecieli ku nim...

Zakotłowało się, zahuczało, zastukało u stóp sosny wyniosłej. Kulą w ramię ugodzony Olek na iglicową pościel upadł. Janek stał śmiertelnie blady, ale wyprostowany i tylko powieki mrugały mu prędko, prędko nad oczyma jakby oślepiionymi krwistą czerwienią ubrań tych jeźdźców, którzy z koni zeskoczywszy otoczyli go kołem huczącym, ciasnym. W huczeniu mowy ich gniew wrzał, ale także i śmiech pobrzmiwał... Śmiech gruby, może nienawistny i może wzgardliwy, jednak nie dający w pełni wezbrać gniewowi. Jakiegoż to nieprzyjaciela tu napotkali? Takież to zasadzkę tu na nich uczynił! Rzemienie nahajek parę razy świsnęły w powietrzu i na szczupłe plecy nieprzyjaciela opadłszy ku ziemi zwisły, pistolety utkwily za czerwonymi pasami.

— Cha, cha, cha, cha!

Ale nie wszyscy śmiali się, niektóre z twarzy wąsatych i ciemnych były srogie i groźne. Dowódca zawołał:

— Brać ich! Na koń z nimi! *Do naczalstwa!*

Lecz w tej chwili z piersi Janka wydarł się krzyk radości taki, z jakim istota ludzka na zgubę swą oko w oko patrząca wita ratunek, zbawienie. Ujrzał przeciskającą się przez mundury kozackie siermięgę chłopską i zaświeciła mu wśród kozackich twarzy błada, bardzo błada, lecz niewstrząśnięta, tak jak zawsze nieruchoma, niema twarz Teleżuka. Wężowym skretem Janek wysliznął się z rąk, które już porwać go miały, i jednym skokiem znalazł się przy chłopie, ręce na szyję mu zarzucił, do piersi jego piersią przyłgnął.

A on, w siwej siermiędze, zdjął z siwiejących włosów czapę baranią i ramieniem pacholę ogarniając, nisko aż do samej ziemi pokłonił się temu spośród żołnierzy, w którym domyślił się zwierchnika.

— Oddajcie mi, panie, te *detyny!* To małe jeszcze... głupie!

O! gdyby to nie był chłop! Za wstawiennictwo takie dałby w okup wiele. Ale z chłopami oględnie, niemal miłośnie postępować przykazano. Od chłopskich pleców nahajce kozackiej — wara!

Więc tylko głos niecierpliwy zapytał:

— Kto ty taki?

On z pokłonem znowu aż do ziemi niskim:

— Ja chłop.

A potem głosem powolnym mówił jeszcze:

— Ja nie *miatieżnik*, ja chłop. I oni nie *miatieżniki*, oni — dzieci.

— Twoje? — krzyknął dowódca.

Głową przecząco wstrząsnął.

— Nie moje... ale matkę mają...

Rękę do włosów podniósł; coś wypowiedzieć chciał, słowa przychodziły mu z trudnością. Jednak zaczął:

— Ona nie pani... z biedą żyje, na nich pracuje, *boruje*.

Dowódca cierpliwość tracąc krzyknął:

— No, to i ją do *turmy*, na Sybir... czort niech ją weźmie.

A do podwładnych zwrócił się:

— Brać ich!

Sekund kilka i już obaj znaleźli się na siodłach, ramionami żołnierzy, którzy na nie wskoczyli, ogarnięci.

Teleżuk raz jeszcze u strzemięcia dowódcy aż do ziemi się pochylił.

— Zlitujcie się... *panoczku*... — zaczął.

Ale nad podnoszącą się znad ziemi głową jego zabrzmiał okrzyk:

— Pójdź precz! Precz!

Gdyby nie był chłopem! Był nim, więc nietknięty pozostał i widział jeźdźców odbiegających wśród sosen rzadko rozstawionych, na koniach zgrabnych i lekkich, w różowym pyłe poświaty słonecznej. Przez mgnienie oka zobaczył na rękawie odzieży Olka wielką plamę koloru krwistego, a potem twarz Janka bladą jak płótno, oblaną deszczem łez. Znad ramienia kozackiego zwracała się ku niemu twarz Janka wołając:

— Teleżuk, powiedz mamie...

Zagłuszył cieniem głos chłopięcy tętent odbiegających koni. Teleżuk stał chwilę z głową w namyśle czy w żalu kołysząc się w obie strony, aż ruchem niespodzianie u niego szybkim rzucił się ku stojącemu opodał swemu wozowi.

Siadł na wóz, wstrząsnął lejcami i pełnym klusem niewielkiego, lecz dobrze dogłdanego konia puścił się za gromadką jeźdźców. Z postawy naprzód podanej, ze wzroku przed siebie wyężonego, ze sposobu, w jaki konia do pośpiechu nagle rozmachiwał biczem, odgadnąć by można, że za znikającymi mu już z oczu jeźdźcami ślad w ślad jechać, a w potrzebie choćby śladów ich szukać, choćby daleko, najdalej, doganiać ich zamierza...

Dwa, może nawet trzy dni przeminęło po stoczonych w lasach horeckich bitwie. Pani Teresa siedziała w kuchni na ławie i słuchała opowiadania stojącego przed nią Teleżuka. Tylko co do Leszczynki powrócił. Nastka z twarzą od płaczu opuchłą ujrzała go przez okno przed stajenką podjeżdżającego i do izb przyległych przeraźliwie krzyknawszy: „Pani, Panas powrócił!” z szalonym śmiechem radości na spotkanie jego z domu wypadła. W domu dały się słyszeć głośne stuknięcia drzwi, głośne, pośpieszne kroki i do kuchni wbiegła pani Teresa. Jednocześnie w drzwiach przeciwnych ukazał się Teleżuk kurzem dalekiej snadzi drogi okryty, na twarzy zmizerowany i więcej niż kiedy ponury; z biczem w ręku stał przed siedzącą na ławie kobietą i głosem powolnym, mową jakby senną opowiadał.

Domyślił się, dokąd chłopcy polecieci, we wsi parobek jakiś widział ich po północy przechodzących, i w którą stronę poszli, powiedział; pogonił za nimi, w drodze nie dogoniwszy, do obozu powstańczego jechał, długo odnaleźć go nie mógł, po lesie wielkim błądził, strzelanie usłyszawszy, ku miejscu, z którego dochodziło, jechał i ot, na co trafili! Zabrali chłopców. Prosił: „Oddajcie! Toż to *detyny*!” Nie posłuchali i razem z nimi do *naczałstwa* polecieci. On za nimi gnał — dognał, *naczałstwa* prosił: „Oddajcie, toż *detyny* jeszcze niewyroste, głupie!” Nie posłuchali. Dalej powieźli. On za nimi. Z miasteczka do miasteczka. Gdzie stawali, on także stawał i — prosił: „Oddajcie! Puście! Toż to *detyny*! Matkę mają!” Tak aż do powiatowego miasta, o dziesięć mil stąd zajechał, ale tu już prosić nie mógł, bo do *naczałstwa* go nie dopuszczono. Tyle tylko, że dowiedział się... chłopcy w *turmie* posadzeni... Jak rozbójniki czy koniokradzy w *turmie* siedzą... *Szczob ich!*

Reszty rozpoczętego przekleństwa głośno nie dopowiedział i nie wiadomo było, kogo przeklinał: *detyny*, które tyle biedy naczyniły, albo tych, którzy próśb jego tylokrotnych nie posłuchali, lecz gdy przestawszy mówić, na okno, za którym w zieloności majowej ptaki ćwierkały, nieruchomo patrzeć zaczął, oczy miał tak samo jak po stracie własnych dzieci niby u sowy we dnie krwią zasze i osłupiałe.

Wszystko, co tylko wiedział, opowiedział, oprócz tego, że Olek, gdy go na siodło brano, miał na rękawie odzieży wielką plamę krwistego koloru, oczy zamknięte i twarz tak bladą, jak była u jego nieboszczyka Wasyłka, gdy go do sosnowej trumienki składano. Tego jednego tylko nie powiedział. Matki żałował.

Pani Teresa wysłuchiwała powolnej mowy jego w nieruchomości kamiennej, żadnym słowem, żadnym ruchem jej nie przerywając.

Co przez te ostatnie dni i noce przeniosła, trochę opowiadały o tym policzki jej przychudłe i obwisłe, powieki nabrzmiałe i zaczerwienione, czoło głęboko zorane, ale wszystkiego opowiedzieć nie mogły.

Ach, te dni i te noce, kiedy Janek i Olek znikli, i Teleżuk kędyś przepadł, kiedy o bitwie i o Julku nie było wieści żadnej, kiedy godzinami całymi biegała, dokąd tylko mogła, w poszukiwaniu synów znikniętych, kiedy po wiadomości o synu zagrożonym, sama sobie powożąc, jeździła do Orszaka i w domu go nie znalazłszy bez wiadomości powróciła.

Teraz słuchając opowiadania Teleżuka, końcami palców, ruchem prędkim, ciągłym skubała, poszarpywała fałdę swojej szorstkiej spódnicy. Wzrok miała na opowiadającego podniesiony i usta nieco rozwarte.

Teleżuk po chwilowym milczeniu rzekł jeszcze:

— Jedźcie, pani, do miasta. Was może do *naczalstwa* dopuszczają... Was może posłuchają... wam może oddadzą...

Trzęsącymi się wargami wyszeptwała:

— Także historia!

I nagle ruchem żywym podniosła się z ławy.

— Tak! tak! Jechać trzeba. Robaki moje ratować... Zaraz, zaraz... Żeby tylko czegośkolwiek o Julku się dowiedzieć!... Ale to nic! Tam dowiem się pewnie. Mój Teleżuku! Parę koni do bryczki... Zaraz... Tylko rzeczy trochę upakuję... ich i swoje... w jednych koszulach tam...

Śpiesznym krokiem szła przez kuchnię i nagle uczuła, że znowu tak jak po odjeździe Julka coś ją chce o ziemię cisnąć... Ta sama moc wewnętrzna, która z przeszytych bólem piersi ludzkich wywołuje krzyki, jęki, wyrzekania głośne, nią dziwnie jakoś zakręcała na nogach i na ziemię usiłowała cisnąć. Nie krzyczała, nie łkała, nie wyrzekała, ale ach! ramionami rozkrzyżowanymi na ziemię paść i czołem o nią bić! Lecz nie uczyni tego, nie. Także głupstwo! Jeszcze przecież nic takiego...

Do izdebki swojej wbiegła z głową pełną myśli, skąd pieniędzy na drogę wziąć, gdy wzrok jej spotkał się ze stojącą u okna postacią Inki. Jak posąg boleści pełen wdzięku stała u okna z załamanymi na suknię rękoma, ale z różowymi ustami wydętymi gniewnie i szafirowymi oczyma połyskującymi ostro... ostro. Gniew ją na młodszych braci porywał. Jeszcze i oni. Jeszcze i tego trzeba było, aby do reszty piekła z życia uczynić! Wzdrygnęła się cała, podniesiony głos matki usłyszawszy.

— Inka! Co tak stoisz jak malowana! Słyszałaś przecie, co się stało. Jechać muszę. Zaraz... Do wsi pobiegnę, do arendarza, pieniędzy na drogę dostać... a ty rzeczy moje i chłopców złóż!

Dziewczynine twarz rozbłysła jakąś nagłą nadzieją czy radością.

— Mamy i chłopców rzeczy? Przecież moje także! Przecież i ja z mamą pojedę...

— Ty? A po co? Żeby koszt utrzymania się w mieście powiększyć? Przy kim, pod czyją opieką małeńkie zostaną?

— Teleżukowa opiekować się nimi będzie.

Twarz pani Teresy, przedtem nieco przybladła, ogniście się zaczerwieniła. Już i w tych paru dniach śmiertelnej dla niej męki wszystkie złości ją chwilami brały na tę królową w wiecznych lokach na głowie, z wiecznie opuszczonymi na suknię rękoma, taką obojętną na wszystko, co się działo, taką beczynną, taką w samym nawet sposobie pocieszania czy uspokajania jej niezręczną i nienaturalną.

Przyszła była na przykład raz do izdebki matki i jak długa przed nią na ziemię upadła. Pani Teresa złękła się.

— Co ty robisz! Inka! Co tobie?...

A ona twarzączkę śliczną znad ziemi podnosząc szeptać poczęła:

— Ja u nóg mamy leżeć będę... Dopóki Janek i Olek do domu nie wrócą... Czyż ja mamie zastąpić ich nie mogę? Czyż ja nie mogę być dla mamy wszystkim... wszystkim... Głowę na kolanach mamy położę...

— Także romanse! — zawołała pani Teresa. — Potrzebne mi twoje leżenie u nóg i mam ja teraz czas głowę twoją na kolanach trzymać. Wstań i puść mię, bo do pana Orszaka zaraz jadę, o Julku czegokolwiek dowiedzieć się... A ty, ot, lepiej zamiast na ziemi leżeć i bzdurstwa pleść, idź małeńkich w ogrodzie poszukaj i nagładnij, aby sobie czego nie zrobiły...

Tak działo się wczoraj czy przedwczoraj, a teraz pani Teresa cała w ogniu, z gestami rozniewanymi do córki mówiła, że w domu zostać musi, Teleżukowej w gospodarstwie i doglądaniu małeńkich pomagać, ją w wielu rzeczach, które inaczej zaniedbaniu ulegną wyręczać. Ale niedługo mówiła, bo i na alabastrową twarz Inki wybiły się rumieńce gorączkowe, a głos ze słodkiego i przyciszonego stał się ostry i donośny, gdy mówić, a raczej wołać zaczęła, że nie zostanie tu za nic, za nic, że za bryczką matki jak pies pobiegnie, ale w tej dziurze sama jedna z tymi chłopami nie zostanie.

— Ja nie wiem, czego mama ode mnie chce. Ja nie wiem, za co mię mama nie lubi! Ja kucharką ani niańką być nie mogę! Ja nie do tego stworzona! Mnie i tak życie to obrzydło! Jeżeli mama mnie z sobą nie weźmie, to chyba zwariuję albo umrę...

Załamywała ręce, z miejsca na miejsce przebiegała, dziwne spojrzenia z roziskrzonych oczu na matkę wyrzucając. Mieszały się w tych spojrzeniach gniew, żal i coś na kształt niechęci, może do stopnia nienawiści czy wstrętu posuniętej. Po raz pierwszy w sercu Inki uczucia te względem matki ozwały się tak wyraźnie. Zawsze w najtajniejszej głębi myśli swoich uważała ją za kobietę trywialną, grubym pospolitościom życia oddaną, wzniosłym marzeniom niedostępną. Ale teraz, z tym swoim przywiązaniem do tych bębnow, które tyle złego naczyniły, a obojętnością dla niej, z tymi swymi rękoma grubymi, z tym swoim grubym głosem, z tą twarzą jakby w pocie cierpienia skąpaną budziła w niej uczucie bardzo do wstrętu, do fizycznego wprost wstrętu podobne. Jednak, rzecz dziwna, pomysłem jakimś nagle w głowie powstałym uderzona opanowała się, łamać ręce i gniewnie po pokoju rzucać się przestała, do matki przypadła i obejmując ją miękkimi, okrągłymi, kocimi ruchami owijać się dookoła niej zaczęła. I w oczy jej znowu słodkimi, marzącymi oczyma zaglądała, i głosem znowu słodkim, przyciszonym prosiła.

— Także umizgi — oburkliwie zaczęła pani Teresa, ale znać było, że już miękła.

Gdy tamtych nie ma, niechże ta z nią będzie. Przy tym czasy takie niespokojne. Bóg tylko wie, jacy ludzie włóczyć się po wsiach mogą i młodziuchne to stworzenie bez opieki tu zostawiać... czy bezpiecznie? A główna rzecz to, że jej samej w tym nieszczęściu z chłopcami lżej będzie choć jedno to dziecko swoje mieć przy sobie...

— No dobrze już, dobrze! Co robić? Pewno, że małych i gospodarstwa nikt lepiej od Teleżukowej... No, to już jedź ze mną... rzeczy składaj! Ja tymczasem do arendarza polecę...

Ale nie poleciała, bo od strony dziedzińca rozległ się turkot kół i zanim Inka z bawialnej izby wybiec zdołała, wszedł do niej Władysław Orszak.

Poważny, z twarzą szlachetną i zmęczoną, o ruchach i słowach powolnych, a duszy ognistej i czynnej, organizator i naczelnik poczty obywatelskiej wszedł do izby o żółtych, starych sprzętach i belkowanym, niskim suficie, blade, ze wzrokiem zmęczonym. Zatrzymał się u progu, twarz pochylił, może w ukłonie powitalnym, może w zmieszaniu. Pani Teresa rzuciła się ku gościowi.

— Byłam wczoraj u pana... w domu nie zastałam... żona pana... pani Karolina, nic nie wiedziała... Cóż bitwa? Julek?

Obu rękami rękę jego trzymała, krzyczącymi z głodu oczyma w twarz mu patrząc. On głosem przytłumionym mówić zaczął:

— Bitwa pomyślna... ale Julek...

— Co? — krzyknęła pani Teresa.

— Z obowiązku przyjechałem oznajmić... raniony...

— Jezus, Maria!

Teraz on obie ręce jej w dłonie swe ujął i mocno je ścisnął.

— Raniony ciężko...

Pani Teresa szeroko otworzonymi oczyma patrzyła mu w twarz, która pod jej wejrzeniem w otoczeniu ciemnego zarostu bladła. I oczy męskie, znużone powlekły się szkliwem.

Po izbie rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk:

— Zabity!

Zaprzeczenia nie było.

Wyrwała ręce z rąk Orszaka i przez izbę szła, nie wiedzieć w jakim celu ku drzwiom izdebki swojej, oczyma suchymi, z ustami rozwartymi szła, aż w pobliżu drzwi tych na ziemię upadła. Teraz to już nie oparła się mocy wewnętrznej i nawet o opieraniu się jej nie pomyślała. Runęła jak długa z ramionami rozkrzyżowanymi, z palcami tak wpitymi w deskę grubej podłogi, jakby jej w niej pograżać, jakby ją nimi rozdzierać usiłowała. Głowa jej czołem o podłogę uderzyła i potem nieruchomą pozostała, a tylko z piersi dobywać się począł dźwięk bez słów, nieustanny, dziwny, do tego podobny, jaki wydaje czasem nad rozłogami białych śniegów wyjący wiatr zimowy...

Orszak do Inki mówił:

— Odjeżdżam... muszę. Za godzinę najdalej przyjedzie tu żona moja, którą matka pani poważy i kocha, a tędy do miasteczka przejeżdżać będzie, bo... brat jej uwięziony...

Obfitymi łzami oblana była teraz twarz Inki, gdy dookoła matki na ziemi leżącej biegła, prosząc, modląc się prawie, aby wstała, usiadła, rozpaczając przestała. Sama w tej chwili

uczuła ból i przerażenie. Serce jej uszka trochę pokazało. Julek zabity! Julek nie żyje! Julka już nigdy nie zobaczy! Na chwilę znikła sobie z oczu i serca. Deszczem łez płacząc, co czynić, nie wiedząc, biegła wciąż dokoła rozciągniętej na ziemi matki, schylając się nad nią, dotykając jej, prosząc...

Ale pani Teresa poruszenia najbliższego nie czyniła. Jak kłoda ściętego drzewa leżała wciąż z czołem wpartym w podłogę, z palcami w nią wpitymi i tylko to wycie przytłumione, monotonne, nieustanne...

Aż w drzwiach izby, żonę głośno zawodzącą na stronę usuwając, ukazał się Teleżuk. Do żony rzekł:

— Małeńkie wyszukaj... przyprowadź...

Nad panią Teresą stanął i mową jak zwykle powolną, tylko głosem nieco podniesionym mówić zaczął:

— Pani! A toż Janka i Olka ratować trzeba... A toż Olek to nawet i kulą utrafił...

Nad ziemią ochrypiły, zdławiony głos krzyknął:

— Jezus, Maria!

I ciężkie ciało kobiece, w szarej, szorstkiej sukni, z rozplecionymi na plecach wspinalnymi włosami, nad ziemię dźwigać się poczęło. Z nieszczęścia i przerażenia jednego podnosiło je inne nieszczęście i przerażenie. Teleżuk ujął je w dwie wielkie dłonie i stanąć na nogach mu dopomógł.

— Olek raniony?

— A toż.

— Ciężko?

— Pewno nie, bo ot tu!

Na ramieniu swym ukazał miejsce, gdzie odzież chłopca miała czerwoną plamę.

— Wyzdrowieje... Bóg da... Ale to *detyna*... kiedy boli, to matki woła... i Janek bardzo płakał...

— Robaki! Skarby moje! Teleżuk! Konie zakładaj! Inka, składaj rzeczy!

Wtem dwie drobne istotki przez Teleżukową do izby wepchnięte, dwa cienkie, żalodne czegoś głosiki:

— Mamciu! Matuchno! Mamusiu!

Wszystkimi czterema łapkami uczepiły się szyi matki i do twarzy jej drobne głowy przytulając, z jednej strony ciemnymi, z drugiej jasnymi jak len włosami ocierały potoki lejących się po niej łez.

V

W miasteczku powiatowym szła do mieszkania dostojnika, przewodniczącego komisji sądowej, z prośbą o pozwolenie widywania się z synami uwięzionymi i wyglądała dziwnie. Na tle ulicy małomiasteczkowej, ale szerokiej i ludnej, niskimi domostwami ostawionej, ale różnorodnych typów i strojów ludzkich pełnej, wyglądała dziwnie.

Bo nigdy przedtem ulice miasteczka tego ludności tak rozmaitej i tak licznej jak teraz nie miały. Widać, słyszać i czuć tu było zmieszanie plemion, stanów, języków, kipienie namiętności, zalatujący z przestrzeni szerokich wiew walki i grozy.

Pełno przywodzących na pamięć wojskowe parady i bale ubrań oficerskich: błyszczące mundury i oręż, białe rękawiczki, postawy butne, srebrem ostróg i ostrzami pałaszy brzęczące; gdzieś przewiazki czarne, podtrzymujące w bitwach nadwerżone ramiona lub osłaniające na czołach niedobrze jeszcze zgojone rany.

Pełno strojów kobiecych, z piór, kwiatów sztucznych u żon, matek, przyjaciółek oficerów i poczynających napływać ze stron dalekich urzędników.

Liczni mieszkańcy wsi o twarzach ogorzałych, włosach siwiejących, i liczniejsze nad mieszkańców ich mieszkanki w sukniach o tej gorącej porze letniej białych, zastępujących surowo teraz ściganą i karaną czarność żałoby narodowej. Ojcowie, bracia, żony, siostry więźniów, coraz liczniej z szerokiej okolicy napływających.

Wśród mundurów błyszczących, jedwabów szeleszczących, sukien różnobarwnych i białych pani Teresa szła wąskim chodnikiem tak samo jak w Leszczynce chodzić była zwykła, więc właściwie nie szła, ale pędziła, rękami bez rękawiczek z pośpiechu trochę

rozmachując, w sukni czarnej i czarnym również, odwiecznym jakimś, płaskim, wciąż na tył głowy zsuwającym się kapeluszu.

Przed chwilą zaledwie do miasteczka przyjechała, Inkę w najętej naprędce izdebce domu zajezdnego zostawiła, a sama, już rozwiedziawszy się, dokąd i do kogo iść jej wypada, pędziła śród ludzi nie widząc ich, nie słysząc ani nawet spotykanych niekiedy znajomych spostrzegając.

Nie do ludzi, nie do przyglądania się im ani do oddawania ukłonów teraz jej było! Gorzał w niej, piekł ją w piersi, stopy jej znad ziemi podrywał ogień żądz i niepokoju: żądz ujrzenia synów, niepokoju o to, czy ujrzeć ich będzie jej wolno. A spodem płynęły myśli drżące o los tych zagrożonych i myśli rozpaczne o tamtym... na wieki straconym. I dlatego tylko myśli rozpaczne o tamtym nie ciskały ją o ziemię, że krzyżowały się z nimi i upadać jej nie dawały myśli drżące o tych...

Wtem męska postać drogę jej zastąpiła i gruby głos przy samej prawie twarzy jej przemówił:

— Pozwólcie, *barynia* (pani)! Wy w *traurie* (w żałobie).

Chciała usunąć natręta i pędzić dalej, lecz ciemne palce policjanta przedramię jej ujęły tak silnie, że stanąć musiała.

— A toż co? Czego pan chce ode mnie?

— Wy w czarnej sukni! W czarnych sukniach chodzić nie *dozwolono*.

Ach, tak! Słyszała o tym, ale wyleciało jej to z głowy. Przypomniła sobie teraz.

— Także historia! A kiedy ja innej sukni nie mam!

Jak wicher odwróciła się, zanim policjant opamiętać się zdołał, odbiegła i do pierwszego lepszego sklepiku wpadając zawołała:

— Wstążki dajcie! Kolorowej! Najkolorowszej! Prędziej!

— Najkolorowszej? To może czerwonej?

— Niech będzie czerwona! Wszystko jedno!

Kupiła wstążkę bardzo szeroką, a tak czerwoną, że na jej widok wszystkie byki ze wściekłością rogi by ku niej nastawiały i skłeciwszy z niej natychmiast kokardę wielkości olbrzymiej u szyi ją sobie do sukni przypięła. Nosiła ją odtąd stale i na ulicach miasteczka z dala już, z dala po tym punkcie jaskrawym poznać można było, że ona to idzie.

Wobec czerwoności motyla rozpinającego u jej szyi ogromne skrzydła znikał sprzed oczu ludzkich nadzwyczajny kształt jej przedwiecznego, płaskiego kapelusza, znikał niezwykły również w pierwotnej prostocie swej krój jej czarnej sukni, lecz nie znikająca, owszem, widoczniejsza i wypuklejsza stawała się maska tragiczna, poczynająca twarz jej oblekać. Na tył głowy wciąż zsuwający się kapelusz odkrywał czoło, które bruzdy zgrzyzot we wsze strony ryc poczynają i pod którym wielkie, piwne oczy bywały czasem aż do dna zmącone, uciekające jakieś, strachliwe i rozmigotane, a czasem ogniem posępnym i stałym gorejące, przywodziły na myśl pochodnie pogrzebowe.

Wiele już dni od przybycia jej do miasteczka upłynęło.

Na powietrze gorące, na blask słońca złocisty szeroko otwarte było okno w mieszkaniu przewodniczącego komisji sądowej, a że dom był jednopiętrowy, niski, przechodnie uliczni widzieć mogli w ciemnawej głębi pokoju palającą czerwoną kokardę pani Teresy. Widzieć też mogli, jak z szerokimi gestami rąk ogorzałych mówiła o czymś do mężczyzny, którego tylko wzrost wysoki, kruczy zarost smągłego profilu i błyszczące ozdoby ubrania w głębszym cieniu pokoju widzieć było można.

Wysoki, w obcisłym mundurze, zgrabny i wykwinny, twarz miał południowca, wśród kruczego zarostu owalną i smagłą, a w czarnych jak noc oczach płomienistość południowego słońca.

Synem Kaukazu, czerkieskim kniazem był, w żyłach swych miał zmieszaną krew dwóch narodów, zwycięskiego i zwyciężonego, ale w ustach mowę i w sercu uczucia zwycięzców. Dostojnikiem był, topór gniewu i kary trzymającym nad dużą przestrzenią ziemi pożarem objętej i przez nieszczęście oranej coraz szybciej, głębiej. Nosił tytuł kniazia i ludność tej ziemi, nazwisko jego rzadko wymawiając, mówiła o nim wprost i tylko: kniaź.

Dość często pani Teresa do kniazia przychodziła, o pozwolenie widywania się z synami, o możliwość zaspokajania różnych ich potrzeb prosząc, o bieg i możliwy koniec sprawy zapytując.

Nie bardzo umiała prosić. Czasem mówiła:

— Zmiłujcie się, książę, toż to dzieci...

Lecz wnet z tonu prośby wpadała w ton wyrzutu albo przekonywać usiłującej prawdomówności.

— Ja matka! Do mnie tylko dzieci, dopóki nie dorosną, należeć powinny! Ja broni im nie dawałam i do partii iść nie kazałam, bo to jest głupstwo, aby dzieci w takie rzeczy się wdawały, ale skoro uczyniły to głupstwo, ja jedna ukarać mam prawo, mnie oddać ich trzeba, bo mnie jednej Bóg dał prawo, i nie tylko Bóg, ale ta praca moja, te moje zgryzoty, kłopoty, które ja dla nich...

Tu spostrzegła, że z wezbranego serca skarga wybuchać zaczyna, więc powściągnęła się, milkła, ale nie mogła zatamować drogi łzom, które w oczach jej stawały, szkliste.

Wysoki, wytworny książę, oczu z niej nie spuszczał, półsłówkami odpowiadał. Wiodoczne było, że zadziwiała go i może po trochu bawiła. Ta twarz tragiczna, nad tą co moment przekrzywającą się kokardą czerwoną, ta głowa śmiało podniesiona, z oczyma oszklonymi powstrzymywaną z całej siły łzą... Przypatrywał się jej, mówić pozwalał.

Mowę jej rozumiał. Dwoma różnymi językami rozmawiali ze sobą, ale rozumieli się wzajemnie. Ramiona krzyżując na piersi i mrużąc z lekka swe południowe oczy mówił:

— Młodszym synom nie dawaliście broni, sami wzięli, ale starszemu daliście ją... bo dla starszego to nie było głupstwo... co? cha, cha, cha!

Śmiał się z lekka, niezbyt złośliwie, owszem, lekkomyślnie raczej i lekceważąco. W jej oczach łzy jak na zaklęcie nagle osychały. Ze spuszczoną twarzą, ponuro i krótko rzekła:

— Sam wziął, nie broniłam!

— I źle zrobiliście! — żartował jeszcze książę. — Ot, i zginął starszy syn wasz...

Podniosła głowę i przerwała:

— Za dobrą sprawę, za świętą...

I nie mogła dokończyć wyrazu, bo połknięte łkanie gardło jej zdławiło.

Książę odwrócił się i urzędowym tonem zapytał, po co dziś przyszła i czego od niego żądała.

Innym znowu razem zauważył:

— Atmosfera w domu widać taka była, skoro malczugany (malcy) tacy zrobić to mogli... Nu, sami przyznajecie, jaka tam u was w domu atmosfera być musiała... a?

Wzruszyła ramionami:

— Atmosfera? A jakaż w moim domu atmosfera być mogła? Wiadomo, że polska. Czy chińska miała być albo angielska? Także pretensja! Polką jestem i dzieci moje w atmosferze polskiej hodowały się... Ale do walki występować to tym robakom małym nie pora jeszcze była...

Książę znowu ku ogromnemu biurku swemu odwrócił się i urzędowym tonem głosu mówić zaczął.

Teraz pani Teresa przed siedzącym sędzią synów swoich stojąc mówiła:

— Bo niech tylko książę zastanowi się i sam powie. Książę jest przecie człowiekiem cywilizowanym, a może i dobrym... Czy ja wiem? W każdym narodzie ludzie i źli, i dobrzy bywają. Proszę pomyśleć i powiedzieć, czy to jest sprawiedliwie i czy to jest ładnie dzieci w *turmach* zamykać, jakieś śledztwa sądowe nad nimi zaprowadzać? Przecież ani nie dla rozboju, ani dla hulanki, nie dla pieniędzy ani dla swawoli, ale ze szlachetnego serca, na ofiarę... za sprawiedliwość...

Brwi księcia, jak krucze pióra czarne, drgnęły, rozdęły mu się nieco cienkie, wrażliwe nozdrza, z ust purpurowych wyszło syknienie gniewne. Ze sprzętu, na którym w postawie niedbalej siedział, wstał i wyprostowany ironicznie mówić zaczął:

— Za wiele mówicie i... za śmiało! Patrzcie, abyście sami nie znaleźli się tam, gdzie są wasze małe *gieroje* (bohaterzy).

Ruchem tak nagłym, że aż czerwony motyl u szyi jej podskoczył, pani Teresa głowę w tył odrzuciła i zawołała:

— A jeżeli znajdę się tam, gdzie są dzieci moje, to i cóż? Także groźba! Dręczycie innych, dręczcie i mnie. Gotowa jestem. O dzieci swoje lękam się, nie o siebie!

Ale w chwili gdy to mówiła, spojrzenie kniazia pobiegło za otwarte okno i nieprędko już powrócić do niej miało. Spotkać się musiało z czymś bardzo miłym i pociągającym, bo razem z uwagą całkowicie się od niej odwróciło.

Z wyrazem zachwycenia, może rozkochania, najpewniej pożądania namiętnego kniaz patrzył na stojącą pośród wąskiego chodnika Inkę. Za otwartym oknem postać jej ukazywała się jak obraz blaskiem słonecznym wymalowany, ramami otoczony.

Na tle słonecznego blasku stała piękna dziewczyna w wiośnie życia, w śnieżnej bieli sukni, w jasnym zlocie włosów, w zadumie marzącej, smętnej i niewymownie słodkiej.

Więcej niż linie rysów i kształty kibici uderzał w niej i oczy ludzkie do niej przykuwał ten wyraz słodczy niewymownej, delikatności niemal rozwiewnej, smętku marzycielskiego. Zdawać się mogło, że tuż, tuż skrzydła rozepnie i do nieba uleci albo śpiewem anielskim rozebrzmi, albo z tęsknoty za rajem łzami brylantowymi zapłacz.

Na wyjście matki z domu tego czekała. Nie wiedzieć dlaczego naparła się dziś iść z matką. Dla pani Teresy właściwie było to: nie wiedzieć dlaczego; ona wiedziała.

— Zaczekam na ulicy wyjścia mamy stamtąd...

Czekała. Stała na chodniku i powolnym ruchem wzniesionych ku górze żreń ścigała białe kwiaty pływające po błękitnym morzu, niemniej wiedziała i czuła, że przez otwarte okno patrzą na nią, lgną do niej, ogniem ją oblewają oczy męskie, czarne i płomienne, piękne oczy.

Rumieniec czerwienisty, niż po delikatności cery i kształtów jej spodziewać by się można, co chwilę aż po brzegi włosów twarz jej powlekał i znikał, aby po chwili jak zorza wypłynąć znowu — różowe usta czasem drgały. Książ rumieniec i drgnienia wzrokiem chwycił, pomiędzy warg purpurowych błyskały mu w uśmiechu białe zęby. Wiedział, że ona wie o nim, choć na niego nie patrzy, tak jak ona czuła nie patrząc, że on ją pochłania wzrokiem. Była to rozmowa bez słów. Nie po raz pierwszy pomiędzy Inką i kniazem się zdarzała.

Wnet po przyjeździe swym do miasteczka Inka uderzona została postaciami, ubraniami, wielu cechami ludzi, którym podobnych nie widywała dotąd nigdy. W mundurach obcisłych, wyprostowani i mnóstwem świecących ozdób błyszczący, mieli w sobie ten rodzaj elegancji i gracji, który zawsze i wszędzie ludziom wojskowym towarzyszy, ale który dla jej oczu był nowy zupełnie, niepodobny zupełnie do tego ich rodzaju, wśród którego wzrosła.

Ruchy ich, brzmienia głosów, śmiechy rozlegające się często na ulicy i we wnętrzach domostw, miały w sobie tę śmiałość — i wesołość, z jakimi chodzi po świecie i patrzy na świat — siła. Siła oreza pobrząkującego o kamienie bruku i rzucającego w światło słonecznym połyski jak stal ostre i jak złoto świetne. Siła ogromu, który zwyciężał nieraz i był pewny, że zwycięży znowu. Siła ciał zahartowanych w musztrach, nie rozslabionych w myśleniu, które całe i z chciwością podają się ku radości życia i jego rozkosznym użyciom. I jeszcze: jakiś rozmach szeroki, jakaś hulaszka swoboda i zwycięska, triumfująca duma.

W szeroko od ciekawości otwarte oczy dziewczyny rzucały się, wyobraźnię jej ku sobie ciągnęły nowość, egzotyczność, błyskotliwość, pewnego rodzaju malowniczość. Bił w nią stamtąd powiew jakiś nierozumiany, nienazwany, lecz upalny, woni jakichś, radości nieznanych, i nienazwanych pełen...

Zaczęła roić.

W ciasnej, brzydkiej, dusznej izdebce zajezdnego domu, w upale nocy letnich, obok matki po całodziennych trudach i wzruszeniach śpiącej, zaczęła roić.

„To są rycerze. Rycerskie postawy i ubiory.”

Przypominała sobie Julka do partii odjeżdżającego, prostą jego odzież pasem skórzanym objętą i wózek jednokonny z powożącym Teleżukiem w baraniej czapie. Takie to było proste, pospolite, prozaiczne.

Przypominała sobie rozmowy i twarze pana Gustawa, młodych Korneckich, Julka i innych jeszcze z tej młodej gromadki, którą znała. Tacy w czasach ostatnich zamyśleni bywali, poważni, poważnymi rozmowami zajęci i takie to bywało smutne... nudne!

A ci są tak weseli, pewni siebie i na tak szczęśliwych wyglądają, jakby żadne nieszcześcia ani niebezpieczeństwa, ani smutki, ani nudy na świecie nie istniały.

Dobrze też im pewnie na świecie!

Niektórzy wprowadzie noszą czarne opaski na czołach. Ranieni snadź w bitwie... może tej samej, w której Julek! Ile razy przypomni sobie o nim, serce jej uszka pokazuje i oczy stają się wilgotne. Ale bo i po co to ludziom wojny sobie wytaczać i nawzajem zabijać, męczyć? Wiedziała wprowadzie dokładnie, wiedziała, po co i o co ta wojna, lecz wszystkie inne myśli tłumiła w niej myśl:

„A ja co temu wszystkiemu winna jestem? Za co ja mam pokutować?”

I serce z uszkami głęboko do wnętrza wtulonymi milkło, a głosy inne, niezrozumiane, nienazywane, z gwałtem, z gniewem, z niecierpliwością wołały:

„Mnie wszystko jedno! Ja chcę życia, radości, świetności! Ja chcę szczęścia!”

Tak roiała wśród nocy, a z rana w świeżo kupionym, ładnym kapelusiku ulicą miasteczka biegła. Dotąd udręczeniem jej było, że takiego nie miała; uczucie wstydu, wprost cierpienia dotkliwie sprawiał jej ten, w którym przyjechała ze wsi.

O tym, aby od matki nowy otrzymać, myśleć było niepodobna. Więc po krótkim wahaniu poszła do jednej z towarzyszek starszych, majątniejszych i z najwdzięczniejszym przymileniem się swym poprosiła: „Pożycz”. Nie spotkała się z odmową i teraz w kapelusiku nowym i ślicznym ze sklepu, w którym nabyła go, wybiegła, gdy uderzyły ją, wprost jak dwa płomienie uderzyły w nią i warem ją oblały oczy idącego naprzeciw niej mężczyzny, jak noc czarne oczy wśród smagłej twarzy, pod kruczymi brwiami palające. Jak dotknięcie żelaza rozpalonego spojrzenie to w policzki ją zapiekło. Słyszała, czuła, że on z drogi swej zawrócił i szedł za nią. Wiedziała, kim był. Parę już razy z daleka go była dostrzegła. On może po raz pierwszy spostrzegł ją i zauważył. Ale jak zauważył! Ślepiec chyba nie dostrzegłby wytrysłego mu na twarz wyrazu zaciekawienia i naglej ekstazy miłosnej.

Idąc i za sobą słysząc stąpanie jego równe, silne, myślała:

„Jaki wysoki, zgrabny. I ten mundur jego, zdaje się, że aż iskrzy się, aż pała...”

Iskrzyły się, pałały w blasku słonecznym ozdoby bogatego munduru kniazia.

Kniaz! Nie знаła dotąd ludzi tytuły takie noszących, bo ich w rodzinnej okolicy jej nie było. Czarem powiało na nią od wyrazu tego. Nie myślała o tym, skąd czar pochodził. Pochodził z wyobrażenia o bogactwie, potędze, z niepospolitości również i nowości. Nieraz już przedtem czuła ciekawość, jak wyglądać może człowiek mający tytuł księcia. Teraz wiedziała. Był młody, piękny, świetny.

Aż do bramy zajezdnego domu, w którym z matką mieszkała, szedł za nią. Chciał może dowiedzieć się, gdzie mieszka, i dłużej na nią patrzeć. Słyszała wciąż za sobą kroki jego równe, silne, czasem ostrogą srebrną pobrzękujące. U bramy domu stanęła i profilem ku ulicy obrócona nie na niego spojrzała, lecz kędyś w górę, w górę. Miała z tym spojrzeniem wyraz tęsknoty niewymownej, czystości anielskiej i wiedziała o tym. On zaś, na chodniku przystanąwszy, patrzył wprost na nią, śmiało i ciekawie, z zachwyceniem. Trwało to bardzo krótko, może pół minuty, lecz zadzierzgnęło pomiędzy nimi nic, której on zniknąć nie pozwolił. Kilka już razy odtąd znalazł się na jej drodze i słuchała potem rozlegających się za nią stąpań jego równych, silnych, z lekka i czasem srebrem ostrogą pobrzękujących. Kilka już razy policzki jej oblały się warem, gdy oczy na sekundę, na czas mrugnięcia powieki spotykały się z jego czarnym, płonącym spojrzeniem. I książęcym. I spływającym na nią spośród świetnego munduru.

Ale nie zamienili się dotąd słowem żadnym. Była to dotąd niema gra szukających się nawzajem wzroków i wyobraźni, krzyżujących się z sobą nici, które elektrycznością napojone... Lecz po cóż gry takie opowiadać? Rzecz to powszednia i powszechna, pospolita i na wszystkich szczeblach żywego stworzenia znana. Ince jednak wydawało się przygodą nadzwyczajną, triumfem upajającym, przedsmakiem czy przeblyskiem czegoś nad wszystko miłego i upragnionego...

Teraz ujrzała matkę opuszczającą mieszkanie kniazia. Z zupełnie prawie wygładzonymi na czole zmarszczkami, z radością w oczach do córki przypadła.

— Chodźmy! Chodźmy! Jakże długo czekać na mnie musiałaś. Ale ciesz się! Przyrzekł wydać rozporządzenie, aby Olek przez parę tygodni jeszcze w szpitalu pozostał. Wzmocni się trochę chłopak w wygodach lepszych i może przestanie lękać się tak okropnie celi więziennej. I codziennie z obydwojma widywać się nam pozwolił. Tak, mnie i tobie. Ja nawet dla ciebie nie prosiłam. Sam powiedział: „Może i dla córki pozwolenie weźmie-

cie; trzeba, aby siostra braciszków *gierojów* odwiedziła”. Nie rozumiem, skąd on wie, że ty na świecie jesteś. Ale zresztą nic dziwnego, oni wszystko o nas wiedzą.

Po drobnych ustach Inki uśmieшек się przewinął. Nie spostrzegła go pani Teresa, myślami i troskami swymi zajęta.

— Do szpitala, do Olka teraz polecę, powiem mu, że go jeszcze ani dziś, ani jutro do turmy nie wezmą, a potem dowiem się, co z Jankiem dziś... bo wczoraj taki był jakiś zdesperowany, posępny, że aż mnie strach zimny oblał. A ty pójdziesz ze mną do braci?

— Nie, mamciu, pani Awiczowej i Tosi przyrzekłam, że dziś u nich... że dziś u nich w szyciu jakimś pomogę...

— Kiedy przyrzekłaś, to dotrzymaj i dobrze, że choć trochę robotą jakąś się zajmiesz... Idź do Tosi w tę stronę, a ja do Olka pójde w tamtą...

U zbiegu dwóch ulic stanęły; pani Teresa rzekła jeszcze:

— Wiesz, Inka, ten kniaź, to może i niezły człowiek? Nie wytrzymałam dziś i może zanadto prosto z mostu prawdy mu nagadałam, aż nasrożył się — plecami do mnie, a twarzą do okna się odwrócił. Ale prędko jakoś złagodniał i z wielką grzecznością wszystko, o co prosiłam, zrobił.

Przez oczy i usta Inki znowu uśmieszki przeleciały, ale pani Teresa już na nią nie patrzyła; pędziła w stronę szpitala więziennego.

Była już tam nieraz. Wkrótce po przybyciu tutaj znalazła się w tej sali widnej, dużej, gdzie na szeregach pościeli szczupłych leżały szeregi postaci w białe płótna owiniętych, sztywnych. Sztywność ciał i ciasność obejmujących je opasek czyniły je podobnymi do mumii na dnie sarkofagów wyciągniętych, lecz w białym świetle, które salę przez nie osłonięte okna zalewało, jak wypukłorzeźby z żółtego wosku odrzynały się od bielizny pościeli twarze z rysami przez wychudnięcie zaostrozonymi i oczyma palającymi gorączką lub bólem. I jak nad mumiami, gdy dźwignięte są w górę wieka sarkofagów, unosiły się nad postaciami tymi wonie mdłe, cikliwe, wonie ziół i minerałów na leki przerobionych, zaprawione z lekka zapachem krwi.

Ranieni w zbrojnych walkach z obydwóch stron walczących.

Na jednej z pościeli leżała postać od wszystkich innych mniejsza, w wyszczupleniu swym i spowijającej ją bieliźnie zupełnie mała; z daleka już poznać można było, że dziecinna. Wychudła była, twarz miała żółtą, z rysami wyostrozonymi i oczyma, które wśród nich błękitnością turkusów świeciły.

Gdy pani Teresa po raz pierwszy do sali tej wchodziła, dziecko to krzyknęło: „Mama!” i ruchem namiętnym padło w objęcia, które je długo obejmowały, kołysały, do piersi tuliły bez słów. A potem:

— Robaku mój! Skarbie mój! Dziecko ty moje nieszczęśliwe, najmilsze! A cóżeście wy najlepszego razem z Jankiem uczynili! Czyż ja mogłam przypuszczać, aby wam to w głowach powstać mogło! Toż dzieciaki z was jeszcze, siły nie mające, nic o takich rzeczach nie wiedzące i nie umiejące... Ach, złe wy dzieciaki, niegodziwe, żeby taką biedę na siebie i na mnie...

On, ręce jej pocałunkami pożerając, ze szlochami szeptał:

— Niech mamusia nie gniewa się, niech mamusia przebaczy... my mamcią nieszczęśliwą uczynili, ale myśmy myśleli, nam zdawało się, my w sobie czuli...

Z nową mocą w ramiona go schwyciła, już pocieszając, szepcąc:

— Podrzuciło was coś w górę, biedaki moje, jak te listeczki, które wiatr podrzuci ku niebu wysokiemu, ku pięknej gwieździe was podrzuciło... ale przedwcześnie, ale nadaremnie! Chwała Bogu, że żyjecie! Dorośnięcie i wtedy... A ja na was nie gniewam się, nie! Za podłe chęci, za podłe postęпки ja bym was karała, przeklęła... A tak to tylko niedorosłość rozumków waszych... nieszczęście...

I zaraz:

— Jakże tam z raną twoją? Czy bardzo boli? Ach, ty robaku mój, biedaku, dzieciaku niegodziwy, najdroższy...

Rana, którą Olek otrzymał, śmiertelna nie była, jednak była ciężka. Coś mu w ramieniu kula kozacka porwała czy zgruchotała, tak że dotąd nie wiadomo było, czy kiedykolwiek całkowitą władzę w nim odzyska; przy tym na koniach kozackich, na wozach trzęsących bez opatrunku dziesięć mil wieziony, krwi mnóstwo utracił i matczyne tylko oczy poznać w nim teraz mogły pyzatego, rumianego chłopca, który gdy policzki wydał

i sapać począł, samowar czy miech kowalski obecnym się przypominał, a gdy się z czego cieszył, to z ramionami w półkrąg nad głową wyciągniętymi na łokieć wysoko podskakiwał.

Inaczej wcale niż Olek powitał matkę Janek.

W celi więziennej, którą z towarzyszem daleko od siebie starszym podzielał, znalazła go milczącym, zamkniętym w sobie, nie po dziecinnemu jakoś ponurym i smutnym. Ręce matki ucałował, ale nie przeproszał, o nic i o nikogo nie zapytywał, mówił mało i niechętnie, w ziemię albo kędyś w stronę ze zmarszczką na czole chłopięcym patrzył. Zaciął się, zaskalił się w uczuciu i myśli, że uczynił dobrze, że uczynić tak był powinien i że tylko nie udało się. Żądłem w sercu, goryczą w piersi, wstydem na twarzy nieudanie się to mu osiadło. Czasem wyglądał tak, jakby nagle śruba bólu wkręcać się mu w serce zaczynała; z ust wykrzywionych syknienie wychodziło, wzrok stawał się osłupiały albo błędny.

Raz pokazał matce czerwonosine pręgi i plamy, które na szyi, rękach, plecach miał od kozackich nahajek i żołnierskich kolb, a pokazawszy rozplakał się głośno. Lecz wnet powściągnął płacz.

— Niech mama nie myśli, że ja z bólu! Nie bardzo boli, i o ból mniejsza! Ale jak oni... oni... jak oni... śmieli mnie bić.

Cała krew uderzyła mu do twarzy, szczupłe ręce zaciskały się w pięści tak mocno, że się paznokcie w dłonie aż wpiły.

Pani Teresa perswadowała.

— Moje dziecko! Wyście przecie strzelali do nich; cóż dziwnego...

Porywczo przerwał:

— Ja wiem! Ja wiem! Na wojnie jak na wojnie! I gdyby mnie byli ranili tak jak Olka albo i zabili... ale bić... bić... mnie nie mieli prawa! Ja nie niewolnik!

Pani Teresa dziwnie się uśmiechnęła. Boleśniejnymi bywają czasem uśmiechy nad jęki. Z tym uśmiechem a z czołem w mnóstwo fałd zbiegłym syna w ramionach trzymając nad głową mu szeptała:

— Tyś niewolnik... biedny robaczku mój! Otóż to, żeś niewolnik ty... niewolnik...

Nieprędko odważyła się powiedzieć mu o tym, co stało się z Julkiem. Chłopak zbladł bardzo i wargi tak drżeć, że aż latać mu zaczęły. Odwrócił się i z czołem do więziennego muru przyciśniętym namiętnie szeptał:

— Szczęśliwy Julek! Kochany, biedny Julek, szczęśliwy, szczęśliwy!

O tego syna swego pani Teresa więcej jeszcze niepokoiła się niż o tamtego. Tym, którzy ją o synów zapytywali, odpowiadała:

— Janek ciężiej od Olka raniony... wewnętrzną ranę ma, utajoną, ale ja ją widzę... Ach, gdybym go do Leszczynki i... gdybym ich obu do Leszczynki zawieźć mogła... W mig obaj by wyzdrowieli... a tak... Bóg jeden wie... Bóg jeden chyba... obroni...

Leszczynka! Palącą tęsknotą tryskające marzenie o raju, wśród tego brudnego, zakurzonego, kamieniami wysłanego, dusznego miasteczka, w tej sali szpitalnej...

Zaogniła się jakoś dnia pewnego rana Olka, dokuczać zaczęła, gorączkę sprowadziła. Pani Teresa w godzinie przepisanej na sposób żaden od dziecka cierpiącego oderwać się nie mogąc o możliwość pozostania przy nim przez noc całą straż i służbę szpitalną ublażała. Powiedzieć można, że wypłakała sobie tę krótką noc letnią, która na zachodach około chorego, na cichych szeptaniach z nim jej zesła, aż on usnął, a ona w sali stękającymi oddechami śpiących i mdłymi zapachami leków napełnionej, przy odsłoniętym oknie siedząc i na szmat nieba porannego patrząc nagle jakoś i strasznie do Leszczynki zatęskniła.

Teraz tam wzbijają się znad ziemi mgły poranne, jakby krepki białe rozwlekają się w powietrzu, znikają, a naprzeciw okna jej izdebki, jak raz naprzeciw tego okna występuje z ciemnej pręgi lasu rubinowa wstęga jutrzni...

Drzewa w ogrodzie stoją jak z kamieni wykute, tak nieruchome, jak w nieruchomości zakłęte i wsłuchane, w coś wsłuchane, choć nic nie słychać i cisza panuje taka, że szelest ptasiego skrzydła szumem wichru wydać się mógłby. Ale ptaki śpią jeszcze... Niemy powietrzem przelatują tylko lekkie chłodki — dreszcze świtu.

O! Przez minutę, przez jedną, odetchnąć tamtym powietrzem porannym, przeczystym...

I raz choćby spojrzeć na łąn zoranej ziemi, co pod pręgą lasu i pod wstęgą zorzy wyciąga długie, ciemne zagony... na drzewa, których listowie od występującego zza jutrzni słońca dostaje złotych podszewek... na rosę, która po żdźbłach trawy, po ziarnach piasku, po liściach poczyną drgać, błyskać i grać...

Ach, zebrać, ach, zgarnąć w objęcia dzieci, wszystkie dzieci, które jej pozostały, i znaleźć się z nimi w Leszczynce. Jakie marzenie rajske, jakie pragnienie piekące, rozciągające ciało i duszę na torturach tęsknoty nieskończonej!...

Rozmarzyła się pani Teresa u okna sali szpitalnej siedząc, roz tęskniła się tęsknotą nieskończoną i przez trwanie godziny doświadczała męki głodu, który nasycony, i pragnienia, które napojone być nie mogło.

Ale był to w życiu jej tutejszym jakby sen, krótki sen i razem piekielny. Rzeczywistość twarda, sroga, pochłaniała ją, porywała, po bruku miasteczka wciąż z miejsca na miejsce nosiła.

Teraz niosła do Olka dobrą nowinę, że jeszcze czas jakiś w szpitalu zostać będzie mu wolno. Bo nie wiedzieć dlaczego dzieciak począł ogromnie lękać się turmy. Nie był w niej jeszcze, nie wiedział, jak wygląda, i stworzył o niej sobie wyobrażenie jakieś fantastyczne, straszne. Może dlatego, że był fizycznie słaby, albo że wyobraźnią jego wstrząsnęła owa scena leśna i potem jazda dziwna, fantastyczna, na koniu kozackim, w zmrokach zapadającej nocy. Tulił się do matki z błaganiami:

— Tylko niech mnie tam nie zabierają... niech mię nie zabierają do więzienia!...

A Inka, u zbiegu dwóch ulic z matką się rozstawszy, nie w kierunku mieszkania pani Awiczowej i jej córki poszła, ale w tym, który do pewnej mało uczęszczanej przechadzki publicznej prowadził.

Nie miała ochoty najmniejszej towarzyszyć matce do więzienia i szpitala. Małych braci żalowała czasem, że cierpią, ale były to chwile przelotne; w ogóle zaś nie czuła szczególnej do nich tęsknoty, a w zamian takie miejsca udręczeń i smutku jak więzienie i szpitale budziły w niej odrazę taką, jakiej doświadczać musi ryba do suchego piasku lub jakiej niektórzy ludzie na widok krwi i ran doświadczają. Od atmosfery cierpienia czyniło się jej mdło, nudno, słabo i zaraz po głowie chodzić zaczynały myśli, że wszystko to jakieś niepotrzebne, nieładne, nieznosne i że ona jest wcale do czego innego stworzona. Do czego mianowicie była stworzona, dokładnie tego przed sobą nie określała, ale nieraz widok fruujących ptaków i latających motyli nasuwał jej myśl: „Szczęśliwe, wolne! Bawią się sobie w blasku słonecznym, na kwiatkach!”

Dziś dążyła na spotkanie umówione, zaciekawiające i przyjemne; spóźnić się mogła, więc przyspieszała kroku, a oczy jej przy tym niezwykle błyszczwały.

Ta nowa znajoma jej, na której spotkanie spieszy, to bardzo, bardzo miła kobieta, może najmiłsza ze wszystkich znanych jej dotąd kobiet. Poznała ją wczoraj na przechadzce.

Bo jak w Leszczynce po wpółdzikim ogrodzie, tak tutaj po niedużym, już prawie zamiejskim parku często błądziła, bez celu, krokiem powolnym, czasem listki z krzaków smętnym ruchem zrywając, rojąc, na każdą postać spotykaną szeroko oczy ciekawe a prześliczne otwierając.

I wczoraj właśnie, gdy po długim takim wśród drzew błądzeniu na ławce pod drzewem usiadła, zbliżyła się do niej ta pani, która przedtem kilka razy na drogach i drózkach parku z nią się rozmijając z bardzo miłym uśmiechem jej się przypatrywała.

Nie bardzo już młoda, ale czerstwa i żwawa, trochę zanadto otyła, jednak zgrabna, w ślicznie zrobionej sukni z szeleszczącej ce-su-czy, gęsto koronkami przyozdobionej. Na czarnych włosach kapelusik złożony z kwiatów bzu, nad którymi małe, białe piórka bardzo lekkie, jak nici srebrnej pajęczyny powiewały. Wesół się stawało od samego widoku tej twarzy okrągłej, rumianej, dobrodusznej, jej oczu jak dwie czarne perełki świecących, jej liliowych bżów na głowie, piórek nad nimi polatujących i złotej biżuterii wśród koronek migocącej.

Na ławce obok Iny usiadła i wnet ku niej z ogromnie miłym uśmiechem się zwracając, ogromnie uprzejmym głosem przemówiła:

— Pozwólcie zaznajomić się! Ja was dawno już spotykam i patrząc na was dziwię się, że w takim brzydkim miasteczku taką jak wy piękność zobaczyć można.

Gorącym rumieńcem twarz Iny splonęła i w piersi uczuła rozlewającą się po niej rozkosz. Tak już dawno, dawno nikt na nią uwagi nie zwracał i nic podobnie miłego jej

nie mówił. Z cicha, ale uprzejmie odpowiedziała, że nie mieszka stale w tym miasteczku, że ze wsi z matką przyjechała.

Nieznajoma zaśmiała się swobodnie, głośno.

— Wiem, wiem! Ja nawet wiem, jak się nazywacie i kto jest wasza matka. Ją także widuję na ulicy. Ot, można powiedzieć, że córka do matki niepodobna! Wy przy swej matce jak *kniabini* (księżna) przy chłopce wyglądacie...

Z pewnym zaniepokojeniem i zmieszaniem Ina przerwała:

— Moja mama zajęta bardzo zawsze... na ubieranie się i nic takiego nie ma czasu... ale bardzo zacna jest, dobra.

— Ależ ja nie o tym... nie o tym... — z energicznym gestem broniła się nieznajoma.

— Ona pewno najlepsza... to nawet widać... Tylko wy na jej córkę nie stworzona... Taka delikatna, biała z *kroszczynami* (drobniutkimi) rączkami i nóżkami... *prosto kniabini, czudo!* (wprost księżna, cud!).

Oczkami świecącymi jak czarne perelki po całej postaci Inki wodziła, wyraz podziwu i zachwycenia twarz jej okrywał. Było w tym podziwie i w tym zachwyceniu coś dziwnie i szczerze naiwnego.

Jeżeli w zaznajamianiu się z Inką i miała uboczny cel jakiś, to jednak niewątpliwie sprawiło ono jej samej żywą przyjemność. Mówiła okaleczoną i wyrazami obcymi łątaną polszczyzną, tak jak mówią ci, którzy niedokładnie jej się wyuczyli albo niegdyś jako ojczystej używali, a potem zapomnieli. Z dalszego ciągu rozmowy okazało się, że była to dla nieznajomej mowa wpółojczysta. Śmiejąc się, mówiła:

— Ja troszkę Polka. U mnie ojciec *ruski* był, a matka Polka. Tak mnie troszkę czasem i ciągnie do Polaków...

Po twarzy Inki rozlał się wyraz zdziwienia.

— Wy zadziwili się! Czegóż wy tak zadziwili się! Nu, już wiem! Tego, że moja matka była Polka, a za ruskiego poszła. Cha, cha, cha, cha! U was *predrazsudok* (przesąd) jest, że tak żenić się albo za mąż wychodzić nie trzeba... Nu, *głupost'* to, *pustiaki!* (głupstwo, drobnostki). Biedną dziewczyną była i kiedy ją dobry los spotykał, czemu by z niego skorzystać nie miała? I czasy wtedy spokojniejsze były, ale to wszystko jedno. W każdym czasie *predrazsudki* to *głupost'* i tylko żyć ludziom przeszkadzają. *Adnakoż* (jednakże) trzeba, abym wam powiedziała, jak się nazywam i kto ja taka.

Powiedziała jakieś nazwisko i poprosiła, aby Inka ją Heleną Iwanówną nazwała. A mąż jej w wojsku służy i jest adiutantem kniazia Borysa Elpidorowicza.

Oczy Inki błysnęły i zupełnie pomimo woli, z nagłym ożywieniem twarzy powtórzyła:

— Kniazia!

Głośno, swobodnie zaśmiała się znowu Helena Iwanówna.

— Wiecie, kto to kniaź Borys! Zauważyliście go! Nic dziwnego! On u nas pierwszy *krasawiec* (piękność męska) w całym wojsku! A jaki dobry, miły człowiek! Z mężem moim jak brat z bratem żyje i ja sama duszę za niego... Ale pozwólcie dowiedzieć się, jak wasze imię.

— Ina.

Helena Iwanówną ucieszyła się czegoś tak bardzo, że aż w ręce białymi rękawiczkami ociągnięte klaskać zaczęła.

— A co? Tak on mnie i mówił. On, znaczy się kniaź, słyszał raz, jak matka na was imieniem tym wołała, a ja sprzeczałam się i mówiłam, że takiego imienia nie ma...

Wargami, które trochę drżały, Inka szepnęła:

— Kniaź mówił o mnie...

— A wy myślicie, że on nie mówi o was? My z mężem już całą *niedzielę* (tydzień) śmiejemy się z niego, że o niczym innym jak tylko o was mówić nie może. Boginią was nazywa: *C'est une déesse!* mówi. Wczoraj spotkał się z wami na ulicy i zaraz do mnie przyszedł. „Wiecie, Heleno Iwanówno — mówi — że gdyby ją do Petersburga zawieźć i na wielkim świecie pokazać, wszystkim by głowy pozawracać mogła”. A jemu samemu to już i dobrze zawraca się od was w głowie. Nu, ale ja sobie gadam i gadam a mnie do domu czas! Pozwólcie dowiedzieć się, jak imię waszego ojca?

— Ojciec mój od dawna już nie żyje. Na imię było mu Julian.

— *Biedniaczka wy!* (biedniaczka) *tak rano* (wcześnie) bez ojca zostaliście i... i z taką matką! Nu, tak do widzenia, Ino Julianównu. A kiedy zobaczymy się? Może jutro znów na spacer tu przyjdziecie? I ja przyjdę. Pogadamy sobie i ja znowu na wasze liczko cudne popatrzę. A o której godzinie? U mnie o tej porze czasu najwięcej...

Umówiły się, że nazajutrz zejdą się znowu na tym miejscu, o godzinie czwartej, a teraz już nieco później jest i Ina śpieszy... śpieszy... Coś ją pcha, na skrzydłach niesie ku tej wystrojonej, wesołej kobiecie, która wczoraj mówiła jej rzeczy tak miłe, tak miłe, że aż spać w nocy nie mogła. Jakby jej kto wśród ciszy nocnej do ucha szeptał słowa: *C'est une déesse!* A potem: "O niczym więcej jak tylko o was mówić nie może". I jeszcze: Borys! Borys! Książ Borys! Ślicznie imię to brzmi...

Zaszeleściła pomiędzy drzewami jedwabna suknia Heleny Iwanówny, inna niż wczoraj i jeszcze ładniejsza, jak srebrne pajęczynki rozwiewały się na kapeluszu jej małe, białe piórka, gdy ujrawszy Inę na jej spotkanie biegła. Kaczkowatym krokiem biegła i z uśmiechem radosnym ręce Iny pochwywszy w oba policzki ją ucałowała. Można by z powitania tego wnosić, że znają się od dawna i kochają się serdecznie. Ale też nie udaną i nie obłudną była serdeczność Heleny Iwanówny. Rubaszna i naiwna, była ona, owszem, samorzutna, szczerza. Potrzebna na coś Helenie Iwanównie była Ina, niewątpliwie, ale że podobała się jej i budziła w niej sympatię, to również było niewątpliwe.

— Przyszliście! Jak to dobrze! Myślałam już, że może nie przyjdziecie, i zaczynało mi robić się smutno! Ja was polubiła! Od pierwszego spojrzenia polubiła ja was za waszą młodość, za waszą piękność, za waszą jakąś taką... anielską... Już nie wiem, jak powiedzieć! Na was patrzeć to tak samo jak miód słodki jeść. Za wami wszyscy przepadać muszą! Powiedźcie prawdę: wielu już mężczyzn za wami się *włóczyło*? Wielu *na was* żenić się chciało? Może już *żenicha*... przepraszam... narzeczonego macie? A? Powiedźcie!

Pod czułym, wesołym i razem byстрым, świdrującym spojrzeniem czarnych, świecących oczek rumieniła się Ina, ale zarazem czuła nieopisaną błogość. Czuła, że jest przez tę kobietę lubiona, podziwiana, uwielbiana. Z cichym też uśmieszkiem szepnęła:

— Nikt jeszcze nie oświadczył się o mnie i narzeczonego nie mam. Osiemnaście lat dopiero zeszłej zimy skończyłam.

— Toż to młodość! Boże mój! Jaka to śliczna rzecz taka pierwsza, *ranna* (wczesna) młodość! Wy, Ino Julianównu, jesteście jak kwiat, co jeszcze niezupełnie z *puczka* (pąka) się rozwinął... Ale zawszeż jak to być może, abyście *żenicha*, przepraszam... narzeczonego jeszcze nie mieli? Was już od matki porwać byli powinni... Wy już powinni być *niewiastą* (narzeczoną) albo i żoną jakiego polskiego pana, wielkiego pana... bo wam trzeba w złocie chodzić, karetami jeździć, na wielkim świecie błyszczeć... Jakim sposobem stało się, że tak nie jest jeszcze? Powiedźcie?

Inka z cicha i z wdziękiem wielkim historię okolicy swej w latach ostatnich opowiadać zaczęła. Żałoba narodowa od lat dwóch... tańców ani innych wesołych zebrań żadnych nie bywało. A potem wszyscy coraz więcej zajęci być poczęli rzeczami poważnymi, publicznymi i nikt o zabawach ani różnych... takich rzeczach wcale nie myślał...

Helena Iwanówna z politowaniem żalonym i razem wzgardliwym głową wstrząsać zaczęła.

— O *miatieżu* (o buncie) myśleli... do *miatieża* przygotowywali się... do nieszczęścia swego... do zguby swojej...

I zaczęła ubolewać nad nierozwągą, nad szaleństwem tych, którzy głowami swymi mur przebić próbowali, którzy z motyką na wojnę przeciwko słońcu wybrali się, którzy zdrowe szyje dobrowolnie pod ostry miecz wyciągali, bo Rosja to mur, to słońce, to miecz... a oni co? Wariacja jakaś chyba do nich przystąpiła! I po co? O co? Za co?

Ina nieśmiało szepnęła:

— Za ojczyznę!

— *Zostawcie!* (dajcie pokój), Ino Julianównu! — zaśmiała się Helena Iwanówna. — Wy taka młodziutka, powtarzacie, coście słyszeli... wierzcie w to, w co wam wierzyć przykazano, a tymczasem na szerokim świecie, którego nie znacie...

Mówić zaczęła o tym, że na szerokim świecie wszyscy rozumni ludzie od dawna już w takie *predrazsudki* (przesady) wierzyć przestali. Ziemia wszędzie jest jednakowa i słońce jednakowe i człowiek szczęśliwy albo nieszczęśliwy być może tak samo w jednym kraju

jak i w innym. Ot, na przykład matka jej: Polką urodziła się, za *ruskiego* poszła i cóż jej złego stało się? Nic wcale. *Naprzeciw*(przeciwnie). Wesoło sobie życie przeżyła i ją, córkę swoją, przed śmiercią dobrze za mąż wydała. Albo książę Borys Elpidorowicz. Przecież ojciec jego Czerkiesem był i za młodu nawet do zbuntowanych należał, razem z Szamilem przeciwko Rosji wojował, ale potem do rozumu przyszedł, wiarę *ruską* przyjął, *na ruskiej* ożenił się, wielkim generałem został i ot, syn jego o czerkiestwie swoim już i zapomniał! Takich ludzi na świecie pełno jest i to są rozumni ludzie. Bo jeżeli nawet i *dopuszczać* (przypuszczać) pojęcie ojczyzny, to przecież do wielkiej, silnej, szczęśliwej przyjemniej i wygodniej jest należeć niż do małej, słabej, *upokorzonej* (podbitej). Trzeba tylko rozum mieć, a zaraz pokaże się, że wszystkie te *predrazsudki* to tylko męki różne ludziom zadają, a czasem nawet i zgubę im przynoszą, jak teraz na przykład tym, którzy ten bezrozumny *miatież* podnieśli...

Mówiła z przejęciem się, z zapalem. Znać było, że we wszystko, co mówi, bardzo szczerze i bardzo naiwnie wierzy. Małe, białe piórka trzęsąc się nad jej kapeluszem słowom jej potakiwać się zdawały. A Ina w milczeniu, nie potakując i nie zaprzeczając, słuchała. Zaprzeczać odwagi by może nie miała, bo Helena Iwanówna wydawała się jej kobietą rozumną i świat dobrze znającą, ale i chęci nie czuła, bo słowa słyszane zgodnie jakoś odpowiadały temu, o czym przelotne, lękliwe i niejasne myśli przez własną jej głowę przelatowały. Milczała i ze smutnie pochyloną twarzą oskubywała listki z zerwanej przedtem gałązki krzewu. Aż na zatrudnionych tą robotą drobnych jej rękach spoczęła pulchna, białą rękawiczką ościągająca dłoń Heleny Iwanówny.

— Czego wy taka smutna, Ino Julianówno! Wam do twarzy z tym smutkiem, ale mnie was żal i ja by chciała pocieszyć was, rozweselić! I książę zauważył, że u was wyraz twarzy taki smutny czasem, smutny. Wczoraj on do mnie mówił: „Ona, Heleno Iwanówno, z tym swoim smutkiem tak wygląda, jak *anioł* (anioł), któremu do nieba ulecieć chce się... Ale ja by zobaczyć żądał, jak ona śmieje się... Mnie ciekawość bierze zobaczyć, jak ona wygląda, kiedy ją wesołość opanuje, kiedy szczęście na twarzy jej zaświeci”. Nu, to wy, Ino Julianówno jak kiedy jego spotkacie, uśmiechnijcie się, wesoło uśmiechnijcie się... on taki szczęśliwy będzie... Ale co to? Widzicie? Jakie to przysłowie polskie... moja matka często je powtarzała... O wilku mowa, a wilk...

Umilkła i rozpromieniona z uśmiechem szerokim ku nadchodzącemu księziowi przyjacielsko i porozumiewawczo głową wstrząsać zaczęła.

Wśród drzew małego parku w świetnym mundurze, wyprostowany, wysoki, zgrabny, iskrzący się i błyszczący, szedł krokiem swoim równym, silnym, z lekka srebrem ostrogi brzęczącym i w pobliżu dwóch kobiet na ławce siedzących znalazł się, rękę ku czołu w ukłonie wojskowym podniósł. Ale na Helenę Iwanównę, którą ukłonem tym witał, nie patrzył. Spod brwi kruczonych czarne jego spojrzenie w twarzy Iny utkwione było z takim wyrazem, jakby ją nim przebić, spalić lub wchłonąć w siebie pragnął.

A ona z oczyma ku niemu podniesionymi, z łuną rumieńca na twarzy uśmiechnęła się. Uśmiech to był figlarny trochę i rzewny, trochę nieśmiały i zalotny. Jemu zaś na twarz sprowadził błyskawicę radości, w której zajaśniała, zadrgała i rozbłysła wzajemnym uśmiechem koralowych warg. Nie zatrzymał się jednak, kroku nawet nie zwolnił, poszedł dalej i wkrótce za drzewami zniknął.

Helena Iwanówna, cała jakaś roześmiana, rozedrgana, szeptała:

— Dlatego nie zatrzymał się i przy nas nie usiadł, że jemu nie wypada. Na takim wysokim *postie* (stanowisku) znajduje się, że ostrożny być musi i na każdy swój krok zważający. Ale przeszedł tędy, to tylko dlatego, ażeby na was spojrzeć. Jemu tędy droga nigdzie nie prowadzi, tylko słyszał ode mnie, że wy tu o tej porze... Ale czego wy tak pobledliście, gołąbko? Czego wy taka staliście się bledziutka? Serduszko widać zabiło mocno? Co? Powiedźcie szczerze. Ja nikomu nie powiem... Polki skryte są, wiem o tym, i dumne... one o lubieniu swoim niełatwo mówią... ale wy inna niż wszystkie... młodziutka, szczerza, taka prosta... powiedźcie, zabiło mocno serduszko? Podobają się wam nasz książę *krasowiec*, co? Co?

Ina rzeczywiście pobladła tak, jakby krew wszystka do serca jej zbiegła. Z twarzą pochyloną i piersią szybko dyszącą odszepnęła:

— Tak. Bardzo!

A Helena Iwanówna, nisko ku niej pochylona, mówić zaczęła, że coś w tym dziwnego, że to takie proste, naturalne i nawet śliczne, poetyczne, wzruszające. Oboje młodzi, piękni! On, choć młody, taką karierę już zrobił, tak wysoko stanął i stanie wyżej jeszcze, bo tu, w miasteczku tym i w tym kraju nie zostanie długo, nie! Lada tydzień, lada dzień może otrzyma wezwanie do stolicy na stanowisko wyższe... A jaki dobry! Dopóty starał się, prosił, pisał, dopóki i dla męża Heleny Iwanówny miejsca wyższego i znowu u boku swego nie otrzymał. I oni więc oboje razem z nim do stolicy wyjadą lada dzień, lada tydzień, czego zresztą Helena Iwanówna bardzo pragnie, bo tu żyć niewesoło. Co za porównanie z życiem w takim Petersburgu! Nu, ale jej pora do domu powracać...

Wstała z ławki.

— Ach! Jak mnie trudno rozstawać się z wami! Nu, polubiłaż ja was! Ot, wiecie co? Chodźcie wy do mnie! Odwiedźcie mnie! Zaprowadzę was do mieszkania swego! Chodźcie, duszeńka, gołąbka!

Serdecznie, mocno ręce Iny w swoich ścisłała, w oczy jej czule patrząc.

Nigdy może niczego Ina nie pragnęła tak gorąco jak pójść z tą kobietą i słuchać ją mówiącą o jej piękności i... o kniaziu. Jednak wahała się.

— Nie wiem doprawdy... bo gdyby mama dowiedziała się... gdyby znajomi...

Śmiechem znowu wesołym i trochę urągłym wybuchła Helena Iwanówna.

— Matki boicie się! Tęgo, co znajomi o was powiedzą! *Głupost', broście* (porzućcie) wy te *głupości*, Ino Julianówno! U was, Polaków, *predrazsudok propast'*! Jak zaczniecie: A Pan Bóg? A ojczyzna? A matka i ojciec? A grzech? A *ksiondz*? A ludzie? To człowiek w tym całe swoje szczęście utopić może! *Broście* to wszystko! Chodźcie do mnie! Pokażę wam dwie suknie, które mi mąż w *siurpryz* (niespodzianka) z Petersburga sprowadził. Nikogo teraz nie będzie u mnie. We dwie sobie pogadamy. Czekolady filiżankę wypijecie. Chodźcie!

Ina ruchem nagle, z oczyma nagle roziskrzonymi, ramię na szyję jej zarzuciła i miękkimi swymi, kocimi ruchami; cała przytulając się do niej, zaszepiała:

— Pani dla mnie taka jest dobra, dobra! Nikt dla mnie tak dobrym nie jest jak pani! U nas wszyscy czym innym zajęci i ja zawsze sama jedna... sama jedna... marzę... tęsknię... I mnie nikt nie rozumie... Pani jedna mnie zrozumiała... Z panią tak miło, tak wesoło, przyjemnie. Pójdę! Niech już tam sobie, co chce, będzie! Pójdę z panią! Chodźmy!

VI

Prawdę mówiła Inie Helena Iwanówna, że lada dzień lub tydzień kniaź na stanowisko wojskowe inne mianowany i do stolicy państwa wezwany miał zostać.

Niewiele dni minęło, odkąd Ina po raz pierwszy nową znajomą swą odwiedziła, gdy po miasteczku rozbiegła się wieść, że kniaź bardzo wkrótce ma je opuścić, a na urządzie, przez niego dotąd sprawianym, zastąpi go ktoś inny.

I wnet nad myślą, wyobraźnią, nadziejami i obawami mnóstwa ludzi potężnie zapanaował krótki wyraz: kto?

W momentach głębokich skłóceń, burzliwych zwałowań uczuć i spraw ludzkich, gdy spomiędzy nich znika spokojna postać prawa, a z mieczami zapędliwymi w czerwonych rękach zawisają nad nimi gniew i zemsta, wagi niezmiernej nabiera ręka oręż gniewu i zemsty dzierżąca.

Bywają wówczas ręce więcej albo mniej czerwone; takie, które zabijają, i takie, które tylko ranią, takie, które wytaczają morza łez i krwi, i takie, spod których wylewają się tylko ich strumienie.

I bywają również na ziemi takie momenty i miejsca, w których rany srogie miast śmiertelnych, strumienie łez i krwi miast ich morza — wydają się szczęściem.

Spomiędzy czerwonych rąk, które teraz nad krajem tym zawisły, ręka kniazia nie była najczerwieńsza. Była ona od wielu innych mniej zacięta i mściwa.

Może dlatego, że płynęła w niej krew ludu niedawno jeszcze wolnego i wolność swą miłującego albo że kierowało nią serce w stronę radości życia całe przechylone, jej tylko namiętnie pożądające, a we wszystkim innym widzące jedynie drogi, które do niej wiodły.

Nie była to już wiosna, lecz był to już prawie schyłek lata. Była to pora odlotów nadziei, nalołów klęsk.

Mury gmachu więziennego rozsadała liczba mieszkańców coraz wzbierająca, więc przelewano ją do budynków innych, licznych, bagnetami zbrojnych straży najeżonych. Deszcz wyroków spadał na dachy tych budynków i wyprowadzał spod nich ludzi na Sybir, do katorgi, na szubienicę. Padał deszcz ten spod rąk sędziów. Tutaj sędzią najwyższym był dotąd kniaź, a teraz...

Kto? Jaki? Co zmiana przyniesie?

Dla tłumu głów osiwiących i głów niewieścich, które się tu dokoła więzień zbiegły, była to zagadka ociekająca krwią. I było to widmo czegoś niewiadomego, na którym serca i wyobraźnie upatrywały mniej albo więcej gęste plamy krwi. Serca drżały, wyobraźnie bujały po polach grozy.

Pani Teresa miała dotąd nadzieję, że chłopcy oddani jej zostaną. Kniaź był dla niej uprzejmy, coraz więcej nawet uprzejmy, a przy tym roztargniony, czymś dalekim zajęty.

— Śledztwo jeszcze nie skończone — mówił — bądźcie cierpliwi; gdy śledztwo skończone będzie, zobaczymy, co z waszymi małymi *gierojami* robić...

I zaraz o czym innym bardzo widocznie myśleć zaczynał. Nie przywiązywał do postępu dzieci tych wagi zbyt wielkiej...

„Może sam braci młodszych, małych jeszcze ma — myślała pani Teresa — albo po prostu serce dobre. Czemuż by nie? W każdym narodzie zdarzają się ludzie źli i ludzie dobrzy...”

A teraz ten nowy jakiś przyjedzie... przed samym wyrokiem właśnie. Jakiś człowiek nowy, niewiadomy, nieznany, obcy, może nienawidzący, może okrutny wyrok na Janka i Olka wydawać będzie.

W głowie jej się od myśli tej mąciło i żądło bólu tak w serce kłuło, piekło, że nigdzie długo ustać ani usiedzieć nie mogąc, prędzej jeszcze niż zwykle od znajomych do znajomych biegła po wiadomości, po rady.

Wiadomości? Jakież? Nikt jeszcze nic nie wiedział. A rady? Jedna tylko była: czekać cierpliwie.

Pani Teresa w gniew wpadała.

— Także rada! Cierpliwa mam być, kiedy mi dzieci w oczach nikną!

Istotnie, do nieruchomości i zamknięcia więziennego, do napelniającego cele więziennego wiecznego zmroku nienawykli chłopcy w oczach nikli, na kształt kwiatów powietrza i słońca pozbawionych wędli. Obaj już teraz byli w turmie, ale nie razem. Widywać się nawet im nie pozwolono. Śledztwo skończone jeszcze nie było. Świadców wezwano: Te-leżuka, żonę jego, włościan ze wsi najbliższej z Leszczynką sąsiadującej. Wśród ogromnego nawału spraw żadnej rychło załatwić nie było podobna.

Janek tymczasem coraz głębiej pogrążał się w tej melancholii dziwnej, w którą czasem nieszczęśliwe dzieci zapadają. Zdawać się może wtedy, że drobne duszyczki ich kołyszą się nad otchłanią, której ciemności przejrzeć nie umieją i znad której odlecieć nie mogą. Raz w przystępie rozczulenia zwierzył się matce.

— Mnie ciągle i ciągle chodzą po głowie myśli, dlaczego świat jest taki! Dlaczego są na nim takie niesprawiedliwości i nieszczęścia? Dlaczego ludzie nie są lepsi? Dlaczego z chęci i zamiarów najlepszych skutki najgorsze wynikają? A kiedy tak już na świecie jest i być musi, to — po co żyć! I tak mi czasem, mamciu, nie chce się już żyć! I tak mi źle... chciałbym nie myśleć o tych rzeczach... ale nie mogę... muszę... Mamcia mówi, że trzeba zgadzać się z wolą Boga, bo On mądry jest i wie, dlaczego tak świat stworzył... To prawda... ja wiem... chciałabym... ale nie mogę... I tak mi źle...

Z głową obu dłońmi objętą, zgarbiony, w podłogę więzienia wpatrzony jak mały desperat zwątląłą postać swą w obie strony kołysał.

I dusza jego niedorośła kołysała się nad otchłanią życia w demony zamieszkujące ją wpatrzona, truchlejąca...

Innym razem przez całe dwa dni żywności żadnej tknąć nie chciał i na błagania matki głuchy, rozjątrzony, ponury, w ciemnym kącie celi siedząc milczał tak uparcie, że ani jednego słowa wydobyć z niego nie mogła. A na trzeci dzień, gdy przyszła, ukląkł przed nią i wyznał, że postanowił być życie sobie odebrać... Innego sposobu żadnego nie mając, przez zgłodzenie się... Ale to bardzo trudny sposób, długi... nie wytrzymał, okropnie się

wstydzi tego, że nie wytrzymał, choć z drugiej strony może to i dobrze stało się, bo tej jeszcze przykrości matce nie sprawił...

Tym razem nie sprawił, ale któż panią Teresę mógł upewnić, że innym razem znowu ta sama myśl nie zaświta mu w głowie, która znajdzie sposób łatwiejszy, krótszy...

A z Olkiem inna znowu była bieda. Tego rana zupełnie jakoś zagoić się nie mogła i osłabiony, coraz chudszy, ciągle matkę o przebaczenie błagał, do stóp jej rzucając się, płacząc. Poczucie winy popełnionej tak głęboko w serce dziecinne mu zapadło, że aż obudziło w nim skrucę wyegzaltowaną i niezdrową. U nóg matki leżąc, najsroźszymi wyrzutami siebie samego obarczał, przestrogi im obu przez Julka dawane przypominał i powtarzał. Pani Teresa gniewem udanym uspokajając go próbowała.

— Także mazgajstwo! Płaksa i mazgaj jesteś!

Ale na wspomnienie o Julku sama zalała się łzami i malca od stóp swoich podźwignawszy, na ławie obok siebie sadząc, zapytywała:

— Cóż więcej wam powiedział? Co on wam w czasie ostatniej tej przechadzki z wami mówił? Przypomnij sobie dobrze... powtórz wszystko...

A gdy Olek słowa brata dobrze zapamiętane powtarzał, jej się zdawało, że słyszy głos z tamtego świata mówiący, i zapragnęła, ach, jak zapragnęła przestąpić granicę dwóch światów i na tamtym najstarszemu dziecku swojemu, najrozumniejszemu, najlepszemu, na pierś już męską, na pierś już opiekuńczą, przyjacielską paść krzycząc: „Patrz, jakam ja biedna, ratuj!”

Oprócz tej biedy z synami uwięzionymi miała jedną jeszcze, gorzką i ciężką, o której nikomu nie mówiła, którą owszem, przed ludźmi tała, lecz o której myślała, gdy czerwoną kokardą swą, dobrze już przybrudzoną i zgniecioną z daleka świecąc, od Janka i Olka do mieszkania swego ulicami miasteczka biegła.

Przez okno jednego z niskich domków patrzyło na nią biegnącą kilka znajomych twarzy i jedna wskazując ją innym wymówiła:

— Hekuba!

Młodziutki głosik jakiś zapytał:

— Co to Hekuba?

A ten sam co wprzód wyjaśniać począł:

— Priama, trojańskiego króla żona, która u zwałisk Troi z żalu po synach pobitych i córkach porwanych...

Ktoś inny przerwał:

— Przecież pani Teresa synów tylko... a córki...

Inne głosy mówić, szeptać zaczęły:

— Kto wie? Kto wie? Kto wie, co stać się może z córką jej... Iną?

Z Iną działy się rzeczy niezwykle, dla których rozpoznania pani Teresa nie miała dość czasu i swobodnej myśli, lecz które sprawiały na niej wrażenie mętnego, niewyraźnego, snującego się dokoła niej widma. Niby nic; żadnego widocznego objawu nieszczęścia, ale jakiś gorzki oddech, który zbliżanie się jego zapowiada. Coś nieokreślonego a dokuczającego powtarzającymi się wciąż ukłuciami w serce. Coś, czemu zapobiec i czego odpierać niepodobna, bo nie ma wyraźnej przyczyny i nazwy, co jednak jest, nadchodzi, czyha, wyziewa z siebie wonie trucizny i pierwsze błyskawice burzy.

Ginęła matce z oczu Inka na długie godziny, a zapytana, gdzie była, usiłowała zrazu tłumaczyć się albo pieszczotami usta matce zamykać, lecz pani Teresa spostrzegła i czuła, że tłumaczenia były wykrętne, pieszczoty nieszczerze. Wkrótce przecież i one ustały. Odpowiedzi Inki stawały się coraz śmielsze, harderze, często gniewne i niemal wżgardliwe.

— Gdzie byłaś? Dlaczego powracasz tak późno? Mówiłaś, że całą połowę dnia u Konieckich spędzisz. Wiem, że tam ani zająrzałaś. Gdzież więc byłaś?

Inka, która w swoim nowym kapelusiku do izdebki była wbiegła, stanęła jak wryta.

— Moja mamo! Byłam, gdzie mi się podobało... Każdy człowiek na świecie idzie, gdzie chce, i robi, co mu się podoba, a ja przecież niewolnicą niczyją nie jestem i te wieczne indagacje mamy są dla mnie nieznośne, okropne...

Mówiąc to szarpała zdejmowane z rąk rękawiczki i gorączkowo zarumieniona, niezwykle błyszczącymi oczyma nie na matkę, lecz kędyś w stronę ukośnym, rozjątrzoną spojrzaniem patrzyła. Była wtedy upostaciowaniem uporu i zniecierpliwienia wrzącego powstrzymywanym gniewem. Nie zawsze jednak mogła czy chciała powściągnąć gniew.

Wybuchał z niej czasem słowami, których niepodobna było spodziewać się z usteczek tak drobnych, różowych, słodkich.

— Ja nie wariatka, aby mnie trzeba było pod kuratelę brać, i niech mama faworytów swoich, Janka i Olka, którzy tyle biedy narobili, musztruje, ale nie mnie, która dorosła jestem i wiem, czego mi trzeba i co robię.

U tej delikatnej, powiewnej, słodkiej i smętnej dziewczyny z samego dna natury jej zapewne dobywały się szorstkie, grube pierwiastki i było to jakby osuwanie się zasłon aksamitnych z nieociosanego drewna.

Zdumiona i przerażona pani Teresa ręce załamywała.

— Bój się Boga, Inka, po jakiemu to do mnie mówisz? Także ton! Także sposób mówienia do matki!

Z wyraźnym obrzydzeniem końcami palców Inka zdejmowała ze stołu nie dojedzoną przez panią Teresę kromkę razowego chleba i szklankę wypitym przez nią mlekiem pobieloną. Drwiący uśmiezek odpowiedzi jej towarzyszył.

— Czy to do matki innym tonem jak do innych ludzi mówić trzeba? Wiem, wiem, słyszałam... Ale są to, moja mamó, przesady, o których dawno już rozumni ludzie zapomnieli, i tylko... u nas jeszcze...

Milkła, bo teraz pani Teresa w uniesienie wpadała, gniewem wybuchła, wyrzuty jej czyniąc, natarczywie zapytując: kto jej głupstw takich do głowy nakładł? Kogo widuje? Do kogo chodzi? Jakie szaleństwo do głowy jej przystąpiło? Dlaczego teraz wygląda ciągle tak, jakby w gorączce była, jakby nie wiedziała sama, co mówi lub czyni?

Inka najczęściej nie tłumaczyła się, nie odpowiadała; czasem jednak gwałtownym jakby poruszeniem wewnętrznym rzucona przypadała do matki, klękała przed nią i z głową do kolan jej przyciśniętą jęczała:

— Nie mogę, mamciu, nie mogę inaczej... nie mogę inną być... nie mogę...

Wtedy pani Teresa obejmowała ją, włosy jej głaskała, prosiła:

— Czego nie możesz? Co ci jest? Co ci się stało? Iniu moja! Córku! Powiedz! Wszystko matce powiedz... wytłumacz... uspokój mnie...

Ale ona już zrywała się z ziemi i odchodziła mówiąc:

— Nic, nic, moja mamó! Po co ja mam mówić, kiedy mama nie zrozumie mnie, nie zgodzi się ze mną... my, ja i mama, takie różne jesteśmy, takie inne...

I już słów matki zdawała się nie słyszeć, kędyś daleko, daleko zapatrzona, ku czemuś dalekiemu uśmiechnięta, kędyś daleko myślą, utęsknieniem, marzeniem przebywająca.

Myślą, marzeniem, utęsknieniem przebywała ciągle w ładnie umeblowanym, pachnącym buduaru Heleny Iwanówny, w którym wiele chwil miłych, a kilka cudnych już przeżyła. Kilka już razy jednocześnie z nią na czekoladzie u Heleny Iwanówny był — kniaź.

O, cudne chwile, wrażeń nowych i rozkosznych pełne, od szarej, prozaicznej rzeczywistości dalekie, dalekie — poetyczne, śliczne!

O, śliczny, miły, zgrabny, wytworny, z takimi oczyma wymownymi — człowiek!

Książę! Książę! Jak ten wyraz brzmi dziwnie! Tak zupełnie, jakby blaski złota i kolory tęczy, i jeszcze tony wspaniałej muzyki rozlewały się w powietrzu.

Rozmawiali z sobą po francusku. Ona do języków obcych ma zdolność wielką i tego przez cztery lata u pani Awiczowej spędzone wyuczyła się wcale nieźle. Ach, jak on widocznie ucieszył się, gdy usłyszał ją mówiącą po francusku. Może myślał, że nie będą mogli rozmawiać z sobą z powodu tej różnicy języków. *Jeszcze by!* Jak mówi Helena Iwanówna.

Ale bo i po co na świecie są te wszystkie pomiędzy ludźmi różnice! Ot, żyliby ludzie z sobą w zgodzie, jednostajnie mówiąc, czując, wierząc i wszystkim byłoby dobrze, i wszystkich by nieszczęść tych nie było. Prawdę mówi Helena Iwanówna, że tylko przesady ludziom na drodze do szczęścia stają. To jest kobieta bardzo rozumna i dowcipna. Jak zabawnie wyśmiewała wczoraj wiarę w to, że Pan Bóg słucha w niebie tych pacierzy, które ludzie tu na ziemi szepczą. „W drugim pokoju — mówiła — siedzisz i nie słyszysz, a jakże z takiej dalekości słyszeć by miał? Wszystko to są przesady — mówiła. — Pozbyć się ich tylko trzeba, a zaraz wszyscy na świecie ludzie staną się szczęśliwi i weseli...”

Może też *oni* są tacy weseli, że pozbyli się, jeżeli nie wszystkich jeszcze, to wielu przesądów? Ach, jacy oni weseli! Raz na czekoladę oprócz kniazia i adiutanta jego, męża Heleny

Iwanówny, przyszedł, kilku oficerów z sobą przyprowadzając, wkrótce też dwie panie — jakieś wbiegły, ślicznie ubrane, młode jeszcze, ładne. Powstał ruch, gwar, wszyscy dookoła okrągłego stołu w jadalnym pokoju zasiedli, ale nie wszyscy czekoladę pić chcieli, więc gospodarz domu do służącego zawołał o wino szampańskie, które gdy przyniesiono i pić zaczęto, wesołość stała się taka, jakiej Ina nigdy jeszcze w życiu swoim nie widziała. Wesołość to była swobodna, głośna, poufna, pełna gestów szerokich, śmiechów jak grzmoty głośnych, komplementów składanych pięknym rączkom, nóżkom, oczkom. Toasty różne wznoszono, a kiedy adiutant kieliszek swój podnosząc wniósł zdrowie Iny Julianówny, to wszyscy jak krzyknęli jednym głosem: „Hurrra!”, to aż szyby w oknach zabrzęczały; ją zaś, Inę, czy od wina wypitego, czy od rozmaitych napędzających ją uczuć ogarnęła wesołość taka, jakiej dotąd nigdy nie doświadczała. Dziękowała wszystkim, kłaniała się, na komplementy śmiało odpowiadała, a z żartów, które dookoła krążyły, śmiała się tak głośno i swobodnie jak nigdy. Wtedy książ, który obok niej siedział i przez cały czas różne miłe jej rzeczy mówił, szeptać zaczął, że on zawsze widzieć ją pragnie wesołą, szczęśliwą, bo nie ma na świecie takiego szczęścia, które by samo do stóp jej nie upadło prosząc, aby przyjąć je chciała.

I nie wiadomo, co powiedziałby więcej, bo w tej właśnie chwili zaszło coś takiego, co wszystkich jakby ukropem oblało czy lodem obłożyło. Jedna z tych pań, które tam były, ni stąd, ni zowąd zaczęła przez stół bardzo głośno i ze śmiechem mówić do księcia coś — o jego żonie, że niby ona z Kaukazu, gdzie przebywa, przez lunetę na niego patrząc widzi, jak on się tu znajduje i... coś tam jeszcze podobnego. Na twarz księcia chmura spadła ciemna i groźna. Helena Iwanówna oczyma i rękoma znaki jakieś do mówiącej robiła i wszyscy z nadzwyczajnym pośpiechem, głośniejsze niż przedtem rozmawiać o różnych rzeczach zaczęli, ale czuć było, że coś niedobrego zaszło, że zgrzyt jakiś przerwał harmonię, która dotychczas w towarzystwie tym panowała.

A jej, Inie, zrobiło się niewypowiedzianie żałośnie i smutno. Nie umiała powiedzieć dlaczego, ale wiadomość, że książ jest żonaty, całą jej pierś nagle łzami napęliła. Nie chciała okazać tego, ale Helena Iwanówna sama spostrzec musiała, bo przybiegła i z szyję ją objąwszy w samo ucho szeptała:

— *Niczewo!* (nic to) *duszeńka!* *Niczewo!* On żonaty i razem nieżonaty! Ja ci to później opowiem i wytłumaczę.

A potem do fortepianu usiadła i z wielkim zapalem bardzo hucznie walcę grać zaczęła, przy czym zaraz utworzyły się dwie pary tancerzy i stół dookoła w walcu obiegać zaczęły. Książ po chwili wstał także i z ukłonem do tańca ją zaprosił. Wyprostowany, brzękiem ostróg tylko kłaniał się i wzrokiem tylko — ale jakim! prosił. Ona od dwóch już lat przez cały czas żałoby narodowej nie tańczyła wcale, a za tańcem przepadała i wiedziała, że tańczy bardzo ładnie. Czuła sama, że jest cała różowa i że w całej sobie ma dziwne gorąco i drżenie. Stała przed nim ze spuszczoneymi powiekami, podnieść ich nie mogąc, a on kibić jej ramieniem opasał i uniósł w taniec. Ale raz tylko stół okrągły dookoła w walcu obiegli, po czym znalazła się w saloniku sąsiednim, w którym nie było nikogo. I tu... Ach! Dalej już Inka wspomnień swych w słowa przyoblekać nie mogła. W głowie jej się mąciło, oddech w piersi ustawał, siły omdlewały... Na klęczkach przed sobą go widziała i...

A to, że książ Borys jest żonaty, znaczenia żadnego nie ma, gdyż Helena Iwanówna wytłumaczyła jej, że ożenił się nadzwyczaj młodo, z namowy rodziców czy tam krewnych, nigdy kobiety tej nie kochał, a teraz nienawidzi jej i do rozwodu z nią idzie. Wkrótce też rozwód otrzyma i wolny będzie. Czyż nie mówił jej zresztą wówczas, w tym pustym saloniku, że ją jedną, Inę, na całym świecie kocha i że jest to jego pierwsza miłość prawdziwa. Słowa te Helena Iwanówna w zupełności potwierdziła.

— *Uwlekał* się nieraz innymi kobietami — mówiła — ale tak jak za tobą, *duszeńka*, za żadną nie szalał. Cóż to znaczy, że jest żonaty, kiedy żony nie kocha? Jedna tylko na świecie jest rzecz ważna: miłość. Wszystko inne — to *głupości*, na które tylko napluć!

Gdy po kilku godzinach u Heleny Iwanówny spędzonych Ina do ciasnej, dusznej, ubogiej izdebki domu zajezdnego wbiegła, ogarniało ją uczucie budzenia się ze snu rozkosznego i świetnego, a wpadania do otchłani rzeczywistości, ponurej i szpetnej.

Obrzydzeniem i żalem nad samą sobą bezgranicznym przejmowały ją ściany i sprzęty tej izdebki, szklanka pobielona wypitym przez matkę mlekiem, rozsypane na stole okru-

chy razowego chleba. Płonąła wstydem na myśl, co by to było, gdyby on... ten piękny, świetny człowiek, w swoim pięknym, świetnym mundurze wszedł tutaj i zobaczył... Prawem odziedziczenia może powtarzała w myśli nazwy niegdyś przez jej ojca Leszczynce nadawane. Gdyby książę zobaczył tę dziurę, tę norę, ten czyściec ziemski! Bolał ją po prostu sam widok tej izdebki; dławilo powietrze, istotnie duszne i przykre, którym w niej oddychała. Łzy połykając mówiła sobie, że ona do rzeczy tak prozaicznych i szpetnych stworzona nie jest, że jak rybie wody, ptakowi powietrza, potrzeba jej rzeczy poetycznych i pięknych. I szczerze, głęboko, z całej siły wierzyła, że mieszkanie Heleny Iwanówny, ze sprzętami jaskrawą materią obitymi i gracików błyszczących albo zabawnych pełne, to piękno, a uczucia, które namiętne spojrzenia i szept kniazia w niej budziły, to — poezja.

I gdybyż jeszcze mogła tu być sama jedna, swobodnie wspominać, marzyć... Ale to ciągle tutaj towarzystwo matki, jej zapytania i wyrzuty, jej zgryzoty i nocne płacze... ach, i ten sposób ubierania się jej, mówienia, chodzenia, samo brzmienie jej głosu, sama ciemność skóry oblekającej twarz i ręce. Już i dawniej, od dzieciństwa prawie raziło to ją i niechęcią napełniało, lecz w sposób nieokreślony, głuchy. Teraz wszystko przed oczyma jej uwypukliło się i wyrosło, a w myśli nabrało określeń wyraźnych i śmiałych. Teraz przychodziły chwile, w których śmiało przed sobą wyznawała, że matka budzi w niej uczucie bardzo podobne do odrazy, takiej zwyczajnej, fizycznej odrazy, jaka czasem przejmując ręce białe i delikatne przy dotykaniu rąk szerniałych i zgrubiałych, jaką czasem nerwami spragnionymi pieśczoły aksamitnej wstrząsa twarde i szorstkie dotknięcie.

Ale zdarzały się też chwile inne, nie wiedzieć skąd pochodzące: z głosu natury, ze wspomnień dzieciństwa może pochodzące, chwile, w których Inę fala uczuć nienazwanych a nagłych ku matce rzucała. Wtedy z ramionami dokoła grubej kibici zarzuconymi i z głową na jej kolanach szeptała:

— Mamciu! Mamciu kochana! Ja wiem... ja wiem... ale nie mogę... doprawdy, mamciu, ja inaczej nie mogę... nie mogę...

O czym wiedziała? Czego nie mogła? Nie powiedziała tego nigdy, nie potrafiłaby powiedzieć, bo w uczuciach i myślach jej panowały chaos i zamęt, wiały burzliwe wichry, leciały przeświecone jaskrawym światłem tumany kurzawy. A pani Teresa na te pieśczoły i bełkotliwe wyznania córki w sposób rozmaity odpowiadała: niekiedy wzajemną pieśczołą i drżącą troskliwością pełnymi zapytaniami, ale niekiedy, gdy czuła się bardzo, bardzo, prawie nad siły, zgnębiona, zgryziona, strwożona, zmęczona, niecierpliwym sarknięciem i gniewnymi słowami:

— Nie wiem — mówiła — czego nie możesz i co się z tobą dzieje, ale czuję, że coś niedobrego się dzieje i że wysłać cię stąd muszę... do Leszczynki pojedziesz... już pisałam do Teleżuka, aby po ciebie przyjechał... i pan Koniecki w tych dniach do domu jedzie, zabierze cię i może u nich, u Konieckich, nim do Leszczynki przyjadę, przesiadysz... Tu nie zostaniesz... Niańką swoją tu być czasu i siły nie mam... a pociechę i pomoc matce być nie umiesz... serca nie masz...

Wtedy Ina z wybuchem obrazy i żalu zrywała się od kolan matki i cała w ogniu, ostre błyskawice z oczu wyrzucając, wołała, że ani do Leszczynki, ani do Konieckich nie pojedzie za nic, za nic, że prędzej da się zabić, aniżeli tam pojedzie, że matka jej nie kocha, że jest ona nieszczęśliwa i od nieszczęścia swego choćby na koniec świata uciec by pragnęła.

Potem obie milkły, rozjątrzone, obrażone, rozżalone i resztę dnia lub wieczora spędzały w milczeniu, czasem ukośne, niechętne lub niespokojne wejrzenia na siebie rzucając.

Aż przyszedł dzień, który ukazał Ince dwa zwierciadła, w zwierciadłach dwie przyszości i rzekł: „Wybieraj!”

Kiedy pani Teresa śpiesznie biegła z więzienia do domu, aby zobaczyć, czy jest tam jej córka, a jeżeli nie jest, szukać, gdzie jest, jak nieraz już bywało, i u wszystkich znajomych o nią się dowiadywać, Inka w najodludniejszym miejscu zamiejskiego parku z Heleną Iwanówną rozmawiała. Za osłoną drzew i krzewów na małej ławce bardzo blisko siebie siedząc szeptem obie mówiły. Mówiły cicho, szybko, niezmiernie żywo, wzajem sobie mowę przerywając, jak mówić zwykli ludzie śpiesznie naradzający się i silnie wzruszeni.

— Więc za trzy dni — szeptała Inka — więc już za trzy dni... wyjeżdżacie... a cóż ja pocznę, co ja pocznę, co ja nieszczęsna pocznę... ja z desperacji nie wiem, co sobie zrobić... zwariuję chyba, utopię się...

Za rękaw sukni ją chwytając Helena Iwanówna w mowę jej wciąż wpadała.

— Ależ posłuchaj, *duszeńka*, posłuchaj tylko... mówić mi nie dajesz... ciągle przerywasz... Jaż mówię, że jest sposób tak zrobić, abyś nie potrzebowała desperować, wariować...

Ale Inka burza rozpaczy porywała, ogłuszała, myśli i uwagę jej od towarzyszki odrywając. Czoło rozpalone w obu dłoniach ścisnęła, łzy po zbladłych policzkach jej płynęły. Jednak szybko, nieprzerwanie, gwałtownie szeptała:

— Mama o niczym nie wie, ale domyśla się, niepokoi się, wyrzuty mi robi, chce mnie do Leszczyńki albo do Konieckich, sąsiadów naszych, wyprawić. Ja nie chcę do Leszczyńki! Ja nie chcę do Konieckich! Tam grób! Tam noc! Ja nie chcę grobu! Ja lękam się nocy! Ja teraz dopiero poznałam, co to prawdziwe życie, co radość, co szczęście...

Płaczem zaniosła się, a Helena Iwanówna dłonią usta jej zamykać próbowała.

— Jaż tobie mówię, *duszeńka*, że jest sposób... posłuchaj tylko! Jest sposób, abyś od grobu i nocy...

— Jaki sposób! Nie ma żadnego sposobu! Wszakże wyjeżdżacie, Heleno Iwanówno... i on... za kilka dni... O, Boże mój, Boże! Już za kilka dni...

Zniecierpliwiona czy rozczulona, obu tych zresztą uczuć zapewne doświadczając, Helena Iwanówna jak sęp gwałtownie dziewczynę szlochającą w ramiona swe porwała, do boku swego przycisnęła i głowę jej jak na poduszce na piersi swej oparłszy, w samo prawie śliczne uszko spod ślicznego kapelusika wyglądające szeptać zaczęła. Cicho szeptała, długo szeptała, czasem krótkie pocałunki po twarzy Iny rozsiewając, czasem śmiejąc się cichutko, pieszczotliwie. Z szeptania jej wybijały się niekiedy słowa głośniejsze nieco wymawiane: *kniaź... rozwód... ślub... lubienie... Petersburg... kniabini... bale... rysaki... mąż krasawiec...*

Ina nie płakała już, lecz drżeć zaczęła i tak drżała, że Helena Iwanówna zlekła się może, aby z ławki nie spadła, bo z wielkim szelestem *czesuczowych*, bombiastych rękawów mocniej jeszcze do siebie przycisnęła, szeptać, chichotać, całować nie przestając, aż na koniec...

Po chwili dość długiej zgrabne, szczupłe, w biały muślin obleczone ramiona dziewczyny wyciągnęły się ku górze i szyję przyjaciółki, trochę krótkawą, trochę grubawą, z taką nagłością i mocą objęły, że aż na czarnych jej włosach przekrzywił się kapelusz z kwiatów bzu upleciony i rozkołysały się we wszystkie strony jego małe, białe piórka.

Oznaczałże ten milczący, namiętny, długi uścisk Inki trwogę czy radość lub wdzięczność, tulenie się pod opiekę czyjaś i oddawanie się w moc czyjaś, czy wszystko to razem zmieszane, wzburzone, skłębione w jeden poryw, w jedną żądzę, w jeden szal?

Wkrótce potem Ina do mizernej izdebki swej wchodziła, a pani Teresa zadziwiła się ujrawszy ją tak łagodną, cichą, czułą, jaką tu nie bywała już od dawna. Zaraz ode drzwi pogarnęła się ku matce i dziwnie pokorna, zamyślona, w obie ręce ją pocałowała. Potem jakby zapytania i wyrzuty uprzedzić pragnąc, mówić zaczęła, że była w parku, że teraz tam spiree przepyszenie kwitną i Leszczyńkę jej przypomniały, że jutro pójdzie z matką do więzienia i trochę kwiatów tych braciom zanieśli. Zapaliła małą lampkę i zaczęła przy świetle jej suknię matczyną w kilku miejscach rozdartą naprawiać.

Pani Teresa niedowierzająco i niespokojnie zrazu na córkę patrzyła, lecz wkrótce radość błoga do serca wstępować jej zaczęła.

Jaka ona śliczna, jaka miła, gdy tak uspokoi się, złagodnieje, nad robotą jaką złotą główkę swą pochyli! Bajecznie do ojca podobna! Te same oczy i włosy... te same wady i ten sam czar! I tak samo... raz anioł, raz szatan!

A Inka szyla i niekiedy szafirowe oczy swe z anielskim spojrzeniem na matkę podnosząc mówiła, że szkoda, ach, jaka szkoda i jakie nieszczęście, że wyrok na Janka i Olka nie kniaź, ale ten jakiś nowy i niewiadomy wydawać będzie...

— A ty skąd wiesz o tym? — zadziwiła się pani Teresa.

Z łagodnym wzruszeniem ramion odpowiedziała:

— Słyszałam... wszyscy o tym mówią... Kniaź wczoraj urząd swój złożył i dziś już w komisji nie zasiadał.

Słyszała o tym istotnie od niego. On dziś u Heleny Iwanówny, blisko, blisko niej siedząc i rękę jej w swojej trzymając, mówił:

— Ja na braci waszych, Ino Julianównu, wyroku wydawać nie będę, bo z góry *przykazano*, abym był srogim... więc kamienia tego nie położę i dołu tego nie wykopię pomiędzy tobą a sobą, ty moja ukochana, upragniona...

Gorąco żaru i wino upojenia napęliły jej pierś i głowę, gdy teraz delikatnymi nićmi dziurę w sukni matczynej cerując słowa te wspominała. Miała takie uczucie, jakby ta dziura i to cerowanie w palce ją piekły, jednak cerowała dalej cierpliwie i gdy po chwili oczy na matkę podniosła, coś na kształt żalu w nich błysnęło. Na myśl, co za dni parę stanie się, stać się musi, co pomiędzy nią i matką jej jak kamień i jak dół — o, jak głęboki, legnie, serce jej uszka pokazało... na chwilę.

Pani Teresa z zaciśniętymi kurczowo rękoma, z głęboko wpadłymi oczyma siedziała na łóżku zdruzgotana, zgnębiona. Synami zajęta, o pieniądze na dalszy pobyt w miasteczku skłopotana, nikogo ze znajomych w ostatnich dniach nie widując, o tym, że zmiana dla niej straszna już zaszła, nie wiedziała.

Co teraz nastąpi? O Boże, co nastąpi? I kiedy nastąpi? Rychło zapewne, rychło. Wóz albo przewóz. Niebo albo piekło. Z Jankiem i Olkiem do Leszczynki powróci albo...

Dwa dni upłynęły i — wyrok zapadł... Podpisała go ręka od ręki kniazia czerwieńsza... rozkazowi zresztą otrzymanemu z góry posłuszna.

Zsyłka do Permu, w czasie jak najkrótszym pod zbrojną strażą mali buntownicy odwiezieni zostaną do najbliższej — jednak dalekiej — stacji kolei żelaznej, a stamtąd parowozem na granicę dwóch części kuli ziemskiej, pod stopy Uralu...

...Z twarzą, która powlekała się barwą ziemistą, z powiekami w pociemniałych oczodolach od płaczu krwawymi pani Teresa stała przed więziennymi wrotami i patrzyła na oddalający się dwukonny wóz... Dopóki tylko dojrzeć je było można, patrzyła na coraz dalej oddalające się, oddalające dwie małe, blade twarze, które na wozie obracały się ku niej, jak oplatki świecąc wśród podniesionych dokoła łuf i i bagnetów.

Gdy na zakręcie drogi znikły — odeszła.

Nie biegła, nie pędziła; szła powoli z piersią ciężko dyszącą, z plecami po raz pierwszy w życiu przygarbionymi.

Nic dokoła nie widziała, nie słyszała, o niczym nie myślała. Dusza jej krwawym gwoździem przybita do tych małych, bladych twarzy, które tylko co w oddaleniu sprzed oczu jej znikły, wlokła się za nimi cała, wsuwała się pomiędzy otaczające je bagnety, kreśliła nad nimi obrotne i opiekuńcze krzyże, całowała, żegnała spłakane oczy Olka, jak płótno zbielełe, lecz hardo zaciśnięte usta Janka.

Na kształt ranionego zwierza, który instynktem gnany czołga się ku legowisku swemu, aby paść na nie i skomłać z bólu ranę swoją lizać, pełzała raczej niż szła ku swej najętej, mizernej izdebce...

Tu, na drzwi izdebki spojrzawszy, przypomniała sobie.

„A Inka?”

Gdzie jest Inka? Miała wnet za nią przybiec do więzienia i ostatnie godziny te spędzić z braćmi, a tylko na chwilę czegoś jeszcze do miasteczka...

— Zaraz przybiegnę, mamciu, zaraz przybiegnę...

Miała kapelusza na głowie, w ręku parasolkę, na policzkach rumieńce silne i w oczach łzy...

— Niech mamcia idzie, ja zaraz przybiegnę...

Odbiegła, wróciła, uściśnęła matkę. Dziwnie uściśnęła, mocno, długo. Ale pani Teresa nie dziwiła się. W dniu tak strasznym, w tym piekielnym dla niej dniu... że córka zapłakała, uściśnęła, coś dziwnego?

Jednak nie przysła! Cóż to znaczy? Gdzie jest? Co się z nią dzieje?

Niecierpliwie, silnie, głośno pchnęła przed sobą drzwi izdebki. Weszła.

Nie ma Inki.

Coś się działo w tej izdebce, coś się tu działo!

Szuflada starej, krzywej komody, w której Inka swoje różne muślinki, paski chowała, w całej szerokości wyciągnięta, pusta.

Miejsce na ścianie, gdzie sukienki swoje zawieszała, puste.

Jezus, Maria!

Na stole, o szklankę z niewypitym mlekiem oparta, karta papieru jej ręką zapisana.

O Jezus, Maria!

Moja kochana mamciu! Mnie bardzo przykro, ja bardzo żałuję, że mam cię rozgniewam i zmartwię, ale inaczej nie mogę! Nie mogę! Kiedy mamcia czytać to będzie, ja daleko już stąd... daleko... Mnie nawet smutno, że mamę porzucam, ale tak kocham, tak nad życie, bez granic kocham... Mama zna jego... to książ Borys... I on kocha mnie szalenie, bez granic, ale ja nie z nim jadę, tylko z pewną przyjaciółką jego i moją, u której też w Petersburgu mieszkać będę, dopóki ślubu z sobą nie weźmiemy... A kiedy już zostanę żoną kniazia, co wkrótce nastąpi, wszystkim nam będzie lepiej. On dla Janka i Olka powrót do domu wyjedna, a Brońcią i Ludwinką ja zaopiekuję się, aby im edukację świetną...

Było tam pisma więcej jeszcze wiele: wyraźniejsze od innych występowały wśród niego słowa: „miłość”, „szczęście”, „przesady”, „wszędzie ojczyzna może być”, „wszystkie wiary sobie równe”, ale pani Teresa czytać dalej nie mogła, bo z trzęsących się rąk jej wypadła kartka papieru i szeroko, szeroko rozwarły się te ręce, a potem głośno klasnęły w dłonie, gdy z ust tak jak ta kartka zbielełych wypadł krzyk:

— Łajdaczka!

Padł krzyk ten w ciszę izdebki jak kamień w wodę i długo po nim nic nie następowało. Jak w kamień obrócona stała pani Teresa z rękami rozpostartymi, z oddechem w piersi krótkim i świszczącym, z czołem, wargami i policzkami drgającymi. W ciemnych głębokich oczodolach, pod zakrwawioną od łez powieką gorzał płomień gniewu i morze pogardy rozlewało się po ustach, gdy wychodzić z nich począł dyszący, syczący szept:

— A niedoczekanie twoje, abyś ty... dziećmi mymi... opiekować się miała... ty... ty...

I nagle krzyk znowu przeraźliwy, ogromny, podobny tym, jakimi matki wtórzą zabijaniu gwoździami trumien ich dzieci.

— Inka, dziecko moje! Jezus, Maria! Inka moja, Inka!

Runęła na ziemię, ramiona na niej rozpostarła, palce wbiła w deskę podłogi, czołem o podłogę uderzyła i — nieruchoma pozostała, a tylko z piersi jej dobywać się poczęły dźwięki bez słów, głośne, nieustanne, podobne do szlochów suchych i nigdy skończyć się nie mających, podobne do tego wycia, z jakim niekiedy nad rozłogami śniegów latają zimowe wiatry.

Tak u zwaliska zburzonej Troi Hekuba, Priamowa żona, wyła z żalości po synach pobitych i uwięzionych córkach.

Bóg wie kto

(R. 1863)

...A teraz opowiem z dziejów wiosny owej historyjkę śmieszną.

— Jak to — dziwisz się — pośród tragedii takiej — śmiech? O, moja droga, życie jest zlepek gliny i marmuru, uplotem sznurów pereł i sznurków koralu.

Perłowe gamy śmiechu nad koralową strugą krwi, cień nocy na jutrzni porannej, cień grzechu na szacie anioła, na złotogłowie lzy — skaczący i ubielony kłown w ponurej celi smutku. Wszystko bywa i bywa razem, w jednym momencie czasu — w jednym sercu ludzkim.

Pewien pisarz słynny, ilekroć kreślił słowo: życie, tylekroć obok umieszczał w nawiasie inne: galimatias.

Galimatias taki, że niech już w nim samo tylko oko Boże rozróżnia glinę od marmuru, rdzę, która płami płatek białej róży, od spalonego w żarach słonecznych jej serca, śmiechem dzwoniące perły — od sznurów koralu, ciekących kroplami krwi...

I to zważ jeszcze, że im serce głębsze, im klawiatura jego szersza i cieńsze, zwinniejsze palce, które klawiszami poruszają, tym częstszymi być w nim muszą spotkania chmur z błękitem, wybielonych kłownów z czarnymi smutkami, rdzy z białością, łez ze śmiechem...

Oj, byliśmy, były za śmiech ten nasz długo gderane! Oj, były żeśmy za ten nasz figiel gromione!

Bo i trzeba było młodości bujnej, lekkomyślnej, rozbawionej, rozpieszczonej, aby figla podobnego spłatać; bo i trzeba było szczęścia dużego, aby zań pokuty nie ponieść...

Dziewięć nas wszystkich było i miałby widok ciekawy, a śmiej powiedzieć — i ładny, kto by nas dnia owego w tym pokoju i naokoło stołu tego widział.

W początku marca powiedziano nam: robić szarpie i bandaże, szyć koszule jedwabne i konfederatki; a tu marzec końca swego dobiega — i jeszcze nie wszystko gotowe.

Wieleśmy już zrobiły. Żadna z nas już ani jednej szalki albo szmatki jedwabnej nie posiadała, bo wszystkie poszły na te koszule, co to się ich brud i robactwo nie imają. Skrzynki też sporej wielkości — z puchami szarpi, śniegami bielizny różnej napelnione. Ale konfederatki... Zaledwie przed paru dniami barankowe oszycie do nich przywieziono.

Nie nasza wina! Miasteczko dalekie — i nikt w nim dotąd o takich ilościach futerek barankowych ani słyszał. Z większego i jeszcze dalszego miasta sprowadzone spóźniły się, lecz gdy tylko przybyły, wnet we wszystkie strony rozleciały się po sąsiedztwie wici, na pilną, nagłą, wspólną, robotę zwołujące.

— Przyjeżdżajcie! Przyjeżdżajcie!

— Stefuniu, Oktuniu, Klemuniu, Maryniu, Wincusiu, Tosiu, przyjeżdżajcie! Przyjeżdżajcie i zabierajcie się do szycia!

— A może i pani hrabina przyjechać i szyć, szyć, szyć z nami zechce?

— Naturalnie! — odpowiedziała — z chęcią wielką, z radością!

— I śliczną Inkę, pani Teresy ubogiej, ale tak zacnej córkę, zaprosić trzeba?

— A jakże! Naturalnie! Czemuż by nie!

Do okrągłej dziesiątki jednej zabrakło, ale osiem przyjechało, a że do mnie przyjechały, więc byłam dziewiąta.

Przyjechały do mnie, bo ja wówczas — oho! — miałam skarb! Skarb ten miałam różany i złoty, który nazywa się miłość ludzka.

Nie wiem za co. Może za młodość, może za wielką żywość, może za to, że serce nosiłam na dłoni, takie gorące, że strumienie ciepłaka dokoła rozlewało — i od tęczy, które w nim grały, roziskrzono.

A może to i nie był skarb rzeczywisty, ale tylko w jego rzeczywistość wiara? Już teraz i nie zdołam w tej mojej pierwszej, bujnej młodości rozróżnić, co było prawdą, a co tylko wiarą, jeszcze przez żadne zmienne albo zimne usta nie zdmuchniętą.

Dość że wówczas, kiedy zaśmiałam się, wszyscy się śmiali, kiedy zapłakałam, wszyscy przybiegali pytać: „Czego? czego?”, kiedy oddalałam się, wszyscy wołali: „Nie odchódź”, a kiedy zawołałam: „Przybywajcie!” — wszyscy przylatywali.

Przez całe przedpołudnie — powóz za powozem, powozik za powozikiem — przed ganek domu zajeżdżają.

Oktunia, zgrabna jak ulana, w amazonce i kapelusiku z piórkiem jak z angielskiego sztychu zdjęta, konno przyjechała.

Pani hrabina, piękna, silna brunetka, jedną historię tragiczną za sobą, a drugą przed sobą mającą, dziś wyskoczyła z karety śmiejąc się i czarne błyski dżetów, które suknię jej okrywały, na wszystkie strony rozsiewając.

Inkę matka przysłała wózkiem jednokonnym, przez chłopą w baraniej czapie powożonym.

Niewiele przed południem wszystkie byliśmy już zgromadzone w różowym pokoju.

Salonik nieduży, do większego przylegający i taki różowy jak młodość moja. Na różowość młodości mojej poczynają wypływać nieśmiało jeszcze pełzające lub szybko przelatujące chmurki, ale w pokoju firanki u drzwi i okien, obicie na sprzętach, arabeski na ścianach — różowe. Tylko przez dwa okna zza festonów firanek szare niebo marcowe i szara mgiełka marcowego deszczu zaglądały, sprzecząc się z kwiatami. Bo tu i ówdzie, na gzymsie kominka, na etażerkach, stołach, pomiędzy białymi kolumnkami, zdobięcymi biurko staroświeckie, w wazonach i wazonikach — rośliny kwitnące. Oprócz kwiatów na gzymsie kominka jest jeszcze kot czarny, który u ram wielkiego, męskiego

portretu w kłęb zwinięty śpi, aż chrapie. Przez okna w szarej mgielce widać drzewa, drzewa, drzewa, a ponieważ bezlistne są jeszcze, więc wśród nich ciemne od wilgoci szlaki alei, alei, alei...

Ciasno dziś w różowym pokoju. Przeciwno zwyczajowi pośrodku stoi długi stół, a dookoła stołu na dziewięciu różowych krzesłach siedzimy wszystkie dziewięć, różowe od powitań serdecznych i serdeczniejszego jeszcze nad nie zapalu.

Na wysokich poręczach krzeseł, już i wówczas staroświeckich, na kanapie rozłożystej, na bocznych stolikach, etażerkach, biurku — rozwieszone, rozłożone materiały wełniane trzech kolorów. Białość, amarantowość i szafirowość.

Pokój wygląda jak wielkich rozmiarów sztandar narodowy. Pstro i pełno. Tak pełno, że ilekroć która z nas wstanie i po pokoju się obróci, tylekroć coś białego, amarantowego lub szafirowego skądś ściągnie i za sobą pociągnie, a inne przestrzegają: „Ostrożnie! Kaszmir splamić się może!” Bo z kaszmiru tych trzech kolorów szyją się konfederatki. Jak w nich partia ładnie wyglądać będzie!

— Jak łąn kwiatów! — poetyzować zaczynam.

— Jak maki z bławatkami zmieszane — rumieniąc się i z cicha poetyzowanie kontynuuje Stefunia.

Mężatką już jest od lat kilku i panią dużego, bogatego domu, a nic jeszcze nie zdołało choćby o pół tonu podnieść skali jej nieśmiałego głosu ani od częstych rumieńców ochronić twarzy — białej wśród bardzo czarnych włosów.

— Nie jak maki ani żadne inne kwiaty, ale — jak wielki trzykolorowy sztandar wyglądać będą!

Słowa te z szerokim gestem ramienia wymówiła najwyższa spomiędzy nas wzrostem i oczy najsmutniejsze, a czoło najbłedsze mająca Klemunia Koniecka. Najpoważniejsza też spomiędzy nas była może dlatego, że najstarsza, bo miała już lat aż dwadzieścia pięć. Z drugiego końca — cyfra wieków naszych zamykała się osiemnastoma latami ślicznej Inki.

W pokoju pstro, ale na nas pstrocinny żadnej nie ma, o, nie! Żałoba narodowa. Suknie czarne, ozdoby z dżetu lub polerowanej i kunsztownie wyrabianej stali. Włosów tylko cała gama: od kruczoczarnych, przez różne odcienie złota, do jasnych jak len.

Zrazu duży był gwarek głosów. Oglądanie materii, chwalenie, ganień, narady, zwrócone do mnie zapytania.

— Ile ich uszyć mamy?

Krótko, lecz z dumą odpowiadam:

— Sto.

Aż krzyknęły:

— Tak wiele!

— Daleko więcej trzeba. Części tylko podjęłam się za siebie i za was.

— Ano dobrze! Zrobi się! Szkoda nawet, że nie więcej. Zawiniemy się i dzień, dwa, trzy...

— Tydzień, dwa! — reflektuje Klemunia.

— Niech sobie i tydzień albo dwa! Kamieniem zasiądziemy i będziemy szyć, szyć, szyć...

Zaczynamy tedy! Dobrze, ale nim szycie rozpocząć, skroić wprzód trzeba. Według formy — tej oto! Która najlepiej kroić umie? Wincusia umie! Oto nożyce, prawdziwie krawieckie, doskonałe!

Rosła, zgrabna, hoża, stalowymi szpilkami u szyi, pasa i włosów błyskająca Wincusia, w odważnej i rażnej postawie u stołu staje, materię przed sobą rozkłada i — czach, czach, czach!

Okazuje się, że nieosobliwie umie. Już parę kawałków kaszmiru zepsuła, lecz to jeszcze mała bieda.

— Dużo go jest, więc choćby go trochę i napsuła... Ale baranków, wiecie co, że baranków zdaje się... mało...

Westchnienia trwożne.

— Tak, tak, bardzo ich jakoś mało! Broń Boże, nie wystarczy.

Wincusia tonem żalonym:

— Boję się! Niech kto inny.

Ba! łatwo powiedzieć! ale kto?...

— Może pani hrabina umie?

Wstrząsnęła się przecząco, tak że aż czarne błyski dżetów dookoła siebie rozsypała.

— Jak żyję, nie kroilał nic!

— Oktuniu! Może ty...

Amazonka, igłę z nicią przez kaszmir przewlekając i głowy jasnozłotej znad roboty nie podnosząc, głośno na cały pokój, na nutę słynnej wówczas arii: *Rachelo, kiedy Pan w dobroci niepojęty* — zaśpiewała i zatrelowała:

— Nie u-miem — nie u-miem — dajcieee-mi świecę-ty — pooo-kój!

Marylki Jaroszyńskiej zawołać, panna służąca to jest, której trzech bracia do partii idą. Ufać jej można, jak zresztą całej służbie.

Przywołana wbiegła. Sukienka w żałobne kratki, głowa w loczkach, żywa, fertyczna, śmiała. Dowiedziawszy się, o co chodzi, okiem znawczyni futerka barankowe siwe i białe obejrzała, po czym ze wzruszeniem ramion:

— I to ma do stu czapeczek wystarczyć, jeszcze takich kwadratowych! Żarty chyba! Ledwie może do sześćdziesięciu wystarczy.

— Jezus, Maria! Co ty wygadujesz, Marylko!

— Bóg wie, co pleciesz!

— Nie znasz się!

— Nieszczęście przepowiadasz...

— Tu żartów nie ma! To byłoby nieszczęście!...

— O nowym sprowadzaniu ani myśleć!...

— Gdzież tam! Czasu już nie ma...

— Krój, Marylko! Zaczynaj krajać! Zobaczysz, że wystarczy...

Ręce błagalnie złożyła i głosikiem ciekim zawołała:

— Boję się! Jak mamę kocham, nie wystarczy, a potem panie powiedzą, że źle wy-miarkowałam i że to moja wina!

Nic tak łatwo do pasji doprowadzić nie może jak strach. Strachem zdjęła mię przepowiednia Marylki, więc wpadam w pasję i nie wołam już, ale krzyczę, wprost krzyczę:

— Pani Czernickiej tu poproś. Powiedz, że prosimy bardzo, żeby przyszła!

— Czernickiej! Czernickiej! — powtarza za mną chór kilku głosów, a inne wołają:

— Czernisi! Czernisi na ratunek zawołać!

Żona to nadleśnego, w oficynie mieszkająca z mężem i z synem jedyńskim, którzy obaj do partii iść mają. O, ta na wszystkim zna się! Gdy idzie o gospodarstwo i wszelkie inne takie rzeczy, wszystko robić umie i robi gorliwie, sumiennie.

Wchodzi. Wysoka taka, że my przy niej liliputki, a taka od góry do dołu cienka i równa, że nic gładko wyprzedziona przypomina. U szczytu główka mała, z małą twarzą żółtą i małymi oczkami czarnymi, a z tyłu głowy ubożuchny warkoczek, spiralną linią sterczący nad włosami, tak wygładzonymi i błyszczącymi, że zdaje się być bardzo obcisłym czepeczkiem z czarnego atlasu. Czarną suknię na sobie ma i na czole pod czarnym atlasem włosów zmarszczki bardzo sympatyczne, bo o jakichś pocziwych troskach i trudach opowiadające, wyraźnie opowiadające.

Ciekawie na nas i na robotę naszą spogląda i wezwaniem uradowana, z uśmiechem kłania się na wszystkie strony. A z naszej strony zgiełk wykrzykników:

— Czernisiu, ratuj! Oto baranki!... Sto konfederatek uszyć! Zmiłuj się, zrób tak, aby wystarczyło! Popatrz, pomiarkuj, wymierz, skrój!

Patrzała, miarkowała, na wszystkie strony baranki obracała milcząc. Zły znak, że milczy. Żaden Grek w obraz Pytii trwoźniejszego wzroku nie wlepił, niż nasz był w tej chwili.

— Cóż? Jak pani Czernicka o tym myśli?

— Co myślisz, Czernisiu?

A ona z zastanowieniem i tonem uroczystym odpowiada:

— Nic nie myślę. I nic teraz ostatecznego nie powiem. Straszyć nie chcę i obiecanek-cacaneł nie lubię. Może wystarczy. Może nie wystarczy. Dobrze miarkować i wymiarkować trzeba. Ale — że zrobię wszystko, co w możliwości człowieczej jest, o tym panie upewniam, bo przecież to nie dla kogoś tam jednego, ale i dla szczęśliwości publicznej robota.

Lubiła czasem Czernisia mówić górną i tę „szczęśliwość publiczną” jakoś tak sama sobie wymyśliła, bo ilekroć dwa te wyrazy wymawiała, stawała się trochę rozrzucona i zarazem uroczysta.

— O nożyczki proszę...

— Są! Są. Oto są! Moja Czernisiu, moja złota, miarkuj, rozmiarkowuj!

Ciężar nam wszystkim z piersi spadł. Już kiedy Czernisia czymś się zajmie i o coś się postara.

Przy naszym stole z krajanem swoim zmieścić się nie mogła, więc gdy przy bocznym stoliku, różne fraszki i fatalaszki z niego zdjawszy, nad górą barankowych futerek stanęła, to zdawać się mogło, że różowe tło pokoju przerznięła kresa czarna i długa, u szczytu w kropkę ze sterczącym ku górze ogonkiem zaopatrzona.

Milczenie na długo różowy pokój zaległo; tylko w nim osiem par rąk z igłami w palcach — to podnosi się nad pochylone głowy, to opada i dwoje nożyc to otwiera się, to zamyka, aż czasem zgrzyta. Nożyce Wincusi działają w tempie spieszonym, Czernisi w powolnym, ostrożnym. Patrzymy czasem na nią, gdy czynność krojenia na chwilę zawieszając przypatruje się rozłożonej na stole sztuce baranków, wzrokiem ją przemierza, z palcem do ust przytkniętym rozmyśla, rozważa i dobra nadzieja do serc nam wstępuje.

Nadzieja! Tej pełne byliśmy nie tylko co do oszyć u kwadratowych czapek. Najróżniejszymi głosami śpiewała ona w wiośnianych głowach naszych, które dotąd czubkami fryzur zaledwie wychyliły się na świat zawodny, okrutny i w sercach naszych gorących, aż wrących, które brzegami warg zaledwie ostrych brzegów pucharu jego dotknęły.

O, młodości...

Śnie na kwiatkach,

Śnie mój złoty...

Czymże są kwiaty młodości? Marzeniem, co więdnę w jesieni. Czym jej złoto? Nadzieją, co w ogniu życia topiona po drogach jego z serca wycieka.

Za oknami szary deszczyk mroźny i mroźny; z przeciwnego końca domu dochodzą czasem brzmienia męskich głosów niewyraźnie i na długo milkną. Cisza.

W ciszy różowego pokoju, o jaskrawości trzech kolorów na wszystkie strony rozrzuconych, rozległ się przyciszony, z głębokim, piersiowym brzmieniem głos kobiety, który mówić zaczął:

O, matko Polko, gdy u syna twego

W żrenicach błyszczy genjuszu świetność,

Jeśli mu patrzy z czoła dziecinny

Dawnych Polaków duma i szlachetność...

Z robotą i rękoma na kolanach opuszczonymi, z bladym czołem naprzód nieco podanym Klemunia Koniecka mówiła wiersz wszystkim nam dobrze znany, przez wszystkie prawie na pamięć umiany. Nie deklamowała — mówiła. Mówiła powoli, z cicha, spokojnie:

Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem,

Do taczkowego każ zaprzęgać woza:

By przed katowskim nie zbłądął obuchem

Ani się spłonił na widok powroza...

Mówiła powoli, z cicha, spokojnie. Tylko w głębokim jej głosie pobrzmiwały czasem nuty bólu i smutku, a w siwych żrenicach, które spod wypukłego czoła kiedyś w oddali tkwiły, płonął ogień spokojny, równy, silny.

Zwycięzonemu za pomnik grobowy

Zostaną suche drewna szubienicy,

Za całą sławę krótki płacz kobiety

I długie nocne rodaków rozmowy...

U szyi jej na czarnym staniku połyskiwała ramka stalowa obejmująca portret Kościuszki.

Szyć nie przestając, wiersza na pamięć umianego słuchaliśmy tak, jak gdybyśmy po raz pierwszy w życiu go słyszały: z przyśpieszonym biciem serc, z wilgocią na rzęsach. Hrabina westchnęła głośno; może o swoich dwóch synkach malutkich pomyślała. Oktunia szepnęła:

— Mój Stasik maleńki...

Wtem — u bocznego stolika zagrzmiało, runęło, jakby się trąba nad gruzami zburzonego Jeruzalem rozległa.

To Czernisia nos utarła. A potem przez chwilę jeszcze wielką chustą lży po twarzy ciekące ocierała.

Aby zasiadaniem do stołu przerwy długiej w robocie nie spowodować, śniadanie do różowego pokoiku przynieść kazałam. Na późny obiad to już do sali jadalnej pójdziemy, ale teraz, byle jak, byle co, byle czasu tracić jak najmniej! Co za szkoda, mój Boże, że człowiek, gdy ma coś lepszego i miłszego do roboty, bez jedzenia obejść się nie może! Niech tam w sali jadalnej panowie dziś sami jedzą, a my tutaj prędiutko! Panom dziś tutaj przychodzić nie wolno, bo swymi żartami, wiecznym swoim sprzeciwianiem się tylko by przeszkadzali.

Przyszli jednak. Trzech domowych było i czwarty gość. W przerwie śniadaniowej przyszli, gdy Oktunia, bezkresny tren amazonki swojej podniósłszy, do salonu przyległego wybiegła, przy fortepianie usiadła i silnym sopranem na cały dom zaśpiewała: *Rachelo, kiedy Pan w dobroci niepojęty...*

Gwar powstał, panowie weszli i śpiewaczkę otoczyli, prosząc, aby jeszcze co zaśpiewała. Więc nastąpiły *Les adieux* Schuberta, i *Bywaj, dziewczę, zdrowe, Ojczyzna mię woła*.

A czas uciekał.

— Oktuniu, dość śpiewania! Szyć trzeba!

Zerwała się od fortepianu, w trenie amazonki zaplątawszy się, o mało nie upadła, lecz zwinna jak sarna, z więzów się wywinęła i krzesła swego dopadłszy już szyje, szyje. A my panów nie tylko z różowego pokoju, ale w ogóle z pobliza swego wydalić usiłujemy. Niech sobie na drugi koniec domu idą, niech nam co prędzej z oczu schodzą, niech nam nie przeszkadzają.

Oktunia ani na mgnienie oka szyć nie przestaje, pełnym głosem, na nutę *Rachelo, kiedy Pan*, śpiewa:

— Niech dają nam święęę-ty — poooo-kój!

Nie chcą zrazu odchodzić, opierają się, proszą, aż na koniec ogłuszeni, zakrzyczani oddalają się, a w różowym pokoju znowu milczenie, szycie, ręce to podnoszą się, to opadają, czasem stalowa iskra na staniku lub w splotach włosów błysnie, czasem nożyce zazgrzytają.

Bo Wincusia i Czernisia bez przestanku kroją i kroją: pierwsza raźnie i szybko, druga — różową ścianę wciąż długą, czarną kresą przerywając, rozważnie, uroczyście.

Wtem turkot kół na dziedzińcu. Ktoś przyjechał. Tosia zarumieniła się, Ince igła z palców wypadła.

— Może wesoły Oleś! — żartujemy z pierwszej.

— Może pan Gustaw! — drażnimy się z drugą.

Ale że nic wcale oprócz niewyraźnych w oddali głosów i kroków dosłyszeć niepodobna, więc Inka podnosi na nas oczy i z najsłodszą swoją minką proponuje.

— Pójdę, dowiem się, kto przyjechał.

— Owszem, prosimy.

Wybiegła i rychło z greckim noskiem na kwintę spuszczonego powraca.

— Pan Burakiewicz przyjechał — mówi.

No, kiedy pan Burakiewicz, to nic wcale nas ta wizyta nie obchodzi. Z widzenia go tylko znamy, i to — rzadkiego. Sąsiad, ładny majątek w pobliżu ma, ale panują jakieś tam przeciwko niemu uprzedzenia. Ważne to, że niezbyt dawno w strony te przybyły krewnych ani dawnych znajomych tu nie ma. Obcy i — Bóg wie kto. Ale ważniejsze jeszcze, że towarzyska strona jego niezmiernie wiele podobno do życzenia pozostawia. Elegantem podobno chce być i raz do kościoła przyjechał tak obficie jakimś okropnymi perfumami obłany, że pewna sąsiadka nasza, osoba słabowita i wielce trefna, zemdląła

i z ławki kościelnej spadła, a modlący się gdzieś w pobliżu marszałek Boniecki tak się rozkichał, że aż mu nos nieco spuchł. Napoleona III stale podobno nazywał Bonapart, na istnienie końcowego *e* w tym nazwisku na żaden sposób zgodzić się nie chcąc i często gęsto do mowy swej diabła mieszał, jako to: pal go diabli! niech go diabli porwą! diabli wiedzą, co to znaczy etc. I „szelmę” także mieszał. Ktoś słyszał go mówiącego: „Diabli wiedzą, co ten szelma Bonapart dla nas za pazuchą swoją chowa”, a raz zapytany, jak mu się jakaś panna podoba, odpowiedział: „Śliczna szelma jak sto diabłów!”

Człek tedy niewykształcony i nieuobyczajony prostak. Ekonomski syn podobno czy coś podobnego. Bóg wie kto. Ale myśmy o tym wszystkim ze słyszenia wiedzieli. Z interesami tu i ówdzie przyjeżdżał czasem, lecz tylko przez gospodarzy domu przyjmowany, gospodyniom ich nigdy przedstawiany nie był. *N'étant pas présentable*, do towarzystwa nie należał. Ale też można było powiedzieć, że się do niego wcale i nie garnął. Bezżenny, niemłody, żył na stronie, nikomu się nie narzucał, spokojnie sobie starzejąc i siwiejąc, gdyż parę razy spostrzegłszy go w kościele i pobliskim miasteczku, wiedzieliśmy, że ma srebrną siwiznę na głowie i wokół twarzy. A twarz ta mocno rumianą cerą właśnie do nazwiska mu przypadała, dwojgiem tylko oczu bardzo błękitnych i błyszczących wśród czerwoności ogólnej świecąca. Było to tak zupełnie, jakby kto w ćwikłowy burak wprawił dwie od rosy błyszczące niezapominajki i wszystko razem na srebrnej kądzieli położył.

Nic wcale tedy nie obchodziło nas to, że pan Burakiewicz za interesem jakimś zapewne do gospodarza domu przyjechał i szyliśmy dalej, w robocie i milczeniu pogrążone, gdy nagle głos na uroczystą nutę nastrojony wymówił:

— *Memento mori!*

To Oktunia, ręce na kolana opuściwszy i żalosnym wzrokiem po nas wodząc, słowa te pogrzebowe wymówiła i dodała: — Jak w klasztorze, gdy na *silentium* zadzwonią...

— Jak u kamedułów — szepnęła Stefunia.

— Dlaczego nie rozmawiamy? Rozmawiajmy!

Aha? Dlaczego nie rozmawialiśmy! Łatwo to powiedzieć: rozmawiajmy! Kiedy ręce niewprawne coś z wielkim staraniem i nie mniejszym zapalem robią, usta aż oddymają się lub aż zaciskają się z gorliwości, z wysilenia, a głowa im słów żadnych nie podpowiada.

— Przeczytajmy cokolwiek!

— Niech kto głośno poczyta!

— Dobrze! Ale w takim razie jedna para rąk od roboty się oderwie. No, niech tam! Godzinę jaką, dwie — para rąk popróżnuje, za to innym przyjemniej pracować będzie.

Skoczyłam do sąsiedniego salonu, wzięłam ze stolika ogromnie wówczas czytowaną, rozrywaną broszurę, w której Edmund About dokonywał nowego podziału Europy i wyznaczał w nim szerokie miejsce Polsce wielkiej, potężnej, niepodległej. Powszechnie utrzymywano, że pisarz ten był powiernikiem, zausznikiem cesarza francuskiego Napoleona III i że, jak by pan Burakiewicz powiedział, Bonapart ten sam mu ją podyktował. Więc kombinacje polityczne szerokie i głębokie, zakreslanie nowych wcale granic państwowych, całkowite przemalowywanie mapy europejskiej — i kolorem najróżowszym z różowych wymalowano na niej przyszłość Polski. A kiedy *Bonapart* tak myśli, takie układa plany i żywi pragnienie, to już najpewniej tak się stanie, koalicja państw zachodnich na rzecz naszą się zawiąże i wszystkie te zmiany drogą pokoju albo drogą wojny przeprowadzi. I trzeba tylko, abyśmy sami rąk i serc nie opuścili, abyśmy w mężnej walce nie ustali, abyśmy jej sztandar jak najdzielniej, jak najwytrwalej rozwijali — a Zachód z pomocą nam przyjdzie, i triumf sprawiedliwości, wolności, triumf Polski, która od tak dawna za dwie te idee cierpi i walczy — radosne surmy i trąby rozgłosne hymny i peany na wszystkie cztery strony świata rozgłoszą. Tak pisał na rozkaz podobno pana swego zausznik i powiernik Bonaparta. A gdy słowa pisania tego, żywym głosem odczytywane, rozlegały się po różowym pokoju, Boże! jaką radością skakały nam w piersiach serca, jakie gorące hymny i peany wyśpiewywały wiośniane nasze głowy! Na cześć wspaniałomyślnego i rycerskiego świata, na cześć Bonaparta i sprzymierzeńców jego, na cześć bliskiego, niezawodnego, ogromnego triumfu Polski hymny i peany wyśpiewywały głowy wiośniane i wrzące serca nasze...

A że potem te głowy i serca — tak zwiedzione! — przez życie szły i do mogił doszły, na świat i ludzi przekleństwa nie rzuciwszy — dziw!

Lecz wtedy — kiedy walce tej świętej i tak przez obcych nawet podniecanej dopomagać — to dopomagać, ze wszystkich sił, każdą krwi kroplą, każdą iskrą ducha! Cała krew nasza i cały duch nasz rwały się, pędziły do — dopomagania i szczęśliwe czyniłyby wszystko... Ale tymczasem nic jeszcze do czynienia nie było oprócz szycia.

Więc słuchając pieśni słynnego Francuza, cudnej pieśni, z węzowej gardzieli płynącej, szyłyśmy, szyły, szyły, czasem lżę rozrzewnienia z rzęsy ocierając, czasem twarze znad roboty podnosząc i porozumiewawczo zamieniając się zachwyconymi, rajskimi uśmiechami.

Nagle — w drżący często od wzruszenia głos czytającej, w wymowne słowa francuskie wpadło podniesionym głosem wymówione jedno tylko słowo polskie:

— Zabrakło!

— Jezus, Maria! — krzyknęłyśmy wszystkie i zerwawszy się na równe nogi otoczyłyśmy Czernisię, z której wyszło to słowo fatalne.

Z długimi, cienkimi ramionami wzdłuż figury długiej i cienkiej opuszczonymi, stała Czernisia zasmucona, zmieszana, a my, oniemiałyśmy zrazu z konsternacji, załamywałyśmy ręce lub z desperacją niosłyśmy je ku głowom.

Więc tedy zabrakło!

— Do ilu zabrakło?

— Wykroiłam siedemdziesiąt osiem... już przy końcu coraz węższe, węższe paski kroiliam... ale Panie Boże ratuj!... więcej nie wyszło. Do dwudziestu dwóch zabrakło!

Kłęska nie tak ogromna, jak przepowiadała Marylka, jednak kłęska.

Panie Boże ratuj! Bo innego ratunku nikąd nie widać.

Chyba do panów pobiec i poprosić, błagać, aby co prędzej do miasta posłali, do tego dalekiego... Ba! Czasu za mało... za mało... i jak tam jeszcze sprawi się ten posłaniec...

Niech która z nas sama pojedzie!

Łatwo powiedzieć! Każdej coś na przeszkodzie stoi i zawsze ten czas, ten czas! Lada dzień przecież wszystkiego od nas zażądać mogą, a tu — niegotowe! Stefunia mówi, że od męża swego wie, że lada dzień... a kiedy naczelnik organizacji tak mówi...

Bieda! Gorzka nawet bieda! Takiej drobnostki nawet nie móc porządnie zrobić! Wstyd! Wiemy, że winy w tym naszej nie ma, jednak wstydzimy się czegoś... może złośliwe żarty męskie z roboty niewieściej przeczuwając.

Kiedy tak biedujemy i środki ratunku wymyślamy, żadnego wymyśleć nie mogąc, drzwi od pokojów dalszych uchylają się nieco i przez wąski otwór nieśmiało zrazu wygląda utrefiona ładnie głowa Marylki Jaroszyńskiej, a potem wysuwa się ze szczeliny całkowicie i dziewczyna, z filuternym jakimś ognikiem w oczach, do różowego pokoju wchodzi. W miłości własnej trochę zadraśnięta, trochę może za drzwiami podsłuchiwała, jak sprawa z barankami się rozstrzygnie i co Czernisia o niej powie, a teraz weszła i z cicha, spokojnie, lecz z czymś filuternym w uśmiechu i w oczach mówić zaczęła:

— Proszę pań, przez przedpokój teraz przechodziłam i futro pana Burakiewicza widziałam... Takie śliczne baranki! Siwe, takie delikatne, od tych delikatniejsze... śliczne!

Aż policzek na dłoń opuszcza z podziwu nad ślicznymi barankami pana Burakiewicza.

A my na wieść tę aż zadrżałyśmy od srogiej, piękającej, od zjadliwej pożądliwości czy zazdrości. Jeżeli jest na świecie oskoma moralna, tośmy wtedy na pewno jej doświadczyły. Ot, człowiek szczęśliwy, który takie baranki ma!

— I całe takie futro barankowe ma? — głosami osłabłymi zapytujemy.

— Caluteńkie! — Marylka odpowiada, a filuterne ogniki w oczach aż żarzą się i uśmieszki po ustach jej aż skaczą.

— Niech panie pójda i zobaczą, że nie kłamię — mówi.

To prawda. Żeby choć zobaczyć! Pójdźmy zobaczyć!

Wniosek uczyniony jest przez Wincusię, która z wielkimi nożycami w ręku nad stołem pokrojonych kaszmirów stoi, wszystkimi swymi stalowymi szpilkami, broszkami, klamrami błyska i wygląda bardzo energicznie.

— Pójdźmy zobaczyć! Pójdźmy!

Nie przez aklamację, bo nie jednomyślnie wniosek przyjęty został; Klemunia, Stefunia, hrabina i jeszcze ktoś z miejsca się nie ruszyły, ale pięć poszło.

Aby do przedpokoju dojść, trzeba było przez dwa duże i dwa mniejsze pokoje przejść. Słysmy. Pochód otwierała Wincusia, nożyce przez roztargnienie wciąż w ręku trzymając,

potem dwoma parami Oktunia z Tosią i ja z Inką, a za nami w ariergardzie dybała na długich swych nogach Czernisia, czarną, długą kresę przesuwając po obrazach i zwierciadłach u ścian zawieszonych.

Zbitą gromadką skupiliśmy się w przedpokoju dokoła wieszadeł, na których — o Boże miłosierny! — futro pana Burakiewicza z baranków siwych... takie śliczne...

Ciche wykrzyki i głośnie westchnienia. Żeby to którego ze znajomych panów własność była! Może byśmy wyprosiły, wypłakały... na klęczki choćby paść... A tak, nieznajomy jegomość, Bóg wie kto... skąpiec też pewnie, ani myśleć o proszeniu... Myśmy wprowadziły wszystkie a wszystkie swoje suknie i inne ubiory jedwabne oddały... ale to co innego... kobietyśmy! A panów w ogóle o cokolwiek prosić, to próbować kamienie gryźć... zwłaszcza jeszcze takiego... Bóg wie kogo!

Gdy tak biedujemy i lamentujemy, główka Marylki Jaroszyńskiej zza ramion naszych się wysuwa... Nie wiedzieć, skąd się wzięła, bo z nami tu nie szła i później zapewne cichutko się wsunęła, a teraz aż łozki jej nad czołem od energii trzęsą się i ręce szeroko się rozkładają, gdy ogromnie rezolutnie mówi:

— Ja bym jedną połę ucięła — i już!

Skamieniałyśmy, zamaryłyśmy z przerażenia, którym propozycja ta nas przejęła, ale potem wskrzeszyłyśmy i poczęły zamieniać z sobą słowa cichutkie, szybkie, spojrzenia porozumiewawcze, palące... Aż przyszła sekunda, tak, na zegarze czasu zadzwoniła sekunda (jeżeli w ogóle zegar jakikolwiek sekundy wydzwania), w której kilka ust jednogłośnie i z determinacją jak śmierć stanowczą wyszeptало:

— Wincusiu, odkrój połę!

Wezwana, cała w błyskawicach swoich stalowych ozdób i w ognistych wypiekach, które na policzki się jej wybiły, jak jastrząb jaskółkę, jak chart zająca, jak podobno szatan duszę potępioną, futro pana Burakiewicza porwała i już je na stole przedpokojowym rozłożyła, gdy nagle zawahała się...

— Jakże to? Tak z wierzchem, z watą, z podszewką razem ciąć?...

Do Czernickiej się zwróciła:

— Czernisiu, poradź! Sama odkrój! Ty to porządnie przynajmniej zrobisz!

Sztuka byłaby u cudzego futra połę uciąć — porządnie! Więc też Czernisia obu rękami za głowę się schwyła.

— Święty Boże, święty mocny! Ja bym cudze futro... i jeszcze u takiego... On by mię potem, spotkawszy, wylał albo i wybił... I paniom też nie radzę. Tylko że rzeczywiście potrzebne, nie dla kogoś jednego, ale dla szczęśliwości publicznej potrzebne...

Otóż to! Dla szczęśliwości publicznej! W tym rzecz! I jej samej, Czernisi, mimo protestu oczy na futro pana Burakiewicza patrzą, jak czarne żużelki błyszczą.

Stawi jednak opór namiętnościom i z obu rękoma ku głowie podniesionymi, po wiele razy wyszeptując: „Święty Boże, święty mocny! A niech mnie Anieli Stróżowie strzegą i bronią” — szerokimi krokami z przedpokoju umyka i przez długą perspektywę innych pokojów kresą długą i czarną ku pokojowi różowemu szybko sunie.

A Wincusia z nożycami nad rozłożonym futrem jak dziób głodnego ptaka roztwartymi rozpaczliwie woła:

— Marylko! Pójdź, odkrój! Wprawniejsza... Gdzież Marylka?... — Ehe! Już jej i śladu w pobliżu naszym nie było. Zemknęła! Radzić i kusić, to radziła i kusiła, ale kiedy do czynu przyszło, znikła. Tak jak Czernicka zlekła się zapewne sztukę podobną płatać nieznajomemu jegomościowi, brutalowi podobno, Bóg wie komu...

Więc Wincusia, mruganiem naszym ku niej i gestami zachęcającymi na duchu wzmocniona, na odwadze do szczytu najwyższego wzbita, mocno stopami oparła się o ziemię, ramieniem, w nożyce zbrojnym, dziwny jakiś gest wykonała i — czach, czach, czach!...

Od dołu aż do pasa cała jedna poła pięknego futra oderżnięta, z wierzchem, z watą, podszewką, ze wszystkim, co do niej należało. I tylko gdy futro na wieszadło powróciło, strzępy podszewki i kawałki waty z otwartej jego rany żałośnie się ku dołowi zwieszały...

W różowym pokoju było trochę sprzeczki pomiędzy tymi spomiędzy nas, które działały, a tymi, które z miejsc swych się nie ruszyły, trochę wewnętrznych wątpliwości o godziwość dokonanego czynu, trochę niepokoju w ruchach i zamyślenie na czołach, lecz bardzo wkrótce wygładziło się znowu jezioro. Co tam! Jakoś to będzie! Panu Burakiewi-

czowi stratę poniesioną można zwrócić. Zapłacimy, ile zażąda, i niech sobie inne futro kupi, a teraz mamy baranki! Mamy, mamy! I rzecz kapitalna. Reszta marność, czczość, przemijalność!

A Czernisia, siedząc przy bocznym stoliku, wierzch z watą od futra odpruwa. Pył dobywający się z prutych materii delikatną mgiełką jej małe oblicze przysłania, aż zza mgiełki dobywa się głos:

— A jednakowoż nie wystarczy!

— Nie wystarczy! I to jeszcze nie wystarczy!...

— Do dwunastu pewno wystarczy, ale do jakich ośmiu — dziesięciu... zabraknie!

Ochłonęliśmy z żalu. Osiem na sto — odsetek nieduży. Niech już tam! cóż robić? Nie pójdziemy przecie drugiej poły panu Burakiewiczowi ucinąć!

Wtem na drugim końcu domu, kędyś w okolicach przedpokoju, jakieś niewyraźne stuknięcie, chody i nagle głosy męskie podniesione, bieganie, krzyki...

Źle. Minuta sądu i kary nadchodzi. Dotąd nie przyszło nam do głowy, że nadejdzie. Trochę dreszczów po plecach przebiega. Ale nic; z nisko pochylonymi nad robotą głowami siedzimy i szyjemy. Wincusia, krojąc kaszmiry nożyczkami, tak zgrzyta, że w uszach świdruje, Czernisia porze. Milczenie. I tylko uszy ku stronie przedpokoju nastawione, nasłuchujące, co się tam dzieje. A tam zaczyna dziać się coś okropnego...

Otwierają się ze stukiem drzwi, Marylka z przestraczem na rozczzerwienionej twarzy wpada i z przyspieszonym oddechem mówi:

— Co to będzie? Co to będzie? Pan na służbę tak gniewa się, że niech Bóg broni... Każe mówić, kto to zrobił, a oni nie wiedzą... a pan myśli, że kłamią i coraz więcej gniewa się... i Józef aż płacze.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy myśmy już z krzesel się zerwały. Nie, nie! Na służbę gniewu i wyrzutów niesprawiedliwych ściągać nie można! Nie można, aby przez nas pocziwy Józef płakał.

Trzeba iść, wszystko wyznać, pana Burakiewicza przeprosić, ile kompensaty pieniężnej żądać będzie, zapytać.

— Chodźmy!

— Chodźmy!

Więc naprzód winowajczyni, potem przez solidarność koleżeńską te, które w przestępstwie czynnego udziału nie przyjmowały, za nimi Czernisia, zatroskana, ale i z zaciekawieniem w czarnych oczkach, a na ostatku Marylka — kusicielka, jak kot przestraszony pod ścianami cichutko się prześlizgująca.

W drodze zaskoczyło nas pytanie, która do pana Burakiewicza pierwsza przemówi. Cóż? Gospodyni domu naturalnie... O, ciężka minuta pokuty i umartwienia. Ale nie ma co! Mają rację! Mnie wypada pierwszej głos zabrać przed tym jegomością nieznajomym, wielkim jakimś — Bóg wie kim!

Oktunia i Stefunia z obu stron szepczą mi przy twarzy:

— Ja z pomocą ci przyjdę!

A ja za sobą słyszę głosy innych:

— I ja! I ja! I ja! Wszystkie będziemy przyznawały się, przepraszały...

— I płaciły...

Drzwi z sali jadalnej do przedpokoju prowadzące na oścież rozwarte, znać po nich wielkie pędy, z jakimi tu ludzie wbiegali i wybiegali. A dokoła wieszadeł — piekło wre. Panowie i lokaje skupieni, osłupiali, pan Burakiewicz rozmachuje rękoma i krzyczy, gospodarz domu na służbę krzyczy, stary Józef czerwoną chustą oczy sobie z łez ociera, kredensowy pomocnik jego cienkim głosem wrzeszczy, że jak Boga kocha, nie wie, kto to zrobił...

Wejście nasze, takie gremialne, sprawia dywersję i ten efekt wywołuje, że wszyscy milkną i patrzą, co to za taka procesja niewieścia idzie... A my prosto ku panu Burakiewiczowi zmierzamy i przed nim stajemy, to jest, ja przed nim stoję, a towarzyszeki moje za mną, jak mur, a za nimi jeszcze Czernisia i Marylka.

Stoję, dygam, rękę ku panu Burakiewiczowi wciągam. W tejże chwili gospodarz domu, wypadkiem zaszłym bardzo rozniewany i wtargnięciem naszym aż do osłupienia

zadziwiony, ulega jednak przyzwyczajeniu, rzecz można, nałogowi towarzyskiemu i aktu prezentacji dokonywa:

— Pan Burakiewicz — moja żona...

A pan Burakiewicz twarz ma czerwienią jeszcze niż zwykle i wśród niej oczy błękitne wprost słupem od zdumienia stoją. Zdaje się, że na widok tych jedenastu niewiast, nie wiedzieć czego przed nim zjawionych, o poniesionej krzywdzie na chwilę zapomniał. Z bardzo niezgrabnym ukłonem ręką czerwoną i szorstką ręką mojej dotyka, a ja mówić zaczynam. Cicho mówię, bo mi w piersiach drży i w gardle dławi. Jednak mówię:

— Przyszliśmy przeprosić pana... bardzo, bardzo pana przepraszamy... bo to my... to jest, głównie ja, właściwie ja...

— Nie, nie, to my wszystkie... — odzywają się za mną chórem towarzyski moje.

— Ja... my... zrobiliśmy to... ucieliśmy tę połę...

— Co? — jakby kto z pistoletu wypalił, wyrwa się z ust pana Burakiewicza i widać po nim, że we wściekłość wpadać zaczyna.

— Cóż to? Panie dobrodziejki żarty jakieś ze mnie, kpinki, drwinki... niech diabli porwą...

Na widok tak rozszalonego nieprzyjaciela mnie głos zupełnie posłuszeństwa odmawia, ale wysuwa się zza mnie Wincusia i głośno, rezolutnie rzecz przedkładać zaczyna.

Mowa jej zwykła jest, ale treści pełna. Krótka, lecz dobitnie opowiada, co i jak było i że to ona, ona właśnie ot tymi nożyczkami połę futra uciela i teraz nożyczki te tu przyniosła na dowód (osobliwy zaprawdę dowód!), że nikt inny tylko ona to uczyniła, więc bardzo, bardzo przeprasza...

— Bardzo, bardzo przepraszamy! — rozlega się za mówiącą na różne tony chór niewieścich postaci, w najgrzeczniejszych pod słońcem dygach ku ziemi przysiadła.

Teraz ja znowu występuję.

— Niech pan będzie łaskaw powie, ile to futro... ile mamy panu zwrócić... na odkupienie zepsutego futra... my najchętniej... zaraz...

I znowu dziewięć dygów z towarzyszeniem chóru.

— Bardzo pana przepraszamy i niech pan będzie łaskaw powie, ile za to zepsute futro...

Co myśleli i czuli, jak wyglądali świadkowie sceny tej, nie wiem, bo w nadzwyczajnym zmieszaniu swoim o istnieniu ich prawie zapomniałam, ale w pana Burakiewicza wlepiłam oczy nierozumiejące, zadziwione, bo dziać się z nim i na twarz jego wybijać się poczęło coś doprawdy niespodziewanego, nadzwyczajnego.

Na twarz jego, jakby nagle pobladała nieco, wybijać się poczęła pilna uwaga zrazu, potem radość... jakaś rozrzuwniona, promienna radość.

Już kiedy Wincusia przemawiała, historię konfederatek niewykończeniem na czas zagrożonych opowiadając, gniew zniknął mu z oczu i ukazał się w nich wyraz ciekawej, skupionej uwagi. A potem błysnęła radość. Nie wiem, czy ostatnie słowa nasze o piętnym wynagrodzeniu szkody zrzędzonej słyszał, bo mu powieki dziwnie jakoś mrugać i wargi pod srebrnym wąsem drgać zaczęły, jakby przez gwałtownie cisnące się na nie słowa miotane. Aż wybuchnął:

— Tedy panie dobrodziejki w takim celu moje futerko pokiereszowały! Na czapeczki dla tych... co tam idą... za... za ojczyznę... Niech mię diabli wezmą, jeżeli nie jestem kontent, wdzięczny...

Stentorowy głos drzeć mu zaczął, wargi już wprost latały, a niezapominajki w burakówkowe wprawione całe były oblane błyszczącą rosą.

— Do diabła ciężkiego! Czegóż ja tak irytowałem się tu, gniewałem. Przepraszam, bardzo przepraszam! Szelma ze mnie i — dureń! Ale teraz to dziękuję paniom dobrodziejkom, sto razy, sto tysięcy razy dziękuję... dziękuję... za to, że choć to, choć tym... choć tym kawałkiem sukmany mojej...

Przy ostatnich wyrazach rzucił się ku nam ruchem tak gwałtownym, że aż pomimo woli niecośmy się w tył cofnęły i poczał nas jedną po drugiej w ręce całować. Pocałunki te jak wystrzały pistoletowe rozlegały się po przedpokoju, a w przestankach głos gruby, chropowaty, w tej chwili czułością jakąś, smutkiem jakimś przejęty, mówił:

— Bo to, panie dobrodziejki moje, stary jestem i sam już nie mogę... a syna nie mam... i obcy tu osiadłem, nikomu nie znajomy... tedy nikt mnie nie ufa, nikt ode mnie

niczego nie żąda... a ja z serca i duszy rad bym... czymkolwiek, rad bym przyczynić się... służyć...

Już wszystkie nas jedenaście z kolei, bo Czerniszę i Marylkę także, w rękę pocałował, gdy nagle myśl jakaś strzeliła mu do głowy. Znieruchomiał, przez parę sekund oczyma zamysłonymi po nas wodził.

— A może... — zaczął — może więcej potrzeba... może jeszcze uciąć?...

Ażeśmy się zatrzęśli od zdziwienia i od tajonej radości. Lecz nie wypada tak od razu propozycji zdumiewającej przyjmować! Więceśmy chórem i pojedynczymi głosami wołały:

— Dziękujemy! Dziękujemy bardzo panu! Pan bardzo dobry! Ale nie możemy nadużywać... I bez tego wiemy, ile za taką szkodę...

— Co tam: ile, jakie tam: ile? To ja paniom dobrodziejkom wieczną wdzięczność... niech mię diabli porwą, jeżeli kłamię, że wieczną wdzięczność... i jeżeli więcej potrzeba... jeżeli, w ogólności mówiąc, czegokolwiek potrzeba...

Tu na czoło orszaku wysunęła się spomiędzy towarzyszek Oktunia i w amazonce swej zgrabna, śmiała, a na twarzy tak wyglądająca, jakby wnet z uniesieniem: „Rachelo, kiedy Pan” zaśpiewać miała, rzekła:

— Jeżeli prawdę wyznać mamy, to nam jeszcze do dziesięciu... oszycia barankowego brakuje...

— Brakuje! — wykrzyknął. — A co? Przeczuła dusza moja, że jeszcze brakuje...

Zerwał z wieszadła smutne ruiny futra swego i nam je podawał, to jednej, to drugiej wprost w ręce wciskał.

— Proszę, proszę! Niech te szelmy barany szczęścia tego dostąpią... zaszczytu tego... i ja razem z nimi...

Wzruszone, zdziwione, onieśmielone, cofałyśmy się, dygałyśmy nie śmiąc daru przyjmować... Hrabina pierwsza pochwyciła jedną z rąk, które go podawały i mocno ją ścisnęła, po czym ta czerwona, szorstka ręka od jednej do drugiej dłoni niewieściej przechodziła, ściskana, wstrząsana, nie po światowemu, nie po salonowemu, ale po prostu, serdecznie. I mówiłyśmy ciągle:

— Czy podobna? Ależ niepodobna. Jakże pan bez futra pojedzie! Dziś tak chłodno! I nam aż tyle nie potrzeba!

— Nie potrzeba aż tyle! No, to drugą połę tylko... do dziesięciu czapek drugą połę... Pewno jak raz wystarczy...

W rękę Wincusi dziwnie jakoś w porę nożyce błysnęły i zadzwoniły.

— Ot i nożyczki są! — pan Burakiewicz zawołał. — Dzięki Bogu, są nożyczki... za pozwoleniem pani dobrodziejki...

Wychwycił z rąk Wincusi nożyce ruchem tak niesalonowym, że aż syknęła trochę z bólu i w mgnieniu oka resztki baranów swych na stole rozłożywszy: czach, czach, czach! Krojąc mruczał:

— Twarda bestia ten baran... ale i nożyce szelmy tępe... niech ich diabli...

A gdy piękne niegdyś futro żadnej poły już nie miało, zaczął pozostałość na siebie wkładać.

— Panie dobrodziejki mówią, że dzień dziś chłodny, ale ja sobie z tego kpię... Zdrów jestem... chwała Bogu, i mogę choćby w mróz bez futra A tu jeszcze piersi i plecy okryte...

Wciągnął na plecy to dziwne ubranie, które tak zupełnie jak niewieście *figaro* wyglądało, tym tylko od niego się różniąc, że było z rękawami i że z cięcia przez nożyce operacyjne zadanego zawisły mu ku dołowi bajecznie żalosne strzępy waty, sukna i podszewki.

Ale teraz otoczyli go panowie, wszyscy trzej domowi i gość. Gospodarz domu prosił:

— Niech sąsiad będzie łaskaw tak zaraz nie odjeżdża... Może obiad zjemy razem... Konie do stajni niech odejdą...

Nie przez grzeczność, nie przez zwyczajną grzeczność po raz pierwszy do domu swego pana Burakiewicza jako gościa zapraszał. W głosie jego czuć było wzruszenie.

A pana Burakiewicza zaprosiły te i ich serdeczność — rzecz dziwna! nie ucieszyły, lecz zadziwiwszy zrazu, rozlały po nim, owszem, zasmucenie czy zamyślenie. Ciszej nieco, niż mówił zwykle, odpowiedział:

— Dziękuję panu dobrodziejowi, bardzo dziękuję... ale odwykłem... a prawdę powiedziawszy, do takich kompanii i nigdy przyzwyczajony nie byłem... Jak dzik — odyniec

pomiędzy drzewami leśnymi, tak ja samotny pomiędzy ludźmi chodzę i nikt mnie bratem ani swatem nie jest. Szelma dola taka... ale co robić? Kiedy Panu Bogu tak podobało się... i już niedługo... stary jestem... więc niedługo już na tym diabelskim świecie... Ale ot, o co ja pana dobrodzieja poproszę...

W obie ręce wziął rękę gospodarza domu i dziwnie prosząco w oczy mu swymi błyszczącymi niezapominajkami patrząc, zniżonym nieco głosem mówił:

— Niech panowie będą łaskawi w każdej potrzebie, takiej ogólnej... w każdej okazji takiej, co to grosza albo trochę pracy jakiej potrzeba, do mnie odzywają się... Ja chcę... ja żądam... czymkolwiek przysłużyć się... matce... bo przecież i ja... syn jej... a że los szelma pomiędzy samych obcych na ten świat mnie rzucił, to ja i nie narzucam się nikomu... a tylko... diabli wiedzą, co w sercu siedzi i spokojności nie daje...

Zaczęli go wszyscy czterej coraz ściślej otaczać, coraz serdeczniej zapraszać. Niech do nich przyjeżdża, niech się bliżej z nimi zapozna, oni także odwiedzać go będą.

Ale czerwonymi rękoma machać zaczął.

— Ej, nie! Ej, nie! Z duszy, z serca dziękuję, ale nie! Odwykłem... nie przywykłem... diabłami jak parobek sadzę... w samotności mnie najlepiej... ogródek swój pielęgnuję... drzewka to moje dzieci... dumki smutne moi goście. Żegnam państwa dobrodziejstwa, żegnam, dziękuję!

I szedł ku wyjściu w swoim dziwnym *figarze*, z żalosną frędzlą.

Ale my znowu tak bez niczego rozstać się z nim nie mogliśmy i przy drzwiach go dopadłszy, Boże drogi, czegośmy mu nie nagadały! Jakimiśmy go miłymi, serdecznymi słowy nie osypały! Zdaje się, że hrabina parę razy pieszczotliwie go po ramieniu pogłaskała... Zdaje się nawet — choć tego niezupełnie pewna jestem — że czerwone policzki jego, srebrnąwą kądzielą otoczone, od Oktuni, Wincusi i ode mnie dostały trzy całusy...

I potem dopiero, po odjeździe pana Burakiewicza, odbył się nad nami sąd, nie sąd parów, broń Boże, ale daleko wyższy, bo naszych i wszelkiego stworzenia panów.

A kiedy przy obiadowym stole bardzo już gderaniem nas nudzili i wyrzutami oburzali, Czernisia, która z nami dnia tego obiad jadła, wyprostowała na krześle swoją długą postać i z czarnymi oczkami jak żużelki gorejącymi rzekła:

— A mnie się zdaje, proszę panów, że kiedy pan Burakiewicz przebaczył i jeszcze podziękował, to i przez wszystkich przebaczone i zapomniane być powinno... Nie dla samych siebie przecież panie połą tę uciwały, ale dla szczęśliwości publicznej...

Miała słuszność Czernisia. Po dniu tym i po całej tej wiośnie nastąpiła u nas taka szczęśliwość publiczna, że aż — ha!

Gloria victis

(r. 1863)

Leciał wiatr światem ciekawy, niespokojny, słuchał gwarzeń, opowiadań wód, zbóż, kwiatów polnych, drzew przydrożnych i — szumiał. Szumiał o wszystkim, co widział, co słyszał na szerokim, wielkim, na przedziwnym świecie i leciał, aż przyleciał do krainy, w wody, trawy i drzewa bogatej, która nazywa się Polesie litewskie.

Hej, przestworza wolne, przestworza rozłożyste wiatrowi prędkiemu na równinach, co skraje niebios dokoła podpierają bez przeszkód, bez zasłon. Nie uderzy się tu wiatr prędko o żadną górę ani o żaden pagórek, nie powstrzyma lotu jego żadne wysokie miasto i chyba tylko las przed nim stanie z obliczem ciemnym i nad łąkami bezkresnymi, nad rozlanymi po nich wodami zaszepcze słowo: tajemnica!

Ale dla wiatru las tajemnic nie ma. Są to dwaj przyjaciele. Przenika wiatr leśne gęstwiny od skraju do skraju i one mu wszystko, co widziały, słyszały, opowiadają. Przenikają się wzajemnie i w noc gwiazdziste, w dzień od śniegu białe, w wieczory jesienne od chmur posępne, od deszczu szemrzące, wiodą ze sobą długie przyjaciół rozmowy.

Leciał tedy wiatr nad Polesiem, gdy letnie słońce miało się ku zachodowi i w blasku jego smółki na łąkach stały zarumienione jak zorze, a wody oblekały się w barwy tęczowe. Na wodach w szyby wieloramienne, w strugi leniwe rozlanych jaśniały fiolet, purpura i złoto, a nad nimi, w powietrzu, rozpościerała się cisza błękitna, głęboka.

Wiatr ciszy nie mącił, albowiem nie był z wiatrów takich, co grzmia i huczą, wstrząsają i obalają, ale z takich, co kochają świat. Latał po świecie, ażeby zbierać jego prawdy i baśnie, minione dzieje, wyronione jęki, echa staczanych walk, ażeby zbierać pyłki jego nadziei, żuźle jego żalów, tony jego pieśni i nieść je w przestrzeń, w dał, w czas, w pamięci, w serca...

Przeleciał wiatr prędko nad łąkami rozległymi, łagodną pieszczotą muskając w locie rumiane smółki i czerwone szczawie, łagodną swawolą w drobne fale marszcząc tęczowe wód powierzchni, aż rozwinęła się przed nim wstęga wody wcale niż tamte innej, cicho stojącej w korycie rękoma ludzkimi wyłobionym.

Wiedział wiatr, co to za woda i jak się nazywa. Przed połową stulecia tu był i wiedział, że jest to Kanał Królewski. Hej, hej, ten pasek wody bładobłękitnej, sennej, jakaż mu to przeszkoda!

Zanim motyl zdołał wzbić się z przybrzeżnej trawy na szczyt situ, u którego zwinął do snu pozłacane skrzydła, wiatr przeleciał nad Królewskim Kanałem i oko w oko spotkał się z roztoczonym jak wzrokiem sięgnąć, wysokopiennym, cienistym, przezroczystym lasem. Odkąd tu był, pół stulecia upłynęło, jednak poznał przyjaciela.

— Jak się masz? — zadmuchał wesoło.

Las w odpowiedzi zaszumiał:

— Witaj, miły latawcze!

I wleciał wiatr do lasu uradowany, zwinny, przelatując wśród świerków, brzoź, olch, dębów, ramionami owijając pnie starych przyjaciół i skrzydłami na ich konarach składając pocałunki przywitalne.

— Jak się macie? — szemrał i szeptał. — Coście przez czas ten widziały, słyszały? Co się tu u was, dokoła was działo, stawało?

A stare świerki, dęby, brzozy rozłożyste, ramionami powiewając, odpowiadały:

— Działy się tu i stawały rzeczy dziwne, rzeczy głośnie, dzwoniące, płaczące, rozlegające się krzykami, jękami...

— Co, co, co się działo? Jakie, jakie, jakie rzeczy? — z szybkością niezmierną szumiał, pytał wiatr, gdyż po to tylko istniał, aby dzieje ziemskie zbierać i po ziemi je roznosić albo nawet niekiedy pod samo niebo wznosić i niebu pokazywać.

Po lesie błąkały się światła zachodzącego słońca, w szerokie, złote pasy ubierając pnie drzew starych, na mchach i paprociach migocząc mnóstwem iskier, w rozkwitłych różach dzikich zapalając rubinowe serca.

Róż dzikich, traw, paproci pełna była polana bardzo rozległa, wyniosłymi drzewami zewsząd otoczona, na którą wiatr wleciał i wnet po niej uwijać się począł z szybkością nadzwyczajną, wznosząc się i opadając, badając, szukając, na różne tony szumiąc:

— Co się tu działo? Co się tu, na tej polanie, działo? Coś osobliwego, coś nadcodziennego dziać się tu musiało! Czuję krew! O! długo, przedługo ziemia wydaje z siebie woń krwi swych dzieci, ludzi! Słyszę jęki! O, długo, przedługo powietrze trzyma pod obliczem nieba jęki dzieci jego, ludzi! Tu był bój jakiś i tu były zgony! Tu były rany, tętent koni, krzyki! Mówcie, drzewa kochane, opowiadajcie, mówcie!

Drzewa milczały, tylko po ich gałęziach przebiegł dreszcz lekki, krótki, jakby z zimna nagłego powstały, co dziwne było w ten ciepły dzień letni.

A właśnie w tej chwili wiatr z gwałtownością u niego niezwykłą, z szumem namiętym zapytywać począł:

— A toż co? A to co jest takiego? Tego natura nie uczyniła! To uczyniły ręce ludzkie? Tu nigdzie natura pagórków nie uspywała! Ten uspany jest przez ludzi! Kto? Po co? Dlaczego? A tenże krzyżyk na pagórku, wśród liliowych dzwonek, Boże, jak mały, prosty, biedny! — Co znaczy? Mówcie, drzewa, o mówcie, błagam!

Wtedy dąb wyniosły i silny, któremu kępa zwisających w dół gałęzi czyniła brodę długą, brzoza wysmukła i cała w długich, ku ziemi opadających warkoczach, świerk wyprostowany, w hełmie z iglicą strzelistą na szczycie, odpowiedzieli chórem przyciszonym szumów:

— To jest mogiła!

— Taka wielka, taka wielka, taka wielka mogiła! — zadziwił się wiatr.

Brzoza westchnęła:

— A krzyżyk tak mały!

A dąb zagadał:

— Śpi w niej wiele serc męźnych, spalonych na ołtarzu...
— Wiele serc, a krzyżyk jeden — zadziwił się znowu wiatr.

A brzoza znowu westchnęła:

— I taki mały, biedny!

Wyprostowany świerk potrząsnął hełmem zdobnym w strzelistą iglicę i przemówił:

— Jam najwyższy w tym lesie, najdalej widzę, wiem: są na ziemi bohaterzy wieńczeni i nie wieńczeni, mający pomniki i ich nie mający.

Nabożnie wiatr wyszeptał pytanie:

— Jestże to mogiła bohaterów?

— Bezimiennych — odpowiedział świerk.

A dzwonki liliowe, gęsto dokoła krzyżyka rosnące, cicho zadzwoniły:

— Pomarłych młodo, młodo...

— I w mękach — szepnęła róża dzika u szczytu pagórka rosnąca, przy czym od rubinowego serca swego oderwała płatek jeden i na pagórek go rzuciła.

Upadł płatek do motyla podobny na trawy wysokie, a róża westchnęła:

— Ja jedna kwiaty na tę mogiłę rzucam. Co lata, od pół stulecia prawie, rzucam na nią wonne płatki moje, ja jedna!

Tu znowu odezwały się dzwonki liliowe:

— A my dzwonimy pacierz żałobny. Co lato, od pół stulecia prawie, wydzwaniamy nad tą mogiłą pacierz żałobny... my jedne!

Wtedy wiatr prędko położył się na pagórku mogilnym, znieruchomiał. Ludzie widzieć by go nie mogli, lecz drzewa, trawy, kwiaty widziały.

Ciało jego przezroczyste, powiewne, z kryształu i szronu utkane, wydłużyło się na pagórku w skrętach wężowych i tysiącem złotych odbić zaświeciły w nim blaski zachodzącego słońca. Świeciły i migotały błyszczące odbicia te w skrzydłach jego ogromnych, które jak fale płynnego kryształu opadły na trawy polany, we włosach jego, które jak pajęcza tkan ze szronu rozpostarły się nad polaną, w ramionach jego, które jak kryształowe kolumny wznosiły się ku drzewom, gdy w powietrzu płynęło szemranie błagalne, ciche.

— Mówcie, o, starzy wiatru prędkiego przyjaciele! Wy, co przez wieki mieszkacie w świątyni dumania i czołami niebotycznymi podpieracie stropy samotni nieskończonych, zamyśleni świadkowie dziejów ziemi, tysiącoustni a milczący stróże mogił leśnych, bezimiennych, zapomnianych, nieuczczonych, wyśpiewajcie mi o tej mogile strofę życia i strofę śmierci, abym mógł unieść ją pod niebo i pokazać niebu, a potem nieść nad ziemią w przestrzeń, w dał, w czas, w pamięci, w serca...

Ostatni rąbek tarczy słonecznej za skraj ziemi zasunął się i zniknął. Natomiast zorza wieczorna w purpurze i płomieniach podniosła się za lasem i las napełniła światłami pożogi. W powietrzu, pomiędzy liśćmi drzew, na krzakach i trawach, rozsypały się okruchy świetlnej łuny niebieskiej, mające czerwoność i ognistość płonących kropel krwi.

Stary, potężny dąb, pałającymi kroplami krwi na gałęzistej brodzie świecąc, rozwarł szerokie ramiona, powiał nimi w powietrzu i tak szumieć zaczął:

— Przyszli tu w kilkuset ludzi i rozłożyli się obozem gwarnym, tłumnym, pstryym od odzieży rozmaitej, pobłyskującym orężem rozmaitym.

Jedną tylko część odzieży mieli jednostajną: czapki czworokątne barwy amarantusów albo polnych chabrów i jedną cechę wspólną wszystkim: młodość. Samo lato życia, lato gorące, kwitnące patrzyło z ich twarzy, jeszcze znojem trudów i walk niedotkniętych, jaśniało w oczach, po brzegi pełnych zapachu i nadziei. Rozłożyli się obozem, zbudowali ze splecionych gałęzi namiotów kilka: dla wodza, dla co lepszych koni, dla przyszłych rannych; u rozpalonego ogniska zgotowali sobie posiłek wieczorny i gdy roboty były już skończone, a na niebo nad lasem wzeszły gwiazdy, wzbili ku niebu i ku gwiazdom chór silnych głosów, śpiewających hymn skargi, ufności i prośby. Hymnu tego my, drzewa, słuchałyśmy zdumione, wtórując mu szeptem ciekawości pełnym: „Co to będzie, co to będzie?”

Wodzem ich był człowiek świętego imienia, które brzmiało: Romuald Traugutt. Pytasz, dlaczego świętym jest to imię? Albowiem według przykazania Pana opuścił on żonę i dzieci, dostatki i spokój, wszystko, co pieści, wszystko, co raduje i jest życia ponętą, czałem, skarbem, szczęściem, a wzięwszy na ramiona krzyż narodu swego, poszedł za idącym ziemią tą słupem ognistym i w nim zgorzał. Nie tutaj zgorzał. Nie w tej mogile śpi. Kędyś daleko. Ale wówczas na czele hufca tego na tę polanę przyszedł i patrzyłyśmy na niego my, drzewa.

Po razy wiele w czasach dalekich spod głazu niewoli, który tę ziemię tłoczył, wzbijał się był słup ognisty ku obiecanej krainie wolności wiodący i gromady ludzi za nim szły. Wzbił się i teraz, gromady ludzi za nim poszły, ta była jedną z nich, a on jej przywodził. Widziałyśmy jego czarnowłosą głowę z oczyma myśliciela i uśmiechem dziecka. Oczy miał mądre, smutne — podobno bratem bliźniaczym mądrości bywa u ludzi smutek — a uśmiech świeży, perłowy, z kroplą słodczy dziecięcej albo niewieściej. Przez czoło śniade palec tragicznych przeznaczeń wcześniej przeciągnął mu zmarszczkę surową, niekiedy aż groźną.

I głos jego słyszałyśmy z brzmieniem jak stał dzwoniącym, rozkazującym, niekiedy aż groźnym. Tak grzmieć musiał w wąwozie termopilemskim głos Leonidasa.

Skąd wiemy o Leonidasie? Pra-pra-ojcom naszym opowiadały o nim pra-pra-ojce wiatrów prędkich i nikt nie zgadnie, kędy, jak, kiedy o rzeczach wielkich i o rzeczach wiecznych rozповідаją wiatry drzewom, drzewa chmurom, chmury gwiazdom, gwiazdy duchom, a baśnie i pieśni, wieści i powieści płyną jak świat szeroko i jak wieczność długo...

Czy Leonidas wiedział, że gdy wąwóz termopilemski trupami hufca swojego zasypie, stopa niewoli ziemi greckiej nie dosięże? Jeżeli wiedział, błogo mu było uścielać tę krwawą zaporę i jako pieczęć składać na niej siebie!

Ten nie wiedział. W orężnych sprawach ludzkich biegłym był, biegłość ta w dalekowidztwo wzrok mu zaostrzała, spostrzegał wyłaniającą się zza dnia ofiar i boju potworną, czarną noc.

Jednak szedł i prowadził, bo taka była moc słupa ognistego, który wówczas nad ziemią wzbijał się, taka tęsknota za obiecaną, oczekiwaną, za upragnioną, płomiennie kochaną krainą wolności i taki był krzyż narodu jego ciężki, nieznośny...

Ale nie o nim teraz opowiadać będę. O nim potem, długo. Długa być winna powieść o mężu wielkim, który po sobie zostawił imię głośnie.

Teraz o jednym z bezimiennych, z najmniejszych, z najmłodszych, o tym, nad którego głowę niemal chłopięcą ręką niewieścia ten mały krzyżyk zasadziła.

Piękny maj był na świecie, kiedy tu przyszli. Konwalie kwitły obficie jak nigdy, nie-daleko stąd nad błękitną strugą w kalinowych krzakach śpiewał słowik. Zielono było na tej polanie od młodych traw i paproci, kwiecisto od konwalii i róż dzikich, wonnie, złoto i ciepło od wiosny. Gdy oni przyszli, uczyniło się na niej szumnie, dumnie i wesoło. Tak, tak, wesoło.

Nie niewolnicy to byli na arkanie przemocy do boju ciągnięci, lecz dobrowolni ofiarnicy wysokich ołtarzy. Ze światłem idei w głowach, z ogniem miłości w sercach, głowy i serca nieśli wysoko. Byli silni, śmiali, gwarni i czy uwierzysz, wietrze prędko? — byli szczęśliwi. Zapewne uwierzysz, bo wiedzieć o tym musisz, że na Gwieździe, która nazywa się Ziemią, dusze ludzkie i szczęścia ludzkie istnieją w mnóstwie odmian i że, jak motyl na kwiat wybrany, dusza ludzka zlatuje zazwyczaj na tę odmianę szczęścia, która najwięcej do niej samej jest podobna. Ich dusze przyciągnęło ku sobie to szczęście, co rozkwita na wysokich górach i ma kielich purpurowy, a koronę uplecioną z cierni.

Nie tylko przyszli, lecz także i przyjechali. Grzmiała ziemia od biegu osiodłanych koni i powietrze iskrzyło się od błysków obnażonych szabel, ilekroć stalowy głos wodza zawołał:

— Jazda!

Na czele jazdy wybór wodza postawił młodzieńca o postawie wyniosłej i czarnym, iskrzącym się oku. Młody Herkules z kształtów, Scypio rzymski z rysów. Rodzinny dom jego stał niezbyt stąd daleko, od podstaw do szczytu opleciony bluszczem, otoczony gęstwiną drzew odwiecznych, rozłogiem pól żywnych. Spod zielonych bluszczów wyszedł, tutaj przybył i z posłuszeństwem dziecka, z pośpiechem kochanka biegł na swym strojnym, ognistym arabie, ilekroć rozległ się głos wodza, wołający:

— Jagmin!

Wtedy czapka kwadratowa krwawiła się mu nad czarnymi jak noc włosami, dłoń leżała na głównej szabli, a za silnymi ramionami leciał poszum niewidzialnych skrzydeł... owych dawnych.

Ale ten mój, ten mój mały... (małym Tarłowskim nazywano go w obozie) ani tak silny był, ani tak urodziwy, ani nawet tak bogaty, aby na drogocennym, strojnie przybranym biegunie tu przybyć. Dlatego właśnie ulubieńcem moim stał się, że był wątły, drobny, na twarzy różowy i biały, a oczy miał jak u dziewczyny łagodne, nieśmiałe, czyste i tak błękitne, jak te niezapominajki, które tu czasem u stóp moich rosną. Przebrana dziewczyna czy ledwie dorosłe chłopię! Wcale też niedawno minęło mu lat dwadzieścia. Jednak może i dlatego jeszcze ulubieńcem moim rychło stał się, że we mnie ciekawość obudzał.

Dziwne w wieku tak młodym przepastne zadumy osiadały mu niekiedy w oczach dziewczych, łagodnych, a po twarzy różowej i białej przepływały takie luno gorące, jakby tam w nim, we wnętrzu tej jego wątłej, chłopięcej postaci coś płonęło, gorzało.

I przedtem zresztą, zanim tu przybył, już go lubilem. Mówiły o nim pomiędzy sobą te trawy rozczochrane, które wiecznie pochylają się ku sobie i o czymś mówić jedno drugim muszą. Mówiły o nim rzeczy miłe, ładne. W ciche wieczory szeptów ich słuchałem.

Urodził się nie w tych stronach, kędyś daleko, a w te strony przywiał go ów prąd górny, który wówczas światem płynął i ludzi wysokich rzucił w ramiona i pod stopy maluczkich. On, ten mały, wysoki był wiedzą i myślą. Szybko podbijać musiał ich krainę, skoro tak wcześnie stał się jednym z jej mieszkańców. Był młodym uczonym, takim, co się u ludzi nazywa naturalistą. Mógłby był na szerokim świecie wstępować na drogi wysokie. Wstąpił na niziutką. Przybył w te strony, aby swą myśl i wiedzę rozdawać maluczkiemu. Dlaczego w te strony właśnie? Nie wiem. Ale to rzecz pomniejsza. Przeznaczenie welonem tajemnicy osłonięte trzyma w dłoni kołczan z tysiącem trąfów, którymi uderza w ludzi i rzuca nimi jak piłkami po świecie przestrzeni i po świecie zdarzeń.

Przyjechał był do pobliskiego stąd miasteczka i uwił tam sobie gniazdo nieduże, codziennie napęniające się szczebiotaniem piskłat ludzkich. Nie przyjechał sam jeden. Przywiozł ze sobą dziewczynę, siostrę młodszą, w sposób bajeczny, prawie aż zabawny do niego podobną. Ta sama drobność wzrostów, wątłość kształtów, te same rysy cery i na rysach rozlane wyrazy. I kochaliż się, kochali! Podobno odumarli im wszyscy bliscy i byli na świecie tylko we dwoje. Samotność serc sierocych i wspólność zagrody rodzinnej, kędyś daleko starymi lipami ocienionej, skrzepiały węzeł u kolebek zadziergnięty. Skrzepiała go jeszcze zapewne jednostajność tych gwiazd, które rządzą ludzkimi ukochaniami, chęciami, pracami. Pracowali razem. Brat uczył siostrę, siostra pomagała bratu i zawsze byli razem, we dwoje: w szkole, w domu, na ulicach miasteczka, na drogach polnych i leśnych. Aż zabawnie było patrzeć na tę parę ludzi młodziuteńką, małą, jasnowłosą, różowotwarzą, wiecznie ze sobą sprzęgniętą i wiecznie ze sobą rozmawiającą, naradzającą się, zagadaną, z błyskami w błękitnych oczach i wesołymi uśmiechami na rumianych ustach. Ona go nazywała Marysiem, a on ją Anielką.

Dobrze im było ze sobą i każdy z łatwością mógł zgadnąć, że dobrze im było na świecie.

Wkrótce jednak przyszedł czas, że na ulicach miasteczka, na polnych i leśnych drogach poczęli ukazywać się nie we dwoje już, ale we troje. Towarzyszem ich często bywać zaczął ów młodzieniec spod zielonych bluszców, z postawą wyniosłą, silną i ze śniadym profilem Rzymianina, który to potem na tej polanie miał dowodzić jazdą. Ten zewnętrznie wcale do nich podobny nie był; owszem, jakby innej rasy był, czerwieńszej krwi, spod zamaszystszeo, potężniejszego młota natury. Pomimo to zawiązywało się pomiędzy tym trojgiem coś coraz serdeczniejszego: przyjaźń? miłość? jedna i druga razem? — aż dnia pewnego, za sprawą nowego towarzysza, dziewczyna zapłakała krótko, lecz rozpacznie.

Było to tak. W lesie, tym, co tuż za miasteczkiem, siedziała z bratem na obalonej kłodzie i oboje z głowami ku sobie pochylonymi przyglądali się jakiejś pierzastej trawie, po której pełzał drobny jakiś owadek, gdy tamten spieszenie nadszedł i przed nimi stanął. Szukał ich i znalazł. Od dość już dawna wiedział, gdzie, kiedy najłatwiej znaleźć ich może. Zmieniony był, jakiś nie taki jak co dzień. Oczy mu gorzały, spod czarnego węża usta zdawały się krwią tryskać, burza uczuć wstrząsała śniadym czołem. Stanął przed nimi, bez słowa powitania odkrył głowę i ręką po kruczonych włosach powiódł, a ręka ta, duża, silna,

biała, herbowym sygnetem na palcu błyszcząca, trochę drżała. Zrozumieli i — zawiązała się szybko rozmowa.

— Już dzień oznaczony?

— Oznaczony.

— Kiedy?

— Za dni dziesięć.

— Gdzie?

— W Działkowiczach.

— Dokąd?

— Za Kanał Królewski, do lasów horeckich.

Tu głos dziewczyny zawołał:

— Już!

A on brata jej zapytał:

— Postanowienia nie zmieniłeś?

— Chyba by dusza moja zmieniła się na inną!

— Więc razem?

— Razem!

— Za dni dziesięć do mnie i ze mną tam, gdzie będą wszyscy...

Zamilkli, bo rozmowę przerwał im płacz niewieści. Z twarzą ukrytą w drobnych dłoniach Anielka łkała i było to łkanie rozpaczne.

Wiedziała, że to się stanie, lecz kiedy już, już stawać się miało, tak płakać poczęła, że aż całe wątłe jej ciało w tym płakaniu kurczyło się i drżało, aż jasne włosy rozsypywały się po ramionach i na szarą sukienkę przez palce przeciekały strumienie łez. Ale niedługo, niedługo. Mocowała się z łkaniami, z łzami — i ustały. Wstała i ramionami otoczyła szyję brata. Przycisnęła się do piersi jego mocno, mocno i odrywając się od niej powtórzyła kilka razy:

— Idź, Marysiu, idź!

Twarz jej od łez mokra stanęła w uśmiechu takim, co to bólem usta kurczy i rumieńce z niej zniknęły. Ale postać drobną z całej siły wyprostowywała i w oczach brata topiąc swe biedne, mężnie ze łzami walczące oczy, powtarzała:

— Idź, Marysiu, idź! Trzeba!

W wieczór dnia tego w małym ogródku, gdzie rosło kilka jabłoni i trochę bzów kwitło, dwa głosy z cicha z sobą rozmawiały. Głos dziewczęcy prosił:

— On silny duchem, ale ciałem słaby, w ćwiczenia męskie niewprawny... Od dzieciństwa książka, nauka, górne myśli i zamiary... Odważny, lecz siła skąd? Kocha, jak kocha, ja jedna tylko wiem, ale czy zdoła? Nie tu urodzony, nikogo tam swego mieć nie będzie. Pan nigdy niczego się nie lękał, to poznać łatwo. Więc pan nie wie, co to trwoga taka... jak szyba lodu na sercu, jak nóż w sercu. O, panie... bądźcie wy tam często razem...

On przyrzekał:

— Tam, gdzie nikogo swego mieć nie będzie, ja będę mu swoim. Przyjacielem mu będę, bratem, w potrzebie obrońcą. I jak razem odchodzimy, tak razem tam będziemy pierś z pierś, dusza z duszą... I razem powrócimy... albo...

Z szerokiej piersi namiętne westchnienie wzbilo się pomiędzy wonie bzów i bzy tylko widziały, jak nad dwojgiem rąk dziewczęcych, drobnych, drżących nisko pochyliła się męska twarz z rzymskim profilem i jak usta męskie, purpurowe, gorące lgnęły się do nich pocałunkami długimi... Pierwsze to były pocałunki, na rękach tych przez te usta składne. Czy i ostatnie także? Potem oczy ich zatoneły jedno w drugich i przy świetle gwiazd wiele sobie powiedziały. Może usta powiedzieć pragnęły więcej jeszcze, lecz w tej godzinie wyrocznej... nie mogły. Czy kiedykolwiek powiedzą? Przeznaczenie stoi za ludźmi welonem tajemnicy zasłonięte i w dłoni trzyma kołczan z tysiącem zdarzeń...

Lecz daj mi spocząć chwilę, wietrze prędko! Są ludzie i losy, o których bez spoczynku długo mówić nie mogą takie nawet jak ja dęby silne. Dreszcze po konarach mi biegną i na liście występują krople chłodne.

Chłodna rosa na las padała i bujne jej krople gęsto usiały gałęziastą brodę silnego dębu. Toczyły się też one z wolna po długich warkoczach brzozy, rozpylonym srebrem świeciły na trawach, krzakach, liliowych dzwoneczkach, na płatkach róż dzikich, których serca, niedawno rubinowe, przygasały, ciemniały.

Przygasało, ciemniało również nad lasem niebo, za przezroczystą zasłoną drzew jaśniejąc już nie krwawym płomieniem, lecz bladym złotem zorzy. Od tego bladozłotego jeziora, na niebie zawieszonego, szły lasem światła smętne, blade, przedwstępne gońce nocy i rozpływała się od nich po lesie melancholia zadumana, tęskna...

Ale noc nie nadchodziła jeszcze i na niebie nie było gwiazd, tylko gdzieś tam płynęły po nim od zorzy obłoki przezroczyste, do piór złotych albo do bladych rumieńców podobne.

Pod złotawym piórem niebieskim w mdlejących blaskach dziennych wyprostowany świerk zachwiał szczytem ciemnym, ramiona jego zadrżały i wkrótce rozwarły się szeroko, a nad polaną popłynął szum głęboki i dumny najwyższego z leśnych drzew.

— Jam najwyższy w tym lesie, najdalej wzrokiem sięgam i widzę najwięcej.

Widywałem walki, które staczali oni w oddaleniu to większym, to mniejszym, niekiedy tak wielkim, że ich odgłosy dochodziły tu jak głuche turkoty, toczące się za skrajem firmamentu lub jak wzdęte poszumy lasów, gdy targa nimi przelatujący Wicher-Gwałt.

Wtedy tu, na tej polanie, panowały cisze letnie, gorące i wonne, motyle wieszały się na kwiatach, a na mchach i trawach igrały w promieniach słonecznych skrzydlate owadki.

Słowik też w kalinach śpiewać zaczynał i drobne ptactwo, przez gwar odegnane, przywabione przez ciszę, pomiędzy gałęzie nasze powracało.

A tam, we wściekłościach zwierzęcych, w podrzutach śmiertelnych kłębiły się ciała ludzkie i we wrzawie bojowej, w stuku gromów, w ulewie ogromnych błyskawic krew z nich ciekła na trawy, mchy, kwiaty i wsiąkała w drżącą od huku i hałasu ziemię...

Ale ja tobie, wietrze prędko, rzeczy tych, niegdyś widzianych, słyszanych nie opowiem. Gamami szumów swoich często opowiadałem ziemi o jej smutkach, zagadkach, płonnych nadziejach i pewnych mogiłach albo w wicherzyste noce o rzeczach głębokich i wiecznych rozmawiam z chmurami.

Lecz ludzkich walk krwawych opiewać nie umiem. Nie do tego stworzony ja, mieszkaniec pokojów leśnych, dający gniazdom ptasim przytułek bezpieczny i cienie kojące roztaczający nad wszystkim, co od skwarów usycha i mdleje.

Tylkom drżał od radości i szumem swym śpiewał niebu dziękczynne: hosanna! ilekroć tu powracali żywi i zwycięscy.

Zwycięskimi powracali nieraz i choć im na uznojonych czołach rozlewała się duma triumfu, w szeregi karne wyciągali się na głos wodza, w milczeniu oczekując słów jego rozkazów.

On serca ich w rękę swą trzymał i umiał podbijać je w górę. Odkrywał przed szeregiem czarnowłosą głowę i za to, że były posłuszne jak dzieci a jak lwy odważne, że siłę przemagającej rozproszyc się nie dały, że wstydem nie splamiły krzyża, który przyjęły na swe ramiona — dziękował. Ale i wtedy jeszcze, gdy dziękował, głos jego rozlegał się jak bojowe dźwięki i nie było w nim słodczy ani pieszczoty, hart tylko był i wola żelazna, trzymająca mocno wodze ich woli. Im zaś od tych dziękczyniń stalowych i krótkich na twarze, znojem oblane, prochem opalone, kurzawą okryte, spadał blask wniebobiorącej radości.

A potem były tu opowiadania, rozmowy gwarne, ogniska buchające wonnym dymem jałowców, wesołe rżenie koni, błogie spoczynki na mchach i trawach, szepty modlitw w świetle gwiazd i brzmienia przyciszonych hymnów chóralnych, z płomienną pokorą wzbijające się ku Temu, który jest nad gwiazdami.

Raz gdy wrócili tak, nie rozproszeni, nie osłabli, lecz owszem, w odwadze i wytrwaniu umocnieni, a na głos wodza: „W szeregi, formuj się!” stanęli przed nim murem zwartym, on jednego z nich przez chwilę wzrokiem szukał i znalazłszy, skinieniem ku sobie przywołał.

I któż wtedy, jak myślisz, wietrze prędko, przed nim stanął? Oto ten mały Tarłowski w tej chwili, o! wcale, wcale do białej i różowej dziewczyny niepodobny. Plamy krwi miał na odzieży i rękach, a pośród twarzy, przez dymy i kurzawę uczernionej, oczy błyska-

ly mu niespokojnie, boleśnie, prawie ponuro. Stał w zwyczajnej sobie postawie nieco nieśmiałej i czekał.

Wódz w milczeniu patrzył na tę postać wątłą, śladami walki ciężkiej okrytą, na te ręce drobne, a zakrwawione i coś z czułości ojcowskich albo z braterskich rozrzewnień przepływało mu po surowym czole. Potem wskazując go wyciągniętym w milczeniu szeregom rzekł:

— Życie mi dziś uratował. Cudem odwagi je uratował; cud, że nie zginął sam. Dziw, że w tym dziecku mieszka taki lew! Nie za to wdzięcznym mu, że żyję, lecz za to, że was jeszcze jako klamra sprzęgam i że jeszcze razem z wami służę nie żadnemu panu ziemskiemu, ale Umęczonej, że jeszcze służę. Uczcijcie w nim dzielnego rycerza Umęczonej! Ja mu dziękuję.

Tu ramieniem szyję tego małego otoczył i coś z anielskich tklivości czy radości wykwitać poczęło mu na usta, aż rozkwitło w uśmiech serdeczny, perłowy, świeży i bardzo dziwny pod czołem tragicznym.

Byłóż tam, było potem dokoła tego małego powinszowań, uniesień, uścisków, zapytań, opowiadań. Kto widział, opowiadał; kto nie widział, zapytywał. Zdaje się, że tam, za olchami, na ręce go porwali i wysoko na rękach podnieśli, że dowódca jazdy, w herkulesowym uścisku go trzymając, długo mu coś o siostrze, o pannie Anieli szeptał!... Jakże! Uratował klamrę tę drogocenną, która ich sprzęgała, wiedzę, która ich wiodła, wolę, która ich wolę trzymać umiała w okowach wytrwania i rozplamienia ogniem nadziei — choćby przeciwko samej nadziei! Powszechna tu była wieczoru tego jakaś dziwna, dobra, braterska radość.

I na nim jednym tylko, który radości tej był przyczyną, wcale jej znać nie było. Wyglądał tak, jakby podzielać ją chciał, ale nie mógł. Na pytania ledwie słowem krótkim odpowiadał lub nie odpowiadał nic; uściski odwzajemniał, lecz był wśród nich jakby we śnie, jakby w zamyśleniu roztargnionym.

Omył z siebie w strudze błękitnej kurzawę, krew, dym prochowy i miał twarz znowu białą i różową, nawet nie ogorzałą, bo jak u niektórych niewiast bywa, nie imają się jej białości spieki słoneczne. Lecz myślał o czymś ciągle, niespokojnie, prawie pośępnie, jakby dusza jego kołysała się nad przepaścią pełną wątpień, zapytań, zagadek.

Tak gdy gwiazdy wzeszły, położył się pod tą brzozą i gdy wszyscy już spali, nie spał.

Żadne z nas, drzew, tego niepokoju i smutku jego zrazu nie zrozumiało. Jam pierwszy zrozumiał. Nie do tego był stworzony. Jak ja, który z niebem często o rzeczach wielkich i wiecznych rozmawiam, nie stworzonym do opiewania krwawych bojów ludzkich, tak on, w geniuszu natury i górnych myślach ludzkich rozkochany, do bojów tych stworzony nie był. Do czego innego był stworzony.

— Znałam go z bliska, znałam dobrze jego myśli i miłości — zaszeptała brzoza, której gęste listowie, w spływające ku ziemi warkocze zaplecione, srebrzyło się jeszcze gdzieś od wieczornej rosy, a suknia z białej rosy przeświecała zza długich warkoczy.

Znałam go z bliska, znałam dobrze jego myśli i miłości, bo dokoła mnie, z ziemi od pobliskiego stromienia wilgotnej wyrasta tłum ogromny roślinek przeróżnych, przyziemnych, drubnych, wśród których krząta się, pełza, biega, podlatuje drugi tłum równie malutkich, przyziemnych, przeróżnych owadków, robaczków, a on, ten mały, z drobiazgiem tym przebywać lubił dziwnie i wówczas tylko na różowej twarzy jego jaśniało szczęście spokojne, błogie, gdy z nim przebywał. On doprawdy drobiazg ten kochał i kształtów jego, życia jego ciekaw był namiętnie.

Słusznie powiedział świerk wysoki, że był on rozkochany w geniuszu natury, ale ja tylko wiem, bom temu przyglądała się nieraz, jakie on z tym geniuszem rozmowy długie, ciekawe prowadził. I miłosne również, bo tak już jest pomiędzy ludźmi, że ciekawe i długie rozmowy prowadzić oni zwykli tylko z przedmiotami swojego kochania. Przedmiotem kochania jego była natura, lecz powstało przeciw niej kochanie drugie, tym płomienniejsze, że bolesne, i tu go przywiodło. O tamtej kochance zupełnie zapomnieć nie zdołał i przed obliczem śmierci, która co dzień spotkać go mogła, stojąc, wzrokiem

i duszą wpatrywał się jeszcze w jej oblicze. W przerwach służby obozowej, w godzinach odpoczynku to bywało.

Inni, odpoczynkowi po ciężkich trudach radzi, zbierają się w gromadki, gwarzą, wspominają i nieraz śmiech wesoły wzbija się od nich nad tym polem bliskiej śmierci, a on jak zwykle chętnie milczący, cichy, chodzi w pobliżu moim pod tymi olchami cienistymi, po tym gaju kalinowym, nad strumieniem i co chwilę na ziemię pochyłony czegoś między ziółkami czy owadkami upatruje, szuka, a znalazłszy w palcach albo w dłoni podnosi i przygląda się, wzrok i pamięć w tym zatapiając — szczęśliwy!

Raz trzej, czterej towarzysze jego przyszli tam i zapytali, czego szuka tak pilnie i czemu tak bacznie się przypatruje. Trzymał wtedy w palcach jakieś piórko zielone, w dziwnie subtelny sposób wykrojone i wyrąbkowane, więc swoim cichym, łagodnym głosem mówić im zaczął o tym, jaka to jest roślina rzadka, jak on pragnął znaleźć ją kiedykolwiek, nie zasuszoną w zielniku, lecz żywą, jaki kraj oddalony, zamorski jest jej krajem rodzinnym, jak przez lądy i oceany wiatr nasiona jej tu przyniósł i jaki to cud natury te wędrówki na skrzydłach wiatru, od bieguna do bieguna ziemi, nasionek tak drobnych jak pyłki. Innego dnia to samo powtórzyło się z powodu owadka złotawego, który trwożnie uwijał się mu po dłoni, a innego jeszcze z powodu wspaniałej korony nenufaru, która u brzegu strumienia rozkwitła, a którą on zerwał i w ręku trzymał, twarz pochyloną w upajającej woni jej zatapiając.

Towarzysze w ścisłą gromadkę wokół niego skupieni patrzyli, słuchali, wszyscy go wzrostem, szerokością ramion, męskimi zabarwieniami twarzy przewyższając. Czapki ich czworokątne wyglądały na tle zielonym jak ogromne chabry i amarantusy, na odzieży mieli twarde, szerokie pasy i u pasów żelazem pobłyszczającą broń. I dziwnie było patrzeć, jak te twarze ogorzałe, piętnem zmęczeń i niepokojów trawiących naznaczone, pochylały się ciekawie nad drobnym piórkiem roślinki albo złotawym ciałkiem owada i jak na te skazane głowy ukojenie i odpoczynek spływały z cichych słów małego towarzysza, z zielonych tkanek rośliny, ze złotawych skrzydełek owada, ze śnieżnych płatków wonnej lilii wodnej.

Oto do czego był stworzony. I jeszcze do tych myśli, które przyjacielowi opowiadał wtedy, gdy wszyscy spali, a on, nie śpiąc u stóp moich, na gęstych trawach leżał.

Tamten nie spał także. Sen z oczu spędzała mu myśl o tej zagadce ogromnej, w którą ziemia ta i najlepsi jej synowie uplątali się jak w krwawą pajęczynę i może jeszcze o pozostałej daleko, tęskniącej pewno, płaczącej może Anielce. Przyszedł do brata Anielki i długo obaj leżeli u stóp moich, twarzami ku sobie obróceniu, w milczeniu nocy rozmawiając tak cicho, jak cicho płaczą moje warkocze, gdy z lekkim szemraniem spływają z nich na trawę majowe deszcze nocne.

Cicho było. Na jednym z krańców obozu koń czasem zarżał, na innym z piersi uśpionego człowieka wyrwał się okrzyk głuchy albo wionęło ciężkie westchnienie. Ktoś w ostatniej bitwie raniony jęczał pod dębem w uplecionym z gałęzi namiocie, zza drzew otaczających polanę, na przestrzeniach mdło oświetlonych przez gwiazdy widać było czarne posągi uzbrojonych i nieruchomo stojących straży.

Oni dwaj, na siebie wzajem albo na gwiazdy patrząc, rozmawiali o tych czasach dalekich, w przyszłości dalekich, które będą albo nie będą, które jeżeli będą, wodami ukojenia i oczyszczenia obmyją świat, w których podobno miecze mają być przekute na pługi, a jagnięta sen spokojny znajdować u boku lwów...

O przyszłości świata po wiekach walk, zbrodni i mąk rozkwitłej w raj niewinności, pogody i zgody mówili z tęsknotą, z zachwyceniem, upragnieniem. Szeptem cichym marzyli o tym celu przedalekim, ku któremu rzeką wrzącą i wieczną płyną marzenia ludzkich głów i serc najwyższych, a nie wiedzących nigdy, czy kiedykolwiek rzeka do celu swojego dopłynie. Ach, ból i rozpacz tych marzeń bez ziszczenia, upragnień bez nasycenia, zagadek bez rozwiązania! Ach! niezgłębiony tego wszystkiego smutek!

— Bo chociaż przedmiot walki najdroższy jest i święty, przelana w niej krew ludzka trucizną w żyły spływa i rany zadane ranami kładą się na tych, co je zadają. Gniew, ból, śmierć to sępy pasące się na trupach radości, słodyczy i nadziei ludzkich. Zły ród przeciw sobie samemu szpony ich wystawiający! Nędzny ród krótko żyjący, którego synowie nawzajem sobie skracają życie! Nieszczęsny ród, zewsząd w ciele swym i w duchu swym zagrożony, którego synowie nawzajem ciałom i duchom swoim grożą! O! Kiedyż będzie inaczej? Czy kiedykolwiek będzie inaczej? Dlaczegoż nie urodziłem się w tej porze póź-

nej, gdy świat będzie inny, albo w tak wczesnej, aby oczy moje nie potrafiły otworzyć się na to, że mógłby być inny, gdyby, gdyby ludzie byli inni!

Po krótkim milczeniu ze smutnym uśmiechem mówić począł wiersz starożytnego poety:

— Baśń niesie, że Prometeusz do pierwiastku gliny, będącej podstawą istoty człowieczej, wlał po kropli każdego z pierwiastków zwierzęcych, samo serce człowiecze zaprawiając chciwością wilczą i wściekłością lwią. To jest przyczyna tych pomst i gniewów, które w ludzi uderzają zgonami strasznymi i to jest przyczyną, że walą się w gruzy gmachy wspaniałe, że lemiesz wojsk wrogich rozorywują wały podbitych grodów.

— Horacjusz? — zapytał towarzysz mówiącego i w tejże chwili z porywczym gestem silnego ramienia znad trawy się podniósł.

— Podbitych grodów! — powtórzył, chwilę milczał, aż zawołał:

— Teraz inaczej być nie może!... Podbitych grodów... Teraz walka to powinność!...

Głos cichy, ale stanowczo brzmiący, namiętnemu wykrzykowi temu odpowiedział:

— Teraz inaczej być nie może. Dopóki gwałt, dopóty święty przeciwko gwałtowi gniew! Dopóki krzywda, dopóty walka! Przez krew i śmierć, przez ruiny i mogiły, z nadzieją czy przeciw nadziei walka z piekłem ziemi w imię nieba, które na ziemię zstąpi...

— Może zstąpi...

— Kiedyś...

— Gdy nas już na ziemi nie będzie.

Tak oni czasem w zmrokach nocnych rozmawiali z sobą, gdy obóz spał i dokoła obozu na przestrzeniach mdło przez gwiazdy oświetlonych widać było czarne posągi uzbrojonych straży.

Aż przyszedł dzień...

...Szept brzozy zniżał się, tajał, umilkł; przemówił w zamian brodaty, silny dąb:

— Aż nadszedł straszny dzień. Straż daleka przyniosła oznajmienie... Bo okrom bliższej, wokół obozu rozstawionej, mieli oni straż swoją daleką, która tu przynosiła oznajmienia, ostrzeżenia, wieści. Przyniosła je ona tak, jak królewicz bajeczny dążył do zamku zaczarowanej królowny: przez zarośla cierniste, wrzawą upiórów napelnione, przez moczary bagniste, najeżone paszczkami smoków. Czasem strażnik ginął w uścisku upiора lub w paszczęce smoka, czasem docierał celu.

Z daleka już slychać było tętent biegnącego przez las konia.

— Hasło?

— Z nadzieją czy przeciw nadziei!

Wpadł na polanę młody jeździec na koniu zdyszonym, z twarzą oblaną potem. Południe skwarem piekło. Kilka głosów przyjaźnie zawołało:

— Kaliś! Pan Kalikst! Jak się masz?

Ale on na powitania czasu nie miał. Z konia zeskoczył.

— Gdzie naczelnik? Prowadźcie! Prędkiej!

Polanę szedł śpiesznie, przybysza nie widząc, młodzieniec wysmukły w szafirowej czapce na złotych włosach. Adiutant wodza. Ktoś do niego zawołał:

— Radowicki! Od poczty obywatelskiej... wysłaniec! Do naczelnika prowadź!

Adiutant i poseł obywatelskiej poczty dlonie sobie uścisnęli. Koledzy szkolni, sąsiedzi. Razem weszli do namiotu wodza. Obóz zaległa cisza. Taką ciszą martwą na powierzchni, a drżącą w głębiach dyszy natura w przedchwilu burzy piorunowej i wicherzystej.

Wkrótce do namiotu wodza weszli wezwani dowódca jazdy i paru towarzyszy innych, kunsztu orężnego mniej lub więcej świadomych. Narada.

Oczekiwanie trwało długo, aż Romuald Traugutt przed namiot swój wyszedł i otrzymane wieści ogłosił.

Biły z nich pioruny bliskiego boju i wicher śmierć wiał.

Wojsko ogromne nadciąga, już opasują las, oddziały jego piesze i konne już jak rzeki szumne lasem płyną. Przez las drzew przedzierają się lasy luźne, bagietów. Za godzinę, za dwie tu będą. Poseł wieść przywiózł drogą długą i trudną, lecz przywiózł ją jeszcze w porę. Sto strzelb na jedną strzelbę. Sto pik na jedną szablę. Jak w baśniach. Lecz

bywa to prawdą. Czy zleknią się tej prawdy? Kimże są? Nie niewolnikami są przez gwałt i przemoc ciągniętymi na pola krwawe, ale dobrowolnymi ofiarnikami wysokich ołtarzy.

Więc nie opuści ich duch ofiary i duch męstwa! I duch tej miłości, która ich tu przywiodła. Ci, co zginą, będą siewcami, którzy samych siebie rzucą w ziemię jako ziarno przyszłych plonów. Bo nic nie ginie. Z dziś zwyciężonych dla jutrzejszych zwycięzców powstają oręż i tarcze. Lecz oni z siebie dobędą wszystkie siły, wszystkie swe siły męstwa, karność, wytrwania, aby zwyciężyć. Bojowy okrzyk ich: „W imię Boga i ojczyzny!”. Z tym okrzykiem na śmierć czy na zwycięstwo do boju!

Tak mówił. Słowa jego rozlegały się od brzegu do brzegu obozu dźwięczne, krótkie, coraz głośniejsze, gorętsze i jak iskry sypały się na głowy tłumu, aż jak łań kwiatów na łące zakolysał się tłum ten i wyrzucił z setek piersi wzdętych grzmotowy okrzyk zapалу.

Potem zakotłowało tu, zawrzało. Siodłanie koni, przydziewanie zbroi, wołanie komend, formowanie się szeregów, głośnie rozkazy, ciche zlecenia. Kipiał ruch, dzwoniły głosy, tętniły końskie kopyta, broń błyskała w powietrzu pełnym słonecznego złota i upału.

Posel poczty obywatelskiej miał odjeżdżać, znowu drogą długą i nudną powracać tam, skąd przybył. Wprzód jednak zatrzymał konia przed jednym ze sformowanych już oddziałów pieszych i żołnierzowi spomiędzy wszystkich najmniejszemu wzrostem podał przedmiot tak drobny, że zaledwie dostrzec się dający, mówiąc:

— Od siostry!

Był to skrawek papieru niezmiernie drobno zapisany i zwinięty w sposób taki, aby go w potrzebie z łatwością połączyć było można. Takie wówczas listy pisano ze świata do obozów.

Dowódca jazdy na pięknym swym arabie obok szeregów biegł, zobaczył, ku Tarłowskiemu głową skinął.

— Od panny Anieli?

Zamienili się spojrzeniami, na twarzach ich błysnął uśmiech. Był to kwiat ręką dziewczyny z daleka rzucony na te otwarte mogiły. Co pisała? Nie dowiedział się o tym w tej chwili jej brat, bo rozległa się głośnie komenda, więc skrawek papieru śpiesznie u piersi skrył. Czy dowie się kiedykolwiek?

Potem wyciągali stąd w porządku, w milczeniu, aż na opustoszałej polanie pozostały tylko trawy zdeptane, kwiaty konające i namioty puste. Namiot dla rannych, u stóp moich stojący, w tej godzinie ich odejścia pusty był tak jak i inne. Napęlić się miał wkrótce.

Nie odeszli daleko. Plan bitwy był podobno kunsztowny, biegły. Obrona i zarazem napad. Zasadzka ukryta w nieprzeniknionej dla oka gęstwinie, a na luźniejszych przestrzeniach, za każdym drzewem przyczajone oko lufy i na każdym półku mchowym czy paprociowym, w każdej cienistej alkwie z gałęzi dobyte z pochew szable.

Dziwnie to wszystko wyglądało, mówię ci, wietrze prędko, że dziwnie to wyglądało wśród ucętkowanej kwiatami zieloności leśnej i wśród majowych pędów sosen, które w milczeniu upalnej pogody swe jasne, wieloramienne świeczniki podnosiły nad twarzami ciemnymi, skamieniałymi w milczącym oczekiwaniu.

Chodziły tam po tych twarzach poruszenia i błyski rozmaite: niecierpliwości, zapалу, wytężonego nasłuchiwania, strącanych przez wolę na dno duszy bólów i trwóg. W powietrzu wolnym od szczebiotania ptaków, które zleknione odleciały, czuć było oddechy kilkuset piersi ludzkich, namiętne, niespokojne.

Aż z głębi lasu przypływać począł szum coraz wzrastający... wzmagał się, przybliżał, coraz ogromniejszy... Jakby powietrzem nadlatywało, jakby dołem lasu nadchodziło coś strasznego...

— Bacność! Gotować broń!

Rozkazowi temu, który rozległ się tuż prawie za mną, odpowiedział z oddali głos inny, tak samo rozkazujący, krótki.

I było już widać...

Szara masa ogromna, posuwająca się naprzód z trudem i powoli wśród gęstych drzew, po ziemi najeżonej sztywnymi prętami latorośli, zasłanej sieciami podstępnych wiklin. Trudno jej było iść. W szumie jej kroków trzaskały łamane, stukwały rąbane gałęzie.

Ale już wyraźnie było widać... I wtedy... Zastukały, zastukały za drzewami, po zaroślach, gęste, pojedyncze, szybko, szybko po sobie następujące wystrzały i rój błyskawic krótkich, ognistych, rozsypał się wśród drzew i zarośli.

Wnet od strony nadchodzących buchnął i potoczył się ogromny, długi grzmot i zarazem sunąć stamtąd poczęły gęste kłęby dymu. Rotowy ogień karabinów, zbity w sobie, ciężki, odpowiedział posiekanemu ogniowi strzelb, na znacznej przestrzeni rozsypanych.

Była to rozmowa dwu różnych ze sobą grzmotów; drżały od niej ze zgrozy najsilniejsze drzewa lasu.

Czy długo trwała?

Długo. Godziny upływały.

W dymach, które stawały się morzem napowietrznym, kłębiącym się i ciemnym, szara masa, wydłużona w kształt kolumn, to roztaczana w kształt półobřęczy, przybliżała się znowu i znowu cofała. Niewygodnie jej było, ciasno i wśród zasłon leśnych ogniem ziejących trwoźnie. Ale rosła wciąż, rosła, gęstniała, na odległościach coraz większych, dalszych. Tysiące coraz nowe, konne, piesze. Jak rzeki wezbrane, o wodach nieprzebranych. Ale też tysiąc zapór, przeszkód w tym świecie leśnym, napelnionym tworami nieposłusznymi, mającymi we własnym swym królestwie swoją wolę i swoją moc. Tysiące też tych stuków szybkich zza drzew i spomiędzy zarośli, które razem z rojami ognistych błyskawic rzucały roje pocisków celnych.

Ilekróć rozdierało się na chwilę napowietrzne morze dymu, widać było bliżej i dalej, z jednej strony i z drugiej, postacie ludzkie rozciągnięte na mchach i wiklinach jak czarne, leżące cienie.

Po obu stronach padały trupy. Lecz nie wszyscy upadający byli trupami. Upadł stąd niedaleko i rozciągnął się na paprociach mały Tarłowski. Ale żył...

Od początku bitwy, za rosochatą olchą na jedno kolano klęcząc, nabijał strzelbę, celował i strzelał, bez ustanku, zapamiętale, szybko, z wprawą, którą obdarzyły go ćwiczenia obozowe. Jakby nigdy pragnieniem był nie biegł ku rajskiej erze wiecznego pokoju świata, jakby nigdy razem z poetą nie wyrzekał na wlaną w serce człowiecze kroplę wściekłości lwiej... Coś lwiego czy tygrysięgo błyszczało mu w oczach o rozpalonym błękicie, pod czołem ściągniętym w jedną zmarszczkę uwagi wyteżonej i zaciętości srogiej; w linię srogą jak krwawa uraza zaciskały mu się usta albo rozwarte, dyszące, w pierś wątłą chłoneły węże dymu ziejące prochową wonią.

Wtem nadleciało coś mającego w szarym dymie podobieństwo do wydłużonego ciała czarnej pszczoły i w ramię go ugodziło. Ramię to zwiśło u boku, strzelba z ręki wypadła, chciał porwać się z klęzek, zachwiał się i na wysokie paprocie upadł. Ale żył i po długiej chwili dwie pary silnych ramion zdjęły go z okrwawionych paproci i wniosły do tego namiotu, u stóp moich stojącego, który już nie był pusty.

Pod dachem wysokim, z zielonych gałęzi uplecionym, na mchowych i paprociowych poscielach leżało już kilkunastu ludzi, w których trzewia lub członki żądła swe pogrążyły czarne pszczoły. Nad nimi, od jednego do drugiego przechodząc, przyklękali dwaj ludzie z twarzami zatroskanymi, z czołami oblanymi potem, z rękoma czynnymi. Lekarze obozowi.

Ale wówczas dokoła polany tej stawało się już bardzo gorąco. Z coraz częstszymi, z coraz dłuższymi, gęstszymi grzmotami karabinowego ognia, szara masa zbliżyła się już na odległość, z której można było rozpoznawać wzrokiem pojedyncze postacie, twarze, ubrania, bronie. Z żelaznym prawem liczby zaokrąglala się ona w obręcz i opasywała polanę coraz zupełniej, coraz bliżej. Ludzie z tej i z tamtej strony poczęli spotykać się oko w oko i zwierzać się pierś z piersią.

W stukach i grzmotach obustronnych ogni dym gęstniał, napelniony ognistymi błyskawicami, krzykami, przekleństwami i wybijającymi się nad wszystko głosami komend krótkich, zdyszanych, coraz śpieszniejszych, zapalczywych, śmiertelniejszych. Duszność i ciemność od dymu wzrastały; lały się w nich strumienie potu, ciekły strugi krwi. Coraz ciaśniej stawało się tam, wrzaskliwiej, krwawiej, wścieklej, przekłęciej. Piekło, piekło, mówię ci, wietrze prędko, szalało w tym naszym cichym, wonnym, kwiecistym, niewinnym rajku leśnym. Piekło ludzkie.

I zdawać się mogło, że nad to, co się już działo, nic na ziemi straszniejszego dziać się nie może. A jednak...

Kiedy na ludzi spoglądasz, wietrze prędkie, nie mów nigdy: „Tu kres ich tragedii!” Bo nikt wśród wszechświata odgadnąć ani obliczyć nie zdoła tego szczytu najwyższego, na który wzbijać się mogą ich tragedie, ich zbrodnie i ich niedorównany we wszechświecie ból.

I oto...

Zza gęstwiny olch i osin, zza tej, co to, widzisz, naprzeciw mnie, spośród krzaczastych zarośli wyrasta, wysunął się oddział wojska konnego, lasem pik długich nad głowami najeżony, nad końskimi grzbietami pochylony i krzyk wydając przeraźliwy poczał przez pustą polanę ku temu namiotowi pędzić. Zoczył namiot ten ludzi pełen i pędzić ku niemu poczał, ku namiotowi, w którym sił i broni pozbawieni leżeli ludzie ranni, a nad nimi z rękoma czynnymi klęczeli lekarze.

Pędził oddział, zbrojny w piki, na koniach chyżych pochylony, z krzykami przeraźliwymi, z twarzami opalonymi w ogniu bitwy, i szalała mu w żyłach wściekłość lwia...

Lecz za mną tuż rozległ się głos stalowy, wrzask boju przewyższający:

— Jazda! Na obronę rannych.

W mgnieniu oka z dowódcą swym na czele wlecieli na polanę. Czarni od dymów piekielnych, na zziąpanych koniach wypadli zza drzew i zarośli naprzeciw tamtym z podniesionymi szablami w rękach...

Słońce miało się ku zachodowi i zza dymu świeciło tarczą z rozżarzonej miedzi. Na ten poczet lecący, na jego spalone twarze i obnażone szable padł rdzawoczerwony blask, bezpromienny, ponury. W tym blasku dopadli namiotu, już przez tamtych okrążonego, z wątlą ścianą gałęzi już rozwaloną. Straszliwy panował tam tłok i rozlegały się nieludzkie wycia i ryki. Całą siłą rozpędu koni w tłok ten uderzyli, z rąk sypiąc błyskawice szabel i pistoletowe strzały. Dowódca czarnowłosy, do Archaniola z mieczem płomiennym podobny, pierwszy szerokiego otworu doskoczył i jakby nogi konia jego ziemia do siebie przykuła — stanął.

O, Jezu! Nie było już w namiocie rannych ani lekarzy. Były tylko trupy w krwi broczące i jeszcze otrzymujące nowe rany, umilkłe albo w strasznym konaniu charczące. A w pośrodku tego pola mordów dokonanych dokonywał się już ostatni. Na ostrzach kilku pik osadzony i wysoko wzniesiony w powietrze mały Tarłowski twarz białą jak chusta wystawiał na rdzawoczerwony blask słońca. Męczeńska twarz ta o umierających oczach, z czerwonym sznurkiem krwi od złotych włosów do ust konwulsją wstrząsanych poznała jednak przyjaciela, ręka szybkim ruchem rzuciła ku niemu jakiś przedmiot czerwony i głos mdlejąco zawołał:

— Jagmin! Siostrze!

Ostatni dar, ostatnia myśl, ostatnie słowo! Jak ptak czerwony chusta krwią ociekająca zleciała na szeroką pierś dowódcy jazdy, lecz w tejże chwili upadł pod nim koń jego, kulą ugodzony i on sam wśród tłoku, dymu, wrzasku, stuku wystrzałów, ulewy ognistych błyskawic — zniknął!...

...Przestał szumieć dąb brodaty i cisza nocna zaległa polanę. Bo noc już nadeszła, mroczna, ale nie ciemna: przezroczyista, gwiazdzista, majowa.

Na pagórku mogilnym, na wysokich trawach wiatr leżał tak lekki, że nie ugięły się pod nim ku ziemi wysokie trawy. Ogromne skrzydła jego żałośnie zwinęły mu się u boków i smutnie rozsypały się po ziemi włosy ze srebrzystych szronów pajęczo uprzedzone. W wydłużonych skrętach jego kryształowego ciała blado świeciły odbicia gwiazd i z odbić tych jedno tylko wzrastało w blask i wielkość, aż wzrosło w płomyk gorejący, od którego tajać poczał kryształ jego piersi. Tajał od gorejącego płomyka kryształ piersi wiatru prędkiego i ściekał na wysokie trawy z szemraniem tak cichym, z jakim płaczą warkoczne brzozy, gdy z nich na ziemię spływają majowe deszcze nocne. Tak na bezimiennej, zapomnianej, nieznannej mogile leśnej płakał wiatr.

I cicho znad traw zaszeleścił:

— A ten krzyżyk?

Ciche nad samą ziemią odpowiedziało mu dzwonienie:

— My, małe dzwonki liliowe, my, małe dzwonki, litośnieśmy chłodziły jej rozpalone czoło i piły lejące się z oczu jej łzy.

Po latach, po wielu, o smętnej jesieni przyszła tu ciemna, drobna i u stóp pagórka twarzą padła na ziola.

Biedną twarz! Bo nie była już biała ani różowa; białosc jej i różowość wypilo z niej życie. Biedne życie! Bo nie wiemy, co tam na świecie czyniła, a w oczach stała odbita samotność tęskniąca, gorzka.

Biedne ręce niegdyś całowane tak miłośnic! Biedne oczy, niegdyś tak podobne do błękitnych, dziewiczych, czystych oczu brata.

On nieprzespane spał na dnie pagórka tego, z ostatnim jej pozdrowieniem, szczypteczką prochu, na piersi w proch rozsypanej.

I tamten...

Leżała na pagórku do ziół żółkłych tuląc twarz uwiędłą i na ich kobiercu rozciągając suknię swą ciemną, biedną...

Myśmy wtedy nie miały kwiatów, jakże? w jesieni! więc tylko liściem chłodnym objęłyśmy twarz jej od płaczu gorącą i lzy piłyśmy, co długo płynęły z oczu.

Długo. Nieprędko z ziemi wstała i ten krzyżyk mały, który przyniosła z sobą, wśród łodyg naszych utkwiała. Potem drobna jej postać odeszła w zmierzch wieczorny, wśród żółtych drzew zniknęła i nie wróciła już więcej nigdy...

...Teraz zaszumiał potężny, brodaty dąb:

— I płynęły lata za latami...

O każdej wiosnie ptaki przylatywały tu gromadnie, wiewiórki po świerkach tańczyły i w trawach biegały, pełzały, podlatywały drobne owadki, robaczki. Róże dzikie odkwitwały i zawieszały się u koron ich motyle. Słońce kładło na trawy szerokie płachty złote. Od zórz wieczornych żeglowały niebem rumieńce obłoków. W zmrokach nocnych świeciły wysokie gwiazdy lub ciężkie, ciemne całuny nisko rozwieszały chmury. Płynęły dnie za dniami, noce za nocami...

W głębokie jesienie huczały tu wichry, szumiały ulewy, szemrały deszcze nieskończone, a w śnieżyste, szkliste zimy my, drzewa, wznosiłyśmy nad tym wzgórzem grobowce ze szkła szronów i z marmuru śniegów, zimne, białe, koronkami obwieszone, brylantami osypane. Czasem na te grobowce zlatywały stada wron lub kawek, krakaniem grobowym powietrze napelniając, albo w królewskiej postawie zatrzymał się wśród nich jeleni wspaniały, przebiegło stado kóz płochliwych, drobny zajęć przemknął, znacząc na śniegu zygzałki ciemnych śladów. Płynęły wiosny za wiosnami, zimy za zimami...

I dwie rzeczy były niezmiennie. Zawsze stała tu wysoka od ziemi do nieba samotność z obliczem niemym.

I ciągle płynął tędy nieśmiertelny strumień czasu, nieustrudzenie szemrząc: *Vae victis! vae victis! vae victis!*...

...Wiatr prędko już nie płakał. Kryształowe ciało jego wstawać poczęło nad wzgórzem mogilnym i coraz wyższe, silniejsze, potężniejsze, rosło.

Wstawał i na kształt powiewnej kolumny wzrastał do wierzchołków drzew, wysoko nad ich wierzchołki, jeszcze wyżej, cały w gniewnym szumie podnoszących się znad ziemi skrzydeł, w zawierusze włosów roztaczających się naokół olbrzymią siecią pajęczą, świecącą szklistym szronem. Aż, niebotyczny, wzdęty, niezliczonymi odbiciami gwiazd roziskrzony, roztoczył skrzydła latawca-olbrzymia, na las cały rzucając okrzyk:

— *Gloria victis!*

I zerwał się z mogiły, wleciał nad las, szlakiem powietrznym dotarł ciemnego nieba i do gwiazd mrugających, do srebrzystych dróg mlecznych zawołał:

— *Gloria victis!*

A potem znowu ku ziemi spłynął i niespokojny, gniewnym czy świętym szaleńcem zdjęty, szumiącym szlakiem ciemności przerzynając, nad polami, nad wodami, nad lasami, nad miastami i wioskami, na całą kulę powietrzną, która obejmuje ziemię i na całe sklepienie niebieskie wołał:

— *Gloria victis!*

Zdumiewały się, wołania tego słuchając pola, wody, lasy, wsie i miasta, zdumiewała się kula ziemiska i kula powietrzna, w zdumieniu zapytując, kto nad światem głosi tę

ogromną, niesłychaną, tę fantastyczną, niespodziewaną nowinę! Czy baśń dostała skrzydeł i nocami poczęła światu przedziwne rzeczy opowiadać? Czy tak wołają duchy strącone z planet innych? Czy senne rojenia? Zjawy bezcielesne? Złudy? I zaliż przemienienie świata głos ten zwiastuje lub jego skończenie?

A wiatr prędko od nieznanej, bezimiennej, wielkiej mogiły leśnej leciał i leciał, niosąc i niosąc w przestrzeń, w czas, w pamięć, w serca, w przyszłość świata triumfem dalekiej przyszłości rozbrzmiewający okrzyk:

— *Gloria victis!*

Dziwna historia

*„I tęskność za dolą, za złotą,
Co ją jak okieć wiatr zmiata,
Jest skrytą za tobą tęsknotą,
Anima immaculata”.*

Henryk Skirmuntt: Poezje

Za oknami stała czarna noc listopadowa i wzdychała podnoszącym się, to opadającym szumem wiatru.

W dużym pokoju pełnym książek i obrazów panowała cisza i dotykane dalekim światłem lampy mętnie majaczyły iskry pozłot na książkach i zarysy obrazów na ścianach.

Rozmowa nasza, coraz cichsza, staczała się z rzeczy powierzchownych i powszednich ku tym, które zwykle spoczywają na dnie pamięci bezsenne, lecz milczące i przemawiają tylko w święta ufnych rozrzewnień.

Wysmukła, wątła, siwiejąca, ze śladami niedawnej jeszcze piękności na opłatkowej twarzy, siedziała obok mnie z czołem pochylonym i głębokim wejrzeniem oczu, w których odbiły się na zawsze oblicza wielkich smutków. Gdy mówiła, drobne wargi jej podobne stawały się do drżących płatków poblądłej w upałach róży.

— Wyrzekasz, że nie rozlegają się dziś po świecie czyny wielkie, mające moc obudzania wielkich myśli. Skarżysz się, że na wyobraźnię twą pospolitość serc i losów ludzkich sypie maki uspienia, że jak wzrokiem zatoczyć na nic nie dzieje się pięknego czy strasznego, lecz wielkiego, dziwnego.

Może nie masz słuszności; może to wina nie tylko świata, lecz i twojego wzroku. Może w pobliżu twoim dzieją się rzeczy straszliwe lub piękne, których ty odkryć nie umiesz w mgłę pospolitości. A pospolitość, czy pewna jesteś, że pospolitością jest aż do dna i na dnie swym nie ukrywa pierwiastków, choćby zaczątków takich, że gdybyś je dostrzec potrafiła, na widok ich oczy twe szeroko otworzyłyby się od zdziwienia?

Szczególniej o duszach ludzkich sądów rychłych i wzdurliwych nie wydawaj nigdy, bo diamentów i piękności, koralu bólu, żużli pożarów, które drzemią w ich jądrach tajemnych, ani domyślać się czasem można pod grubą zasłoną powszednich spraw i dni. Trzeba umieć zasłonę tę odgarnąć ze statuy, a niekiedy odgarnia ją wicher zdarzeń.

Pragniesz historii dziwnej... Za oknami stoi czarna bezoka noc i wzdycha. Taka cisza w tym pokoju i tam w głębi, to mętne migotanie pozłot na oprawach książek... Posłuchaj!...

Miałam lat dwadzieścia. W braku rodziców wcześniej zmarłych wychowywał i wykształcił mnie brat. Wiesz dobrze, kim i jakim był brat mój. Umysł niepospolity, lecz stokroć niepospolitszy jeszcze charakter. Stworzony na wodza, przez krótki moment życia swego był sławnym wodzem. Ale przedtem z czułością niemal macierzyńską i oddaniem zupełnie ojcowskiem przygotował mnie do życia. Nie ma też słów, którymi wypowiedzieć bym mogła, jak silnie byłam do niego przywiązana, jak byłam mu wdzięczna za to, że głowie mej dał więcej światła, a sercu więcej ciepła, niż ich zazwyczaj miewają dziewczęta

mego wieku i mego stanu. Bo o tym, abym kiedykolwiek umysłowe światło swe na chleb powszedni przerabiać była zmuszona, nikt ani pomyśleć nie mógł. Byliśmy bogaci.

Jednak miałam lat dwadzieścia, kiedy pomiędzy mną a tym najdroższym bratem, opiekunem i mistrzem moim, padł kamień obrazu. Nie przestałam kochać go, ale zamknęłam przed nim serce. Nie wybuchnęliśmy widocznymi znakami poróżnienia, lecz zwątpiła się w nas ta najważniejsza w harfie przyjaźni struna, którą jest zaufanie.

Przestaje być przyjacielem naszym ten, przed kim przestajemy otwierać na oścież serce i pokazywać wszystko a wszystko, co w nim jest. Przestałam serce otwierać przed bratem, ponieważ wzgardliwie i niechętnie spojrział raz na to, co od brzegu do brzegu wypełniać je zaczynało i stawało mi się bardzo drogie. Raz tylko okazał swoją niechęć i wzgardę; wystarczyło mi to do szczelnego ust zamknięcia. A on pomimo szczelnie zamkniętych ust moich domyślał się, co było w moim sercu i obrażony, zmartwiony milczał także.

Mówiliśmy z sobą o wszystkim oprócz tej jednej rzeczy, która obchodziła nas najżywiej; więc pomimo przebywania w ścianach jednego domu i pomimo przeszłości łączącej nas mnóstwem wspomnień drogich, czuliśmy się dalekimi od siebie, rozłączonymi.

Oboje mieliśmy w sobie tę obraźliwość, która nie wylewa się w słowach, lecz owszem, zapadając w milczenie, nabiera od niego trwałości i goryczy.

Przyczyną mojej obrazu była wzgardliwa niechęć ku temu, co we mnie obudziło powściągnięte tak niezmężone, że przeciąć je może tylko niezmężony również nóż przeznaczenia.

Wówczas to właśnie zaczęły rozlegać się po świecie hasła i wołania, poprzedzające zazwyczaj ten huk gromowy, z jakim spadają na ludzkość tragiczne momenty jej dziejów.

Ku tragicznemu momentowi życia naszego i dziejów ogólnych, ku jednemu z tych momentów, które na nici pojedynczych istnień spadają jak noże nieubłaganych przeznaczeń, ja i brat mój, ten brat najdroższy, którego imię stać się miało wkrótce...

O, sławne i drogie!

Zbliżyliśmy się z duszami rozłączonymi. I patrz tylko, patrz, jak żywiołowo rwącym jest to uczucie, które od krańca do krańca świata i od kresu do kresu wieków chodzi po kwiatach, po motylach, po ptakach, po ludziach i kto wie, może po gwiazdach, jeżeli na gwiazdach cokolwiek oddycha rozkoszą i boleścią życia! Ono to rozluźniło nasz związek, przedtem tak ścisły...

Bo i o cóż nam poszło? Poszło nam o młodego sąsiada...

Był to właściwie młodszy brat jednego z naszych sąsiadów, nie mieszkający w tej okolicy, mnie dotąd nie znany, który w odwiedzinach przyjechał do domu brata. Raz wesołą gromadką wpadliśmy do tego domu i zaledwie wpadłszy wypadliśmy znowu, aby pobiec do lasu. Wtedy po raz pierwszy go spotkałam...

Czy słyszysz, jak głęboko westchnęła za oknami ta czarna noc? I teraz jeszcze toczy się to westchnienie coraz cichsze, coraz głuchsze, coraz dalsze, a tu, w pobliżu, wzdymać się poczyna nowe...

Zielony dzień majowy. Las szmerami zefirów rozszeptany, młode pędy sośniny jak pęki świec w kandelabrach wyprostowane i jasne w słonecznym złocie, na murawie usianej deszczem jaskrów i bratków, wysoki krzak róży dzikiej w pełnym kwiecie.

Szliśmy po murawie rozmawiając, zrywając jaskry i bratki, gdy on ujrawszy nas, niespodziewanym spotkaniem zdziwiony i zabawiony, stanął u wysokiego krzaku dzikiej róży. A mnie od pierwszego spojrzenia przewinęła się po głowie myśl, że jest mu w różach ogromnie do twarzy.

Gdy na powitanie nasze odkrył głowę, to z połyskami ciemnego złota we włosach, z czołem białym, z oczyma i ustami rozbłysłymi od uśmiechów wydawał się wśród rozradowanego obrazu wiosny wcieloną radością i życiem. Wydawał się bożkiem tego lasu pięknym i nie znającym z życia nic oprócz radości.

Szło nas tam razem rówieśnic kilka, lecz tak się jakoś złożyło, że przez krótką chwilę rozmawialiśmy z nim u różanego krzaku tylko we dwoje.

Powiedziawszy mi swoje nazwisko dodał, że w odwiedzinach do brata przybył na krótko, ale teraz widząc, że okolica ta nie jest uroków pozbawiona, zabawi pewnie długo.

Niektóre z róż przekwitwały i powiewami wiatru trącane zrzuciły mi trochę płatków na rękę i suknie. Jeden upadł na jego złote włosy i drżał tam jak różowy motyl.

Potem szliśmy już razem. Ze swobodą i wdziękiem ulubieńca losu i świata czynił nam honory tego lasu, pokazując ścieżki najkrętsze i do najcienistych ustroni wiodące,

drzewa najwysioślejsze, polany najbogatsze w słońce i w kwiaty. Kwiatów, które dla nas zrywał, miałyśmy pełne ręce, a ścieżki, ustronia i polany pełne były naszych jasnych sukien i wesołych głosów.

Co do mnie, prawie nie widziałam ścieżek, polan i ustroni, bo oczy moje on jeden tylko napelniał i wstyd mi wyznać, ale wyznam prawdę, że w tym pierwszym już spotkaniu zakochały się w nim moje oczy...

Spójrz, jak tam w głębi pokoju, w słabym dotknięciu dalekiego światła lampy mętnie majaczy na obrazie płachta białości, a nad nią wiszą białe plamy jak z próżni patrzące oczy bez źrenic...

Wiem! To obraz zimy. Śnieg na równinie i na gałęziach drzew kwiaty śniegowe...

Śnieg jak marmur twardy i pod niebem chmurnym matowo biały zaścielał szeroką równinę, gdy kulig huczny, rozzwoniiony, roześmiany wypadł z bramy naszego wiejskiego dworu, pięknego, wielkiego dworu. Bez celu, bez planu, na kilka godzin w przestrzeń szeroką, w pęd szybki, po gładkich marmurach, pod rzeźwe pocałunki lekkiego, mroźnego powietrza!

Byłóż to zrzędzeniem wypadku czy jego zręczności, nie pamiętam, a może nie wiedziałam nigdy, ale jechaliśmy razem, tylko we dwoje. Konie jego, cztery konie stepowe, wpół dzikie, unosić poczęły sanie z szybkością tak niezmierną, że zdawało się, iż nie dotykając ziemi, suną powietrzem. Lecz jeśli było w tej szalonej jeździe niebezpieczeństwo jakie, mnie ono na myśl nawet nie przyszło, tak zajęła mnie walka człowieka z tymi potężnymi zwierzętami, które w pogoni z wichrem mogłyby, zda się, wicher przegonić i same jak cztery ogniste wichry pędziły, leciały z ciałami wydłużonymi, z płomieniami grzyw puszczonej na wiatry, wydając z paszcz radosne czy groźne chrapania, wyrzucając spod kopyt odłamy rozbitych marmurów lub iskry krzesane z drzemających pod marmurami krzemieni.

Może nie spodziewał się, że przyjdzie mu stoczyć tę walkę, a może chciał stoczyć ją przed moimi oczyma, nie wiem, ale u samego jej początku obrócił ku mnie twarz zupełnie spokojną i poprosił, abym się nie lękała. Kilka słów tylko, lecz w spojrzeniu, które na mgnienie oka zatopił w mej twarzy, błysnęła siła tak pewna siebie, że uczułam słodycz ufności zupełnej.

Stojąc obok mnie, w dłoniach, które wydawały się żelaznymi, ścisnął wodze długie i tak wyprężone, że wyglądały jak czarne struny naciągnięte na białej harfie powietrza, którego ostre świsty wydawały się ich dźwiękami.

Pomimo szalonego pędu sań postawa jego ani na jedno mgnienie oka nie utraciała niezachwianej posagowości swych linii, ani jedno drgnienie nie przebiegało twarzy pobladłej i tylko pod futrzaną opaską czapki złote brwi zbiegły się nad oczyma, w których osiadła i świeciła błyskawica wyteżonej woli. Na wargach czerwonych miał ten wzgardliwy uśmiech, z jakim siła świadoma siebie i skupiona poskramia nieświadome i rozkiełznane siły.

Przebiegła mi przez głowę myśl, że nie inaczej pewno Grecy przedstawiali sobie Fetona, gdy słonecznymi rumakami gnał po sklepieniu niebieskim.

W świstach powietrza, w piekących pocałunkach mrozu, w stuku bryzgających spod kopyt końskich marmurów śniegowych, w błyskawicowym migotaniu mijanych drzew, ludzi, zasp śnieżnych, lasów dalekich, ptaków wysoko lecących, z twarzą w płomieniach i piersią pełną dziwnej rozkoszy, nie odrywałam oczu od jego twarzy pobladłej, brwi ściągniętych, ust uśmiechniętych ze spokojną wzgardą, ramion potężnych, a jednak spokojnych i — kochały się, kochały w nim moje oczy.

Wkrótce jechaliśmy już w sposób zwyczajny, rozmawiając zwyczajnie o rzeczach, o ludziach, aż nagle zamyślił się, długo patrzył na skłon nieba, który rąbkiem seledynowosrebrnym rozdzielał chmury szare od białej ziemi i w oczach jego odmalowała się bezbrzeżna tęsknota. Wskazał mi świetlisty rąbek.

— Jak tam jasno!...

Z twarzą ku mnie zwróconą dodał:

— I pani taka jasna... jasna!

Potem ze wzrokiem znowu utkwionym w dał świetlistą rzekł z cicha:

— Są na świecie ludzie pociemnieli, którzy pragną jasności... tak pragną!

I zaraz o czymś zwyczajnym, powszednim mówić zaczął, ale nie był już wcieleniem radości życia. Jakby żalem czy tęsknotą powiało na niego od jasności niebieskiej i — mojej.

Wtedy to po powrocie z tej długiej zimowej przejażdżki rzuciłam się bratu na szyję i chciałam powiedzieć mu wszystko, ale przy pierwszych słowach moich zmarszczył brwi groźnie i niemal gniewnie zawołał:

— Jak to? Ten wietrznik, marnotrawca, próżniak!

Ramiona moje zeszytywniały i opadły z braterskiej szyi. Umilkłam i odtąd milczeliśmy o tym oboje.

Zdanie brata mego podzielała w zupełności tak zwana opinia publiczna. Uchodził powszechnie za człowieka z umysłem pospolitym i z charakterem lekkim, słabym. Uchodził za jednego z tych, którzy w mowie potocznej nazywani są ludźmi bez charakteru. Podobno w żadnej szkole i w żadnej nauce nie dotrwał aż do końca. Synem rodziny majątnej będąc w ten sposób z jedynym bratem podzielił się znacznym majątkiem, że jemu pozostawił ziemię z całą surowością trudów i szlachetnością obowiązków do jej posiadania przywiązanych, a na swój dział zażądał i otrzymał tę rzecz, dającą swobodę wszystkim chęciom, niechęciom, żądom, kaprysom człowieka, którą są pieniądze. Znaczną też ich część stracił już w czasie niedługim i w stronach dalekich.

Tych rodzinnych stron swych prawie nigdy dotąd nie odwiedzał, a teraz przepędzał w nich już miesiące długie, jak wszyscy odgadywali, z powodu owego spotkania w maju, u krzaku dzikiej róży.

Wszyscy to odgadywali i usiłowali, według wyrażenia pospolitego, otwierać mi oczy. U jednych nosił on przezwisko koniarza, z powodu namiętnego rozmiłowania w hodo-waniu i ujeżdżaniu koni. Inni napomykali o licznych podbojach sercowych i — gorzej jeszcze...

A ja? Ja wiedziałam, że nikt nie kłamie i że wszystko jest to prawdą, ale nie całą. Wiedziałam, że przypisywane mu niedostatki i przywary są w nim istotne, ale że jest też coś nad to, czego prócz mnie nikt nie spostrzega.

Czym było to, co sama jedna w nim spostrzegłam? Ściśle określić niepodobna. Domysły i przeczucia raczej niż spostrzeżenia.

Czasem w oczach zazwyczaj wesołych jakieś chwilowe zapatrzenie się w dal i w tym zapatrzeniu się wyraz tęsknoty bezbrzeżnej. Jakby pod błyszczącymi prochami pustego życia, w sercu rozpalał się rubin krwawy i piekło serce tak, że aż oczy w dal biegły po ratunek.

To znowu wśród rozmowy pospolitej albo płochy kilka słów odskakujących od niej dziwnie, kilka słów tylko, lecz zabrzmiała w nich nuta czci albo litości, albo wzruszenia, w którym załamano się i utonął głos.

Jakieś stopienie się śmiechu w westchnienie, jakieś ciepło w postępkach czy słowie, do skrytej pieśniedzi podobne... Czy ja wiem? Chwilki przelotne, promyki drobne, dźwięki wnet milknące, same przeczucia, same domysły, lecz które iskrami sypały się w serce.

Myślałam, że muszą, muszą prędzej czy później opaść z niego złe prochy życia; że musi, musi on prędzej czy później stanąć przede mną i przed światem wyższym, czystszy niż własne swe życie.

Nieprędko potem przeczytałam w jakiejś książce zdanie, że ludzie bywają czasem gor-si, a czasem lepsi od własnych swych postępów, które często, wbrew ich najgłębszej na-turze, zrzędzone są przez różne wypadki i wpływy. Nie umiałam jeszcze wówczas myśleć jasno, ale zdanie to było we mnie, więcej w uczuciu niż w myśli. Czułam, że w tym lek-komyślnym człowieku z życiem marnotrawnym i próżniaczym istnieje jakiś popęd w dal i w górę, że istnieje w nim jakaś żalność i tęsknota.

Po czym żalność? Za czym tęsknota?

Przyszła chwila, że powiedział mi to sam. Wkrótce po owym szalonym kuligu przyszła piękna chwila brylantowych szronów na drzewach, a złotych snów w upojnych szczęściem sercach naszych.

Podaj mi ten wiersz młodego poety, któryśmy czytały dziś razem:

W przestrzeni przez słońce zalanej

Cienie się ścielą błękitnie,
Na ziemi w puch biały przybranej
Gałązka każda szkłem kwitnie...

Błękitne cienie stały się po białych puchach zaścielających las i na nieruchomych świerkach każda gałązka szkłem kwitła, gdyśmy się spotkali u drzwi otoczonego świerkami domku leśnika.

Czy wypadkiem? Tak się zdawało, lecz w rzeczywistości i tu leżały na dnie domysły czy przecucia moje i jego. Faktem jest niejasnym może, lecz najzupełniej prawdziwym, że z oddalenia, bez porozumienia się głosem czy okiem, odgadywaliśmy nawzajem swoje myśli i zamiary. Nie po raz to pierwszy już wiedziony tym odgadywaniem zamysłów i upodobań moich przybywał tam, gdzie byłam i nie po raz pierwszy ja ze swej strony odgadywałam, że on przybędzie...

Więc choć nie oczekiwaliśmy, jednak nie zdziwiłam się, gdy w białej alei leśnej...

Jechał aleją śnieżną, tworząc razem z pięknym wierzchowcem swym i białością lasu obraz z zimowej czy z rycerskiej baśni.

Za chwilę dowiedzieć się miałam, jak bardzo, jak wcale nie był dumny; później w szacie z grozy i rozpacz przyjąć do mnie miała wiadomość, jak bardzo, jak niezmiernie był słaby. Ale wówczas, gdy wśród cichych szkieł szronu i marmurów śniegu zbliżał się ku leśnemu domkowi, biła z niego siła i duma syna rycerskiego rodu. We krwi mieć je musiał razem z rycerskim wdziękiem; myślałam, że musi również mieć je w duszy. Patrząc na zbliżającego się myślałam, że tuż, tuż jeździec wyciągnie silne ramię i dokona wielkiego czynu lub w turniejowej gonitwie zwycięzca, na ostrze miecza przyjmie wieniec chwały.

Byłż to tylko pozory, złudzenia? Tak!... Nie!... I tak, i nie.

Zeskoczył z konia i w mgnieniu oka znalazł się u stóp moich, na klęczkach. Krzyknęłam ze zdziwienia, bo dotąd nie było pomiędzy nami nic... Zaręczały się dotąd z sobą promienie ocz naszych, uśmiechy ust, brzmienia głosów, ale powiedzianego nie było nic...

Teraz ręce moje uwieszone były w jego dłoniach, a z ust mu płomiennym potokiem lały się słowa miłości i — rozpacz.

Rozpacz? Człowiek ten młody, piękny, bogaty, który tam u różanego krzaku wydał mi się upostaciowaniem samej tylko, samej jednej radości życia, rozpaczał.

Bledszy niż wtedy, gdy walczył z szalem swych stepowych koni, ze złotą brwią boleśnie ściągniętą i oczyma do ciemnych otchłani podobnymi mówił, jak mocno, jak głęboko mnie kocha i jak głęboko, rozpacznie czuje się mojej miłości niegodny.

Domek leśnika chwilowo opustoszały był ze swych mieszkańców; byliśmy sami. Byliśmy sami w białej izbie, za której małymi oknami ciężko na gałęziach świerkowych wisały wielkie kwiaty śniegu i tylko niewidzialna, w ciemnym kącie jego duszy zaczajona, była z nami — straszna nasza dola.

Lecz jakimkolwiek był i cokolwiek w przyszłości popełnić miał ten człowiek, widziałam go wtedy szczerem aż do dna. Wyznawał przede mną wszystko, co w nim i w minionych dniach jego było słabością i winą, a pokora tych wyznań miała w sobie przejmujące krzyki cierpienia.

Cierpiał. Te niepochwytne drgnienia duszy, które spomiędzy ludzi wszystkich sama jedna w nim spostrzegałam czy przeczuwałam, były żalem palącym, tęsknotą bezbrzeżną.

— Czy pamiętasz ostatnią strofę tego wiersza młodego poety?

I tęskność za dolą, za złotą,
Co ją jak okieść wiatr zmiata,
Jest skrytą za tobą tęsknotą,
Anima immaculata!

Człowieczą prawdę, głęboką, choć rzadką, zamknął w strofie tej młody poeta.

Byłam wówczas świadkiem palącej tęsknoty człowieka za postradaną czystością swej duszy, niezmierniej żalości jego nad tym, że w dniach próżniaczych i płochych przepadła mu jego *anima immaculata*.

To upragnienie czystości i te namiętne rzuty ducha ku podźwignięciu się z nizin na wyżyny były najgłębszą przyczyną rozkochania się jego w dziewczynie tak doskonale czystej i myśli swe na wyżynach trzymającej, jaką podówczas byłam. Serce jego uczerpiło się

mnie jak nici, po której wspiąć się mogło do krain świetlistych. Z prośbami o szczęście mieszały się mu na ustach prośby o wsparcie, o takie wsparcie, jakiego kropla rosy uczyniła roślinie okrytej przydrożną kurzawą. Marzył, że gdy mu podam rękę, podźwignie się z kurzawy. O czynach dobrych, o trudach wytrwałych, o cnocie czystej rośl tyleż prawie, co o raju miłości podzielonej.

Odsłaniało się w nim przede mną ogromnie tkliwe rozróżnianie strony życia ciemnej od jasnej i ogromne pożądanie przebywania po stronie jasnej. Dlaczegoż tyle razy zsuwał się z niej na ciemną?

Z jakże rozumną i z jakże dobrą pokorą wyznawał przede mną te braki natury i te wpływy świata, które wobec pokus i ponęt rozmaitych czyniły go słabym! Bo nie był z rzędu tych słabych, którzy nie mają w sobie siły, lecz z tych, w których z siłą razem mieszka słabość.

I ta właśnie siła jego, truta, paraliżowana, zwyciężana przez słabość, przerabiała się na palącą tęskność za marzonymi wiecznie i wiecznie niedościganymi strefami światła, na żal za umknionym z dłoni, za znikłym w odmętach życia, za postradanym tym ptakiem niebieskim, o skrzydłach z lazuru i kryształu, któremu na imię: *anima immaculata*.

Słuchałam i słowa jego uderzały o najwyższe niebios mego serca.

Myślałam, że tylko człowiek z duszą wielką może tak dobrowolnie i aż do dna ukazywać swoją małość przed istotą, która mu jest droga i której pożąda; myślałam, że ta rozdzielająca mowa jego jest czynem pięknym i że do życia pięknego zdolność niezmierną posiadać musi ten, kto posiada tak żalosne jego upragnienie.

Więc odpowiadałam mu zrazu łzami tylko, ale potem uczułam, że myśl moja dostaje skrzydeł i płomiennym natchnieniem porwana mówić mu zaczęłam wszystkie te słowa mowy ludzkiej, które pocieszają, koją,ieszczą, kochają, dźwigają... wszystkie dobre, piękne, jasne, gorące słowa mowy ludzkiej...

I wtedy to, wśród tej rozmowy, zakochała się w nim moja dusza...

A zmierzch, od wiszących za oknami kwiatów śniegowych biały, znalazł nas na ławie leśnego domku siedzących obok siebie z połączonymi dłońmi i owiniętych lazurami takich marzeń, jakich bezchmurnie słuchać by mogło lazuru oblicze nieba.

Bez oglądania się na ludzkie zadania i opinie, na chęć czy niechęć najdroższego mi dotąd człowieka, mieliśmy cicho i skromnie zaślubić się w maju, miesiącu pierwszego spotkania się naszego i rozkwitania po lasach dzikich róż.

A potem ileż nadziei, ufności, słodyczy, postanowień wielkich i niemal bohaterskich — ach! — niemal świętych zamiarów!

Nutę bohaterstwa, niemal świętości, on pierwszy wlał w te rojenia nasze. Mniemał, że zła przeszłość jego odebrała mu prawo do szczęścia, do tak wielkiego szczęścia, jakie posiadał wraz z moim kochaniem i że tę złą przeszłość odkupić mu potrzeba jakimś wyrzeczeniem się, jakimś trudem, dokonaniem jakiegoś czynu czy zadania.

Myśl ta była tak surowa, że nie mogłam zrazu wyrozumieć jej do głębi. Odkupienie zła przez dobro? Pokuta? Dobrowolne zadawanie sobie cierpień na łonie szczęścia? Lecz gdy wyrozumiałam, wlecieliśmy razem ku tym najwyższym strefom, na których rzadko bardzo bywają ludzkie marzenia.

Mieliśmy majątki nasze rozdać na dzieła miłości i miłosierdzia, a sami żyć zaledwie bez niedostatku, nie pożądając i nie szukając żadnych uciech innych oprócz tej niewymownej, że należymy do siebie, że jesteśmy z sobą, że trzymamy się za ręce i że dusze nasze trzymają się za skrzydła...

Mieliśmy wzbijać myśli nasze ku najwyższym szczytom wiedzy, a serca rzucać w ogniska uczuć najszerzej po ziemi rozpostartych. Mieliśmy wspólnymi siłami czynić to, czego nikt nie uczynił, i zająć tam, kędy nikt nie zaszedł, nie przez dumę, lecz przez pokorę właśnie i z wdzięczności za to szczęście niewymowne, że jedno dla drugiego jesteśmy na ziemi...

O, młodości! O, wiaro i siło młodości! Raju serc! Locie dusz! O, oczy śniegowych kwiatów, któreście przez drobne szybki patrzyły w nasze rozpromienione ogniem świętym oczy! O, szumie lasu, któryś o zmierzchu z cicha wtórować począł słodkim naszym szeptom. Czyliż to wszystko złudzeniem tylko było, marą tylko, płonnym okłamywaniem się płonnych dusz człowieczych?

— Tak! Nie!... i tak, i nie!

Domek leśnika opuściłam z zaręczynowym pocałunkiem na ustach i z duszą w ekstazie.

Ale...

Daj chwilę spocząć przed spojrzeniem w przepaść!

Ale w maju nie wzięłam ślubu...

Umówiliśmy się, że przyjdzie on wkrótce do brata mego, aby mu o zamiarach naszych oznajmić i o zgodzenie się na nie prosić. Wymagał tego nie tylko obyczaj powszechny; wymagało tego serce moje, nie mogące przecież wyrzucić z siebie uczuć wdzięczności, przywiązania i obowiązku.

Myśl o tym spotkaniu się ich i o tej rozmowie napępiała mnie trwogą niewypowiedzianą. Pomiędzy dwoma tymi ludźmi stało coś na kształt nienawiści, do wytłumaczenia wcale nie trudnej. Wobec surowych zasad moralnych i obywatelskich brata mego, wobec jego doskonale czystej i bardzo czynnej przeszłości, przeszłość człowieka, który marnie albo i występnie dotąd trwonił lata, siły i majątek, była lachmanem godnym tylko wzgardy. Ten drugi zaś zazdrościł, strasznie zazdrościł tamtemu nieskazitelności, powagi, nie urzeczywistnionych jeszcze, lecz już przewidywanych przeznaczeń, z których przegłądało blade i może krwawe, lecz ukoronowane oblicze bohaterstwa.

Ta wzgarda z jednej strony i ta zawiść z drugiej, które leżały na samym dnie wzajemnych dla siebie uczuć tych dwóch ludzi, pozostałyby pewnie bierne i niewypowiedziane na zawsze, gdyby nie wzmagał ich, nie rozjątrzył i ostatecznie do krzyku nie pobudził wypadek, którego ja byłam przyczyną.

Ach, nie myśl, że był to krzyk rozniewanego, grubiańskiego głosu! Byli obaj ludźmi dobrze wychowanymi i najłżejsze podniesienie głosu, żadne słowo obraźliwe czy obelżywe nie dosięgło pokoju sąsiedniego, zza zamkniętych drzwi pracowni mego brata. I dziwnie krótko trwała tocząca się za tymi drzwiami rozmowa; i nie wiem, w której sekundzie tych kilku minut padł grom, ze zwarecia się dwóch tych chmur wystrzelony...

Ale gdy drzwi się otworzyły, zobaczyłam na twarzy człowieka kochanego porażenie od gromu. Coś osłupiałego i razem namiętne obrażonego, coś złego i zarazem tragicznego rozlewało się po jego śmiertelnie zbladłej twarzy i świeciło w sztyletach oczu bolesnych i ostrych.

Rzuciłam się ku niemu, ale gestem ręki powstrzymał mnie z dala od siebie i białymi wargami wyszeptał:

— Tutaj... nie! Pod dachem tego człowieka... nigdy! Jeżeli wytrwasz, jeżeli zechcesz, to gdzie indziej...

Nie miał prawie oddechu w piersi. Nieprzytomnie prawie ścisnął mi obie ręce, zdaje się, że bez łez załkał i wybiegł z domu.

Stanęłam przed bratem cała w drżeniu i w płomieniu, zamierającym głosem pytając, co mu powiedział.

Tak samo jak tamten błądy i w oczach rozgorzały, ale zawsze panujący nad sobą, zawsze silny i stanowczy, nic mi nie powtórzył, z niczego się nie tłumaczył, tylko z wielkim spokojem w postawie i głosem rzekł, że łącniej by umarł, niżby przystał na to, abym została żoną tego — łotrzyka.

Nie odpowiedziałam ani słowa, lecz nazajutrz nie byłam już pod dachem swojego rodzinnego domu. Byłam pod dachem swojej bliskiej krewnej, kobiety nieskazitelnej, ale wyrozumiałej, kochającej mnie, łagodnej. Było to owo „gdzie indziej”, o którym w strasznej chwili wspomniał i za które po dniach paru z radością niewypowiedzianą, z wdzięcznością bez granic, na klęczkach mi dziękował.

Trwałam więc. Pomimo że każde wspomnienie o bracie rozdzierało mi serce, trwałam w uczuciach swoich i w zamiarach, i nade wszystko, o Boże! tyś wiedział, że nade wszystko trwałam w pragnieniu, w namiętym i zachwyconym pragnieniu ratowania, wznoszenia, zabawiania tej duszy ukochanej, tak słabej i razem tak silnej, tak poplamionej i tak za czystością stęsknionej, która wszystkie swoje słabości, siły, plany i tęsknoty tak prosto i szczerze, pokornie i wzniosłe zwierzyła sercu memu i dłoniom moim powierzyła, pomocy ich wzywając.

Ale w maju nie wzięłam ślubu, bo właśnie gdy po lasach rozkwitły róże dzikie, brat mój i on zniknęli mi z oczu. Porwał i uniósł ich wiatr wypadków. Wtedy to imię brata mego rozbrzmiało po świecie sławą krótką, lecz głośną i świętą...

Nie powiedziałam ci zaś jeszcze, jak nazywał się tamten. Odwróć oczy! Nie patrz na mnie, gdy imię to wymawiać będę... A gdy wymówię je, miej litość!...

Stefan Niegirycz...

...Nie miałam litości i krzyknęłam:

— Zdrajca!...

A ona, jakby wiedziała, że cios tego słowa spaść na nią musi, ani drgnęła, tylko na długą chwilę umilkła: po czym z westchnieniami czarnej nocy złączył się znowu jej cichy głos.

— Że miał w przyszłości stać się czym innym jeszcze, o tym wiemy my dwoje, ja i mój brat, a ty dowiesz się zaraz. Ale prawdą jest, co powiedziałaś. Zdradził towarzysza i wodza swego, którym był brat mój. Stał się przyczyną srogich cierpień i śmiertelnych jego niebezpieczeństw. Imię swoje od pierwszej do ostatniej głoski okrył hańbą.

Co nim spowodowało w tej chwili fatalnej, gdy przed ludźmi mającymi rozstrzygać losy ich obojgów stał się tak wszystkimownym? Trudno rozbierać i straszno dochodzić.

Podobno w tych grubych ścianach, wśród których przebywali razem, co chwila wybuchały pomiędzy nimi spory krótkie, lecz śmiertelne jak zatrute ostrza, padały słowa raniące srożej od kul i mieczy... Alboż wiem wszystko? Domyślam się tylko wielkości obrazu po okropności zemsty. Domyślam się też rozstroju nerwów i mózgu, nagle przerzuconych z szampańskiej czary użycia w cykutę trwóg i udręczeń. Nikt mi o tym nie opowiadał dokładnie. Jedne tylko usta, raz jeden, miały odwagę część winy przypisać ofierze zbrodni... Może nie myliły się. Nie wiem. Niech Bóg to osądzi.

Odzyskawszy możność rozporządzania się swoją osobą i swoim majątkiem opuścił strony rodzinne i zniknął. Z początku ten i ów jeszcze tu lub ówdzie zobaczył go lub o nim usłyszał, lecz po paru latach zginęła wszelka wieść. Może na drugą półkulę świata odjechał, może umarł. Nie wiedział nikt i nie dowiadywał się nikt. Lżej staje się na ziemi i piersiom ludzkim, gdy taki człowiek znika.

Kiedy brat mój przez nadzwyczajny zbieg okoliczności strasznej śmierci uniknąwszy odjeżdżał na kresy innej części świata, ja ziemię u stóp jego włosami swymi zamiotłam, z krwawym płaczem błagając, aby mi krwawą omyłkę moją przebaczył...

W głębi pokoju, dotykane dalekim światłem lampy, majaczyło na obrazie śniade ramię wyciągnięte z topozem nad ciałem bielejącym u kamiennego ołtarza.

— Kain! — szepnęłam.

— Że miał w przyszłości dalszej stać się czym innym jeszcze, wiemy dotąd my dwoje tylko, ja i mój brat, a ty zaraz się dowiesz...

Jak żyłam w pierwszych latach, które potem nastąpiły, ten tylko zrozumie, kto sam przez czas długi codziennie usypiał i budził się w łzach.

Bywają czasem momenty z takim nagromadzeniem nieszczęść, że góry tej starannie odmalowywać nie potrzeba, bo ktokolwiek pierwsze zarysy jej zobaczy, uczuć musi na sobie jej cień.

Z gniazda zielonego nad polami szerokimi, nad strumieniami przeczystymi, nad murawami aksamitnymi i alejami drzew odwiecznych zawieszonego wypadłam na bruk miejski, pomiędzy mury miejskie, w zgiełk, w tłok, w kurzawę, w zaduch, w częstą obawę głodu ciała, w ciągły głód serca.

Nikt z moich najbliższych w pobliżu moim nie pozostał; najbliższy, a teraz po dwakroć, po trzykroć najdroższy brat mój cierpiał w oddali nieprzejranej. On zniknął ze świata — i gdybyż zniknął był z mojej pamięci! Ale nie.

W każdą noc bezsenną i w każdej chwili beczynnej jak w ciemną topiel rzucałam się w niepojętą, w przeraźliwą zagadkę jego duszy i jego przeznaczeń...

Czy pewna jesteś, że po zabiciu Abla Kain, na kresy świata odchodząc, o każdym wschodzie słońca nie upadł twarzą na ziemię ze wstydu przed słońcem i zgrzytającymi zębami nie gryzł ziemi z rozpacz, że jeszcze widzi słońce? Czy nie przypuszczasz, że

nocami chodziło za Kainem widmo Abła i oddechem swym skręcało mu włosy na głowie, w kształt wijącego się w mękach płomienia?

Jeżeli mniemasz, że wielcy winowajcy są zawsze ostatnimi wśród ludzkości, jesteś w błędzie. Ten z nich, którego serce choć raz w życiu miało sen o cnocie, to król nędzarzy.

Po niezliczone razy oczyma wyobraźni widziałam go na jakichś dalekich drogach, upadającego twarzą na ziemię ze wstydu i gryzącego ziemię z rozpacz. Po niezliczone razy nawiedzała mnie mara winowajcy, który w noc ciemną idzie ze zjeżonymi jak płomień włosami nad głową, gdy tuż za nią idą nieubłagane blade widma jego ofiar.

Czasem z pogardą odpychałam te widzenia, czując wstręt ku samej sobie za to, że nawiedzać mnie one mogą i że — o, ciężkie wyznanie! — krzeszą mi w sercu litość. A czasem z siłą opadła i do walki niezdolna, dawałam folę litości i jakimś rzutom serca bolesnym, w których wołało ono, że chce podzielać z winowajcą brzemień jego hańby i razem z nim iść jednym szlakiem ciemnym, pod jednym płaszczem straszego królowania nad wszechnądzą ziemi — iść i duszę jego z płam obmywać wiernym pomimo wszystko kochaniem, a może z obmytej, z oczyszczonej dobywać znowu te piękne światła, o których wiedziałam, że w niej były.

Wiedziałam, że były i nic nie mogło zabić we mnie tej wiary, a przecież nieraz po kątach sypialni próżnej snu, a pełnej ciemności, chichotała najstraszliwsza towarzyszka bezsennych nocy człowieka: ironia.

Może w jakiejś dalekiej stolicy, zamiast wic się w męczarniach, pławi się on w rozkoszach, może nie ponury płaszcz króla nędzarzy, lecz wykwintny frak balowy ma na ramionach, może ze złotymi połyskami we włosach, w tych ślicznych włosach, na których tam w domku leśnym kładłam kojące i błogosławiące dłonie, u warg czerwonych trzyma puchar upojen i znowu jest podobnym do bożka radości życia, ohydnej teraz radości?

Takich chichotów ironii słuchając, twarzą tonęłam w mokrej od łez poduszce i całą siebie rzucałam w daleką dal, pod stopy brata — bohatera, hymnami serca wielbiąc cnotę czystą, pocałunkami omywając rany świętego cierpienia.

Ale potem znowu...

O, wierz! Była to męka wielka!

Lecz życie powszednie, a zwłaszcza życie powszednie ludzi ubogich, to szary, monotony deszczyk, którego krople malutkie a niezliczone padają, padają, padają na myśl i serce, aż skrzydła myśli przybiją do ziemi i serca rubiny pogaszą.

Z majątnej córki wiejskiego dworu stałam się biedną dziewczyną, która w ciasnych izdebkach domku stojącego nad rynsztokiem miejskiego zaułka całodzienną pracą zarabiała na codzienny kawałek chleba.

Po miastach, po miasteczkach wiele nas wówczas było takich gołębic wypadłych z gniazd puchem wysłanych na ostre kamienie bruku. Trzeba było na kamieniach wic gniazda z ostów i piołunów. Wiły je, jak umiały, gołębice, zrazu drżące od strachu, bólu, gniewu, lecz wkrótce pod ręką Bożą ukorzone, coraz mężniejsze i na koniec spokojne tym spokojem, który panuje w dni monotonnych, szarych deszczyków.

Słońca nie ma, na szczytach wież złote iglice pogasły, świat szary, skrzydła duszy opadłe i tylko kędyś na dnie pamięci czerwienieją żary wspomnień o nadziejach, o tęczach, o lotach pod gwiazdy.

Mieszkania tych przybyszek od pól, łąk, lasów i ogrodów rozkwieconych w najtańszych dzielnicach miasta i w najniższych domkach tych dzielnic poznać można było po obfitości roślin kwitnących za małymi oknami, po dobywającej się zza okien muzyce fortepianowej, po wybieganiu z drzwi lub bram domków postaci kobiecych, często ładnych i zgrabnych, zawsze ciemno i tanio ubranych, śpieszących do pracy.

Pracowały, jak mogły: szyły, uczyły, wiele jeszcze robót różnych... czy ja wiem? Byłyby żyjąc moc na świat patrzeć okiem czystym, choć niezmiernie prędko i wcześniej utracającym blaski młodości.

Ja uczyłam. Nieprzeliczone są te dziękczynienia, które w myślach i listach posyłałam bratu za to, że sama umiałam tak wiele i dobrze. Mieszkały razem ze mną w trzech malutkich pokojach dwie dalekie krewne moje, z którymi w momencie przełomowym mocno wzięłyśmy się za ręce, aby siłami wspólnymi znosić życie. Bo nie było już dla nas mowy ani myśli o czymkolwiek innym, jak tylko o znoszeniu życia.

Z początku bywało nam często trudno, głodno i chłodno, ale potem ułożyły się jakoś sprawy nasze we względną i stałą pomyślność. Ja i Cesia biegałyśmy z lekcji na lekcję, Różia siedziała za hafciarskimi krosnami i doglądała niedużego gospodarstwa. Godziny, podobne do kropel monotonnego deszczu, składały dni, z dni powstały lata, które tworzyły dziesiątki lat...

Jednak na te długie lata nasze oprócz kropelek szarego deszczu sypały się także drobniutkie kwiatki uciech. Tak już stworzony jest człowiek, że z piołunów choćby wydobywać sobie musi krople miodu; myśmy je wydobywały z tkwiących nam we krwi upodobań i z serc, które stwardnieć ani zamarznąć nie mogły.

Więc słabe echa od rodzinnych ogrodów naszych, te rośliny u okien, które oczyma coraz nowych koron kwiatów patrzyły w nasze zmęczone oczy, trochę muzyki o szarej godzinie, trochę czytania w dzień świąteczny, ubogie dzieci, ubodzy starcy...

Tych ostatnich wprowadziły nam w życie złote serce i praktyczna ręka Rózi. Była ona pośród nas Martą posiadającą sztukę wypiekania dziesięciu chlebów z jednej garści mąki i zarazem Marią olejki nieskończonego miłosierdzia wylewającą pod stopy ludzkiej nędzy.

Wszystko to razem nadawało życiu barwy nieświatne wprawdzie, lecz chroniące życie przed bladeścią trupią. Ze wszystkiego też tego wynikło, że przyszedł do nas ten niemy tracz...

Ten niemy tracz, którego Różia przyprowadziła raz z ulicy, aby ogrzał się i posilił, wydał się nam zrazu człowiekiem dziwnym i mnie nawet trochę przestraszył.

Trzymając w ręku list od brata przed chwilą otrzymany, weszłam do jadalnego pokoiku i nie spostrzegając obecności człowieka obcego poczęłam głośno dzielić się z towarzyszkami treścią listu, gdy nagle one krzyknęły ze zdziwienia, a ja cofnęłam się z przestachem, bo ktoś mi do nóg upadł.

Nie wiedząc ani kto, ani co, ani dlaczego, widziałam tylko zwyczajną siermięgę robotniczą, rzemieniem przepasaną, jakąś głowę osiwiłą i jakieś ręce sine, żylaste, szramami i guzami okryte, które usiłowały pochwycić brzeg mojej usuwającej się sukni. W miarę jak usuwałam się, siermięga pełza ku mnie po podłodze, ręce latały w powietrzu jak liście przez wiatr targane i czoło jakieś pomarszczone, krwią nabiegłe, kilka razy uderzyło o deski podłogi. Słysząc było przy tym łkania czy wykrzyki, czy jęki chrapliwe i przerywane, jakby kto ryk mordowanego zwierzęcia na drobne kawałki posiekał.

Towarzyszki moje, dość silne fizycznie, prędko podniosły z ziemi i na stronę nieco usunęły tego człowieka, a gdy on, nagle ucichły i spokojniały stanął u okna, zobaczyłam bardzo zwyczajnego pokornego biedaka w siermiędze wyrobniczej, w grubym i ośnieżonym obuwiu, z twarzą tak ukrytą w gęstwinie zarostu, że widać było tylko krwawo czerwone powieki i nad krzaczastymi brwiami czoło żółtkłe, pełne zmarszczek. Włosy spletaną gęstwiną okrywające głowę, ogromny zarost twarzy i zwisające na powieki krzaki brwi miały barwę ciemnego popiołu.

Nędzarz! Tym większy nędzarz, że niemowa.

Różia, której litościwy wzrok od dość dawna już ścigał go wśród miejskiego ubóstwa, powiedziała nam, że człowiek ten słuch posiada, ale mowę wskutek wypadku jakiegoś podobno utracił już od dawna, że widywała go przedtem piłującego drzewo na znajomych jej podwórkach, lecz że teraz chory, pracować nie może, więc...

Ależ naturalnie, ma się rozumieć, niech przychodzi jak najczęściej! Tylko co znaczyła ta dziwna scena? Ponieważ niemyym będąc nie był głuchym, więc po cichutku szepnęłyśmy sobie do uszu, że zapewne... trochę obłąkany.

Tym większy nędzarz.

A kiedyśmy pomiędzy sobą szeptały, on wyjął zza siermięgi białą tabliczkę i ołówkiem coś na niej skreśliwszy podał ją Rózi. Zobaczyłyśmy jeden tylko wyraz: „Przepraszam”. Litery były niezgrabne i zygzakowate. Cóż dziwnego? Prosty tracz! I w dodatku miał ręce zsiniałe od zimna i szramami, guzami okryte od piły czy może i od innych jeszcze narzędzi ciężkiej pracy.

Śnieg tego dnia leżał na ziemi, na dachach, zasypywał powietrze, oblepiał szyby okien, napelniał wnętrze domu matowym białym światłem.

Pamiętam!... W białym powietrzu pokoju niemy tracz siedział przy małym stole nad umieszczoną przed nim żywnością i długo nie jadł. Głowa jego nisko pochylona i twarz

gęsto obrosła tak wyglądały, jakby je okrywała gruba warstwa popiołu, a postać zgarbiona, od grubej siermięgi bryłowata, odrzynała się na śnieżnym tle okna plamą ciemną, ciężką, smutną...

Pamiętam, że w chwili owej nie wiedzieć skąd, może od śnieżnej białości tego dnia załatywać ku mnie zaczęły echa z dalekiej przeszłości, z wczesnej młodości!

Las zasłany marmurem siniejących śniegów, szklane kwiaty szronu po drzewach, w białej alei jeździec na pięknym koniu... za małymi oknami wielkie oczy śniegów na gałęziach świerkowych, u kolan moich złota głowa młodzieńca:

I tęskność za dolą, za złotą,

Co ją jak okieść wiatr zmiata...

Ach, pozwól zamilknąć na chwilę, odpocząć.

Umilkła. Cisza napętniająca duży pokój, kończyła:

Jest skrytą za tobą tęsknotą,

Anima immaculata!

List dnia owego otrzymany przyniósł mi nieskończenie radosną wieść, że za kilka miesięcy zobaczę brata. Po dwudziestu kilku latach nieobecności miał przybyć, aby na zawsze już w pobliżu moim pozostać. Rodzina jego — bo tam, daleko, zaślubił jedną z dalekich krewnych naszych i miał śliczne podobno dzieci — przybędzie nieco później, a on ją wyprzedzi w celu urządzenia wygodnego rodzinnego gniazda. Wygodne, piękne gniazdo dla rodziny swej usłać może, bo wraca z majątkiem znacznym.

Pierwszy początek nowego tego majątku napętniał mnie zawsze wdzięcznością dla jakiegoś bezimiennego, wielkiego serca. Bo przed wielu laty ktoś przysłał bratu memu znaczną sumę pieniężną, tak zręcznie imię swoje ukrywając, że pomimo starań jego i moich odkryć go było niepodobna. Daru tego zwrócić nikt nie mógł, ponieważ nikt nie wiedział, kędy znajdowało się i jakie było jego źródło. Fakt ów zresztą, jakkolwiek niezwykle, nie był w gruncie rzeczy bardzo dziwny i świadczył tylko o tym, że bywają na ziemi serca wielkie, zdolne do uwielbienia, współczucia i niesienia czynnej pomocy przedmiotom tych uczuć.

W rozumnych i energicznych rękach brata mego z pierwszej tej cegły wyrósł obszerny gmach. Mniejsza o to, co budował, ale że w pracę swą wkładał jedną ze swych cech najbardziej znamienitych, którą była do zaciętości posunięta stałość uczuć i dążeń, więc uwieńczyła ją pomyślność. A że przy tym posiadał szczęście rodzinne...

Wicher nieszczęścia chłostał przez czas dość długi odważną tę głowę i biczem ognistym zaciął te silne ramiona, lecz pod Bożą ręką uciął potem i głowa podniosła się znowu z pełnią swych myśli niezłomnych, a ramiona wyprężyły się do trudów i do rozkoszy życia, z pełnią swych sił niepospolitych.

Od otrzymania listu owego długie miesiące przeminęły, zanim w pokojach naszych rozległ się krzyk szalonej radości, z jaką upadłam w szeroko przede mną rozwarte objęcia brata.

Przepłynął po nas strumień czasu i obojgu przysypał włosy srebrem, mnie przedwcześnie, jemu tak pięknie, że zdawały się być koroną promienną, która zwieńczyła jego trochę tylko zmęczone czoło. Zdrowym ujrzałam go, silnym, pełnym dawnych niezłomnych myśli i uczuć, prawie młodym.

Bywają takie słupy, które z wicherzystej burzy dobywają się proste, nienaruszone, z głowicami tak jak przed burzą dumnie i strojnie podniesionymi ku niebu; lecz są to słupy wykute z jednej bryły drogiego kamienia. Biada wśród wichrów i błyskawic tym, których wnętrzności toczą odłamy pięknych kruszców w roztokach lichej gliny!

Z gwarem zapytań, opowiadań, śmiechu zmieszanego z płaczem, wykrzyków radości, roztapiających się w westchnieniach, wprowadziłyśmy gościa drogiego do małej jadalni naszej i razem z nim zasiadłyśmy u tego stołu, przy którym przez lata długie po niezliczone razy smutne usta nasze z utęsknieniem i uwielbieniem imię jego wymawiały.

Był to jeden z tych obiadów, których nikt jeść nie chce, bo wszyscy nasyceni są przez radość i których nikt jeść nie ma czasu, bo wszystkie usta zajęte są mówieniem. Zdaje się, że z początku wszyscy czworo mówiliśmy razem, zaledwie się nawzajem rozumiejąc i choć potem rozmowa stała się porządniejsza nieco, gorączkowego tętna długo utracić nie mogła.

Z gorączkowymi rumieńcami na policzkach słuchałam brata mówiącego o zamiarach swych osiedlenia się w wielkim mieście i rozpoczęcia tam jakiejś trudnej i ogólnie użytecznej pracy, gdy krzątająca się dookoła stołu Rózia dotknęła mego ramienia z cichym szeptem:

— Spójrz! Niemy!

Spojrzałam w kierunku wskazywanym i oczy moje, z których przez brzegi wylewała się radość, ujrzały widok, z którego przez brzegi wylewał się ciężki smutek.

Przy małym stoliku u okna siedział niemy tracz, którego obecności nikt z nas, oprócz Rózi, w zawierusze wzruszeń nie spostrzegł. Była to zresztą istota tyle w życiu naszym znacząca, ile dla człowieka znaczyć może wróbel głodny i zziębły, któremu on przez okno sygnie z litości garść ziaren czy okruszków. Od roku prawie przychodził tu dość często, a nie znaliśmy jego imienia, mówiąc o nim zwykle: niemy tracz albo wprost: niemy. Spotykałam go też niekiedy na ulicach miasta, ale nigdy nie prosił mnie o jałmużnę. Rózię, owszem, prosił w sposób dość dziwny i który ją wzruszał, bo nie wyciągał nigdy ręki ani wydawał tych przykrych skomleń, które zazwyczaj wychodzą z gardel ludzi pozbawionych mowy, lecz tylko wątłe ciało jego w grubej siermiędze i głowa osypana popiołem chyliły się w pokłonie jak grób milczącym i w którym Rózia wyczytywała pokorę głęboką i bolesną. Zdawało się, że przez ten rok opadł już był na ostatnie dno nędzy. Zarabiać na chleb nie pozwalała mu choroba dawna, którą uproszony przez nas lekarz uznał za nieuleczalną. Wiedzieliśmy, że jeśli nie dni, to miesiące lub tygodnie życia tego nędzarza były policzone.

Teraz przy małym stoliku...

Ten mały stół był miejscem, na którym zwykle Rózia żywiła naszych ubogich gości. Iluż ich najrozmaitszych: kobiet i mężczyzn, starców i dzieci siadywało przez te długie lata tam, u okna zawieszonego z zewnątrz zielenią ciasnego podwórka w lecie, a białością jego w zimie!

Teraz była jesień i klon rosnący za oknem zawieszał je firanką z pożółkłych liści, na której tle ciemną, ciężką plamą odrzynała się postać niemego tracza, dziwna w tej chwili postać!

Siedział tak zgarbiony i z tak nisko pochyloną głową, że twarzy jego wcale widać nie było; tylko opadała mu z niej na piersi puszcza włosów twarz obrastających, przez co i głowa, i pierś jego wydawały się grubo osypane popiołem. Ręce nieduże, sine, opuchłe, szramami i guzami okryte leżały na siermiędze okrywającej kolana, a spod obwisłych krzaków brwi kapąły na siermięgę, na kolana i na ręce duże, rzęsiste łzy. Padły one w ciszy kamiennej. Człowiek ten cały wydawał się w tej chwili wykutym z ciemnego kamienia i można by myśleć, że w tej kamiennej postaci coś tajało i wyciekało z niej ciężkimi, cichymi kroplami.

Ani łkania, ani westchnienia, ani najłżejszego poruszenia. Tylko ze zgarbionych pleców zwisająca ta głowa osypana popiołem i spod obwisłych brwi padający na pokaleczone ręce ten deszcz ciężkich, cichych łez...

Rózia szybko przybliżyła się ku niemu i zaczęła bardzo cicho zapytywać go czy pocieszać, a on głowy nie podnosząc, wyjął zza siermięgi swoją białą tabliczkę i ręką, która trzęsła się jak liść na wietrze, ledwie czytelnymi znakami napisał znowu jeden tylko wyraz: „Przepraszam!”. W kilka minut potem nie było go już w pokoju. Rózia chciała wyjść za nim, zapytać, może pocieszyć, ale przemówił do niej o czymś najdroższy gość nasz, więc pobiegła ku niemu z odpowiedzią, zapominając...

Wszyscyśmy po kilku minutach zapomnieli o niemym tracz, płacz jego przypisując temu bólowi, jaki w człowieku wszechstronnie nieszczęśliwym obudzać musi widok ludzi szczęśliwych. A myśmy byli dnia tego tak weseli i szczęśliwi, że nie spostrzeegliśmy nawet, iż świadkiem tej wesołości i tego szczęścia naszego jest ten nędzarz.

Wkrótce też zapomnieliśmy o jego istnieniu i gdy dni upływały, a on nie przychodził, jedna tylko Rózia zatroszczyła się czasem o to, co się z nim dzieje, lecz i ona, zatroszczwszy się na chwilę, zapominała.

W rozmowach z bratem, we wzajemnych spowiedaniach i zwierzeniach, w przywoływanych z przeszłości wspomnieniach wspólnych, w układaniu zamiarów na przyszłość jeszcze długą szybko przemknęły mi tygodnie, prawie miesiące, gdy w tej jasnej pogodzie, tak dla mnie nowej, życie znowu przeraźliwie zazgrzytało.

Godzina była przedwieczorna i byliśmy w domu sami tylko z bratem, gdy ktoś z domowych podał mi list przez jakąś biedną dziewczynkę z przedmieścia podobno przyniesiony, z tego najbiedniejszego przedmieścia, co to po skłonie wybrzeża opuszcza ku rzece szary rój chatek, lepianek. List niekształtny, szorstki, z moim nazwiskiem na kopercie, skreślonym pismem niekształtnym, zygzakowatym.

Takie pismo gdzieś już widziałam... nie pamiętam! A! na tabliczce niemego tracza. Więc on to zapewne albo ktoś bardzo do niego podobny pisze z prośbą...

Rozdarłam kopertę, otworzyłam arkusz grubego papieru, wzrok mój przypadkiem upadł najpierw na podpis i — jakby mnie kto w plecy obuchem uderzył, tak porwałam się z siedzenia. Musiałam bardzo zmienić się na twarzy, bo brat przyskoczył do mnie, pytając z niepokojem:

— Co to? Co ci jest?

Tyle tylko miałam przytomności, aby mu pokazać podpis na liście i krzyknąć:

— Patrz! Patrz!

Wtedy i on krzyknął także:

— Stefan Niegirycz! Kto? Skąd? Gdzie?

A ja z dławiącymi się w gardle wołaniami:

— Gdzie? Gdzie? Gdzie? — biegłam do kuchni, w której zapewne była ta dziewczynka. Brat szedł za mną.

Dziewczynka nieduża, podłotek chudy i blade jak głód, suszyła przy kuchennym piecu swe zmokłe od deszczu łachmany. Przez dwoje naraz ludzi z wielkim gwałtem zapytywana, zalekła, ledwie mogła odpowiadać.

— Niemy tracz prosił... zanieść... przed śmiercią...

— Umarł?

— Czy ja wiem? Gadali, że zaraz umrze...

— Więc jeszcze żyje?

— Czy ja wiem? Może już umarł...

— Lećmy! Co tchu wystarczy, lećmy! Może jeszcze... może jeszcze... Okręciłam się na miejscu, chwytając i opuszczając z rąk różne odzież, dopadając już drzwi w jednej sukni...

Ale brat, powiedziawszy dziewczynce, aby nie odchodziła bez nas, opasał mnie ramieniem i zaprowadził do pokoju, gdzie podał mi list.

— Trzeba przeczytać... — rzekł.

Prawda! Trzeba przeczytać. Może tu jakie żądanie, wyjaśnienie... W oczach co chwilę stawało mi się ciemno, jednak czytałam, a brat stał przy mnie z twarzą litościwą, wciąż mnie ramieniem opasując.

Nie jestem niemy. Żaden wypadek nie pozbawił mnie mowy; odjąłem ją sobie sam. Wkrótce potem, gdy mową zgubiłem siebie i innych, zacząłem szarpać sobie włosy na głowie, krzycząc do Boga: czemu mi pierwszej mowy nie odebrał? Z tego przyszła mi myśl, że mogę ją teraz sam sobie odebrać... — za pokutę!

Tak uczyniłem. Postanowiłem, że nigdy już w życiu nie przemówię żadnego słowa do żadnego człowieka i dotrzymałem. Już więcej niż dwadzieścia lat minęło, odkąd do żadnego człowieka, żadnego słowa...

Niememu człowiekowi ciężko żyć, ale dla mnie w tej ciężkości była jedyna pociecha, bo myślałem sobie, że to taka kąpiel, która obmywa moją plamę, nie przed ludźmi, ale przed moją własną boleścią. Im trudniejsze było życie, tym mniejszą stawała się boleść. Bez tego nie zdołałbym jej znieść...

Może źle się wyrażam i pani mnie nie zrozumie, ale zapominałem już wiele słów i jak trzeba je układać... Przepraszam, że tak źle i niezrozumiale piszę, ale zapominałem pisać...

— Wielki Boże! — jęknął brat mój i silniej ogarnął mnie ramieniem, bo musiał uczuć, że nogi pode mną drżą i mogą upaść.

Cały majątek swój oddałem temu, który cierpiał z mojej winy. Cóż mogłem więcej? Rozdałbym, pokroiwszy, samego siebie, gdyby to było na co potrzebne, ale że nie, więc oddałem majątek. Nie zaraz to zrobiłem. Z początku myślałem, że będę mógł żyć tak, jak pierwaj. Ale nie. Wszystkiego próbowałem i wszystko mi było coraz gorszą trucizną...

A ta trucizna lała się we wszystko ze mnie samego, z tych plam, które na mnie były, a zwłaszcza z tej ostatniej. Byłem pomiędzy ludźmi, którzy o nich nie wiedzieli i ludzie zresztą prędko zapominają... ale ja sam wiedziałem i nie mogłem zapomnieć...

Spowiedź kościelna nie wystarczyła. Ta pokuta, którą ksiądz po spowiedzi mi wyznaczył, nie była żadnym cierpieniem, a ja cierpieć pożałowałem, jak człowiek nieczystościami obłany pożałowa strumienia czystej wody. Więc bez mowy i bez majątku puściłem się w dalekie strony... za tę winę i za wszystkie inne... i za to, że nie dotrzymałem tego, co tobie, pani! przyrzekałem w tym domku leśnym...

Tu następowało coś bardzo trudnego do wyczytania, bo ręka od słabości drżąca, od pisania odwykła, od narzędzi ciężkiej pracy guzami okryta, skręciła litery w zawikłany węzeł kresek i zygzaków. Jednak po chwili wyczytałam:

Czy pamiętasz?...

Ręce prawie nieprzytomne ku głowie podnosząc, list na ziemię upuściłam, ale brat mój podniósł go i głowę mą na piersi swej opierając czytał dalej:

Jako człowiek ubogi i niemy pojechałem w strony dalekie i szukałem pracy. Pan Bóg mnie nie opuścił. Na kawałek chleba zarabiałem zawsze najczęściej jako robotnik po fabrykach albo tragarz, albo tam co innego, do czego mowa najmniej potrzebna...

Ubogi człowiek bez mowy musi wiele cierpieć, zwłaszcza jeżeli był pierwaj bogaty i próżnujący; ale ja mogłem już tylko żyć — cierpiąc! Bez tego roztrzaskałbym sobie głowę kulą rewolwerową albo o jaki mur. I z początku bardzo myślałem, aby tak zrobić, ale potem zawstydzilem się tego myślenia jak nowej plamy. Uciekłbym tym sposobem od samego siebie, ale wstąpiłbym do grobu tak samo, jak byłem: poplamionym.

Kilka lat temu zacząłem słabnąć i opanowała mnie ta choroba, z której teraz umieram. Wtedy zapragnąłem strasznie zobaczyć raz jeszcze w życiu swoje rodzinne strony. Nie miałem pieniędzy na drogę, więc trochę pieszo, trochę o głodzie, trochę o żebranym chlebie dostałem się tutaj i zacząłem najmować się do piłowania drzewa. Ale już nie zdołałem długo. Nie jestem tak stary, jestem młodszy od twego brata, pani, ale czasem jedno życie tyle znaczy, co dziesięć.

Bóg dał mi to szczęście, że ciebie zobaczyłem. Nie potrafiłem tego szczęścia znieść po cichu, bo było ono pełne boleści... Za to, że upadłem wtedy przed tobą na ziemię i że krzychałem z okropnej trudności powstrzymania się od mowy, której miałem pełne piersi i pełne usta... przepraszam!

I za to przepraszam, że list ten piszę. Przez wiele dni go piszę, bo tak mi trudno... ale odeślę przed samą śmiercią. Miałem postanowienie, abyś nigdy nie dowiedziała się, co się ze mną stało i kim był niemy trac. Ale zabrakło mi siły do pozostania na zawsze czarnym w twojej pamięci... Nie mogłem! Boże mój! tyś świadkiem, że tego jednego nie mogłem! Niech ona nie myśli, że po wszystkim, co stało się i gdy ją utraciłem, piłem szampana i różne tam inne...

I ty mi przebac! Tyle lat przeszło, jestem teraz jak ci prości ludzie, którzy prawie nie umieją pisać... Wszystko stoi mi przed oczyma, jak gdyby wczoraj było... Ten kulig, moje stepowe konie, taki jasny rąbek nieba nad śniegiem... domek leśny...

Jeszcze dwa wiersze pisma, prawie zupełnie już nieczytelne. Kilka słów tylko do połowy wynurza się z chaosu znaków.

Bóg... może... do grobu... z czystą duszą...

Jak przez mgłę zobaczyłam pobladałą twarz brata. Silny ten człowiek obu rękoma ścisnął głowę, zbielełymi ustami szepcząc:

— Boże! Boże! Boże wielki!

A potem zawołał:

— Chodźmy! Nie! Jedźmy! Prędej!

Jadąc trzymałam na kolanach chudą dziewczynkę, która wskazywała drogę. Wkrótce przybyliśmy do miejsca, od którego jechanie stało się niepodobne i puściliśmy się pieszo, biegiem spieszonym, w gęstym już zmierzchu, przez labirynt uliczek, podwórek, ruder, płotów, śmietnisk, aż przewodniczka nasza zawołała:

— Tu! Tu!

I we wnętrzu niskiej chałupy zniknęła.

Mała izdebka z ciemnymi ścianami i w świetle nędznej lampki, mętnie majaczące postacie ludzkie, z których jedna ujrawszy nas wchodzących, stłumionym głosem rzekła:

— Już! Już!

W tym nawet siedlisku nędzy można było po uciszonych postaciach i głosach rozpoznać, że śmierć już tu jest; ktoś milczącym gestem wskazał zamknięte, niskie drzwiczki.

Prosiłam brata, aby na chwilę tu pozostał, bo chcę być sama jedna...

Otworzyłam niskie drzwiczki i cicho je za sobą zamknęłam.

Tam nie izba już była, lecz nora bez okna, z wilgotną ziemią zamiast podłogi. I nie lampka już choćby nędzna, lecz gliniany kaganek z żółtym płomykiem nad odrobiną tłuszczu. Dym kaganka szedł w ciemność, a płomyk jego czerwoną plamą znaczył spróchniałą ścianę.

Pod plamą czerwonego światła grubym okryciem zasłonięte martwe na niskim legowisku wzdymały się kształty człowiecze. Ciężkie, kamienne kształty, z twarzą ginącą we włosach osypanych popiołem.

Oparłam się o niskie odrzwia i stałam zmartwiała jak ten trup...

Był niegdyś zielony dzień majowy... Las, młode pędy sośniny jak pęki świec w kandelabrach jasne w słonecznym złocie, deszcz jaskrów na murawie, wysoki krzak róży dzikiej... Płatki różane padają mi na ręce i suknię — jeden upadł na jego złote włosy i drży jak różowy motyl...

Pierwsze spotkanie nasze.

I oto jak spotkaliśmy się po raz ostatni.

Umilkła. W głębi pokoju, dotykane dalekim światłem lampy, mętnie majaczą iskry pozłot na książkach i zarysy obrazów na ścianach. Za oknami stoi bezoka noc listopadowa i w czarnym łonie toczy westchnienia coraz głębsze, coraz głuchsze, coraz dalsze...

Śmierć domu

Hałas grubych rozmów, śmiechów, sprzeczek; tłum koni przez różnych ludzi za uzdy trzymany i bydła, któremu na szyję powrozy zarzucają; tłum chłopów, Żydów, zagrodowców, szary, siermiężny, chęcią zysku rozgrzany, rozgadany, rozmachany, oczami spod zmiętych czapek połyskujący. Wśród tłumu, przed rozwartymi wrotami stodoły, stajen, obór, na podścielisku słomy brudnej i zmiętej — kocz stary, kabriolet jeszcze nowy i ładny, parę bryczek, wozy, z których na jednym błękitno pomalowana młocarnia, na innych pługi z połyskującymi lemieszami, brony zębami do góry obrócone, splątane nogi od stołów i stołków, grube, czerwone szafy, nadwerężone albo i połamane, bezimienne i bezkształtne sprzęty, narzędzia, graty, rupiecie. To wszystko na wielkim, gładkim dziedzińcu, z którego strony jednej stoi wysoka gęstwina drzew, prawie pozbawionych liści,

z drugiej, za sztachetami tu i ówdzie rozwalonymi leżą pod białym niebem pola brunatne, rozległe, uśpione.

Pod gęstwiną drzew, która zasłoną z ciemnych koronek wznosi się nad białym, długim domem, na głębokim ganku przez cztery grube słupy wspieranym stoi stół z brudnym kałamarzem, z trochę szarych papierów, z piórem w atramencie powalonym i ze starym dzwonkiem, którego rączka naśladuje figlarnie wykrzywioną małpkę. Przy stole trzy nie zajęte w tej chwili krzesła: z obu stron ganku po sześć okien, niewiele nad ziemią wzniesionych — wszystkie pozamykane szczelnie, a wewnątrz nagie. Nad gontowym dachem o szerokim u dołu okapie i spiczastym szczycie, na drzewie najwyższym, sterczy przez wiatr zapewne wykrzywione gniazdo bocianie.

Drzwi domu staroświeckie, okryte rzeźbą naśladującą gęste nabicie gwoździ, rozciągają się szeroko i kilku ludzi z wielkim stukiem grubego obuwia wynosi z nich sprzęt długi i ciężki. Jakby na dane hasło, część tłumu hałasującego dokoła koni, bydła i wozów z pośpiechem rzuca się ku gankowi. Zapewne panowie urzędnicy skończyli już jeść śniadanie i wnet zaczną prowadzić dalej przerwana na pół godziny licytację. Konie, bydło, narzędzia gospodarskie, graty zawałające oficyny i spichrze już są sprzedane i nabyte; teraz kolej na sprzęty domowe. Ho, ho, ciekawa to rzecz sprzęty takiego starego domu; bardzo starego, bo Joachim ogrodnik, który już ze siedemdziesiąt lat ma, najpewniej opowiada, że zbudowano go za młodości jego dziadka. Nazbierać się też tam musiało rzeczy różnych przez czas tak długi i przez życie tylu pokoleń. Toteż młody Franus Kulik, w najbliższe zapusty ożenić się mający, gwałtownie ludzi rozpycha i z rękami zuchwale na kłębach opartymi staje najbliżej ganku. Ale młynarz Zawruk i handlarz Mendel nikomu na licytacjach ustępować nie przywykli; więc piersiami jak taranami o stalowe łokcie buńczucznego zagrodowca tłuką, a oczami pożerają ustawioną na brzegu ganku kanapę długą, głęboką, całą z mahoniu, z ogromnymi poręczami i obiciem, na którym wśród tła ciemnego blednieją dwa spłowiałe, na kanwie wyszyte pejzaże. Dawno już te pejzaże wyszyte zostały, bardzo dawno, bo stary Joachim był chłopcem kredensowym i może jeszcze dziesięciu lat nie miał, kiedy starsza pani wyszywała je w krosnach takimi pięknymi włóczkami, że pociągały one wzrok i ręce malca, ilekroć froterując posadzkę na krosna okiem rzucił. Wtedy też starsza pani była jeszcze młoda i do pięknej roboty nie zbliżała się inaczej jak z wesołym nuceniem. Czasem, gdy pana nie było w domu, a dzieci bawiły się w ogrodzie, sama jedna siadywała nad krosnami, przy otwartym oknie, przez które wlatywały szelesty liści, zapachy kwiatów, śmiechy dzieci. Szyła i nuciła. Ile razy nawlokła igłę, tyle razy zanuciła, a czasem i zaśpiewała tak głośno, że po całym domu się rozległo. Jak raz w wigilię imienin pana rymarz Jerzy obił tę kanapę ciemną materią z tymi wprawionymi przez nią pejzażami. Pan był bardzo kontent, goście, których na imieniny pełno się nazjeżdżało, robocie nadziwić się nie mogli. Joachim doskonale dzień ten pamięta, bo jadł w kredensie wiele smacznych rzeczy i paru rówieśnikom przez gości przywiezionym pokazywał w rosnących za ogrodem olchach gniazda szpaków i dudków. Kiedy zaś jak koty włązili na te drzewa, od domu bił gwar muzyki, rozmów, brzęczenia stołowych naczyń. Świat stał w zieleni, dom w wesołości. Nie dziw więc, że to wszystko wybornie pamiętając, starowina w długiej do kostek siermiędze wspina się na palce, suchymi rękoma zawiesza się na poręczy ganku, kościstą szyję wypręża i tak usilnie, uparcie wpatruje się w spłowiałe pejzaże kanapy, że aż żółte powieki pod siwymi brwiami poczynają mu prędko, coraz prędszej mrugać. Ale w tejże chwili pomiędzy grubym i zabłoconym jego obuwie a poręczą ganku cichuteńko przesuwają się stworzenie, które także coś pamięta i ostrożnie tłum ludzki wymijając, zbliża się do kanapy. Jest to pies nieduży, bardzo chudy, z żółtą, zjeżoną od zaniedbania sierścią, z kiciastym spuszczone ogonem i niezmiernie smutnymi oczyma w białych obwódkach. Przybiegł, a raczej przypelzł do kanapy, obwąchał ją i pysk do niej przyłożywszy zaczął po cichu skomleć. Kochana kanapa! Żółty pies pamięta wybornie, że nazywano ją w domu kanapą babuni, że siadywały na niej osoby, które on kochał i których ręce delikatne i przyjazne z pieśczołą przesuwają się po jego gładkiej podówcza sierści. On nawet niekiedy i na pejzażach tych siadywać miał prawo, a teraz nie może nawet na nie popatrzeć, bo ludzie cisną się dokoła tłumnie, gwałtownie, aż skurczony, do ziemi przypadły wcisnąć się musi pod kanapę, gdzie związa się w kłębek i ciągle po cichu skomli. Ludzie tymczasem tak ściśle otoczyli

stół z kałamarzem, papierami i dzwonkiem, że z siedzących przy nim urzędników widać tylko jedną czapkę z błyszczącą gwiazdką, jeden profil blady i ostry i jedną chudą długą rękę, która przerzuca papiery. Wąskie usta bladego profilu głośno i dobitnie wymawiają kilka wyrazów, zakończonych głośniejsze i dobitniej wymówionym zapytaniem:

— Pięć! Kto da więcej?

Franuś Kulik, czerwieniąc się, głębokim basem woła:

— Pięć pięćdziesiąt!

Młynarz przez Kulika uproszony milczy, ale handlarz miarkując, że zawsze to czysty mahoń, piskliwie krzyczy:

— Sześć!

Blady profil powtarza:

— Sześć! Po raz trzeci! Kto da więcej?

Kulik w płomieniach cały, z zamaszystym gestem wykrzykuje:

— Siedem!

— Kto da więcej?

Milczenie. Mendel rozważa i wątpi: a kto na takim staroświeckim gracie siedzieć zechce? Nikomu zaś innemu spośród obecnych kanapa z pejzażami na nic wcale przydać się nie może. Więc chuda długa ręka, która przed chwilą przerzucała papiery, wyciąga się do dzwonka, chwytając figlarnie wykrzywioną małpkę i silnie nią wstrząsa. W powietrzu rozlega się dzwonenie przenikliwe. Kulik tryumfujący wydobywa zza kurty skórzany woreczek z pieniędzmi i przystępuje z nim do stołu.

Teraz mnóstwo już rzeczy napelnia głęboki ganek, a ludzie ciężko stukający butami wynoszą z domu coraz to inne i przed schodami ganku ustawiają. Są to najróżniejsze sprzęty w stylach mniej więcej nowych i te sprzedają prędko i łatwo. Trudniej idzie z biurkiem staroświeckim, bogato brązami nabijanym i zdobnym u góry w dwa zwierciadła. Dość drogo je ceniono, a w całym zgromadzeniu nie ma ani jednej pary oczu, która by umiała zachwycić się harmonijnymi liniami i surowym bogactwem tej starej pamiątki. Tylko stary Joachim ciągle u poręczy ganku zawieszony wpatruje się w nią wytrzeszczonymi oczyma, bo bardzo dobrze pamięta, że kiedy ogrodnikiem już będąc przychodził do starszego najpierw, potem do młodszego pana, a potem jeszcze do wdowy po młodszym z zapytaniem, przedstawieniem, prośbą, starszego i młodszego, i wdowę po młodszym znajdował często siedzących przy odchylonej klapie tego biurka, w którego mnóstwie szuflad i szufladek chroniło się mnóstwo gospodarskich i innych papierów. Młodszego szczególnie widzi w tej chwili przed sobą jak żywego. Rachmistrz z niego był wielki; przy tym biurku siadywał wtedy jeszcze, gdy wszyscy we dworze spali, pisał w księgach cyfry, podkreślał, rachował. Młodziutkiego syna tylko zawczasu rachować nie nauczył, bo zaledwie dorósłszy rozkochał się w gwieździe, wleciał ku niej jak orzeł i zginął jak mucha, a raczej jak liść jesienny: poniosło go gdzieś daleko i — przepadł.

— Dwadzieścia! Po raz trzeci! Kto da więcej?

— Dwadzieścia i jeden! — woła siwy jegomość w szaraczkowym surducie i trochę jeszcze wahający się, z machnięciem ręki dodaje:

— Co robić? Niech już choć i takie lusterka dla dziewcząt będą w chacie!

Figlarnie wykrzywiona małpka, chudą ręką wstrząsana, przenikliwie dzwoni. Nabywca, z ustami od lubości rozwartymi, wysuwa szufladki nad klapą umieszczone, a w jednej z nich znalazłszy arkusik papieru, od góry do dołu zapisany, niedbale rzuca go na ziemię. Ale stojący obok jegomostek, łysy, trochę krzywy, w elegancko skrojonym i mocno wytartym paltocie, pokątny doradca z sąsiedniego miasteczka, schyla się pośpiesznie, arkusik podnosi i do oczu przybliża. Nuż dokumencik jaki albo coś takiego, z czego da się choć trochę pociągnąć! Czytając mruży: „Moja mamó złota! Mój brylantowy ojczuszek! Chociaż z Henrykiem jest mi jak w raju, myślą, wspomnieniami, tęsknotą serdeczną często bywam z wami!” Przeskakując oczami jedną stronicę, drugą, trzecią, aż u dołu czwartej wyczytawszy: „Z miłością bez granic ręce wasze całuję, Helenka”, pogardliwie wymawia: „głupstwo!” i znowu arkusik rzuca na podłogę, gdzie go w minut parę rozdeptują i strzępami na ubłoconych podszewkach roznoszą ludzie, cisnący się ku widokowi nowemu. Bo otóż i ona sama, ta Helenka, która matkę nazywała „złotą”, a ojca „brylantowym”, ślicznie wymalowana olejnymi farbami, w białej sukni, z różą przy złotym warkoczku, cienka w pasie, wątła. Ona i obok niej ten chłopak, który to tak dalece rachować nie umiał, że

za gwiazdę zaofiarował życie, gwiazdy nie dostał i życie utracił. Dumny, ognisty chłopak, ciemnymi oczyma spod złotych włosów jak żywy patrzy z portretu.

Najpierw portret panny.

— Po raz pierwszy: Kto da więcej?

— Po raz drugi: Kto da więcej?

— Po raz trzeci: Kto da więcej?

Dzierżawca karczmy dał najwięcej, a prawdę mówiąc, on jeden do nabycia portretu chęć okazał. Ładny obrazek: powiesi go w gościnnym pokoju, w którym czasem nocują podróżni, nad kanapą, z której pilśn wielkimi kłakami wypada, naprzeciw okna upstrzonego przez muchy i przyozdobionego dwoma kaktusami, podobnymi do połamanych kości męczenników.

A teraz portret chłopca. Nikt formalnie kupować go nie chce. Ot, tobie, chłopcze, duma i chęć płacenia za gwiazdę życiem! Ledwie na koniec ten sam karczmarz, który nabył Helenkę i brata jej bierze jak z łaski. Niech tam już będzie tych obrazków do pary: może nocującym w karczmie panom spodoba się panienka, a paniom — panicz!

Małpka brązowa aż szamocze się cała, tak dzwoni; żółty pies wraca od woza, ku któremu odprowadzał kanapę babuni. Stoi teraz ta kanapa na wozie, a na jednym z jej pejzażów siedzi Franuś Kulik z batem w ręku, w przekrzywionej z fantazją czapce i z górnej swej pozycji do kilku sąsiadów przemawiając zanoszący się basowym śmiechem. Bydło, uprowadzane za bramę, ryczy, konie parskają i czasem rżą. Żółty pies złął się bata, ryczenia, rżenia, ku gankowi wrócił i ujrzał stojącą przed gankiem szafę kredensową, na której widok wyschły jego język szybko obrócił się dokoła wychudłego pyska: nie bez racji, bo kiedy niemłoda, skrzętna i gderliwa panna Alojza lub inne osoby te ciężkie dębowe drzwi otwierały, stał on zawsze przy nich z pyskiem po kawałek pieczeni lub cukru wyciągniętym i — nie zawodził się nigdy. Teraz wielki sprzęt dębowy, cały w rzeźbionych szlakach z powodu braku tylnych nóg tak mocno w tył się przechyla, że zdaje się, wnet, wnet krzyknie od zdziwienia albo od przerażenia zemdleje. Jak to! Wynieśli go z kąta, z tego kąta jadalnej sali, w którym przez tyle dziesiątków lat rysowały się ciemne, ciężkie jego kształty, do którego, zdawało mu się, że przyrosły grube jego plecy! Cały w tył przegięty, sprzęt ten wydaje się przerażony i mdlejący, a na ganku głos ostry i donośny powtarza:

— Kto da więcej? Kto da więcej? Kto da więcej?

Z głosem tym łączy się cichszy znacznie, lecz także ostry szczebiot ptaka, który bardzo śpiesznie i z wyraźnym zdziwieniem zapytuje:

— Co to? Co to? Co to? Co się tu dzieje?

Jest to gil z czerwonym łebkiem, który po letnich podróżach dziś właśnie na zimę tu powrócił i oto — co znalazł! Sam dość już stary i należący do rodu gilów, które od niepamiętnych czasów gnieździły się każdej zimy w bliskości tego domu, wiele on o nim wie i pamięta. Wnętrza jego nie widział nigdy, lecz jak wybornie są mu znane te okna, teraz nieme i nagie, gdy przedtem były takie wesołe i strojne w zwojach firanek i zieleni wazonowych roślin! Albo ganek! Zawsze bywał w zimie cichy, czysty, z zamkniętymi szczelnie drzwiami ciężkimi, na których wypukłym rysunku gil przesiadywał niekiedy, przysłuchując się dźwięczącym za nimi głosom ludzkim. I teraz do samego brzegu gankowego okapu uczepiony czerwony łebek to w jedną, to w drugą stronę przekrzywiając, z małymi oczami szeroko wytrzeszczonymi przysłuchuje się, zastanawia, zdumiewa. Trwogi nie czuje, bo widzi przecież, że nikt zajmować się nim ani myśli, tylko przejmując go żal za ciszą ganku i wesołością okien, a przy tym niepokój: czy też nie będzie tu już nikogo, kto by w najsroższe mrozy dla biednych ptasząt wysypywał na ten ganek garście ziaren i okruszków? Opowiadali mu przodkowie, że był to zwyczaj od dawna w tym miejscu praktykowany; we własnym życiu niejednokrotnie korzystał już z niego i nawet bardzo dokładnie przypomina sobie kształty rąk, które przez te drzwi i okna zbawcze deszcze ziarenek na okrutny śnieg wysypywały. Przypomina sobie ręce stare, zwiędłe, z bladymi palcami, z pomarszczoną skórą i inne: młode, ruchliwe, białe, u końca tylko od mrozu jak pączki centyfolii zaróżowione — i inne jeszcze, maluchne, pulchne, do rumianych jabłuszek podobne. Teraz widzi długą, kościstą, bezkrwistą rękę, która chwyta jakiś błyszczący potworek, wstrząsa nim i dzwoni tak przeraźliwie, że gil porywa się z okapu, wzbija się nad spiczasty dach domu, ulatuje w głąb ogrodu, gdzie po chwili, na gałęzi jabłoni ze starą znajomą swoją, sroka o żalobnych skrzydłach, prowadzi zawziętą rozmowę. Na

jabłoni zwisają jeszcze tu i ówdzie czarne i czerwone liście, u stóp jej sztywnie bujają badyle srebrników i bodziszków. Wiatru nie ma najłżejszego, więc wszystko dokoła jest ciche i nieruchome, tylko gil na gałęzi trzepoce się, szamoce i czerwony łebek ku wyżej nieco siedzącej sroce podnosząc szczebiotać nie przestaje:

— Co to? Co to? Co to?

Sroka aż zalega się od śmiechu:

— Kra, kra, kra, kra! Kra, kra, kra, kra!

Gil gniewać się zaczyna. Trzeba być sroką, aby w tym wszystkim powód do śmiechu znaleźć! Lepiej zrobiłaby, gdyby zamiast śmiać się powiedziała mu, dlaczego te okna, takie dawniej wesołe i strojne, teraz są takie nagie i nieme.

Sroka śmieje się znowu i odpowiada, że trzeba gilem być, aby nie wiedzieć, iż kto umiera, u tego oczy gasną.

— Co? Co? Co? — szczebioce gil.

Ale sroka przelatuje na drzewo inne, którym jest brzoza płacząca i uczepiwszy się wiotkiej jej gałęzi, śmieje się jeszcze.

Gil dopędza ją i na kołku od płotu, który ogród od łąki rozdziela, usiadłszy, zapytuje jeszcze, lecz sroka jak na huśtawce buja się na wiotkiej gałęzi brzozowej i drwi sobie z niego i ze wszystkiego. Więc gil na kołku od płota kurczy się, napusza, piórka nastrożębia i półsennymi oczyma patrzy na grupę olch starych, tuż przy płocie dzwoniących szczebiotem szpaków, które spóźniły się z odlotem, a w tej chwili, przy nadchodzącym wieczorze już do snu się układają.

Nadchodzący wieczór powoli i stopniowo napelnia powietrze chłodem zwiększonym i lekkim ściemnieniem. Tym jaskrawiej w zaledwie dojrzanym jeszcze zmroku iskrzy się czerwony tyftek na wysokich poręczach wolterowskiego fotela, tym przezroczystsze wydają się galeryjki drewniane, otaczające parę łóżeczek dzieciennych, tym wyraźniejsze połyski wydają ramy złożone u obrazów i obrazków, kule szklane u lamp, amory brązowe u wieloramiennych świeczników, zwierciadło u gotowalni kobiecej, metalowe figurki, z których jedna, dość duża, przedstawia człowieka w stosowanym kapeluszu, ze skrzyżowanymi ramionami, stojącego na samotnym odłamie skały. Tego i stary Joachim nie pamięta, lecz od ojca słyszał, że tę figurę przywiózł tu z dalekiego Zachodu wracający jeden z mieszkańców tego domu i siadywał potem w wolterowskim fotelu, wpatrując się w nią przez długie godziny jak w przedmiot utraconej czci i nadziei. Może z żalu po tym przedmiocie zestarzał prędko, ludzi unikał, żony nie pojął i lat jeszcze dużo samotnie pod dachem tym przeżywszy, umarł, patrząc na sztywnie z odłamu skały wysterczającą figurę. Joachim znał imię tej figury i imię jej czciela. Ojciec mu opowiadał, że drugi każdemu z wchodzących pokazywał pierwszą, mówiąc przy tym dziwnym głosem: „Wódz mój!”

Oprócz tych znajduje się przed domem wiele rzeczy różnych kształtów i rozmiarów, a wszystkie zdają się porwane gwałtownym ruchem migracji. Szybko bowiem idą teraz sprawy na ganku; prędko jedno po drugim następują pytania: kto da więcej? kto da więcej? — często rozlega się przenikliwy odgłos dzwonka. Robota musi być do wieczora ukończona; śpieszy się publiczność, śpieszą się urzędnicy, śpieszą od ganku ku bramie dwa tłumy: ludzi i rzeczy. Pierwszy na pozór ruchliwego mrowiska, którego pojedyncze postacie mącą się i wzajem uniewyrażniają, drugi, nad głowami i zgiętymi grzbietami tamtego niesiony, wypukła się doskonale każdą ze swych jednostek. Obrazy i obrazki w złożonych ramach, fotel czerwonym tyftykiem obity, gotowalnia na wielkich lwach drewnianych, świeczniki rogate, wazy wysmukłe, ekrany malowane, półki toczące i rzeźbione, zegary o dwu czarnych nieruchomych palcach na białych obliczach, figurki metalowe, pośród których największa, sztywna, ciemna figura Napoleona, nad głowami i zgiętymi grzbietami ludzi niesione poruszają się, rozmijają, rzucają połyski barw, szkła i metali, suną przez gładki dziedziniec szarzącym powietrzem, odchodzą, uciekają. Jakby w panice trwogi lub w szale wędrowki zmierzają wszystkie ku wozom i bramie, wspinają się na wozy, wyjeżdżają za bramę i tam wraz z wozami, na których stoją, piętrzą się, połyskują; rozsypawszy się w strony różne mącą czas jakiś ciemnymi, ruchomymi, coraz malejącymi punktami jednostajną szarzyznę powietrza i martwą senność pól.

Na ganku zaś pozostały jeszcze tłumik ludzi wybucha śmiechem. Cóż to za grat pocieszny wysunął się przez drzwi i stanął na ganku — już ostatni! Ach, jakież pocieszny! Patrząc nań, śmiechu powstrzymać niepodobna! Niby fortepianik, któremu by ogon ucię-

to, niby stół z dwoma rzędami zębów czarnych i wąskich u góry, a u dołu szerokich i jak u starej baby żółtych, wzdłuż popękanych. Krótki, pękaty, z obdartą w kilku miejscach orzechową skórą, stoi ten grat zabawny na bardzo ładnie i subtelnie utoczonych czterech nóżkach, wyszczerzonymi zębami zdając się pytać: kto mię weźmie?

— Trzy dwadzieścia! Kto da więcej?

Nikt nic nie daje. Patrzą, oglądają, śmieją się, ale na co to komu zda się! Pojąć nawet trudno, kto kiedykolwiek na fortepianiku takim mógł grywać.

Tylko Joachim wie, kto na nim grywał i że nie nazywał się on fortepianikiem, lecz klawikordem. Jak przez sen pamięta w dalekim, dalekim dzieciństwie staruszkę małą, pogodną i jeszcze żwawą, gdy ze srebrnymi lokami u malutkiej pomarszczonej twarzy, w kaftanie aksamitnym, drogim futrem obłożonym, w wielkiej sali przed klawikordem siadała i na jego zębach, tak prawie żółtych jak teraz, kładła palce wyschłe, jak kość słoniowa białe i lśniące. Spod tych palców wypływała wtedy melodia lekka, wykwintna, trochę tylko posuwista, pauzami dla składania ukłonów głębokich punktowana, rzewnymi tonami do podnoszenia dłoni ku sercom wzywająca. Kiedy to trochę płocze, trochę smętne, trochę rozromansowane śpiewanie klawikordu z wielkiej sali rozplątało się po domu, służba na palcach przybiegała pod drzwi przymknięte rada posłuchać, jak najstarsza pani gra — menueta. Czasem po menuecie głowa jej w srebrnych lokach romansowo na bok się przechylała i przy cichych akordach klawikordu głosik słaby, od wspomnień melancholijny, od starości dygocący śpiewał: „Już miesiąc zaszedł, psy się uspiły!”

— Po raz drugi: trzy dwadzieścia! Kto da więcej?

Najbliżej klawikordu stoi jegomostek chudy, łysy, trochę krzywy, w kosztownym i poplamionym paltocie, ten sam pokątny doradca, który to list Helenki rzucił tłumowi pod nogi. Stoi przed klawikordem i z uśmiechem na ustach topiących się w rudym zarostcie, z żartobliwymi błyskami w oczach przysłoniętych przez szkła ciemne na jednym z klawiszów opiera palec gruby na kształt tulipana u końca rozdęty. Brzmienie delikatne, drżące rozlega się po ganku. Nie jest to brzydkie: jakby struna harfy zadzwoniła lub komar w ciszy nocnej zabrzęczał. Więc stary grat śpiewa jeszcze! Ciekawość, ilu tonami śpiewać jeszcze może! Dziesięć palców tulipanowego kształtu opiera się na wyżółkłych, wzdłuż popękanych klawiszach, puszcza się po nich, bieży coraz żwawiej, uderza coraz mocniej, aż stary klawikord brzęczy cały hulaszczym, skocznym, coraz skoczniejszym, szaleńczym tańcem. Trzy nuty powtarzane nieustannie i zawrotnie wciąż i rytmicznie przerywa krzyk jednej, ostrej, śpiesznej, namiętnie wołający do tańca bez końca, do szału bez uzdy, do hałaśliwych, pijanych, grubych, strugami potu oblanых podskoków. Ciężko snadź delikatnemu, staremu gratowi wydawać takie krzyki i szaleć, bo podskakuje, wygina się w strony różne, a w harfianym czy komarowym jego brzęczeniu słyszeć takie stękanie, skrzypienie, dmuchanie, dyszenie, że śmieje się grający, śmieją się ci, którzy go otaczają, uśmiechają się nawet urzędnicy, radzi może chwilowemu urozmaiceniu całodzienniej nużącej czynności. W ten chór wesoły mieszają się niebawem dwa jeszcze głosy. Najpierw gil, muzyką zwabiony, przylatuje z ogrodu, zawisa u okapu i czerwonym łebkiem z przestachem, ze zdziwieniem kręcąc szczybiocę: „Co to? Co to? Co to?” Potem pies żółty, do reszty muzyką rozżalony, jak raz naprzeciw grającego staje i z wyciągniętym w górę pyskiem chudym, przeciągle, przenikliwie wyje. Ale i małpka brązowa zaszamotała się nad stołem, dzwonek rozbrzmiał silnie, donośny głos zawołał:

— Po raz trzeci: trzy dwadzieścia! kto da więcej?

Pokątny doradca odrywa palce od klawiszów i odkrzykuje:

— Trzy czterdzieści!

Po czym z lekceważącym gestem do młynarza mówi:

— Czart bierz! Niech go tam bębny moje do reszty roztłuką!

Wtedy stary czelczyzna w długiej do kostek siermiędze jak kłoc ciężko opada od poręczy ganku, do której był uczepiony, mruczy coś pod siwym wąsem i bardzo powoli dom okrążywszy, do ogrodu wchodzi.

Wilgoć, milczenie, zmrok panują w krzyżujących się alejach szerokich i wąskich, na kwadratach zasadzonych owocowymi drzewami i sterczącym mnóstwem suchych badyli, w gęstych grupach krzewów, na klombach, pośród których świecą brudną żółtością i bielą przymrożone kwiaty. Liście opadłe, wilgocią do ziemi przybite, zaścielają wszystkie drogi, tylko gdzieś tam wybijają się z ich pstrego pokładu czerniejąca zieloność trawy.

Przez szeregi drzew tworzących aleje i przez gęste ich grupy widać za coraz ciemniejszymi koronkami gałęzi niebo coraz głębiej szarzejące. Powietrzem prawie nieruchomym przelatują lekkie wiatry, a ilekroć nadlatują, u stóp drzew z cichutkim szelestem porywają się tumanki opadłych liści i trochę tylko posunawszy się nad ziemią padają znowu ociężałe, zamierające.

Stary Joachim, idąc kasztanową aleją, stopy ciężko obute bardzo powoli stawia na sprężystym podścielisku liści zwiędłych i mokrych.

Idzie, staje, z głową zadartą spogląda na szczyty kasztanowe, znowu idzie, zatrzymuje się, dziwnie starannie ogląda miejsce, na którym stała pod wiazem ława; idzie dalej, w wąskiej, lipowej alei pacierz mruczeć zaczyna i przerywa go sobie na widok brzoź płaczących, przed którymi długo kiwa głową, aż skręciwszy na inną znowu drogę kroki wstrzymuje przed wielkim klombem krzewów. Na bezkoralowy patrząc, palcem dotyka oczu i wraca do kasztanowej alei, z której skręca w inną, złożoną z lip i jesionów, aż znowu znajduje się pod wiazem i od niego stąpać zaczyna wzdłuż szeregu brzoź płaczących. Tak chodzi po jednych wciąż miejscach zamyślony, czasem palcem dotyka oczu, czasem ręką czyni gesty zastanowienia, a za nim, tuż za skrajem jego długiej siermięgi, chodzi stworzenie chude, smutne, nieśmiałe, ze spuszczonego ogonem i pyskiem, tak cicho stąpając, że kroki jego na zwiędłych i mokrych liściach nie sprawiają żadnego szelestu. Raz przecież tam, gdzie liści było najwięcej, zaszeleściły. Joachim ogląda się i staje. Człowiek ze spuszczonej twarzą i pies z lekliwie podniesionym pyskiem patrzą na siebie przez chwilę niezmiernie smutnymi oczyma.

— Pójdź, Azor!

Żółty pies uszom swoim nie wierzy, aby ktokolwiek jeszcze na świecie mógł doń przyjaźnie przemówić! Stoi i czeka!

— Pójdź, Azor!

Teraz pies śmieje już nieco za długą siermięgą człeczyny iść zaczyna i obydwaj wychodzą z ogrodu.

Przed domem, na ganku i na dziedzińcu już ani żywej duszy nie ma. Odjechali, odeszli wszyscy. Cicho. Drzwi domu z wypukłym rysunkiem zamknięte; wrota obór i stajen zamknięte; okna oficyn ciemne; czuć, że i za nimi żadnej duszy żywej nie ma. Cicho i pusto. W górze niebo głęboko szare, w powietrzu zmrok, u dołu ziemia mokra, zryta stopami ludzi i kopytami zwierząt; dalej, dokoła, ciemne, rozległe, śpiące pola, a pod czarnymi koronami drzew bezlistnych — dom długi, bielejący w zmroku, z zamkniętymi drzwiami i oknami.

Joachim z dała przed gankiem staje i na piersi kładzie szeroki znak krzyża, jak to ma zwyczaj czynić przed leżącym w trumnie umarłym. Potem ku bramie iść zaczyna, lecz przypomniawszy coś sobie odwraca się i woła:

— Azor, pójdź!

Pies, życzliwe wołanie usłyszawszy, wydaje ciche skomlenie radości, bieży, a gdy znajduje się już tak blisko człowieka, że pyskiem skraju siermięgi prawie dotyka, znowu powoli, bez szelestu iść zaczyna. Tak jeden za drugim wychodzą z bramy, przez chwilę w prostej linii przeryniają pole, potem na boczną drożynę zwracają, maleją, czas jakiś mając jeszcze w oddaleniu punkcikiem coraz drobniejszym, aż w niezmiernym rozłogu pustki, zmroku i śpiących pól znikają.

Wtedy nie pozostaje tu już nikt żywy, ani nawet pies. Wieczór staje się coraz ciemniejszy, bo szmaty chmur płyną już teraz pod obłokami i zaczynają spuszczać na ziemię deszczyk drobny i zimny. Tak upływa godzin parę, po czym ciszę przenikają na wskroś coraz silniejsze poddmuchy i szumy. Przylatują one od łąki, na której ciemność klębi się to gęstsza, to rzadsza, budzą w olchach szpaki, na jabłoni gila, w wiotkich gałęziach brzozowych srokę, która wybucha chrypliwym od senności śmiechem: „kra! kra! kra!”. Potem ptaki usypiają znowu, a wiatry od łąki lecą coraz szybsze, przyciszonym huczeniem napęniają aleje, z lekkim traskiem łamią suche gałązki i badyle, przenikają aż do dna warstwy liści zwiędłych, które wzdymają się w tumany, lecą przez ciemność, rozsypują się, padają i znowu wzbijają się, szeleszczą, lecą. Aż w najsilniejszym podmuchu zaszamotały się drzewa najbliższe domu rosnące i gałęzmi jak palcami w ciemne jego szyby zadudniły, zadzwoniły.

Do ciemnego wnętrza domu wnika przez okna mętna światłość, coś na kształt szarej godziny wobec grubej nocy i pasami kładzie się na sufitach niskich, na gładkich posadzkach, na ścianach od końca do końca nagich. Ściany te, zalane ciemnością, napętniają teraz szept ciche, lecz tłumne, w których wyraźnie słychać akcenty zapytań zadziwionych, strwożonych, coraz naglejszych, niespokojniejszych, szybszych. Zdawać się to może pełnym trwogi i niedowierzania porozumiewaniem się mnóstwa istot, które z różnych stron tu zleciawszy znalazły się wobec czegoś, co wprawilo je w obłęd zdumienia. Słychać, jak wirują dookoła siebie z szumem drżącym i niespokojnym szeptaniem nie wiedząc, dokąd iść, gdzie szukać, kędy spocząć, pocieszyć się, wspominać. Zrazu w wielkiej sali zgromadzone rozpraszają się niebawem po całym domu, w którym już nie ma żadnego spokojnego miejsca. W jednym z pokoiów wszystkie cztery ściany obiega szmer kroków ciągle, nieskończony, niezmordowany, jakby czegoś rozpacznie szukający, jakby goniący widmo, które wciąż ukazuje się i znika. Gdzie indziej odzywa się westchnienie, w którym brzmi jedna zgłoska: „Ach, ach, ach!”, a naprzeciw daje się słyszeć stłumiony okrzyk: „Boże! Boże!”; po czym westchnienie i okrzyk powtarzają się ciągle, to wzdymając się, to opadając, tworząc rozmowę o nierównym i nieznużonym rytmie. Gdzie indziej brzmi wołanie, w którym czuć przyzywanie kogoś po imieniu, przyciszone, monotonne, ciągle, ciągle, coraz tęskniejsze, nadaremne. Tu przez pokoje ktoś bardzo śpiesznie bieży i ze stukiem na podłogę pada; tam cieniutki głosik brzmi skargą, którą tłumią pocałunki, wnet zagłuszone jękami przebiegającymi wszędzie i krzyżującymi się z mnóstwem biegnących w różne strony łkań, wołań, zapytań śpiesznych, rozmów szemrzących jak użalania się przewlekłe i pełne namysłu obrady. W tym zgiełku cichym, a jednak tłumnym, głos męski, przerażony, donośnie przemówił: „Więc już! więc już!” Inny, łkaniem wzdęty, odpowiedział: „Koniec! koniec! koniec!”; inny jeszcze wzbił się głośnie krzykiem: „Wodzu mój!”, a inny, skrzydłami o ścianę tłukąc, powtarzał długo: „Gwiazdo, gwiazdo, gwiazdo, za którą dałem życie!” — jeden jeszcze zaszeptał: „Mamo złota! Mamo złota!” i stopił się w płaczu, a drugi delikatny, nieco rozromansowany, od starości dygocący, słabo zawiódł: „Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły!”. Lecz wszystko to zagłuszył wielki szum wołający: „Cicho! Cicho!” i wkrótce przemieniony w zbiorowe, ogromne, głębokie szlochanie, które wzdęło się w lament przewlekły, pełen zawodzeń, narzekań, wołań, wzywania Boga, opowiadań brzmiących jak długie recytatywy, w lament, który nappełnił dom cały od wierzchu do dołu i trwał bardzo długo.

Wiatry lecą od łąki, na której kłębią się ciemności, szumią w olchach, huczą w alejach z kasztanów, lip i jesionów, wstrząsają wiekową głową wiązu, łamią z małym trzaskiem suche gałązki i badyle, podnoszą z ziemi szeleszczące tumany uschłych liści, szamocą gałęzmi drzew, najbliżej domu rosnących. Te gałęzie bezlistne, twarde, od deszczu mokre, jak palcami dudnią po szybach okien, za którymi w pustym wnętrzu domu zapanowuje o bladym i słotnym poranku niezmacona cisza grobu.

Panna Róża

Jak żyję, nie doświadczyłem większego zdziwienia nad to, którym przejęło mnie opowiadanie czy wyznanie tego zacnego, wykształconego, przyjemnego, nade wszystko zaś bardzo, bardzo majątnego pana Seweryna Dorszy. Kiedy taki człowiek mówi, wierzyć trzeba; a jednak, któż by przypuszczał, któż by mógł się spodziewać? Więc słusznym jest rozkaz dany człowiekowi, aby nie czynił się sędzią bliźniego swego? Tak, tak! Bo czasem na nieznanym dnie czyjegoś serca leży w ukryciu taki brylant, że niech się przed nim i Książę Regent z angielskiej korony schowa! Tylko że samo jedno widzi go oko boskie...

Chyba jedno boskie oko widzieć mogło, że ta panna Róża posiada w ogólności jakikolwiek brylant, gdyż dla ludzkich oczu jest to sobie taka nie zajmująca i nic nie znacząca figurka, co to ją można sto razy widzieć, a niespodziewanie spotkawszy nie poznać i sto razy spotkać, a ochoty do najmniejszego zbliżenia się nie doświadczyć. Ani młodości, ani wdzięku, ani wyższej inteligencji, ani stanowiska w świecie — słowem: nic z tego wszystkiego, co może zbliżającemu się człowiekowi przynieść zysk pod postacią jakąkolwiek, więc też na zbliżenie zasługiwać. Bo tak: jeżeli kobieta jest piękna, choć-

by nieszporna, choćby tylko młoda, to tam człowiek różnych przyjemności kapitałnych lub pomniejszych spodziewać się od niej może; jeżeli znowu posiada inteligencję niezwykłą, dowcip, talent, to oprócz konwersacji przyjemnej i tego miłego podrażnienia ciekawości, które każda niezwykłość obudza, jest jeszcze w perspektywie niejaki odbłask, rzucany przez wszelką błyszczącą rzecz na tych, którzy się do niej przybliżają. Zresztą piękny umysł — to w teraźniejszych czasach najczęściej, dla kobiety zarówno jak dla mężczyzny, i piękna pozycja w świecie; a jeśli kobieta znajdzie się w posiadaniu tej ostatniej, nie przez samą siebie, ale przez męża — i tak dobrze, bo skąd wzięta, to wzięta, byle była, a już zaraz łatwiej dostrzec różne brylanty i w sercu, i w głowie. Lecz istnieje cała kategoria kobiet takich, iż gdyby nagle rozwiały się w powietrzu i zniknęły, nikt nie spostrzegłby, że już ich nie ma, ani spostrzegłszy, po nich westchnął. Bywa to nawet często pracowite, uczynne, usługujące, jakby wiecznie przepraszające za to, że żyje na świecie; a pomimo to szacunku i sympatii ku sobie nie obudza. Ej, nie! Siew uczuć jest zbyt drogi, aby go rozrzucić po takich jałowych dolinkach, gdy plony wydać może tylko na gruntach wysokich i żyznych. Do takich dolinek należy właśnie ta panna Róża, która w charakterze ubogiej krewnej i zarządzającej gospodarstwem ochmistrzyni przebywa w powszechnie znanym i szanowanym domu naszych zacnych, miłych, gościnnych, majątnych państwa Januaroństwa. Mówię: naszych, bo mam zaszczyt sąsiadować z Dworkami i poczytywać się za bliskiego znajomego, prawie za domownika ich właścicieli. Ładny majątek i — bez długów. Samo już to, że pan January nie ma długów, coś dla sąsiadów jego znaczy, bo każdemu jest przyjemnie zostawać w znajomości, a jeszcze i poufałej — z fenomenem. Gdyby brat pana Januarego żył, z majątkiem byłoby nieco inaczej, bo musieliby się nim podzielić. Ale ten biedny Bronek od dawna już przestał po tym świecie chodzić. Dlaczego i jakim sposobem przestał? — o tym dawniej w Dworzech ludzie mawiali po cichu, a potem mówić przestali, zapomnieli; pamiętały może sosny lasu, który zaczynał się bliźutko od dworu, a ciągnął się kędyś, aż bardzo daleko; pamiętać też musiała panna Róża, bo wyobraźcie sobie państwo rzecz trudną do wyobrażenia, ale prawdziwą, że była ona niegdyś zaręczona z rodzeniutkim bratem naszego majątnego i kochanego pana Januarego, z tym biednym Bronkiem, co to tak marnie... No, mniejsza o to, ale było potem powszechnie wiadome, że kiedyś panna Róża była narzeczoną jednego z najprzystojniejszych i najmajątniejszych w okolicy naszej kawalerów. *Sic transit gloria mundi*.

Jednak, prawdę mówiąc, i teraz jeszcze, gdyby się kto przypatrzył uważnie, mógłby w niej dostrzec nie tylko ślady, lecz może i pewne przetrwałości dawnej urody. Nie będąc już młoda i bardzo też stara jeszcze nie jest; tylko że nic wcale nikogo do przypatrywania się jej nie skłania, a skądinąd znowu taka panna Róża jak świeczka przy słońcu musi stawać się niewidzialna wobec takiej pani Januarewej. Bo okolica nasza prawdziwie pochłubić się może posiadaniem tej kobiety, różowej jak zorza, białej jak mleko, hożej jak młoda pani, okazałej jak królowa, a w dodatku mądrej... oho! Żeby była bardzo piękna — to nie: nosek za krótki, buzia za szeroka, włosy koloru blond za rzadkie, ale cera jak róże ze śniegiem, wzrost bujny, ciała białego dużo, wargi koralowe. Żeby była wykształcona albo utalentowana — także nie, ale jest w niej sprycik taki, co to sam przez się stanowi pewien gatunek mądrości i to nie byle jakiej, bo prowadzącej do posiadania różnych dóbr tego świata... no, naturalnie, że nie tamtego, zaziemskiego niepewnego, ale tego tutejszego, praktycznego, jedzącego, pijącego i smacznie śpijącego świata. Już pierwszym dowodem tego spryciku było jej wyjście za mąż za pana Januarego.

Wdowiec z trojgiem dzieci, z włosami szpakowatymi, a wąsem zupełnie już białym, ze zbyt czarnymi rumieńcami na tłustej twarzy i ze zbyt czarną tuszą dla niewysokiej figury, nasz kochany i szanowany pan January zakochał się w dziewczynie do czerwcowego południa podobnej, ale złamanego szeląga posagu nie mającej. Może zresztą i za wiele powiedziałem, że zakochał się, bo i wiek nie bardzo był już po temu, i nigdy nie należał do rzędu tych, którzy w niebieskich migdałach smakują. Ale w oko mu wpadła, podobała się, że zaś Dworki są majątkiem dobrym i nieobdłużonym, dla czegoż miałby odmawiać sobie jednej przyjemności więcej w tym tak krótkim i utrapionym życiu ziemskim? A jeżeli to, że się o pannę Izę oświadczył, było bardzo zrozumiałe, głupcy tylko dziwić się mogli, że ona te oświadczyzny przyjęła. Byli tacy, którzy dziwili się i tacy, którzy się martwili. Jakiś młokos na małej folwarczynie siedzący, który szalenie się w niej kochał, tak się jej postanowieniem zaalterował, że, aby w sąsiedztwie niewdzięcznej bogdanki nie pozostać,

folwarczynę sprzedał i na skraj świata pojechał. Ale to wszystko jest pustym i czczym romantyzmem. Fakt zaś tak się przedstawia, że pani Januarowa żyje sobie w Dworkach jak królowa, otoczona dostatkami, elegancjami, szacunkiem powszechnym i dworem, którego mąż jej jest pierwszym marszałkiem. Bo to i wiedzieć trzeba, że nasz rozsądny i skądinąd energiczny pan January bardzo, bardzo zostaje pod wpływem żony; niektórzy utrzymują nawet, że cokolwiek jej się boi. Żeby się bał — nie myślę, bo przecież majątek do niego należy, a ona ma na nim tylko prawną część i dożywocie; ten zaś, do kogo majątek należy, jest panem położenia i nikogo bać się nie potrzebuje. Ale trzydzieści lat różnicy w wieku małżonków — to istotnie racja wytwarzająca pewną, że tak powiem, skłonność do ustępstw ze strony tej, na której niekorzyść różnica ta wypada. Bo to i energii mniej znajduje się po tej stronie, i zawsze jakieś mimowolne poczuwanie się do winy czy do niższości. Więc też i w tym małżeństwie, jeżeli kto ustępuje przed kim, to on przed nią, jeżeli kto znosi cokolwiek od kogo, to on od niej: tak się już z tym pani Januarowa urządziła; a przecież każdy przyzna, że największa mądrość człowieka polega na takim urządzeniu się, aby, o ile podobna, najmniej znosić. Są tacy, którzy utrzymują, że cierpienia mają swoją dobrą stronę, kształcą serce, hartują ducha i coś tam jeszcze w tym rodzaju robią. Bajki! Zdrowie marnują, życie skracają, zmarszczki do twarzy napędzają, apetyt niszczą — i każdy, jak może, tak od zbawionego pieprzu tego ucieka, tylko że nie każdy uciec potrafi. Nasza kochana pani Januarowa potrafiła, więc słusznie mówię, że choćby nie tak to bardzo wykształcona i rozumna, jednak — rozumna! Ale powracam do panny Róży. Ile razy wypadkiem stanęła w mojej obecności obok pani Januarowej, zawsze przychodziło mi na myśl: jakie to jednak bogactwo kontrastów na tym świecie istnieje. Nie jest bardzo małego wzrostu, ale że ogromnie zeszczupiała, twarz ma bladą i ubiera się zawsze w szarą, beżową suknię; więc przy okazji, świeżej jak zorza, świetnie wystrojonej pani Januarowej wygląda jak niteczka węgla i spłowiła obok rozwiniętej w całej okazałości sztuki materii jaskrawej, mięsistej i szeleszczącej. Stosunek pomiędzy dwiema tymi paniami jest naturalnie taki, jaki być musi pomiędzy zwierchniczką a podwładną — kobietą, której los sprzyja i taką, dla której nie okazał żadnej sympatii. Kiedy przed ożenieniem się pan January prosił narzeczoną, aby zgodziła się na pozostawienie panny Róży w przyszłym swym domu, bo jest krewną jego i zupełnie ubogą, a w domu tym wychowaną, teraz zaś dzieci jego osierocone po matce hodującą — panna Iza chętnie na prośbę tę przystała, mojej siostrze zaś, z którą była i jest w wielkiej przyjaźni, zwierzyła się potem:

— A cóż mi to szkodzi, że ta stara panna będzie w domu? Owszem, zajmie się gospodarstwem i mnie przynajmniej nudne kłopoty z głowy zdejmie. Przy tym, te dwie dziewczyny... chłopak nie tyle, bo większy, ale te dwie dziewczyny jeszcze małe, mogłyby mi nieraz kością w gardle stać. Niech tam ona dogląda ich i różnych tam potrzeb ich pilnuje. Owszem, niech zostanie w domu; jeszcze jej pensję jaką wyznaczę.

Ale panna Róża chciała z początku inaczej trochę stosunek swój do pani domu zrozumieć. Gospodarstwem i młodszymi dziećmi zajmować się — owszem, z całego serca, z wdzięcznością nawet za pozwolenie, pragnęła. Pensyjkę przyjęła także, bo i dawniej, nieco nawet większą, za te same czynności od krewnego otrzymywała. Tylko że oprócz pracy z jednej strony, a pensji z drugiej, coś innego chodziło jej po głowie. Wiem o tym wszystkim szczegółowo od siostry mojej, a powiernicy pani Januarowej. Otóż niebawem po przybyciu do Dworków młodej pani panna Róża przyklękła u jej kolan i zaproponowała, aby były, to jest, aby ona i pani Januarowa były sobie siostrami. Mówiła przy tym o swoim przywiązaniu do pana Januarego, do domu, do dzieci i o tym, że żonę jedynego krewnego swego gotową jest pokochać jak siostrę. Pani Januarowa zaś, z odznaczającym ją zazwyczaj rozsądkiem, odpowiedziała:

— Moja panno Rózo, ja mam dwie siostry i nie powiem, abyśmy, razem u papy będąc, bardzo sobie życie nawzajem uprzyjemniały! Ja pannę Różę szanuję i w domu moim pani mieć będzie wszelkie wygody, ale próżnych słów nie lubię. Kochanie! Siostry! Po cóż to mówić, skoro my z panną Różą ani kochać się nie potrzebujemy, ani siostrami nie jesteśmy. Najlepiej żyć bez fikcji!

Kiedy projekt zsiostrozianienia się w ten sposób upadł, panna Róża w jakiś czas potem poprosiła, aby pani Januarowa ją nazywała i siebie nazywać pozwoliła po imieniu:

— Te wieczne tytuły, takie chłodne!... Mów mi: Róziu, ja będę mówiła: Izo. To cieplejsze i zbliża.

— Dobrze — odpowiedziała pani Iza. — Mnie wprawdzie nie zimno i nie wiem, co od tego zależy, czy kto kogo tak albo inaczej nazywa. Ale jeśli to pannie Róży zrobi przyjemność...

A przy najbliższej sposobności przemówiła po dawnemu: Panno Rózo! Ta zrozumiała i nigdy już więcej tego przedmiotu nie dotknęła.

Jednak takie stworzenia cichutkie i bledziutkie bywają czasem bardzo uparte: coś w nich siedzi, jakaś niewyekspensowana sympatia czy inna *fikcja* w tym rodzaju i wiecznie pobudza do prób, które się też wiecznie nie udają. Tak i ta panna Róza: nie zrażona kolejnym upadaniem swoich projektów, jeszcze przez czas jakiś próbowała młodą panią domu wziąć na czułość; do tytułu pani dodawała przymiotniki takie, jak: droga, kochana, złota, jedyna, dogadzała jej jak małemu dziecku albo staruszce, uwielbiała jej młodość, świeżość, urodę i ten zdrowy rozsądek, od którego sama o sto mil z okładem oddalona była. Pani Januarowa przysługi i uwielbienie przyjmowała jako rzecz zupełnie sobie przynależną, przymiotniki towarzyszące tytułowi pani pobrażliwie zносиła, lecz dalej na tej drodze zachodzić nie miała zamiaru ani chęci. Toteż ilekroć panna Róza w jakiś żywszy i wyraźniejszy sposób dążenia swe do wymarzonego zbliżenia objawiła, tylekroć pani Januarowa powstrzymywała ją słowami:

— Dobrze, dobrze, moja panno Rózo, tylko bez tych fiksj.

Nigdy nie nabyłem pewności, czy pod tym ostatnim wyrazem pani Iza zrozumiała zmyślenie, czyli obłudę, albo też obląkanie, czyli fiksję; wymawiała go zresztą zawsze z chwilową zmarszczką na białym czole i lekkim wykrzywieniem koralowej wargi, które razem wzięte stanowiły tak zwany grymasik, bardzo ładny i z którym jej było bardzo do twarzy. Wolno przecież każdej ładnej kobiecie robić grymasiki, z którymi jej do twarzy! Ale na pannę Różę wszystko to wywarło wkrótce wpływ stanowczo zabijający złudzenia: ochłodziła i ucichła — bardzo ucichła, tym bardziej że i pan January, który dawniej gawędził z nią czasem i przyjaźń jej okazywał, teraz, zajęty młodą żoną i ciągłymi gośćmi, prawie przestał do niej mówić, stopniowo prawie przestał ją widzieć. Z początku to jeszcze, dawnemu przyzwyczajeniu wierny, niekiedy przysiadł się do niej, albo na „dzień dobry” i „dobranoc” w rękę ją całował, ale pani Iza cichutko i ze swoim ładnym grymasikiem zaraz go przestrzegala:

— Mój Janusiu, tylko bez tych fiksj.

Czasem mawiała: bez tych czułości! Więc wystrzegać się zaczął, rychło dawne przyzwyczajenie utracił i do panny Róży odzywał się tylko w razie jakiejś potrzeby gospodarskiej — krótko, sucho, zwyczajnie jak do osoby, która pełni w domu jakąś czynność, ale sama przez się zupełnie nic nie znaczy.

Więc panna Róza ucichła, ale tak doskonale, że choć często bywałem w domu szanownych państwa Januarostwa, nie pamiętam, czy przez ostatnie kilka lat dwa razy głos jej usłyszałem. I trudno, zaprawdę, było, aby mówiła, kiedy nikt do niej nie mówił. Jednakże dom w Dworzech jest z całego sąsiedztwa najbardziej ożywiony. Czemuż by nie? Pokoje duże i ładnie umeblowane, jest więc czym oddychać i na czym wygodnie siedzieć; przyjęcie zawsze wysmienite, bo i stać na to, i sam pan January zna się na kuchni jak rzadko kto; gospoia młoda, hoża, pasjami lubiąca grać w winta. Oboje państwo w Dworzech przepadają za wintem, ale ona jeszcze więcej niż on. Są tacy, którym się to nie podoba. Powiadają, że to jakiś świeżo importowany do nas zwyczaj, aby białogłowa młoda, silna choć drzewo rąbać, połowę życia albo i więcej przy kartach spędzała. Dawniej, powiadają, tylko stare jejmoście, gdy wnuki do snu zakolysały i różaniec odmówiły, zasiadały ze starymi jegomościami do mariasza, na krótką godzinkę. Wszystko to prawda, ale naprzód, co nie jest, nie pisze się w rejestr — następnie jeden wiek do drugiego niepodobny, a nasz, to, panie dobrodzieju, właśnie jest wiekiem dekadentyzmu, ateizmu, kosmopolityzmu, melancholii, panamy i winta. W czasie, o którym opowiadam, panama wprawdzie jeszcze nie nastała, ale wint już panował. Rzadki też bywał i bywa w Dworzech taki dzień, żeby choć parę osób z sąsiedztwa lub z pobliskiego miasta nie przyjechało, a nierzadko zjeżdża się kilka lub kilkanaście. Grywają do godziny drugiej, trzeciej po północy, po czym rozchodzą się do snu, z którego powstają około południa. Na skróconej w ten sposób przestrzeni dnia mieści się jednak mnóstwo rzeczy wysmienitych, jako to: wi-

ceśniadanie, śniadanie, obiad, podwieczerek, wieczerza, wicewieczera. W przestankach trochę rozmowy, trochę fortepianowej muzyczki, w piękną pogodę spacer, a zresztą — najmiłszy ze wszystkiego wint. Wszyscy, ilu nas tam bywało, z wyjątkiem pana Dorszy, lubiliśmy go bardzo, ale pani Januarowa najbardziej; bo kobieta zawsze, gdy co lubi albo czego nie lubi, to już nie żartem. Siostra moja, Idalcia, raz śmiejąc się powiedziała:

— Ten wint to kochanek Izy.

I prawdę powiedziała. Nie ma na świecie człowieka, który by nie potrzebował wyeksponować na jakikolwiek przedmiot swojej energii i uczuć, a pani Januarowa nie ekspensując ich wiele na nic i na nikogo... Chociaż, gdyby ten najzacniejszy pan Dorsza przy całym rozumie swoim nie był głupi, to może... Ale o tym potem. Dość, że nasza kochana i miła gospośia w Dworach naprawdę nie była wcale gospośią. W pokoju panny Róży stała na komodzie skrzynka pełna kluczy, na stole leżały rachunkowe książki. Często w czasie rozmowy albo i gry w karty zdarzyło się wypadkiem spojrzeć przez okno. Deszcz, szaruga, blocko, albo śnieg, mróz, zawierucha taka, że całe powietrze szumi, wyje i świszcz; a kobiecina wątła, w szarej sukni, w watowanym kaftanie biegnie przez dziedziniec do spichrza, pralni, piekarni, mleczarni, do oficyny z kuchnią i do tej, w której się znajdują pokoje dla gości. Za nią ślad w ślad czasem kucharz z rondlami, czasem praczka z koszem pełnym bielizny, czasem inni służący rozmaici. Raz, widząc ją biegnącą tak po śniegu, zauważyłem, że przy czarnym kaftaniku ma coś mocno różowego. Aż tu i ktoś inny przez okno patrzący spostrzeżenie wyraził:

— Czy to panna Róża dwa różowe tulipany ze śniegu wyrwała i niesie?

Młodsza z domowych panienek, blondyneczka, Marynia, smutnym głosikiem objasniła:

— Ej, nie, to u cioci ręce takie czerwone od chłodu. Biedna ciocia!

A nasza kochana pani Januarowa, która właśnie w tej chwili na zielonym stoliku karonkę rozkładała, rozmowę tę usłyszawszy rzuciła spojrzenie na swoją rączkę dość dużą, lecz jak mleko bieluchną, jak pączek tłusciuchną, pierścionkami świecącą, prawdziwie apetyczną rączkę dobrze wykarmionego leniuszka.

Przed wszystkimi tak licznymi w tym gościnnym domu zasiadywaniami do stołu panna Róża uwija się po jadalni, dozoruje nakrycia, dyryguje lokajami, co moment na zegarek patrzy. Toteż gdy z panią domu na czele goście wchodzi do obszernej wyelegantowanej sali, na stół nakryty aż miło spojrzeć: takie na nim wszystko porządne, staranne, przyozdobione, wyelegantowane. Najemne ręce nigdy by tego nie dokazały, aby codziennie i tyle razy na dzień tworzyć takie arcydzieła porządku i dobrego gustu. Twórczyni zaś tych arcydzieł siada sobie cichuteńko przy samym końcu stołu i milczy jak ryba. Gwarzymy, bywało, wszyscy; śmiejemy się; zającując i popijając smaczne rzeczy wpadamy w złote humory: a ona je tyle, co ptaszek, dziobnie czasem coś z talerza i zaraz sztucce odkłada, a oczami albo ruchy lokajów śledzi albo przekonawszy się, że usługa idzie jak najlepiej, utkwii je w talerz i siada zamyślona, jakby wcale do tego świata nie należała. A właśnie wtedy wzrok mój, nie wiem, jaką siłą pociągany, nieraz zwracał się ku niej. Czy żał mi jej było? Czy ciekawość mnie brała: co też ta kobieta czuć i myśleć może? Czy przypominał mi się jej dawny narzeczony, ten przystojny, miły, majątny Bronek? Lecz nieznacznie przypatrywałem się gładkim pasmom czarnych włosów, które ocieniały jej czoło, zawsze nieco pochylone i jak pajęczyną drobnymi zmarszczkami osnute, a w delikatnym owalu policzków, w długości opadających na nie rzęs czarnych, w zarysie warg cierpliwie zamkniętych dostrzegałem widoczne jeszcze przetrwałości dawnej urody. Gdyby ją tak ktokolwiek odchuchał, rozweselił, uleczył, ładnie ubrał, jeszcze niejedna o wiele młodsza schować by się przed nią mogła. Tymczasem jednak coraz więcej chudła i żółkła; a ponieważ nasza pani Januarowa coraz większą nieżyczliwość jej okazywała, więc dla wszystkich stała się coraz mniej dostrzegalna, aż na koniec ja jeden tylko spostrzegałem jeszcze, że żyje na świecie, i to ukradkiem.

Nikt prócz mnie i siostry mojej, Idalci, nie wiedział o przyczynie nieżyczliwości, która dla tej nic nie znaczącej osóбки powstała w sercu powszechnie szanowanej i kochanej pani domu. Otóż przede wszystkim powiedzieć muszę, że okolica nasza, dzięki zbiegowi pomyslnych okoliczności, jest dotąd wyjątkowo bogatą w obywatelstwo wiejskie zamożne i posiadające mnóstwo zalet towarzyskich i innych. Ale jak topola włoska nad wysokie nawet lipy i klony, tak nad sąsiadów swoich wysoko w górę wystrzela pan Seweryn

Dorsza; bo o czym tylko zamarzyć, znajduje się w tym człowieku: piękność postawy i twarzy, inteligencja wyższa, kryształowa, proszę państwa, uczciwość i zacność, a do tego duży, formalnie już pański majątek. Z blasku czarnego oka i ze śniadej cery nikt by w nim pięćdziesiątki nadchodzącej albo już i nadeszłej nie odgadł; a choć siwizna srebrzy się gdzieś w włosach kruczonych i na czole zebrało się trochę zmarszczek, kobiety utrzymują, że mu to tylko uroku dodaje, świadcząc o wielu myślach pracujących w tej pięknej głowie i o cierpieniach, które przeżyć musiała, lecz pod nimi się nie ugięła ta silna postać męska. W domu swoim pan Dorsza posiada bibliotekę, obrazy, różne inne drogie i rzadkie rzeczy; w majątkach gospodaruje znakomicie, a sąsiadom służy wszystkim, co ma: radami, książkami, pieniężnymi pożyczkami itd. Sąsiedzi w zamian szanują go bardzo, ale żeby bardzo kochali, to nie powiem. Bo kto do serc ludzkich rzeką Cnotą płynie, nie dopłynie. Prosta do nich droga i najpewniejsza na gospodę Wesołość i na wielkie miasto Pospolitość. Przy tym różnice gustów i bardzo często miłości na przeszkodzie stoją. Pan Dorsza wiele rzeczy, które sąsiedzi jego lubią, nie lubi i odwrotnie. Szytynny nieco, zawsze czymś bardzo zajęty, rzadko z kim zaprzyjaźnia się i spoufala. Więc jednych onieśmiela, innych nudzi, innym jeszcze w zabawie przeszkadza. Jednak pomimo to nikt nigdy złego słowa o nim nie odważył się powiedzieć, a znajomość z nim wszyscy poczytują za zaszczyt — to raz, a po wtóre za źródło ratunku w złej przygodzie.

W Dworzech pan Seweryn bywał nieczęsto i zachowanie się jego w tym powszechnie lubionym i poważanym domu było dość niezwykle. O ile my wszyscy admirowaliśmy panią Januarową za jej okazałą figurę, świeżą cerę, mądry sprycik i wyborne granie w winta, o tyle on okazywał się dla niej zupełnie obojętny. Grzeczność wszelką zachowywał, naturalnie, ale więcej nic a nic. Rozmawiał z nią jak najmniej i bez upodobania, a co już nam w głowach pomieścić się nie mogło, to że witając się z nią i żegnając w rączkę jej nie całował. Weźmie, bywało, tę bieluchną i tłusciuchną rączkę i ledwie dotknąwszy wypuści ze swej ręki. A ona aż drży z chęci, aby surowe jego usta pocałunek na niej złożyły — może dlatego właśnie, że surowe i do pocałunków nieskłonne.

Razu jednego siadaliśmy do obiadu, gdy przed gankiem zatrzymał się powóz pana Dorszy. Patrząc ja, aż nasza pani Januarowa oblewa się takim rumieńcem, jakby kto garnek kipiátku na nią wylał; aż czoło, uszy i szyja stanęły w ogniu. Wnet przecież to minęło i gdy szanowny sąsiad, zaproszony do stołu, naprzeciw niej miejsce zajął, siedziała jakoś taka onieśmielona, milcząca, inna niż zwykle, jakby nam ją kto odmienił. Przez cały obiad ani razu mówiąc dumnie główki w tył nie odrzuciła, ani jednego ładnego grymasiku nie zrobiła, żadnej przestrogi mężowi nie udzieliła; bo zazwyczaj przestrzegała go z cicha, ale często. Gdy puszczał się z kimś w niezwykłą serdeczność, szeptała: „Janusiu, bez tych fikcji!” albo: „Bez tych czułości!” Gdy chciał nożem dopomóc sobie w jedzeniu, prawie do ucha mu mawiała: „Janusiu, bez noża!” Gdy nad podawanymi potrawami zaczynał czynić dodatnie albo ujemne uwagi, prosiła: „Janusiu, nie przy gościach!” A w obecności pana Dorszy nic: ani dumy, ani grymasików, ani przestroóg mężowi, ani przekomarzania się z biesiadnikami — o sposób, w jaki dziś który w winta zagrał; o to, czy ten w tamtej, a tamta w tym kocha się albo nie kocha; o to, czy sąsiadka, o której mowa, ubiera się jak księżna czy jak kockodan. Milczy, oczki spuszcza i — patrzcie państwo! — raptem o książkach mówić zaczyna. Głupstwa plecie, jednak plecie, bo wie, że pan Dorsza literat wielki, więc choć małą literatką okazać mu się pragnie. Po obiedzie w winta grać nie chce; męża do kart sadza, a sama z panem Dorszą rozmawia. Trzeba przecież, aby ktokolwiek z gospodarzy zabawiał gościa, który sam jeden z całego towarzystwa w karty nie gra. No, myślę sobie, jeżeli nasza pani Januarowa partyjki się wyrzeka, to już chyba... Ale cóż dziwnego? Pan January, gdy przed panem Sewerynem stanie, to jakby krzak jałowcu przed silnym dębem siadł. A zresztą któż zgadnie, co czasem jednego człowieka ku drugiemu pociągnie? Błysk oka czy kształt postaci? Dźwięk głosu czy zważających osłon wyraźniejsze mrugnięcie duszy? Dość, że Idalcia znalazła raz w ogrodzie tę naszą biedną panią Januarową całą we łzach. Mądra, zdaje się, kobiecina, a przysła i na nią kolej zwykłej głupoty ludzkiej. Nie zważa na to, że łzy piękności szkodzą i płacze!

— Czemu ja jego, mówi, przed wyjściem za Januarego nie poznałam! Czemu ja tak śpieszyłam się z wyjściem za męża. Gdybym poczekała, spotkalibyśmy się wolni oboje.

Ani wątpiła, że gdyby nie była mężatką, on by ją pokochał i wziął za żonę. Pod względem podobania się mężczyznom była bardzo pewna siebie i w znacznej mierze miała słuszość, bo takie jak ona niewiasty największy urok na pleć męską wywierają. Odalisy.

— On taki srogi — powiada dalej — nigdy nie zechce okazać, że zakochał się w mężatce!

Mniemała, że pan Seweryn przez surowość zasad tai się z miłością dla niej i ta właśnie, jak mówiła, srogość, była dla jej śniegów słońcem roztapiającym.

— Bo co mi z tych ślamazarników, którzy przede mną skaczą jak wróble na sznurkach. Mam i bez nich jednego już takiego! Ten — to mężczyzna!

Nie każdy wie, ile różnostronnej, szczerzej prawdy, naturalnej, wyższej mieści się w takim wykrzykniku kobiety: „Ten — to mężczyzna!”

Na koniec ni stąd, ni zowąd przyczepiła się do panny Róży.

— Wiesz, Idalko — zwierzała się przed swoją siostrą — to ta fładra ogaduje mnie przed nim, jestem pewna, że ogaduje i zraża go do mnie!

Wyrażenie było niezbyt wykwintne, ale w rozmowach poufnych pani Iza dość często podobnych używała. Idalka we fładrze domyśliła się panny Róży.

— Kiedyż by miała czas na ogadywanie? — zaprzeczyc spróbowała — zawsze tak krótko z sobą rozmawiają.

— Jednak rozmawiają! Ile razy przyjedzie, zawsze z nią choć trochę porozmawiać musi i czy uważała? przy powitaniu i pożegnaniu w rękę całuje ją zawsze! U stołu też ciągle zwraca się do niej. Jakies takie uszanowanie nadzwyczajne ma dla niej i więcej niż uszanowanie, wprost sympatię. I za co tej starej pannie takie uszanowanie okazywać? Jakim sposobem dla takiej zmokłej kury można mieć sympatię?

— Cóż dziwnego, moja Iziu! Znają się od bardzo dawna.

Pani Januarowa aż piąstki ścisnęła z oburzenia.

— Głupstwa pleciesz, moja Idalcu! Znają się! Pomiędzy człowiekiem z takim stanowiskiem jak on a taką pchłą jak ona nie może być żadnej prawdziwej znajomości. Głową kiwnąć to już musi, bo przecież i ona jest niby to kobietą, ale zresztą i spojrzeć mu na nią nie warto!

Spoglądał jednak i czasem, gdy oczy jego pomimo niepierwszej młodości pełne blasku i głębi spoczywały na delikatnym owalu jej twarzy, któremu gładkie pasma czarnych włosów dodawały jeszcze błądności i ciszy, ukazywał się w nich wyraz medytacji, pełnej dobroci, litości i smutku.

Raz w czasie bytności pana Dorszy w Dworzech pani Januarowa wbrew zwyczajowi swemu w obecności jego do kart zasiadła. Tak się jakoś złożyło, że musiała to uczynić. Gość nie grający w karty rozmawiał z młodzieńcem synem pana Januarego i młodszą z dwóch córek, bo starsza już od razu z upodobaniem grywała w winta. Po upływie jakiegoś kwadransa pani Januarowa niespokojnie obejrzała się po salonie i siedzącego przy oknie pasierba z żywością zapytała:

— A gdzie pan Dorsza?

Student spojrzął w okno i odpowiedział:

— Z ciocią Różą w kasztanowej alei chodzi i rozmawia.

Było to na wiosnę. Kwietniowe słońce osuszyło ziemię, trawy zieloną szczotką dobywały się na całej przestrzeni ogrodu, którego wspaniałe aleje zaczynały zielenić się od rozwierających się pąków i młodych listków. Przy pierwszej sposobności zbliżyłem się do okna i zobaczyłem istotnie parę ludzi z wolna przechadzających się po jednej z alei. Z powodu odległości nie dostrzegłem ani gestów ich, ani wyrazu twarzy, tylko za błądzieloną koronką gałęzi widziałem, jak obok wysokiej, silnej postaci pana Seweryna na kształt wąskiego cienia przesuwająca się szara sukienka panny Róży.

Pani Januarowa odezwała się do męża:

— Janusiu, zadzwoni!

A do lokaja, który dzwonkiem przywołany wszedł natychmiast, rzekła:

— Powiedz pannie Róży, żeby kazała podwieczorek podawać.

Zwykła podwieczorkowa pora jeszcze nie była nadeszła, ale gościnna pani domu zatroszczyła się widać, aby goście nie uczyli się głodni. Niebawem też do salonu wszedł pan Seweryn, trochę chmurny, a jednocześnie powóz jego zajechał przed okna domu.

— Pan już odjeżdża! — zawołała pani Januarowa widocznie zalterowana.

Pomimo próśb obojga gospodarstwa domu na podwieczorku nawet nie chciał pozostać i — odjechał. Nie było widoczne, że przyjeżdżał tylko dlatego, aby z tą starą panną o czymś pomówić? Ona zaś, gdyśmy do sali jadalnej weszli, kończyła coś na stole ustawiać; spostrzegłem, że szczupłe ręce jej drżały i na białych policzkach miała słabe rumieńce. Ale nigdy nie zapomnę wyrazu oczu pani Januarowej, gdy ogarniała spojrzeniem tę pochyloną nad stołem głowę. Żarzyły się te błękitne i zazwyczaj trochę senne oczy, piekły, gryzły, nienawidziły. Przedtem już w drzwiach jadalni szepnęła do Idalcii:

— Pan Dorsza ślicznie sobie przyjaciółkę dobrał! Bardzo stosowna para! Sympatia umieszczona bardzo właściwie i... szczęśliwie!

Siadając do stołu, głośno odezwała się do męża:

— Janusiu, wiesz o nowinie? Pan Seweryn Dorsza oświadczył się dziś o rękę panny Róży!

Nasz pocziwy pan January wytrzeszczył zrazu swoje wypukłe, spłowiałe oczy; lecz chcąc zasłużyć się żonie od dość dawna nadąsanej i dla niego zubożonej w ton jej uderzył.

— A winszuję! — w sposób żartobliwy mówić zaczął — winszuję kuzynce! Bardzo rad jestem! Nareszcie! No, już i pora! Kiedyż wesele?

Jakby na dane hasło, zewsząd posypały się żarty. Zygmus przyskoczył i pieszczotliwie pannę Różę obejmując wołał:

— Zatańczy ciocia ze mną na swoim weselu walczyka? A może teraz spróbujemy... dla wprawy!

Starsza z panienek śmiała się:

— Ciotka nam młodym świetną partię odbiera!

Siostra pani Januarowej, niezła nawet kobiecina, ale zawsze czegoś dla siebie i mnóstwa dzieci swoich od Izi potrzebująca, z cieniutkim śmieszkim wołała:

— No, panienki, nie desperujcie nigdy! Widzicie, że i do stu lat nie trzeba jeszcze tracić nadziei!

A mąż jej grubym basem i ohydą francuszczyzną huczał:

— *Mie wo tard ke jamais! Szakiun truf son szaken!*

Pan January ucieszony uciechą żony, która zanosila się od śmiechu, trochę gapiowato, bo bez rzeczywistej ochoty zapytywał:

— Jakże to było? Jakże to było?

— Jak było? — powtórzyła pani Januarowa i ślicznymi rączkami odpowiednie gesty robiąc prawila:

— Poetycznie, idealnie... o zachodzie słońca, w kasztanowej alei... pomiędzy młodymi listkami przechadzała się młoda para...

— Młoda, to prawda! *Il fo ke la ženes se pas!*

— Żeby tylko od tego wieczornego spaceru katarów nie podostawali!

— Fi! Katar i miłość! Niedobrana para!

— I pomiędzy ludźmi bywają pary niedobrane!

Jak Boga kocham, ani ja, ani siostra moja Idalcia, nie należeliśmy do tego chóru. Co za ochota ni z tego, ni z owego, tak na kogoś napadać! Przy tym widziałem dobrze, jak panna Róża przy pierwszym odezwaniu się pani Januarowej podniosła na nią oczy ogromnie przelęknięte. Nie rozumiałem, co mogło być przyczyną tak silnego przestachu, ale jakoś żał mi się jej zrobiło. Potem, gdy przekonała się, że są to jedynie żarty, oczyma tylko spod długiej rzęsy błysnęła, zarumieniła się bardzo mocno i wnet uspokojona poczęła układać w koszyku ciastka, które Zygmus, do tańca ją niby porywając, rozsypał. W tym błysku oka i w tym rumieńcu wystrzelił na świat gniew, lecz wnet powściągnięty zniknął, zostawiając tylko po sobie na spokojnie zamkniętych ustach uśmiech bardzo zagadkowy. Można by mniemać, że śmiała się w duchu z tych, którzy się z niej wyśmiewali: jednak zarazem i cierpiała. Powieki jej drgały, jak bywa zawsze, gdy ktoś z całej siły powstrzymuje się od płaczu.

— Czy widzą państwo, jaka luna na niebie? Pożar czy co? — zawołałem wskazując na okno.

Idalcia zrozumiała mój zamiar i do okna skoczyła.

— Czy nie Koziółki panu palą się, panie January?

Oboje państwo Januarostwo byli już u okna. Koziołki były ich folwarkiem o parę wiorst od Dworków odległym. Powstało zamieszanie, przyglądanie się niebu, sprzeczka i ostateczne przeświadczenie, że luna, którą wziąłem za odbłask pożaru, była tylko wyjątkowo ognistym odbłaskiem zachodu słońca. Żarty sypnęły się z kolei na mnie. W ogóle w Dworkach panowało upodobanie czy moda wybierania kogokolwiek z obecnych za cel żartów. Tego lub owego, tę lub ową prześladowano to zakochaniem się, to nieumiejętnym graniem w winta, to młodością, to starością, to złymi interesami majątkowymi albo sercowymi niepowodzeniami. Dowcipy strzelały jak rakiety, śmiechy toczyły się jak gamy. Pacjenci, chcąc nie chcąc, śmiali się wraz z innymi, oczyma i myślą poszukując wśród otaczających, kogo by tu co najprędzej na następcę swego wy kierować. I nic dziwnego. Dobrobyt, panie mój dobrodziej, kompletny, czasu wolnego właściwie tyle, ile go od rana do nocy upływa i towarzystwo domowe, oprócz gości prawie ciągłych, dość liczne.

Zygmus był ładnym, zgrabnym chłopakiem, trochę zanadto przez ojca i macochę rozpieszczonym, bo pani Janurowa przed innymi dziećmi go faworyzowała i z jego przychyny wpadała nawet czasem w fikcję czy w czułości. Nie należy jednak przypuszczać, aby tu było coś podobnego do historii Fedry i Hipolita. Broń Boże! Nasza pani Janurowa była zbyt rozsądna, aby aż takie awantury greckie wyprawiać. Tylko miała do Zygmutusa słabość, a kiedy kobieta ma do kogo słabość, to, panie dobrodziej, zwin chorągiewkę z zapytaniem: a za co? a dlaczego? a do czego dąży? itd. Ma słabość i kwita: więc pieści, lula, czym tylko może, osypuje, wychwala, a jak ostatecznie gagatek na tym wyjdzie, głowy sobie tym na zawraca. Co się tyczy pedagogiki, to można powiedzieć, że naszej kochanej pani Janurowej ona w głowie nawet nie powstała; więc wciąż dudniła mężowi nad uchem; „daj Zygmutusiowi pieniędzy! poslij Zygmutusiowi więcej pieniędzy!” A gdy uczeń, potem student do domu przyjeżdżał, wymyślała dla niego różne przysmaczki, zabawki, siurpryzki. Zygmus zaś jak każdy grzeszny człowiek smaczne kąski życia z natury już lubiący, przy tym żywy, wrażliwy, umizgalski, do nauk zdolny, lecz i do zabawy skory, pełnymi nozdrzami wciągał w siebie rozkoszną atmosferę domową i wyjeżdżając do szkół, potem do uniwersytetu, brał z sobą tak znaczny jej zapas, że czym innym żywić się już ochoty mu nie dostawało. Otóż w gruncie rzeczy, nie można powiedzieć, aby ten miły pustak nie lubił panny Róży, która go w czasie wdowieństwa pana Januarego i potem jeszcze hodowała i pieściła. Owszem, podbieży czasem do niej, pieszczotliwie w oczy spojrzy, kilka słów uprzejmych przemówi; tylko że w dłuższe rozmowy z nią to się nie wdaje, bo macocha nie lubiłaby tego: i jakąż przyjemność takiemu młodzieńcowi rozmowa z taką starą panną sprawić by mogła? Raz kwiatek jakiś, który w ręku trzymał, do szarego stanika jej przypiął i wychwalać zaczął, że bardzo jej z kwiatkiem tym do twarzy. Wszyscy w śmiech! Naturalnie, bo czyż jej cokolwiek mogło już być do twarzy! Innym razem, gdy zajęta przyrządzaniem salaty stała plecami do całego towarzystwa obrócona, zakradł się i zręcznie parę szpilek z włosów jej wyciągnął. Wtedy stało się coś osobliwego. Cudne to były włosy. Gdzieś tam w nich nić srebrna, zresztą czarne jak atrament, gęste i bardzo długie rozsypały się po plecach, spadły poniżej kolan i całą tę wątłą, szarą postać okryły lśniącem płaszczem atlasowym. Posiadaczka tych cudów obejrzała się zrazu z przestachem; potem błysk gniewu przemknął po ciemnych żrenicach i zaraz zgasł, rumieniec wytrysnął na chude policzki i zaraz zniknął; pośpiesznym ruchem w obie dłonie włosy zgarnęła, z tyłu głowy w węzeł skrzyła, szpilekami, które Zygmus jej zwrócił, przypięła i ze spokojnie pochyloną głową salatek przyprawiać kończyła. A dokoła stołu śmiech ogólny.

— Jezus, Maria, żeby aż tyle włosów na głowie nosić! Czyż to warto, kiedy ich nikt nie widzi?

Istotnie, nikomu dotąd do głowy nie przyszło zwrócić uwagę na to, jakie panna Róża ma włosy.

— Po co cioci takie włosy? — szczebiotała starsza z panienek, panna Kamila. — Niech ciocia mnie je odda: to przynajmniej zdadzą się na cokolwiek!

— Chętnie, moja Kamilko, uczyniłabym to, gdybym mogła — obojętnie odpowiadała panna Róża siadając na swoim ostatnim miejscu przy stole.

— O, co w to, to nigdy nie uwierzę! — zawołała pani Janurowa. — Nikt nie rozstaje się chętnie z pamiątkami dawnych czasów!

A szwagier, nasz dowcipny i zarówno wesoły pan Faustyn, figlarnie ku pannie Róży mrugając i znacząco chrząkając podjął:

— Chyba ktośś... ktośś... hm, hm, co to ja wiem, a panna Róża rozumie, długich włosów u kobiet nie lubi. W takim razie trzeba je ostrzyć, trzeba, bo lepiej mieć pięknego męża niż piękne włosy.

Ten sam pan, nie najgorszy nawet człeczyna, tylko taki sobie totumfacki, który często na dworze królowej siostry przebywając i od szwagra pożyczek pieniężnych potrzebując, rad był choć facecjami wywdzięczać się dobrodziejom, gdy wszyscy przy stole siedzieli, przyszedł z ogrodu z przekwitłą, na wpół już z liści opadłą różą w palcach. W granatowej marynarce i białym muślinowym halsztuchu, trochę siwy, trochę łysy, z okrągłą twarzą, mocno od upału zaczerwienioną, przeszedł wzdłuż całej jadalni i razem ze zwiędłym, żółtym kwiatem przed talerzem panny Róży w szklance umieścił. Przy tym z pociesznym dygiem i umizgiem rzekł:

— *Ski se resampl, s'asampl!*

Wszyscy w śmiech! W jej źrenicach znowu błysk nagły, szybko pod spuszczone powiekami ukryty.

Z grzecznością kobiety przyjmującej od mężczyzny drobną przysługę odpowiedziała:

— Dziękuję panu.

Dokoła znowu śmiech.

— Żeby tak bardzo było za co dziękować, to nie powiem!

— Jeżeli ciocia życzy sobie, to ja po obiedzie cały bukiet takich kwiatów cioci przyniosę!

— Przynieś i postaw przed portretem Mickiewicza.

— Albo lepiej przed szafką z książkami!

Portret jak portret, uchodził jeszcze, bo pomimo rozsądnej atmosfery dom ten napelniającej, tak wielkiego imienia do żartów używać nikt nie miał ochoty ani może śmiałości; lecz szafka z książkami dawała temat do wielu facecji. Powiadano, że była wypchana poezjami na cały pokój pachnącymi.

— Wchodzę do pokoju panny Róży — opowiada pani Januarowa — cośś pachnie! Co to? Konwalie, mirt, ananas...

— Tymianek, lilia, hiacynty — podpowiada ktoś biegleszy w nomenklaturze botanicznej.

— Jakiś bardzo staroświecki zapach! Co by to mogło być? Szukam i przekonuję się, że to przez szczeliny szafki tak pachnie — poezja!

Czasem zapytywano pannę Różę, czy dlatego ma zaczerwienione oczy, że późno w noc czytała poezję. Ilekroć pani Januarowa uczuła się niezadowolona z jakiego szczegółu gospodarskiego, ze wzruszeniem ramion i swoim ładnym grymasikiem mawiała:

— To poezje temu winne!

Raz nawet pan January, rozgniewawszy się za nie dość dobrze przyrządzony pasztet do śniadania, ze spojrzeniem rzuconym w stronę panny Róży krzyknął:

— A wszystko to z powodu tych poezji!

Raz też z powodu tych poezji zaszła scena, o której wspominając rumienię się nie na twarzy, proszę państwa, ale w duszy. Było tak. W Dworkach oprócz domowego towarzystwa znajdowały się tylko cztery przyjezdne osoby: siostra pani Januarowej z mężem i ja z Idalią. Byliśmy więc w swoim kółku i zauważyliśmy, że nasza kochana pani Januarowa czuje się jakoś bardzo niedobrze. Nie żeby była — broń Boże — chora: owszem, nigdy zdrowiej i świeżej nie wyglądała, ale jakaś irytacja, zły humor, nieukontentowanie ze wszystkich i ze wszystkiego. Męża raz po raz przestrzegała; na pasierbicę to już wprost co moment fukała; w winta grała jak najgorzej i za własne omyłki mnie biednemu parę razy porządnie głowę zmyła. Gdyby nie uszanowanie należne dla damy z takim stanowiskiem w świecie, tak ładnej i gościnnej, powiedziałbym, że była wściekła. Mój Boże! Taka ładna, majątna, rozsądna kobieta i — wściekłość! To po prostu zepsuta linia! Szkoda, ale cóż robić, skoro doskonale prostych linii pomiędzy ludźmi znaleźć niepodobna. Ściana będzie prostą, drzewo czasem będzie prostym, drożyna w ogrodzie, gdy ją ogrodnik pod sznur wytknie, prościutko przerznie murawę. A człowiek — nie! Żeby tam nie wiem jak był rozsądny, zastanawiający się, unikający fikcji, zawsze znaleźć się musi coś takiego, co

jego linię w jedną lub drugą stronę wykrzywi. A najwięcej namiętność, najwięcej, panie dobrodziej, namiętność... Tak i tu było: wbiła sobie kobieta ćwiek w głowę: tego pana Seweryna, który jak nie przyjeżdżał, tak nie przyjeżdżał, i drugi jeszcze ten, a to, że panna Róża temu winna, bo ją przed nim ogadała... tam, wtedy, po kasztanowej alei z nim chodząc, ostatecznie ogadała. Przy tym Idalcia szepnęła mi przy sposobności, że Izi czułości pana Januarego okropnie się już przykrzą. — Czuli się do mnie coraz więcej — opowiadała powiernicy — a ja o tamtym myślę! Więc mnie wszystkie złości i desperacje ogarniają!

No, naturalnie, ale z drugiej strony było w tym trochę kobiecego marzycielstwa. Czułości przykrzą się? — Dobrze; a Dworki z przyległościami? Jakkolwiek bądź, późno w wieczór po wieczerzy, gdyśmy skończyli ostatniego na dziś roberka, pani Janurowa oddaliła się z salonu i po kilku minutach powróciwszy cała w ogniu i śmiechu przed nami stanęła. Śmiała się, a z oczu i nawet ze śmiechu iskry sypać się zdawały.

— Chcecie, państwo, literatkę zobaczyć? Prawdziwą literatkę? Żeby jej nad uchem wystrzelić, nie usłysz: taka zaczytana! Dlatego to przekąski dotąd nam nie podano. Komedia! Chodźcie państwo, chodźcie tylko zobaczyć.

Tak bardzo prosiła, żeśmy wszyscy wstali i poszli. Pan January mruknął zrazu:

— Dajżeż pokój tylko! Co tam ciekawego?

Ale ona odpowiedziała:

— Mój Janusiu, tyłkoż bez tych kaprysów!

Więc także wstał i poszedł. Przeszliśmy jadalną salę, inny jeszcze pokój i inny jeszcze, aż znaleźliśmy się przed otwartymi drzwiami pokoju panny Róży. — Nic osobliwego. Ściany oklejone pstrym obiciem, łóżko białe zasłane pod ścianą, skrzynka pełna kluczy na komodzie, w kątku oszklona szafka z książkami... ta sławna! — i tylko jedna rzecz uderzająca: głęboka cisza. W tym domu gwałtownym, od rana do wieczora rozlegającym się brzękiem szkła i talerzy, rozmowami, śmiechami, gościnnymi powitaniem, wintowymi wykrzyknikami, pokój ten wydawał się oazą takiej ciszy, że słychać było, jak za oknem stara topola w wietrze nocnym liśćmi szeleściła. W tej ciszy i w tym szeleście jak raz naprzeciw drzwi, w których stanęła wesoła nasza kompania, wisiał na ścianie sporej wielkości portret Mickiewicza i przy stole, w łagodnym od błękitnawej zasłony świetle lampy siedziała panna Róża. Profilem ku nam zwrócona, z łokciem o stół opartym i czołem trochę na dłoń pochylonym, oczy miała utkwione w leżącej przed nią książce. Drobne jej wargi były spokojnie zamknięte, profil z wypukłością białej kamei odrzynał się na tle błękitnawego światła, które pogłębiało czarność włosów i dawało srebrny połysk wijącym się wśród nich białym niciom. Była tak zatopiona w czytaniu, że nadejścia i szeptów naszych zrazu nie usłyszała. Prawda, że szeptaliśmy bardzo po cichu.

— A co? Nieprawdaż, że dla malarza model na literatkę!

— I jaką! O bożym świecie czytając zapomniała!

— A jakie księżycowe światło u siebie urządza!

— „Już księżyc zaszedł, psy się uśpiły...”

— Tylko że „Filon” to już pewnie żaden nie kłaśnie za borem!

— Kto wie! Ja może coś w tym rodzaju wiem!

— Ciekawość, co ona takiego czyta?

— Pewno coś czulego!

— „Mario, czy ty mię kochasz, bo masz taką postać!...”

— A może Darwina o pochodzeniu człowieka od małpy?...

Autorem ostatniego konceptu był szwagier pani Janurowej, która parsknęła śmiechem; ktoś inny zaśmiał się też głośno. Wtedy dopiero panna Róża, jak ze snu obudzona, drgnęła, ku nam twarz obróciła, a ujrawszy trzódkę baranów we drzwiach stłoczoną, szybko z krzesła powstała.

— Czy czego trzeba?

— Niczego, niczego nam nie trzeba! Jesteśmy tylko zaciekawieni: w czym panna Róża tak głęboko się zaczytuje?

— Czy to „Maria” Małczewskiego?

— A może „Adolf i Maria, czyli dwoje kochanków nad brzegiem Dniestru?”

— Ej nie! Ciuńdziewicz pewno albo Ćwierciakiewiczowa.

— Po co to kuzynka wiecznie w tych książkach siedzi i tylko powód do żartów z siebie daje! — markotnie zagadał pan January.

Wszystko to mówiąc, wtargnęli do pokoju i otoczyli ją ścisłym kołem. My tylko z Idalcją zostaliśmy we drzwiach i najbliżej nas młodsza z pańienek, Marynia. Tamci zaś gadali jak najęci:

- Proszę pokazać, co pani czyta!
- Proszę lepiej trochę nam głośno poczytać!
- Dobry projekt! Niech pani nas zbuduje, panno Rózo!
- Albo rozrzewni...

Ona zrazu, jak bywało zwykle w podobnych wypadkach, oblała się rumieńcem i błyskawicą strzeliła z oka; lecz zaraz spokojnie wzięła ze stołu otwartą książkę. Tylko na cienkich wargach miała ledwie dostrzegalny, ciekawy uśmieszek, który zauważyłem nieraz, a który zdawał się litościwie drwić z tych, co z niej drwili.

- Aha! przeczyta nam pani stroniczkę o Adolfie i Marii...
- A może o sztuce mięsa z parmezanem...
- Niech państwo już cicho będą! Słuchamy!
- Słuchamy! Słuchamy!

Z takim lekkim ukłonem, z jakim zazwyczaj dobrze wychowana kobieta przystaje na objawione jej żądanie, Róża rzekła:

- Owszem. Jeżeli państwu sprawi to przyjemność, przeczytam.

I głosem zrazu cichym, potem coraz pewniejszym i nabierającym dźwięków wcale miłych i dobitnych czytać zaczęła:

W Tobie ja samym, Panie, człowiek smutny,
Nadzieję kładę; Ty racz o mnie radzić.
Nieprzyjaciół mój, jako lew okrutny,
Szuka mej duszy, aby ją mógł zgładzić...
Z jego paszczęki, jeśli, o mój Boże
Ty sam nie wyrwiesz, nikt mnie nie wspomůže.

...Boże, przed którym tajne być nie mogą
Myśli człowiecze, w Twej stając obronie,
Przed żadną nigdy nie ucieknę trwoga,
Bo szczere serce w Twojej jest zasłonie.
O, sprawiedliwy sędzio. Ty każdego
Sprawnie obdzielasz wedle zasług jego...

Nie w takim to ja porządku powtarzam, co czytała i nie wszystko, chociaż potem psalmu tego próbowaliśmy oboje z Idalcją na pamięć się wyuczyć, ale co pewne, to, że słuchając, staliśmy wszyscy jak głąby z gębami pootwieranymi. Bo jakże! W pokoju cicho tak, że słyhać, jak za oknem topola szumi, parę gwiazd złotych z ciemności nocnej przez szyby zagląda, że ściany patrzy oblicze Mickiewicza, a w błękitnawym świetle kobiecina wąta i delikatna, z węzłem czarnych włosów z tyłu głowy, z książką w obu rękach, coraz śmiej i piękniej wylewa z białych ust nuty słowika z Czarnolasu... Powiadam państwu, że fetę nam sprawiła! Zabelkotaliśmy też coś ni w pięć, ni w dziewięć, gdy umilkła, i wynieśliśmy się do dalszych pokoi. „Duchom naszym dała w twarz” i wynieśliśmy się skonfudowani. Tylko przy ogólnym oddawaniu „dobrej nocy” patrzę ja, co to takiego? Zygmus i Marynia mają jakieś takie dziwne oczy, omglone i markotne, ni to rozmarzone, ni to zmartwione.

A pan January tak, aby małżonka nie słyszała, do ucha mi szepnął:

— To ja jej tę książkę na pamiątkę po Bronku oddałem. Zaręczeni byli... a jakże! Święta prawda, że byli ze sobą zaręczeni, prawie od dzieciństwa kochali się! Szczęście ją ominęło i potem nigdy się już z żadnym nie spotkała.

*

Owszem, dowiedzieliśmy się niebawem, że się spotkała, tylko... Ale niechże wszystko po kolei już opowiem.

Po owej rozmowie z panną Różą pod kasztanami pan Seweryn długo do Dworków nie przyjeżdżał. Wiosna przeszła, lato nastąpiło, Zygmunt od dawna już na wakacje do domu przyjechał, a szanowny sąsiad, tak oczekiwany, przyjeżdżać ani myślał — właśnie może z powodu tego oczekiwania, bo zbyt doświadczony był i rozumny, aby nie spostrzec w zachowaniu się pani Januarowej tego lub owego szczegółu, z którym — *srogim*, lepiej mówiąc, surowym będąc — nie wiedziałby, co czynić. Jednak pewnego dnia na koniec przyjechał i trzebaż nieszczęścia, wtedy właśnie, kiedy biedna nasza pani Januarowa była znowu silnie zalterowana, tym razem całodzienną nieobecnością w domu panny Róży. Ta, z rana jeszcze oznajmiła, że do wieczora w domu nie będzie, klucze powierzyła Maryni i gdzieś sobie poszła. Wszyscy pamiętali, że takie całodziennie wycieczki zdarzają się jej czasem; Marynia utrzymywała, że raz na rok tylko. Rządca powiedział, że spotkał się z panną Różą u brzegu lasu, w którego głębi znikła mu z oczu, co usłyszawszy pan January sapnął głośno, chrząknął nieśmiało i do żony rzekł:

— Daj pokój, rybko! Ja wiem, dokąd ona poszła... Niech zdrowa spaceru użyje! Wielka rzecz, że tam raz na rok...

Żona mu przerwała.

— Janusiu, tylko bez tego ujmowania się! Zawsze ujmujesz się za nią. Ta kobieta ma szczęście! Wszyscy kochają się w niej, może i ty także. Trzeba tylko było pierw jej serce zbadać, w którą stronę ciągnie, a ja pewno nie stanęłabym do rywalizacji... z taką! Wiesz, gdzie poszła! I ja też wiem! Osiem lat już jestem w Dworkach i co roku tę samą czułą historię słyszę! Głupstwo! Przypomniła sobie babka dziewic wieczór! W jej wieku należałoby już o tych wszystkich fikcjach zapomnieć! Cały boży dzień dom bez gospodyni, bo przecież Kamilka i Marynia nie będą po kuchniach i spiżarniach latać, ażeby jeszcze ludzie powiedzieli, że macocha je na dziewczki folwarczne obraca...

Marynia zauważyła, że wszystko jest zadysponowane i wydane i pani Januarowa zaraz na nią wpadła.

— Ty też buzię za cioteczką otwieraj. Zastąpić ją może potrafisz? Do gospodarstwa dużo ochoty zawsze miałas, prawda? Hafciuki ci w głowie, muzyczka, kawalerowie, nie gospodarstwo! Ja też nie napędzam. Cóż? Macochą jestem! Ludzie zaraz powiedzą, że prześladowę, gnębię. Ale ciekawam, co zrobisz, jeżeli kto z gości przyjedzie? Cioteczka po nocach poezję czytuje, a we dnie po lasach się wałęsa, ty zaś kluczami dzwonić tylko umiesz. Niechże kto z gości przyjedzie: zobaczymy, czy jak kluczami podzwonisz, wszystko będzie, jak potrzeba!

Jak raz przyjechał. I któż jeszcze? Sam pan Seweryn Dorsza, którego dom po pańsku urządzone skłaniał sąsiadów do odpowiednich w przyjmowaniu go występów. Teraz już i pan January czuł się niezadowolony, że panny Róży w domu nie ma. Wiedział, że żona i córki do niczego w gospodarstwie się nie mieszają, służba bez dozoru omyłki popełniać może; a takie rzeczy stanowiły dla niego i w ogóle w Dworkach kwestię niemałą, owszem, pierwszorzędnej wagi. Marynia przed zaproszeniem do stołu tak gorliwie kluczami dzwoniła, że aż do różyczki miesięcznej stała się podobną; jednak wystarczało jednego rzutu oka, aby dostrzec, że melon był źle pokrajany, filiżanki do kawy nie takie, jak potrzeba, świeżo przyjęty lokaj bez białych rękawiczek, może i inne jeszcze tym podobne rzeczy chybotne i niedoskonałe. Pan January irytację ukrył i tylko głośniejszym niż zwykle sapał; ukryłaby zapewne i pani Januarowa, gdyby nie znalezienie się samego pana Seweryna, w najwyższym stopniu niestosowne. Załedwie do podwieczorku zasiadł i właśnie w chwili, gdy ładna gosposia z pękiem gwoździaków w złotych włosach i z najmielszym uśmiechem zaczęła czynić mu wyrzuty, że tak długo przy tym stole go nie widywała, spojrzał na puste krzesło panny Róży i zapytał:

— Jednej osoby z towarzystwa państwa nie widzę. Może chora?

Zdawać się mogło, że silnie zaniepokojony czuł się myślą, że może być chora i to właśnie naszą tak rozsądną zwykle panią Januarową z równowagi wytrąciło. Porywczo i bez namysłu odpowiedziała:

— Gdzie tam! zdrowa jak ryba, tylko poszła do lasu z nieboszczykiem narzeczonym romansować.

Gdyby była chwileczkę namyśliła się, nie byłaby tych słów wyrzekła, bo przecież wiedziała, co, jak i przy kim mówić wypada, ale krew nie woda: irytacja! W irytacji natura właściwa człowiekowi wyskakuje z niego jak wilk z lasu. Pan Dorsza skrzywił się, jakby go coś we środku ukłuło, bo gburowatości wszelkiej strasznie znosić nie mógł, a pan January, chcąc naprawić niestosowne odezwanie się żony, ubolewającym tonem do sąsiada przemówił:

— To smutna historia... bardzo smutna...

— Znam ją dobrze — odpowiedział pan Seweryn.

— Jest to rocznica dnia, w którym wszyscy pożegnaliśmy odjeżdżającego...

— Wiem o tym — odrzekł znowu pan Seweryn, coraz bardziej zaszępioty i sztywniejący.

Panią Januarową ton ubolewający męża i sztywność gościa jak szpilki kłuły. Jednak z wielką słodyczą w głosie przemówiła:

— Mój Janusiu, tak o tym mówisz, jakby ten tragiczny wypadek zaszedł miesiąc albo rok temu. Panna Róża jest już tak... Działo się to tak dawno...

Szwagier wpadł jej w mowę.

— *Le kier na pa de ryt!*

A ja ośmieliłem się wyrazić uwagę:

— Pamięć bywa różna, pani dobrodziejko; jedni pamiętają miesiąc, rok, inni przez całe życie zapomnieć nie mogą.

Pani Januarowa, strzałę morderczą we mnie z ócz ciskając, prędko odpowiedziała:

— Szczególniej, jeśli nic innego do pamięci wpaść nie mogło!

— Owszem, tym razem mogło — odezwał się znowu pan Seweryn.

Pani Januarowa z prawdziwie czarującym uśmiechem do niego przemówiła:

— Przecież odkąd pan Bronisław odjechał, o pannę Różę nikt się nie starał i za męża wyjść nie mogła.

— Owszem, mogła — powtórzył pan Dorsza.

Ogromnie tym powiedzeniem nas wszystkich zadziwił, bo istotnie o żadnym konkurencie do ręki panny Róży nikt z nas nigdy nie słyszał. On zaś milczał chwilę, namyślał się, a potem łyżeczkę od kawy na spodku położył i tak po prostu, jakby komu dzień dobry mówił, wypowiedział:

— Ja trzy razy oświadczałem się o rękę panny Róży i trzy razy odmowę otrzymałem.

— Jezus, Maria! — podskakując na krześle, jęknął pan January.

Pani Januarowa stała się tak biała jak obrus na stole; świeże jej rumieńce do kropelki z twarzy zniknęły. A ten najzacniejszy (i najbogatszy!) pan Dorsza najzwyczajniejszym tonem mówił dalej:

— Muszę to państwu opowiedzieć, aby omyłkę usunąć. Panna Róża mogła od lat wielu i dziś mogłaby, gdyby chciała, zostać moją żoną i panią domu w moim Tęczowie. Nie chciała i nie chce. Może wiadomość o przyczynach, które jej wolą kierują, opinię państwa o niej poprawi, w oczach państwa ją podniesie, położenie, które zajmuje tu, polepszy. O to mi idzie tylko...

Do pana Januarego się obrócił:

— Pan dobrodziej przypomina sobie, że z bratem pańskim, Bronisławem, żyłem w przyjaźni serdecznej. Narzeczoną jego znałem; podobała mi się, ale się w niej nie kochałem i tyle tylko, żeśmy stanowili trójkę przyjaciół. Była to trójka romantyków. Mieliśmy wiele wiary, miłości i nadziei; Bronek za nie głową nałożył, ja poszedłem na długo tułać się po szerokim świecie, panna Róża została sama. Powróciwszy z wędrówki pojechałem zaraz do Dworków, aby dowiedzieć się o losach narzeczonej przyjaciela. Były one podówczas względnie dobre. Z pierwszą panią tego domu w przyjaźni i harmonii żyła i jakkolwiek przez to, co się stało, przyćmiona, była jeszcze świeża, kwitnąca...

— Czy była kiedykolwiek kwitnąca? — zapytała pani Januarowa z cicha, bo coś ją w gardle dławić zaczynało. Pan Dorsza spokojnie na nią patrząc powtórzył:

— Była śliczna. Nie tyle może doskonale piękna, ile pełna wdzięku i życia. Była żywa i wesoła. Pani z trudnością temu wierzy? Prawda; jest ona teraz tylko cieniem samej siebie. Ale nierzadko zdarza się na świecie, że człowiek długo idzie za samym sobą jak cień wierny i ciemny pełnie w noc księżycową za wesołym i żwawym człowiekiem. I bywa, że gdy człowiek właściwie już przeminął, cień jego długo jeszcze trwa. Ale w czasie,

o którym mówię, panna Róża znajdowała się w kwiecie młodości, a młodość to taki ptak, który zza najgrubszych chmur jeszcze słońca dopatrzy i choć z ołowiem na skrzydłach — jeszcze ku niemu wzbijać się próbuje. Uśmiechnęła się do mnie myśl wspólnego z tą kobietą rozpedzenia chmur i wzbijania się ku słońcu. Pokochałem ją i w siódmą rocznicę odjazdu Bronisława, na tym miejscu, na którym ostatni raz go pożegnała — na którym dziś znajduje się zapewne — powiedziałem jej, że uczyni mnie niewypowiedzianie szczęśliwym, jeżeli zechce zostać moją żoną.

— I cóż! I cóż? — zapytywały dokoła stołu głosy ledwie dyszące od zdziwienia i ciekawości, a pan Seweryn tonem zwyczajnego opowiadania mówił dalej:

— Odmówiła. Płakała, dziękowała mi za dobre dla niej uczucia i chęci, ale wciąż powtarzała: „Nie mogę! Tak kocham go jeszcze, tak nieustannie stoi mi on przed oczyma... tak kocham go, że nie mogę!” Potem jeszcze dodała: „tak mi go żal, tak mi go żal”. I mówiąc to płakała tak ciężko, jakby lzy z męką niezmierną dobywały się z samego dna jej serca... Odmówiła.

Spuszczonymi powiekami wzruszenie żrenic okrywając, nie tylko spokojny, ale trochę sztywny, pan Seweryn do pana Januarego znowu mowę zwrócił:

— A po raz drugi zdarzyło się to wówczas, gdy wieść mnie doszła, że pan dobrodziej w powtórne związki małżeńskie wstąpić zamierza. Byliśmy już oboje, ja i panna Róża, daleko starsi, lecz jeszcze nie starzy. Ja miałem lat czterdzieści parę, a ona trzydzieści kilka. Przyjechałem, znalazłem ją przygotowującą dom na przyjęcie nowej jego pani i w ogrodzie powtórzyłem to, co przed kilku laty mówiłem w lesie. Przychylniej odpowiedzi pragnąłem nie mniej niż przedtem: owszem, zapewne silniej, bo słońce mego życia przeszło już punkt południowy i rzucać zaczęło na świat smugi melancholijne; czułem zalatujący powiew wieczoru; tkwiło we mnie głębokie i niepozbyte pragnienie stworzenia przed nocą dla siebie i dla niej cichej i ciepłej przystani. Byliśmy zresztą w wieku najlepiej sprzyjającym energicznej, wspólnej pracy, a także tym uczuciom, które głębią i twardością wynagradzają to, co im z zapалу młodzieńczego ubyć mogło. Wszystko to przedstawiłem pannie Róży i tym razem, śmiem pochlebiać sobie, że słowa moje ją wzruszyły. Zdawało mi się, że był moment, w którym wyrazy zgody na moją prośbę rozlegały się w jej sercu i przemocą na usta wybiec chciały. Nie wymówiła ich jednak: prosiła o parę dni do namysłu. Po dwóch dniach przyjechałem znowu: znalazłem ją mizerną, pobladłą, tak wyglądającą, jakby z ciężkiej choroby powstała. Ale gdy o decyzję ją zapytałem, wzrok jej błagał mnie o przebaczenie, a głową przecząco wstrząsała, długo mówić nie mogąc. Potem mówiła, że gdyby Bronek umarł był w sposób zwyczajny, to może... ale tak!... ale tak!... „Jemu śmierć przedwczesna i męczeńska, a mnie życie szczęśliwe: cóż to za sprawiedliwość! Nie mogę! To mój święty! Nie odstąpię go nawet dla najlepszego z ludzi”. Było to już coś innego niż wprzód. Oblubieniec namiętnie kochany uległ metamorfозie, fale tęsknot i myśli przekształciły go w świętego, a dusza umiejająca czcić i rozumieć świętość nie chciała wyrzucić jej z siebie w zamian ziemskiego szczęścia, którego jednak pragnęła. Z umarłymi walczyć trudno. Odjechałem zwyciężony.

Niepodobna mi nawet wyobrazić sobie, jaką minę mieć mogłem, wszystkiego tego słuchając, to tylko wiem, że ze trzy razy chustkę do nosa z kieszeni wyjmowałem. Co schowam, to znowu potrzebna. Patrząc, aż u tego pustaka Zygmunta żrenice jak zza szybek pomiędzy powieki wstawionych przeglądają, kończyk wąsika w palcach kręci, wyprostowany jak struna i zza szybek szklanych, które nieruchomo w oczach stoją, w pana Dorsę jak w tęczę się wpatruje. On też nie wiem dla jakiej przyczyny do Zygmunta i do mnie teraz mowę zwrócił i ciszej niż przedtem dodał:

— Bohaterstwem duszę jej podbił na zawsze. W aureoli świętego przed nią stał i jak wierny od ołtarza, od obrazu tego oderwać się nie mogła.

— Wierna! — pomimo woli wymówiłem.

— Tak, ale na wszystko jest pewna miara. Siła serca, które pamięta i cierpi, wyczerpana być może. Osiem lat znowu minęło. Wieczór zapadać począł. Czas wrzyna się w człowieka jak piła w miazgę drzewa...

Zwrócił się do pana Faustyna:

— Pan dobrodziej się myli: *Le coeur a parfois des rides*.

Pan Faustyn ze zmieszaniem aż zakręcił się na krześle.

— Ja... panie dobrodzieju, powiedziałem to tylko tak sobie... *an parantess!*

A pan Dorsza znowu głównie do mnie i do Zygmunta mówić zaczął:

— Ale czasem serce zmęczone więcej jeszcze słodczy i ukojenia pragnie aniżeli świeże. A cóż może być słodsze nad otoczenie kobiety dobrej i kochanej serdeczną przyjaźnią i opieką? Prawda, że słońce nasze spłynęło już ku zachodowi, lecz mogą być jeszcze cudne ciche godziny o pogodnych zorzach wieczornych. Więc około trzech miesięcy temu, w czasie ostatniej bytności mojej w Dworach ponowiłem wobec panny Róży gorącą prośbę moją.

Oczy pani Januarowej stawały się prawie oblakane. Więc to, co wymyśliła jako złośliwą i nieprawdopodobną drwinę, było tak ściśle prawdziwe!

— Tym razem spotkałem się znowu z czym innym. Panna Róża powiedziała mi, że jeżeli dotąd pamięcią i sercem pozostała wierną swemu... świętemu, to już rozstawać się z nim dla tej odrobiny czasu, który pozostał jej na ziemi, wprost nie warto. Powiedziała, iż tak długo już żyje ze swoją samotnością i ze swoim smutkiem, że stały się one drugą jej istotą, nawyknięciem, treścią życia, których wyrzucić z siebie i zastąpić czymś wcale przeciwnym niepodobna. Powiedziała, że według słów jednej z ulubionych swych ksiązek, tak już dawno „żyje w cieniu śmierci”, myśląc często nie tylko o tamtej, ale i o swojej, jako o wolnym wzlocie czegoś w niej niewiadomego w coś poza nią niewiadomego, co wielkie jest i niezmierzone, a upragnione już przez to, że musi być czymś wcale innym niż wszystko, co jest tu. A z tego cienia, kto długi moment w nim przebędzie, niepodobna już wyjść na pełne światło i z takich myśli, kto długo z nimi przestawał, niepodobna wejść w krąg szczyrych uciech... To mi powiedziała i... zawołana przez lokaja odeszła, aby podwieczorkiem państwa zarządzić...

Tu załamał się jakoś głos pana Seweryna: umilkł, a z tego milczenia korzystając, od dawna już wzburzony i silnie na twarzy zaczerwieniony nasz kochany tłusciuchny pan January przypodniósł się na krzesło, ręce gościa w swoje pochwycił i wstrząsając nimi, prawie chlipiąc od płaczu, mówić zaczął:

— Ja pana dobrodzieja bardzo, bardzo za kuzynkę moją przepraszam... Zaczności kobieta, że tak o nieboszczyku Bronku pamięta, ale takiego jak pan człowieka obrażać, takie szczęście odrzucać — jakże można! jakże można! Niech pan dobrodziej wierzy, że ja o niczym nie wiedziałem, bo gdybym był wiedział... przecież spokrewnienie się z panem dobrodziejem byłoby dla mnie zaszczytem, przyjemnością... Teraz, dowiedziawszy się, kuzynce mojej uczynię gorzką, gorzką wymówkę, a pana dobrodzieja raz jeszcze przepraszam za nią, bardzo, bardzo prze...

Wtem: „Zagrzmiało, runęło w Betlejem ziemi!”. Pani Januarowa, nie czekając końca przemówienia mężowskiego, wstała od stołu, ale w taki sposób, że krzesło posunęło się za nią z grzmotem i z wielkim stukiem na ziemię upadło. Po czym ona sama dziwnie jakoś krzyknęła i wybuchnęła wielkim jakimś śmiechem. Pokazało się, że *globus histericus*, który od początku tej rozmowy ciągle ją dławił, zupełnie teraz do gardła wlaź i dostała pierwszego w życiu napadu spazmów. Więc Idalcia, pan Faustyn i inni, pod ramiona ją schwyciwszy, do dalszych pokoi uprowadzili, pan January około posyłania po lekarzy się zakrzętnął, pan Dorsza odjechał, a w jadalnej sali tylko Zygmunt i Marynia pod oknem siedząc coś do siebie szeptali i ja przy stole wciąż na jednym krzesle jak skała tkwiłem. Od tego, com słyszał, w głowie mi się przewracało, i nie tylko w głowie. Z zadumy wyrwać się nie mogłem.

Nagle Zygmunt zerwał się od okna i pędem strzały z pokoju wyleciał. Marynia także spojrzawszy przez okno zerwała się i jak błękitny ptak szybko wyfrunęła. Myślę sobie: co oni takiego na dziedzińcu zobaczyli? Czego tak polecieli? Wstałem też, do okna podszedłem i — co państwo myślą, że zobaczyłem? Oba te dzieciaki leciały na spotkanie panny Róży, która właśnie w bramę dziedzińca wchodziła. Niosła z lasu wiąz liliowych dzwonek i świecących jak słońce żółtych arnik. Lecz kwiaty te wyspały się jej do stóp, gdy ten pustak Zygmunt porwał jej ręce i nisko schylony tak całować je zaczął, jakby w te pocałunki całą duszę swoją wlewał. A Marynia ze swej strony oba ramiona zarzuciła jej na szyję, i błękitną bluzką jak promiennym obłokiem do jej szarej, smutnej sukni przyłgnęła.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gloria-victis-tom-opowiadani>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Gloria victis*, wyd. 1, wyd. Czytelnik, Warszawa 1986

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Izabela Erdmann, Marta Niedziałkowska, Olga Sutkowska, Sylwia Hornowska.

Okładka na podstawie: Leithcote@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przełącz darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.